

Bicos Olga

Niebezpieczna gra

Sprytna oszustka narażająca kasyno na ogromne straty czy wybitny naukowiec? Szara myszka ze zdjęć w aktach FBI czy prowokująca piękność, przyciągająca męskie spojrzenia? Zmieniająca swój wygląd niczym kameleon McCall, znana też jako Doktor Miłość, reklamuje w telewizji perfumy, dzięki którym żaden mężczyzna nie zdoła się oprzeć kobiecie. Czy istotnie to jest jej celem? Dlaczego stara się powrócić do pracy w instytucie, z którego przed laty musiała odejść w niesławie? Dlaczego chce nawiązać kontakt z człowiekiem, którego podejrzewa o zamordowanie swej przyjaciółki, i tak desperacko stara się odzyskać miłość ojca i siostry? Jake, były prokurator a obecnie pracownik kasyna, usiłuje rozgryźć zagadkę tajemniczej kobiety.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Transformacja

Zwierciadelko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie

Bajka o Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach

Bracia Grimm, 1814

Prolog

Jeżeli kiedykolwiek postępowałam niesłusznie, to chyba właśnie teraz. Obcuje ze złem, a jednak praca tego człowieka nosi w sobie piętno geniuszu. To najbardziej ekscytujący mężczyzna, z jakim dotąd się zetknęłam. Boże odpuść! - sędzę, że pokochałam doktora Frankensteina.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman.

McCall Sayer usiłowała skoncentrować się na osobie, w którą miała przeistoczyć się tego wieczoru.

Zza drzwi sąsiedniego pokoju dochodził szum wody lejącej się do wanny na kąpiel dla bliźniąt. Maluchy z głośnym chichotem uciekały Stanowi, swojemu ojcu. McCall uśmiechnęła się. Doszła do wniosku, że cieszy się z pobytu u Berb i Stana, z możliwości wejścia do ich rodziny. Szukała chwilę w kosmetykach stojących na toalecie, i wybrała pomadkę z napisem *Le Baiser*, pocałunek. Pociągnęła wargi na wiśniowo, wtórując Stanowi, podśpiewującemu w łazience refren piosenki „Baby Beluga”.

Tego wieczoru pani doktor McCall Sayer będzie nosić czarne ażurowe pończochy. Uważała to za miły akcent.

Sięgnęła po perukę i ukryła swoje rude włosy pod blond fryzurą na pazia. W jednej chwili nastąpiła zmiana, jej oczy nabrały barwy ciemnobłękitnej. Stała się zupełnie inną kobietą.

- Rzeczywiście wyglądam na kobietę z Południa - szepnęła do siebie, cedząc bez pośpiechu każde słowo. - Ależ tak.

Prawdziwa magnolia z Południa.

- Hej, McCall - zawołała z dołu Barb. - Taksówka już przyjechała.

- Schodzę - krzyknęła, polykając sylaby.

Obróciła się na stolku i wcisnęła stopy w szpilki, zapinając pasek wokół kostek. Już wcześniej zdecydowała się na wkładaną przez głowę błękitną sukienkę, na tyle prowokującą, by przyciągała wzrok.

Z biegiem czasu odkryła, że ludzie muszą mieć jakąś miarkę do klasyfikowania innych. Jakiś punkt zaczepienia. Dzisiaj da im „seksowną blondynkę”; nie będzie się to kłóciło z tym, co szykowała na przyszły tydzień - brunetkę w okularach i rudej garsonce.

Sięgając po leżącą na toalecie wieczorową torebkę, rzuciła okiem w lustro i przeczytała biegnące wspak litery na dzienniku laboratoryjnym WYDZIAŁ BIOLOGICZNY. Księga była pokaźna - trzydzieści centymetrów na dwadzieścia dwa.

Zawsze takie wołała.

Wzięła ją do ręki i przez moment oglądała... potem szybko uklękła i włożyła dziennik do najniższej szuflady komódki, przykrywając go swetrami. Wstała i kopnięciem wsunęła szufladę na miejsce. Zacisnęła pięści, otworzyła je i ponownie zacisnęła. Otworzyć, zacisnąć. Otworzyć, zacisnąć. Uniosła ręce do góry, rozczapierzając szeroko palce.

Drżały.

- Już prawie u celu, McCall - szepnęła. - Prawie u celu.

1

Tego wieczoru miała włosy rude.

Jake Donovan spoglądał na drugi koniec kasyna w nowoorleańskim River Palace, taksując kobietę wzrokiem. Już wcześniej obserwował ją przez kamery inwigilacyjne, namierzając pod różnym kątem. Teraz stał w sali i wahał się, jak postąpić.

Była ubrana na czarno. Czarna garsonka, czarne elastyczne pończochy, czarne szpilki. Garsonka była cholernie seksowna, kiedy nieznajoma siedziała przy stoliku do gry w dwadzieścia jeden, spódniczka sięgała zaledwie do połowy uda, a żakiet miał tak głębokie wycięcie, że gdy pochylała się do przodu, krupierka mogła dojrzeć koronkowe miseczki stanika. Jake przyglądał się, jak ruda zakłada nogę na nogę i kołysze prowokacyjnie stopą. Miała włosy upięte w fantazyjny kok, a kiedy obracała głowę, światło z wiszących pod sufitem żyrandoli odbijało się we włosach i iskrzyło niczym fajerwerki w Dzień Niepodległości. Przypominała jedną z tych dawnych gwiazd filmowych, jakąś Gretę Garbo albo Ritę Hayworth. Z drugiej strony, piła szampana jak gorzkie lekarstwo, niemal wykrzywając usta ze wstrętem. Zwrócił też uwagę, na jej obgryzione paznokcie. Była to jedyna rzecz, którą zapomniała jakoś zmienić.

W zeszłym tygodniu była wytworną brunetką w okularach. Dwa tygodnie temu blondynką w ażurowych pończochach.

- No? Zamierzasz ją przyskrzynić czy jak?

Wiecznie gadatliwy Constandinos Tropedis, zdrobniale Dino, opierał się ciężko o sąsiedni pulpit. Ruda siedziała kilka stolików od nich, skupiając się na kartach i kieliszku szampana.

Dino strzepnął nitkę z rękawa garnituru i przeciągnął palcami po włosach, które codziennie musiały dostać swoją porcję bry-lantyny.

- Słodziutka, muszę przyznać - dodał, mrugając porozumiewawczo do Jake'a. - Sam bym ją z chęcią poklepał po tyłeczku.

Ale mówi się trudno, ty tu jesteś szefem, Irlandczyku.

Jake mruknął wymijająco. Myślał o Klątwie Donovana, stara-

jąc się przekonać samego siebie, że ruda nie ma tej klątwy wypisanej na twarzy.

Jako szef zmiany w River Palace Jake miał obowiązek wyszukiwać i usuwać zawodowców. Kasyna nie tolerowały grania w karty na system, nie dopuszczały do tego. To był Disneyland dla dorosłych. Wchodzisz, siadasz i zaczynasz grać. Skąpo przyodziana kelnerka podaje ci darmowe drinki, personel jest życzliwie usposobiony i pełen kurtuazji - w ciężkiej chwili krupierzy udzielają ci dobrej rady, a dziewczyna z drobniakami wskazuje automat, który dzisiaj nie żałuje grosza. Jak wszystko idzie gładko, pieniądze tracisz powoli, więc po powrocie do domu myślisz sobie: -Co tam, straciłem dwa patole, ale przynajmniej miałem ubaw. Inaczej sprawy przedstawiały się z zawodowcami grającymi w oczko, którzy mieli system. Najczęściej karty rachowali, kalkulując swoje szanse na pokonanie kasyna. Prawdziwi profesjonaliści często zjawiali się przebrani, co miało ich uchronić przed wyrzuceniem na zbity pysk. Gdy raz podpadłeś, wystarczył jeden życzliwy telefon i miałeś zakaz wstępu do wszystkich kasyn w promieniu dwóch stanów.

- Spójrz no tylko - powiedział Dino, pogwizdując z cicha. -Klnę się na Boga, Jake. Ona kopie tego gościa, co siedzi obok niej. Pantofel ze śmiercionośnym obcasem zmienił rytm i zaczął trącać nogę gracza siedzącego na sąsiednim krześle.

Młodzieniec, liczący najwyżej dziewiętnaście lat, zerknął w jej stronę. Ruda patrzyła na krupierkę, czekając na ten ledwo uchwytany moment, kiedy wzrok rozdającej powędruje gdzie indziej. Wówczas kiwnęła lekko głową.

- No! - syknął Dino. - Widziałeś? Popatrz tylko - dureń nie bierze karty, choć przez cały wieczór lyktał jedną po drugiej. Ze swojego punktu obserwacyjnego za drzwiami Jake widział leżące na stole karty. Chłopak zastopował przy szesnastu oczkach. Kruplerka uniosła do góry dziesiątkę, a potem szóstkę i dorzucili królową kier. Kiedy przysunęła chłopakowi stertę żetonów, ten zrobił mine, jakby zaraz miał się rozplakać. Rita Hayworth patrzył przed siebie obojętnym wzrokiem. Na stole przed nią piętrzyły się grubo ponad trzy tysiące. - Zdaje ile, że ktoś się tu dzisiaj nieźle obłowi - stwierdził Jake.

- Tak, urządzamy na pokładzie pieprzoną gwiazdkę - odparł Dino.

Jake patrzył, jak kelnerka podaje rudej kolejnego drinka. Damulka równo pociągała z kieliszka przez cały wieczór, czego nie

12

robiła w czasie poprzednich wizyt. Przychodziła do River Palace średnio trzy wieczory w tygodniu. Dino namierzył ją parę tygodni wcześniej, była wtedy blondynką w ażurowych pończochach. Aż do dzisiaj zamawiała zawsze napój imbirowy, ten bezalkoholowy - Jake sprawdził to u kelnerki. I zawsze wstawiała od stołu, nim wygrała zbyt dużo; widać nie chciała zwracać na siebie uwagi. Właśnie dlatego Jake tolerował ją tak długo, ograniczając się do inwigilacji na monitorach na zapleczu.

- Ma jakiś system - stwierdził Dino. - I to cholernie dobry. Jake nie mógł się zdecydować. W jego umyśle niczym światła neonów błyskały słowa „Kłątwa Donovana”. Kłątwa Donovana. Kłątwa Donovana.

- Może pójdziesz tam i rzucisz okiem? - zaproponował Dinowi. Grek był dobre kilkanaście centymetrów niższy od prawie dwumetrowego Jake'a i musiał odchyłać głowę do tyłu, jeśli chciał spojrzeć szefowi w oczy. Podzwaniając monetami w kieszeni, dokonał zwięzłej oceny sytuacji, starając się wydedukować, dlaczego taki krzepki facet miałby dobrowolnie zrezygnować z milej rozmowy z wyprowadzaną za drzwi pijaną Ritą Hayworth. Jake doskonale rozpoznał moment, kiedy Dino doznał olśnienia. Grek po chwili rozpląnął się w uśmiechu.

- Daj spokój, Irlandczyku. Przecież cię nie ugryzie. Zestarzejesz się przedwcześnie, jak nie będziesz czasami żył na luzie. Zresztą sani wiesz, czego ci trzeba.

- Żebyś się zamknął? Dino robił, co mógł, żeby wyglądać na urażonego.

- Mówię tylko, że to niezdrowo. Żeby taki facet chodził samopas. No wiesz, wykorzystaj albo daj spokój.

Porządny, stary Dino, zawsze udzielający dobrych rad.

Korzystając z okazji, Dino obrzucił krytycznym wzrokiem białą, gładką koszulę Jake'a, jego prążkowane spodnie oraz szelki. Potrząsnął głową i dodał:

- Co ci szkodzi choć raz założyć garnitur? Jesteś tu szefem, na miłość boską.

Jake pomyślał o szafie pełnej garniturów, które podarował Armii Zbawienia. Tego dnia, kiedy wyszedł z biura prokuratora okręgowego, poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie założy tego cholernego uniformu. Jedyne, co zachował z dawnego życia, to zegarek marki Breitling. Duży, czarny, pokazujący trzy strefy czasowe. Jake wyobrażał sobie, że mógłby dzięki niemu wyrwać

się nawet z samego serca dżungli amazońskiej, gdyby los tam go kiedyś rzucił.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, na jaką liczył, Dino potraktował Jake'a wzruszeniem ramion w stylu co-ja-mam-z-tobą-zrobić i poprawił sobie krawat od Hugo Bossa.

- Panie Donovan, kopciuszek czeka. Głowę daję, że aż się prosi, żeby ją za dupcię wyprowadzić z naszej lajby.

Jake kiwał głową, opierając się o framugę drzwi i przyglądając się rudej. Normalnie już dawno by interweniował, nie zwlekałby, aż Dino, zwykły porządkowy, wskaże mu ją po raz drugi. Normalnie nie próbowałby też zwać na przyjaciela obowiązku załatwienia sprawy z tą kobietą.

Prawda jednak była taka, że Jake Donovan - eks-prokurator, eks-mąż i eks-miłośnik przegranych spraw - miał nosa do takich rzeczy. Znał te objawy. Za długo sam je przeżywał, by teraz nie Zachować środków ostrożności.

Zawsze przychodziła sama i miała ten specyficzny wyraz twarzy osoby przywykłej do spoglądania przez ramię. Dzisiaj piła bez umiaru, jakby szukała zapomnienia w alkoholu. Poza tym grała jak szalona i wcale nie próbowała ukryć faktu, że wygrywa - popisywała się tym, sama aż się prosiła, aby ją przyskrzynić.

O, tak. To ostatnie wystarczyło, by w głowie Jake'a rozległ się jazgot dzwonek i gwizdków alarmowych.

- No, dobrze - westchnął, ustępując przed nieuniknionym. -Zaczekaj tutaj i miej oko na wszystko.

River Palace było jednym z ostatnich wypłacalnych jeszcze kasyn pływających po wodach Missisipi, zlokalizowanym w centrum Nowego Orleanu. Jego dalszy żywot miał zostać przesądzony w najbliższym lokalnym referendum dotyczącym gier hazardowych... oraz przez konkurenta w postaci największego kasyna na stałym lądzie, jakie zeszło kiedykolwiek z desek kreślarskich - jeśli projekt z kasynem Harrah's uda się w ogóle zrealizować. Podobnie jak Flamingo z sieci Hiltona, inny niedobitek ze starej gwardii, także i River Palace miało swój szykowny hotel, wznoszący się na bulwarze Riverwalk. River Palace Hotel, maleństwo o pięciuset przytulnych pomieszczeniach - z czego połowa to luksusowe apartamenty - było wybudowane w stylu okazałych rezydencji dawnych plantatorów, tyle tylko że pod względem poboru mocy dorównywało Las Vegas. Kasyno na statku

14

o takiej samej nazwie miało trzy pokłady przeznaczone do hazardu. Statek cumował akurat przy Riverwalk z powodu wysokiej fali, która była błogosławieństwem dla River Palace; prawo nakazywało odbijać regularnie co trzy godziny. Jake przeszedł po oszalamiająco wzorzystym dywanie, celowo tak zaprojektowanym, by goście przenosili wzrok z podłogi na jaskrawo oświetlone automaty. Swoim zwyczajem zignorował śpiew jednorękich bandytów oraz brzęk monet wpadających przez szczeliny do metalowych pojemników. Na tym pokładzie motywem przewodnim River Palace było

Mardi Gras. Wszystkie większe powierzchnie pokryte były złotem, fioletem i zielenią; z każdego kąta patrzyły ogromne maski w piórach. W River Palace życie było jednym nieustannym karnawalem.

Dotarłszy do stolika gry w oczko, usiadł na pustym krześle obok Rity Hayworth i obstawił zakład. Zobaczył kątem oka, że rudowłosa pociąga kolejny lyk, a potem znowu wykrzywia usta.

- A więc - zagadnął obojętnie, skupiając wzrok na kartach, które rzucała mu Cynthia. - Skoro mamy niedzielę, to pani musi być ruda?

Nieznajoma spojrzała na Jake'a. Jej oczy były niesamowicie błękitne, tylko pośrodku dawał się zauważyć maleńki krążek zieleni. Wywierała niesamowite wrażenie, była zabójczo piękna. Nos prosty. Usta pełne. Makijaż dyskretny - choć tak naprawdę nie potrzebowała żadnego makijażu. Oczy Jake'a bezwiednie powędrowały na piersi Rity Hayworth, tam gdzie żakiet trochę się marszczył. Tak jak przypuszczał; widok był niezły.

Ruda odstawiła kieliszek.

- Chłopcze, nie wyglądasz na kogoś takiego.

- Na kogoś jakiego? - zapytał, puszczając oko do krupierki. Sytuacja została opanowana.

- Nie wzięłabym cię za wykidajkę. - Rita Hayworth obróciła się

1 zmierzyła go ironicznym spojrzeniem. Jake wiedział już, że przyłapała go na taksowaniu jej. Zmrużyła oczy i zaczęła głośno myśleć.

- Przypominasz... skauta.

- Skautmistrza - odparł. - Trzeciej rangi. - Potrząsnął głową. - To były czasy. A więc... - dodał szeptem, by tylko ona mogła go usłyszeć - jak załatwimy sprawę podpowiadania temu młodzieńcowi?

Ruda uniosła kieliszek i jednym haustem dopiła szampana. Następnie wzruszyła ramionami.

-Jeśli posiedzi się tu wystarczająco długo, można się nasłuchać

zwierzeń tych biedaków - odparła, nie próbując niczemu zaprzeczać. - Ma żonę w szóstym miesiącu ciąży. Stracił pracę. Właściciel domu grozi im eksmisją. Przyszedł do kasyna, licząc na cud.

- Niech zgadnę. I pani jest jego dobrą wróżką? Ruda uśmiechnęła się, odstawiając kieliszek.

- Tam mam wyjść, na zaplecze?

W duszy Jake'a rozlegała się stara piosenka... nie przekraczaj granicy... ale mimo wszystko skinął głową i poleciał jak ćma do ognia, robiąc z siebie idiotę. Trzydzieści sześć lat życia pełnego błędów i niech to diabli, jeśli wyciągnął z nich jakąkolwiek naukę.

- Nie - odpowiedział, patrząc, jak Cynthia zgarnia jego karty. Być może Dino miał rację i zbyt długo zachowuje ostrożność. Patrząc na Ritę, przestał już odczuwać potrzebę zachowania ostrożności. - Nie, zapraszam panią na kawę. Jest pani zainteresowana?

Oczy kobiety rozszerzyły się, ale tylko trochę. Ich błękit był tak niewiarygodny, że bez wątpienia nosiła soczewki kontaktowe. Była wyraźnie zaskoczona, ale odpowiedziała spokojnie:

- W porządku, skautmistrzu. Prowadź pan.

Wstała, chwiejąc się trochę. Schłala się, pomyślał Jake. Na krześle obok niej został plik jakichś papierów. Sięgnęła po nie... ale chybiła. Kartki pofrunęły na podłogę. Jake przez chwilę sądził, że będzie musiał stoczyć pojedynek o nie z bezrobotnym młodzieńcem, ale jednym spojrzeniem odpędził faceta z powrotem do stolika i stosu żetonów. Następnie uśmiechnął się szeroko. Jeszcze nie stracił wyczucia.

Rzucił okiem na papiery. Była to fotokopia artykułu opublikowanego w czasopiśmie American Science. „Poszukiwanie ludzkich feromonów”, autorką była niejaka doktor McCall Elizabeth Sayer.

Jake'owi wystarczyła jedna chwila na przebiegnięcie wzrokiem umieszczonej na końcu notki biograficznej: McCall po zrobieniu doktoratu prowadziła badania w dziedzinie biologii molekularnej na Politechnice Kalifornijskiej. Doktorat z genetyki uzyskała na Harvardzie.

Ruda odwróciła się i powiedziała coś do młodzieńca; gdy odchodziła, oczy młodego człowieka błyszczały łzami.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, skaucie.

Jake spojrział na leżącą za nią na stoliku wygraną - trzy patole w żetonach, które chłopak zgarniał do plastikowego kubka z logo River Palace, to znaczy parostatku skąpanego w deszczu złotych monet, buchających z jego komina.

- Pani żartuje.

Patrzyła, jak jej protegowany toruje sobie drogę między stolikami w kierunku kasy.

- Kazalam mu obiecać, że tej forsy już nie postawi. Ostrzegłam go, że nie jest w tym zbyt dobry. - Westchnęła lekko na znak, że odczuła stratę. - W końcu to tylko pieniądze.

- McCall? - spytał tknięty przecuciem.

- Tak? - Patrzyła na niego nieco rozkojarzonym wzrokiem; Sądząc po wyrazie jej twarzy, uświadomiła sobie nagle, że znał jej imię. Spuściła oczy na papiery, które jej podawał. - Och, dzięki.

Wsunęła pod pachę artykuł i torebkę, w której nie pomieściłaby się złożona we czworo chusteczka do nosa. Zawahała się, po czym wzięła go pod ramię. Wyszło to trochę niezgrabnie. Patrzyła wszędzie, tylko nie na niego.

- Więc jak przyjaciele zwracają się do pani? - spytał, kiedy ruszyła u jego boku.
- McCall - odparła. W spojrzeniu, które mu posłała, trochę sztucznym, nieco aroganckim, można było dostrzec „Harvard”.
- Naprawdę? Po prostu McCall, hmm? - Kiedy dotarli do wyjścia, otworzył drzwi i przytrzymał je. - No cóż, pani kojarzy mi się z imieniem Mac. Tak, ma pani to imię wypisane na całej sobie. Chodź, Mac. Coś mi mówi, że potrzebujesz filiżanki gorącej kawy. Patrzył, jak sadowi się przy stole naprzeciw niego. Zaprowadził ją do swojej ulubionej knajpki w River Palace Hotel, zwanej Cascade Lounge. Było to atrium pokryte szklaną kopułą, gdzie rozlegał się plusk wody spadającej z trzech metrów na fantastyczną wprost formację skalną. W basenie poniżej pływały żółwie. Mac wypila następny kieliszek szampana, ignorując filiżankę parującej kawy, którą zamówił dla niej Jake. Był przekonany, że jest wstawiona, musiał jej jednak oddać sprawiedliwość. Doskonale sobie z tym radziła.
- W ogóle nie tknęłaś kawy. - Przesunął filiżankę w jej stronę, jak gdyby to miało znaczenie. Przestrzegał świętej zasady nie brania do łóżka pijanych kobiet. Ale niech go Bóg ma swej opiece, pomysł przespania się z Mac wydawał się teraz bardzo pociągający. Odsunęła kawę, sięgnęła za to po butelkę szampana, którą wcześniej zamówiła. - Więc jak to się stało u licha, że taki dzielny skaut kończy jako wykidajło w kasynie?

Przytrzymał butelkę, nim Mac zdążyła wylać szampana na obrus.

- A jak to się dzieje, że doktor genetyki kończy jako zawodowy gracz w oczko?

Pogroziła mu palcem i uśmiechnęła się.

- Zapytałam pierwsza.

Wzruszył ramionami i przyglądał się Mac, która sączyła kolejny kieliszek. Zastanawiał się, czy jego wizja dzikiego seksu nie skurczy się jednak do wieczorku pielęgnacyjnego. Bał się, że już za duża wypila. Choć była wysoka jak na kobietę, mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć bez szpilek, nie miała zbyt dużo ciała na swoich kościach. - Nie o takim zawodzie marzyłem - odparł. - Ale wychodzi na to, że zostałem na taki właśnie skazany. A ty? Zawsze zabierasz ze sobą referat naukowy, kiedy wychodzisz z domu?

Mac znowu miała nieprzytomne spojrzenie. Gapiała się na arkusze papieru zgromadzone przy jej stopie na podłodze, na kartki rozwijające się z rulonu, w które były zawinięte.

- Ktoś mi go dał, zanim tu przyszedłem. - Potrząsnęła głową. - Powinnam była to wyrzucić. Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zrobiłam. Wyglądała na kobietę mniej więcej dwudziestopięcioletnią, była za młoda na zdobycie tych wszystkich stopni i lekceważące odwrócenie się do nich plecami.

- Więc wyjaśnij mi, o czym on mówi. - Jake skinął głową w stronę kartek.

Mac znowu popatrzyła na niego, potem napiła się szampana. - To już prehistoria. Liczę na karierę w zupełnie innym zawodzie. - Masz na myśli hazard?

- Znam się na liczbach.

- No, ja myślę - odparł, podziwiając widok oferowany przez rozchylający się żakiet. Gdyby był rozsądny, wyprowadziłby ją na ulicę i wsadził do pierwszej nadjeżdżającej taksówki, nim zapomni o świętej zasadzie dotyczącej pijanych kobiet i zaprosi Mac na górę do swego pokoju.

- Doniesiesz na mnie? - spytała.

- To znaczy, innym kasynom? No jasne. Pochyliła się do przodu, patrząc mu prosto w oczy.

- Może już nie dbam o to. - Ujęła jego rękę i palcem wskazującym zaczęła kreślić kółeczka na wewnętrznej stronie dłoni.

- Może to nigdy nie miało znaczenia.

18

Jak na zaloty, wydawało się to trochę naiwne, Jake musiał jednak przyznać, że było diablo efektywne. Jakiś głosik w jego głowie już przynaglał go do przyjęcia każdej ewentualnej propozycji. Targany złymi przeczuciami spoglądał na drugi koniec baru, gdzie za wznoszącym się od podłogi do sufitu oknem w czarnym lustrze Missisipi migotały światła miasta.

Kiedy splotła ich palce ze sobą, powiedział do siebie, że Prawo Murphy'ego nie może zadziałać dwa razy z rzędu. Co z tego, że jest trochę pijana? Już od tak dawna nie spał z kobietą, że naprawdę wziął sobie do serca uwagi Dina w sprawie swego celibatu. Był tak twardy od samego siedzenia naprzeciw Mac, że już teraz delectował się smakiem wspólnej nocy. Już prawie słyszał tę muzykę w swojej duszy.

Tyle że Jake Donovan był jakby obciążony dziedzicznie. Wystarczyło na nią spojrzeć, a już w jego głowie rozległo się bicie tam-tamów: **Kłątwa Donovana, Kłątwa Donovana**. Robił, co mógł, ale nie potrafił wyłączyć ostrzeżenia.

Potrząsał głową, dochodząc do wniosku, że ostatnio traktuje tę klątwę chyba zbyt poważnie. Wysunął swoją dłoń z jej dłoni i wbił się plecami w fotel. W obie ręce wziął filiżankę z kawą.

- Wiesz co, Mac? - zagadnął. - Myślę, że jesteś wstawiona. - Sytuacja akurat tego wymagała, dodał w duchu. Trochę przezorności nie zawadzi, nim człowiek popełni śmiertelny błąd. Dodał ostrożnie: - Myślę, że lada moment spadniesz z tego fotela, a ja okażę się zbyt wolny i nie złapię cię w porę. - Wzruszył ramionami, dochodząc do wniosku, że nie było to wcale złe jak na akt sabotażu. - Poza tym film może ci się urwać.

Natychmiast wytrzeźwiała; jego słowa trafiły w czuły punkt, o czym doskonale wiedział. Jeśli zawracasz sobie głowę doktoratem na czołowym uniwersytecie, to musisz mieć poczucie dumy.

Mac bardzo ostrożnie odstawiła kieliszek. - No cóż, w ten oto sposób uroczy wieczór dobiega końca. - Pokiwała głową. -

A ja zamierzałam przespać się z tobą i w ogóle.

Skinął głową, jakby poprosiła go o kawę. Ogarniało go jednak uczucie szczerego żalu.

- Może sprowadzić ci taksówkę?

Wpatrywała się w wysmukły kieliszek. Jake myślał, że nie odpowie albo chwyci po prostu za szkło i chluśnie mu szampanem w twarz.

Mało nie zrobił pod siebie, kiedy zamiast tego Mac się rozplakała.

Widział, że roznosił ją gniew, ale były też oznaki bólu, wyraźnie dostrzegalne w drobnych zmarszczkach dookoła ust i oczu.

- Dziś rano pochowałam matkę - powiedziała ostrożnie, jak gdyby nagle postanowiła wytrzeźwieć. - Mam prawo się schlać. Mam prawo przygadać sobie kogoś na jedną noc, jeśli uznałam, że właśnie to może mi pomóc. - Podniosła wzrok, jej zalzawione oczy były bardziej zielone niż niebieskie. - Mam wrażenie, że ludzie ciągle to robią. - Uśmiechnęła się. - Ale nie, ja musiałam trafić na jakiegoś skaucika.

Odepchnęła fotel i wstała. Zachowując się tak, jakby po jej policzkach wcale nie toczyły się łzy, oznajmiła:

- Dzięki za uświadomienie mi ohydy mojego pomysłu. Zanim zdążył odpowiedzieć, Mac rzuciła na stół kilka banknotów, odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi.

Jake zaklął pod nosem i popędził za nią. Boże, od początku czuł, że ma kłopoty, od chwili, kiedy zobaczył ją przy kartach. Sposób, w jaki się poruszała, napięcie, z jakim obstawiała... każdy rozkoszny ruch, każdy wdzięczny ruch, z daleka pachniał kłopotami. A on jak ostatni idiota i tak na nią poleciał.

Stała oparta o ścianę obok szybu z windami. Była odwrócona do niego plecami, ale z dygotania jej ramion wywnioskował, że płacze. Pochłaniał ją wzrokiem, zapominając o klątwie Donova-na, zapominając o całym świecie. Dotknął jej ramienia i obrócił twarzą do siebie.

- Dlaczego musiałeś wszystko skomplikować? - spytała z płonącymi oczami. - Dlaczego nie pozwoliłeś mi po prostu wypić tego szampana i nie pomogłeś mi zapomnieć? - Otarła łzy z twarzy i roześmiała się. - Moja pierwsza próba przelotnego romansu, a wszystko się skończyło, zanim się zaczęło. Kurde, przecież umiem podrywać. Patrzyła na Jake'a, promieniując wszystkie swoje emocje, by mógł je rozpoznać - ból, samotność, lęk. W tym momencie coś między nimi zaiskrzyło. Czuł, że niemal zaczyna skwierczeć w powietrzu wokół nich. Usłyszał jakiś zgrzyt w swoich uszach, przypominający odgłos zatraskiwanych drzwi albo szczęk zasuwki w zamku - a może to jego święta zasada dotycząca pijanych kobiet spłynęła właśnie w głąb muszli klozetowej.

Jake dostrzegał to, kiedy patrzył na brunetkę w okularach. Bronił się przed tym, kiedy przechodził obok blondynki w ażurowych pończochach, obgryzającej paznokcie i sączącej napój imbirowy.

14

Ciekawość. Zaintrygowanie. Uczucia nieuchronne dla Jake'a Donovana, dwukrotnej ofiary, który znalazł owe symptomy na tyle, by rozumieć, że wskakuje na karuzelę na swoją kolejną przejażdżkę. Oto ona, panienka w niedoli, i on, znowu udający rycerza w błyszczącej zbroi... Prawdziwa skaza na charakterze. Jedno zdanie, a wszystko wyjaśnia. Oto dlaczego zawsze komplikował sobie życie ponad potrzebę. Westchnął z rezygnacją, ekspediując energię w zupełnie innym kierunku.

Powinien był wiedzieć od początku. Być może wiedział. - Właściwie, Mac, sądzę, że to ja wybrałem ciebie. Poza tym masz rację, lubię komplikować sprawy ponad potrzebę. To źle. Muszę nad tym popracować. Naprawdę muszę.

Mac spojrzała na niego podejrzliwie.

- Liczysz na kolejny medal zasługi?

- Nie. - Jake wyciągnął dłoń i przesunął kciukiem po jej ustach; marzył o tym przez cały wieczór. Miała takie wyjątkowo miękkie wargi, a jemu podobała się szczególnie ich obwódka. Łuk amora. Obdarował ją najlepszym ze swoich uśmiechów, takim samym, jakim powalał kiedyś ławę sędziowską. - Pomyślałem o tym, że mam na górze pokój. - Ujął ją za rękę. Splatał ich palce, podobnie jak ona przedtem, ściskając mocno jej dłoń. Mac zastygła w bezruchu, oszołomiona. A potem roześmiała się głośno.

- Teraz ty przystawiasz się do mnie?

- Co ty na to, żebyśmy wypili kieliszeczek na dobranoc? Przekonajmy się, co z tego wyniknie.

Spojrzała na Jake'a tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Doszedł do wniosku, że właśnie do tego zmierzał od początku - czynił wszystko, żeby naprawdę wiedziała, co robi, żeby rano nie musieli borykać się z całym tym poczuciem winy.

- Jak się nazywasz? - spytała. Wreszcie ją to zaciekało.

- Jake. Jake Donovan. - Otworzyły się drzwi do windy. Jake wprowadził Mac do środka i wcisnął guzik swojego piętra. - Mam nadzieję, że spodoba ci się muzyka. Mam całkiem niezłą kolekcję kompaktów. Słyszałaś może o kapeli Druha Trava? Nie? A więc jako pierwszy zaprezentuję ci rozkosze czechosłowackiego bluegrassu.

2

McCall Sayer przestraszyła się, że chyba musiała zwariować.

Wzięła głęboki oddech i weszła do apartamentu hotelowego obcego mężczyzny. Była zażenowana do szpiku kości faktem, że jest aż tak pijana, i bardzo starała się na nic nie wpaść ani niczego nie potraścić. Ogromny apartament miał niezwykle rozkład, ale Mac zaskoczył przede wszystkim elegancki wystrój. Nie pasował do wizerunku skauta, jaki sobie stworzyła.

Okrażyła granitowy bar z wbudowanymi stolkami, który oddzielał kuchnię od salonu, i przeszła ku sięgającym od podłogi do sufitu oknom, za którymi rozciągał się wspaniały widok na Missisipi. Opuściła wzrok na mauretański dywan i przezwyciężając zawroty głowy, skierowała się w stronę jednej z dwóch lśniących nowością kanap w kształcie nerek. Czula się trochę nieswojo i Zaczynała mieć wątpliwości co do romansu na jedną noc.

Kiedy ostatni raz spała z mężczyzną, miała dziewiętnaście lat i była dziewicą.

Być może dziesięć lat przerwy to za dużo, aby skakać od razu na głęboką wodę, pomyślała, sadwiąc się na kanapie. W rękę trzymała torebkę i rulon odbitek artykułu z **American Science**, który wcześniej dał jej Roger. Teraz napłynęły wspomnienia owych pamiętnych chwil spędzonych z promotorem jej pracy doktorskiej, jej pierwszego i ostatniego doświadczenia seksualnego: pośpiech, ból i bezmiar chrapliwego męskiego stękania na podłodze w laboratorium, a ziemia bynajmniej się nie zatrzęsła.

- A więc czego się napijesz? - spytał zza granitowego barku Jake. - Mam tu nawet szampana. - Wyjął z lodówki opróżnioną do połowy butelkę.

McCall wykrzywiła usta.

- Kawy. Tam, w lokalu, nie oszczędziłeś mi wstydu.

- Znam to uczucie... z własnego doświadczenia. Uznałem po prostu, że powinnaś zdawać sobie sprawę, jakie obrzydzenie będziesz czuła rano, a problemy nie znikną, wręcz przeciwnie.

Posłała mu znudzony uśmiech.

22

- Ty naprawdę jesteś skautem.

- Uhm - mruknął wymijająco. - Wolisz rozpuszczalną? Wydaje mi się, że mam gdzieś kilka tych aromatycznych gatunków.

- Jake zniknął za barem. McCall słyszała, jak krzątał się po kuchni. Wreszcie pojawił się z puszką w dłoni. - International Irish Mocha albo coś w tym rodzaju.

- Brzmi świetnie.

Czajniczek, który Jake postawił na szklanym palniku, był w latki niczym krówka, a dzióbek miał w kształcie krowiego łba. Wydawał się nie na miejscu w takim ultranowoczesnym otoczeniu, gdzie na ścianach wisiały grafiki, a w wazonach stały gałązki wierzby i piękne kwiaty z jedwabiu. Wszystko w tym pokoju było wypucowane do połysku, idealne dopasowane, w rozmaitych odcieniach barwy kremowej.

- Sam ten apartament dekorowałeś? - spytała. Miała pewne wątpliwości. Czuć tu było kobiecą rękę.

- To długa historia - odpowiedział, nalewając wodę z kranu do krowiego czajniczka.

McCall opadła na kanapę i patrzyła, jak Jake nabiera łyżeczką kawę i wysypuje ją do dwóch kubków. Nie mając nic lepszego do roboty, przerzucała nerwowo strony artykułu, ale po chwili cisnęła kartki i torebkę na szklany prostokąt stolika do kawy stojącego obok kanapy.

Kiedy zamawiała szampana w kasynie, wcale nie zamierzała się upić. Kolejnymi drinkami próbowała wymazać z pamięci obrazy pogrzebu: podejrzenie, które widziała na twarzy siostry, dezaprobatę na twarzy ojca, widok matki w lakierowanej białej trumnie obłożonej liliami i goździkami. McCall wróciła do Nowego Orleanu zaledwie trzy tygodnie temu. Myślała, że matce zostało więcej czasu. Modliła się o więcej czasu. Wypity szampan sprawił, że kontury zaczęły się zacierać, a ból powoli ustępował. Zamówiła kolejny kieliszek. Potem jeszcze jeden. Zaraz po pogrzebie wzięła taksówkę i pojechała do **River Palace** - to był pierwszy błąd. McCall przypominała kociół na chwilę przed wybuchem; szukała miejsca, gdzie mogłaby upuścić trochę pary, zanim eksploduje. Była zbyt wrażliwa.

Spoglądała na rulon kartek, które Roger wsunął jej z tym swoim chytrym uśmiechem. Artykuł był zjadliwą pamiątką lat, które Roger i jego ojciec po prostu jej ukradli. Zadawała sobie pytanie, czy przypadkiem od początku nie o to chodziło. O jej spot-

kanie z Curtisem Clarke'em. O rozgrzewkę przed ostateczną niebezpieczną grą.

Nagle pojawił się ten skaucik z dwoma kubkami parującej kawy. Był wysoki i zbudowany jak atleta, o truskawkowych, jasnych włosach ostrzyżonych na krótko w stylu George'a Clooneya. Miał takie śliczne brązowe oczy. Doleczki w policzkach, oraz jakąś wewnętrzną zaciętość. Przy stoliku do gry w oczko sprawił, że McCall czuła się jedyną osobą na sali. Obserwując go idącego przez pokój, wiedziała, że oszukuje samą siebie, jeśli sądzi, że ten wieczór jest tylko skutkiem jej wstrząsających przeżyć.

Wzięła kubek od Jake'a i odprowadziła go wzrokiem. Podchodził do aparatury stereo, która zajmowała całą ścianę.

W przeszłości wszelkie podniety seksualne, jakich doświadczała, były nieustannie nadzorowane, precyzyjnie zasiewane i kultywowane, póki nie przygotowała się do jakiegoś kolejnego kroku w chmury, kroku, którego nigdy nie postawiła.

Nigdy nie odczuła pożądania wyłącznie pod wpływem spojrzenia w oczy mężczyzny. Ale kiedy skaucik opuścił oczy na jej dekolt, gdy siedziała przy karcianym stoliku, wówczas to poczuła. Aż po koniuszki palców u nóg. Wpatrywał się w nią tym swoim wyglodzonym wzrokiem. McCall nawet się to podobało, ta drapieżna zalotność jego spojrzenia. Bardzo podobało. Czegoś takiego nie mogła zlekceważyć. Czegoś, co chciała poznać gruntownie i przekonać się, dokąd może zaprowadzić. Usłyszała miękkie zawodzenie saksofonu płynące z ukrytego głośnika. Domyśliła się, że gospodarz puścił muzykę. -To nie jest w stylu czechosłowackim - zauważyła.

Usiadł na kanapie obok niej i trąciwszy jej kubek własnym, upił trochę kawy.

- Chciałem zrobić mały wstęp, nim poznasz całą kolekcję. Zacząłem od łagodnego jazzu, a doprowadzę stopniowo do blue-grassu. A zatem, opowiedz mi swoją historię, Mac. Zły dzień?

- Do najlepszych nie należy. Poza tym na imię mam McCall. Nie cierpię zdrobnień ani przyzwisk.

- Ach tak? - Ponownie dotknął jej ust, pocierając opuszką kciuka dolną wargę, co wywołało dziwne ściskanie w jej dołku. -Cóż, będziesz musiała do tego przywyknąć - szepnął, odstawiając kubek i pochylając się nad nią. Zorientowała się, że ten pocałunek będzie inny - nie była przygotowana na różnicę. Mężczyźni, których dotąd poznała, byli zupełnie
24

inni. Większość czasu spędzali podobnie jak ona zgarbieni nad komputerami i mikroskopami. Byli niezgrabni i lekko zdesperowani w swoich seksualnych poczynaniach, zawsze spieszyli się do finału.

Skaucik całował ją tak, jakby miał do dyspozycji cały czas tego świata.

Dałabym mu medal za całowanie, pomyślała, kiedy jego wargi ślizgały się po jej ustach. Zupełnie inaczej niż w przypadku Paula, który po ich jednym jedynym zbliżeniu przeproszał wylewnie, ocierając chusteczką pot z czoła. Paul - odebrał jej

dziewictwo, a potem opublikował wyniki jej doświadczeń pod własnym nazwiskiem, pomijając całkowicie jej wkład, i zmusił ją do przejścia na inną uczelnię. Było to bolesną pamiątką, przypominającą, że mężczyźni nie leżą na jej ciele. Ale skaucik przynajmniej nie był zainteresowany jej umysłem. Zwilżył jej wargi swoim językiem, a potem delikatnie je rozsunął. Nie mogła uwierzyć, że zaczęła pojeikiwać, ale dźwięk ten wydawał się reakcją całkowicie naturalną.

Wycofał się z uśmiechem. Miał najbardziej czarujący uśmiech. Sam jego widok odbierał jej zmysły.

- Ostrożnie - powiedział miękko, odbierając Mac kubek z kawą, której omal nie wylała mu na kolana.

Kiedy z absolutnym spokojem odstawiał go na stolik, McCall poczuła nagle, że jest cała wewnętrznie rozpalona. Zapewne miał wprawę w takich sprawach. Natychmiast przypomniała sobie jednak, ile wysiłku włożył, aby zachowała trzeźwość... i ta jego koncentracja. Znała mężczyzn, którzy dużo mniej uwagi poświęcali kalkulacjom, czy wyniki ich badań będą zasługiwały na nagrodę Nobla.

Jake wyciągał spinki z jej włosów i rozpuszczał gęste kosmyki na ramiona. Czowała się jakoś dziwnie. Niepotrzebnie tyle wypila. Szampan zaczynał dawać o sobie znać, a poziom lęku podskoczył o kolejny szczebel. Modliła się, żeby nie zrobiło jej się niedobrze i żeby nie zemdląca.

Musiała zaczerpnąć powietrza. Wstała, umykając jego pieszczotom, zawstydzona silnym pożądaniem, jakie w niej przebudziły. Podeszła do regału, ignorując kosztowne cacka stojące na półkach i zaczęła oglądać oprawione w ramki fotografie. Miała wrażenie, że cały pokój wiruje dookoła niej. Oparła się o półki i skupiła wzrok na zdjęciach. Nie wiedziała, czy powinna zostać, czy wyjść.

Chciała zostać. I to bardzo.

Przez mgłę odurzenia alkoholowego zorientowała się, że wszystkie fotografie przedstawiają tego samego małego chłopca w rozmaitych fazach życia, poczynając od „pierwszych zdjęć noworodka”, kiedy bobasy przypominają małych kosmitów, poprzez domowe zdjęcia chłopca mniej więcej w wieku czteroletnich bliźniąt Barb. Uśmiechnęła się i zdjęła ze ściany ramkę sporządzoną z makaronu różnych kształtów, naklejonego na tekturę i spryskanego złotą farbą. Coś takiego mogło wyjść spod ręki dziecka w wieku przedszkolnym. Nie pasowało do reszty, podobnie jak tamten czajniczek. Nietrudno było zgadnąć, że jest to jeden z niewielu osobistych przedmiotów w tym salonie.

Chłopczyk huśtał się na kolanach jakiejś kobiety i wdzięczył się do obiektywu. Miał gęstą rudawą czuprynę, a na nosie piegi. I czekoladowobrązowe oczy, które mogłyby zmiękczyć serce każdej matki. Podobieństwo było niesamowite. Jake podszedł i stanął za McCall. Objął ją w tali i pociągnął do tyłu na siebie. Był taki twardy w dotyku, taki muskularny. Pomyślała, że właśnie tak powinno odczuwać się dotyk mężczyzny, którego ciało wtulało się w kobietę. Nigdy przedtem nie doświadczyła podobnego uczucia, tego cudownego wrażenia styczności, które w niej wywoływał. Kiedy się odwracała, podnosząc zdjęcie do jego oczu, trochę brakowało jej tchu.

- Jakiś krewny? - spytała.

- Mój syn. - Usłyszała dumę w głosie Jake'a, zobaczyła ją w jego uśmiechu. Jake przebierał palcami w jej włosach i patrzył, jak przesypują się przez jego dłonie.

Oblizła wargi i znowu poczuła mdłości.

- Podobny do ciebie.

- Tak, wiem. Ale o całe niebo ładniejszy. Odstawiła zdjęcie.

- Jesteś żonaty?

- Nie w tej chwili.

- To brzmi nieco podejrzanie. Masz harem swoich byłych żon, które czają się gdzieś w pobliżu, czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju - odparł. Jego usta znowu odnalazły jej wargi. Tym razem się nie bronila; po prostu dała się pochłonąć jego

pocałunkowi. Był w tym dobry. Wiele kobiet płaci żywą gotówką za taki pocałunek.

- A więc, cóż to u diabła jest feromon, pani doktor? - wyszeptał to pytanie wprost w jej usta.

- Nie wiem, czy powinnam ci to wyjaśnić - powiedziała, oddając mu pocałunek i powoli chwytając jego rytm. - Wydawało mi się, że próbuję ciebie uwieść... Nie chcę cię wystraszyć.

- Spokojnie, Mac. Nie jestem wstydlivy.

Objął ją w talii i przyciągnął mocniej, przekazując jej władzę nad rytmem. Przysunęła się bliżej i znieruchomiała, kiedy jej usta przywarły do jego. Nagle dopadło ją wszystko. Szampan, tkliwość jego ust, zmysłowa pieszczota jego rąk. Od tego wszystkiego zakręciło jej się w głowie. Jake pochylił się do przodu, poruszając ich ciałami zgodnie z dźwiękami saksofonu, a jego dłonie obejmowały jej pośladki.

- Pachniesz cudownie - szepnął, ssąc łapczywie jej szyję. Jedną dłonią rozpoczął wspinaczkę po biodrze w kierunku piersi, bez pośpiechu, jakby notując w pamięci każdą krzywiznę jej ciała. - Kłamałem, że jestem skautmistrzem - szepnął, kęsając delikatnie jej dolną wargę.

- Wiem - odparła, a jej ręce powędrowały do góry i objęły go za szyję. - Nie istnieje żaden skautmistrz trzeciej rangi.

- A to ci dopiero!

Jake smakował jak czekolada. Jakaś International Mocha Irish, pomyślała mglisto. Było trochę słodki i odurzający, tak jak szampan.

- Twoje perfumy doprowadzają mnie do szaleństwa, Mac. Do szaleństwa, powtórzyła w myślach. Tak. Od początku o to dziś chodziło. O wspaniałe, niesamowite odejście od zmysłów.

Nadal kołysali się w rytm muzyki. Jake rozpiął jej żakiet i ściągnął nad głowę, prowadząc Mac w kierunku sypialni. Była to droga niedaleka i gładka tak jak jego taniec. Zanim się spostrzegła, posuwali się w stronę ogromnego, zabytkowego łóża. McCall poczuła się jeszcze bardziej oszołomiona.

- Chyba powinienem cię ostrzec. Kiedy ostatnio wziąłem panienkę na jedną noc, skończyło się to przed ołtarzem.

- Więc lepiej będzie, jeśli nie zostawię ci numeru mojego telefonu - odparła, nakrywając wargami jego usta, dopominając się o jeszcze.

Kiedy poczuła za sobą krawędź łóżka, zrzuciła szpilki, a potem już znalazła się na kołdrze, pociągając Jake'a za sobą, pomagając mu pozbyć się szelek i koszuli. Nie pomyliła się co do mu-skułów. Każdy był na swoim miejscu. Dużo ćwiczy, pomyślała. Położyła dłonie na jego torsie, czując pod palcami pierścienie

włosów. Były trochę ciemniejsze niż na głowie, niemal rdzawo-brązowe. Ramiona miał obsypane piegami. Klęczeli zwrócenii twarzami do siebie i obsypywali się gorącymi, łapczywymi pocałunkami. Mac z trudem oddychała, ale nie miało to znaczenia. Jake rozpiął jej stanik i zaczął masować jej piersi; nie przerywając całowania, muskał opuszkami kciuków sutki. W głowie jej się zakręciło od tych pocałunków.

Niewiarygodnie.

Chorobliwie.

- O mój boże.

Spojrzał na nią i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Mac ni stąd ni zowąd jakby zeszywniała. Klęczała przed nim na łóżku, on zaś ujmował dłońmi jej piersi niczym dwa jabłka, podty-kane pod nos Adamowi. W padającym z salonu świetle jej oczy stały się szerokie i błyszczące, Nagle przycisnęła jedną dłoń do ust. Potem drugą.

Była blada jak ściana.

Zerwała się z łóżka i ledwo zdążyła wpaść do łazienki. Zaraz potem Jake usłyszał odgłosy gwałtownych torsji.

- Nie do wiary - wysapał, opadając z powrotem na łóżko. Próbował złapać oddech, by jego ciało mogło nadażyć za wiadomością, którą umysł odbierał razem z dobiegającymi z łazienki dźwiękami. - Nie do wiary, psiakrew.

Zdobył się na przelknięcie kilku haustów powietrza i z wolna powrócił na ziemię. Pewnie, pomyślał, Zasługuję na taki los, łamiąc święte reguły i w ogóle.

A potem uśmiechnął się promiennie. Ale Boże, warto było.

Zanim Jake zdążył się ogarnąć i przynieść czysty ręcznik, dziewczyna siedziała już na podłodze łazienki, podpierając plecami ścianę. Miała na sobie tylko spódnice i pończochy i wciąż była bardzo zielona na twarzy.

Podał jej ręcznik. Mac opatulila się; wyglądała jak półtora nieszczęścia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, opierając się plecami o framugę. Mac miała oczy zamknięte. Wyglądała, jakby nadal walczyła

z nudnościami.

- W życiu nie wypilałam więcej niż dwa kieliszki wina.

- Coś mi mówi, że uwodzenie także nie należy do twojego żelaznego repertuaru.

Cień uśmiechu przemknął po jej twarzy.

23

- A mnie się wydawało, że doskonale udaje.

- Dobrze ci szło, Mac. - Wetknął dłonie do kieszenj^spodni. -Chcesz wziąć prysznic?

Skinęła głową.

- Owszem.

Przyniósł jeszcze dwa ręczniki i swój aksamitny szlafrok. Słuchając szumu wody, wrócił do kuchennego barku i zrobił sobie drinka. Wypił trochę ze szklanki, a potem wziął butelkę, zagłębił się w kanapie i począł sączyć wódkę. Upijał się tylko przy wyjątkowych okazjach, ta zaś z pewnością należała do takich.

Spojrzał na zdjęcie Michaela, które Mac oglądała wcześniej. Radość w oczach syna zawsze wywoływała uśmiech na twarzy Jake'a. Tym razem jednak patrzył na kobietę, widoczną za huśtającym się chłopcem.

Była bardzo przystojną brunetką. Kiedy się poznali, miała trzydzieści dziewięć lat. Księgową, która porzuciła pracę, aby po ślubie poświęcić się macierzyństwu. Wypił kolejny łyk stolicznej.

- Co za noc. - Przynajmniej historia się nie powtórzy, myślał, wspominając gehennę walki o opiekę nad dzieckiem, i rozpacz, że może go mieć tylko w weekendy. - Dzięki Bogu i za ten skromny dar.

Dopił drinka i zaczął chrupać kostki lodu. Kiedy ustał szum wody w łazience, Jake wstał z kanapy, żeby sprawdzić, czy Mac nie upadła i czegoś sobie nie zrobiła.

Zastukał do drzwi.

- Mac? - Cisza. Zastukał powtórnie. - Hej, Mac. Jak się czujesz? - Uchylił lekko drzwi i zajrzał do środka. Leżała z podkurczonymi nogami na czarnym, owalnym dywaniku, owinięta w aksamitny szlafrok i pochrapywała z cicha. Otworzył drzwi na rozcież i przyglądał się, kiwając głową. Wydawała się teraz niezwykle spokojna. - A mogło być tak dobrze, Mac.

Zaniósł ją do łóżka i otulił. Potem przeszedł do pustego pokoju, sypialni Michaela. Rozebrał się w blasku światła padającego z akwarium i wsunął się pod koldrę ozdobioną sylwetkami delfinów. Stopy zwieszały mu się za krawędź podwójnego łóżka. Erekcję miał jak wszyscy diabli.

- Sprawy wyglądają fatalnie, panie Jake'u Donovanie.

Zwał chmur zakrył wielki talerz księżycy. Była gorąca, letnia noc. Oddalone od światel i zgiełku Dzielnicy Francuskiej domos-

twa w Slidell milczały jak martwe. Mieszkańcy spali w swoich łóżkach, na ulicach nie było żywego ducha. Cisza.

O wpół do pierwszej w nocy Sierra uciekła z domu.

Zajęło to złotej labradorce większą część nocy, zdołała jednak w końcu wykopać na tyle dużą dziurę, że mogła przecisnąć się pod ogrodzeniem. Miała charakterystyczny wygląd - trochę za długie i obwisłe uszy jak na psa czystej rasy, i zakrecony do góry ogon, który zataczał pełny krąg. Sierra zwiertzyła oposa, wpadła nawet na jego trop, ale zdażyła tylko zobaczyć, jak jej niedoszła zdobycz oddala się przez dziurę w spróchniałych deskach. Dziura była za mała dla Sierry, co zmusiło sukę do zrobienia sobie podkopu na drugą stronę.

Nim skończyła, oposa już nie było. Ruszyła za jego zapachem, ale w pewnej chwili nerwowo obejrzała się na pograżony w ciemnościach dom. Właścicielką Sierry była dziewczynka imieniem Megan. Ojciec podarował suczkę córce w zeszłym roku, kiedy mała zaczęła mieć kłopoty w szkole. Megan nie zaadaptowała się dobrze w obcym środowisku po przeprowadzce z Kalifornii; tęskniła za dawnymi koleżankami. Szczenię ułatwiło zbliznienie ran; Sierra i Megan spędzały mnóstwo czasu razem.

Kiedy złota labradorka podbiegła kilka kroków kierunku domu, zauważyła nagle innego psa, czarnego owczarka niemieckiego. Skreśliła więc w tamtą stronę i z wywieszonym językiem ruszyła w pościg za wilczurem, zrywając sobie płuca głośnym szczekaniem.

Spędziła mnóstwo czasu w towarzystwie wilczura, nim zaczęła szukać drogi do domu. Tymczasem ulice nie były już znajome. Sierra biegła po chodniku tam i z powrotem, a wreszcie zupełnie się zgubiła.

Raptem w uszach Sierry rozległ się łagodny gwizd. Nie była to Megan, mała dziewczynka, która się nią opiekowała, ale z pewnością jakiś człowiek, który mógłby zaprowadzić ją do domu. Sierra wiedziała z doświadczenia, że ludzie są dobrzy. Głaskali ją, podtykali jej smakolyki.

Labradorka pobiegła w stronę wysokiego człowieka, który wciąż na nią pogwizdywał, ale kiedy dotarła do niego, człowiek zarzucił jej pętlę na szyję i Sierra zaczęła się dusić.

- Mam cię - zawołał.

Pociągnął Sierrę w kierunku dużej, białej ciężarówki. Wewnątrz znajdowały się inne psy; labradorka poczuła ich zapach. Zapach lęku.

30

Broniła się do upadłego, aby nie trafić do środka, ale człowiek wciągnął ją po linie, nie dając suce szansy. Sierra nigdy nikogo nie ugryzła; została tak wytresowana, żeby nie gryźć. Natomiast po cichu skamlala.

Tamte psy nie szczekały; cuchnęły moczem i ekskrementami. Człowiek nałożył suce kaganiec, żeby także nie mogła szczekać. A potem zdjął z jej szyi sznur i odpiął obrożę. Obejrzał w półmroku znaczek tożsamości i wyrzucił go wraz z obrozą na ulicę. Teraz będzie mógł powiedzieć, że znalazł psa nie mającego obroży. Człowiek wepchnął Sierrę do klatki z innym psem, tym samym czarnym owczarkiem, za którym wcześniej goniła.

Wcale nie miał zamiaru odwozić Sierry do domu do Megan.

Obudził go dzwonek.

Jake bił dłonią o krawędź łóżka w poszukiwaniu telefonu, zanim przypomniał sobie wreszcie, gdzie aparat stoi. Jęknął, po czym zmusił się do wstania. Poszedł na bosaka do kuchni i podniósł słuchawkę, nim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Nie przeleciałeś jej, co? - To był Dino.

Jake próbował pozbyć się kleistej pajęczyny ze swego mózgu. Kawa. Musiał się napić kawy. Przycisnął telefon ramieniem do ucha i sięgnął po maszynkę do kawy. Na zegarze kuchennym dochodziła ósma.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że to nie twój interes, ale nie. Tak się składa, że nie.

- Posłuchaj, Irlandczyku, chcę tylko usłyszeć, żeś się nie zakochał. Przez pół nocy oka nie zmrużyłem. Martwiłem się, że popełniłem straszny błąd, że wysłałem cię na pewną śmierć. To znaczy zastanawiałem się, co mi do łba strzeliło? Z twoją przeszłością? Słodka Suzy i tamta dziwka, jak jej tam...

Cały Dino, człowiek o zmiennych poglądach.

- Miała na imię Hope.

- Wszystko jedno. To znaczy, jak mogłem zapomnieć o Kłątwie Donovana?

- Wiesz co, Dino, czasem przypominasz czyrak na dupie.

- Po prostu zrób mi przyjemność, Irlandczyku- Chcę to usłyszeć z twoich własnych ust.

Jake nalał wody i wsypał kawę, a potem włączył ekspres.

- Nie zakochałem się.

- Och, na litość boską, powiedz to tak, żebym ci uwierzył. Nie.

Pal diabli. Nie ma dla ciebie nadziei. Pisany ci ten los. Ożenisz się z nią. Zmajstrujesz dzieciaka. Będziesz płacił alimenty.

- Ani Hope, ani Susan nie płacę żadnych alimentów.

- Dlatego, że miałaś szczęście. Zapamiętaj moje słowa. Tym razem szczęście cię opuści. Ona cię załatwi, Jake. Babka wygląda na chytrą sztukę. Nawet na cwaniarę.

- To wszystko na podstawie obserwacji gry w karty? Co? A może wróżysz z fusów, jak ta twoja babcia Greczynka?

- To pro-fe-śjo-na-lis-tka! - Dino przeciągał poszczególne sylaby, żeby Jake usłyszał każdą z osobna. - Wiesz, jakiego pomysłu wymaga taka gra w oczko?

Jake spojrział na zwinięty artykuł z American Science, który Mac zostawiła na stoliku do kawy. Doktorat na Harvardzie. Studia na Politechnice Kalifornijskiej.

- Może świetnie zna się na liczbach?

- Nie mówiąc o czynniku chciwości - rzucił Dino, tym razem jednym tchem. - Dobrze, dobrze. Babka oskubie cię do czysta.

Jake zerknął w stronę sypialni. Zobaczył jedynie drzwi. Były zamknięte.

- Nie jest tego zbyt wiele.

- Wszystko jedno; przekonasz się, ile jest warta, kiedy położysz łapy na twoim koncie bankowym. Znam się na tych sprawach.

Jake podreptał do pokoju Michaela w poszukiwaniu spodni.

- Gówno się znasz, Tropedis. - Wskoczył w nogawki i zapiął rozporek, a później pomaszerował do swojej sypialni.

- Będę musiał odbyć pokutę za tę lalunię - odparł Dino. Ale Jake już go nie słuchał. Otworzył powoli drzwi, obrzucając wzrokiem pokój.

Łóżko było puste.

- Jake? Jake, jesteś tam jeszcze?

Mac zasłala łóżko. Nie było najmniejszego śladu, że tutaj spała - z wyjątkiem pąka czerwonej róży na długiej lodydze i kartki papieru złożonej na pół na poduszce.

- Jake?

- Zaczekaj. - Otworzył liścik i przeczytał: To było urocze, skauciku. - Widocznie miała lepsze sny ode mnie - powiedział.

- O czym ty u diabła mówisz?

- Hej, Dino. - Jake zmiażdżył kartkę w kulkę i rzucił do łazienkowego kubelka na śmieci, trafiając bez pudła. - Wiesz coś na temat feromonów?

- No jasne. Gdzieś ty się podziewał? Nie oglądasz w telewizji programów z udziałem publiczności?
 - Musiałem ten jeden przegapić.
 - Feromony, no wiesz, to takie środki chemiczne. Jak te specjalne zapachy, które czynią kobietę atrakcyjną dla mężczyzny i na odwrót. Dodają je do perfum i tego całego chlamu.
- Jake przypomniał sobie perfumy Mac, które doprowadziły go do szaleństwa. Coś egzotycznego, niczym jaśmin zmieszany z jakimiś korzeniami.
- Dlaczego pytasz, Jake? Szukasz napoju miłosnego, czy jak?

Dzisiaj straciliśmy połowę grupy eksperymentalnej, w sumie dziesięć szczurów. Sekcje zwłok nie wyjaśniły jednoznacznie przyczyn śmierci. On chce to zignorować i kontynuować badania, nie oglądając się na nic. Twierdzi, że nasza praca ma niezwykle wielkie znaczenie i warto dla niej ponieść ryzyko. Zaprotestowałam tylko trochę. Chyba ulegam jakiemuś czarowi. Czy zgodzę się na wszystko, o co mnie poprosi?

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman.

- Doktor Miłość. - Śpiewny rytm przeciąglej wymowy Curtisa Clarke'a nie zamaskował sarkazmu w jego słowach. - Jak to wszystko się zmienia.

McCall zdobyła się na uśmiech mimo pulsującego bólu głowy, który groził zmiążdżeniem jej w psychicznym tyglu. Po wymknięciu się z apartamentu hotelowego Jake'a wróciła czym prędzej do domu Barb i zażyła dawkę aspiryny, która mogłaby znieczulić słonia. Przez większość dnia dreptała z kąta w kąt w pokoju gościnnym Barb i szykowała się do tego spotkania, próbując wymazać z pamięci poplątane obrazy ubiegłej nocy.

Teraz zaś, sącząc mrożoną herbatę i każąc Curtisowi czekać, powtarzała sobie, że właśnie do tego przygotowały ją lata spędzone przy karcianym stoliku. Aby w tej jednej jedynej chwili

przeistoczyć się w kogoś zupełnie innego. W kobietę, która zaoferuje Curtisowi Clarke'owi towar wartości miliarda dolarów i dzięki temu pokona go w jego własnej grze.

- Napawasz się, Curtis? - spytała. - Jakie to niepodobne do ciebie.

- Jasne, że się napawam. Cztery lata temu zostawiłaś mnie na lodzie, dziewczyno. Mogłem zapewnić ci świetną pozycję w Ciarce Labs, ale ty uważałaś, że jesteś dla mnie za dobra, i nie opowiadał, że to nieprawda. A teraz... kramarczysz eliksirem miłości.

Siedzieli przy odosobnionym stoliku w ogródku restauracji Court of Two Sisters. Przypominające gwiazdny pył białe lampki upiększały winorośl porastającą ściany ogródka. Przed fontanną przygrywało trio jazzowe, a obok bębna troje niemieckich turystów pozowało na zmianę do fotografii. Kelner czekał na znak z aparatem w ręku. McCall pochylała się nad stołem w stronę Curtisa, mężczyzny, który wyznaczył spotkanie nazajutrz po tym, jak pochowała swoją matkę.

- Tak, Curtisie. Nadano mi oryginalny tytuł Doktor Miłość, bo tak często występuję publicznie jako siła najemna w programach informacyjno-reklamowych i talk-show, że zasłużyłam na tę koronę. Poza tym, jak trafnie przewidziałeś cztery lata temu, wracam na kolanach, aby cię błagać. - McCall przesunęła się, ukazując Curtisowi kolana. - Przyjrzyj się. Mam nawet siniaki. Curtis wypił łyk mrożonej herbaty. Jego spojrzenie zatrzymało się na nogach, a następnie przeniosło się powoli do góry na jej piersi. McCall nosiła przewiewną, zielonkawoniebieską bluzkę z lekko metalicznym połyskiem, pod którą można było dostrzec świetnie dobrany stanik. Dobiegający sześćdziesiątki Curtis Ciarce starannie rozjaśniał swoje rudawobrazowe kędziory; był to mężczyzna na tyle próżny, że robił sobie też makijaż. Ale mimo sztucznej opalenizny i gorsetu, który z pewnością nosił pod szykowną marynarką, i spodni od Prado, Curtisowi z ledwością udawało się kamuflować swój wiek. Król kosmetyków ostatnio wyglądał staro, nadal był jednak człowiekiem silnym i zdolnym do odwetu.

Przez chwilę McCall pozwalała sobie na myślenie o przeszłości. Była ona nadal żywa od dnia, kiedy roześmiała się Curtisowi w twarz na propozycję porzucenia prestiżowej Politechniki Lui-zjańskiej i zastąpienie swego ojca na stanowisku szefa Działu Ba-

34

dawczo-Rozwojowego w Ciarce Labs. McCall była wówczas cenionym naukowcem, poświęcającym się prekursorskim badaniom... doświadczeniom nad metodami leczenia skutków defektu mózgu, jakiego doznają miliony ofiar rozmaitych chorób i urazów. W tamtych czasach nigdy by się nie zniżyła do czegoś równie błędnego jak praca w firmie kosmetycznej. O ile dobrze pamiętała, odrzucając ofertę Curtisa, użyła nawet słów: „tania” i „trywialna”.

Dwa tygodnie później jej kariera legła w gruzach. Ale McCall nigdy nie potrafiła udowodnić, że za oskarżeniami, które ją zniszczyły, krył się właśnie Curtis.

- Nie miałem pojęcia, że możesz być tak piękna - stwierdził.

- Boże, Curtis. Czy to propozycja?

- Jedynie obserwacja. Byłaś kiedyś taka nijaka, dziewczyno. Nosiłaś za duże okulary i ściągałaś włosy tak mocno, że na pewno dostawałaś od tego migreny. Mała uczona swojego tatusia. Cóż, brakowało ci tylko poczucia stylu.

- To prawda, odkąd zawałiła mi się kariera naukowa, miałam trochę czasu, aby popracować nad swoim wyglądem.

Curtis odstawił szklanę. Pochylił się bliżej i McCall poczuła miłą, cytrusową woń wody po goleniu.

- To okropne, przyznaję, że wysiudali cię z tej twojej uczelni na podstawie tak kruchych dowodów. A teraz przychodzisz i błagasz mnie o pracę, którą niedawno z taką pogardą odrzuciłaś. Gdybym nie był człowiekiem wielkodusznym, McCall, może nie oparłbym się pokusie i przegnał cię do wszystkich diabłów. Ale skoro tak uroczo błagasz... poza tym sama myśl, że klęczysz przede mną, jest bardzo ponętna.

- Zjadłabym nawet żabę, Curtisie. Czulałam jej smak w ustach przez ostatnie cztery lata. - McCall obrzuciła Curtisa wzrokiem z góry na dół, odnotowując przesadną elegancję i lekko wystający nad paskiem od Gucciego brzusek. Curtis parsknął śmiechem.

- Nie straciłaś ducha. Byłoby mi przykro, gdybym go w tobie zniszczył.

McCall pomyślała o wszystkim, co już zdążył zniszczyć: jej karierę i miłość ojca, jeśli nie myliła się w swoich podejrzaniach. Curtis był zdolny do wielu znacznie gorszych rzeczy. Nawet do zbrodni.

- Poza tym jestem chciwa, Curtisie - dodała, przechodząc do następnego etapu spotkania. - Chcę pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy. Oraz własnego laboratorium z ultranowoczesnym wyposa-

zeniem, żeby nikt mi nie patrzył przez ramię na wyniki. Tyle będzie cię kosztowało położenie łapy na moich badaniach. Ze skośnych, szarych oczu Curtisa Clarke'a ulotnił się wszelki odcień wesołości.

- Nielicha prośba.

McCall pchnęła notatnik na drugi koniec stołu.

- Genetycznie zmodyfikowany specyfik, który naśladuje ludzkie feromony i ma od dziesięciu do stu razy silniejsze działanie od oryginału. Formuła Omega to nie sztuczka. Dzięki niej żadnej kobiecie nie będzie można się oprzeć - oznajmiła z najśladszym uśmiechem na twarzy, przeciągając sylaby tak samo jak przedtem Curtis. - No, Curtisie, sądzę, że cieszysz się na myśl o niej.

Wstała, sięgając po czarną skórzaną torebkę.

- Pokaż te dane mojemu ojcu - powiedziała. - W środku znajdziesz moją wizytówkę; możesz nagrać się na sekretarce.

Jestem pewna, że niebawem się odezwiesz, daję ci jednak tylko tydzień na zastanowienie, a potem porozmawiam z tym, kto da najwięcej. Ciao. Było uroczo jak zwykle.

Curtis chwycił ją za łokieć, nie pozwalając się oddalić.

- Dlaczego właśnie ja, McCall? Trudno uwierzyć, byś chciała mi wyświadczyć jakąkolwiek przysługę.

McCall pozwoliła, aby przez chwilę panowała cisza. Zrozumiała, że nastąpił moment kulminacyjny i teraz będzie musiała użyć swojego ostatniego fortelu, do którego przygotowywała się od chwili znalezienia dziennika laboratoryjnego Alicji wraz z jego straszliwą przestroga.

- Przysługę? Bynajmniej. Po prostu nie chcę, żebyś mnie zniszczył po raz drugi. Poza tym jestem pewna, że gdybym do ciebie nie przyszła, ty przyszedłbyś do mnie. - Puściła do niego oko. -Przez wzgląd na dawne czasy.

- Nadal winisz mnie za wszystko. Nawet za śmierć tej kobiety.

- Nie, Curtisie - skłamała, ale to, co dodała, było prawdą: -Czasami jednak obwiniam samą siebie.

Widać było, że Ciarke zastanawia się nad jej słowami.

- To prawda, czuję się osobiście dotknięty, kiedy kobieta mi odmawia. Siadaj, dziewczyno. Zaprosilem parę osób, z którymi może będziesz chciała się zobaczyć.

Uśmiech na twarzy Curtisa był pierwszym ostrzeżeniem. Jego oczy, wąskie i bezduszne jak u węża, nabrały jednocześnie bar-

36

wy ciemnoszarej. McCall spojrziała za siebie, nie była na to przygotowana. A powinna.

Zobaczyła swego ojca, wysokiego mężczyznę o siwiejących włosach i dziwnych, niebieskozielonych oczach, które po nim odziedziczyła. W przeciwieństwie do zbyt rażącego blasku Curtisa elegancja jej ojca była niewymuszona. Jak zawsze ubrany był tradycyjnie - marynarka ze skórzanymi łatami na łokciach i okulary w drucianej oprawce. Przechodząc między krzesłami i stolikami z kutego żelaza, sprawiał wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, takiego zresztą jak zawsze. Na dodatek patrzył na wszystkich, tylko nie na McCall.

Tuż za nim szła Belinda, jej młodsza siostra. Szła tanecznym krokiem jak przystało na osobę przez wiele lat pobierającą lekcje baletu. Proste włosy blond miała uczesane w kok; kurczowo ścisnęła ramię Rogera Clarke'a. Typowa zakochana po uszy kobieta. Roger Ciarke, syn Curtisa Ciarke'a, człowiek, którego również podejrzewała o morderstwo.

McCall usiadła. Nie dlatego, że tego chciała, ale dlatego, że musiała. Wczoraj widziała ich na pogrzebie, siostrę i ojca. Nie rozmawiała ani z nią, ani z nim. Zamienili najwyżej parę słów, pierwszych od czterech lat, to znaczy od dnia, w którym doktor Donald Sayer, jej ojciec i mentor, zażądał, aby wyniosła się z domu. Nawet kiedy w ostatnich tygodniach odwiedzała matkę, Belinda i ojciec przezornie byli nieobecni. Na pogrzebie zaś, gdy tylko zrobiła dwa kroki w ich kierunku, ojciec pośpiesznie wyprowadził Belinę z cmentarza.

Wszystkiemu winien był Curtis, który wmówił Donaldowi, że jego rodzona córka dopuściła się czynów karygodnych. McCall nakazała sobie zachowanie spokoju. W przeszłości jej największą wadą była arogancja, teraz ślepy gniew. W duszy McCall aż się gotowało od emocji. Jej jedynym pragnieniem było zetrzeć w proch obu mężczyzn, których obarczała winą za śmierć jej partnerki i za rozłąkę z rodziną. Wiedziała jednak, że złość może jej tylko zaszkodzić; jest równie osłabiająca jak arogancja w grze, do której czuła się źle przygotowana, ale w której musiała wziąć udział.

- Proszę, proszę - powiedziała niemal szeptem. - Czy to znaczy, że zarządziłeś rodzinne pojednanie?

- Jak wiesz, mam dużo do powiedzenia odnośnie tego, co twój ojciec robi lub czego nie robi. - Urzekająca intonacja przeciąga-

nych sylab wyrażała zachętę do zgody, o którą nader często błagała w swojej duszy. - Jeśli chodzi o mnie, twój ojciec zgodził się przynajmniej cię wysłuchać. Powiedziałem mu, że był dla ciebie trochę za surowy i niepotrzebnie cię wyrzucił, bo nie mieliśmy stuprocentowych dowodów, że popełniłaś te wszystkie okropne rzeczy. Przypuszczam, że zechce dać ci jeszcze jedną szansę.

Nie dlatego, że jest jego córką. Po prostu kazał mu to zrobić Curtis, jego szef.

McCall wstała z krzesła.

- Tato - powiedziała. Miała wrażenie, że te lata rozłąki minęły bez śladu. Chciała mu zarzucić ramiona na szyję. Chciała razem z nim oplakać śmierć matki, poczuć jego serdeczny uścisk, jakim obdarzał ją w przeszłości, kiedy była małą dziewczynką, a on jeszcze w nią wierzył. Ale ojciec nie podszedł na tyle blisko, aby ją przytulić.

- Witaj, McCall - powiedział miękko głosem wolnym od tonów potępienia, których się spodziewała.

- Znasz już radosną nowinę? - spytał Curtis, nie fatygując się, żeby wstać od stolika. - Roger i Belinda się zaręczyli.

McCall nie zareagowała. Wiedziała, że Curtis chciał ją wystawić na próbę, przycisnąć do muru i podrażnić jak zwierzątko doświadczalne. Starła się nie okazać tego, ale słowa Curtisa zadudniły echem w jej głowie niczym wystrzał z karabinu.

Belinda zaręczyła się z mordercą. Od trzydziestu lat Curtis Ciarke trzymał jej ojca w śmiertelnych kleszczach. Teraz zatapiał szpony także w jej młodszej siostrze.

McCall obróciła wzrok na Belinę. Siostra wyglądała pięknie. Miała bladą cerę i była wiotka. Niezwykle krucha. Nawet sukienka, którą nosiła, była bardzo cienka, krótka i półprzezroczysta, a jej wąskie ramiączka wpijały się w delikatną skórę dziewczyny.

Roger przysunął narzeczonej krzesło, a potem usiadł między nią a Curtisem Clarke'em. Roger był najwspanialszym dziełem swego ojca. Wszystko, co Curtis usiłował zrobić ze sobą za pomocą kosmetyków i prywatnych nauczycieli, w sposób naturalny przeszło na jego jedynego potomka. Grube rysy Curtisa u Rogera zlagodniały. Był jakieś piętnaście centymetrów wyższy od swego ojca i zbudowany niczym triatlonista. Kręcone, brązowe włosy rozjaśniały wyłoczone słońcem blond loki, a regularny układ rysów jego twarzy mógłby przyprowadzić niejednego supermodela o atak zazdrości. Tylko oczy pozostały takie same - szare, chytre, z odcieniem podłości.

34

- Kawał sukinsyna z ciebie, tato - powiedział Roger z identyczną muzyczną intonacją rdzennego Południowca. -

Mówiłem, że to spotkanie nie ma sensu. - Spojrzał na McCall, szczerząc zęby z tym swoim niewiarygodnym urokiem. - Wybacz, złotko.

McCall zignorowała Rogera.

- Belinda. Miło mi cię widzieć.
- Doprawdy? - zdziwiła się siostra. W jej błękitnych oczach pojawiły się zamglone błyski.
- Siedź prosto, Belindo - szepnął Donald Sayer. Nie wiadomo, czy zrobił to celowo, w każdym razie przyganę w jego głosie usłyszeli wszyscy siedzący przy stole.

Belinda przestała się garbić i oparła leniwie na ramieniu Rogera. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z ojca.

- Zamów mi coś, kochanie - szepnęła do narzeczonego.

Jej słowa zabrzmiały nieco belkotliwie, w ruchach Belindy zaś dała się zauważyć dziwna ociężałość. McCall doszła do wniosku, że Belinda jest pijana. Słońce stoi w zenicie, a jej zaledwie dwudziestojednoletnia siostrzyczka jest pijana.

Dopiero wczoraj pochowały matkę, kobietę, która zmarła na skutek alkoholizmu.

McCall spoglądała na drugi koniec stołu. Curtis czekał z porozumiewawczym uśmiechem; jego rozpisana na rolę zagrywka, mająca na celu odebranie McCall odwagi, odniosła duży sukces. Roger bawił się palcami Belindy, obracając do światła pierścioneł narzeczonej z wielkim, owalnym brylantem. Jej ojciec również jakby wyczekiwał, że córka potrafi nagle wyjaśnić długie lata jego wątpliwości

McCall podniosła się z krzesła. Emocje targaly nią z dzikim szaleem automatów do gry. Chciała porozmawiać z ojcem szczerze, nie odgrywając komedii dla wielkiego Curtisa Clarke'a. Czula się osaczona i nerwowo zerkala na zegarek, szukając w myślach jakiejś wymówki. Nie mogła już stać ani chwili dłużej z obnażonym sercem, czekając, aż Curtis weźmie ją na cel i posunie się do najgorszego.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. Znalazła drogę wyjścia, oddając pierwszą rundę Curtisowi. - Gdybym wiedziała, że to będzie rodzinny zjazd, przelożyłabym moje następne spotkanie.

Curtis rzucił na stół telefon komórkowy.

- Więc je odwołaj.

- Już 2a późno - odparła, usuwając się do tyłu, ponieważ te słowa były tylko pretekstem i wszyscy to wiedzieli. - Czekam na

rychłą wiadomość od ciebie - powiedziała do Curtisa. - Tato, Belinda. Wspaniale było was znowu zobaczyć. McCall odeszła najszybciej, jak mogła, z trudem powstrzymując się od pobiegnięcia. Na ulicy zatrzymała taksówkę. Miała szczęście, że kierowca akurat skręcał w tę ulicę. Pochyliła się i z zapartym tchem podała adres. Rzuciła aktówkę na podłogę i klapnęła na siedzenie. Małymi, okrężnymi ruchami pocierała skronie koniuszkami palców. Zawsze tak będzie, ostrzegala siebie. Curtis zawsze będzie trzymał w zanadrzu jakąś sztuczkę, żeby podstawić jej nogę, żeby ją zdeprymować i zmusić do odsłonięcia kart. Nie może mu na to pozwolić. Nie może.

Odszukała w torebce aspirynę i przelknęła dwie tabletki bez popijania. Ból głowy przypominał uderzenie siekierą w czaszkę, a potęgowała go wizja ojca, który ją obserwuje i czeka, aż córka przybiegnie z wyjaśnieniem, zacierającym długie lata jego obaw i wątpliwości. Belinda pijana. Zaręczona z Rogerem Clarke'em.

- Belindo - szepnęła. - Jak mogłaś dać taką plamę?

Cztery lata nieobecności sprawiły, że McCall wiedziała bardzo mało o swojej młodszej siostrze. Dziewczyna ściskająca kurczowo łokieć Rogera mogła być teraz kimkolwiek. Kto wie, czy największym wyrzutem sumienia McCall nie było to, że również Belinda mogła stać się ofiarą. Że nie było przy niej starszej siostry, kiedy jej potrzebowała.

McCall wyglądała przez okno, obserwując ulice wypełnione tłumem turystów i kolorowe witryny sklepów Dzielnicy Francuskiej. Miała przed oczami twarz bladej i wychudzonej matki, która na łożu śmierci odważyła się wezwać czarną owcę rodziny, aby się z nią pożegnać. Ale tamci zbyt długo zwlekali z powiadomieniem wyrodnej córki o chorobie matki. Pozostały jej tylko trzy tygodnie życia.

McCall przyciskała policzek do okna. Ciężko dysząc, rozpamiętywała te ostatnie dni. Tak bardzo pragnęła, aby na powrót stali się kochającą rodziną. W końcu jednak wróciła tylko po to, aby być świadkiem śmierci matki.

- Powinam była mu się przeciwstawić - szeptała matka łagodnym głosem, który odziedziczyła po przodkach wraz z majątkiem. - Powinam była mu powiedzieć, że źle postąpił, odpędzając cię tak brutalnie, bez względu na to, co być może uczyniłaś.

McCall z uśmiechem wspominała te słowa. Wyraźnie dowo-

40

dziły, że i matka wierzyła w zarzuty stawiane córce. Ale to nie miało żadnego znaczenia, wtedy już nie. Nie upadła tak nisko, aby przy łożu boleści swojej matki, nie zważając na rurki z tlenem tkwiące w jej nosie i stojący obok aparat do kroplówki, zapewnić gorączkowo o swojej niewinności. Lucinda Sayer ledwo zdołała uścisnąć jej dłoń, gdzież by mogła

polapać się w skomplikowanych wyjaśnieniach na temat przeszłości. McCall cieszyła się, że w ogóle zdążyła matkę zobaczyć, że miała okazję z nią porozmawiać i raz jeszcze mocno ją przytulić.

Pamiętała, że w pewnym momencie matka odwróciła wzrok, a na jej twarzy odmalował się przejmujący ból.

- Porzuciłam moje dziewczynki. Najpierw pozwoliłam mu wypędzić ciebie, a potem oddałam mu Belinę - powiedziała matka zdławionym głosem. - Pozwoliłam mu ją sobie odebrać, aby zajęła twoje miejsce, bo tak strasznie za tobą tęsknił....

- Mamo, proszę. Staraj się nie denerwować.

- Nie jestem taka zdolna jak ty i twój ojciec, McCall. Ale umiem kochać. Moja zbrodnia polega na tym, że jego kochałam bardziej niż własne córki. - Po tych słowach matka rozplynęła się we łzach; był to widok bolesny i budzący współczucie.

- Źle zrobiłam. To było wbrew naturze. A teraz Bóg mnie za to ukarał.

- Ciii, mamo! - McCall pogładziła pożąłkłą skórę na ręku matki, nie będąc w stanie słuchać tego dalej. - Wróciłam do ciebie. Jestem przy tobie.

- Ale ty to rozumiesz, prawda, kochanie? Wiesz, jaki ojciec potrafi być wspaniały, jaki oślepiający blask bije od jego miłości, kiedy ci ją daje?

McCall skinęła głową, ponieważ doskonale to rozumiała. Przez wiele lat znajdowała się w samym centrum tej oślepiającej uwagi.

- Tak, wiem.

- On nas kocha, na pewno kocha. Tylko że to taki twardy człowiek. Nie pozwala sobie na żadną słabość. Z czasem może cię za nią znienawidzić. - Matka potrząsnęła głową. - A teraz ja znalazłam się tutajsi wpędzam się do grobu wskutek mojej własnej słabości. Zosta%ikłm ciebie i Belinę same na świecie. Wybacz mi. Wybacz.

McCall trzymała matkę za rękę, pozwalając jej się wypłakać. Uważała, by nie zadrapać przezroczystej skóry ani nie poruszyć kroplówki. Zapewniała matkę, że nie ma czego przebaczać, że nie ma do niej żalu, Zbyt dużo własnych przewin chowała w sercu. Nie było w nim już miejsca na grzechy matki.

McCall wyglądała przez okno taksówki, odpędzając bolesne wspomnienia. Powiedziała sobie, że nie może jej już spotkać nic gorszego... nic nie może sprawić większego bólu. Nie zrezygnuje. Będzie Walczyła z Curtisem i jego synem o odzyskanie rodziny. Ale w jej głowie nadal pobrzmiwały słowa matki: Zostawiam cię samą na świecie.

Sama na świecie. Nagle McCall poczuła się strasznie osamotniona.

Nie wiadomo skąd przed jej oczami pojawiła się nagle twarz skauta. Przypomniała sobie jego pocałunki, takie namiętne... Jego dotyk, taki delikatny, jakby była dla niego jakimś hojnym darem, którym można się rozkoszować. Żaden mężczyzna nie dotykał jej w ten sposób. W minionych latach wędrowała od jednego kasyna do drugiego, a mężczyźni przysiadali się, aby odciągnąć ją od stolika. Czasami zwabiały ich przebrania, jakie sobie wybierała, ale stwarzali niepotrzebne utrudnienia.

Ze skautem było inaczej. Zachowywał się tak, jakby działał pod przymusem, broniąc się ze wszystkich sił, by nie ulec dziwnemu pragnieniu dotknięcia jej ciała. Odezwania się do niej. Przebywania blisko niej. Przypomniała sobie wyraz życzliwości na jego twarzy i trud, z jakim starał się wpakować ją do taksówki trzeźwą, zanim zrobi coś, czego będzie żałowała. I te urocze tajemnice, którymi nafaszerował jej umysł, pozostawione bez odpowiedzi pytania na temat byłych żon i eleganckiego mieszkania... Nic z tego nie pasowało do etykiety, którą mu przykleiła. Etykiety skauta.

- Zmieniłam zamiar - powiedziała do kierowcy. - Jedziemy do hotelu River Palace.

Dino kartkował czasopismo ze zdjęciem rozneglizowanej su-permodelki na okładce.

- Hej, Jake. Jak myślisz, dlaczego artykuły w kobiecych magazynach są dużo ciekawsze niż w męskich? Posłuchaj tylko. „Tajniki miłości erotycznej wprost z Orientu” - czytał na głos. - „Doświadczone kobiety omawiają technikę wielokrotnego orgazmu”. - Szukasz jakichś porad? - spytał ironicznie Jake. Przeglądał właśnie nocny utarg, który Dino wyliczył na podstawie kwitów z poszczególnych stolików. Stolik Barta odnotował poważną stratę. I to już nie pierwszy raz.

- Hej, jestem Grekiem. Nie trzeba mi żadnych porad. - Dino przycisnął rękę do swoich wybrylantynowanych włosów, ale zu-

38

pełnie niepotrzebnie, ani jedno pasemko nie wylamało się z szeregu. Dzisiaj Dino miał na sobie czarne dżinsy i czarną kurtkę lotniczą, założoną na czarny podkoszulek. Jake śmiał się w duchu, że Grekowi brakuje tylko peleryny i maski, aby wziąć się do wycinania litery Z na drzwiach swoich wrogów. - Chciałem tylko powiedzieć, że to ciekawa lektura, rozumiesz?

Jake zerknął na naklejkę z adresem, z którego wynikało, że czasopismo należało do niejkiej Susan Donovan.

- Ty i Susan często się ostatnio widujecie.

- Przeszkadza ci to?

Jake odłożył kwity; czuł na sobie baczne spojrzenie Dina.

- Co? Potrzebne ci moje błogosławieństwo na przystawianie się do mojej bylej żony? - spytał, robiąc przesadnie zamaszysty znak krzyża. - Więc idź z Bogiem, mój synu.

Dino przerzucił stronicę ze skwaszoną miną.

- Ze mną i Suzy sprawy tak nie wyglądają. Po prostu chcę się załapać do jej biznesu. I uwierz mi, wejść do niego będzie dużo trudniej, niż wskoczyć do jej łóżka. Przecież wiesz, że to pirania, jeśli chodzi o tę całą agencję detektywistyczną - odparł Dino, potrząsając głową. Podniósł czasopismo do oczu i przyglądał się reklamie perfum. Naga kobieta zakrywała dłońmi miejsca strategiczne niczym dziewczyna miesiąca na jakiejś rozkładówce. - Boże, uchronń mnie przed samodzielnymi kobietami.

- Plan A nie idzie dobrze?

Od roku Dino pomagał Susan w prowadzeniu agencji. Z jego relacji wynikało, że zaintrygowany powodzeniem Susan, mając trochę oszczędności... Jednym słowem, zastanawiał się ostatnio nad złożeniem jej propozycji, aby przyjęła go do interesu. Na wspólnika. Przecież nie zamierzał całe życie pracować jako porządkowy w kasynie. Ale Jake coraz częściej widywał ich razem. W głowach Dina i Susan siedziało coś więcej niż tylko wspólny interes.

- Chyba żartujesz? - zdziwił się Dino. - Całkiem Suzy zbaje-rowałem. Staję się niezastąpiony z moją smykalką do mechaniki i znajomością tego elektrycznego chlamu. Zanim się spostrzeże, nie będzie się mogła beze mnie obyć. Dowód A - żeby użyć słownictwa zrozumiałego dla prawników - wczoraj wieczorem przyjeżdża po mnie do kasyna. Chce, żebym jej pomógł przy tym nowym systemie alarmowym. Bingo. Dziś rano zaimponowałem jej jak diabli. Plan A jest tak jakby wykonany, brachu. A propos, zauważyła, że opuściłeś kasyno w towarzystwie tej Madam X.

Leżące na stole kwity wzbudziły raptem nader wielkie zainteresowanie Jake'a. Skupił się na przychodach kasyna, robiąc notatki i wpisując rozmaite kwoty do odpowiednich rubryk.

Ale Dino nie należał do osób, które łatwo się poddają.

- Poprowadziłeś Madam X taki kawał drogi na górę i mam uwierzyć, że się z nią nie przespaleś?

Jake podniósł wzrok znad papierów. Nie wspominał przecież ani słowem, że wziął Mac do siebie.

Dino wyszczerzył zęby i pokiwał głową w stronę barku. W kolejce do zmywarki czekały dwa kubki po kawie. Na brzegu jednego widać było ślady szminki.

- Dość tych głupot, Dino - rzucił Jake. Był jednak pod wrażeniem. Może Dino faktycznie miał zacięcie do tej tajniackiej roboty? Postukał wymownie w kwity ze stolika Barta. - Co z tym zrobimy?

Dino wzruszył ramionami.

- Krupier musi klientów zabawiać. Obaj to wiemy. Bo inaczej tyle w tym hazardu, co w rozdawaniu kart gdzieś na środku Sahary. A co do Barta, no cóż, od kiedy chodzi do tych Anonimowych Alkoholików... Spójrzmy prawdzie w oczy. Facet robi się nudny jak diabli. Czasami mam ochotę sprawdzić, czy w ogóle jeszcze oddycha.

Jake skinął głową.

- Pogadam z nim.

- Robiłeś to tydzień temu.

- To sam z nim pogadaj.

- Robiłem to tydzień temu.

Wymienili spojrzenia. Tropedis trzymał wykalczkę w ustach i manewrował nią z jednego kącika w drugi.

- Nie wyrzuca się kogoś tylko dlatego, że próbuje złożyć do kupy swoje życie - zauważył Jake. - On ma rodzinę, na litość boską. Lepiej mu się wiedzie, odkąd nie pije.

- Więc powiedz Garrettowi, że Bart to ciężki przypadek filantropii, a przekonasz się, co z tego wyniknie

Garrett Renault był właścicielem **Royal Palace**, on oraz grupa różnych inwestorów, z których najważniejszym był jego dziadek. Nie trzeba dodawać, że to właśnie Garrett zarządzał wszystkim. Był młody, skończył dopiero trzydzieści lat, i pobłażliwy dla siebie. Stanowczo jednak nie miał skłonności do filantropii.

- Mam lepsze rozwiązanie. Mógłbyś spędzić trochę czasu przy jego stoliku. Jesteś niedościgniony, Dino. Umiesz człowieka rozbawić.

40

- Jestem porządkowym, a nie tresowaną foką. Jake puścił do niego oko.

- Wstawię się za tobą u Susan.

- Idziesz fałszywym tropem. Dostałem cynk z najlepszego źródła, że ktoś już przemówił do serca tej kobiety.

- Miałem na myśli interesy - bąknął Jake, ale natychmiast poszedł za ciosem i dodał: - Susan spotyka się z kimś? Pierwsze słyszę.

- Tak? Cóż, może się boi, że go nie zaakceptujesz.

Zanim zdążył skomentować tajemniczą uwagę Dina, rozległ się dzwonek. Jake wstał i ruszył do w stronę drzwi. Pogroził przyjacielowi palcem i oznajmił:

- Będziesz się musiał z tego wytłumaczyć.

Dodał w duchu, że przecież wiedziałby, czy Susan ma kogoś. Wiele razem przeszli, osiem lat małżeństwa, rozwód w czasie kiedy przepuszczała spadek po matce, starając się przeboleć jej samobójstwo, a nawet nieudane pojednanie sprzed kilku lat. Teraz byli dobrymi przyjaciółmi. Dawniej stale znajdowała się w pobliżu, pomagając mu uporać się z tą diablicą Hope, jego drugą żoną.

Jake chwycił za gałkę, zastanawiając się, czy mógł popełnić błąd w sprawie fuzji termojądrowej, jaka na jego oczach rozpalala się między Susan a Dinem. Kiedy otworzył drzwi, myślami był gdzie indziej, zastanawiając się nad Susan... nad Bartem i jego kwitami. Wszystko stało się nieważne w chwili, kiedy ją zobaczył.

Na progu stała Mac w własnej osobie i czekała na jego reakcję.

Powinien czuć się zaskoczony. Doktor McCall Elizabeth Sayer, tajemnicza przesyłka za drzwiami do apartamentu numer trzy. Ale się nie czuł. Nie zaskoczył go również ani przyspieszony puls, ani fakt, że nie może powstrzymać głupiego uśmiechu na twarzy. Myślał o niej cały ranek. Słodka obsesja. Tak czuł, że noc nie była końcem tej historii.

- Mam dwa pytania - oznajmiła Mac. - Kto dekorował ten apartament oraz ile masz tych byłych żon?

Jake otworzył szerzej drzwi i oparł się o nie plecami, krzyżując ramiona na piersiach. Była z niej naprawdę ładna babka, jeszcze wspanialsza w plisowanej spódnicy i tej przezroczystej bluzce, która pokazywała, w co Pan Bóg musiał włożyć dodatkowy wysilek. Włosy uczesane w spiralne loczki muskały ją delikatnie za uszami. W tej fryzurze wyglądała naturalnie. Tak zwyczajnie. Zadawał sobie tylko pytanie, jak mogła się tak kompletnie zmienić w ciągu jednej nocy.

- Proszę wejść, pani doktor Sayer - powiedział, zapraszając ją gestem ręki. - Dino właśnie wychodził.
- Już mnie nie ma. Pani doktor, he? - spytał Dino. Stał obok wejścia i uśmiechał się całą gębą. Przygotowywał się do roztoczenia wdzięku Tropedisów. - Jeśli można, pani doktor, mam takie dziwne bóle w okolicy...
- Skoro naprawdę idziesz pieszko, Dino - powiedział Jake, pokazując na zegarek - to możesz nie zdążyć na to spotkanie.
- Na spotkanie? Ach, tak. Na to spotkanie. - Dino strzelił palcami, jak gdyby nagle sobie przypomniał. Wyszedł na korytarz, ale zatrzymał się, machając czasopismem nad głową McCall. - Zostawić ci ten artykułek? - spytał z uśmiechem.
- Później pogadamy - warknął Jake. Wciągnął Mac do środka, zatraskując drzwi przed nosem Dina.
Następnie odwrócił się do Mac. Musi się pilnować. Dino miał rację. Jest frajerem, jeśli chodzi o kobiety pokroju Mac, a już w ogóle nie rozpoznaje symptomów zaangażowania do końca życia. Ta kobieta miała do końca życia wypisane na całej sobie. Na stoliku do kawy po prawej stronie Mac leżały papiery, które zostawiła wczoraj wieczorem, z artykułem o feromonach jej autorstwa. Jake ostrożnie wciągnął powietrze do płuc, wdychając zapach tych samych egzotycznych perfum, który wczoraj doprowadził go do szaleństwa. - Siadaj, Mac. Tak się składa, że ja też mam kilka pytań.

4

- Nie chciałam wystraszyć twojego znajomego - powiedziała.
- Nie wystraszyłaś. - Później Dino, prywatny detektyw marzyciel, z pewnością weźmie go w obroty, ale Jake kichał na to. Małe przesłuchanie było niską ceną za możliwość spotkania z Mac, zwłaszcza jeśli ona również zdawała sobie sprawę z tego, że wczoraj o mało nie doszło między nimi do czegoś absolutnie wyjątkowego. - Pracuję z Diñem w kasynie. Dino pełni dwie funkcje, porządkowego na sali i zastępcy kierownika zmiany. Załatwiliśmy, co mieliśmy do załatwienia. Obserwował, jak Mac przemierza pokój i z niepewną miną wkła-

46

da okulary słoneczne do torebki, która mogła uchodzić za kuferek z drugim śniadaniem. Naprawdę fantastycznie się poruszała, właściwie nie był to kaczy chód, ale wystarczająco rozkołysany, by działać na wyobraźnię. Jake dałby głowę, że nie wytrenowała tego chodu na studiach podyplomowych, zgłębiając tajemnice genetyki. Nie, doszedł do wniosku, że to musiało nastąpić w ciągu dwu ostatnich lat życia McCall Sayer, spędzonych pod najrozmaitszymi maskami przy stolikach do gry w oczko.

Mac usadowiła się na kanapie i skrzyżowała zgrabne nogi. Jake czuł zapach jej perfum, tę szczególną woń, która kojarzyła mu się z jaśminem i jakimiś egzotycznymi przyprawami. Przypomniał sobie słowa Dina na temat feromonów. Dodają je

do perfum i tego całego chlamu. Potrząsnął głową z nadzieją, że uwolni się od tego, jeśli uwierzy, że Mac aplikuje mu eliksir miłości.

Pokazał na torebkę w kształcie kufereka.

- Czy to najnowszy krzyk mody, czy mam ci dać coś do popicia drugiego śniadania, które w nim przyniosłaś?

Mac spojrzała na kuferek i uśmiechnęła się.

- Komiczny z ciebie facet.

- Na ogół zarzucają mi brak poczucia humoru. Propozycja czegoś do picia pozostaje aktualna.

- Nie jestem spragniona. - Mac odgarnęła grzywkę z czoła, kiedy Jake sadowił na kanapie naprzeciw niej. Miała bardzo bujne włosy. Zastanawiał się, w jaki sposób udawało się jej upchnąć wszystkie pod peruką. - Powinnam cię chyba przeprosić za wczorajszy wieczór. Byłeś naprawdę słodki- Jasne. - Oto cały on, pieprzony rycerz-w-błyszczącej-zbroi. - Dzięki za różę.

Rozchyliła usta w iście filuternym uśmiechu.

- Gwizdnęłam ją z tacy ze śniadaniem sprzed drzwi twojego sąsiada.

- Pomysłowa z ciebie damulka. - Jake odchylił się do tyłu, opierając ręce na zagłówku niskiej kanapy. Podziwiał przemianę Mac, jej wyglądu, uczesania i stroju. Rodziło to wiele pytań, ale Jake umiał odczytywać język ciała, uczył się tego przez wiele lat wybierania składu ławy przysięgłych. Mac sprawiała wrażenie podenerwowanej. Być może szykowała się do ucieczki, żalując, że uległa impulsowi, który ją tu sprowadził.

- No, chcesz zagrać w prawdę czy wyzwanie? - powiedział, nawiązując do pytań Mac, kiedy pierwszy raz otworzył przed nią

drzwi. Równie dobrze jak Dino znalazł zasadę numer jeden: aby utrzymać klientów przy stole, krupier musi dostarczyć im rozrywkę. - Mam dwie byłe żony - oznajmił, odpowiadając na pierwsze pytanie. - Może to i nie harem, ale czystego konta także nie mam.

- A jedna z nich była dekoratorką wnętrz? Potrząsnął głową.

- To było kiedyś gniazdo miłości Garretta Ranaulta. Garrett jest właścicielem hotelu oraz kasyna. Aktualna szczęściara dostawała zawsze wolną rękę, jeśli chodzi o wystrój. Tylko obecna posiadaczka tego tytułu ma nieco więcej klasy. Nie skorzystała z jego oferty, aby tu zamieszkać. Ma własną chatę. - Jake wzruszył ramionami. - Garrett zaproponował mi ten apartament jako rodzaj premii. Pomyślałem, że to nie potrwa długo, ale ciągnie się już prawie cztery lata.

- Nie odcisnąłeś tu większego śladu - stwierdziła. - Oprócz tego krowiego czajniczka, ma się rozumieć.

- Właściwie to Czajniczkowa krowa - uśmiechnął się. - Na pudełku było napisane, że jest „wymiątkowo prześliczna”. - Mac jęknęła, a wtedy dodał: - To prezent. Dinowi nie brakuje także poczucia humoru. - Jake miał na tyle rozsądku, że sam nie zadawał na razie żadnych pytań. Na pewno usiłowała udawać obojętność, ale widać było, że siedzi na skraju kanapy gotowa do natychmiastowej ucieczki. Nie chcąc jej wystraszyć, zaczął od innej strony. - Teraz kolej na ciebie. Co zamierzasz ze sobą zrobić, mając szła-han na wejście do każdego kasyna w promieniu dwóch stanów?

Jego złośliwość nie odniosła zamierzonego skutku. Mac skrzywiła się, jakby Jake przypomniał jej o czymś niezbyt przyjemnym.

- Tak się składa, że miałam dziś rozmowę w sprawie pracy.

- I nie poszło za dobrze?

- Przeciwnie. Dostanę tę posadę. - Mac odwróciła wzrok. Najwyraźniej chciała na tym poprzestać. Jake nie potrafił odgadnąć, czy usiłowała stworzyć aurę tajemniczości, czy też istotnie miała coś do ukrycia. - Może to nie był taki dobry pomysł. - Wstała, zaskakując Jake'a. - Dziękuję, że wytrzymałeś ze mną wczorajszej nocy.

Zerwał się z kanapy i zagroził jej drogę.

- To żaden kłopot. Siadaj. Przyniosę ci napój z imbirem.

- Już mówiłam - nie chce mi się pić. Próbowала go ominąć, ale złapał ją za rękę.

- Więc może powinnaś wypić tego cholernego drinka, żeby

44

być bardziej towarzyska. Przecież nie po to przyszedł, żeby mi podziękować, a potem się urwać, a więc siadaj, proszę.

Patrzyła na niego niewiarygodnie zielonymi oczami, maleńki krążek błękitu prawie zupełnie zniknął. Mógłby przysiąc, że w nocy oczy miała bardziej niebieskie niż zielone.

- Ostrożnie - powiedziała, patrząc na dłoń Jake'a zaciśniętą na jej nadgarstku. - Mam kuferek na drugie śniadanie. I umiem z niego skorzystać. - Jake wyciągnął ręce na znak kapitulacji i usunął się na bok, ale Mac nie ruszyła się z miejsca, najwyraźniej zastanawiała się, co dalej. Potrząsnęła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co robi. Wreszcie usiadła z powrotem na kanapie, wyraźnie mniej spięta. - Czy mogłabym dostać również trochę lodu? Mam taką słabość, lubię ssać lód.

- Potrafię sobie wyobrazić gorsze rzeczy, Mac.

- McCall - poprawiła go. - Mógłbyś przynajmniej wyświadczyć mi tę uprzejmość i używać mego prawdziwego imienia.

- A co byłoby w tym śmiesznego? - zapytał Jake, wyraźnie dając do zrozumienia, że ten przydomek pozostanie.

Kiedy wrócił do salonu, niosąc piwo corona dla siebie i napój imbirowy dla gościa, Mac trzymała w ręku to samo zdjęcie Michaela na huśtawce.

- Jedna z haremu byłych żon? - spytała, odkładając na kanapę zdjęcie Michaela i jego matki.

- Była żona numer dwa. Mój ostatni wypad w stan małżeńskiego szczęścia.

- Opowiedz mi o tym.

- Wolisz prawdę czy fantazję? Oto kobieta, która uwielbia grać.

- Zależy w co.

- Bardzo prowokacyjne. To mi się podoba. Może więc fantazja.

- Prawda, skaucie. Przydałoby mi się dzisiaj trochę prawdy.

I to było wszystko, co miała do powiedzenia na swój temat. Było w niej jakieś napięcie, jakaś ogromna koncentracja. Wydawała się zbyt sztywna jak na kobietę, która szuka łatwej przygody. Potrafiła świetnie udawać, wkładała te swoje przebrania i natychmiast zmieniała tożsamość.... ale to był tylko krótkotrwały występ. W końcu ujawni się prawdziwa Mac. Odnosił wrażenie, że już zaczynał ją poznawać, kobietę, która żąda od drugiego człowieka, nawet od obcego, prawdy.

- Właśnie podpisałem papiery rozwodowe, które przysłała mi Susan - oznajmił. - To była żona numer jeden, dla jasności.

- Zawrotne tempo, nie ma co.
- Właściwie już od dwóch lat byliśmy w separacji. Więc kiedy przyszły te papiery, zdaje się, że Susan akurat przebywała na Alasce. Podziwiała piękno lodowców. Poszedłem więc do miejscowego baru, żeby się zalać do nieprzytomności. No wiesz, dla uczczenia, że mam totalnie porąbane życie. Zanim się spostrzegłem, już nie byłem sam.
- To mnie akurat nie dziwi.
- Zgoda, chyba sam szukałem kłopotów. - Jake upił trochę piwa z butelki. - I znalazłem je w tej oto osobie - westchnął, kiwając głową w stronę fotografii. - Ta urocza damulka siadła na sąsiednim stolku, zaczęliśmy ciągnąć tequilę, rozprawiać o naszych złamanych sercach. Okazało się, że od siedmiu lat spotykała się z żonatym facetem. Niestety, przecucie, że jej biologiczny zegar tyka już niczym bomba z opóźnionym zapłonem, kazało jej powiedzieć, by gość wybierał - albo ona, albo żona.
- Wybrał żonę?
- Stąd nocna popijawa w miejscowej spelunie. - Uśmiechnął się ze zdziwieniem, że aż tyle ujawnił. Ale może było to wykal-kulowane. Ja pokażę ci moje; ty pokażesz mi twoje. Mniej więcej w tym momencie zapytałem ją o imię. Patrzy na mnie i mówi: „Hope”*. - Potrząsnął głową. - Wyobrażasz sobie? Hope.
- Wierzysz w znaki?
- Po butelce José Cuervo było to jak zielone światło na skrzyżowaniu. A potem jeden dziurawy kondom i w rezultacie przelotnego romansu zostaję tatusiem. Pytam więc, czy człowiek zdoła wygrać z takim fartem? - Może niektóre rzeczy są człowiekowi sądzone - stwierdziła Mac z absolutną powagą.
- Cóż, no wiesz, Mac. Tak właśnie sądziłem. Toteż ożeniłem się z nią i urodził nam się Michael.
- Mac wypila łyk napoju imbirowego. Jake starał się nie patrzeć na jej wargi, kiedy wkładała do ust kostkę lodu, a potem zaczęła ją ssać. Robił, co mógł, by odpędzić skojarzenia.
- Mac odstawiła szklanę.
- *Hope - nadzieja (przyp. tłum.).

50

- Kolejna damulka w niedoli - powiedziała. Była zdumiewająco blisko wygłoszenia Klątwy Donovana. - Nic dziwnego, że pękasz przed pijanymi kobietami.
- Pękam, owszem. Ale łatwo daje się nabierać. Uśmiechnęła się na tę myśl.
- Załóżę się, że jesteś tatusiem, który zmienia pieluszki.

- I to bynajmniej nie te jednorazówki. Hope upierała się przy prawdziwych: tetrowych z wkładkami bio, żeby jego pupcia mogła oddychać. - Jake pociągnął następny łyk. - W tych czasach wracałem z pracy bardzo późno. Micheal leżał w kojcu i czekał na swoją butelkę. Do mnie należało karmienie nocne, żeby Hope mogła się trochę przespać. Przysysał się do tego odciągniętego mleka, jakby to była najśłodsza rzecz na świecie. Raz sam nawet tego spróbowałem. Żeby się przekonać, co w tym takiego niesamowitego.

- No i co?

Jake wzruszył ramionami.

- Nie odbiło mi się. - Obrócił butelkę piwa w dłoniach i przyglądał jej się uważnie. - To były czasy - westchnął, wracając myślą do minionej przeszłości.

- Co się stało? - spytała niemal delikatnie. Jej głos zdradzał kobietę znającą poczucie straty czegoś, co się kocha. - Okazało się, że byłem tylko pretekstem, którego potrzebował stary Dickey Harper, aby odejść od żony. Facet wrócił i błagał Hope, żeby dała mu jeszcze jedną szansę, machając jej przed nosem papierami rozwodowymi. Teraz mam Michaela tylko w weekendy.

- Nie kochała cię?

- Hope i ja byliśmy razem z powodu Michaela. Miała trzydzieści dziewięć lat. Zaszła w ciążę i chciała urodzić to dziecko. Sam też tego chciałem. I kochaliśmy je. Jeśli chodzi o nas, wszystko skończyłoby się zapewne na tej jednej nocy. - Tak naprawdę on się wcale nie nazywa Dickey*, mam rację? - spytała z niewinnym uśmiechem. - Ach, Dickey, jak najbardziej. Ona tak do niego mówi, a on reaguje na to imię. Nawet Michael zwraca się do niego per Dickey. Co do mnie, przez kilka lat nazywałem go zupełnie inaczej, dopóki Michael nie zamienił się w magnetofon w ludzkiej skórze.

* Dickey - osioł (przyp. tłum.).

Pokiwała głową, zaglądając w głąb szklanki.

- Nie powinnam była tutaj wracać.

Tego się nie spodziewał. Wypruwa z siebie flaki... mając nadzieję, że coś ich zaczyna łączyć... a klientka zamierza odejść od stolika.

- A to dlaczego?

Kiedy podniosła wzrok, jej oczy znowu wydawały się tak niebieskie, że Jake zwątpił, czy kiedykolwiek w ogóle były zielone.

- Bo jesteś słodki - odparła, zaskakując go ponownie. - Mężczyzna, który po jednej nocy ożenił się z kobietą, ponieważ stwierdziła, że jest w ciąży, a na dodatek wierzył, że im się uda. Bo lubię to u drugiego człowieka. Oraz dlatego, że nie pora dla mnie polubić kogokolwiek.

- Nie twierdzę, że powinniśmy zostać parą, ale może chciałabyś wyjaśnić sprawę niewłaściwej pory?

Nagle zobaczył w jej oczach taki sam wyraz koncentracji, z jakim siedziała przy stoliku do gry w oczko, niesamowite skupienie człowieka kalkulującego szanse.

- Co ja robię? - zapytała cicho samą siebie. Jake milczał, czekał na jej następny ruch. Nienawidził podobnych zagadek, tym bardziej że niezwykle go intrygowały. Wyjaśnij okoliczności, wnieś sprawę. Z nieuchwytnym czarem Mac niepostrzeżenie zapędzała ich coraz głębiej w tę samą uliczkę, której próbowała uniknąć. Od wczorajszej nocy nadawała swoje przesłanie głośno i wyraźnie - jestem sama... mam problemy... zechcij, proszę, sprawdzić, co się za tym kryje. - Muszę już iść - powiedziała, wstając.

Była już prawie przy drzwiach, kiedy Jake zauważył periodyk naukowy.

- Zostawiłaś to wczoraj - powiedział, a kiedy wzięła czasopismo do ręki, dodał, improwizując: - No wiesz, przeczytałem twój artykuł. Niczego nie zrozumiałem - oświadczył na wszelki wypadek, gdyż tak naprawdę nie przeczytał ani słowa - ale było ciekawe. Naprawdę, wierzysz w to wszystko? To znaczy, w napoje miłosne?

- Można to nazwać powołaniem mojego życia. Nadaremnie czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Chyba nie grasz uczciwie, Mac. Prawda czy wyzwanie, pa^ miętasz? Teraz kolej na ciebie.

Mac zamyśliła się przez chwilę, po czym odparła:

- Mam nadzieję zsyntetyzować nowy produkt dla pewnej firmy farmaceutycznej. To był temat mojej dzisiejszej rozmowy.

52

- Jakiś eliksir miłości? - Jake aż zagwizdał. - Realizujesz te fantazje? To znaczy, że to świństwo rzeczywiście działa? Trochę to niesamowite dla nas, facetów. Kobieta może się czymś spryskać i nijak nie będziemy mogli się jej oprzeć. - Cały czas

myślał o posiadanych przez nią stopniach naukowych. Harvard. Politechnika Kalifornijska. - Nawiasem mówiąc, podobają mi się twoje perfumy. Te same co wczoraj, prawda?

Oczy jej rozblysły, usta zlagodził niespieszny, słodki uśmiech.

- Sądysz, że używam feromonów?

- Owszem - przyznał, krzyżując ręce na piersiach, zdumiony, że chyba faktycznie mógłby tak pomyśleć. Lecz chemia między nimi była tak dobra, że aż niewiarygodna. Każdego faceta by to zastanowiło. - Przemknęło mi to przez myśl. Z trudem powstrzymywała uśmiech.

- Niektórzy naukowcy twierdzą, że żadne ludzkie feromony nie istnieją.

- Wszyscy prócz ciebie.

- Pewne bardzo wyrafinowane badania wykazały, że ludzie dorośli mają w pełni funkcjonujący organ lemieszowo-nosowy.

- Nie? Doprawdy? Organ lemieszowo-nosowy - powtórzył, przytakując skinieniem głowy, jakby doskonale wiedział, co to u diabła jest. - A znajduje się on...

Uśmiechnęła się.

- W nosie, skaucie. OLN znajduje się we wnętrzu nosa. Po jednym w każdej dziurce.

- W dziurkach od nosa. Ładnie. Brzmi całkiem romantycznie. Widział, że niesamowicie ją to bawi.

- Zwierzęce receptory OLN reagują na feromony. Samicy brudnicy nieparcki wystarczy wydzielić tylko kilka cząsteczek, żeby przywabić potencjalnego partnera. Dzisiaj niektóre produkty rynkowe mają składniki syntetyczne, które stymulują receptory OLN u ludzi. Feromony.

- A ty, Mac? Czego dowodzą twoje badania?

- Och, ja mam na oku coś dużo ambitniejszego. Pracuję nad substancją, która nie tylko imituje feromony, ale na dodatek wzmacnia ich działanie.

- Supereliksir miłości?

- Boisz się, skaucie, co? - szepnęła z uśmiechem, przygryzając dolną wargę. - Ciekaw jesteś, czy mam tajną broń? -

Przysunęła się bliżej, nie tyle dotykając Jake, ile nadając temu pomysłowi charak-

ter niemal oczywisty. - A gdybym ci powiedziała, że używam jej dzisiaj? - Objęła go za szyję, tym razem wtulając się w niego, aż powróciły wspomnienia minionej nocy. - Obawiasz się, że nie masz szans mi się oprzeć? Że panuję nad tobą całkowicie, biedaku? -Przycisnęła jego głowę do swojej i musnęła wargami jego policzek, a następnie polizła go prowokacyjnie w dolną wargę. - Tak jest, Jake. Daremny opór. Jesteś mój - szepnęła, wpijając się w jego usta. Pocałunek trwał kilka sekund albo całą wieczność, fakt, że Jake stracił rachubę czasu. Wiedział tylko jedno - że jest absolutnie i totalnie załatwiony. Ale kiedy chciał ją objąć, wyslizgnęła mu się z ramion i chwyciła za gałkę przy drzwiach. - Powinieneś znać się trochę na kosmetykach, Jake - oznajmiła. - To wszystko kwestia iluzji. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Jake stał kompletnie oniemiały, a kiedy otwierała drzwi, nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją zatrzymać.

- Za żadne skarby świata nie umiałabym powiedzieć, kto jest bardziej niebezpieczny dla kogo - wyszeptała.

- Chcesz tak po prostu odejść? - spytał, żeby ją sprowokować. -Zejść ze sceny na zawsze?

Uniosła podbródek w typowy dla siebie sposób, dając mu znać, że nie zdobędzie jej tak łatwo. A potem powiedziała:

- W piątek wieczorem będę czekała w holu hotelowym. O ósmej. I chcę zagrać. W **River Palace**. Wasze kasyno podobno nie ma sobie równych. Jestem pewna, że człowiek z twoimi koneksjami może to załatwić mimo mojej banicji. - Wyszła na korytarz, posyłając Jake'owi seksowny uśmiezek. - Zapamiętaj. Panuję nad tobą całkowicie. Jake spoglądał na zamknięte już drzwi, a potem wrócił wzrokiem do artykułu, który nadal trzymał w ręku. - Jasny gwint - westchnął, uśmiechając się wesoło. Superelik-sir miłości? Czy naprawdę wierzył w te brednie? - Panie Jake'u Donovane - rzucił pod swoim adresem.

- Właśnie zrobiłeś z siebie skończonego wała. A potem usiadł i wziął się do czytania. Curtis Ciarke rzucił czarny notatnik na biurko z drewna teko-wego. Ukryte w ścianach oświetlenie gabinetu rzucało na okładkę jaskrawe refleksy. Po prawej stronie biurka stał metrowej wysokości stylizowany fallus, utrzymywany w równowadze przez okrągłą podstawkę w kształcie stylizowanej wagi. Blyszczący,

54

wypolerowany kamień pochodził z dna rzeki Narmada w Indiach. Motyw falliczny reprezentował boga Siwę Niszczyciela. Był to jeden z niewielu przedmiotów, które zakupił przeplacony dekorator wnętrz, a które przypadły Curtisowi do gustu. - Jak myślisz, co nasza dziewczynka kombinuje? - spytał Curtis, zapalając Romea y Julietę, jedno z kubańskich cygar, które dostarczano mu po kryjomu przez Kanadę.

Roger rozpierał się w głębokim szkarłatnym fotelu, którego nowoczesna konstrukcja pochłaniała praktycznie jego głowę łagodnym owalem w kształcie skorupki od jaja.

- Nie mam u diabła pojęcia - odparł Roger z uśmiechem, pokazując garnitur idealnie białych zębów, które nigdy nie potrzebowały klamerek ani koronek. - Ale przyjemnie będzie się tego dowiedzieć.

- Tylko tym razem nie spraw sobie aż takiej przyjemności, jak ostatnio z tą dziewczyną, która potem zginęła- ostrzegł go Curtis. Roger wykrzywił usta.

- Naprawdę brak mi Alicji. Przecież wiesz, że ją kochałem. Na swój sposób.

- Lepiej siedź cicho - nakazał mu ojciec. Czasami chłopak budził jego wątpliwości. Curtis bez wahania robił to, co trzeba, miał jednak wrażenie, że Roger ze zbyt wielką radością przystępuje do realizacji niektórych zadań. Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i rzucił ją Rogerowi.

- Masz tu numer telefonu dostawcy psów. Pamiętaj, że tym razem mają być zdrowe. Pięćset dolarów za sztukę, nie mogę sobie pozwolić na utratę ani jednego. - Zadzwoń jeszcze dzisiaj.

- I na miłość boską, zachowaj ostrożność. Potrzeba mi tylko tych sukinsynów z SETZ na głowie.

Większość produktów sprzedawanych przez Ciarke Cosmetics była opatrzona etykietką - HUMANITARYZM PRZEDE WSZYSTKIM - NIE TESTOWANE NA ZWIERZĘTACH. Wszelkie prace z udziałem zwierząt prowadzone były w doskonale zakonspirowanym laboratorium, z dala od wścibskich oczu. Curtis wołał nie drażnić aktywistów SETZ, Stowarzyszenia na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt; nie chciał, żeby pikietowali pod laboratorium i nasyłali dziennikarzy.

Skinął głową w kierunku notatnika. - Może byś wykorzystał wreszcie te swoje durne stopnie naukowe i przyjrzał się temu, skoro cię proszę?

Poza magisterium Roger zrobił też doktorat z genetyki.

- Przeprowadzę trochę badań. Do diabła, nawet gdyby zaproponowała coś o połowę mniej przekonującego i gdyby poprowadzić ostrą kampanię reklamową... To kto wie?

- Żadnych obietnic. Żadnych gwarancji. Zwyczajny środek wzmacniający, dzięki któremu nabywcy mogą poczuć się atrakcyjniejsi seksualnie. Bardziej odważni.

- I nie potrzeba zezwolenia Administracji Żywności i Leków -dokończył Roger, rewanżując się ojcu uśmiechem. Jak długo sprzedawany towar nie zalicza się do prawdziwych afrodyzjaków albo lekarstw, rząd się nie wtrąca. - Formuła Omega - dodał, rzucając na próbę nazwę specyfiku. - Wiesz, brzmi całkiem nieźle.

- Donald ręki do tego nie przyłoży - stwierdził ojciec, mając na myśli ojca McCall, szefa Działu Badawczo-Rozwojowego w Ciarkę Labs.

-To mnie akurat nie dziwi.

Roześmiali się, ponieważ znali powody niechęci Donalda Sayera. Ale Sayer był własnością Clarke'ów. Zrobi, co mu się każe.

- Rzuć na to okiem, Roger.

- A co z McCall?

- Pal ją diabli. Jeśli zamierza sprawiać kłopoty, lepiej mieć ją przy sobie. Pod naszym nosem, gdzie możemy ją obserwować.

- Może powinienem popracować nad tym razem z nią - zaproponował Roger, spoglądając na ojca znad folderu.

- Nic nie kombinuj, chłopcze. McCall nie może na ciebie patrzeć. Będziesz musiał ograniczyć się do tej swojej chudej baletnicy, tej z dużymi cyckami i pustą głową. - Widząc rozdrażnioną minę syna, Curtis dodał: - Spokojnie. Podesłę tam kogoś.

- Może to tylko zasłona dymna? Może McCall wkręciła się tu z powodu Alicji?

- Na cóż. - Curtis wyjął cygaro z ust. - Chyba umiemy sobie radzić z upierdliwymi kobietami, jak myślisz?

McCall uśmieła się do leż.

- No więc powiedziałam mu, że nie powinien nawet stawiać oporu. Ze panuję nad nim całkowicie.

Znajdowała się z powrotem na zapleczu lokalu Barb, „Róbcie Co Chcecie”. W usytuowanym w sercu Dzielnicy Francuskiej studiu malarstwa ceramicznego klienci mogli sami pomalować kubki, talerze i statuetki. Barb później wypalała je w swo-

im piecu. Wieczorem zaplecze służyło jako własna pracownia.

Barbara Rojas siedziała za koleń garncarskim nad swoim najnowszym dziełem. Jej czarne włosy przetykane pasmami siwizny były przybrudzone gliną. Spod palców powoli wylaniała się gu-Itowna waza.

- To ten - powiedziała, odrzucając na plecy długi warkocz. - Wreszcie się zakochasz. - McCall pokazała Barbarze język, a ta dodała natychmiast: - Spójrz tylko na siebie - i powoli zatrzymała koło. - Cała aż płoniesz. To ten facet cię tak rozpalil.

- Być może - przyznała McCall, co było wielkim ustępstwem z jej strony, a potem z uśmiechem oddała się wspomnieniom. - Trzeba było go widzieć, Barb. Taki ogromny chłop. Wysoki, umięśniony. A jakie ma dłonie - westchnęła, wyciągając przed siebie swoje własne. - Dwa razy większe od moich. Ale od razu wiadomo, że muchy by nie skrzywdził, zwłaszcza że ma takie doleczki w policzkach. I te jego oczy. A jaki jest zabawny. - I znowu wybuchnęła śmiechem, przypomniawszy sobie twarz Jake'a, kiedy go pocałowała i oznajmiła, że zawładnęła nim całkowicie. Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiła. - On naprawdę myślał, że podziałałam na niego feromonami.

- Niewykluczone. Sama mogłaś o tym nie wiedzieć. Twoimi naturalnymi feromonami. Nie jakimiś syntetykami, wytworami inżynierii genetycznej. Przemknęło to pani przez myśl, doktor Sayer? Po hiszpańsku mówi się Encontrastes la otra mita de la naranja. Odnalazłaś drugą połówkę pomarańczy.

- Beznadziejna romantyczka z ciebie.

- Może właśnie na tym polega twój problem. Ze wszystkich sił starasz się to w sobie stłumić. Przecież odczuwasz namiętność, McCall. Pasión. Nie próbuj aż tak zaprzeczać.

McCall odwróciła wzrok. Udawała, że ogląda stojącą na półce ceramikę. Barb, artystka latynoska, umiała odczuwać namiętność. Ale czasami McCall również miała wrażenie, że zbyt długo koncentrowała się na podwójnej spirali DNA, aby teraz rościć sobie pretensje do podobnych emocji.

Usiadła na stolku i koniuszkami palców zaczęła obracać małą wazę, glazurowaną różnymi odcieniami błękitu.

Namiętność. Czy właśnie o to chodzi? O to, by wreszcie iść na całość, czego pragnęła, znajdując się blisko Jakea? Aby złamać zasady i przekonać się, dokąd to może doprowadzić?

- Nawet z nim nie spałam.

- A co będzie w piątek?

- Nie wiem - odpowiedziała McCall zgodnie z prawdą, choć czuła, że raczej nie da się tego uniknąć. Pierwszej nocy z Jake'em zakończył się okres wieloletniej wstrzemięźliwości McCall. Myślała, że to skutek wypitego szampana, uczucia osamotnienia po śmierci matki. Teraz jednak zadawała sobie pytanie, czy tydzień wcześniej byłoby inaczej. Gdyby podszedł do niej, kiedy była trzeźwa jak niemowlę i koncentrowała się na kartach. McCall potrząsnęła głową.

- Popelniłam tyle szaleństw w ostatnich latach, nosiłam tyle masek. Chyba zaczynam wierzyć, że mogę stać się taką właśnie kobietą - hazardzistką przy stoliku do gry w oczko i gadającą głową w telewizji - dodała ze skwaszoną miną. - A przecież wcale taka nie jestem.

Barb wstała, wytarła dłonie o ręcznik i położyła je na plecach McCall.

- Martwię się o ciebie.

Zaczęły rozmawiać o czymś innym, nie rozważały już szans na miłość.

- Wiem doskonale, co będę robiła u Curtisa - odparła McCall.

- U człowieka, który, jak sama twierdzisz, zniszczył twoją reputację, obrócił przeciw tobie ojca i prawdopodobnie zabił twoją partnerkę?

- Uznano to za wypadek. - Przecież nigdy w to nie uwierzyłaś! McCall podniosła się i przeszła obok Barb.

- Odcięłam się od przeszłości. Powiedziałam ci to, kiedy zaproponowałaś mi wasz wolny pokój. Chcę tylko nawiązać kontakt z rodziną. Dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

Rozmawiały na ten temat już wiele razy. McCall знаła Barbarę Rojas od czasu studiów na Harvardzie, gdzie Barb prowadziła zajęcia ze sztuki nowoczesnej, na które uczęszczała McCall. Obie pochodziły z Nowego Orleanu, nic więc dziwnego, że się zaprzyjaźniły. McCall często jednak miała wrażenie, że to raczej instynkt macierzyński Barb związał je ze sobą, motywując przyjaciółkę do litowania się nad niewyrobioną towarzysko o pięć lat młodszą dziewczyną.

McCall była pierwszą druzną na ślubie Barb, matką chrzestną jej bliźniaków, Dylana i Marii. Barb i jej mąż Stan okazali McCall wielką pomoc, kiedy załamała się jej kariera naukowa, a ojciec się jej wyrzekł.

54

- Powinnam się wyprowadzić.

- Nie ośmielisz się. Zamartwiłabym się o ciebie na śmierć. Oto cała Barb, zawsze stała w uczuciach. Podobno była w kontakcie z duchami swoich przodków. Barb artystka. Barb astrolog.

- Błagam cię, Barb. Nie naciskaj mnie. Nie każ mi ujawniać prawdy.

Barb uniosła wysoko ręce.

- Uwierzę, w co tylko zechcesz. Zawsze to robię, prawda? Pozwól mi jednak trochę się o ciebie pomartwić.
- Więc martw się o to, czy wyjdę na idiotkę w oczach jedyne go interesującego mężczyzny, jakiego poznałam po raz pierwszy od tak dawna.
- Poradzisz sobie - odparła, biorąc McCall w objęcia.

McCall westchnęła. Tulila się do swej najdroższej przyjaciółki, kobiety, której pospolitą twarz można by uznać za> nieatrakcyjną, gdyby nie te piękne, brązowe oczy i szczodra natura. Kobiety, która nie kłopotowała się ukrywaniem swojej siedmiokilowej nadwagi, efektu ciąży, i wybierała ubrania wyłącznie pod kątem kolorystyki i faktury materiału. Barbara była najuczciwszą osobą, jaką знаła McCall, hojną aż do rozrzutności.

- Pamiętasz, jak poznaliśmy się ze Stanem?
- Byliście w przeciwległych końcach zatłoczonego pokoju - odparła McCall, znając tę historię na pamięć.
- Dopuść do siebie to uczucie - rzekła Barb, cofając się o krok, aby lepiej widzieć McCall. - To coś bardzo wyjątkowego.
- W twoich ustach wydaje się to takie proste. Naturalny porządek rzeczy. Wspaniale jest móc wierzyć, że miłość jest czymś nieuchronnym.
- Ależ zrobiła się z ciebie cyniczka. Posłuchaj. Fakt, że późno się rozwinęłaś, nie oznacza wcale, że minął twój czas zakwitnięcia.

McCall miała jednak wątpliwości. Myślała o swojej młodszej siostrze, o jej wyglądzie. Być może te magiczne uczucia, o których opowiadała Barb, nie odnosiły się w ogóle do żadnej kobiety z rodu Sayer.

- Nie jestem tu, aby zakwitnąć miłością - rzekła McCall z cynicznym uśmiechem. Miłość była luksusem, na który nie mogła sobie teraz pozwolić. Zostały jej cztery dni do spotkania z Jake'em w **River Palace**. Do tego czasu Curtis może już przyjąć jej ofertę, co zmusi McCall do rozpoczęcia zabawy w kotka i myszkę.

Jego zdaniem problem tkwi w szczurach. Ich organizm jest zbyt odległy genetycznie od naszego; podobno lepsze wyniki osiągniemy z małpami. Mam jednak pytanie. Czy rezultatem będzie przełomowe odkrycie, czy wyrok śmierci na te zwierzęta?

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman

- Uwaga. Teraz pofrunie daleko.

Jake obserwował, jak Michael cofa się truchtem po dziecięcą futbolówkę, a potem potyka się i przewraca. Czekał, aż syn wstanie i pobiegnie kilka kroków do tyłu, przebijając małymi nóżkami w niebieskich dżinsach.

- Popatrz, syneczku - zawołał dla zachęty, rzucając łagodnie piłkę do góry. Serce Jake'a przepelniała duma na widok syna, który stał z rozłożonymi ramionami i koncentrował się na wirującej piłce, lecącej łukiem w jego stronę. W blasku słońca włosy chłopca wydawały się bardziej blond niż rude. Był duży jak na swoje cztery lata.

Piłka znalazła się w rękach Michaela. Chłopiec w ostatniej chwili złożył ramiona i przycisnął ją do piersi. Teraz już jej nie wypuści. Popatrzył z rozdziawionymi ustami, jakby nie mógł uwierzyć, że udało mu się, a następnie podniósł wzrok na ojca.

- Tak - szepnął Jake

- Mam ją! Mam ją! - zawołał Michael. Był to jego pierwszy udany chwyt.

- Dajcie chłopakowi Puchar Heismana! - krzyknął Jake, wymachując w powietrzu zaciśniętą pięścią.

Syn i ojciec wydali okrzyk wojenny i puścili się w taniec zwycięstwa niczym ekscentryczny Deion Sanders. Jake chwycił chłopca, zarzucił go sobie na plecy i zaczął laskotać, aż Michael błagał o litość. Jake udął, że się potyka, przewraca, wreszcie zaczęli się siłować na trawie. Później obaj leżeli na wznak i przy-

60

glądali się płynącym nad Jackson Square chmurom, nadając różne nazwy kształtom, jakie przybierały.

Były to chwile, dla których Jake żył. Hope znowu gdzieś się umówiła i poprosiła go o zajęcie się dzieckiem. Jake szedł do pracy dopiero późnym wieczorem. Nie mogło być lepszego zbiegu okoliczności. Popołudnie z synem - tego właśnie mu było trzeba. Był już czwartek, a on nie podjął jeszcze decyzji w sprawie jutrzejszego wieczoru i spotkania z Mac.

Opowiedział Grekowi przebieg wydarzeń. Dino podsumował je zgodnie z przewidywaniami Jake'a.

- Nie podoba mi się to. - Potrząsnął głową. Spoglądał na Jake'a, jakby ten już był pod działaniem zabójczych feromonów.
- Ona cię wykorzystuje, Irlandczyku. Jeśli przyprowadzisz ją tutaj, do **River Palace** - do jaskini gry - a Garrett to wywęszy, dobierze ci się do dupy. Wiadomo, że traktuje cię jak swoją własność, ale mniejsza z tym. Ona może faktycznie narobić szkód.

Niech to szlag, Dino nie owija w bawełnę, pomyślał Jake.

- Mama się spóźnia.

Spojrzał na Michaela leżącego obok niego na trawie. Gdzieś grały organy, prawdopodobnie na pokładzie Natcheza, statku napędzanego kołem łopatkowym. Dźwięk stanowił osobliwy kontrpunkt dla trębacza, koncertującego naprzeciw Cafe du Monde, kawiarni na wolnym powietrzu, słynącej ze słodkich pączków i żywiołowo reagującej publiczności. Jake uśmiechnął się, czochrając rude loki syna.

- Głodny? Pójdziemy na Lucky Doga czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Jeśli wróci mama, a nas nie będzie, to się zmartwi. Michael często tak się wyrażał. Czasami martwiło Jake'a, że syn jest za dojrzały na swój wiek. Zbyt dorosły. Według Hope wszystko brało się z tego, że chłopiec był jedynakiem, usilnie więc starała się zająć ponownie w ciążę. Stąd to jej dzisiejsze spotkanie.

- Tato. Ja już nie chcę grać na skrzypcach. Jake żuł trawę i zastanawiał się nad odpowiedzią. Słyszał tę prośbę już wcześniej. Tego samego dnia, kiedy Michael skończył trzy lata, Hope zapisała go na lekcje gry na skrzypcach metodą Suzuki. Wyczytała gdzieś, że dzieciom mającym przed ukończeniem czwartego roku życia kontakt z muzyką, znacznie lepiej idzie nauka matematyki. Michael nie był oczywiście zachwycony. Rzecz w tym, że świetnie grał na skrzypcach.

Wschodząca

gwiazda, mówiono w szkole. No, ale Michael był uzdolniony w wielu dziedzinach.

- Wolalbyś grać na czymś innym? - spytał Jake.

Chłopiec zmarszczył brwi, po czym włożył do ust kilka źdźbeł trawy i wetknął ręce pod głowę, naśladując ojca.

- Na bandžo.

Pewnie Hope to się nie spodoba, myślał Jake, wiedząc, że wcześniej odrzuciła już ten pomysł.

- Chcesz, żebym ci kupił? Mógłbys grać w czasie weekendów, kiedy jesteś u mnie, a nawet zabierać je do domu, jeśli będziesz chciał. Żadnych lekcji ani niczego podobnego - dodał. Uważał, że Michael już jest zbyt obciążony. - Wyłącznie dla przyjemności. Hej, a pamiętasz tego solistę na koncercie bluegrassowym? Chciałbys kiedyś grać tak jak on?

Michealowi pojaśniały oczy. - Tak!

- Na pewno zaczynał od metody Suzuki.

Chłopiec obrócił się na bok. Próbował odgadnąć, czy tata mówi poważnie.

- Tak uważasz? - No, coś w tym rodzaju. Najpierw zawsze trzeba przerobić materiał klasyczny. Człowiek staje się lepszym artystą, poznaje techniki gry. - Dobrze - chłopiec pokiwał głową, dostrzegając nagle jasne strony lekcji gry na skrzypcach.

- O, jest mamusia! Jake rozpoznał ją natychmiast. Pozostali śmiertelnicy, którzy przybyli tłumnie do parku, zdawali się rozstępować przed nią jak morze przed Mojżeszem. Hope się wyróżniała. Nie tylko tym, że w wilgotnym czerwcowym upale nosiła garsonkę i ani jedna kropelka potu nie zraszała jej oblicza. Poruszała się w swoisty sposób, jak gdyby stale dokądś się spieszyła. Jej krótkie brązowe włosy i niebieska urzędowa garsonka przypominały Jake'owi czasy, kiedy Hope pracowała jako księgowa w pewnej szacownej firmie w Nowym Orleanie. Specjalizowała się w badaniu stanu kont. Jake wstał i podniósł z ziemi futbolówkę. Włożył ją do płóciennego worka i spojrzał na zbliżającą się Hope. Nawet z tej odległości sprawiała wrażenie przygnębionej. Jake wyjął z kieszeni garść ćwierćdolarówek. Przykucnął obok syna, zrównał się z nim wzrokiem i włożył mu do ręki kilka monet.

- Kup sobie lody - skinął głową w kierunku stoiska przed ka-

62

tedrą św. Ludwika. Sprzedawca lodów stał obok kutej żelaznej bramy, zaledwie kilka kroków od nich. Obok ciągnęła się kolejka dzieci. - Chcę o czymś porozmawiać z twoją mamą. - Miał wrażenie, że Hope potrzebuje trochę czasu na ochłonięcie, zanim weźmie Michaela do domu kupionego za pieniądze Dickeya, odrestaurowanej kreolskiej rezydencji na ulicy św. Anny. - I nie biegaj z patykiem od lodów w buzi - krzyknął za chłopcem, kiedy ten się oddalił. - Bo twoja mama mnie zabije.

Czekał, przyglądając się, jak Michael zajmuje miejsce na końcu kolejki. Hope zapewne była nadopiekuńcza, na ogół jednak miała rację, nie pozwalając Michaelowi na psoty. Jej mina świadczyła jednak, że teraz prawdopodobnie w ogóle nie zauważy, że Michael je jakieś lody.

Zatrzymała się przed Jake'em, zrywając z twarzy okulary przeciwsłoneczne. Miała tylko metr sześćdziesiąt i patrzyła na niego do góry z takim wyrazem twarzy, jakby miała się rozplakać. Nie miał wątpliwości, że już płakała. - Przepraszam za spóźnienie - rzekła i odwróciła się, by pomachać Michaelowi. - Trochę spacerowałam... I rozmyślałam.

- Pozwoliłem mu na lody - powiedział Jake. Ruszyli w stronę zwieńczonej lampami bramy i stojącej za nią katedry, w pobliże miejsca, gdzie stał Michael. - Posiedźmy chwilę. Niech się mały nacieszy.

- Dzięki - westchnęła, zaskakując Jake'a. Żadnych uwag typu każesz-mu-jeść-lody-przed-obiadem albo psujesz-mu-zęby. Domyślił się, że cokolwiek się wydarzyło, była to sprawa poważna.

Jake pokazał Michaelowi miejsce, gdzie będą siedzieli - oddar loną o kilka kroków ławkę stojącą za bramą, która zamykała dziedziniec katedry. Przeszli obok szpaleru ludzi zatopionych w lekturze kart tarota i czytających z ręki, minęli grupę ulicznych artystów i mimów, którzy okupowali tutejsze chodniki, po czym usiedli naprzeciw wózka z lodami, przy którym czekał Michael. W głębi widać było długi sznur białych przyczep, korkujących wąską uliczkę. Znowu kręcą jakiś film, pomyślał Jake.

- Chcesz o tym pogadać? - spytał. Zebranie myśli zajęło Hope dłuższą chwilę, jakby naprawdę próbowała się skoncentrować. - Nie jestem w ciąży. I według znakomitego lekarza, nigdy w nią nie zajdę. Już nie.

- Przykro mi to słyszeć, Hope. - Przez ostatnie dwa lata Hope i Dickey robili wszystko co w ludzkiej mocy, aby począć dziec-

ko. Dickey, który miał już pięć córek, przeszedł nawet operację udrożnienia nasieniowodów. Hope również poddała się kilku zabiegom. - Naprawdę mi przykro.

- Czyżby? - Hope obserwowała, jak Michael wyciąga rączkę do sprzedawcy po swoją porcję lodów. Uśmiechnęła się. - Jesteś pewien, że żaden zakamarek twojej duszy nie triumfuje skrycie? Cholerna dziwka - dodała, jak gdyby wyrażając opinię Jake'a na swój temat. - Dobrze jej tak.

Jake nigdy nie robił tajemnicy ze swoich podejrzeń, że Hope wykorzystwała go w celu odzyskania starego Dickeya. Nie chodziło o to, że go porzuciła, upamiętniając ich związek gorzkim rozczarowaniem. Chodziło o te wszystkie wieczory, kiedy na jej prośbę przychodził do domu wcześniej. Małżeństwo z Susan rozpadło się głównie z powodu jego długich godzin pracy, więc poprzysiął sobie zrobić wszystko, by drugiemu małżeństwu, tym razem z rozsądku, zapewnić powodzenie. Dla dobra Michaela. W związku z Susan sprawy przedstawiały się inaczej: nie mieli dzieci, które trzeba brać pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o zwolnieniu z przysięgi małżeńskiej. Przez te wszystkie wieczory, kiedy siedział przy Michaelu, dając Hope możliwość wyjścia z domu, rzekomo w celu obejrzenia filmu albo zrobienia zakupów, nadrobienia czasu spędzonego w czterech ścianach przy dziecku, potajemnie spotykała się z Dickeyem i odwiedzała swego adwokata, z którym knuła intrygę, jak zdobyć prawo do opieki nad synem - gdyby Jake postanowił jednak walczyć z nią w sądzie o Michaela.

- Wybacz. Nie powinnam tak mówić - rzekła, trącając go lekko w ramię. - Ja chyba naprawdę jestem dziwką. - Oparła głowę na jego ramieniu; rozdrażniło go to, bo Hope nie lubiła okazywać czułości. - Koniec z dziećmi - szepnęła żałośnie. Naprawdę było mu jej żal. Pamiętał, z jaką radością przyjmowała zaokrąglenie się kształtów w trakcie ciąży, nigdy nie żałowała nawet grama nadwagi i nie skarżyła się na opuchnięte łydki. Mogłaby wprawdzie okazywać większą pobłażliwość, jeśli chodzi o metody wychowawcze i lekcje, była jednak dobrą matką, czytała książeczki dla dzieci... Koncentrowała się na zapewnianiu Michaelowi poczucia godności, którego podobno pozbawili ją jej rodzice. Podniosła wzrok na Jake'a. Miała w oczach łzy. - Ciągle myślę, jak łatwo nam to przyszło - powiedziała niemal z czułością. - Wystarczyła butelka tequili i dziurawy kondom.

64

W tym momencie Jake domyślił się, czego Hope chciała. Już raz go o to prosiła.

- Daj spokój, Hope.

Hope wyprostowała się, sięgnęła po okulary. Skrywając za nimi oczy, nagle straciła cały swój wdzięk. Hope, wielka imitator-ka ludzkich emocji.

Pociągnęła nosem.

- Czy to taka wielka prośba? Zabębnił pięścią o ławkę.
- Wiesz, co? Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Jak myślisz, co czułem, kiedy zabrałaś Michaela z mojego życia? Na miłość boską, chodziłem na każde pieprzone badanie USG, przeciąłem mu pępowinę. I czuwałem przy nim każdej nocy, kiedy ty i ten Dickus kombinowaliście, jak mi go odebrać.
- A dlaczego miałam ci zaufać? Prawie cię nie znalazłam, kiedy braliśmy ślub. Myślałam, że będziesz wściekły, że możesz wykorzystać Michaela przeciwko mnie.
- Bo sama zamierzałaś tak postąpić? Przygryzła wargę.
- Posłuchaj, miałaś dobry pomysł, żeby pójść do tego dziecięcego psychologa - powiedziała. - Wspólna opieka okazała się najlepszym wyjściem dla Michaela. Ale teraz sytuacja się zmieniła. W obecnym stanie chciałabym, żebyś spędzał z nim więcej czasu. Masz w sobie dużo więcej energii niż Dickey. - Jake był o dobre piętnaście lat młodszy od Dickusia. - Chociaż on naprawdę stara się zaspokajać potrzeby Michaela. Sam zdecydowałeś, żeby brać małego tylko w weekendy. Mógłby spędzić z tobą kilka tygodni wakacji, gdybyś zechciał. Choćby latem. - Całymi dniami w pokoju hotelowym w towarzystwie przypadkowej opiekunki. - Pokręcił głową zniecierpliwiony; był to oklepany argument. - Jak długo nie pójdziesz do pracy, u ciebie będzie mu najlepiej. Jedno musiał jej przyznać. Hope była idealną matką, jakby długie oczekiwanie na dziecko wyleczyło ją z własnych ambicji i potrzeb. Była bez reszty skoncentrowana na Michaelu. - Odmawiasz mu rodzeństwa - nalegała. - Poza tym, co nam przeszkadza splodzić razem kolejne dziecko? Michael ma troje zwiariowanych na jego punkcie rodziców. Wymarzona sytuacja.
- Mój Boże, Hope. - Jake wstał, dając Michaelowi znak, aby się pośpieszył. - Możesz do cholery adoptować jakiegoś dziecka-

ka, skoro Michael koniecznie musi mieć brata albo siostrę. Moim zdaniem rozwija się znakomicie.

Hope ścisnęła go za ramię.

- Dobrze, dobrze. Jestem podła. Ale również załamana. Nie możesz przynajmniej obiecać, że się nad tym zastanowisz?

- Hope, przez cały rok zamieniałaś moje Życie w istne piekło -odparł powoli i rozważnie, żeby zrozumiała każde słowo oraz wszelkie niuanse. - Kazałaś mi, uwierzyć, że odbierzesz mi syna -dodał, wypominając pogrożki Hope, że odizoluje go od Michaela na amen, gdyby wniósł do sądu sprawę o opiekę nad dzieckiem. -Dopóki tchu w piersiach, nie będę się z tobą więcej pieprzył.

- Trudno - odrzekła. - Łudziłam się. Doktor Stella uprzedzał mnie, że nic z tego nie będzie. - Starła ostatnie łzy z policzków. -Nie mów Dickeyowi, że cię prosiłam. Wściekał się z tego powodu.

- Dobrze sobie. - Dickey Harper był doradcą podatkowym, bogatym i wpływowym człowiekiem w Nowym Orleanie. Jake zawsze podejrzewał, że właśnie to było najsilniejszym magnesem dla Hope.

- Michael, chodźmy już, kochanie - zawołała, wstając. - Niech nie widzi, że jesteś na mnie zły. To bardzo wrażliwy chłopiec. Jake powstrzymał się od komentarza.

- Naprawdę powinien mieć rodzeństwo - kontynuowała. -Mógłbyś zastanowić się nad powtórny ożenkiem i dać mu brata albo siostrę. Jesteś cholernie dobrym ojcem.

Mówiąc to, odeszła z Michaeliem za rękę. Z daleka jeszcze oboje pomachali Jake'owi na dowidzenia. Mieszkali kilka przecznic dalej, mogli dotrzeć do domu pieszo. W pewnej chwili Michael spojrział przez ramię i szepnął bezgłośnie „bandžo”. Jake mrugnął do niego porozumiewawczo.

A potem rzekł do siebie, że nie warto przejmować się Hope i jej drobnymi złośliwościami. Ale szkoda została już wyrządzona. Niech cię szlag, Hope. Zawsze umiała sprawić ból tymi swoimi intrygami i oszukańczym charakterem. Ponadto doskonale wiedziała, jak mu dokuczyć.

Stojąc pośrodku Chartres Street i patrząc, jak była żona oddala się z Michaeliem, Jake poczuł pustkę w sercu i straszliwą samotność. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas coś z tym zrobić.

- Głupi kundel. Sierra nie miała ochoty nawet podnieść wzroku, kiedy kobie-

66

ta wrzuciła jej do miski psią karmę. Złota labradorka poznała po głosie, że ta kobieta jej nie lubi.

- Jesteś suką Z hodowli, prawda, kochanie? - Kobieta podeszła bliżej.

Jakiś człowiek przywiózł wczesnym rankiem labradorkę na to podwórze wypełnione długimi, wąskimi klatkami. To było straszne w porównaniu z miejscem, w którym Sierra żyła przedtem, przestronnym ogrodem, gdzie mogła uganiać się za piłkami i zakopywać kości. Klatka była brudna i śmierdziała zwierzęcymi odchodami.

Kobieta paliła papierosa. Była tęga i cuchnęła potem. Megan, mała dziewczynka, opiekunka Sierry, zawsze pachniała mlekiem, ciasteczkami dla psów i resztkami ludzkiego jedzenia, które ukradkiem podtykała pod stołem pupilce. Kobieta rzuciła niedopalek na ziemię, rozgniatając go stopą pod samym nosem labra-dorki, trącając Sierre. Suka nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Zapiszczała cicho.

- Nie martw się, słodziutka. Suki hodowlane nie przebywają tu zbyt długo - powiedziała kobieta. - Te odchody najwcześniej. - Kobieta zatrzymała się przy drzwiach i kopnęła miskę na drugi koniec klatki, aż cała karma wysypała się na beton. - Głupia suko, lepiej jedz. Przekłety kundel. Nie mogę sobie pozwolić na utratę następnego psa. Kobieta wyszła z klatki, zatrzaskując za sobą drzwi. Sierra patrzyła na pokarm, ale nie podniosła się nawet, żeby go zjeść. W sąsiedniej klatce na betonie leżał czarny wilczur. Dyszał z powodu gorąca. Labradorka przyczołgała się do drucianej siatki, która oddzielała "ich od siebie. Przyłożyła nos do metalu i zaczęła cicho skowyczeć. Przez chwilę owczarek niemiecki leżał nieruchomo. Psy wyczuwały, że znajdują się w strasznym miejscu. W miejscu, które pachnie śmiercią.

Powoli owczarek zaczął czułgać się w stronę klatki, w której leżała Sierra. Przecisnęły nosy przez otwory w siatce. Sierra polizła owczarka po pysku.

Jake wszedł do gabinetu. Na kolanach Garretta Renaulta siedziała Stacie Winn. Dwa górne guziki bluzki miała już odpięte, Garrett pracował właśnie nad trzecim.

- Przepraszam - powiedział Jake, robiąc w tył zwrot.

- Wkitraj swój słodki tyleczek do środka, Jake - zawołała kru-pierka głosem Georgii Peach. - Właśnie wychodziłam.

Jake odwracał się powoli, dając im czas na doprowadzenie się do porządku.

- Nie ma sprawy, mogę przyjść później.

Stacie zsunęła się z kolan Garretta, ale jej pracodawca i od czterech lat kochanek złapał ją wpół. Stacie rozerwała mu dłoń, błyskając długimi jak szpony paznokciami, swoim znakiem firmowym osoby rozdającej karty do gry w oczko. Dzisiaj pomalowała je złotym lakierem.

- Wstydzilibyś się, Garrett. Wprawiasz Jake'a w zakłopotanie. Poza tym, no wiesz. Muszę iść do stolika.

- Wiem z dobrego źródła, że potrafisz namówić szefa, aby dał ci wolny dzień - powiedział Garrett z nosem w jej włosach; puścił oko do Jake'a. Stacie parsknęła śmiechem. Trzydziestopięcioletni Garrett Renault był samodzielnym właścicielem **Royal Palace**. Wraz ze swym dziadkiem, cichym współnikiem, posiadał pakiet kontrolny kasyna oraz hotelu, zarządzanych przez prywatne konsorcja. Był niezwykle miody jak na takie dokonania i o dobre siedem lat młodszy od Stacie, choć trudno było się tego domyślić, patrząc na nich. Stacie miała długie, seksowne, czarne włosy, zielone oczy i była świetną kandydatką na Dziewczynę Roku w „Playboyu”. Według Jake'a był to wystarczający magnes dla Garretta, który nie zastanawiał się dwa razy nad takimi sprawami. Mimo że byli ze sobą już tak długo, nadal wyglądało to na poważny związek.

- Poprosić o wolne tak w ostatniej chwili? - zdziwiła się Stacie. - Nie ma mowy. Na dodatek Dino mnie zabije, jak znowu się spóźnię. Sądysz, że jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu, Garrecie Renault?

- Lepiej żeby innego nie było.

Stacie pocałowała go namiętnie w usta.

- Muszę lecieć.

Przemknęła obok Jake'a, częstując go przy drzwiach na pożegnanie uśmiechem Miss America. Od drzwi skinęła jeszcze raz ręką. Zanim wyszła, Garrett spojrział na biurko.

- Stacie - rzucił za nią, pokazując na folder z kredowego papieru. Jake dostrzegł tylko logo pisma. Wystarczyło kilka kresek swoiście stylizowanego rysunku, aby zasugerować postać nagiej kłęczącej dziewczyny z kwiatami we włosach. Na jej złożone dłonie opadały płatki róż.

Stacie wzbraniała się przed powrotem do biurka.

68

- Garrett, kochanie. Nie jestem do tego przekonana.

- Przejrzyj to tylko - odparł zniecierpliwiony, trzęsąc głową, jakby Stacie popełniała jakieś głupstwo. - Wpadnę do ciebie wieczorem.

Stacie popatrzyła raz jeszcze na folder, jak gdyby chciała się sprzeciwić Garrettowi, ale on już przestał o niej myśleć, przenosząc uwagę na inne papiery, którymi zawałone było jego biurko. Stacie skierowała wzrok na Jake'a, ten jednak starał się z całych sił trzymać język za zębami. Niekiedy Garrett traktował Stacie ordynarnie, skoro jednak krupierka to akceptowała, nikomu nic z tego nie przyjdzie, jeśli będzie się wtrącał.

- Siadaj - powiedział Garrett, nie podnosząc wzroku znad papierów, i wskazał Jake'owi fotel przed biurkiem. Gabinet Jake'a znajdował się w ładowni statku-kasyna, Garrett zaś miał swoje biuro w siedzibie Zarządu na pierwszym piętrze hotelu. Kiedy zamknęły się drzwi za Stacie, Garrett odsunął papiery i rzucił na biurko swoje pióro marki Mont Blanc.

- Gotowa zmarnować świetną okazję.

Jake znowu powstrzymał się od komentarza. Ogólnie biorąc, Garrett był porządnym człowiekiem, lecz łatwo unosił się gniewem. Czasami najlepiej było pozwolić mu się wygadać. Teraz odchyłał się w fotelu, obdarzając Jake'a szerokim uśmiechem w stylu Erica Robertsa. Ze swymi brązowymi, kręconymi włosami zaczesanymi do tyłu był nawet podobny do tego aktora. Niebieskie oczy - skrzywiony nos.

- Mam starego kumpla ze szkoły, którego ojciec posiada świetnie prosperującą firmę kosmetyczną - rzekł Garrett. - Wpuszcza nas do swojej nowej lecznicy, gdzie mają stosować jakiś nowatorski środek upiększający. Podobno lipidy i hydraty będą przy nim wytworami epoki kamiennej. Przyszło mi na myśl, że Stacie mogłaby się tam zgłosić, ale dziewczyna się ociąga. - Garrett potrząsnął głową, spoglądając na Jake'a, jakby chciał zapytać: No i co człowiek może poradzić?

Jake przez chwilę się zastanawiał, co też Garrett chciał przez to powiedzieć Stacie - kobiecie o siedem lat od niego starszej

-każąc się jej smarować jakimś mazidłem na zmarszczki albo zażywać eliksir młodości.

- Może byś pogadał z tą Broomhildą przed twoimi drzwiami? - zaproponował Jake, opadając na fotel przed biurkiem Garretta. Chciał jakoś pomóc krupierce. - Już drugi raz pomachała mi ręką, żebym wchodził, kiedy znajdowała się tu Stacie.

- Moja protektorka? - Tak Garrett nazywał niebieskowłosą pa-

nią, która pracowała jako jego sekretarka. Uważa, że nie powinienem się zadawać z siłą pomocniczą.

- A ja myślałem, że to Stacie jest za dobra dla ciebie - zauważył Jake, uśmiechając się na wszelki wypadek.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem - odparł Garrett. Chociaż raz zdawał sobie sprawę z czegoś w swoim osobistym życiu.

- Porozmawiam z nią. - Garrett pokiwał głową, chwycił pióro i zaczął stukać o blat biurka. - Co cię do mnie sprowadza?

Jake nigdy o nic nie prosił swego pracodawcy. Nie miał pojęcia, jak Garrett, który wszystkich dookoła podejrzewa, że

chcą go oszukać, zareaguje na jego prośbę. Miał jednak nadzieję, że zapewnił sobie minimum dobrej woli ze strony szefa.

Wiele lat temu Garrett wszedł w konflikt z prawem w związku z posiadaniem narkotyków. Dzięki wpływom rodziny

dostał się do zakładu poprawczego zamiast do więzienia. Jake był wówczas kuratorem sądowym. W poprawczaku, dzięki

Jake'owi, Garrett zrozumiał, że może zawrócić ze złej drogi. Kiedy rodzice Garretta umyli od wszystkiego ręce, wezwał

nawet jego dziadka. Chłopak miał szczęście; dziadek postanowił zająć się wnukiem.

Trzeba przyznać, że Garrett potrafił się pozbierać. Jake zawsze jednak podejrzewał, że celem układu z dziadkiem w

sprawie zakupu kasyna i hotelu było danie rodzicom do zrozumienia: Pocałujcie mnie. w tyłek! - Po uruchomieniu **River**

Palace Garrett miał zwyczaj odwiedzać Jake'a co sześć miesięcy w biurze prokuratora okręgowego w Baton Rouge i

proponować mu posadę. Musiał przeżyć nielichy szok, kiedy Jake przyjął w końcu jego ofertę.

- Chodzi o tę facetkę - powiedział Jake do Garretta. - Ona ma jakiś system. I to cholernie dobry. To prawdziwa

rachmistrzyni. Chcę, żeby jutro zagrała. Wszystko, co wygra, możesz potracić z mojej pensji. Ale niech rozdaje Stacie.

- Rany boskie. - Garrett uśmiechnął się promiennie. - Dino ma rację. Niech cię diabli, Jake. Kiedy wreszcie się

zakochujesz, to od razu wpadasz po same uszy - powiedział, przeciągając sylaby. - Na ile pozwalasz jej się skubnąć?

- Widzę, że mam większe zaufanie do Stacie niż ty.

Kiedy Garrett zrozumiał podtekst tych słów, uśmiech na jego twarzy powoli stęzał; do niego jednak musiało należeć ostatnie słowo.

- A co z Bartem? - zapytał. Bart był krupierem, którego stolik w ostatnim miesiącu przynosił straty. Jake robił, co mógł, by wracającemu do zdrowia alkoholikowi dać trochę czasu na re-

70

konwalescencję. - Jego straty też mam potracić z twojej pensji?

Jake dokonał naprędce szeregu obliczeń. Sprawa nie wyglądała zbyt różowo.

- Skoro nie można inaczej.

Garrett nadal postukiwał piórem o kant biurka, bacznie przyglądając się Jake'owi.

- Co tam, do diabła - westchnął. - To tylko moja forsa. Zatrzymam Barta do końca miesiąca, ale jutro ta damulka zagra na twój rachunek. Rozdawać będzie Stacie. Ona za tobą szaleje.

- Dzięki - powiedział Jake, wstając. - Masz we mnie dłużnika.

- Nie, Jake - rzekł Garrett poważnym tonem. - Nic mi nie jesteś dłużny.

Jake skinął głową, zrozumiał aluzję. Garrett nigdy nie zapomniał czasów, kiedy tylko Jake w niego wierzył.

Po wyjściu z gabinetu Jake zagwizdał z cicha. Właśnie tego mu brakowało od początku - konkretnej decyzji w sprawie Mac, kobiety, która uwielbia hazard. Co tam, do diabła. Sam też umiał nieźle pograć.

Kiedy przechodził obok sekretarki, pozdrowił ją gestem ręki i powiedział:

- Miłego dnia, Attylo.

W myślach już układał plan jutrzejszego wieczoru.

6

Kiedy McCall miała pięć lat, ojciec wyuczył ją prawdziwej magii.

- Oto, z czego jesteśmy ulepieni, McCall. - Stał za nią w laboratorium i prowadził jej dłoń odzianą w gumową rękawiczkę.

Dziewczynka manipulowała szklaną pałeczką, obracając ją na wszystkie strony. Eksperymentom w obecności ojca towarzyszyło niesamowite pobudzenie emocjonalne, które sprawiało, że były to dla niej chwile szczególne. Miała wrażenie, że trzyma w ręku czarodziejską różdżkę, którą obraca w przezroczystym płynie - magicznej cieczy, szczypiącej w nos zapachem alkoholu. Niczym cukrowa wata okręcająca się na patyku, niewidoczna substancja obrastała szklaną pałeczkę na grubość palca dziewczynki. Nawijanie włókna DNA przypominało McCall produkcję lepkiej sieci pajęczej.

67

- Oto sedno życia - mawiał ojciec, oddalając się od córki i per zostawiając jej obowiązek umieszczenia oblepionej pałeczki w roztworze alkoholu etylowego. - Bez tego nie moglibyśmy istnieć. Gdybyśmy tylko poznali kryjące się w tym tajemnice, McCall... - mawiał głosem bohatera bajki o Czarującym Kobziarzu. - Pomyśl tylko. Moglibyśmy zlikwidować wszelkie choroby, wyleczyć każde kalectwo... a może i żyć wiecznie.

W tamtych czasach Donald Sayer cieszył się z obecności starszej córki w laboratorium. Ustawiał dla niej taborety, żeby mogła dosięgnąć powierzchni stolów roboczych, dał jej prawo wstępu do świata normalnie zamkniętego przed dziećmi. Nigdy mu nie przeszkadzała, uczenie córki nigdy go nie męczyło. W gruncie rzeczy czuła, że stanowi centrum jego uwagi. Ponieważ była bystra. Ponieważ była bardzo bystra. Ojciec uważał ją za równą sobie, jak gdyby możliwości umysłu McCall nie miały granic. Każda nowa lekcja wzmacniała w niej poczucie siły... Chęć dążenia do wytkniętego celu. Czasami miała wrażenie, że ojciec grał swoją rolę zbyt dobrze, pielęgnując jej arogancję, przyzwyczajając do panowania nad swoimi uczuciami i skupiania się wyłącznie nad efektem końcowym. Bez wątpienia jednak nauczył ją wspaniałych rzeczy. Donald Sayer ukazał córce sens życia. McCall przetarła oczy i opuściła wzrok na dziennik laboratoryjny, który trzymała na kolanach. U góry stronicy widniał drukowany napis WYDZIAŁ BIOLOGICZNY. McCall, owinięta aksamitnym szalem, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w gościnnym pokoju Barb. Powoli otworzyła grubą księgę. Strona po stronie obserwowała, jak gryzmoły Alicji stają się stopniowo coraz mniejsze i bardziej pochyle. Oczami wyobraźni

dostrzegala szaleńcza energię, jaką musiała odczuwać Alicja w chwili kreślenia tych słów. Lektura dziennika przywozila na pamięć ojca. Donald Sayer nigdy nie lubił Alicji. To ona nauczyła McCall gardzić jego pracą biochemika w Ciarke Labs, zachęciła ją do wylamania się, do buntu, do samodzielnego podążania za iskierką, którą sam rozpalil, gdy po raz pierwszy pozwolil córce nawinąć spirale DNA - tyle że w zupełnie innym celu.

Doktor Alicja Goodman, jej partnerka. Teraz martwa.

McCall przewracała kartki, czując, że wciąż jej brakuje Alicji, przyjaciółki, która podobnie jak Barb zmienila McCall... I to chyba na lepsze. Często zatapiała się w lekturze dziennika, który Alicja traktowała jak pamiętnik. McCall wierzyła, że pewnego dnia,

przebiegając wzrokiem hieroglify zrozumiały tylko dla autorki, wreszcie także je zdoła odczytać. Czytała więc księgę raz po raz, w ogóle nie odczuwając zmęczenia. Przekręcała ją z boku na bok, by odcyfrować gryzmoły na brzegach kartki. Znała je już na pamięć. Pod koniec brzegi kartek były zapisane coraz gęściej. Słowa zataczały kręgi po obwodzie stronicy niczym drapieżniki wokół ofiary, jakby te drobne notatki sporządzane dla samej siebie rozmięły się z właściwym tekstem dziennika i należało je zapisywać oddzielnie. Towarzyszyły im rozmaite maksymy: Piękno to marność... Całe piękno bierze się z pięknej krwi... Bądź piękna i bądź smutna...

Piękno. Kosmetyki. Ciarke Labs. Skojarzenia nasuwały się same.

Wraz z nimi rodziły się pytania. Czy Roger Ciarke jest owym mężczyzną, którego nazwiska nie chciała podać Alicja? Jej doktorem Frankensteinem? Czy nadal przeprowadzane są opisywane przez nią tajemnicze eksperymenty? A jeśli tak, to czy przeprowadzane je w Ciarke Labs, a jej ojciec i siostra nawet teraz się narażają?

- Brakuje ci tego, co?

McCall odwróciła głowę, wytrącona ze swoich myśli. W drzwiach stała Barb.

- Pukałam. Ale bujałaś w obłokach. - Barb skinęła w stronę dziennika. - Myślisz, że kiedykolwiek tam wrócisz?

Barb widziała McCall ślęczącą nad zbyt wieloma dziennikami laboratoryjnymi, aby nie domyślić się, że ten ma znaczenie szczególne.

- Czy ja wiem. Gdybym nawet dostała pracę w genetyce, w co wątpię, to nie wiadomo, czy będę się cieszyła takim zaufaniem jak kiedyś.

- Prawdziwa zbrodnia. Miałaś tyle do zaofiarowania.

- Więc nie wierzysz, że Formuła Omega jest mnie warta? - spytała z uśmiechem McCall.

Brązowe oczy Barbary Rojas zaglądały do samego wnętrza duszy McCall i rozczytywały się w niej jak w nagłówkach dodatków niedzielnych.

- Nie wiem, co kombinujesz, ale szczerze wątpię, czy handlujesz wyłącznie eliksirem miłości. - Barb odgarnęła warkocz swoim charakterystycznym gestem; tym razem był to przejaw zniecierpliwienia. Podala McCall kluczyki. - Stan mówi, że dziś powinnaś skorzystać z samochodu. Jeśli sprawy pójdą dobrze, spodziewamy się ciebie dopiero rano. - Przechyliła głowę na bok. - Dlaczego nie

zapytasz skauta o datę urodzenia? Mogłabym postawić wam horoskop z układu gwiazd.

Zanim McCall zdążyła wymyślić stosowną ripostę, w pokoju rozległ się z furją nalotu bombowego dziki tupot zbiegających po schodach bliźniąt. Barb rozłożyła rece w gescie zniecierpliwienia. Rzuciła kluczyki na toaletkę i ruszyła do drzwi.

- Jestem na to za stara. Już biegnę!

McCall poszła do swego pokoju i schowała dziennik do szuflady. Usiadła przy toaletce, spojrzała na kluczyki i poczuła, że jej żołądek zasługuje na medal olimpijski za wywracanie się na drugą stronę. Oczyma wyobraźni widziała skauta jak na dłoni. Przez ostatnie dni prowadziła nad nim głębokie studia. Analizowała kolor jego włosów, nie mogąc się zdecydować, czy te jasnoróżowe fale były bardziej blond czy rude, próbując sobie uświadomić, czy miał piegi na nosie tak samo jak jego syn. Przypominała sobie rysy jego twarzy, szczególnie tembr głosu, wracała pamięcią do jego dotyku... Wreszcie zrozumiała, jak ważne było to, że nie usłyszała od Curtisa ani jednego słowa na temat Formuły Omegi. Dzięki temu miała jeszcze jeden wieczór na udawanie, że jej życie może być normalne. Że może poznać jakiegoś mężczyznę w drugim końcu zatłoczonego pokoju i zakochać się, jak kiedyś Barb i Stan.

Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, na twarz bez makijażu. Oczy miała ojca, dziwnie zmienne pod wpływem nastroju lub światła. Włosy matki, ciemnokasztanowe, wymykające się jakiemukolwiek opisowi. Sięgnęła po pudełeczko Z cieniem do powiek, który wybrała na ten wieczór, i przybliżyła się do lustra.

Bądź piękna i bądź smutna. Słowa te odbijały się echem w jej głowie. Ich autorem był Baudelaire; sprawdziła w bibliotece. Trzy lata temu po raz pierwszy przeczytała ten aforyzm, a wciąż nie rozumiała, jakie miał znaczenie dla Alicji. Jake bębnił palcami po stoliku, licząc w myślach stojące przed Mac słupki żetonów. Zaczęła od dwustu, a potem stawiała jedno-razowo sto, dwieście lub trzysta. Teraz była już prawie trzy tysiące dolarów do przodu.

Jake pamiętał, co obiecał Garrettowi. Zapowiadała się droga randka.

Przyglądał się, jak Stacie rozdaje karty poszczególnym graczom. Jej biżuteria migotała w blasku lamp. Na każdym palcu nosiła pierścionek, nawet na kciuku... A na niektórych nawet dwa.

74

Kiedy Stacie podawała asa, zerknął na siedzącą obok Mac. Omal nie skreślił się ze złości, gdy następna karta okazała się figurą. Już trzeci raz w tym rozdaniu Mac trafiła idealnie.

- Dwadzieścia jeden - zakomunikowała Stacie.

Kiedy rozdanie dobiegło końca, Stacie sprawnie odliczyła wygraną Mac i wyrzuciła karty do pojemnika. Jake też pomyślał o tym, żeby kazać Stacie spalić talię, co normalnie zrobiłby na swojej zmianie[^] Kierownik zmiany nie mógł pozwolić, by

stolik dokładał do interesu. Kiedy tak się działo, krupier palił talie, to znaczy brał górną kartę z pudełka i wrzucał ją do pojemnika. Może był to zabobon, ale czasami krupierowi udawało się w ten sposób odwrócić zły los.

- Cóż to? O, dzięki, skarbie - bąknęła Stacie, kiedy Mac podsunęła jej napiwek w postaci dwóch żetonów po dwadzieścia pięć dolarów każdy. Stacie mrugnęła znacząco na Jake'a. Doskonale wiedziała, że to były jego pieniądze.

- Chryste - szepnęła kobieta siedząca na drugim końcu stolika. Spojrzała ze strachem na Mac, a potem smutno na pudełko z resztą kart.

Jake wypił łyk wódki z lodem. Kiedy Stacie rozdała mu w sumie nędzną dwunastkę, zerknął z wyrzutem na krupierkę. Odwróciła ósemkę jako swoją „górną” kartę i Jake zastanawiał się spokojnie, co też miała pod spodem. Ponownie do niego mrugnęła, poruszając ustami „dziękuję”, i rzuciła okiem na wypchaną żetonami kieszonkę swojej bluzki. Mac była hojna.

- Lepiej uważaj, Stacie - przestrzegł, rzucając jej spojrzenie. - Ona cię stawia w fatalnym świetle. Tony będzie ci patrzył przez ramię, jeśli damulka utrzyma dobrą passę. - Tony był pokładowym; Na statkach typu **River Palace** kierowników sali nazywano pokładowymi.

- A wygrywaj sobie, kochanie - wycodziła Stacie, puszczając oko do Mac i podzwaniając żetonami w kieszonce. - Ten stary cwaniak Tony może mi skoczyć. Ty też, Jake, mój złociutki.

Jake wypił następny łyk wódki. Powtarzał w duchu słowa, które mówił do siebie przez cały wieczór. To tylko pieniądze. Lecz sposób gry Mac sprawiał niesamowite wrażenie. Nie przypominała żadnego zawodowca, których znał. Nie poprosiła Jake'a o rozgrywkę z dwiema taliami, tylko pozwoliła mu się zaprowadzić do stolika, przy którym grano na cztery talie. Większość tak zwanych zawodowych rachmistrzów lubiła ograniczać

liczbę graczy do trzech. Jake umyślnie przygotował jej stół, gdzie cała piątka wabików miała tylki przysrubowane do plastikowych taboretów. Dwaj gracze byli pijani, jacyś turyści nie przejmujący się grą, nie bardzo nawet trzymający się regul. Piąty gracz był tak zwaną pchłą, stałym gościem znanym z grania o małe stawki i niedawania **napiwków**.

Kiepscy gracze to śmiertelne **niebezpieczeństwo dla** zawodowców. Ciągłe wszystko zmieniali, **nie pozwalając się** skoncentrować. Ale nawet i to nie zbiło **Z tropu Mac. Wygrywała** regularnie.

Jake przegrywał, suma oczek **w jego kartach stale** przekraczała dwadzieścia jeden. Czekał, **aż inni otworzą ręce**. Sposób, w jaki Mac działała, wskazywał, **że jej metoda wykracza** daleko poza liczenie kart czy cokolwiek, **z czym mogła zasiąść** do gry.

Mac była arcyministrzynią. Jake zerknął w dół na jej nogi. **Były gołe, bez pończoch**, odsłonięte do połowy uda. Miała na **sobie obcisłą czarną** sukienkę mini, zapewne od Duponta. Jake też **wystroił się na** ten wieczór -założył swoje najlepsze dżinsy. **Ale sukienka Mac** to było coś. Ponadto na nogach miała sandaalki **z lakierowanej** skóry na wysokim obcasie. Paseczki krzyżowały się **na jej stopach** w seksowny wzorek. Paznokcie u nóg pomalowała **lakierem w** odcieniu czarnoczerwonym.

- Vixen - oznajmiła, wyciągając **dłoń. Pokazała**, że paznokciom u rąk nadała identyczny kolor. **W** przeciwieństwie do Siacie miała bardzo krótkie paznokcie. **Lakier** ukrywał fakt, że Mac je obgryzała, podejrzewał Jake. - Pasuje do szminki - dodała, ściągając wargi, jakby chciała posłać mu całusa.

Jake przyjrzał się jej ustom, wargom, wyglądającym tak miękko i soczyście, po czym zbadał wzrokiem resztę twarzy.

Dzisiaj błyszczące oczy Mac nabrały w blasku lamp odcienia niebiesko-zielonego, z dużymi, ciemnymi źrenicami. Myślał, że to obłęd siedzieć tak i przyglądać się z radością, jak Mac wygrywa jego pieniądze, właściwie delectować się faktem, że to przedstawienie może go kosztować kilka tysięcy dolarów. - Vixen - powtórzył, nie odrywając oczu od jej ust, nie zachowując ostrożności, żalując, że nie mogą zaszyć się w jakimś ustronnym miejscu. - Kto proponuje takie gówna?

- Jakiś dobrze opłacany marketingowiec. - Mac wyjęła z plastikowego kubeczka plasterki cytryny, posłała go przez chwilę, wrzu-

76

cila z powrotem i rozgniotła mieszadłkiem. - Przecież wszystko to opakowanie.

Jakby sama nie miała bajeranckiego opakowania, pomyślał Jake. Obcisła czarna sukienka pozostawiała niewiele dla wyobraźni; gołe nogi i seksowne sandały dopełniały wizerunku demonicznego wampa. Włosy miała dzisiaj długie i proste, nieco podkreślone tylko u dołu. Na ich tle jaśniały skromne, brylantowe klipsy.

-Jak zamierzasz nazwać swój eliksir, Mac? - zapytał, rzucając na stół żeton dwudziestopięciodolarowy. Dał znać Stacie, żeby podała mu kartę, mimo że nie poświęcał całej uwagi grze.

- Myślałam o Formule Omega. Chcę, żeby nazwa przemawiała do obu płci.

Jake burknął niegrzecznie pod nosem.

- Mężczyźni na to nie polecą.

Mac wyłożyła karty na stół, ósemkę i trójkę, dodając kolejne dwieście do swojej puli.

- Kamień, Skala, Twardziel Miłosny - wymieniła kilka z wielu modnych nazw afrodyzjaków. - Wycofane przez Administrację Żywności i Leków, niektóre były nawet śmiertelnie trujące. Zanotowano kilka przypadków zgonów wśród mężczyzn, którzy zażywali wysuszoną wydzielinę żaby, ale nadal idzie jak woda. - Mac pochyliła się bliżej Jake'a, podniosła do ust kubeczek z napojem imbirowym i bardzo powoli wypila drugi łyk. - Czy według ciebie mężczyźni nie interesują się seksem, Jake? - Oblizwała wargi. Seksownie. Zastanawiał się, po co to robiła, dlaczego wraz z ubraniem zmieniała swą tożsamość. Dziś była pułapką na mężczyzn i bezczelnie go uwodziła. - Szukasz kłopotów?

Mac uśmiechnęła się i odstawiła szklanę.

- Chyba oboje doszliśmy do wniosku, że lubimy grać.

Nie do wiary, Mac przesunęła większość wygranych przez siebie żetonów do specjalnego kręgu pośrodku stolika, do miejsca na pulę. Leżało tam już około dwóch tysięcy dolarów.

Oczy wszystkich obróciły się na Mac, która wpatrywała się w Jake'a z tym swoim dziwnym uśmiechem na twarzy. Nie miała oczu z tyłu głowy. Nie mogła widzieć swoich kart, spoglądając na niego w taki sposób.

- Proszę pokazać - powiedziała do Stacie, kiedy przyszła kolej krupierki, a następnie podrapała lekko palcem w stolik na znak, że prosi o kolejną kartę.

Karty Mac pokazywały piętnaście oczek. Odkrytą kartą Stacie była ósemka. Krupierka podała Mac odkrytą dwójkę karo, tak więc Mac miała już siedemnaście oczek.

Jakeowi zatrzepotało serce. To, co robiła Mac, było szaleństwem, tak się nie gra. A jednak podniecało. Jak przejażdżka diabelską kolejką górską w wesołym miasteczku. A on jechał nią razem z Mac.

- Jeszcze jedną - poprosiła Stacie.

Wszyscy wstrzymali oddechy. Stacie odkryła kolejną dwójkę. Kobieta na drugim końcu stolika głośno sapnęła.

- Poczekam - oznajmiła Mac, przecinając powietrze ostrym ruchem dłoni na znak, że na razie nie chce więcej kart. - Teraz chyba kolej na ciebie - zwróciła się do Jake'a.

- Jak gdybym nie wiedział - mruknął. Podobała mu się ta gra, to gwałtowne uderzenie adrenaliny. - Mogę przysiąc, że masz tam coś mocniejszego od napoju z imbirem.

Ale niech to diabli, jeśli nie zasmakował w tym tak bardzo jak Mac. Nigdy nie stawiał więcej niż pięćdziesiąt dolarów w jednym rozdaniu. Uważał po prostu, że to nie jego branża. Teraz jednak z bijącym sercem myślał o odzyskaniu swoich dwóch tysięcy... lub konieczności wysuplania z własnej kieszeni dwóch następnych, gdyby Mac wygrała. Stacie rzuciła wszystkim po jednej karcie i każdy gracz miał w sumie nieco ponad siedemnaście oczek. Potem odwróciła swoją kartę, łącznie miała trzynaście. Wzięła następną - ósemkę. Dwadzieścia jeden. - Przykro mi - bąknęła, zagłuszając powszechny jęk zawodu. - Bank wygrywa. Mac tylko wzruszyła ramionami i zajęła się rozgniataniem kostek lodu.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Jake nie mógł się nadziwić, że to tylko element osobowości, jaką Mac przybrała na dzisiejszy wieczór. Wamp. Ryzykantka. Chyba zwariował, że siedzi tutaj, czuje do niej pociąg fizyczny, a w dodatku delektuje się tym wszystkim. - Nie rób takiej smutnej miny - powiedziała z uśmiechem, jakby czytając w jego myślach. Odchyliła się do tyłu, założyła nogę na nogę i zaczęła kolysać sandałem. - Nadal jestem tysiąc do przodu. - Może nie chodzi mi wcale o pieniądze? Jej oczy zajaśniały błękitem z obwódka zieleni.

- Martwią cię moje feromony?

78

- Nie. A wiesz dlaczego? Bo ten cały eliksir miłości to jedna wielka lipa. Mam wrażenie, że po prostu rzucasz na mnie zwyczajne, staromodne czary.

- Działają?

- Jak dynamit. Mac się roześmiała.

- Pierwszy raz mężczyzna ma do mnie pretensje za to, że czaruję.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, nie wiedząc, co miała na myśli. Nie była przecież typem ciamajdy. Nagle spostrzegł jednak, że Mac jakby zeszywniała na krześle. Wyprostowała się, odsuwając od stolika. Widać było po jej minie, że ma się na bacności. Pomyślał, że może zauważyła kogoś w tłumie, ale nagle spojrziała na niego ponownie, jak gdyby uzmysławiając sobie, że Jake ją obserwuje i że się zdradziła.

Z trudem, ale powstrzymał się przed odwróceniem głowy i rozejrzeniem się dookoła. I tak nic by z tego nie przyszło. Nie miał pojęcia, kogo i czego szukać. Mac uniosła kubeczek i popukała palczką w kostki lodu oraz plasterek cytryny. Ruchy miała gwałtowne, jak gdyby bała się, że cytryna może nagle ożyć i postanowiła unieruchomić ją do końca wieczoru. Po chwili skupiła się na kartach, unikając wzroku Jake'a. Miał jednak wrażenie, że Mac próbuje się wymknąć. Odwrócił się w jej stronę, zmuszając ją, aby spojrziała mu w oczy. - Hej? Cóż się dzieje? Potrząsnęła głową, kończąc z udawaniem.

- Bardzo mi przykro. - Odstawiła napój. - Chyba pójdę zrealizować żetony. - Jeszcze raz spojrziała na Jake'a i powtórzyła: -Przykro mi.

Złapał ją za rękę, nim zdążyła się odsunąć. Przykro mi. Zastanowiło go, że już słyszał te słowa. Od Susan, kiedy uciekała od niego na mroźną północ. Od Hope, kiedy zabierała Michaela, upoważniając adwokata Dickeya, aby próbował go przekonać, co leży w najlepszym interesie jego syna. Przykro mi.

Czuł, że jej ręka drży w jego dłoni. Mac spoglądała za siebie w tłum ludzi, prawie tak, jakby coś ją do tego zmuszało.

Kiedy odwróciła się twarzą do Jake'a, wionął od niej dziwny chłód. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli pozwoli teraz Mac odejść, nigdy już jej więcej nie zobaczy.

- Może powinieneś panią puścić - odezwała się Stacie, ta słodka, rozważna Georgia Peach, którą udało mu się namówić, aby

dla niego rozdawała. - Jesteś tylko tysiąc do tyłu. Parę minut temu kosztowałaby cię trzy razy tyle.

Mac przeszzywała wzrokiem Jake'a. Widział nieomal, jak obracają się trybiki w jej głowie.

- Co to ma znaczyć? - Bez wątpienia jednak wszystko zrozumiała.

- Nie sądziłaś chyba, że pozwolę ci grać za pieniądze kasyna? Skończyłbym na zielonej trawce.

Mac wręcz oniemiała, a potem poczuła wstyd, jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku.

- No, oczywiście. Tak mi głupio. Wcale nie chciałam... - Przesunęła do Jake'a wszystkie swoje żetony, nawet te za dwieście dolarów, które ze sobą przyniosła. Wyjęła z torebki banknot dwudziestodolarowy i podała Stacie. Ręce jej wyraźnie drżały.

- Dziękuję - szepnęła do krupierki. - Proszę, nie idź za mną - powiedziała do Jake, kiedy ten również wstał.

Patrzył, jak Mac przeciska się między Itolikami, z trudem powstrzymywał się, żeby za nią nie pobiec. Przekonywał siebie, że może tak będzie najlepiej. Niech sobie idzie. Nie próbuj tego zrozumieć.

- Przykro mi, Jake. Hola, hola, tylko mnie nie zabij, dobrze? - powiedziała Stacie w momencie, kiedy na jej miejscu usiadła nowa krupierka.

- Nie ma sprawy - bąknął machinalnie, wciąż walcząc z pokusą, aby pobiec za Mac.

Nadszedł Dino. Na widok oddalającej się Mac zagwizdał pod nosem. Miał na sobie koszulę, jaką tylko może nosić Grek. Szykowną, wzorzystą i biało-czarną, którą podobno kupiła mu matka na wakacjach w Paryżu; starsza pani była wdową, uwielbiała podróże, a Dino uwielbiał jej dogadzać.

- Co jest grane? - spytał. - Umówilem się tu z Suzy, żebyśmy na własne oczy mogli obejrzeć RANDKĘ. Bałem się, że pani doktor będzie chciała cię załatwić, że może powinniśmy być pod ręką, żeby ratować sytuację i zaaplikować ci dwunastoetapowy program przeciwko podrywaniu kobiet w knajpach i kasynach. A teraz widzę, że ona wychodzi z pustymi rękami? Coś mnie ominęło?

Dino uważał siebie za człowieka, który rzadko się myli.

- To przeze mnie - oznajmiła Stacie, wycofując się od stolika, kiedy gra, w której rozdawała na specjalne zamówienie Jake'a, dobiegła końca. - A wydawała się taka słodka. Nie przypuszczałam, że zgarnie forszę Jake'a. Poniekąd się wygadałam.

80

Dino spojrział na stos żetonów i zorientował się natychmiast, że ich wartość grubo przekracza tysiąc dolarów. Potrząsnął głową.

- Masz szczęśliwą passę, Irlandczyku.

- Sama nie wiem - ciągnęła Stacie ze smutną miną. - Była taka wzburzona. Źle zrobiłam, Jake?
- Mniejsza z tym - rzekł, odprowadzając Mac wzrokiem.
- Wiesz, ona naprawdę jest słodka - dodała Stacie. - Fajna babka. Mówiła o Mac. O kobiecie w czarnej sukience opinającej się na tyłku, o kobiecie, która malowała sobie paznokcie lakierem Vixen. O profesjonalistce, która zgarnęła okrągłą sumkę jego pieniędzy - a potem, dowiedziawszy się prawdy, oddała je kasynu, Niestety Stacie miała rację. I po prostu nie mógł tego pojąć. Feromony. Oczko. Fajna babka. To wszystko po prostu nie trzymało się kupy. McCall upewniła się, że Jake za nią nie pobiegł, i dopiero potem ośmieliła się odszukać Belinę. Znalazła siostrę przy automacie na jednodolarówki. Belinda śmiała się i flirtowała z jakimś mężczyzną w kiepskiej peruce i okularach. McCall przypomniawszy sobie transparent na pomoście: WITAJCIE NA POKŁADZIE, AMERYKAŃSKIE TOWARZYSTWO NEFROLOGICZNE. Facet sprawiał wrażenie idealnego kandydata na kongres nefrologiczny. Belinda miała na sobie elastyczną bluzeczkę żółtawego koloru, ledwie sięgającą pępka. Jasne włosy upięła w taki sposób, że twarz okalały miękkie pukle. W tym momencie wyraźnie przyprowadziła faceta o dreszczyk. McCall przecisnęła się przez tłum stojący naprzeciw automatów, po czym skręciła w kierunku siostry. Nie wiedziała, co Belinda tu robi, miała jednak skrytą nadzieję, że młodsza siostra chciała się z nią zobaczyć, że zadzwoniła do Barb i dowiedziała się, gdzie ją można znaleźć. Zobaczywszy Belinę, miała ochotę natychmiast do niej podbiec, ale nie chciała, by Jake też wziął w tym udział. Układy między nią a siostrą były już wystarczająco zagmatwane. McCall sięgnęła po kubek z monetami uczestnika kongresu i popchnęła go kilka automatów dalej, gdzie czekała wolna maszyna.
- Można? - Zamrugła powiekami. - Na chwilę dziewczęcej rozmowy?
- Hej - zawołała Belinda, wstając. - Pracuję przy tym automacie cały wieczór.

78

- Doprawdy? - zdziwiła się McCall.
Nie miała pojęcia, co ją podkusiło. Przeczucie. Nastrój. A może to Barb i jej układ gwiazd oddziaływały na McCall. Tak czy owak - choć była to czysta bezczelność - wyjęła z cudzego kubelka trzy monety i wcisnęła do szczeliny w automacie. Szarpnęła rączką i czekała, aż w okienkach znieruchomieją trzy migoczące obrazki. Pojawiły się trzy siódemki: czerwona, biała i niebieska. Bach, bach, bach.

Automat eksplodował feerią barw i świateł jak fajerwerki na Czwartego Lipca. Dzwonki i gwizdki z jazgotem poprosiły o uwagę, a do metalowego pojemnika runęła lawina monet. McCall czuła, że zamiera jej dech w piersiach. Potężna dawka adrenaliny omal nie wzięła góry, ale siłą woli udało jej się stawić czoło nefrologowi w peruce.

- Chyba teraz może pan sobie iść gdzieś indziej - oświadczyła łagodnie. - Ten automat wydaje się już pusty.

Odwróciła się do siostry, a nieznajomy rżąc i pokrzykując zatopił dłonie w wygranej, aż monety trysnęły na podłogę. W oczach Belindy malował się dziwny przestach. Jej spojrzenie uruchomiło w sercu McCall więcej dzwoneczków i gwizdków niż jakikolwiek automat do gry. Zmówiła krótką modlitwę dziękczynną, ponieważ ów okruch szczęścia był idealnym wprowadzeniem, jakiego potrzebowała po czterech latach.

McCall ujęła w dłoń rękę siostry i uśmiechnęła się do niej. - Chodź. Może i twój automat sypnie forsaż?

Belinda bez słowa złapała rulon z monetami i wrzuciła go do torebki. Potem wstała i poszła za siostrą.

McCall nie chciała wpaść na Jake'a, zeszły więc do baru piętro niżej. Tu przeważały motywy safari - bambusowe markizy i sztuczne skóry zebry na krzesłach. Znalazły dwa wolne miejsca i usiadły, lekceważąc automaty do gry w wideopokera, wbudowane za szklanymi ekranami, które miały zachęcać klientów siedzących przy barze do gry w czasie picia.

Najwyraźniej żaden skrawek powierzchni nie marnował się w tym pływającym kasynie. - Skąd wiedziałas, że przy tamtym automacie można wygrać? McCall zastanowiła się, jak najlepiej odpowiedzieć siostrze. Ograniczyła się do powiedzenia prawdy.

- Właściwie, byłam pewna, że przegram. Zamierzałam powiedzieć do niego coś mądrego, na przykład - „Zdaje się, że masz pan

dzisiaj pecha." Napój imbirowy" zwróciła się do barmana. -Z mnóstwem lodu i plasterkiem cytryny. Odwróciła się ku siostrze z ciekawością, co też Belinda zamówi. Ta spojrziała na barmana, lysego faceta pod sześćdziesiątkę, i pochyliła się nisko nad kontuarem, otwierając przed barmanem wspaniały widok na swoje piersi.

- Zamawiam screwdrivera i pieprzenie w usta - powiedziała niskim, roznamietnionym głosem, który wydawał się absolutnie szczerzy. Mężczyzna nawet nie mrugnął, wziął po prostu butelkę galliano i tarniówkę, po czym zaczął nalewać Belindzie screwdrivera na ostro. McCall zaniepokoiło zachowanie Belindy. Myślała o swoich własnych igraszkach ze skautem. Dzisiaj nachalnie go podrywała, a przecież było to do niej niepodobne. To jednak nic w porównaniu z tymi dotknięciami i uśmiechami, którymi Belinda obdarzała nefróloga, zapewne całkiem obcego człowieka. Gra, która toczyła się między McCall a Jake'em, wydała się czymś szczególnym... i bardzo osobistym. Ich taniec był prywatną sprawą. Belinda, kobieta zaręczona, która niedługo miała wyjść za mąż - prawie jeszcze nastolatka - popisywała się tym przed każdym, kto chciał tylko patrzeć. Barman postawił szklanki na kontuarze. McCall obserwowała, jak siostra sięga po swego drinka. Trzęsły jej się palce. Ona drży - pomyślała.

Bez zastanowienia położyła rękę na dłoni siostry. Belinda zerknęła na nią przez swoje długie rzęsy. Twarz młodziutkiej, trochę zagubionej dziewczyny przywiodła McCall na pamięć ostatnie słowa umierającej matki: Oddalam mu Belinę, ponieważ strasznie za tobą tęsknił.

Ścisnęła palce siostry; doszła do wniosku, że dobrze zrozumiała matkę. Poczula nagle, że ma dużo zaległości do odrobienia, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

- Dowiedziałam się od Barb, gdzie jesteś - powiedziała Belinda, wzruszając ramionami. - Ale kiedy zobaczyłam cię przy tym stoliku, chyba dostałam cykora. - Belinda cofnęła dłoń, podniosła screwdrivera do ust i napiła się. - Zwątpiłam w sens przyjscia tutaj za tobą.

McCall myślała o czterech minionych latach, o miesiącach marzeń, by nadeszła taka chwila. Aby miała drugą szansę. - Nie, dobrze zrobiłaś, że przyszłaś. Minęło tyle czasu, Belin-do. Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Sytuacja była niezręczna. Siostry nigdy nie były ze sobą blisko. Kiedy urodziła się Belinda, McCall miała już prawie dwadzieścia lat i brała udział w tylu specjalnych zajęciach, że zostawał jej niewiele czasu dla rodziny. Przerwanie wieloletniej ciszy było dla niej trudne, uważała jednak, że jest to bardzo ważne. Pozwolił by ojciec zostać jedynym autorytetem Belindy, by zbudował wokół niej mur, tak że w końcu tylko on się dla niej liczył. Kiedy skazał McCall na wieczne potępienie, uwierzywszy w najgorsze oskarżenia rzucone na córkę, nic już jej nie pozostało. Nie chciała, by to samo spotkało jej siostrę.

Belinda potrząsnęła głową.

- Wciąż nie mogę się nadziwić, jak udało ci się wygrać na tym automacie. Ty zawsze miałaś szczęście.

Bo zdobyłaś uwagę tatusia. Bo jesteś taka bystra. Można to było łatwo wyczytać między wierszami.

- Belindo. Wiem, że tata opowiadał różne rzeczy... o mnie i o tym, co się stało cztery lata temu. - Nagle McCall postanowiła nawiązać prawdziwy kontakt z młodszą siostrą. - Wiem, co i tata myśli, ale to nieprawda. Ani trochę. Czuli jednak, że same słowa nie wystarczą, argumenty były zbyt wątpliwe i spóźnione. Nawet w jej własnych uszach brzmiały nazbyt defensywnie.

- Twierdzisz, że nie sfalszowałaś danych? Że to wszystko była pomyłka?

- Zaczniemy od początku - zaproponowała McCall, wycofując się trochę, nakazując sobie ostrożność. Belinda zaręczyła się z Rogerem. Podobnie jak ojciec miała koneksje z Clarke'ami. Nie zechce wysłuchiwać podejrzeń McCall nie popartych dowodami. - Co u ciebie, Lindy? - spytała, używając zdrobnienia Belindy z czasów dzieciństwa. A potem napomknęła o jedynej sprawie, która zawsze siostrę najbardziej interesowała. - Jak tam twój taniec? Niesamowite, ale zadanie tego pytania okazało się błędem; zrozumiała to natychmiast. Rysy Belindy stężyły w sposób nienormalny u dwudziestoletniej dziewczyny.

- Już nie tańczę - odpowiedziała, sięgając po drinka. Szklanka wyslizgnęła jej się z rąk, alkohol wylał się na kontuar i zmoczył kolana Belindy. Zerwała się, wycierając serwetką kostki lodu i sok pomarańczowy z sukienki. Następnie zmięła serwetkę i rzuciła ją na kontuar. - To głupie, chciałaś po prostu dalej kłamać w ży-

84

we oczy i wszystko zniszczyć - powiedziała, po czym dodała, jakby żałując swoich słów: - Słuchaj, muszę już lecieć.

Zaskoczona McCall spoglądała na oddalającą się siostrę. Dopiero w ostatniej chwili zerwała się na nogi. Belinda zniknęła w tłumie, McCall dogoniła ją kilka kroków od podwójnych drzwi. Statek przybił już do brzegu.

- Przykro mi, Belindo. Myślałam tylko...

- Wiem, o czym myślałaś - przerwała, odpychając rękę siostry.

- Belindo, posłuchaj. Wiem, że nigdy nie byliśmy sobie bliskie. Miałam jednak dużo czasu na myślenie o moim dotychczasowym życiu. Dużo rzeczy już zmieniłam. Proszę, pozwól mi zmienić również i to. Spojrzenie Belindy złagodniało. Przez chwilę McCall wydawało się, że to wreszcie dobry początek. Znowu miała przed sobą pełne szacunku oblicze młodszej siostry, dziewczyny, która zawsze ją podziwiała, zadowolając się tymi króciutkimi chwilami, które McCall mogła jej poświęcić. Nagle jednak twarz Belindy zachmurzyła się ponownie, a jej spojrzenie przybrało wyraz chytryści.

- Zobaczymy - oznajmiła. Zataczając się lekko, ruszyła niepewnym krokiem przed siebie. - Na razie, siostrzyczko - rzekła i pomachała do niej przez ramię.

7

Belinda Sayer ukrywała się w żeńskiej toalecie.

Siedziała w ubikacji na muszli klozetowej. Dobrze знаła toalety Palace Hotel Restauracja na górnym pokładzie River Way, była ulubionym lokalem Rogera, miejscem, gdzie mógł obnosić się wśród personelu swoją przyjaźnią z właścicielem oraz delectować specjalnym traktowaniem. Jeśli chodzi o Belinę, ta wolała toaletę.

Przyglądała się swojemu azyłowi wyłożonemu różowym marmurem. Taka toaleta zyskałaby aprobatę jej matki, prawdziwej Damy z Południa. Wykończona z przepychem pałacowa komnata. Na umywalce niczym posłuszni żołnierze stały w pogotowiu rozmaite kosmetyki, lakier do włosów, a nawet płyn do płukania ust i papierowe kubeczki. W koszu leżały równo ułożone ręczniki

ki, a wszędzie były rozrzucone maleńkie orchidee. Drzwi do kabiny były prawdziwymi drzwiami, sięgającymi samej podłogi, za nimi, niczym w prywatnym pomieszczeniu, człowiek mógł sobie płakać do woli, bo nikt nie zwróciłby na to uwagi.

Belinda patrzyła na ręcznik, który trzymała w rękach. Tusz do rzęs zostawił na nim czarne plamy, niczym wzorki z testu psychologicznego Rorschacha. Pokrzepiająca mgielka wypitego alkoholu już się rozwiała. Nigdy nie utrzymywała się dostatecznie długo; nigdy tyle, ile trzeba... Ale Belinda bała się pić za dużo. Nie chciała stać się nałogową alkoholiczką jak matka. Nie chciała skończyć w łóżku z rurkami w nosie i igłami w żyłach i umierać taką samą niechlubną śmiercią. Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w dźwięki muzyki; nawet w toalecie były głośniki. Jezioro labędzie Czajkowskiego. Oczami wyobraźni widziała samą siebie tańczącą partię Odylii, czarnego labędzia. Wspomnienie piruetów i podskoków działało równie skutecznie jak alkohol. Belinda tańczyła przez całe życie.

Solistką sławnego zespołu baletowego to ty nie jesteś.

Nie jesteś sławna, jak McCall.

McCall, oczko w głowie tatusia.

Belinda starała się powstrzymać te słowa, nie chciała wysłuchiwać ciągłej krytyki, że jest bezwartościowa, taka chodząca miernota. Matka też była słaba, nie była w stanie opiekować się córkami, nie potrafiła utrzymać firmy swojego ojca.

Kobieta bezyteczna.

Belindo, jesteś taka jak ja - słyszała szept matki. - Rozczarowałeś mnie, Belindo - narzekał ojciec w jej myślach.

- Nie! - krzyknęła, przyciskając dłonie do uszu.

Rozczarowałeś, rozczarowałeś, rozczarowałeś. Znajoma litania żalów i pretensji. Doszło do tego, że młodsza córka kojarzyła się ojcu wyłącznie z czymś złym.

Lepsze to, niż być ignorowaną. Niż być traktowaną jak powietrze. Miernota, powtarzała sobie mimo wszystko.

Myślała o ojcu, który, podobnie jak zeszłej nocy, będzie czuwał póki Ona nie wróci, będzie sączył herbatę przy kuchennym stole w ich domu w Dzielnicy Ogrodowej, w domu prawdziwym, w klejnocie królewskim, który odziedziczyła matka, któremu poświęciła całą miłość i troskę, jakich poskapiła córkom, restaurując malowidła ścienne, dobierając meble z epoki. Belinda polykała lzy. Oczywiście, tatuś nie pójdzie spać, dopóki córeczka się nie zjawi, będzie się zamartwiał, że znowu wróci pijana.

Wyobrazila sobie ojca kursujacego wokol kuchennego stolu tym swoim krokiem, ktorego tak strasznie zawsze sie bala. To bylo jego przyzwyczajenie, kursowac dookol stolu. Sposob na zbieranie myśli. Ale Belinde ta czynnosć oniesmielala, przywoływała filmy, na których więźniów przesłuchiowano w ostrym blasku lampy.

Kiedy tak siedziala w restauracyjnej ubikacji i rozmyslala o swoim ojcu, lekki szmerek alkoholowy ustapil nagle miejsca tepemu bolowi glowy. Belinda zaczelala sie upijac rok temu, kiedy wrócila po raz pierwszy nietrzeźwa z przyjecia z Rogerem. Wiedziala, ze ojciec sie zirytuje. Moze wlasnie dlatego to robila. Lepsze to, niz pozwalac sie ignorowac.

- Chce cię spytac o cos bardzo waznego, Belindo. - Nawet w tym zamknieciu jego slowa zdawaly sie krzycz niebezpiecznie blisko wokol niej. - Niech mi Bóg wybaczy, ze nie zdołalem pomoc twojej matce. Ale ty jesteś moja córka. Musze ci pomoc. Belindo, nie sadzisz, ze masz problem alkoholowy? Potrzebujesz pomocy? Jakiegoś dyskretnego miejsca w klinice? Mozesz powiedziec wszystkim, ze jedziesz na wakacje.

Przypomniała sobie, jak klęczac przed nią, niespodziewanie wzial ją za rękę. Rodzony ojciec, wybitny uczony, czlowiek rzadko okazujacy uczucia.

Tylko w takich chwilach czula, ze mu naprawde na niej zalezalo; uzmyslowila to sobie po raz pierwszy. Ilekroć postapila nie tak, jak trzeba, zawsze budzil sie w nim ojciec, jakby dopiero wtedy przypominal sobie o swoich obowiazkach.

- Wszyscy, ktorych kocham, odeszli - mowil do Belindy, delikatnie pocierajac jej dlon, jakby chcial w ten sposob zetrzec nagromadzony tam od miesiacy brud. - Czy nie rozumiesz? Jesteś wszystkim, co mi pozostal.

Czula, ze wzrusza sie nawet pod wplywem wspomnień. Chciala byc jedyną osoba, która ojciec kocha. Strasznie chciala, zeby jej potrzebowal. Zeby w ogole ktos jej potrzebowal. Nie chciala byc traktowana jak powietrze, nie chciala, aby jej imie znano tylko w klubach i barach, wśród ludzi samotnych, na ktorych nikt nie zwraca uwagi.

- Chodzi o McCall, prawda? - pytal. - O jej powrot? McCall nie zrani nas juz nigdy. Nie pozwolimy jej na to.

A potem wszystko, prawie w jednej chwili, rozwialo sie - jego uwaga, miłosć - i pozostalaly watpliwosci, czy to cos w ogole mialo miejsce. Juz rozumiesz! Jemu wcale nie zalezalo. To tylko

wybieg. Dźwięk tych słów **narastał w niej przez ostatni rok**, odkąd uświadomiła sobie, że **zrezygnowała ze wszystkiego**, co miało dla ojca znaczenie.

Czasami zadawała sobie **pytanie, czy nie taką samą** krzywdę ojciec wyrządził McCall? Czy **nie to samo spotkało** matkę? I czy teraz po prostu nie przyszła kolej **na nią**.

Co u **ciebie, Lindy? Jak tam twój taniec?** Belinda zwinęła na kolanach ręcznik, rozpamiętując spotkanie z **McCall**. Siostra zapytała ją o taniec. Nazwała ją Lindy.

Nagle Belinda dostała czkawki. **Patrzyła na** podłogę kabiny, czując lekkie mdłości od przepicia. **Tam, przy** kontuarze, chciała uwierzyć siostrze. Zostać jej przyjaciółką. **Było** to jak wejście w znajomą rolę. Przez tyle lat chodziła **krok w krok** za McCall, za mądrzejszą, starszą siostrą. Pojechała **do kasyna**, żeby jej poszukać, właśnie dlatego, że doskonale **pamiętała**, jak kiedyś układały się sprawy między nimi.

Solistką w sławnym zespole baletowym to ty nie jesteś. Słowa ojca zabrzmiały ponownie w jej pamięci, zacierając wspomnienie serdecznego zainteresowania ze strony siostry. Ojciec nie krył swego poglądu, że balet to strata czasu, jeśli nie można być primabaleriną, a przynajmniej solistką. A Belinda wówczas zgodziła się z tym stanowiskiem, nie chciała dłużej należeć do grupy statystek. Marzyła, by zrobić coś ważniejszego ze swoim życiem, tak jak proponował ojciec. U jego boku. W laboratorium.

Obecnie pracowała w Ciarke Labs jako jego asystentka, na stanowisku, na którym ojciec zawsze widział McCall. Tylko że McCall uważała się za coś lepszego. Porzuciła ich i skompromitowała rodzinę, fałszując wyniki badań. To był koniec jej kariery.

Przeciwnie Belinda. Teraz ona była grzeczną córeczką. Tą, która zaręczyła się i ma wyjść za mąż za Rogera, prawowitego spadkobiercę fortuny.

Lecz im Belinda była lepsza, tym częściej ojciec traktował ją jak powietrze. Im bardziej doskonalila swe umiejętności - jako zdolna laborantka, przyszła synowa szefa - tym mniej czasu spędzał z nią ojciec. Dopiero kiedy mu zawadzała albo rozpraszała jego uwagę, w ogóle ją dostrzegał.

Teraz zaś, kiedy McCall wróciła, Belinda utraci ojca na nowo, tak jak traciła go przez całe życie.

Nie umiała zerwać z tańcem i zakończyć kariery wśród girlasek.

85

Nie była tak bystra jak McCall. Brakowało jej też urody, aby przyciągnąć błędzący wzrok Rogera.

Stopniowo zniknie z horyzontu, stanie się Belindą z przeszłości. Już teraz nie miała oparcia ani w przemijającym zainteresowaniu matki, ani w swoim tańcu.

Raptem przypomniała sobie siostrę siedzącą przy barze, to jak ujęła ją za rękę, jak ją uścisnęła. McCall zapytała ją o tanięć. Belinda urwała skrawek papieru toaletowego i wydmuchała nos. Nie wiedziała, komu zaufać, a nawet czy jej zaufanie do kogoś ma znaczenie. Wyrzuciła papier i spuściła wodę. Zerknęła na zegarek. Za piętnaście minut statek-kasyno odbije od brzegu, wypływając w krótki rejs wokół portu. Jeśli się pośpieszy, być może odnajdzie tego milego mężczyznę przy automatach, jednego z ludzi, których traktowała jak powietrze, takich samych jak ona. Ktoś zaparkował srebrne ferrari w poprzek podjazdu, zastawiając jej drogę. McCall zatrzasnęła drzwi bmw rocznik 91 należącego do Stana i Barb i obeszała sportowy wóz. Parkowanie w Dzielnicy Francuskiej zawsze sprawiało trudności, ale ten kierowca, wcisnąwszy swoje ferrari równoległe do krawężnika, zatarasował połowę podjazdu. Tylko kuta żelazna brama powstrzymała go od dalszej jazdy. Nawet gdyby McCall zdołała wjechać na chodnik i ominąć tamten wóz, pozycja intruza uniemożliwiłaby jej otwarcie bramy.

- Niech to cholera. - Oto doskonale zakończenie koszmarnego wieczoru.

Z tyłu doleciał ją cichy chichot.

- Doktor Miłość używa brzydkich wyrazów. Co by pomyślała Sally Jessie i jej zgraja w programie „Twarzą w twarz”?

McCall odwróciła się, wypatrując w słabym świetle latarni. Sprawa ferrari została wyjaśniona. Była to nowa zabawka Rogera.

Czaił się wśród pnączy winorośli na podwórzu, teraz zszedł na chodnik, ustawiając się między McCall a drzwiami do osiemnastowiecznej przybudówki, w której mieszkali Stan i Barb. McCall otworzyła bramę, czując nagłą niechęć do tego miejsca, które miało przecież być jej azylem.

- Nic dziwnego, że ukrywasz się wśród cieni - powiedziała, siląc się na wesoly ton, choć widok Rogera w tym miejscu i przy świetle księżyca robił niesamowite wrażenie, a winorośl i papro-

89

cie w ogrodzie Barb potęgowały jeszcze poczucie zagrożenia.

Roger zaśmiał się. Stał przed nią ubrany w szykowną turkusową marynarkę i dobrane pod kolor spodnie z jakiegoś delikatnego welwetu, który połyskiwał przy każdym ruchu. Szeroki kołnierzyk koszuli był wyłożony, pozwalając stwierdzić, że klatka piersiowa Rogera jest gładka, bez jednego włoska. Musiało go to kosztować parę tysięcy. Niewielu byłoby z tym do twarzy. Do Rogera pasowało idealnie.

- Sławna Doktor Miłość. - W ustach Rogera, który miał zwyczaj przeciągać głoski, przydomek ten zabrzmiał jeszcze bardziej absurdalnie. - Od genetyczki do szarlatanki. Hmm, hmm. Nie do wiary, jak wielkość potrafi się stoczyć. Fakt

faktem, wyglądałaś apetycznie w tych reklamówkach. I wyrażałaś się jak skończona erudytko, naprawdę, kiedy kupczyłaś oliwką z węża swego aktualnego klienta. No, a ten gniot zeszłego roku... Tego mógłbym spróbować, kochanie.

- Jeśli skończyłaś z tym curriculum vitae... Strzelił palcami, jakby nagle coś sobie przypomniał.

- Wiesz, dałem twoje zamiary jednemu gościowi. Nazywa się chyba Frank Weiss. Wprowadzał na rynek jakieś witaminy na podniesienie męskości. Dzięki czemu fujara będzie ci dłużej grała. - Zbyt długo przeciągał samogłoski nawet jak na urodzonego nowoorleańczyka. - Powiedziałem mu, że masz te wszystkie ładne tytuły, Harvard, Politechnika Kalifornijska, a drobne brudy z twojego życia nie będą obchodziły nikogo, kto kupuje jego chłam. Czy Frank do ciebie zadzwonił? - Musiałam przeoczyć. Skąd się tu wzięłaś, Roger? Podalam twojemu ojcu tylko mój służbowy numer. Roger wydał usta. Chłopięca twarz właściwie bardzo do niego pasowała, do jego rozczochranych, złocistobrązowych kędziurów oraz pełnych warg. - Jakoś nie jesteś tak cięta jak Barbara. Twoja przyjaciółka nie chciała mi powiedzieć, gdzie się podziewasz. Wciąż próbuje cię chronić przede mną - powiedział, nawiązując do ich dawnego związku. McCall i Roger spotykali się przez kilka miesięcy. Właśnie wtedy odkryła, że czar Rogera ulatniał się mniej więcej w drugim tygodniu. - Grałam - odparła. - W kasynie twojego kumpla, jeśli chodzi o ścisłość. - McCall poszła do River Palace z polecenia Rogera, ponieważ dzięki temu mogła oskubać z pieniędzy kogoś z jego grona. - Ile wygrałaś?

90

- Okazało się, że to nie jest mój szczęśliwy wieczór.

Roger zaśmiał się ponownie, rozumiejąc, co miała na myśli. Wyjął papierosa ze srebrnego etui, zapalił i zaciągnął się głęboko.

- No, proszę. Nieźle wyglądasz, kotku. - Zagwizdał cicho i wypuścił dym nosem, nie spuszczać z oczu McCall. - Wystrojona jak laleczka.

Wzięła papierosa, którego jej podał. Pamiętała, że zawsze to robił, kiedy się spotykali, a ona godziła się, żeby mu zrobić przyjemność. Tym razem trzymała papierosa w palcach dopóki nie zgasł; nie chciała dotykać ustami miejsca, którego wcześniej dotykały usta Rogera.

- No, proszę, Roger - westchnęła, podnosząc na niego wzrok, naśladując jego manierę. - Widzę, że odstawiasz te same obrzydliwe numery.

Już miała wyrzucić papierosa, gdy nagle Roger złapał ją za rękę i silnym szarpnięciem przyciągnął ku sobie. Jego uśmiech był fałszywy, obłudny.

- Nigdy nie traktowałaś mnie poważnie - powiedział, unosząc brwi. - Powinnaś już zmadrzeć, szczególnie po nauczce z Alicją.

Milczała przez dłuższą chwilę. Takie gierki Roger lubił najbardziej. Zawsze zaprzeczał, że miał coś wspólnego ze śmiercią Alicji Goodman, a jednak od czasu do czasu wspominał o tym, podsycając podejrzenia McCall.

- Mam się przestraszyć? - zapytała, skacząc na głęboką wodę. - Ze możesz mnie'zabić tak samo jak biedną Alicję?

Młody Curtis wyszczerzył zęby.

- Przecież powiedziałaś ojcu, że już nie obwiniasz nas o jej śmierć.

- To ty się posługujesz pogroźkami, Roger - odparła, po czym wyswobodziła rękę i rzuciła papierosa na ziemię. - Ja tylko wyciągam wnioski.

Roger pochylił się bliżej i McCall owiała woń nikotyny z jego oddechu.

- Wiesz co, kotku, na twoim miejscu byłbym niespokojny. I to bardzo. Ale tamtego wieczoru z Alicją - mrugnął znacząco

- mieliśmy po prostu strasznego pecha. Żeby samochód nagle zjechał z drogi. - To ty tak mówisz. Dziwne, że to właśnie ty prowadziłeś jej

samochód. Nie miałam pojęcia, że byliście ze sobą tak blisko.

- Nie wiedziałaś, że doktor Goodman miała do mnie słabość? Może byłem jej małą tajemnicą. - Przycisnął palec do ust.

- Szszsz.

Może robiliśmy coś złego i odczuwają wstyd, bo była dużo starsza ode mnie. - Roger postąpił krok w stronę McCall. - Dobrze ci w tej sukience. Trzeba było kiedyś częściej nosić takie. - Zmienił raptownie temat, szepcząc do niej tym swoim niskim głosem, który swego czasu uważała za seksowny. - Ładne i obcisłe, jak ta. Które informują faceta, gdzie ma położyć dłonie. Roger objął ją za pośladki i przyciągnął mocno do siebie. Wysunął do przodu brzuch, żeby mogła poczuć jego twardą męskość. Zmusiła się do skromnego uśmiechu. - Och, Roger - wyszeptala cieniem, zdyszczanym głosem, jakim zapewne mówiłaby cztery lata temu. Przeciągnęła palcami po jego kręconych, brązowych włosach rozjaśnionych pasemkami blond, jak gdyby zastanawiała się, czy go nie pocałować. - Chyba zaraz zrobi mi się przez ciebie niedobrze. Na twoim miejscu odsunęłabym się na bok. Mogę ci obrzygać te śliczne drogie pantofelki.

Roger skrzywił się. Na jego **twarży malowało się** zmieszanie, które po chwili przeistoczyło się w **złośliwy grymas**. McCall nie mogła powstrzymać się od parsknięcia **śmiechem**. Chciała się śmiać z Rogera. Pragnęła go upokorzyć. **Nie chciała** odczuwać strachu, rozmyślać o minionych czterech **latach i** zastanawiać się, jak daleko Roger i jego ojciec posunęli **się, aby osiągnąć** swój cel.

- No, proszę. Czyżbym cię uraziła? - **spytała**, krzyżując ręce na piersiach. - Daj spokój, Roger. Już to **przerabiałam**. Nie sądzisz chyba, że ponownie wdam się w **romans z takim** lowelasek?

- Twoja siostra najwyraźniej nie ma **przed tym** oporów. Słowa Rogera poraziły ją niczym prąd elektryczny. Mnóstwo pomysłów zaświtało jej w głowie. Najchętniej podrapałaby mu twarz do krwi i kazała odzepić się od Belindy. Uznała jednak, że najlepszą obroną siostry jest okazanie Rogerowi obojętności. - To już duża dziewczynka. Sama wie, czego jej trzeba. Roger skinął głową. Ruszył w kierunku ferrari, jakby zamierzał odjechać. W ostatniej chwili odwrócił się.

- O mały włos nie uwierzyłem, że ci nie zależy, kotku - szepnął jej do ucha, muskając wargami policzek. - O mały włos. Teraz on z kolei się roześmiał, otwierając bramę i opuszczając mały dziedziniec. Kiedy odwrócił się do **McCall** zza ogrodzenia, poświata księżycy i blask latarni ulicznej przecinały mu twarz cieniem kutych, żelaznych krat. - Tata kazał cię pozdrowić - zawołał. Zamknął bramę i wsunął ręce do kieszeni, rozplywając się w uśmiechu wartym milion

92

dolarów. - Nawiasem mówiąc, dostałaś pracę. Do zobaczenia w laboratorium w najbliższy poniedziałek. Punkt ósma. - Posłał jej całusa i dodał: - Tylko się nie spóźnij, kotku.

Podszedł do ferrari, nucąc coś niemelodyjnie, otworzył drzwi i wcisnął się za kierownicę. Po chwili silnik ryknął, budząc połowę mieszkańców Dzielnicy Francuskiej, i samochód pomknął w głąb ulicy.

McCall poczuła mdłości, wyobrażając sobie Belindę flirtującą z dwukrotnie starszym od niej nefrologiem oraz lysiejącym barmanem. Oto do jakiego straszego stanu doprowadził ją Roger. Roger i jego gierki.

Wymacała klucz w torebce; ręce trzęsły się jej bardziej niż zwykle.

- Uratuję cię, siostrzyczko - powiedziała. Postanowiła wyrwać Belinę ze szponów Rogera. Nie mogła pozwolić jej wejść do tej rodziny zbrodniarzy. - Uratuję was oboje, ciebie i ojca.

Profesjonalny gracz w oczko. Cudowne dziecko genetyki. Miła dziewczyna.

Jake rozpiął się szeroko na kanapie, trzymając nogi na szklanym stoliku do kawy. Słuchał płyty kompaktowej On The Horn Paula Taylora, jednego ze swoich ulubionych saksofonistów. Postukiwał kostkami lodu w szklance i patrzył na ekran 36-calowego telewizora mitsubishi. Oglądał czarno-białe nagranie z kasyna, na którym Mac siedziała w barze safari na drugim poziomie, Obok niej jakaś blondynka, przy której Mac w obcisłej czarnej sukience wyglądała jakby w zakonnym habicie. Jake „wypożyczył” tę taśmę od ochrony. Fajna babka - określiła ją Stacie.

Jake odstawił szklanekę, drink przestał mu już smakować. Nie dlatego, że lód się już rozpuścił. Jake po prostu stracił ochotę. Patrzył, jak Mac obejmuje blondynkę. Jej gest miał w sobie pewną prawie macierzyńską tkliwość. Jakby chciała tę drugą kobietę pocieszyć. ,

Prosił o pożyczanie tego nagrania, bo sądził, że Mac spotyka się jakimś innym mężczyzną.

- Jezu. Chyba zwariowałem.

Przeciagnał palcami po włosach, czując się jak podglądacz. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie robił, ale kiedy Mac uciekła od stolika, Jake natychmiast poszedł do ładowni statku i obserwował ją na monitorach w pomieszczeniu ochrony. Zdawał sobie sprawę, że w miarę oglądania kolejnych obrazów wpada w coraz większą obsesję.

90

Kłątwa Donovana. Fajna babka. Kłątwa Donovana. Te słowa pulsowały mu w głowie w rytm muzyki z, syntezatora, dobiegającej z odtwarzacza płyt kompaktowych. Nie istniała oczywiście żadna Kłątwa Donovana. Był to tylko żart wymyślony przez Dina, ale ostatnio jarzył się on w głowie Jakea niczym wielki neon, który miał go przekonać, że nigdy nie osiągnie tego czegoś, co zawiera się w powiedzeniu żyli długo i szczęśliwie, a co mogliby reklamować jego rodzice swoim czterdziestoletnim małżeństwem. Obie siostry Jake'a najwyraźniej zdołały ustawić się w życiu dopóki śmierć ich nie rozłączy. Ale nie on. Obserwował Mac na ekranach monitorów, myśląc o dniu, w którym odeszła od niego Susan.

Dziwne, jak takie sprawy mogą się pochrzanić. Jednego dnia masz żonę, robisz karierę, wszystko, co sobie zaplanowałeś, idzie jak z płatka, a nazajutrz wali ci się w gruzy. Myślał o tym przez chwilę, zmuszając się do odtworzenia w pamięci przebiegu tamtego dnia, kiedy Wrócił z prokuratury późno do domu, niczego nie podejrzewając Prowadził najpoważniejszą jak dotąd sprawę, która miała stać się dla niego prawdziwym przełomem w karierze. Ale obiecał Susan,

że nie będzie, przesiadywał całymi nocami w biurze, więc przyjechał wcześniej, pozostawiając kolegów przy pracy. Sprawa była na czołówkach gazet; miał przy sobie całą teczkę dokumentów, którymi chciał się zająć w domu. Został żonę pakującą w sypialni walizki. Wciąż pamiętał to uczucie, kiedy oblał go zimny pot - świadomość końca. - Susan? Co robisz, najdroższa? Już prawie północ. Ale Susan dalej pakowała się spokojnie - dżinsy, kilka bluzek, jakieś sukienki, jedną stertę odzieży po drugiej - nawet nie spojrzawszy na męża. Dopóki nie powiedziała: - Odchodzę od ciebie, Jake. Odchodzą od ciebie Jake. Zawsze będą od ciebie odchodziły. Jake spoglądał na rozmawiające na ekranie kobiety, Mac i blondynkę, a jednocześnie rozpamiętywał tamten wieczór krok po kroku. Małżeństwo numer jeden poszło na marne. Stało mu to przed oczami, jakby rozegrało się wczoraj: rzucił teczkę, zrobił dwa kroki w kierunku Susan i wyciągnął do niej rękę. Wciąż na nowo słyszał, jak się awanturują, wracał pamięcią do dramatycznej sceny, która odgrywała się w jego głowie jak w teatrze.

- Posłuchaj - rzekł do niej. - Jeśli chodzi ci o sprawę Torresa, jutro z samego rana każę Gusowi, żeby przekazał ją komuś innemu...

Susan cofała się przed nim. Włosy miała uczesane w koński ogon i wyglądała identycznie jak w dniu, kiedy się przed ośmiu laty poznali. Wtedy również płakała. Przestraszyli ją jacyś faceci na przyjęciu koleżeńskim... Jake musiał interweniować, odgrywając rolę rycerza-w-srebrnej-zbroi.

- Nie chodzi ani o Torresa, ani o McCarthera, ani o żadną z twoich spraw. Jake, po prostu uczucia wygasły. Te, które były między nami. Mam wrażenie, że jestem duchowo martwa. Nic już nie czuję.

Nie mówiła jednak o miłości, w jaką wierzył Jake.

- No, dobrze. Więc potrzebujesz więcej czasu. - Myślał o matce Susan. O jej samobójstwie. - Na miłość boską, twoja matka zmarła niecały rok temu. Może jesteś przygnębiona? A ja tak dużo pracuję...

- Nie chcę, żebyś miał pretensje do siebie, Jake. Tu chodzi o mnie. Przysięgam. Wyłącznie o mnie. Jesteś wspaniałym człowiekiem; każda kobieta byłaby szczęśliwa, gdyby mogła być z tobą. Ale ja muszę odnaleźć coś w sobie na nowo. Tutaj tego nie znajdę. Sprzątając mieszkanie, piekąc ciasteczka dla biura.

- Dobrze, dobrze. Musisz się wyrwać. Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Weź trochę pieniędzy, które pozostawiła ci matka. Pojedź na Hawaje czy gdziekolwiek.

Ale Susan potrząsała głową. Wyjęła coś z kieszeni i dała mu do obejrzenia. To był czek na osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów wystawiony na Susan Donovan.

Jake poczuł straszliwy skurcz żołądka.

- Wcale nie zainwestowałaś tych pieniędzy, tak jak uzgodniliśmy z Tomem?

Susan pokiwała przecząco głową.

- Wiem, że obiecałam to zrobić. Ale rozmyśliłam się. To moje pieniądze. Mama chciałaby, żebym wykorzystała je dla ratowania siebie - powiedziała, patrząc na męża chłodnymi oczami. Lodowato niebieskimi. - Zabieram je wszystkie. - Zamknęła walizkę i wetknęła czek z powrotem do kieszeni džinsów. - I odchodzę od ciebie.

- Jezu Chryste, Susan. Nie rób tego.

- Przykro mi. Bardzo przykro.

Przykro mi. To samo powiedziała Mac, odchodząc dzisiaj od stolika. Przykro mi.

Jake nacisnął klawisz magnetowidu, zatrzymując projekcję z obrazem Mac na ekranie. Westchnął głęboko, odrzucając głowę na oparcie kanapy.

- Iasna cholera.

Próbował ocenić sprawę z perspektywy czasu, rozmyślał o Susan, pamiętając, że zawsze miał wszawę szczęście do kobiet i musi zachować szczególną ostrożność.

Prawda jednak była taka, że wszystkie złe wspomnienia świata nie zmieniłyby jego obecnych uczuć. I może to była właśnie prawdziwa Klątwa Donovana - to, że nie potrafił opanować tych emocji.

Wpatrywał się w ekran. Obserwował scenę raz po raz. Blondynka rozlewa swojego drinka, wyciera plamę serwetką i patrzy na McCall. A wyraz twarzy Mac mówi sam za siebie. Jake zatrzymał taśmę w momencie, kiedy blondynka wychodzi z baru, i analizował reakcję Mac.

Miała taki sam wyraz twarzy, jak w chwili, kiedy odchodziła od stolika. Gryzło ją sumienie, ponieważ grała jego pieniędzmi -i była trochę zła, zapewne z tego samego powodu. A potem był ten ułamek sekundy, kiedy na jej twarzy odmalowało się napięcie, jak gdyby miała jakiś kłopot. Właśnie tak wyglądała teraz.

Jake potrząsnął głową, dochodząc do wniosku, że Dino ma rację. Nie było dla niego nadziei. **Cokolwiek istnieje** między nim a Mac, musi przeprowadzić to do **końca**.

Rozległ się dzwonek telefonu; nagły **jazgot** oderwał Jake'a od monitora. Nie podnosił słuchawki. **Powiedział sobie**, że przecież ona nie zna jego numeru, nie ma go w **książce** telefonicznej. To nie może być Mac. Z powrotem przeniósł uwagę na **ekran i wcisnął** klawisz odtwarzania. Patrzył, jak Mac biegnie **za nieznajomą** kobietą, dopóki nie znalazła się poza zasięgiem **kamery**. **Telefon** w kuchni nie przestawał dzwonić. Jake nacisnął **klawisz** przewijania; czuł, że podglądanie Mac w taki sposób **jest nieładne**. Włączył się głośniczek automatycznej **sekretarki**.

- Jake? Jesteś tam? Podejdz do **telefonu**, jeśli **jesteś** w domu.

To była Susan, ekszona numer jeden. **Jake** uśmiechnął się i potrząsając głową, wyłączył telewizor. **O wilku mowa**.

Wstał, wyjął kasetę z magnetowidu, zabrał po **drodze szklanke** i wszedł za pokrytą granitem wysepkę, która oddzielała **kuchnię** od salonu.

- Jake? - Ponownie rozległ się głos **Susan, tym razem** zdradzał zniecierpliwienie.

Jake wrzucił topniejący lód do zlewu i cisnął **kasetę** na barek. Przemknęło mu przez myśl, że trzeba było **pociągnąć** Dina za język w sprawie tego gościa, z którym jakoby **widuje się** Susan.

96

- No, Jake. Odbieraj telefon - nalegała. - Jest tu ze mną Dino. Martwimy się o ciebie.

Jake wstawił szklanke do zlewu. Co on u diabła chciał przez to powiedzieć, że Susan się z kimś związała? Jeśli nie jest w pracy, to znaczy, że ona i Dino mają się ku sobie.

- Wiem, że tam jesteś, Jake'u Donovanie. Podnoś słuchawkę.

Susan czekała jeszcze chwilę, a z głośniczka dobiegał natarczywy szum. Jake wyszedł z kuchni, pogasił światła i udał się do głównej sypialni. Był zmęczony, potwornie zmęczony.

- Oddzwon, dobrze? Musimy pogadać. Mam ci coś bardzo ważnego do pokazania.

Susan Donovan rozłączyła się.

- On tam był - rzekła do Dina, który czekał za jej plecami. -Tylko nie chciał rozmawiać.

Słyszac kroki zbliżającego się Dina, wzięła do ręki papierową teczkę, którą przyniosła ze sobą do kasyna. Jake niestety wyszedł, nim zdążyła mu ją pokazać. Na pulpicie obok telefonu stała fotografia Jake'a i Michaela oprawiona w srebrną ramkę.

To mógł być nasz syn - pomyślała po raz tysięczny. To mogło być nasze życie.

Dino położył zdjęcie obrazkiem do dołu.

- To naprawdę nie ma sensu, Susan.

Susan ścisnęła w dłoniach dokumenty FBI, zaginając przy okazji rogi teczek. Nie chciała się odwracać. Wiedziała, że nie zdoła ukryć przed Dinem" niczego, że Dino dostrzeże prawdę w jej oczach.

- Jesteś jego kumplem. Nie uważasz, że Jake powinien się dowiedzieć? - spytała.

- Tylko dlatego to robisz? Żeby mu pomóc?

Usiłowała opanować ból i słabość, które kazały jej przekonywać samą siebie, że potrafiłaby dać Jake'owi szczęście. Tak dużo przeszli razem. Dlaczego miałaby rezygnować z drugiej szansy?

- Uzyskałam dostęp do informacji. Co miałam robić? Machnąć na to ręką?

- Dostęp do archiwów FBI? Nie wyglupiaj się, Suzy. Ilu osobom musiałaś się podlizać, by uzyskać ten „dostęp”? - Sam mówiłeś, że to niebezpieczna kobieta - broniła się Susan. Odwróciła się, spoglądając na niego z wyrzutem. Dino był jedynym człowiekiem, który domyślał się, co czuła do swego by-

lego męża. Jake Donovan był **mężczyzną, który się** oddalił, którego rzuciła. Bo była młoda. Bo **była głupia**. Odpędziła dręczące myśli. **Prawda była taka, że w** ciągu tych kilku lat, które spędziła na Alasce, **utrzymując się ze** spadku i zbierając siły, poznała ważną stronę **swojej natury**. **Wreszcie** zrozumiała, że nie chce pewnego dnia skończyć **tak jak jej matka** - wyjąć z szafki fiolkę z pigułkami, zadając sobie **pytanie, ile ich** trzeba połknąć. Nie była jednak przygotowana **emocjonalnie** na to, co zastanie po powrocie. Na związek Jake'a z **Hope oraz** na ich syna Michaela. A kiedy to małżeństwo **także się rozpadło**, Susan odzyskała nadzieję, że...

- Opowiem ci historię pewnej **pary - rzekł** Dino, zakładając kosmyk włosów Susan za uchem. **Delikatny** dotyk jego palców sprawiał, że omal nie rozplakała się **rzewnymi łzami**. - Znam tych dwoje, rozumiesz? Byli kiedyś **małżeństwem**. Ale sprawy poszły źle, no trudno, żony często odchodzą **od mężów** i z tego się biorą te wszystkie zranione uczucia. Po kilku **latach** kobieta pojawia się na nowo. Pozbierała się, ma własny **interes i** ładne mieszkanie w Dzielnicy Francuskiej. Po jakimś **czasie** uświadamia sobie, że ten facet to prawdziwy klejnot. - Pracujesz w kasynie, Dino. Nie jesteś **moim** psychoterapeutą - rzekła, trzymając się uparcie emocji, **które** przysparzały jej cierpień. Do diabła, przecież się nie rozplacze.

- Kobieta pomaga mu przetrwać **kilka** ciężkich chwil... Jego następne nieudane małżeństwo. A teraz pomyślała, że dostanie drugą szansę. Może nawet sypiają ze sobą... Kiedy odczuwają samotność.

- Nie chcę o tym teraz mówić. - Ale to nie jest to samo. Zrozum, on nie stał w miejscu. - Dino położył ręce na stole z obu stron Susan, osaczając ją, by musiała skupić uwagę na jego słowach. - Nie stój w miejscu, Suzy. - Popelniłam błąd - rzekła, czując dławienie w gardle. - Dlaczego muszę płacić za to do końca życia?

- Czyżby? A może błędem jest właśnie chęć powrotu do przeszłości? - szepnął.

Złocistozielone oczy Dina wyraźnie świadczyły o jego śródziemnomorskim pochodzeniu. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną i bardzo dbającym o prezencję. Zawsze ubrany odpowiednio na daną okazję, włosy codziennie wysmarowane brylantyną. W tym momencie miał wygląd, który Susan nazywała kuszącym. Widziała go u Dina wcześniej; odczuwała nawet jego

95

wpływ. Dlatego właśnie nazwała go kuszącym, by nie dać się omamić przez Greka. Był najdroższym przyjacielem. Zresztą, rozważali nawet kiedyś partnerstwo, ale Susan nie chciała, by sprawy poszły za daleko, nie chciała psuć tego, co jest. Nie chciała tracić serca dla Dina, greckiego żigolaka, kobieciarza, którego łóżko zdobią nacięte karby. Uniosła dumnie podbródek.

- To ty podsunąłeś mi myśl, żeby przeprowadzić małe śledztwo. O ile pamiętam, powiedziałeś: „Ta damulka zrobi go w konia”.

Dino wzruszył ramionami.

- Może nie jest wcale taka zła. Oddała mu pieniądze w kasynie. Chyba pokazała klasę. - Dino wyszczerzył zęby do Susan.

-Ja ci podsunąłem? Mnie było wszystko jedno, powiedziałem tylko Jake'owi, że robi z siebie dupka.

Susan walnęła aktami w pierś Dina. Nie miała zamiaru właśnie teraz słuchać o zaletach McCall Sayer.

U góry okładki widniało nazwisko napisane drukowanymi literami: DR MCCALL ELIZABETH SAYER.

- Przeczytaj te dokumenty, a przekonamy się, czy nadal będziesz obstawał przy swoim - oznajmiła. Bez względu na wszystko była lojalna w stosunku do Jake'a. Łączyła ich przyjaźń. I jeśli tylko na tyle mogła liczyć z jego strony - na nic więcej nie zasługiwała, skoro się z nim rozwiodła - to mówi się trudno.

- Myśl, co chcesz, na temat motywów mojego postępowania - powiedziała do Greka. - Ale Jake powinien wiedzieć, w co się pakuje.

CZĘŚĆ DRUGA Synteza

Wiek człowieka jest ważniejszy od urody

Prysłowie ludowe

Dzisiaj w nocy kochałam się z moim doktorem Frankensteinem. Teraz posiada już wszystko, co miałam do oddania; mój umysł, moje ciało, moją duszę. Nigdy nie przypuszczałam, że spotka mnie coś takiego - że znajdę człowieka, który zażąda, abym oddała mu się bez reszty, a ja przekażę mu władzę nad sobą. Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia drugiej fazy testów.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman.

McCall przesunęła plakietkę identyfikatora w szczelinie elektronicznego zamka szyfrowego. Słyszając miękki trzask, otworzyła drzwi prowadzące do oszklonej kabiny, wejścia do pilnie strzeżonego sektora, w którym mieściły się laboratoria. Stała na dwóch narysowanych na podłodze elipsach dla stóp i wsunęła identyfikator do metalowego modułu wyposażonego w niewielki obiektyw wideo. Przestrzegala procedury, z którą zapoznali ją pokrótce w dziale identyfikatorów i zamków elektronicznych. Punkt ósma zjawiała się w Ciarke Labs, ogrodzonym kompleksie budynków zlokalizowanym na starej River Road dwadzieścia minut jazdy od śródmieścia. Teraz dochodziła dziesiąta. Kiedy skończyły z nią kadry, odesłano ją bezpośrednio do działu ochrony, gdzie otrzymała identyfikator ze swoim zdjęciem. W jakimś odległym pomieszczeniu strażnik ochrony porównywał wizerunek na plakietce z twarzą osoby stojącej w kabinie. McCall miała na sobie dopasowany, cytrynowożółty kostium ze spodniami, a włosy zaczesala w taki sposób, że wydawały się trwale zaondulowane. Założyła klipsy z dużymi stokrotkami w stylu lat sześćdziesiątych. Tego ranka chciała wyglądać skromnie, jakby wcale nie pozostawała pod wrażeniem tego drobnego wezwania, które dostała od Curtisa Clarke'a.

Uśmiechnęła się do wiszącego pod sufitem obiektywu.

- Halo - powiedziała.

Światelko palące się nad **drugimi drzwiami, tymi**, które prowadziły do laboratoriów, **zrobiło się zielone. Strażnik** znajdujący się pod drugiej stronie **otworzył drzwi**,

- Witamy, doktor Sayer.

McCall zerknęła na **identyfikator męczyzny** i zgodnie z instrukcją wpięła w zakiet swoją **plakietkę ze zdjęciem**. -
Dziękuję, Murray.

- Pan Ciarke spotka się z panią w **Laboratorium 19**. Tym korytarzem do końca, a potem na **lewo**.

Laboratorium 19. To znaczy, że mają **dziewiętnaście** albo i więcej placówek. Curtis Ciarke wyraźnie **rozszył się W** **przeciągu** tych lat. McCall ruszyła w głąb głównego **korytarza**. **Po obu** stronach w laboratoriach rozdzielonych **przepierzeniami** z metalu i szkła widziała laborantów białych fartuchach, **pracujących** przy stołach roboczych i terminalach **komputerowych**. **Laboratorium pielęgnacji skóry. Aromaty. Mikrobiologia** - wyliczała w duchu. Zakłady wyraźnie się rozwinęły, **poza tym wszędzie** widać było zamki elektroniczne, co wydawało się **dosyć** dziwne. Na ogół tylko specyficzne sektory wymagały **takiego** zabezpieczenia, na przykład pomieszczenia o podwyższonej **radiacji** albo komory klimatyczne. Zazwyczaj do laboratoriów **wstęp** był wolny. McCall nie pamiętała, kiedy ostatnio **odwiedziła** pracownię ojca. Oczywiście minęło wystarczająco dużo **lat, by spodziewać** się zmian, lecz podjęte tutaj środki bezpieczeństwa **uznała za coś** niezwykłego. Nie mówiąc już o tym, że podwoiła się **liczba laboratoriów**. Spoglądała na oprawione w ramy **litografie**, reklamujące najnowsze produkty Clarke'a, począwszy **od** ziołowych szamponów, a skończywszy na maściach, które obiecywały „mały” lifting twarzy. Poza tymi różnobarwnymi plamami na ścianach, panowała tu sztywna atmosfera. Na **uniwersytecie**, gdzie kiedyś pracowała McCall, było mnóstwo hałasu, **życia i** właściwego stosunku do laboratoriów. Kiedy tak szła korytarzem do Laboratorium 19, czuła się odizolowana i samotna wśród białych ścian i uwięziona przez wylumione dźwięki. Ciężki weekend nie ułatwiał McCall zadania. Nieoczekiwane spotkanie z Rogerem przed domem odebrało **jej** odwagę, później pokłóciła się z Barb na temat swojej wyprowadzki. Doszła do wniosku, że teraz, gdy podjęła pracę w Ciarke Labs, powinna to zrobić. Najlepiej zamieszkać w hotelu. Ale Barb namówiła McCall do pozostania. Wyjaśniła jej, że

99

obecnie czas nie sprzyja wyprowadzce. ZnowU te gwiazdy. Tak więc ustąpiła, między innymi z powodu bliźniąt, które budziły ją co rano, skacząc ze śmiechem po jej łóżku, póki nie chwyciła każdego pod pachę i nie dała im buziaka „jak z dubeltówki”. Wiedziała, że będzie jej brakowało wspólnych rodzinnych obiadów, kiedy wszyscy siedzą przy stole i rozmawiają o tym, co robili w ciągu dnia. Dzięki Barb i Stanowi poznała smak życia, którego nigdy nie miała. Teraz ma rodzinę. Na razie nie będzie z tego rezygnować.

Ostatniego wieczoru wybrała się nawet do kasyna szukać Jake'a. Mimo wszystko nie potrafiła go zapomnieć. Ale zamiast niego spotkała Dina, od którego się dowiedziała, że Jake wziął wolne i wyjechał z synem na biwak. Skończyło się na tym, że zagrała w wideopokera, wypila napój imbirowy, wmawiając sobie, że za chwilę w podwójnych drzwiach kasyna pojawi się Jake, wracający do domu z wycieczki z Michael'em. Pierwszy raz od lat przegrała w kasynie, ale to nie miało żadnego znaczenia. Teraz, idąc po świętych korytarzach Ciarke Labs, czuła się osobą wtajemniczoną. Nie potrzebowała pieniędzy. Już nie.

Zgodnie z instrukcją strażnika skręciła w lewo, obiecując sobie, że koniec z wyprawami do **River Palace**. Ślubowała, że zapomni o skaucie. Miała już wystarczająco skomplikowane życie. Nie mogła się rozpraszać.

Nagle tuż przed nią wyrósł Curtis Ciarke, który wyszedł akurat z któregoś laboratorium. Nadal nosił tę swoją bezkształtną, beżową marynarkę, identyczne spodnie i czarną koszulę bez kołnierzyka. Takie ubranie nadawałoby się dla mężczyzny o dwadzieścia lat młodszego i o dwadzieścia kilogramów lżejszego. Dwa kroki za Kochanym Ojczulkiem maszerował Roger, który przypominał amanta filmowego wychodzącego z salonu piękności. Nosił okulary przeciwsłoneczne i białe wykładane spodnie oraz białą, bawełnianą koszulkę z wycięciem w kształcie V, która dawała do zrozumienia, że jej właściciel wszystko totalnie olewa, a także lekką, obcisłą marynarkę z tweedu, która z kolei dawała do zrozumienia, że nie olewa niczego. Obaj mężczyźni śmiali się i rozmawiali przyciszonym tonem. Gorsza wersja pary Flip i Flap. Ale uwagę McCall najbardziej przyciągały pancerne drzwi, które było widać za ich plecami.

Znajomy symbol w postaci trzech kółek tworzących trójkąt, połączonych czwartym kółkiem w środku, ostrzegał przed niebezpieczeństwem zagrażającym żywym organizmom. Zamek wy-

105

glądał na połączenie rygla szyfrowego z magnetycznym. Już z tej odległości było widać, że mechanizm klucza był bardzo wyszukany, o niebo lepszy niż tandetne urządzenia zastosowane w pozostałych laboratoriach. Na ścianie obok drzwi wisiała tabliczka z napisem: LABORATORIUM 20. DRUGI POZIOM ZABEZPIECZENIA BIOLOGICZNEGO. OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Pancerne drzwi otworzyły się z sykiem powietrza. W środku było widać mężczyznę zdejmującego maseczkę i siatkę na włosy, których używa się do ochrony przed środkami odkażającymi. Następnie mężczyzna zrzucił papierowe kapcie. Ojciec. Pozbył się odzieży ochronnej, potem, tak jak znajdująca się za nim Belinda, założył świeży fartuch. Oboje podpisali się w rejestrze i wyszli na korytarz, gdzie spotkali się z Curtis'em i Roger'em. Laboratorium o poziomie zabezpieczenia biologicznego dwa. Pilnie strzeżona placówka, która wymaga odzieży ochronnej, stosowanej dla

uniknięcia skażenia w czasie dokonywania najtrudniejszych eksperymentów. Rzecz absolutnie niezwykła w badaniach nad kosmetykami.

McCall przypomniała sobie dziennik laboratoryjny Alicji i poczuła, że serce zaczyna jej pulsować dwa razy szybciej. - Oho, przybywa nasza gwiazda - odezwał się Curtis, gestem zapraszając McCall do wejścia. Roger przechadzał się koło drzwi, oczy miał ukryte za szklami okularów. Późny wieczór, pomyślała McCall, znając aż za dobrze język ciała młodego Clarke'a. McCall szła powoli, nie spuszczać oczu z komitetu powitalnego i starając się jak najgłębiej oddychać. Powtarzała sobie, że musi się dobrze przygotować do zagrania roli swojego życia. Zanim przystanąła, Curtis oderwał plakietkę z jej żakietu, tylko lekko musnąwszy ją palcami po piersiach. Sam przeciągnął ją przez szczelinę zamka, jakby chciał dać do zrozumienia, że czynność ta może być dla nowo przybyłej zbyt trudna i trzeba jej to zademonstrować. Światelko na puszcze umieszczonej obok drzwi zmieniło się z czerwonego na zielone. Dało się słyszeć dokuczliwe brzęczenie, Curtis otworzył drzwi i zwrócił McCall plakietkę. - Wejź do swojego królestwa, McCall - powiedział, machając do niej ręką. Kiedy postąpiła krok do przodu, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się i spojrzała w oczy mężczyzny, który wywarł największy wpływ na jej życie. Jej ojciec.

- Można? - zapytał pozostałych. - Chciałbym zamienić parę słów z moją córką.

Przez chwilę McCall nie mogła złapać tchu. Z moją córką. Nie pamiętała, kiedy ostatnio nazwał ją w ten sposób.

Brzęczenie ustalo w chwili, kiedy zamknęły się drzwi za Be-lindą, ostatnią osobą, która miała wejść do Laboratorium 19.

McCall czekała; wołała, aby to ojciec zagaił rozmowę. Od zeszłego miesiąca, kiedy wróciła do Nowego Orleanu, kilkakrotnie się z nim kontaktowała, ale ani razu nie otrzymała odpowiedzi. Być może tutaj, w otoczeniu ludzi, których znał i którym ufał, Donald Sayer w końcu coś powie.

Podniósł rękę do góry, a następnie zrezygnowanym ruchem opuścił ją wzdłuż ciała.

- Tato?

- Trudno mi... Po tylu latach... I jeszcze śmierć twojej matki... -urwał nagle, spoglądając ponad głową McCall. Był to mężczyzna wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Kiwał głową, a na jego przystojnej twarzy z nieco orlim nosem i szerokimi ustami malowało się napięcie wywołane emocjami, których McCall nie umiała odczytać. Zauważyła, że w jego ciemnoblonde włosach przybyło siwizny. - Nie powinnaś tu przychodzić - rzekł w końcu, wpatrując się swoim błędnym wzrokiem w oczy córki. - To błąd... McCall, cokolwiek możesz sądzić. Nie jestem twoim wrogiem. - Wrogiem? Tato...

- Posłuchaj - przerwał jej gestem ręki. - Zdaję sobie sprawę, że ostatnie lata były dla ciebie trudne. Te pożal się Boże reklamówki, te talk-show. Wiem w głębi duszy, że powinienem był wysłuchać prośb twojej matki. Bóg mi świadkiem, że nie jestem takim skończonym draniem. Nic nie mogę jednak poradzić na to, co odczuwam... Po tym, jak się zachowałeś, McCall. Po tym, co zrobiłaś...

McCall nawet nie próbowała zaprzeczać. Ojciec znał to na pamięć.

Donald Sayer westchnął, kiwając głową i krzyżując spojrzenia ze swoją starszą córką.

- Cokolwiek udało mi się tu wykroić dla twojej siostry i dla siebie, proszę... Proszę cię. Błagam. Nie zniszcz także i tego. - Nigdy mi nie zaufasz, prawda? - zapytała ze smutkiem. - Ponieważ wołałam to, co zaproponowała mi Alicja? - dodała, rozglądając się dookoła.

- Ale dlaczego? - odciął się ojciec. Mówił podniesionym gło-

sem, po raz pierwszy okazując złość. - Czy dostałaś od niej coś lepszego niż to, co ja mogłem ci dać?

- Nie zamierzałam zostać do końca życia twoim pomocnikiem, tato - odparła, powtarzając żałośnie słowa, których nigdy nie chciał słuchać. - Byłam na to za dobra.

- Jak dobra jesteś teraz, McCall? Ty i ten twój eliksir miłości domowej roboty? Alicja Goodman złamała ci karierę. -

Patrzył na córkę oczami posiniałymi od gniewu. - Niepotrzebnie strzępię sobie język; przed laty dokonałaś wyboru.

Proszę cię tylko o jedno - nie zniszcz mnie do końca.

Przeciągnął swoją plakietką przez szczelinę zamka. Jako szef Działu Badawczo-Rozwojowego mógł wchodzić swobodnie do każdego laboratorium. Poszedł przodem, nie czekał, aż córka ruszy za nim.

McCall stała w korytarzu z uczuciem, jakby przed chwilą przejechał po niej pociąg. Koniec dyskusji. Z ojcem zawsze tak było. Nigdy jej nie ufał, nie odpowiadał nawet na jej pozdrowienia, najwyżej udzielał w holu kolejnej reprimendy. Jeśli jednak podejrzenia McCall odpowiadają prawdzie, wtedy nie skompromitowanej przeszłości swojej córki będzie się ojciec musiał obawiać.

Nakazała sobie spokój; scena z ojcem to dopiero początek. Za pomocą plakietki otworzyła drzwi do Laboratorium 19, jej własnego miejsca pracy. Nie zapomniała, że znalazła się tutaj, aby znaleźć dowód, coś, co ojciec będzie musiał uznać.

Chaotyczne notatki Alicji Goodman, której Donald Sayer nigdy nie ufał, nie zwrócą go przeciw Curtisowi Clarke'owi, który prawie od trzydziestu lat podpisuje jego czeki. Być może Alicja jednak zdoła im pomóc, naprowadzając McCall na właściwy trop.

Z zapartym tchem weszła do laboratorium. Nie obawiała się nawrotu wspomnień o innej pracowni. Wiele rzeczy będzie takich samych, blask jarzeńówek nad głową, czarne pulpity stołów roboczych i metalowe gablotki ze szklanymi drzwiczkami. Przez ostatnie cztery lata pracowała w wynajętych garażach i pokojach hotelowych, natomiast pieniądze na odczynniki i sprzęt, właściwie zamiastkę sprzętu, wygrywała w kasynach albo dostawała za udział w filmach reklamowych. Tutaj, w Ciarke Labs, w ojczyźnie perfumowanych balsamów do ciała, emulsji nawilżających i preparatów regenerujących tkanki, wszystkie urządzenia będą ostatnim krzykiem techniki. Pokój pachniał nowością - ściany świeżo wymalowane, sprzęt dopiero co wypakowany z kartonów - tak jakby Curtis, czarno-

108

księżnik z bajki, z dnia na dzień uruchomił w pełni funkcjonujące laboratorium biologii molekularnej. Cztery stoły robocze rozdzielały pracownię na poszczególne sektory; ściany pokrywały gablotki wypełnione szkłem laboratoryjnym, probówkami, kolbami Erlenmeyera i pipetkami. McCall krążyła dookoła stołu z marmuru, wystarczająco ciężkiego, aby wytlumić najmniejsze nawet wibracje. Stała na nim precyzyjna waga analityczna osadzona w szkle. Otworzyła szufladę i

pozorując obojętność, której wcale nie odczuwała, przyglądała się leżącemu w środku pudełka z rękawiczkami lekarskimi i okularami ochronnymi. Któż nie byłby pod wrażeniem? Wyciąg klimatyzacyjny, ultra-wirówka, syntezytor peptydowy, nawet sekwenser DNA - wyliczała w myślach. A także czworo techników laboratoryjnych w białych kitlach z logo Ciarke Labs na piersi - klęczącą kobietą z uniesionymi rękami, którymi zbierała kaskadę płatków róży opadającą z jej włosów. Postawa laborantów wskazywała, że będą na każde skinienie McCall. Zakupieni i opłacani przez Curtisa Ciarke. Jak wszystko inne w tym pokoju - powiedziała do siebie. - Co o tym sądzisz? - spytał Curtis.

McCall oparła się łokciami o najbliższy stół roboczy. -Może. być.

Curtis parsknął śmiechem.

- Bardziej niż może. Najwyżej pół tuzina innych firm w tym kraju byłoby w stanie załatwić takie wyposażenie. Nawet twój osławiony uniwersytet miałby trudności ze zdobyciem tego sekwense-ra - powiedział, przesuwając delikatnie ręką po aparaturze, jakby to była kobiece ciało. - A ty to po prostu dostajesz. Wraz ze wszystkim, co kiedykolwiek chciałaś wiedzieć o guaninie, adeninie, tymi-nie i cytozynie - dodał niskim, mrukliwym głosem, wymieniając poszczególne molekuly tworzące każdy nukleotyd DNA

McCall zwróciła się do Rogera: - Ile czasu zajęło ci nauczenie swojego ojca tych wielkich słów? -Podobnie jak McCall, Roger zrobił doktorat z genetyki. Przez chwilę w laboratorium panowało pełne napięcia milczenie, wszyscy czekali na reakcję Curtisa. Curtis Ciarke był człowiekiem błyskotliwym, ale doszedł do wszystkiego samodzielnie. Człowiekiem dumnym, ale bez formalnego wykształcenia. Roześmiał się, z początku cicho, później coraz głośniejszym, kończąc prawdziwym paroksyzmem śmiechu.

- Wiesz co, mała - powiedział, ocierając łzy z policzków i na-

dal chichocząc z cicha - myślę, że będzie nam się dobrze wspólnie pracowało, tobie i mnie.

McCall przeniosła wzrok na swego ojca, który czaił się za Curtisem z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Stojąca obok niego Belinda miała absolutnie znudzoną minę.

- Przejdźmy teraz do twojej części umowy - ciągnął Curtis. - Pod koniec każdego dnia czekam na pisemne sprawozdanie dokumentujące twoje postępy...

- To ma być twoja definicja autonomii? - McCall chwyciła torebkę, podróbkę Hermesa Bolidé'a, którą lubiła się popisywać. Idąc do wyjścia, przystanęła obok Curtisa i szepnęła mu do ucha: - Kładziesz krzyżyk na forsie, jaką mogę ci przynieść dzięki mojej substancji? - Następnie wzruszyła ramionami i ruszyła dalej.

- Raz na tydzień, mała. Oczekuję sprawozdania raz na tydzień. McCall odwróciła się, ciekawa, jak mocno może Curtisa przycisnąć. Trudno to było wyczytać z jego ciemnoszarych oczu.

- Dobrze - odparła, odpowiadając Curtisowi uśmiechem, i rzucając torebkę na najbliższy stół roboczy. - Moim zdaniem to strata czasu, ale skoro potrzebny ci taki elaborat... - Skrzyżowała ręce na piersiach i wzruszyła ramionami. Curtis skinął głową, otrzymawszy dokładnie to, na czym mu zależało, po czym machnięciem ręki wywołał Z szeregu jednego z laborantów.

- Twoje postępy będzie nadzorował Kyle Woods, oczywiście pod kierunkiem twojego ojca, jako szefa Działu Badawczo-Rozwojowego. Ignorując na chwilę Woodsa, McCall obserwowała twarz ojca, szukając w niej wyrazu dezaprobaty. Znalazła tylko maskowaną obojętność. Czekala na jakiś komentarz, Donald Sayer nigdy nie był za dobry w zachowywaniu swoich myśli dla siebie. Tym razem jednak milczał, ograniczając się do wymiany spojrzeń ze stojącą przed nim starszą córką.

Milczenie ojca napawało McCall dziwnym smutkiem. Nawet po to, by pokrzyżować plany córki, która jego zdaniem go zdradziła, Donald Sayer był gotowy przelknąć gorzką pigułkę i podporządkować się całkowicie woli Curtisa Clarke'a. Jak zwykle zresztą.

McCall kiwnęła głową w stronę milczących laborantów. Uznała, że tym, który wyszedł naprzód, był Kyle Woods, fagas Curtisa.

- Co on umie? Poza fachowym szpiclowaniem dla ciebie, rzecz jasna.

110

- Do cholery, nie ufam ci, mała - odparł Curtis. - Nie ufam nikomu. Woods.

Kyle Woods bawił się nerwowo automatycznym ołówkiem. Wyglądał na trzydziestolatka, nosił grube okulary, pognieciony kitel i miał zaczesane gładko do tyłu blond włosy, które bez trudu mógłby zawiązać w kucyk. Skończony dupek.

Woods odchrząknął.

- Pracuję w Ciarke Labs już od roku. Uzyskałem doktorat z biologii molekularnej w Chicago i na Stanfordzie. - Woods ponownie odchrząknął, postukując niespokojnie automatycznym ołówkiem. - Naturalnie odpuściłem sobie staż po doktoracie, aby przejść bezpośrednio do przemysłu. Pan Ciarke poniekąd ściągnął mnie z mojej poprzedniej pracy. Zajmowałem się badaniami nad **Drosophila**. Muszką owocową - dodał, jakby należało to wyjaśnić. - Zapoznałem się jednak z pani propozycjami i uważam, że mogę być dla pani przydatny. Zwłaszcza jeśli chodzi o inżynierię genetyczną bakterii, które według pani propozycji mają ten związek wytwarzać.

McCall nie odpowiedziała. Kyle Woods był podobny do niej. Był młody, uwiedziony przez tę całą aparaturę laboratoryjną, którą można zdobyć za pieniądze. Facet pozbawiony kręgosłupa i przenikliwości, by dostrzec jad Curtisa Ciarke'a... A więc znakomite tło dla niego.

- Świetnie - odparła w końcu. Odsunęła się od pulpitu i celowo ignorując Woodsa, okrążyła stół. Z bolesnym drżeniem serca stanęła przed ojcem.

- Co powiesz, tato? Sądzisz, że możemy razem pracować? - spytała delikatnie, wkładając w głos całą miłość.

- Nie rób tego, McCall - wyszeptał. - To błąd. Wiesz, że to błąd.

Nacisk, z jakim Donald Sayer wymówił słowo „błąd”, wskazywał, że ojciec przejrzał McCall, że przeczytał jej propozycje i zrozumiał, co z tego może wyniknąć. McCall wstrzymała oddech, bojąc się, że ojciec może ujawnić wszystkim zgromadzonym w tym pokoju prawdę o Formule Omega. Wątpiła, by sprawiło mu to jakąś przykrość.

Curtis stanął między ojcem a córką.

- Twój ojciec nie podziela mojego stanowiska, jeśli chodzi o przyjęcie cię do naszego rodzinnego biznesu. Liczę jednak, że z czasem zmieni zdanie. Racja, Donaldzie?

Donald Sayer westchnął, rozcierając sobie nos pod okularami. Wyglądał na bardzo zmęczonego człowieka.

- Sprawozdania będziesz składała na moje ręce - powiedział do córki. - Od czasu do czasu wpadnę tutaj, żeby się rozejrzeć i upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem. To bardzo proste.

McCall skinęła głową, powtarzając sobie, że musi wziąć się w garść. Przez najbliższe tygodnie, a może nawet miesiące, nie wolno jej odczuwać bólu. Odwróciła się z powrotem do Curtisa.

- Więc na kiedy zwołałeś konferencję prasową?

McCall знаła metody pracy Curtisa. Na pewno zechce nadać jej badaniom rozgłos w mediach; Liczyła na to. Między innymi dlatego w zeszłym roku występowała w talk-show, zyskując miano Doktora Miłości. Ciarke i jego firma żerowali na takich agresywnych formach promocji. McCall wiedziała, że jej popularność zwróci uwagę Curtisa.

- W czwartek - powiedział Curtis, szczerząc zęby. - Sądzisz, mała, że będziesz gotowa?

- Byłam gotowa już wiele lat temu. Curtis stanął za jej plecami.

- Możemy razem dokonać wielkich rzeczy, dziewczyno - oznajmił złowrogim tonem. - Dostrzegłem to przed czterema laty i mogę tylko powiedzieć, że miałaś wielkie szczęście, otrzymując od życia nauczkę, dzięki której tu wróciłaś. Możesz nas wszystkich nieprzyzwoicie wzbogacić, a także zatroszczyć się o swoją siostrę i ojca. Nie schrzań tego. Bo inaczej kłopoty, jakie miałaś cztery lata temu, będą się wydawać dziecinną igraszką. Zrozumiałaś?

- Nie owijasz w bawełnę - odparła.

- Chyba polubię twoje towarzystwo, dziewczyno. Zdaje się, że te kilka lat przerwy wyszło ci na dobre. - Z tymi słowami opuścił laboratorium, a w momencie, kiedy znalazł się na korytarzu, drzwi wydały głośnie brzęk.

McCall patrzyła, jak Curtis Ciarke w swoim kosztownym garniturze przypominającym worek na kartofle przechodzi korytarzem. Widok ten wywołał wspomnienie wspólnego lunchu w ubiegłym tygodniu. Curtis uwielbiał manipulować ludźmi. Nasz gwiazdor już wyszedł.

- No proszę. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina - odezwał się Roger. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, wydając się uosobieniem szczerości. - Powinniśmy zapomnieć o przeszłości, pogodzić się z tym, co było. - Kochany uroczy Roger. - Przy pomocy McCall możemy zarobić kupę forsy. Jestem absolutnie przekonany, że te nierozważne postęпки nauczyły ją czegoś...

112

- Nierozważnie postęпки? - wtrącił Donald Sayer. - To bardzo taktownie z twojej strony, Roger. Falszowanie danych. Defraudacja funduszy rządowych. Tak, to było bardzo nierozważne - dodał urywanym głosem, jakby każdy zarzut bolał go równie dotkliwie jak córkę, po czym wyszedł. Wypadł na korytarz wraz z brzękiem elektronicznego zamka.

- Ojej - powiedział Roger, kiedy za Donaldem Sayerem trzasnęły drzwi. - Musiało zboleć.

- Nie bądź dupkiem, Roger - odezwała się Belinda, niespodziewanie ruszając siostrze na pomoc.

Roger spojrział na zegarek, traktując Belinę z irytującą nonszalancją.

- Już późno. Muszę lecieć - rzekł, po czym pociągnął Belinę w swe ramiona i uczynił widowisko z pożegnania.

Dosłownie pozerł ją ustami, bynajmniej nie śpiesząc się przy tym. Cały jednak czas przeszywał wzrokiem McCall, nie przestał na nią patrzeć nawet wtedy, gdy chwycił Belinę za pośladki i ugniatał je. Na koniec mrugnął porozumiewawczo do McCall, włożył okulary i puścił Belinę wolno. - To do kolacji, kochanie?

- Jak chcesz - odparła.

Dziwne, że Belinda nie reagowała. Dziewczyna wydawała się zobojętniała od chwili, kiedy została źle potraktowana. Tego ranka zachowywała zimny, kamienny spokój, ale beztronska mina świadczyła, że docierało do niej niewiele więcej niż wtedy, gdy była pijana.

Roger posłał McCall całusa i wyszedł. Poczula ukłucie w piersiach. Pomyślała, że" mniej więcej takie objawy muszą oznaczać złamanie serca. Dobrze wiedziała, jak nikczemnie Roger potrafi się zachować wobec osoby wrażliwej, która nie potrafi się przeciwstawić jego wyrafinowanemu okrucieństwu.

Spojrzenia siostr się skrzyżowały. Biały kitel laboratoryjny zupełnie nie pasował do drobnej Belindy. McCall wyobrażała sobie siostrę w trykotowej bluzeczce "bez rękawów, rajstopach i wytartym podkoszulku, przylegającym mocno do jej ciała. Belinda zawsze zachwycała wdziękiem ruchów, twarz zaś miała ożywioną i rozjaśnioną przez muzykę, która była nieodłącznym elementem jej życia.

- Pracujesz tutaj? - zapytała łagodnie McCall. Rozumiała teraz, co matka miała na myśli, mówiąc, że oddała Belinę ojcu,

-Już nie tańczysz?

Belinda wzruszyła ramionami.

- Jestem asystentką taty. Pomagam w pracowni.

Laborantka. McCall przypomniała tobie pytanie, które zadała siostrze w kasynie. W głębi duszy wierzyła, że ojciec nie może być aż tak nieczuły, by zdruzgotać marzenia Belindy i ściągnąć ją do siebie.

- Muszę już iść - rzekła Belinda. Przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale po chwili zagryzła wargę, przelykając niewypowiedziane słowa, po czym wyszła.

Ktoś odchrząknął. McCall odwróciła się, pamiętając, że ma trzy osoby personelu. Cztery, jeśli liczyć Kyla'a Woodsa, szpicla.

- Skończcie już na dzisiaj, dobrze? - zaproponowała. Była zbyt zmęczona na dalsze snucie swojej intrygi. - Wszyscy macie kopie moich propozycji badań. Przejrzyjcie je i wbijcie sobie w pamięć. Potrzebuję waszych opinii, zanim jutro zaczniemy. Woods wyszedł do przodu, w dalszym ciągu bawiąc się ołówkiem.

- Przecież w czwartek ma być konferencja prasowa. Powinniśmy wykorzystać...

- Nie dzisiaj - przerwała mu McCall.

- Moim zdaniem...

Podniosła do góry dłoń, uciszając go, **w taki** sam sposób, jak przedtem ojciec zmusił ją do milczenia, **patrzyła** na Woodsa, zadając sobie pytanie, skąd się wziął u niego **taki** nerwowy tik oraz jak tajną broń Curtisa obrócić na swoją **stronę**.

Woods **był** jednym kłębkim nerwów, nieustannie pstrykał ołówkiem i pochrząkiwał. Trudno było uznać go za jakiegokolwiek zagrożenie. McCall z kokieterijnym uśmiechem ściągnęła mu okulary i przyłożyła je do swoich oczu.

- Boże, Kyle! Chyba nic bez nich nie widzisz już w odległości pięciu centymetrów od twojego nosa.

Kyle odebrał McCall okulary.

- Dziesięciu, dla ścisłości.

- Wyjaśnijmy sobie coś, Woods. Ilekroć spojrzę na ciebie, będę widziała oczy i uszy Curtisa Clarke'a. Jesteś dla mnie jednym wielkim utrapieniem - rzekła i odwróciła się do pozostałych laborantów, dwóch mężczyzn i kobiety. - Mam nadzieję, że was to nie dotyczy.

Postawiwszy sprawę jasno, odstała od Kyle'a. Przysunęła sobie stół i usiadła. Gestem zaprosiła pozostałych do zrobienia tego samego. Wszyscy nosili plakietki identyfikacyjne ze zdjęciami i nazwą pełnionego stanowiska.

Przez całe życie musiała polegać na swoim intelekcie. Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat nauczyła się przenikać ludzkie serca i umy-

sły, wyostrzać swoją intuicję i za jej pomocą wsluchiwać się w pragnienia i potrzeby innych. Dzięki tej szczególnej umiejętności zdołała uniknąć kłopotów przy grze w oczko, kiedy jeździła od miasta do miasta, aby zdobywać pieniądze niezbędne do przeprowadzenia badań.

- Wiem, o czym myślicie - powiedziała. Czula, że jej reakcja na tę sytuację będzie odzwierciedleniem reakcji tych ludzi. - Nauczyciście się dokonywać wielkich odkryć w medycynie... A to wszystko - pokazała ręką na otaczającą ich aparaturę - wydaje się takie śmieszne i naiwne. Miliony samotnych kobiet, a my tylko karmimy je nadzieją. Kto wie, czy nie fałszywą. Spojrzała na jedyną kobietę w grupie i z uśmiechem przeczytała jej imię na plakietce.

- Kate. Czy jesteś miłośniczką serialu 5tar Trak?

Kate miała krótkie czarne włosy skręcone w drobne loczki i ładne niebieskie oczy, co upodabniało ją trochę do Belindy.

- Pani żartuje? Następne pokolenie, Kosmos 9, Wędrowiec, oglądam je wszystkie - odparła, uśmiechając się szeroko i pokazując wąski rozstęp między dwoma przednimi zębami, który odmładzał ją o dziesięć lat. - Byłam nawet na kilku konwencjach.

- Czy pamiętasz ten odcinek ze starego serialu o pannach młodych?

- No jasne. Harry Mudd daje zwerbowanym kobietom pigułkę, wenusjański narkotyk, który czyni je pięknymi i młodymi. Za niewielką opłatą umieszcza je wraz z mężami na odległych planetach. Tyle tylko że kobiety muszą cały czas zażywać pigułki, bo inaczej efekty znikają i młode żony zamieniają się w stare jędze.

McCall odwróciła się do mężczyzn. Jednemu, sądząc z wyglądu, minęła niedawno trzydziestka. Był bardzo chudy, miał przystrzyżone na jeża jasne włosy i orzechowe oczy. Drugi był o dobre dziesięć lat starszy, wyższy, miał oczy szczenięcia i obwisłe policzki starego basseta.

- W końcu - ciągnęła McCall - jedna z kobiet nie chciała dalej oszukiwać mężczyzny, który miał się z nią ożenić. Kiedy pigułka przestała działać, pokazała mu prawdziwą siebie, o wiele starszą i bardziej utrudzoną. Próbowała go przekonać - mimo swego wyglądu - że będzie dla niego świetną żoną.

- A on uważał, że go oszukano - rzekła Kate.

McCall wstała z taboretu i zaczęła krążyć przed swoją gromadką. Zatrzymała się przed Woodsem, który nie usiadł wraz z innymi, najwyraźniej odcinał się od nich, zgodnie z intencjami McCall.

- A więc kobieta zażywa pigułkę, by pokazać kandydatowi na

męża, że to jest tylko sztuczka. Na jego **oczach** przeistoczyła się w piękną i młodą dziewczynę. - McCall skrzyżowała ramiona na piersiach, opierając się plecami o stojący za nią pulpit. - Tylko że ta konkretna pigułka to było placebo. Kulka barwionej żelatyny. To był trik. Kobiecie się tylko wydawało, że jest piękna, i właśnie to czyniło ją piękną.

McCall wzięła do ręki pustą probówkę i zaczęła ją obracać między palcami.

- Trochę różu na policzkach, innego koloru szminka. Te rzeczy mogą czasem kobietę przeobrazić. Złudzenia, które sięgają naskórka, a potrafią wydobyć piękno, jakie ukrywa się we wnętrzu. Mam nadzieję, że żadne z was nie będzie nigdy bagatelizować takiego wyczynu. Obojętnie, czy dokona się on za pomocą pomadki do ust, czy Formuły Omega.

McCall odłożyła probówkę i nawiązała kontakt wzrokowy kolejno z każdym członkiem swego personelu. Nauczyła się tego, namawiając telewidzów do kupowania reklamowanych przez siebie produktów.

- Przyjadę jutro rano o szóstej. Liczę, że o tej porze wszyscy będziecie pracowali u mego boku - powiedziała, a następnie zwróciła się do Woodsa. - Z wyjątkiem ciebie - rzekła, mrugając do niego porozumiewawczo. - Tobie pozwalam zaspać.

Rozległ się cichy chichot. Młodszy mężczyzna, ten z włosami na jeża, uśmiechnął się chytrze do McCall. McCall odpowiedziała mu uśmiechem. Była przekonana, że osiągnęła jeden cel. Troje laborantów dowiedziało się, kto tu rządzi. Choć nikt nie mógł znać jej prawdziwych intencji, zapewnienie sobie pewnej lojalności z ich strony było ze wszech miar wskazane.

- Doktor Sayer - odezwał się zza jej pleców Kyle. - Ja tylko staram się wykonywać moją pracę.

McCall spojrzała przez ramię na lokaja Curtisa. Była zdziwiona, że w ogóle wydał głos. Nie podejrzewała tego człowieka aż o taki spryt.

Teraz jednak w jego spojrzeniu malowała się pasja. Miał takie dziwne, żółte oczy. Wilcze ślepie. Nie zauważyła ich przedtem z **po** wodu okularów. Poza tym głos mu drżał z emocji. Pewnie ze złości. McCall natychmiast pożałowała, że go sprowokowała. Nienawiść, jaką czuła do Curtisa i jego syna, sprawiła, że stała się zbyt szorstka.

- Nie wchodź mi w drogę, a wszystko będzie dobrze. Nie lubię ludzi, którzy zagląдают mi przez ramię i donoszą na mnie - oznajmiła, zdobywając się na kompromis.

116

Kyle zatopił dłonie w kieszeniach fartucha, po czym wzruszył ramionami i spojrzal na drzwi.

- Chyba mógłbym dzisiaj popracować trochę dla pani ojca. Jeśli mnie pani nie potrzebuje. - Najwyraźniej perspektywa wolnego dnia sprawiła doktora Kyle'a Woodsa w zakłopotanie.

McCall odprowadziła go wzrokiem, a potem zwróciła się do pozostałych laborantów:

- Czekają nas ciężka praca. Będziemy tu siedzieć do późnych godzin nocnych. Może nawet w weekendy. Liczę, że w wolnym dniu macie coś lepszego do roboty niż szukanie dodatkowych obowiązków.

- No pewnie, do cholery - rzekł Tom, młodszy laborant.

- Żeby pani wiedziała - potwierdziła opinię Kate.

Wyszli. Ale przedtem McCall wyryła sobie w pamięci ich imiona. **Tom, Kate, Robert.** Spojrzała na teczkę z aktami, które wręczono jej w kadrach. Zawierały **curriculum vitae** wszystkich osób, które miały pracować razem z nią. Pomyślała o znajdującym się tuż obok Laboratorium 20. Ciekawe, czy ktoś z jej personelu ma tam prawo wstępu.

Westchnęła, chwyciła torebkę i skierowała się do wyjścia.

- No to zaczynamy - wymamrotała pod nosem.

Kyle Woods doszedł do wniosku, że wreszcie znalazł w Ciarce Labs osobę, którą lubi. **To się w pale nie mieści.**

Szedł korytarzem, uśmiechając się na wspomnienie porywającego widowiska, jakie urządziła McCall Sayer. Jego kosztem wprawdzie, ale Woods kichał na to. Tutaj nic nie było go w stanie urazić. Nie to zaprzętało jego myśli.

Podobał mu się jej zapach. Najbardziej zaś cieszył się z tego, że nie znosiła Curtisa Clarke'a. Przynajmniej to jedno ich łączyło.

Niewątpliwie mają tu miejsce arcyciekawe przepychanki rodzinne. Woods oczywiście wiedział wszystko o błyskotliwej pani doktor McCall Sayer. Zbieranie wszystkich możliwych informacji o każdej osobie powiązanej z firmą stało się jego drugim fachem. Kiedy Curtis Ciarce zaproponował mu szpiclowante McCall, Woods rzucił się na tę ofertę, bo dzięki temu mógł wejść w dobre układy ze starym szefem.

Chciał, żeby Curtis mu ufał. Żeby osłabił swą czujność.

Woods ponownie się uśmiechnął, zadając sobie pytanie, czy teraz - kiedy Ciarce ma pełne ręce roboty z wyzywającą dok-

-

tor McCall Sayer - on, Kyle, dostanie w końcu swoją szansę.

Nagle usłyszał jakieś głosy, czyjeś krzyki dochodzące z Laboratorium Zapachowego, gdzie mieścił się gabinet Donalda Sayera. Ułamek sekundy później zza węgła ukazała się Belinda Sayer.

- Spieprzaj, tato! - wymamrotała pod nosem, wpadając z całym impetem na Kyle'a.

Kyle złapał ją, nim upadła na podłogę, i przycisnął do siebie. Czuł dotyk jej ciała. Było gibkie i jędrne. Dziewczyna była prześliczna, czasami odnosił wrażenie, że jest wprost nierealna. Oczyma wyobraźni zobaczył ją w ramionach Rogera, kiedy ten dureń ją oblapiał, a jednocześnie rozbierał wzrokiem jej starszą siostrę.

- Przepraszam - szepnęła, nie bardzo go widząc, po czym otarłszy łzy z policzków, wyminęła go i odeszła.

Woods patrzył za nią, póki nie zniknęła. Wiedział, że jest dla niej nikim. Ze nie zwraca na niego uwagi. Trochę go to złościło, ponieważ on obserwował ją nieustannie.

Szedł dalej, powtarzając sobie, że nie wolno mu się angażować. Miał tu do spełnienia misję, rzecz dużo ważniejszą od roztrząsania powodów, dla których Belinda Sayer pozwalała się znieważać narzeczonemu i wymyślała własnemu ojcu.

Dotarł wreszcie do Grupy Zapachowej; Zdecydował, że musi wykazać swą przydatność. Tak bardzo chciał się dostać do tego Laboratorium 20, że już czuł jego zapach. Liczył na to, że czeka tam na niego żyła złota.

Ale gdy rozległo się brzęczenie zamka i drzwi do Laboratorium Zapachowego stanęły otworem, był gotów ponownie wcielić się w postać wazeliniarza - nic nie znaczącego doktora Kyle'a Woodsa - choć nie potrafił wymazać z pamięci obrazu Belindy.

Stał na progu, uśmiechał się i myślał o tym przez chwilę, kiedy Donald Sayer dał mu znak ręką, żeby wchodził. Miał dla Woodsa zajęcie związane z jego aktualnym projektem. Kyle słuchał starego Sayera tylko jednym uchem, krążąc myślami wokół jego córki, Belindy Sayer. **Dziewczyna może się przydać**- powiedział w duchu.

Belinda oczywiście tkwiła w samym wirze wypadków, tak samo wszyscy inni. Jeśli zaś Kyle oceniał sytuację prawidłowo - inaczej niż Sayer, który nabrał wody w usta - stanowiła słabe ogniwo. Słaby element, który można zbadać i wykorzystać. Problem w tym, że Belinda nigdy nie zwróci na niego uwagi, ponieważ jest Kyle'em Wielkie Nic.

118

Uśmiechnął się i wesoło pogwizdując, zasiadł przed monitorem komputera. Zdawał sobie sprawę, że nadszedł czas, aby poczynić kilka zmian.

9

Jake podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Diabelna pizza z pieprzem - powiedział do mikrofonu, wkładając do mikrofalówki mrożonego kurczaka w potrawce. - Ty płacisz; ja przypalam - dodał, po czym zamknął drzwiczki i nastawił kuchenkę na dziesięć minut. - Dostawa prosto z piekła.

- Włącz telewizor. Kanał pięćdziesiąt siedem.

Telefonował Dino. Tknięty złym przeczuciem, Jake zapomniał o kolacji i zrobił, o co go proszono. Usiadł na kanapie i zmienił kanał.

Był to lokalny program dyskusyjny, którego gospodyni, Cyndi -klon lalki Barbie ubranej w obcisłą białą sukienkę, paradującej z modną strzechą na głowie - kręciła się po studiu z mikrofonem w ręku i strzelała pytaniami w publiczność jak z armaty. Tyle że dziś miała zaledwie jeden cel. Samotną kobietę, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na środku sceny, sztywno, jakby połknęła kij.

- Mac - powiedział Jake.

- O, jakie słodkie - odezwał się w słuchawce Dino przesłodzonym głosem. - Mac. Skrót od doktor McCall Sayer. Rany boskie, już mówicie do siebie tymi pieszczotliwymi imionami. Masz pojęcie, z kim ty **u diabła** się zadajesz?

W pierwszej chwili trudno było ją poznać, mimo że Jake zdążył się już przyzwyczaić do jej rozmaitych przebrań. Miała na sobie klasyczny niebieski kostium w prążki, wąski krawat, włosy upięła w ciasny kok i nosiła duże okulary w szylkretowej oprawce. Jake zadawał sobie pytanie, czy kiedy byli razem, Mac nosiła szkła kontaktowe, czy może teś posunęła się teraz aż do założenia zbędnych okularów, by odpowiednio wypaść w telewizji?

Niezależnie od ubrania, wyglądała bardzo seksownie. Przypominała Jake'owi jedną z tych modelek na reklamach w kolorowych czasopismach, pozujących na szefowe dużych firm lub intelektualistki - tylko że tamte wyglądały tak bajecznie, że czło-

wiek przewracał oczami i mówił do siebie - Hmm, tak właśnie wyglądała moja nauczycielka fizyki w ogólniaku.

- To ona, prawda? - spytał Dino. - Dlatego pytales mnie o feromony. Jezu, Irlandczyku. Romansujesz z Doktor Miłością. Tak ją nazywają w czasie programu. Doktor Miłość.

Jake burknął coś wymijająco. Usiłował koncentrować się na pytaniach prowadzącej program Cyndi i poznać odpowiedzi Mac.

Od czasu gdy pozostawiła go na łasce losu w River Palace, nie starał się z nią zobaczyć, chociaż Dino dał mu znać, że Mac ma się zjawić w niedzielę wieczorem. Uświadomił sobie ze strachem, że bez przerwy oglądał to samo wideo Zarejestrowane przez ochronę, na którym Mac rozmawia z blondynką. Puszczał taśmę raz po raz, aż poznał na pamięć każdy ruch i każdy gest. Dlatego uciekł z synem na Północ, dlatego biwakował z Michaellem, bo nie chciał odczuwać tej wielkiej pustki, którą starał się zapelnąć tajemniczą doktor Sayer. W ostatnim tygodniu ciężko pracował, skupiając całą uwagę na kasynie i Michaelu, starając się zapanować nad swoją jazdą diabelską kolejką górską, którą odbywał w zeszłym tygodniu.

- Nie chce mi się, kurde, wierzyć - zabrzmiał w jego uchu głos Dina. - Klątwa Donovana uderza ponownie.

- Muszę lecieć - odparł Jake. Nie chciał, by wykład, którym z pewnością gotów był go uraczyć Dino, przeszkodził mu w oglądaniu wywiadu. - Do jutra. - Pracowali teraz na dziennej zmianie.

- Posłuchaj mnie, Irlandczyku. Me odkładaj słuchawki, kiedy przemawiam ci do rozsądku. Jestem twoim przyjacielem. Nie będziesz...

Jake trącił klawisz rozłączania i wcisnął antenę do środka, waląc aparatem o klatkę piersiową. Ale nie spuszczał oczu z telewizora. Mac wyglądała na bardzo opanowaną. Idealna uczona. Ale na zbliżeniu widział w jej oczach ogień.

- I dziś oczywiście spotykamy na rynku produkty, w feórych skład wchodzi feromony - mówiła miarowym głosem kobiety przywykłej do prowadzenia wykładów. - Całkiem niezłe, moim zdaniem. Uznają wielkie zasługi ludzi, których przełomowe badania skierowały uwagę konsumentów na te związki chemiczne. Myślę jednak, że sami państwo uznacie, iż Formuła Omega różni się od wszystkiego, co można aktualnie znaleźć na półkach sklepowych czy kupić za pośrednictwem Internetu.

- Na czym polega ta różnica, doktor Sayer?

Mac rozchyliła usta w tajemniczym uśmiechu, który Jake czuł aż po koniuszki palców u nóg.

120

- To znaczy, jak wygląda wzór chemiczny mojej Formuły?

- Czy może pani powiedzieć coś na ten temat widzom zgromadzonym w naszym studiu, nie ujawniając żadnych handlowych sekretów?

McCall pochyliła się do przodu, pytanie prezenterki niezwykle ją ożywiło.

- Mówiliśmy już, jak działają feromony u zwierząt. Nie wdając się w szczegóły techniczne, powiem, że każdy człowiek posiada w nosie receptory specjalnie przeznaczone do wyczuwania feromonów.

- Po jednym głęboko w każdej dziurce - uśmiechnął się Jake, sięgając pamięcią wstecz.

- W czasie moich badań próbuję zsyntetyzować związek chemiczny, który naśladuje feromony. Wyłącznie za pomocą inżynierii molekularnej chcę rozpocząć masową produkcję substancji, która lepiej łączy się ze wspomnianymi przeze mnie receptorami i w związku z tym wywołuje silniejszą reakcję niż zwykle ludzkie feromony.

- A więc czego możemy się spodziewać? - pytała reporterka. - Pokropimy się Formułą Omega i uwaga - mężczyźni padają u naszych stóp?

- Taak, Mac. Ja też chciałbym usłyszeć odpowiedź na to pytanie - szepnął Jake.

- Formuła Omega działa identycznie jak każdy inny kosmetyk wzmacniający. Mój związek czyni kobietę bardziej atrakcyjną, wydobywa na światło dzienne jej ukryte piękno.

- Czy pani sama używa swojego produktu? Znowu ten tajemniczy uśmiech.

- Formuła Omega znajduje się dopiero w fazie prób. Ilekroć jednak otrzymuję gotowy związek, zawsze używam go jako pierwsza.

- I co?

- I co? - powtórzył Jake.

- Rzadko jestem rozczarowana.

- No ja myślę - szepnął Jake. Musiał jej to przyznać. Czegokolwiek użyła, załatwiła go tym nieźle. Nawet teraz - po tygodniu pochlebiania sobie, że potrzebuje tylko niewielkiego oddalenia od Mac, by zyskać lepszą perspektywę - nawet teraz czuł, że stopniowo się uzależnia.

- Czy pani wie, że nazywają panią Doktor Miłość? - Cyndi wypowiedziała te słowa przeciągle; w jej ustach brzmiało jak nędzna imitacja Barry'ego White'a. Publiczność zareagowała wesółm chichotem.

- Tak, słyszałam już kiedyś ten przydomek.

- Co pani o nim sądzi?

Kamera pokazała zbliżenie twarzy **Mac McCall** zrobiła sobie dzisiaj delikatny makijaż, a może szminki **używane** przez charak-teryzatorki telewizyjne były naturalne. Podkreślone natomiast były schowane za okularami oczy Mac, **okolone grubą**, czarną kreską.

- Uważam go za najwyższy komplement **i chyba** tym miał być -odparła z uśmiechem. - Muszę jednak **powiedzieć**, że jest on trochę mylący. Produkty, które promowałam **w** przeszłości, wcale nie były afrodyzjakami. Nie jest nim również **Formuła** Omega. Niech mi wolno będzie posłużyć się pewną **analogią dla celów** porównawczych. Wszyscy słyszeliśmy o możliwościach **terapii** zapachowej, poza tym naukowcy wykazali, że pewne **aromaty, na** przykład piżmo i wanilia, potrafią być naturalnymi czynnikami wabiącymi. Pewien eksperyment udowodnił podobno, że **zapachy** najsilniej stymulujące mężczyznę to zapach bulki cynamonowej **i** szarlotki.

- Co potwierdza znaną prawdę, że **droga do** serca mężczyzny wiedzie przez jego żołądek - powiedziała **Cyndi**, dając trochę czasu publiczności na salwę śmiechu.

- Formuła Omega działa w podobny **sposób**, tylko że stojąca za tym wiedza naukowa jest nieco bardziej **złożona**.

- A kiedy możemy dostać ten cud **w nasze ręce**?

- Liczymy, że przed jesienią nasz produkt znajdzie się na rynku. Cyndi podniosła do góry jakąś buteleczkę - smukłą, cienką,

zrobioną z czerwonego szkła i zatkaną przezroczystym, kryształowym korkiem. Na jej szyjce widniało **złote** serce.

- Słyszeliście państwo. Ciarkę Cosmetics zaczną niebawem rozprowadzać substancję naśladującą ludzkie feromony i zmodyfikowaną w taki sposób, by uzyskiwać silniejszą reakcję psychiczną. Mimo stanowczych zaprzeczeń pani doktor Sayer, która opracowuje tę substancję, zapowiada **się ją** jako eliksir miłości dwudziestego pierwszego wieku.

Zapamiętajcie. - Gospodyni programu wycelowała pomalowanym paznokciem w kamerę i rozplynęła się w uśmiechu skąpanym **w** promieniach lasera. -Dowiedzieliście się tego od Cyndi. **Po krótkiej** przerwie posłuchamy niesamowitej opowieści chłopca, **który...**

Jake nie odrywał wzroku od Mac. Czuł, że **ogarnia** go straszliwa tęsknota. Minał już ponad tydzień, **odkąd** weszła do jego apartamentu hotelowego, a wciąż pamiętał **każdy** szczegół: jej zapach, zmienne zabarwienie oczu i ekspresyjne spojrzenia... dotyk

117

jej warg na jego ustach. Mózg Jake'a przesywał olśniewający widok nagiej Mac leżącej w jego łóżku.

Usłyszał brzęk dzwonka mikrofalówki, który dawał znać, że rewelacyjne danie z kurczęcia jest już gotowe. Ale jedzenie było teraz ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. Mac pracowała w Ciarce Cosmetics. Słyszał o nich, rzecz jasna. Niestety, samo zło. W czasie pracy Jake'a w biurze prokuratora okręgowego Ciarce i jego mętne interesy były powszechnie znane. Dla Gusa Piersona, szefa Sekcji Kryminalnej, Curtis Ciarce był człowiekiem, który wymyka się sprawiedliwości. I to raz po raz.

Kiedy na ekranie pojawiły się reklamy, rozległ się dzwonek telefonu. Jake nacisnął klawisz aparatu bezprzewodowego.
-Tak?

- Posłuchaj. - Usłyszał głos Dina. - Nie miałem zamiaru niczego mówić. Myślałem, że Suzy jest w błędzie... ale pal diabli. Może powinieneś przynajmniej rzucić okiem na te akta?

- O czym ty gadasz? - nasrożył się Jake. Nagle uzmysłowił sobie, że zapomniał odpowiedzieć na telefony od Susan. Dzwoniła do niego dwa razy. - Jakie akta?

Po drugiej stronie dało się słyszeć przeciągłe westchnienie.

- Cascade Lounge. Za dwie godziny. Przyjdź koniecznie. Mam dla ciebie ciekawą lekturę. Zaufaj mi, Irlandczyku. Po co masz później żałować?

Stacie Winn wyłączyła telewizor. Ta Cyndi to nie była kto, myślała krupierka, wchodząc do swego pokoju, żeby wybrać sukienkę na dzisiejszy wieczór. Właśnie to jej się w Cyndi podobało; ilekroć w mieście działo się coś nowego, Cyndi przybywała na miejsce, wskazywała palcem na kamerę i mówiła: - Dowiedzieliście się tego od Cyndi.

Stacie przerzucała gorączkowo garderobę. Wróciła do domu wcześniej z dziennej zmiany w kasynie, dzięki czemu zdążyła na swój ulubiony program telewizyjny. Teraz musiała przygotować się do spotkania z Garrettem. Zabierał ją na kolację w Windsor Court

Wybrała czarną sukienkę Donny Karan, którą dostała kiedyś od Garretta. Zresztą każdy ładny ciuch w tej szafie był prezentem od jej kochanka. Garrett nie żałował pieniędzy na Stacie... i był bardzo czuły na punkcie jej wyglądu.

Ubieraj się ładnie, skarbie - powtarzał.

Stacie zasępiła się, kiedy przypomniała sobie, jaką przykrość sprawiła jej kiedyś ta uwaga. Że niby potrzebowała instrukcji...

że mogłaby rozczarować. No cóż, w Windsor Court spotykały się wyższe sfery.

Popatrzyła w lustro. Garrett zawsze mówił jej coś takiego: Załóż dzisiaj ten kostium od Chanel. Spróbuj włosy zaczesać do góry. I nie odzywaj się za dużo przy kolacji, bo tu chodzi o interesy. Po prostu siedź cicho i ładnie wyglądaj.

Ładnie wyglądaj. Miała długie, czarne włosy oraz ciemnozielone oczy i w ostateczności mogła uchodzić za kobietę przed trzydziestką. Ale to już nie potrwa długo. Czasami ją to przerażało.

- Trzeba było mieć trochę rozumu i nie zakochać się w tym Garrecie - zbesztala sama siebie, kręcąc z dezaprobatą głową.

Trzydziestoletni Garrett Renault był o siedem lat młodszy od Stacie. Bogaty chłopak z Nowego Orleanu, który wykorzystał pieniądze swego dziadka, zarabiał drugie tyle... by zaimponować rodzicom, którzy zawsze postrzegali go jako rozwyrzone dziecko.

Czasami martwiła się, że nie była dla Garretta kimś więcej, tylko jego przyjaciółką wywodzącą się z białej biedoty.

Kochanką, którą mógł kluc w oczy rodzicom z wyższej sfery, podobnie jak swoim pretensjonalnym hotelem i roziskrzonym kasynem. Ale Stacie zakochała się w nim na śmierć.

Westchnęła i rozłożyła sukienkę na łóżku.

- Uwierz mi na słowo, słodziutka. On nigdy ci nie włoży obrączki na palec. Poza tym, moja droga, nie stajesz się młodsza.

Była z Garrettem już od czterech lat, zakochana do szaleństwa w jego przekornym duchu i wrażliwym sercu. Garrett opowiadał jej różne rzeczy - o dorastaniu w kręgu rodzinnym, o niespełnionych oczekiwaniach rodziny. Płakał jak niemowlę w ramionach Stacie, ukazując drugą stronę swej natury, którą skrywał przed innymi, Czasami jednak bała się, że rezygnowała ze zbyt wielu rzeczy, aby być z tym bogatym i wpływowym mężczyzną: z marzeń o drewnianym ogrodzeniu z białych palików niedaleko domu mamy w Georgii. Z marzeń o dzieciach.

Myślała o Formule Omega, wspominając ten ładny, czerwony flakonik z kryształową zatyczką.

- Może tego właśnie mi trzeba. Napoju miłosnego. Jakiegoś bajecznego.

Takiego, który sprawi, że Garrett pozostanie na zawsze jej kochankiem.

Przygryzając wargę, powlokła się z powrotem do frontowego salonu małego, wynajmowanego domku. Wciąż miała na sobie

124

krupierski uniform, koszulę z zaботem i dopasowane spodnie. Miną ze dwie godziny, zanim Garrett przyśle po nią samochód -dość czasu, żeby się przygotować.

Usiadła przed stolikiem do kawy i spoglądała na leżący przed nią prospekt. Okładka była lśniąca, sprawiała wrażenie czegoś kosztownego. Pieniądze to nie problem, słodziutka - powiedział Garrett, kiedy go jej dawał. Był na nim narysowany kontur kłęzącej kobiety, trzymającej przed sobą dłonie złożone w kształt pucharu, do którego z jej włosów opadają płatki róż.

Leżał tu już od tygodnia, ale jeszcze go nie przejrzała. Bała się tego, co może oznaczać. Że według Garretta musi poddać się kuracji w klinice piękności. Takiej, która obiecuje swoim klientkom zachowanie młodości.

Teraz jednak wzięła broszurę do ręki, pamiętając o sprawach, o których mówiła ta doktor w programie Cyndi. Wydawała się strasznie sympatyczna, pani Doktor Miłość. Osoba godną zaufania. Ta sama firma, która wytwarzała eliksir miłości, Formułę Omega, prowadziła również klinikę piękności.

Stacie przewracała kartki. Fotografie sprawiały niesamowite wrażenie.-Klinika znajdowała się na jakiejś tropikalnej wyspie zwanej Isla Hermosa. Panoramiczne pejzaże ukazywały kilometry białych piaszczystych plaż i kryształowo czystych lagun. Na innych, mniejszych zdjęciach widać było kobiety biorące masaże twarzy i ciała, bogato wyposażone sypialnie oraz stoły uginające się pod ciężarem tropikalnych frykasów.

- Niech to diabli, Stacie. Kazałaś sobie zrobić cyczuszki. To aż taka może być różnica?

W szafce kuchennej znalazła długopis i wzięła się do wypełniania zgłoszenia. Było to wiele stron, a niektóre pytania dotyczyły szczegółowych informacji medycznych, ale przynajmniej mogła od czegoś zacząć.

U góry pierwszej stronicy podała swoje imię i nazwisko. Zamierzała poinformować Garretta, że zmieniła zdanie w sprawie Clarke Spa and Clinic.

Ostatecznie tego właśnie chciał. A Stacie nade wszystko pragnęła go uszczęśliwić.

Jake siedział po drugiej stronie stolika naprzeciw Susan. W tle słyszał szum wody spadającej na skały, od czego lokal Cascade Lounge wziął swą nazwę.

- Myślałem, że mam się spotkać z Dinem?

- Przyjdzie trochę później. - Susan bawiła się oliwką na patyku, obracając nią wewnątrz kieliszka martini. Jake zamówił piwo, a potem z miski stojącej na środku stołu wziął garść orzeszków. Dwa wrzucił sobie do ust.

- Przepraszam, że nie oddzwoniłem. Wyjechałem z Michaeliem na cały weekend i zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Nie szkodzi. Dino mnie poinformował - odparła, sięgając do swojej aktówki. Odpięła oba zatrzaski, wyciągnęła coś - Jake tego nie zauważył - i położyła sobie na kolanach. Tajemnicza lektura, nie da się ukryć.

Susan ubrana była w koralową garsonkę, a na szyi miała perelki. Jake schrupał następne pół garści orzeszków, dochodząc do wniosku, że Susan zrobiła coś ze swymi włosami - była chyba u fryzjera. Spływały teraz kaskadą poniżej jej ramion długimi, prostymi kosmykami. Wyglądały urzekająco. No cóż, zdaje się, że Pan Styl wywiera na kobietę lekką presję, domyślił się Jake, znający Dina jak własną kieszeń.

Obie były żony Jake'a lubiły taki elegancki styl, choć tylko Susan było w tym dobrze. Hope z kolei wołała przypominać Królową Lodu. Lata starań, aby przebić głową mur, każdego uczynią twardzielem.

Uśmiechnął się na wspomnienie Mac. Do diabła, nie wiedział nawet, czy będzie miała rude włosy, kiedy znowu się spotkają, nie mówiąc już o tym, w co będzie ubrana.

- Posłuchaj, Susan - rzekł, zamawiając drinki. - Może to i dobrze, że mam okazję pogadać z tobą w cztery oczy.

Obiecałem, że wstawię się u ciebie za Dinem. - Wypił łyk piwa, które naląła mu kelnerka. - Wiesz, że chłopak aż się pali, by wejść do tego twojego interesu. Podobno zmuszasz biedaka, żeby spędzał tam wszystkie wolne chwile. Chyba go nie rolujesz, co? - spytał, mając na myśli coś więcej niż tylko interesy.

- Nie, ależ skąd. Rozmawialiśmy już o tym. Pomysł z wzięciem wspólnika może nie być wcale taki głupi; ostatnio dostaję same duperele. Jest zatrzęsienie niewiernych małżonków. Dino nawet pomógł mi już przy kilku sprawach. Jake odstawił szklankę, nagle coś sobie przypomniał. - Twierdzi, że się z kimś spotykasz.

Susan natychmiast odwróciła wzrok; Jake pomyślał, że być może Dino ma rację.

126

- Naprawdę? Cóż, nie mam nikogo na zasadzie wyłączności, jeśli chodzi o ścisłość. Zobaczmy.

Jake sączył pil piwo. Patrząc na Susan, doszedł do wniosku, że nawet jeśli interesuje się kimś poza Dinem, to i tak nic z tego nie wyjdzie. Ją i Dina łączyło coś szczególnego. Każdy uważny obserwator mógł to potwierdzić. Dla Jake'a najlepszym dowodem była łatwość, z jaką Dino potrafił Susan zdenerwować. A Grek nawet to lubił, gdyż świadczyło, że jej na nim zależy. Przez te wszystkie lata, kiedy Jake i Susan byli małżeństwem, Susan ani razu nie podniosła na niego głosu. Jake przypuszczał, że być może to stanowiło część problemu. Mądrość po szkodzie.

- A zatem, czy wiesz coś o jakiejś lekturze, którą Dino chciał mi dać do poczytania? - spytał dla zachęty. Susan wzięła teczkę z kolan i położyła na stole. Jake rozpoznał ją natychmiast; kiedyś często takie widywał. Białe tło, brązowy ornament. Miała numer, rzecz jasna, oraz miejsce, gdzie robiono określone adnotacje: uzbrojony i niebezpieczny, ryzyko ucieczki, skłonności samobójcze. Przez środek biegły słowa: STANY ZJEDNOCZONE, DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI, FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE.

Teczka z archiwum FBI.

Jake patrzył na nią zaskoczony, ponieważ u góry okładki ktoś zrobił dopisek. Normalnie tak się w Biurze nie postępowoło, akta identyfikowano tylko według numerów spraw.

Przeczytał: DR MCCALL ELIZABETH SAYER

Ręce Jake'a powoli zsunęły się ze stołu.

- Co to jest, u diabła?

- Dobrze wiesz, co, Jake. Przecież widziałeś takie wcześniej. To akta FBI. Miał ci je pokazać Dino, ale pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli sama je przyniosę. Jake siedział nieruchomo... zdawało mu się, że zapomniał oddychać. Poruszył gwałtownie głowę, próbując się otrząsnąć. Przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się w jakimś nierealnym świecie, jakby to wszystko przytrafiało się komuś innemu. Niczym w telewizji. Zrobił odjazd kamery, powiódł nią po sali i zogniskował na durniu siedzącym naprzeciw jego byłej żony, prywatnego detektywa, kiedy ta podaje mu akta FBI dotyczące kobiety, której pożądał. Jesteś w ukrytej kamerze! Susan przysunęła akta bliżej Jake'a. - Otwórz je. Przeczytaj.

122

Kiedy nie ruszył palcem, sama zaczęła je otwierać.

Jake odepchnął jej dłoń, chwycił teczkę i położył ją na krawędzi stołu. Wiedziony jakimś dawno zapomnianym instynktem otworzył i zaczął machinalnie przewracać kartki. Typowy zestaw. Różne dane z przeszłości. Wywiady z sąsiadami. Fotografie zrobione w czasie inwigilacji.

Tyle tylko, że nie dotyczyły jakiegoś przestępcy, którego miał oskarżyć.

Rozłożył fotografie na całym stole i jego oczom ukazała się zupełnie inna kobieta niż ta, z którą omal się nie przespał. Ale nie w tym sensie, że Mac umiała zmieniać się jak kameleon. Ta kobieta była... szarą myszką. Wypchane džinsy, związane włosy -czasem w warkocz, czasem w kucyk, a czasem w kok - koszule z okrągłymi kołnierzykami i wiatrówki.

- Skąd to wytrzasnęłaś?

- Mam swoje źródła. Przykro mi, ale sądziłam, że powinieneś wiedzieć.

Jezu, była nawet opinia z obyczaj ówki dla naukowców. Oraz fotokopie wycinków prasowych, choć nie było wiadomo, czy Susan je dodała, czy też były tam już wcześniej.

Lokalny geniusz wywołuje skandal. Profesorka uznana za winną nieprawidłowości na uniwersytecie. Prokurator wnosi o wstępne przesłuchanie przed ławą przysięgłych.

Odłożył artykuły na bok, nie czytając ich. Zadawał sobie pytanie, jak mógł przeoczyć coś takiego - miejscowa dziewczyna, która zeszła na złą drogę. Ale daty wskazywały, że działo się to wtedy, kiedy walczył z Hope o Michaela. Co innego zaprzętało go w tym czasie.

Przewracał dalej kartki, tu i ówdzie czytając wrywkowo jakieś zdanie, nie skupiając się zbyt długo na jednej rzeczy, a mimo to co i raz trafiał w niego cios.

Powiązania komunistyczne... regularna poczta elektroniczna o treści zastrzeżonej na adres doktora Kam Chstnga w ChRL... badania naukowe możliwą fasadą czarnorynkowej produkcji skondensowanego narkotyku... megalomania połączona z dewiacyjnym geniuszem... diaboliczne badania budzące opory moralne... Jake przebiegał pismo coraz szybciej i szybciej, aż cała treść zamieniła się w jednolitą, nieskończoną płamę. Nie był w stanie skupić wzroku. Zamknął teczkę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak fa-

128

talnie jak teraz. No, może w tych kancelariach adwokackich, gdzie toczył boje o Michaela. Czuł, że się dusi.

- Jake. Znam twój charakter. Ta kobieta... Nie próbuj jej pomagać. Jest różnica między osobą, która ma kłopoty, a osobą, która oznacza kłopoty. Wiesz o tym, prawda? Powiedz, proszę, że dostrzegasz różnicę.

Milczał.

- Jake, posłuchaj mnie. Ta sprawa śmierdzi jak cholera. Eksperymenty na mózgu? Czarnorynkowa produkcja skondensowanych narkotyków? Oskarżyła Curtisa Clarke'a o zamordowanie jej partnerki, a teraz, po czterech latach pracuje u niego? To jest chore. Nie możesz wiązać się poważnie z kimś...

- Daj spokój - mruknął, unosząc dłoń do góry. - Proszę cię... daj spokój.

Wstał, zabrał ze stołu teczkę.

- Przynajmniej dopij swoje piwo. Dino zjawi się tu lada chwila. Możemy zastanowić się nad tym wspólnie. Nie musisz sam roztrząsać wszystkiego - poprosiła.

Ale Jake nie słuchał. Huczało mu w uszach, jakby przez jego czaszkę przewalał się rozszalały ocean.

- Przyniosłam to, żeby ci pomóc - ciągnęła Susan, chwytając Jake'a za rękę, kiedy odwracał się do wyjścia. - Dino mi mówił, że tracisz dla niej głowę. Ze przychodziła do kasyna, że cię szukała. Proszę, pozwól mi sobie pomóc.

- Już mi pomogłaś - odparł, podnosząc do góry teczkę. - Resztę pozostaw mnie, Susan.

Resztę pozostaw mnie - dodał w myślach, po czym hamując śmiech ruszył w stronę drzwi. Jego słowa zabrzmiały zdumiewająco rozsądnie. Jakby faktycznie wiedział, jak u diabła zamierza postąpić.

Włożył teczkę pod pachę, żeby nikt nie zorientował się co do jej zawartości, i ruszył do swego gabinetu. Pokonał hol hotelu, główne wyjście, przeszedł wzdłuż Riverwalk i wdrapał się na pomost. Pierwszy raz nie odwzajemniał uśmiechów i pozdrowień ludzi pracujących wraz z nim w kasynie. Teczka z archiwum FBI ciążyła mu niemilosiernie. Wreszcie dotarł na miejsce i zamknął za sobą drzwi. Rzucił akta na środek biurka, klapnął na fotel i wpatrywał się w okładkę. Nie wiedział, jak długo siedział tak i czekał. Parę minut? Kilka godzin? W końcu posłuchał rady Susan, otworzył teczkę i zaczął czytać. Od początku do końca.

Próbował przekonać siebie, że nie różniła się od innych teczek z aktami. Kiedy pracował jako prokurator, dostawał podobne rzeczy, a potem je przeglądał, kojarząc fakty, dochodząc po nitce do kłębka. Jak kiedyś.

Kiedy skończył czytać ostatnią kartkę, rozparł się wygodnie w fotelu i próbował uporządkować wrażenia. Zachować pewien dystans... ale raptem stanęła mu przed oczami twarz Mac na nagraniu z kasyna.

Jake rozumiał mowę ciała, umiał czytać z wyrazu ludzkiej twarzy i brzmienia głosu. W czasie batalii o skład ławy przysięgłych, kiedy usuwali podstawionych ochotników, demaskując ich ukrywaną stronniczość, Jake zawsze umiał wyszukać kogoś, kto miał posłużyć do zawieszenia sprawy w przyszłości. Umiejętność dokonywania właściwego wyboru składu sędziowskiego stanowiła o jego największej sile w Sekcji Kryminalnej. Gus Pierson, zwierzchnik Jake'a, nazywał go Rentgenem ławy przysięgłych.

Ileż razy oglądał to wideo, zatrzymując na ekranie scenę, kiedy blondynka oddała się od siedzącej przy barze Mac? Znał te objawy malujące się na jej twarzy. Rezygnacja. Lęk. Do tej pory zaś sprawy mogły zająć jeszcze dalej, myślał Jake. Wziął do ręki zdjęcia Mac sprzed czterech lat, z czasów, kiedy nosiła te swoje okulary i luźne ubrania. Oskarżyła nawet Curtisa Clarke'a o zamordowanie jej partnerki, a teraz, po czterech latach, pracuje u niego? - nadal słyszał w uszach przeciągły głos Susan.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer, który jeszcze pamiętał.

- Proszę z Gusem Piersonem.

Gus był szefem Jake'a w Sekcji Kryminalnej i już wtedy miał na oku Curtisa Clarke'a. Jeśli toczyło się jakieś śledztwo w sprawie Ciarke Cosmetics, Gus by o nim wiedział.

Jake starał się nadać rozmowie z przyjacielem lekki ton, wysłuchując z kolei jego typowych biadoleń, że porzucił prokuraturę, aby pracować w podejrzanym towarzystwie. W biurze prokuratora okręgowego Luizjańskiego wydziału sprawiedliwości istniała komórka gier hazardowych, specjalizująca się w zwalczaniu wszelkiej nielegalnej działalności, jaka mogła mieć miejsce w kasynach. Kilka osób, szczególnie Gus Pierson, dosłownie osłupiało na wieść, że Jake odchodzi z prokuratury i przyjmuje kierowniczą posadę w kasynie. Ale River Palace było instytucją czystą jak lza. Wówczas jednak serce Jake'a zalewała gorycz po utracie Michaela. Do-

130

szedł do wniosku, że zaliczając się do grona waśniaków, nie osiągnął w życiu zbyt wiele.

Zadawał pytania tonem obojętnym, nie chcąc ujawniać osobistego zainteresowania sprawą. Dopóki nie odłożył słuchawki.

Siedział potem za biurkiem i analizował słowa Piersona.

Jest różnica między osobą, która ma kłopoty, a osobą, która oznacza kłopoty - szeptała Susan w głowie Jake'a. Kłątwa Donovanu uderza ponownie.

Ale Dino się mylił. To nie była żadna gra.

Jake pochylił się do przodu, oparł łokcie na krawędzi biurka i schował głowę w ramionach.

Mac miała cholerne kłopoty.

- Chyba nie poszło za dobrze, hm?

Dino miał na sobie gęsto tkany sweter w rozmaitych odcieniach brązu, z tu i ówdzie naszytymi skórzanymi łatkami.

Zaczesał swoje kędziory do tyłu i starannie wypomadował, by nadać im wygląd wiecznie mokrych. Normalnie Susan zażartowałyby na temat jego fryzury i ubioru, ale tym razem nie była w nastroju do zabawy.

Miała przed oczami twarz Jake'a przewracającego akta FBI oraz jego ręce, kiedy rozkładał na stole fotografie. i Straciłaś go.

Czuła, że narasta w niej rozczarowanie, gorzkie, ponure i mrozące krew w żyłach. Kogo ona oszukiwała? Straciła Jake'a wiele lat temu.

- Hej. - Dino trącił ją pod stołem w nogę, kierując na siebie uwagę kobiety. - Może ona działa na niego tymi feromonami, hm?

- Nie poprawiasz mi nastroju, jeśli do tego zmierzasz. Susan zsunęła oliwkę z wykałaczki i przyglądała się, jak mały owoc spada na dno szklaneczki martini. Następnie kilkakrotnie dźgnęła w zieloną kulkę wykałaczką.

- Niech ją diabli. - Miała na myśli doktor Sayer oraz zawartość teczek FBI.

- Jake to duży chłopiec, Suzy. Przekazałaś mu informacje. Reszta należy do niego.

- A jeśli uzna ją za jakąś wielką swoją krucjatę? Jak w przypadku Hope? Jeśli wmówi w siebie, że musi jej pomóc?

- Zaryzykowałaś, pokazując mu te dokumenty.

Ale Susan sądziła, że sprawa przybierze zupełnie inny obrót. Miała nadzieję, że Jake pozna się na tej kobiecie i ucieknie od niej.

- Wiesz, co myślę? - spytał Grek, pochylając się nad stołem. -

Że powinnaś zapomnieć o tym Irlandczyku. Zresztą umiem to zorganizować... noc fantastycznego, dzikiego, **niezapomnianego** seksu. Wymaż go ze swojej pamięci na zawsze - dodał, zerkając na zegarek. - Tak się składa, że mam trochę czasu do zabicia.

- Nie widzę w tobie niczego pociągającego, Dino - skłamała, mając świadomość, że Dino tylko żartował.

- O co chodzi, Suzy? - spytał z nieoczekiwaną powagą. - Nadaję się tylko na przyjaciela, przed którym można się wyplakać? Który potrafi zreperować ci system alarmowy i pomóc wybrać coś z katalogu?

Po raz pierwszy podniósł głos. Powinien dobrze wiedzieć, jak traktowała ich związek. Łączyło ich coś szczególnego, po co narażać to na szwank i spać ze sobą?

Susan nie była jednak w nastroju do zabawy w dyplomację, wręcz przeciwnie.

- Dino. Jesteś kobieciarzem - powiedziała. - Facet, który wycina na łóżku karby, nie jest zbyt pociągający dla kobiety.

Posłał jej najśłodszy i najbardziej seksowny uśmiech ze swego repertuaru.

- To tylko świadczy o mojej bogatej praktyce.

- Tv| oja męskość mnie przytłacza.

Wstała i podniosła z podłogi aktówkę. Czula złość do siebie, ponieważ tak naprawdę propozycja Dina była bardzo kusząca. Noc seksu z mężczyzną, któremu ufała na tyle, że dała mu posadę w swojej agencji... Noc zapomnienia z przyjacielem, z którym spędzała wiele godzin tygodniowo. Dino znalazł ją na wylot. Był mężczyzną, który mógłby uśmierzyć ból, jaki teraz odczuwała. Choćby tylko przez jedną noc.

Tylko tyle ci trzeba, Susan. Wpaść z deszczu pod rynnę. Dopiero byłabyś żalosna.

Piorunowała wzrokiem Greka, który wciąż siedział przy stole. Rozpierał się w fotelu i zajadał orzeszki, jakby ta wymiana zdań w ogóle go nie poruszyła.

- Dam ci znać, Dino, kiedy będę gotowa stać się następnym karbem na twoim pasku - rzekła.

Wrzucił do ust kolejny orzeszek.

- Wydawało mi się, że przedtem mówiłaś o łóżku.

- Cwany dupek. - Dino zawsze umiał doprowadzić ją do białej gorączki.

Wyszła, pozostawiając za sobą Dina i Cascade Lounge. Powta-

127

rzała w myślach, że wcale nie Greka pragnęła. I że nie wmówi w siebie jak idiotka, że tym facetem jest właśnie Grek.

10

Testujemy coś nowego na małpach. Wstrzykujemy im środki immunosupresyjne. Pokładam w tym wielkie nadzieje. Chyba nie zniosłabym po raz drugi widoku śmierci, jaką poniosły szczury. Szczególnie w przypadku małp.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman

Roger dosłownie wyskoczył z fotela. Szarżując na Donalda Sayera, omal nie przewrócił obsypanego baziarnymi wiklinowego kosza, który dekorator wnętrz uznał za dzieło sztuki. Curtis nazywał to cholerstwo włochatym kubłem na śmieci.

- O co ci chodzi, człowieku? - krzyknął Roger.

- Za bardzo lekceważysz McCall - upierał się Sayer.

- Ja ją lekceważę? Przecież to nie ja gardluję, że Formuła Omega jest gównem warta - powiedział Roger Ciarke, dźgając palcem pierś Sayera. - Tobie nawet nie chciało się przeczytać tej kretyńskiej propozycji, a powtarzasz w kółko, że nic jej z tego nie wyjdzie.

- Nie muszę tego czytać - odparł Donald Sayer tym swoim tonem wyższości, którym uwielbiał zwracać się do Rogera. - Krytyczna lektura danych przekonała mniejsze ludzkie feromony nie istnieją, nie mówiąc już o syntetyku, który miałby je imitować. To, co ona proponuje, jest nierealne. Każdy\ dureń może to potwierdzić. Curtis międlil w zębach dwudziestocentymetrowej długości cygaro. Zaciągał się powoli i czekał, aż z rozżarzonej końcówki odpadnie popiół,

- Otóż **ten** dureń uważa, że McCall coś znalazła - sprzeciwił się Roger. - Coś, co faktycznie przyniesie naszej firmie duże pieniądze, odwrotnie niż te bzdety, nad którymi przez cały rok zbijasz baki, jakby Ciarke Labs były twoim osobistym kontem w szwajcarskim banku.

- Spokojnie, chłopcze - odezwał się Curtis Ciarke, widząc,

że wskazówka Rogera zaczyna drzeć na czerwonym polu.

Roger chwycił z biurka Curtisa dane, które zestawił dla niego Kyle Woods, i zamachał kartkami przed nosem Sayera.

- Wysłałem ci pocztą elektroniczną kopię raportu Woodsa. Czy zdobyłeś się chociaż na to, żeby go przeczytać? McCall wytworzyła peptyd, doktorze Kutafonie. Teraz potrzebuje tylko jakiejś bakterii do masowej produkcji tego peptydu i zaczynamy eksploatację kopalni złota.

Sayer wydał policzki niczym chomik. Od czasu głośnego skandalu związanego z badaniami McCall nie chciał mieć z córką do czynienia. Curtis zupełnie nie mógł tego pojąć. Wiedział, że jego syn często zachowuje się jak idiota, ale przecież kochał tego durnia. Ostatecznie rodzina to rodzina.

- Coś ci powiem, tato - oznajmił Roger, zanurzając się w skórzanym, karmazynowym fotelu, którego kształt kojarzył ze skorupką jajka. Następnie zaczął bujać się tam i z powrotem przed biurkiem Curtisa i uśmiechać złowrogo, jakby miał ochotę dzielić Donalda Sayera między oczy. - Powinieneś zaproponować McCall stanowisko jej ojca, tak jak zrobiłeś to cztery lata temu. Myślę, że tym razem przyjmie. Naprawdę tak myślę. Co ty na to, Donaldzie? Czy jesteś gotów usunąć się i zrobić miejsce komuś, kto naprawdę odnalazł klucz do tajemnicy?

- Jesteś ślepy, Roger.

- Dlaczego? Dlatego, że to nie ty wymyśliłeś Formułę Omega? Bądźmy poważni, Donaldzie. Obydwaj wiemy, że twoja córeczka przerasta cię o głowę.

Donald zerwał się z miejsca, miał dość napastliwości Rogera. Potrząsał głową, spoglądając na niego z taką miną, jakby mu współczuł.

- Ty na zawsze pozostaniesz głupcem, Roger. I nigdy nie byłeś prawdziwym naukowcem.

- Masz tu zostać. Jeszcze z tobą nie skończyłem, Kutafonie. Kiedy za Donaldem Sayerem zamknęły się drzwi, Roger z wściekłością rzucił za nim raportem Woodsa. Curtis przyglądał się, jak na dywan sfruwają kartki.

- Usiądź, Roger. Musimy pogadać.

- Za kogo on się uważa, do cholery? Pieprzony dureń. - Roger chodził w kółko, depcząc po raporcie Woodsa w swoich eleganckich pantoflach ze słoniowej skóry. - Odzywa się do mnie, jakbym był kawalkierą gówna. Jego dupa jest moją **własnością**. On jest własnością tej firmy! Nie okazuje mi żadnego szacunku.

134

- Uspokój się, Roger. Donald zrobi, co mu się każe. - Curtis ścisnął cygaro między zębami i przeciągnął ręką po włosach. Robił wszystko, by mieć takie same pasemka blond jak syn. Tyle że syna były naturalne. Będzie musiał porozmawiać ze

swoim stylistą Stefano i zapytać, czy następnym razem nie mógłby ich trochę rozjaśnić. - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że Donald może mieć rację? Czy nie posuwamy się za szybko w sprawie Formuły Omega?

- O, nie. Nie pozwolę mu tego zniszczyć. - Roger pochylił się nad biurkiem, jego szare oczy błyszczały, skórzana kurtka zapinana na trzy guziki była rozpięta i ukazywała pod bawelnianą koszulą umięśnione ciało, którego Curtis nigdy się nie dorobi mimo zajęć ze swoimi osobistymi trenerami. - Opowiem ci coś o testach, które przeprowadziliśmy w tym tygodniu, słowami laika, tato, żebyś mógł zrozumieć.

Curtis uśmiechnął się z za dymiącego cygara. Roger uwielbiał popisywać się przed nim swoimi stopniami naukowymi i często dawał ojcu do zrozumienia, że uważa go za ignoranta. Ale Curtis dobrze wiedział, że to on opłacił naukę. On stworzył Rogera. Syn był jego tytułem do chwały.

Roger przysiadł na krawędzi biurka i poczęstował się cygarem.

- W miejscowej klinice wykonaliśmy TEP, to znaczy tomografię emisji pozytonowej, dziesięciu osobom doświadczalnym płci męskiej. Całość badań nadzorował Woods, a zatem McCall nie mogła niczego sfalszować. TEP pozwala mierzyć poziom aktywności mózgu. I wiesz co? Kiedy ci faceci powąchali peptyd, który zsyntetyzowała McCall, ośrodki nerwowe w ich mózgach rozgorzały, jakby oglądali pornosa **Debbie Does Dallas**. Będzie z tego forsa. I to bynajmniej nie za piętnaście lat, jak kracze Donald.

Curtis Ciarkę westchnął przeciągle. Nie podobała mu się taka rzetelność McCall. Wolał, żeby dziewczyna wyprowadzała ich w pole. To by miało sens. Nie lubił, kiedy elementy układanki nie pasowały do siebie.

Trzymał w ustach dym ze swego cygara, delektując się nim niczym winem.

- Jak przebiega budowa kliniki?

- Powoli. Bardzo powoli. Poza tym drogo. - Roger klapnął na fotel i wyciągnął nogi przed siebie, krzyżując je. - Musiałem znowu wysłać kontrahentowi pieniądze na łapówki. Ale będzie gotowa.

Curtis patrzył, jak Roger przycina cygaro. Nie lubił, kiedy jego syn palił, bo przede wszystkim źle się do tego zabierał.

Kop-

cił jak dziewczyna, nie chciało mu się zgryźć i porządnie nawilżyć w ustach końcówki, najczęściej zresztą cygaro samo gasło Rogerowi w czasie palenia.

- Martwię się o twojego znajomka, Garretta Renaulta - powiedział do syna. Wpadł na pomysł, żeby ściągnąć firmowe opaski z kilku swoich kubańskich cygar i przelożyć je na tanie świństwo dla Rogera. **Taka strata.** - Dzwonili jacyś ludzie od niego w sprawie kliniki. Chcą lecieć na Isla Hermosa i dobrze przyjrzeć się wszystkiemu.

- Zapomnij o Garrecie. Sam się nim zajmę. Wyświędę mu parę slajdów, przedstawię zamierzenia finansowe - powiedział z uśmiechem Roger. Próbował zapalić cygaro z boku, a nie od spodu. -Przyjmę jego dziewczynę do BioMłodości - dodał, mrugając porozumiewawczo do ojca. - Zachowamy jej młodość i urodę dla niego.

- Czy to rozsądne? - spytał Curtis Ciarkę. Niekiedy bał się, że chłopak sam szuka kłopotów. Pal go diabli, Curtis dobrze znał uczucie, kiedy człowiek balansuje na linie, znał ten dreszczyk podniecenia. Ale Roger wprost się tym delektował. - Nie stać nas na popełnienie błędu.

- To będzie forsa kasyna, tato. Garrett ma mnóstwo szmalu do wyrzucenia na swoją cizię. Poza tym przydadzą ci się jego koneksje rodzinne, kiedy klinika ruszy z miejsca. A zresztą, co cię gryzie? - spytał ze złością. - To jakaś lafirynda, którą sobie poderwał. Nawet gdyby coś się stało, nigdy w życiu nie obciążą tym kliniki. Symptomy będą zupełnie inne. Ile razy mam ci to powtarzać? - spytał, z coraz większą niecierpliwością kołysząc się w fotelu z lewa na prawo. Nie lubił, żeby go indagować.

- A jednak - ciągnął Curtis - przyhamujmy trochę, jeśli chodzi o inwestorów; zachowajmy jak najwięcej udziałów w rodzinie. Po co wciągać tylu ludzi do naszego... Za dużo pytań.

- Ty chyba nic nie rozumiesz - odpowiedział Roger. Wstał, trzymając cygaro pionowo, jakby to był jakiś cholerny koktajl.

- Potrzebne nam jest wyposażenie laboratoryjne, personel medyczny, łapówki dla oficjeli rządowych. To wymaga pieniędzy. Chcesz zatrzymać się w połowie drogi, bo nie mamy kapitału do osiągnięcia celu?

- Dobra, dobra. Ale przyhamuj trochę, chcę się zorientować, ile zdołam wycisnąć z naszych własnych ludzi. Brakuje nam tylko śledztwa ze strony prokuratora okręgowego.

- Rób, jak chcesz. Ja mam tylko pieprzone magisterium i doktorat z genetyki. Moje zdanie się nie liczy.

- Po prostu ustąp mi w tej sprawie, chłopcze.

136

Roger palił cygaro w taki sposób, jakby lizał loda na patyku, co wywołało złośliwy grymas na twarzy Curtisa. Syn zerkał z ukosa przez klęby dymu, a jego szare oczy zwęziły się z wrogością, która przejmowała lekkiem nawet jego ojca. Curtis

rozumiał, że syn chciał pokazać swą wartość, a poza tym, do diabła, to wszystko kiedyś mu przecież przypadnie. Ale dopiero kiedy będzie do tego gotowy.

Curtis wspominał własne początki. Od dwunastego roku życia sam musiał troszczyć się o siebie. Będąc nastolatkiem, pracował jako naganiacz klientów do lokali z striptizem na Bourbon Street, przyglądał się dziewczętom robiącym sobie magiczną charakteryzację przed występem, zafascynowany przeobrażeniem, które następowało jedynie za sprawą makijażu. Ale Roger, tak mu Boże dopomóż, w wieku trzydziestu lat nadal potrzebował niańki.

Roger skinął głową w kierunku kosza wiklinowego.

- Po co to trzymasz, tato? - zapytał jego śliczny syn, o którego modlił się i którego zdołał odebrać tej dziwce z twarzą lasicy. Ożenił się z nią, a potem, kiedy spełniła swój obowiązek, przepędził na cztery wiatry. Curtis i Roger radzili sobie sami, odkąd chłopiec skończył drugi miesiąc życia.

- To wyjątkowe dzieło sztuki. Jedyne w swoim rodzaju. Znamionuje klasę.

- To jakieś gówno - stwierdził Roger, a jego twarz rozświetlił najśladniejszy uśmiech, który powinien Curtisa ostrzec. - Daj, pomogę ci - powiedział.

Z tymi słowy kopnął w postument, aż zatrzęsała się podstawka kosza. Dzieło sztuki runęło na dywan, rozlatując się na drobne kawałki, a kruche gałązki wikliny rozsypały się po całym gabinecie.

Roger przeciągnął się i podszedł do drzwi.

- Przyślę ci Woodsa, żeby przejrzał z tobą wyniki tomografii emisji pozytronowej. Nawiasem mówiąc, mamy dziś dostawę od twojego znajomego hycła.

Curtis nie lubił, kiedy Roger używał terminu hycel. Nazywano tak ludzi, którzy grasowali po ulicach w poszukiwaniu zdobyczy, a czasami wykradali nawet psy z ich własnych podwórek.

- Dam ci znać, jak się pieski prezentują - dodał. - Adieu, tato. Curtis potrząsnął głową i nadgryzł kubańskie cygaro, patrząc na zaśmiecony dywan. Parę kawałków poszło w diabły. Chłopcy i te ich ataki złości.

Zamek magnetyczny piknął, drzwi się otworzyły i McCall weszła do Laboratorium 19. Nie spodziewała się zastać Kate Mulligan przy pracy.

- Kate? Myślałam, że wyjedziesz na cały dzień - powiedziała. Wróciła przed chwilą z Ragin' Cajun, przydrożnej jadłodajni, gdzie raczyła się kawą i gęstą zupą z owoców malwy. Miała nadzieję, że nikogo w laboratorium nie zastanie. Stała za plecami laborantki, przyglądając się, jak ta ostrożnie zeskrobuje komórki bakteryjne z płytki Petriego. Kate działała metodycznie, umieszczając w probówkach komórki podobne do pleśni chlebowej i odkładając na bok płytki, na których kolonie bakteryjne nie wzrosły.

Spojrzała na McCall i uśmiechnęła się, ukazując rozstęp między zębami, który nadawał brunetce słodki wygląd Lauren Hutton.

- Pomyślałam, że skończę to dzisiaj.

Kilka dni przedtem Kate zainfekowała komórki bakteryjne wirusem, który przenosił gen dla ich magicznego peptydu - zasadniczego składnika Formuły Omega. Następny krok polegał na pobraniu zainfekowanych komórek i wpuszczeniu ich do roztworu obfitującego w wystarczającą ilość składników odżywczych, by komórki bakteryjne mogły swobodnie się rozwijać. Robert i Tom, pozostali laboranci, robili to samo.

- Poświęcasz na to masę czasu - rzekła McCall.

- Nie szkodzi. Najwyraźniej połknęłam bakcyła, tak jak te komórki - odparła, śmiejąc się z własnego dowcipu. - Ale nie sądzę, abyśmy już byli na etapie transformacji.

- Infekowanie komórek wirusem to nic trudnego. Prawdziwa robota zacznie się przy rafinacji zawiesiny.

Kate pokiwała głową.

- Kyle sądzi, że rezultaty osiągniemy pod koniec miesiąca. McCall nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że Kyle grubo się myli. Liczyła, że prace potrwać o wiele dłużej.

Miała wrażenie, że stąpa po polu minowym. Jeden błąd i cały świat, jaki wokół siebie zbudowała, zadrży w posadach i jej domek z kart się zawali. Tomografia pozytronowa była pierwszym prawdziwym testem, punktem przelomowym, który pomógł jej pozyskać Rogera. Choć na opracowanie tego fortelu poświęciła cały rok, dosłownie wstrzymywała oddech, póki wyniki nie okazały się takie, jakich oczekiwała. Nawet Woods dał się na to nabrać.

Oczyma wyobraźni widziała Kyle'a Woodsa, jego związane w kucyk jasne włosy i grube okulary, zasłaniające inteligentne

oczy... Nerwowe kląskanie automatycznym ołówkiem. Doktor Kyle Woods. McCall zaczęła go postrzegać jako swoje nemezis w tym laboratorium. Z Rogerem i pozostałymi umiałyby sobie poradzić - nawet własny ojciec wykazywał jakieś zainteresowanie jej pracą. Ale nie Woods.

Woods był błyskotliwym naukowcem, obdarzonym świetną intuicją. Poza tym był bardzo zaangażowany, pracował nad projektem niczym demon. Jego doświadczenie i tempo działań świadczyły o niewiarygodnej inklinacji do tego typu pracy. Gdyby wszystkim zajmował się Woods, mogliby wyizolować peptyd w ciągu miesiąca.

Chyba będzie musiała jakoś temu zapobiec.

McCall oparła się plecami o stół, biorąc do ręki jedną z płytek Petriego. Nie było na niej widać ani kolonii bakteryjnych, ani żadnych dziwnie ukształtowanych plamek z komórkami pleśni.

- To dziwne, że dobudowali Laboratorium 20 -* powiedziała, starając się nie budzić podejrzeń swoją ciekawością.

Kate kiwnęła głową, nie odrywając wzroku od bakterii.

- Istnieje, odkąd zaczęłam tu pracować, to znaczy od kilku lat. McCall odłożyła płytkę na stół.

- Na pewno odchodzi tam jakaś ostra robota. Kate przesunęła się do drugiej płytki.

- Ja nic nie wiem. Nie mam zezwolenia od ochrony.

- Przecież musiałś coś słyszeć.

Kate obróciła się na stolku i spojrzała McCall prosto w oczy.

- Ostatni człowiek, który się tym interesował, stracił pracę. Więc nie zadawaj pytań. Potraktuj to jako przyjacielskie ostrzeżenie.

Kate wstała i ruszyła z tacą z probówkami w stronę inkubatora. McCall zacisnęła usta. Podobne odpowiedzi usłyszała od Roberta i Toma, pozostałych laborantów.

- Bije trzecia - szepnęła do Kate, po czym stanęła za nią i przejęła tacę z probówkami. - Idź już. Ja to skończę. To polecenie.

Kate zrobiła kilka skłonów, usiłując rozprostować plecy ze-sztywniałe od pochylania się nad płytkami Petriego.

- Racja, szefowo - odparła, zamknęła inkubator i obróciła się, aby zaszutować, a potem rozchyliła wargi w tym swoim charakterystycznym uśmiechu. - Do zobaczenia rano.

- Będę na miejscu - odparła McCall.

Zajmowała się probówkami i płytkami Petriego, czekając, aż Kate zbierze swoje rzeczy i wyjdzie. Kiedy wreszcie zatrzasnęły się za nią drzwi, McCall spokojnie przyjrzała się koloniom bakterii

zawierającym jakoby ową magiczną substancję, którą obiecała.

Kyle Woods uważał, że osiągną wyniki przed końcem miesiąca. Rafinacja być może potrwa nieco dłużej, Ale kiedy już wyizolują ten peptyd, czas MaCall dobiegnie końca.

Kyle Woods nadstawił uszu. To na pewno psy.

Nigdy nie był równie blisko potwierdzenia informacji, którą otrzymał kilka miesięcy temu. Znajdował się na parkingu z tyłu kompleksu budynków wchodzących w skład Ciarke Labs. W pobliżu zatrzymała się biała ciężarówka dostawcza, jedna z tych, które nie, miały znaków rozpoznawczych firmy.

Kyle mógłby przysiąc, że z wnętrza ciężarówki dochodziło jakieś ciche skomlenie.

Patrzył, jak Belinda podpisuje fakturę, wdzięcząc się do grubasa wciśniętego w dżinsy i flanelową koszulę. Potem oddała mu dokumenty przypięte do twardej podkładki i z przymilnym uśmiechem wskazała ręką wjazd przez tylną bramę.

Prowadziła tędy droga do Laboratorium 20, gdzie tylko Belinda i kilka innych osób miało prawo wstępu. Następnie odwróciła się i ruszyła z powrotem schodami na górę.

- Doktor Woods?

Na dźwięk swego imienia Kyle omal nie umarł ze strachu. Zdołał się jednak opanować i powoli się odwrócił; nie słyszał żadnych kroków z tyłu.

To był George, jeden ze strażników patrolujących teren na nocnej zmianie. Kiedy George poznał Woodsa, wydawał się szczerze zdziwiony.

- Od razu pomyślałem, że to pan, doktorze Woods. Co pan tu robi tak późno?

- George - uśmiechnął się Kyle, niezmiernie wdzięczny za słabość strażnika do ciastek. Co rano, kiedy George schodził ze służby, Kyle czekał już na niego z dwoma pączkami w czekoladowej polewie, szczególnie lubianymi przez łakomczucha.

- Wróciłem po ten raport. - Kyle podniósł teczkę z dokumentami, którą przywiózł ze sobą. **Na wszelki wypadek.**

Potrzebował wiarygodnego pretekstu do powrotu o tak późnej godzinie, przekonującego wyjaśnienia, które nie znajdzie się rano w formie notatki służbowej na biurku Curtisa Clarke'a. Skinął głową w stronę ciężarówki. - Wiesz coś na ten temat? - zapytał obojętnie, - Skąd się ten facet tutaj wziął?

135

- Miał wszystkie potrzebne dokumenty. - George wzruszył ramionami.- A zresztą, zajmuje się tym panna Sayer.

-Tak, racj a - odparł z uśmiechem Kyle. - No to do rana. Pączki w czekoladzie, jak zwykle?

- Pan umie mnie podejść, doktorze Woods.

Kyle ruszył do swego volkswagena rabbita, a w jego głowie wciąż niosło się dalekie echo skomlenia nieszczęsnych zwierząt. Dla ostrożności na pewno nałożyli im kagańce, więc biedne stworzenia mogły wydawać z siebie najwyżej cichy skowyt.

Woods poczuł, jak ogarnia go wściekłość, dzika i żarliwa. Jęki zwierząt przetrzymywanych w ciężarówce były ledwo słyszalne, ale Kyle odnosił wrażenie, że napelniają wieczór niemal cielesną obecnością, zamieniając się w żywą istotę, która rozsadza mu czaszkę, i stapiając w jeden ogłuszający krzyk o pomoc.

Zajmuje się tym panna Sayer.

- Już ja to widzę.

Kyle otworzył ze złością drzwi volkswagena i cisnął teczkę na fotel dla pasażera. Wcisnął się za kierownicę, włożył klucz do stacyjki, ale nie zapuścił motoru.

Niebawem panna Sayer znowu się pojawiła. Obserwując ją, jak schodzi po stopniach z kluczykami w ręku, Kyle czuł, że z każdą chwilą coraz bardziej rozsadza go złość. Belinda miała na sobie sukienkę w lamparcie latki dokładnie opinającą jej ciało oraz męskie buty myśliwskie zasnurowane pod kolanami. Chwilę później znalazła się na uprzywilejowanym miejscu do parkowania -pośrodku pierwszego rzędu - i wsiadła do mazdy miaty.

Kyle rozgorzał wściekłością, koncentrując jej moc niczym promienie laserowe. W momencie gdy dziewczyna uruchomiła samochód, Kyle nacisnął pedał gazu i włączył się do ruchu tuż za nią. Wiedział, że - jak zawsze - nawet go nie zauważy.

ROGER

Wystukawszy jego imię, McCall nacisnęła ENTER, nie przestając ani na chwilę patrzeć na monitor, który rozjaśnił się linijkami znaków graficznych.

- Panowie, jesteśmy w domu - zawołała, gdy na ekranie otworzyła się skrytka poczty elektronicznej Rogera.

Podobnie jak wielu innych operatorów zbiorczych systemów komputerowych, operator systemu w Ciarke Labs zadecydował, że domyślnym hasłem identyfikacyjnym poszczególnych osób bę-

dą ich własne imiona - do czasu ewentualnej zmiany hasła. Roger oczywiście nie zawracał sobie głowy jakimikolwiek zmianami.

- Ty zawsze byłeś leniem, Roger.

McCall rozsiadła się wygodnie w fotelu i pomasaowała szyję. Minęło kilka godzin od czasu, kiedy wygoniła Kate do domu, ale dopiero teraz odważyła się myszkować wśród plików komputerowych, zdecydowana na wszystko, aby nie zmarnować bodaj jednej chwili z czasu, który jej pozostał.

Sączyła powoli kawę z plastikowego kubeczka i przeglądała zawartość poczty Rogera, niebagatelny sukces. Niezależnie od swego lenistwa, Roger był też strasznym chomikiem. Od kilku miesięcy nie odpowiadał na wpływającą korespondencję, ale jej nie usuwał. W jego skrytce znajdowało się prawie czterysta pozycji, lecz tylko na dwóch z nich wytluszczony druk świadczył, że nie były czytane.

McCall otworzyła kilkanaście listów, omijając te, których Roger dotąd nie przeczytał; nadawca dostałby automatycznie potwierdzenie tego faktu. Większość korespondencji dotyczyła spraw służbowych lub prywatnych - między innymi ostrzy pornos od pewnej laborantki z pracowni Donalda Sayera. Historia stara jak świat, Roger Belindę bałamucił.

McCall wzdrygnęła się ze wstrętem. Przed południem spotkała siostrę w bufecie pracowniczym i namówiła ją na wypicie razem kawy. McCall chciała naprawić pierwszą nieudaną próbę pojednania w River Palace. Starając się nawiązać serdeczny kontakt, wygłosiła do Belindy mowę na temat jej tańca oraz dobroczynnego wpływu ojca. Chciała, żeby Belinda uczyła się na błędach starszej siostry.

To, co stało się potem, było dalekie od zamierzonych przez McCall ciepłych i serdecznych chwil. Siostry stoczyły walkę, na koniec zaś McCall palnęła głupstwo. Nie wychodź za niego, jeśli cię nie kocha.

Tak jakby Belinda chciała to od niej usłyszeć, jakby zamierzała jej posłuchać.

ANGIELSKIE ŻYCIE

- Witam. - McCall pochylila się nad monitorem, cofając się do pozycji, którą właśnie przepuściła. Angielskie życie? Tytuł kojarzył się z fotografiami zrobionymi podczas zagranicznych wakacji albo z jakimś kolorowym miesięcznikiem dla anglofilów - ani jedno, ani drugie nie pasowało do osobowości Rogera. Kliknęła myszką i otworzyła wiadomość.

do: Rogera Clarke'a od: Martina Burgera dotyczy: Angielskie życie Roger,
Z Anglii nadeszła przesyłka, o której rozmawialiśmy. Uszkodzona!!! Trzeba poszukać zamienników. Sonia
Wiadomość była sprzed dwóch dni. W przeciwieństwie do innych listów elektronicznych, które McCall przeczytała, treść
tego wydawała się celowo niejasna. Działając pod wpływem impulsu, otworzyła „wiadomości wysłane” Rogera. Chciała
znaleźć odpowiedź przesłaną Martinowi Burgerowi albo Soni, czy kto tam tę wiadomość nadał, ale niczego nie znalazła.
- No, dobrze - powiedziała do siebie. - Spróbujemy inaczej. Przejrzała wykaz adresów elektronicznych, szukając
niejakiego
Martina Burgera. Po chwili na ekranie zajaśniało jego nazwiska MARTIN BURGER, 3-L20
- Tajemnicze Laboratorium 20? - Zmarszczyła brwi. Wiadomość pochodziła z tego gmachu, budynek numer trzy,
laboratorium numer dwadzieścia.
McCall ponownie zaczęła przeglądać wykaz, tym razem w poszukiwaniu adresu zagadkowej Soni. Jakiegokolwiek Soni.
System odpowiedział pustą kratką.
- Więc dlaczego Sonia używa cudzego adresu elektronicznego do wysyłania wiadomości dla Rogera?
~ Szybko zamknęła system, wiedząc, że i tak szperała w nim za długo. Zachowywała wszelkie środki ostrożności w
trakcie myszkowania po serwerach i plikach systemowych, ale włamanie się do poczty elektronicznej Rogera było
ryzykowne. Jeśli ktoś ją miał pod lupą, cała sprawa wyjdzie na jaw.
- Wystarczy tej Maty Hari na dzisiaj - westchnęła. Kształciła się na naukowca, a nie szpiega. Ponadto zaczynała dochodzić
do wniosku, że lata spędzone przy stoliku do gry w oczko oraz godziny poświęcone na udawanie kogoś, kim nie jest, nie
pomogły jej ani trochę przygotować się do tego, co się działo.
Zarzuciła torebkę na ramię i wzięła ze stołu aktówkę. Już tydzień pracowała w Ciarke Labs, a nie posunęła się o krok do
odkrycia jakiegokolwiek związku między eksperymentami Alicji a Rogerem i Curtisem Clarke'ami.

Wyszła na korytarz i natychmiast uświadomiła sobie obecność kamer telewizyjnych ochrony. Zamknięty w jakimś pomieszczeniu strażnik przyglądał się jej, jak maszerowała do punktu kontrolnego przy wyjściu z laboratoriów. Było to niesamowite uczucie - jak gdyby patrzyło na nią milion oczu. **Mucha pod mikroskopem.** Przez ostatnie dwa dni miała nawet wrażenie, że jest śledzona, często tu i ówdzie migał jakiś szary samochód - zdaje się, że sedan -ale nie miała stuprocentowej pewności. Co piąty samochód w Nowym Orleanie był szarym sedanem.

W punkcie kontrolnym blysnęła swoją plakietką i skręciła do najbliższego wyjścia. Ślaniała się ze zmęczenia, bo źle spała. Przez ostatni tydzień narastały w niej wątpliwości, w środku nocy słyszała złe podszepty, które wkradały się do jej duszy i wplątywały w sny, budząc wątpliwości, czy przez ostatnie lata nie ulegała złudzeniom.

Nie masz racji - mamrotały złe głosy. **Alicja się myli.**

W takich chwilach McCall zadawała sobie pytanie, czy Alicja Goodman nie przeżyła jakiegoś załamania nerwowego i czy jej dziennik nie jest rejestracją złudzeń kobiety, która stanęła na skraju przepaści, a tylko McCall w akcie desperacji przekształciła te złudzenia w coś innego... Coś, co miało pozwolić jej odzyskać dobre imię oraz miłość rodziny, a także uciec od sprawdzania referatów w szkole korespondencyjnej, która była ostatnim miejscem, gdzie mogłaby jeszcze uczyć.

Czyżby zamieniła maniackie wynurzenia w krwawy spisek rodem z podrzędnego filmu? Czyżby wykorzystwała dziennik laboratoryjny Alicji jako zielone światło, umożliwiające jej zbawienie w labiryncie Ciarke Labs, gdzie przed laty je straciła?

Czas ucieka. Czas ucieka - snuło jej się po głowie, kiedy w póź-nowieczornej mżawce pokonywała biegiem parking.

Czerwony lexus, którego wydzierzawiła od pracodawcy, był rodzajem gratyfikacji od Curtisa. Wsiadła i oparła głowę o zagłówek. Z trudem chwytala powietrze, mając wrażenie, że jej klatkę piersiową rozgniata ogromne imadło. Sama dokładnie nie wiedziała, czego szukać. Dziennik Alicji operował zagadkami. Nie było w nim nic konkretnego - żadnej wskazówki, która mogłaby naprowadzić ją na trop. Przez ostatnie dni wynajdywała fakty.

Jeśli cię nie kocha, to nie wychodź za niego.

Czas ucieka.

Nie wychodź za niego.

Ostrzeżenie skierowane do młodszej siostry rozbrzmiewało

w jej głowie monotonnym echem, dziecinna wyliczanka jej własnych lęków.

Nie wychodź za niego. Czas ucieka. Nie wychodź za niego.

Chwyciła okulary, które zakładała, jadąc wieczorem, i zapuściła silnik. Chwilę później wyjechała z parkingu. Chciała dzisiaj udowodnić Belindzie, że się Zmieniła. Że nie jest tą samą starszą siostrą, która kieruje się wyłącznie rozumem, a nie sercem. Chciała powiedzieć siostrze wszystko: że przez długie lata szukała w sobie czegoś innego poza wybitną inteligencją, że chciała zapomnieć, że była dzieckiem chwalonym tylko za jego dar mądrości, dziewczynką, która wyrosła na kobietę i nie widziała świata poza komputerami i podwójnymi spiralami.

Kiedy jej życie legło w gruzach, spotkała znów Barb, która przypomniała łączącą ich kiedyś przyjaźń, upewniła, że ma w sobie wielkie pokłady współczucia dla ludzkich trosk. Okazało się, że McCall potrafi być rodzinna, układać historyjki na dobranoc dla bliźniąt, pamięta o ich urodzinach i rocznicach chrztu -o dniu, w którym stała u boku Staną i Barb jako chrzestna matka obojga dzieci.

Nie była zimna i nieczuła, niezdolna do miłości. Już nie.

Tym wszystkim chciała się podzielić z Belindą. Tymczasem udało jej się ostatecznie odstręczyć siostrę, a wystarczyło jej na to maksimum piętnaście minut.

Jechała teraz pustymi ulicami miasta, światła reflektorów omiatały przed nią drogę, wycieraczki kołysały się tam i z powrotem, odgarniając z szyby lekką mżawkę. Była gorąca czerwcowa noc, a po rześystym deszczu upał dawał się jeszcze bardziej we znaki. W oddali błyskawica rozjaśniła fioletowe chmury, oświetlając wał przeciwpowodziowy, który zasłaniał widok na Missisipi.

Sięgnęła pamięcią do czasów, kiedy Belinda miała cztery lata, tyle samo, ile teraz mają bliźnięta. McCall liczyła wówczas lat trzynaście i mieszkała w szkole z internatem. Wyczarowała w wyobraźni jedyną rzecz, której nigdy nie zapomni: popisy młodszej siostry. Różowe baletki i krótka gazowa spódniczka. Nazywała ją Lindy, tak samo jak matka, niesamowicie dumna z talentu córki. Taką dziewczynę spodziewała się i teraz zastać. Panienkę uwielbiającą swoją starszą siostrę, nastolatkę, łowiącą chciwie każde słowo McCall, kiedy ta przyjeżdżała do domu na ferie.

Tyle że czas, który odmienił McCall, przeobraził również jej siostrę. Siedząc dziś nad kawą w bufecie pracowniczym, McCall zasko-

czyła Belindę wyrazami żalu, które wbijała sobie do głowy, przepelniona dobrą wolą i optymizmem. Ale nie stanęła na wysokości zadania i nie umiała powściągnąć języka, wdając się w bezsensowną paplaninę - dopóki Belinda nie załatwiła jej jednym strzałem.

- Roger mówi, że wróciłaś tu przez zazdrość. Że chciałaś wyjść za niego za męża, a on nie chciał się z tobą ożenić, bo cie nie kochał.

- Naprawdę? - McCall nerwowo mieszała kawę plastikową łyżeczką. Czowała, że budzi się w niej dzika bestia, że strasznie nienawidzi Rogera, nienawidzi jego władzy nad Belindą. - A ty jesteś pewna, że on cie kocha?

Zapytała, pamiętając ostrzeżenie, jakiego udzielił jej, Roger, stojąc wśród cieni na podwórzu domu Barb. Dał wtedy McCall do zrozumienia, że Belinda się w nim zadurzyła, a on jej nie kocha.

- Jeśli cie nie kocha, to nie wychodź za niego. Nie popełnij tego błędu.

Natychmiast pożałowała tych słów. Laserowoniebieskie oczy Belindy zaszły mgłą. Dziewczyna odepchnęła krzesło do tyłu tak gwałtownie, że aż upadło na podłogę, a pozostali stołownicy odwrócili głowy i zaczęli się im przyglądać. Belinda zrobiła taką minę, jakby McCall wyznała jej jakąś straszliwą tajemnicę.

- On ma rację - wycedziła. - Jesteś zazdrosną dziwką. McCall patrzyła, jak siostra wychodzi z bufetu. Nie będzie już żadnych pogaduszek przy kawie. Wszystko poszło nie tak.

Obróciła kierownicą, zmniejszając trochę szybkość jazdy. Zrobiło jej się niedobrze na wspomnienie tego spotkania. Nie tylko, że przez tyle lat nie utrzymywała z siostrą kontaktu. Teraz na dodatek wzbudziła w niej nienawiść.

Nacisnęła pedał gazu prawie do oporu i przemknęła obok omszałych cyprysów, zastygłych w bezruchu nocnych wartowników. Na horyzoncie migotały zygzyki błyskawic. Po raz setny zadawała sobie pytanie, czy przyjechała tu z powodu Clarke'ow, przekonana tym, co wyczytała w pamiętniku Alicji, że mogą wyrządzić krzywdę jej siostrze i ojcu, że zwał winę na niego, szefa Działu Badawczo-Rozwojowego, za jakiś ohydny eksperyment, czy może jej powrót to jakaś pompatyczna próba powrotu do rodziny, która wcale jej nie chce?

Czy tak, czy owak, czas uciekał.

McCall skręciła na Governor Nicholls, ostrożnie manewrując po wąskiej ulicy. Znalazła wolne miejsce cudownie blisko domu i zaparkowała równolegle do krawężnika. Wysiadła i trzymając

aktówkę pod pachą, ruszyła w stronę bramy, obiecując sobie, że jeszcze w ten weekend zacznie szukać mieszkania, obojętnie co powiedzą na ten temat Barb oraz jej gwiazdy.

Całą drogę znów miała dziwne uczucie, że ktoś za nią jedzie. Szary sedan? Choć nie mogła być tego całkowicie pewna, wzbudziło to jej niepokój, wywołując dręczące wizje mglistego, czającego się gdzieś niebezpieczeństwa. Nie chciała sprowadzić nieszczęścia na dom przyjaciół, jedynych ludzi, którzy ją kochają.

Nie mogła się już doczekać spotkania z Barb, Stanem i bliźniętami, cały czas myśląc o nich - ale kiedy podniosła wzrok, zobaczyła go.

Poczuła pustkę w głowie, jak gdyby nie potrafiła ogarnąć rozumem tego, co widzi. Stała jak wryta.

To niewiarygodne, czekał na nią. O bramę z kutego żelaza opierała się znajoma postać.

Jake Donovan.

Przez chwilę McCall ubrdała sobie jak idiotka, że to może lęk i poczucie osamotnienia wywołały z jej pamięci Jake'a, nadając mu formę cielesną, ale nie, czekał we własnej osobie przed domem Barb, spowity łagodnym światłem odległej latarni.

Przystanęła, zaskoczona zabójczym pięknem Jake'a, a potem ruszyła z nachmurzoną twarzą ku człowiekowi, dwukrotnemu rozwodnikowi, którego nie potrafiła wymazać z pamięci. Nadal czuła na ustach smak jego pocałunku. Tę nieprawdopodobną słodycz, niczym miód rozchodzącą się w jej żyłach.

Zatrzymała się tuż przed nim. Mżawka już ustąpiła, ale Jake najwyraźniej czekał dłuższy czas, bo jego gładko uczesane włosy polyskiwały kroplami deszczu, który perlil się też na rękawach kurtki.

- Czy Dino ci powiedział, że byłam w kasynie? - Później już nie próbowała się z nim kontaktować... Wspaniała demonstracja panowania na uczuciami, pomyślała.

- Powiedział.

Jake miał na sobie skórzaną kurtkę lotniczą; wyglądało to na prawdziwą skórę, nie na podróbkę. Była brązowa, polatana, miękka i znoszona, wzbudzała chęć, aby jej dotknąć, Mogła należeć kiedyś do jego ojca albo wujka.

McCall przypomniała sobie o Barb i Stanie, o bliźniętach, które już spały.

- Niezbyt odpowiednia pora - rzekła. Jake uśmiechnął się.

- Dajesz mi kosza, Mac? Cóż za niespodzianka - powiedział,

po czym sięgnął za pazuchę i wyciągnął grubą papierową teczkę. Gestem przypominającym rozdawanie kart wyjął z niej fotografię. - Wiesz, taka mi się bardziej podobasz. - Obrócił fotografię ku światłu, aby Mac mogła lepiej widzieć. - Bo w tym profesorskim kitlu wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

McCall spojrzała. W pierwszej chwili na jej twarzy odmalowało się zmieszanie, ale zaraz skupiła się i rozpoznała osobę. Było to zdjęcie sprzed czterech lat. Stała na nim przed laboratorium uniwersyteckim, gdzie wtedy pracowała.

Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nie mogła złapać tchu.

- Skąd to wzięłeś?

- Ach, mam tu wiele innych ciekawych smakowitości. Popatrzmy - odparł i zaczął przebierać palcami w teczce, a potem, jakby zmieniwszy zamiar, wręczył jej cały pakunek. - Mam lepszy pomysł, może sama to obejrzysz?

Wymachując torebką, McCall sięgnęła po teczkę i obróciła ją na drugą stronę.

Akta FBI. U góry przez całą szerokość okładki biegło jej imię i nazwisko.

- Otwórz - powiedział Jake.

McCall zakołatało serce. Musiała mocniej ścisnąć torebkę i teczkę, bojąc się, że mogłaby je upuścić. Doskonale wiedziała, co jest w środku - koszmar, który kiedyś przeżyła. Tylko że opowiedziany cudzymi słowami, skomponowany językiem prawniczym, który uczynił z niej potwora.

- Nie przeczytasz?

- Po co? Wiem, co tu jest.

- No, ja myślę.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Podrzucił mi ktoś życzliwy.

McCall potrząsnęła głową, czuła zalewające ją na zmianę fale zimna i gorąca. Wypowiedziała jedyną myśl, która przyszła jej do głowy.

- Nie jestem taką kobietą, Jake. Już nie.

- Nasuwa się tu ciekawe pytanie. Bo wiesz co? Właśnie zastanawiałem się, kim ty u diabła jesteś? Na przykład... - Wziął od niej teczkę i otworzył. - Błyskotliwą uczoną, gotową ratować miliony? Czy też... - odwrócił kartkę - przebiegłym szpiegiem, który sprzedaje tajemnice Chińczykom? A może... - odwrócił następną kartkę - produkujesz narkotyki, które przeobrażają ludzki

umysł i defraudujesz w tym celu pieniądze Narodowego Instytutu Zdrowia?

McCall nie mogła wydobyć głosu.

- Naprawdę chcesz rozmawiać o tym tutaj? - spytał Jake bardzo miękko.

Jego głos zabrzmiał jakoś inaczej. McCall uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie słyszała głosu zagniewanego Jake'a. Nie chciała odczuwać przed nim lęku. Najwyższy czas, aby miała mężczyznę, którego nie będzie musiała się obawiać. Najważniejsze jednak, skąd Jake ma te cholerne akta.

- Niech zgadnę - rzekła, podnosząc wzrok. - U ciebie?

- Daj kobiecie palec, a...

Z tymi słowami wziął ją pod ramię i pociągnął w stronę czarnego jeepa grand cherokee. Poczula lekkie rozczarowanie. Nie wiedzieć czemu, liczyła na to, że Jake jeździ szarym sedanem.

11

McCall zatrzymała się przed zegarem z Elvisem. Jego podobieństwo do Króla było uderzające; gadżet pochodził z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Dolna część, czyli biodra Elvi-sa, kołysała się tam i z powrotem w rytm sekundnika. Zegar był nowym nabytkiem-i wisiał w kuchennej części przestronnego apartamentu hotelowego. McCall podniosła słuchawkę, opierając się plecami o granitowy barek, który oddzielał kuchnię od salonu. Zadzwoiła do Barb, żeby przyjaciółka się nie martwiła jej nieobecnością.

- Mam zgodę Barb na spanie w twoim łóżku - powiedziała do Jake'a, zdobywając się na nutę wyuzdania. Z jakiegoś powodu Barb uważała Jake'a za tego jedyne. Za pokrewną duszę McCall. Zresztą palnęła przed chwilą ładną mówkę na ten temat.

- Wiesz, podoba mi się ta Barb - powiedział Jake. Przygotował drinki i podał McCall szklaneczkę napoju imbirowego wypełnioną po brzegi lodem. Uśmiechał się, a w jego policzkach pojawiły się słodkie dołeczki. - Nie miałem okazji jej poznać... ale już ją lubię.

McCall kiwnęła głową w stronę zegara z EMsem.

- Kolejny prezent od Dina? - spytała, mając na myśli imbryk

z krówką, drugi przedmiot, który nie miał raczej szans, by znaleźć się na liście zakupów dekoratora wnętrz.

- Nie. Ale przez ciebie poczułem chęć odciśnięcia swego śla-i du na tym apartamencie. Rozgość się, proszę.

McCall weszła za Jake'em do salonu. Za sięgającymi od sufitu do podłogi oknami widziała **River Palace**, przycumowane jeszcze do nabrzeża pływające kasyno. Jego światła migotały na kole napędowym i kadłubie, zamieniając statek w gigantyczną choinkę bożonarodzeniową. W oddali zapalały się i gasły błyskawice.

Usiadła na kanapie w kształcie nerki. Raport FBI leżał nie-otwarty 'na stoliku do kawy, jakby zawieszony w powietrzu ponad szkłem utrzymywanym w równowadze przez granitowy postument. Jake usiadł naprzeciwko na drugiej kanapie.

- Mam wrażenie, jakbym pływała w ogromnej filiżance kawy z mlekiem - stwierdziła, rozglądając się dookoła.

- Nazywam to piekłem w odcieniu nijakim. - Jake podniósł do ust swój napój imbirowy i wypił jeden łyk, - Całkiem niezłe - stwierdził.

McCall trzymała szklanekę w ręku, ale nie piła.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Barbara Rojas, długoletnia przyjaciółka i powiernica. Poznałyście się w czasie twoich studiów na Harvardzie, gdzie wróciłaś na studia podyplomowe po krótkim stażu na innej uczelni. Adres, Governor Nicholls Street - zacytował z akt FBI. - To wszystko było w teczce.

- Zawsze najpierw sprawdzasz kobietę, z którą zamierzasz się przespać? - zdziwiła się McCall. Wolą, żeby przedmiotem dzisiejszego wieczoru stał się seks, a nie FBI.

- To mój debiut, Mac. No, ale ty jesteś absolutnie wyjątkowa.

- Nie musisz się zanadto wysilać, Jake. A może tego nie zauważyłeś? Już wzbudziłeś moje zainteresowanie.

Starła się mówić zgryźliwie, lecz wszystko w niej wrzało i była bliska eksplozji. Wróciło żalosne poczucie bezbronności, jakiego doznawała cztery lata temu, kołatające słabym echem do jej duszy, gotowe chwycić ją za serce... A na to pozwolić nie mogła. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Jadąc z Jake'em do hotelu, dokonała w myślach analizy sytuacji, przeprowadziła wszechstronne studium Jake'a, starając się uporządkować wszystkie fakty. Podrywa w kasynie pijaną kobietę i pomaga jej wytrzeźwieć, mimo że ta obrzydliwie na niego wymiotuje. Żeni się z przypadkiem poznaną damulką, kiedy się dowiedział, że zaszła z nim w ciążę. Pozwala profesjonalistce li-

czącej karty zagrać w oczko na jego zmianie i to na jego koszt.

To było wszystko, co wiedziała na jego temat - facet potrafi być miły, zależy mu, więc warto zaryzykować. Dotykał ją w taki sposób, że trudno było zignorować teorie Barb na temat pokrewnych dusz i przeznaczenia w miłości. McCall nie chciała podejrzewać, że Jake należy do jakiegoś większego sprzysiężenia, skoro żadne takowe być może w ogóle nie istnieje.

Skaucik. Określenie to przyszło jej do głowy od razu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go przy stoliku do gry w oczko. Inteligentne, brązowe oczy, zdecydowany nos nakrapiany piegami, dołeczki w policzkach, kiedy rozpływał się w uśmiechu, słodkim, a zarazem seksownym. Ten mężczyzna miał coś w sobie - po prostu **chciało się** mu zaufać. Nawet ze względu na styl ubierania się; Jake nie lubił się stroić, ale nie ubierał się niechlujnie. Dziś miał na sobie sprane džinsy i oliwkową sztruksową koszulę, pod którą dostrzegła czarny podkoszulek. Miał długie nogi, które rozprostowywał właśnie pod stolikiem, trzymając je trochę z boku, a jedno ramię spuszczał z niskiego oparcia kanapy; słowem pełny luz. W zatłoczonym lokalu właśnie on miałby największe powodzenie... Jakież inny mężczyzna ustąpiłby kobiecie miejsca przy barze? Jakież inny byłby wymarzoną sympatią dla czyjejś młodszej siostry?

- Prawda czy wyzwanie, Mac? - spytał, pochylając się ku przodowi i obracając szklanę napoju imbirowego w swoich dużych dłoniach.

- Mam wybór?

- No jasne.

Jake wyszczerzył zęby, zachęcając i prowokując McCall do postąpienia zgodnie z oczywistością. **Wybierz wyzwanie, a przekonasz się, do czego to doprowadzi** Odstawiła szklanę i otworzyła akta FBI, starając się nie rozpraszać. Tak jak Jake chciała poznać odpowiedź.

Przewróciła kilka pierwszych kartek. W końcu znalazła to, czego szukała, i zaczęła czytać na głos: „Regularne listy elektroniczne materiału zastrzeżonego do doktora Kam Changa w Chińskiej Republice Ludowej”. - Potrząsnęła głową, wypuszczając kartkę z ręki. - Doktora Changa poznałam na Harvardzie. Przebywał tam w ramach wymiany kulturalnej. Przez trzy lata pracowaliśmy w tym samym laboratorium, dzieliliśmy się danymi, robiliśmy razem burzę mózgow. Byłoby idiotyzmem przerywać współpracę, kiedy wrócił do swojego kraju.

- Według tych akt doktor Chang ma powiązania z wojskiem i zajmuje się badaniami nad kontrolą umysłu.

- Nie wierzę. Nie Chang. Chociaż, szczerze mówiąc, wszystko możliwe... Wiem jedno, materiały, które do niego wysyłałam, nie miały nic z wspólnego z kontrolą umysłu.

Mac odłożyła teczkę, po czym wstała. Potrzebowała trochę przestrzeni, zaczęła spacerować po pokoju małymi kroczkami. Podeszła do stojącego w rogu wielkiego jaja z dmuchanego szkła tkwiącego pionowo na czarnym, emaliowanym postumencie i wznoszącego się prawie metr nad podłogą. Wewnątrz płonęło światło, od mlecznego szkła bił słaby blask.

- Agent, który kompletował te akta, nie rozumiał w ogóle moich badań - podjęła, przyglądając się wirującej formie szklanego jaja. - Moja partnerka i ja pracowałyśmy z myszami. Komórki pobrane z mózgów nowo narodzonych zwierząt i przekształcone za pomocą inżynierii genetycznej zarażaliśmy wiruserh, aby działały tak jak komórki macierzyste - to znaczy te, które mogą się odtwarzać. W przeciwieństwie do innych organów mózg nie potrafi regenerować komórek uszkodzonych albo martwych. Chodziło o znalezienie sposobu zastępowania tkanki zniszczonej na skutek wylewu lub jakiejś choroby.

McCall podeszła do okna i patrzyła w dół na statek z wielkim kołem łopatkowym i migoczącymi światełkami.

Przypominała sobie atmosferę podniecenia tamtych dni, kiedy wszystko wydawało się takie realne.

- Dodatnie wyniki naszych badań mogły być zbawienne dla ludzi cierpiących na chorobę Huntingtona albo Parkinsona. Dla ofiar urazów mózgu. Mogły doprowadzić do znalezienia lekarstwa.

- I co się stało?

McCall przyłożyła koniuszki palców do szyby. Była ciepła. Upał i wilgoć letnich wieczorów w Zatoce Meksykańskiej potrafiły dawać się we znaki, ale dzięki klimatyzacji w pomieszczeniu panował niemal chłód.

- Któregoś dnia do gabinetu rektora wmaszerował oddział agentów FBI. Rewizja ksiąg wykazała znaczne luki, nieprawidłowości w rozliczeniach subwencji rządowych. Wystarczyło do wniesienia oskarżenia i postawienia przed ławą przysięgłych.

- A co z czarnorynkową produkcją narkotyków? Obróciła się na pięcie. **Jake** umiał postępować z człowiekiem, sprawiał wrażenie, że patrzy w najgłębsze zakamarki duszy i niepodobna niczego ukryć. Otrząsnęła się z jego spojrzenia i ruszyła na spacer wokół salonu, wodząc palcami po fakturze chropo-

watej tapety. Obejrzała pokój z każdej strony, sycąc wzrok szczegółami, które już od dawna pamiętała. Jake Donovan był wysoki, dobrze umięśniony, co wskazywało, że zapewne biegał albo ćwiczył. To był **kawał chłopca**. Jego ramiona okryte sztruksową koszulą, jego uda rozpierające wyblakły materiał przypominały McCall pierwszą wspólną noc, kiedy mogła trzymać go w ramionach. W świetle padającym z ukrytych w suficie lamp ruda czupryna Jake'a przywołała myśl o jego synku, o niepowtarzalnym odcieniu jego włosów, który geny przekazały w jakiś sposób następnemu pokoleniu.

Stała obok barku i nasłuchiwała, jak tyka Elvis. **Prawie jedenasta**. Myślała o tym, po co tu przyjechała. Pragnęła całym sercem, aby chwila ta była jeszcze przed nimi, aby nie należała już do przeszłości. Łatwo można było sobie wyobrazić sprytną intrygę: Roger celowo wysłał ją do kasyna swojego znajomego, do lokalu, którego szef zmiany zostaje odpowiednio poinstruowany, aby mieć ją na oku... Aby ją poderwać.

- Mac? - odezwał się za jej plecami Jake.

Odwróciła się, podpierając łokciem o barenk i próbując to sobie wyobrazić: Jake Donovan, sługus Clarke'a. Szkopuł w tym, że taka dalekowzročność nie leżała w naturze Rogera... zresztą Jake nie był z pewnością niczym sługusem.

Choć kto wie?

- To żadna gra, jeśli samej bierze się w niej udział - powiedziała. - Prawda czy wyzwanie, skaucie?

Jake uśmiechnął się, pokazując dołeczki.

- Zgoda.

- Skąd masz akta FBI?

- Od Dina - odparł Jake. Odchylił się do tyłu na kanapie; założył nogę na nogę i rozłożył ramiona wzdłuż oparcia. Zawsze patrz im w oczy, kiedy kłamiesz - pomyślał. Już wcześniej postanowił nie mówić, skąd dostał te materiały. Uznał, że prawda nie wyglądałaby zbyt dobrze. Znasz może moją pierwszą żonę, Susan? Teraz jest prywatnym detektywem. Prowadzi własną agencję. Zajrzała do teczki na moją prośbę-. Sprawdza mi wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykam. Prawdy jakie to wygodne? - Dino zna jakiegoś prywatnego detektywa - dodał, przechodząc na pewny grunt. - Widział cię wczoraj w programie Cyndii... i kilka syren alarmowych zawyło mu w głowie. Widocznie sądzi, że mam pecha do kobiet.

Przynajmniej to wywołało uśmiech na twarzy Mac.

- Naprawdę?

- Więc poprosił tego kogoś o przyjrzenie się sprawie i dostał teczkę z archiwum FBI. Detektyw dołożył od siebie kilka nowych rzeczy, jakieś wycinki prasowe, aktualny adres. Dino doszedł do wniosku, że powinienem to przeczytać. - Jake wzruszył ramionami. - Czasami już taki jest. Stary piernik.

Jake uprosił sobie zadanie, nie chwając się swoją pracą w prokuraturze okręgowej przed laty i nie wspominając o lunchu, który zjadł niedawno z Gusem Piersonem, naczelnikiem Sekcji Kryminalnej, jego dawnym szefem. Nie mógł ujawnić działań prokuratury ze względu na dobro śledztwa. Przecież nie mógł nawet ręczyć za niewinność Mac. Dzisiejszy wieczór miał rozstrzygnąć wątpliwości. Czekало go najważniejsze przesłuchanie jego życia.

- Prawda czy wyzwanie, Mac? - spytał, kiwając głową w stronę teczki. - Dwadzieścia jeden telefonów do FBI od anonimowych informatorów? Każdy bez wyjątku zarzucał ci niedozwolone badania nad czarnorynkowymi narkotykami. Nie możesz mieć pretensji do FBI, że się tym zainteresowali. Nie ma dymu bez...

Jake przysunął akta bliżej siebie, przewrócił kilka kartek, czytając na głos ich treść:

- Szukanie miejsc receptorowych w mózgu... eksperymenty z kombinacjami narkotyków, które mocniej wiążą się z tymi receptorami. - Urwał i podniósł wzrok. - Czy coś tu nie brzmi znajomo? Bo mógłbym przysiąc, że właśnie tak działa Formuła Omega. Mocniej wiąże się z receptorami OLN? Dobrze mówię?

- Jak bym słuchała mowy końcowej prokuratora. Jake wyszczerzył zęby, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Tak uważasz? Matka zawsze chciała, żebym studiował prawo. - Przynajmniej to było świętą prawdą.

- Przebieg fizjologiczny jest taki sam, Jake. Tylko skutek całkowicie odmienny. Nie szukałam nowej Ekstazy. Moje badania nie miały nic wspólnego z narkotykami wywołującymi trwale zmiany w mózgu.

- Ale...? - Słyszając niepewność w głosie McCall, Jake pociągnął ją za język.

Odwróciła się od barku i zaczęła przemierzać mauretański dywan.

- Śledztwo faktycznie coś wykazało. Ktoś sfalszował moje dane... Żeby wyniki doświadczeń wydawały się lepsze, niż były w rzeczywistości.

- Ktoś? To znaczy, nie ty? Twierdzisz, że ktoś cię wrobił?

Jake obserwował każdy krok McCall. Do diabła, nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie i cienki sweterek zapinany na drobniutkie guziczki. Wodził za nią oczami, mając stale wrażenie, że ilekroć światło odpowiednio padło, za migoczącymi oczkami sweterka coś widać. Szafirowose-ledynowy sweterek przepleciony srebrzystą nitką rozpaliał w oczach McCall identyczną orgię barw. Jej włosy ledwo muskały ramiona swoimi gęstymi puklami i kusily Jake'a, żeby chwycić w dłonie kilka garści i smakować ich dotyk.

Przez cały czas jednak słyszał głos Susan: Jest różnica między osobą, która ma kłopoty, a osobą, która oznacza kłopoty. Trudno nie wysnuć takiego wniosku, do diabła, pomyślał Jake. Denerwował go fakt, że nie potrafi zgłębić tajemnicy, jaką otoczyła się przed nim ta kobieta. Rzucając monetę, znalazłby się równie blisko prawdy jak teraz, kiedy wziął ją w krzyżowy ogień pytań.

McCall okrążyła kanapę powolnym i lekkim krokiem. Usiadła, założywszy nogę na nogę, i zaczęła wymachiwać sandałkiem bez pięty.

- Teraz moja kolej, Jake - odezwała się McCall. - Prawda czy wyzwanie. Dlaczego? Skąd to zainteresowanie, akta FBI... ta cała konfrontacja? Czego ty chcesz ode mnie?

- Daj spokój. Jestem tylko skromnym kierownikiem w kasynie, który został porażony przez feromony. Próbuję wyrównać szanse. Uczę się twojej gry.

- Feromony Zmusiły Mnie Do Tego? Tak mógłby odpowiedzieć piesek salonowy.

- W dzieciństwie miałem irlandzkiego setera. One mają chyba fajne życie. - Jake pochylił się nad oddzielającym ich stolikiem i posłał McCall szatański uśmiech. - Słodka suczka, lizała mnie po twarzy... oraz wszędzie, gdzie tylko mogła wcisnąć język

- Nigdy nie stosowałam feromonów wobec ciebie.

Jake skinął głową, zdziwiony nieco własną reakcją. Poczuciem ulgi. Czy faktycznie uważał Formułę Omega za pomysł realny? **Tak, do diabła.** Jego postępowanie wydawało się absolutnie irracjonalne. Spowodowane działaniem narkotyku.

- Dzięki, Mac... Ale nie o to chciałem spytać. - Jake rozsiadł się wygodnie na kanapie, przyglądając się oczom McCall, obserwując jej ciemne, rozszerzone źrenice. - Prawda czy wyzwanie? Nie miałaś oporów przed zarzuceniem publicznie Clarke'owi i jego synowi, że to oni stoją za śledztwem FBI. Oskarżyłaś go

nawet o zaaranżowanie wypadku samochodowego, w którym zginęła twoja partnerka, Alicja Goodman... o spowodowanie śmierci, w efekcie której, mógłbym dodać, oddalono by wszystkie zarzuty wobec ciebie, gdy wyszło na jaw, że za malwersację subwencji rządowych odpowiada Alicja. Uszło ci to na sucho.

- Na sucho? - wyszeptala z wielkim trudem; zza jej niedowierzania przebijały o wiele silniejsze emocje. - Rada wydziału uznała mnie za winną złamania norm akademickich. Zostałam zmuszona do odejścia ze stanowiska, ponieważ ktoś sfalszował moje dane.

Siedząc naprzeciw Jake'a, nagle zdała sobie sprawę, że zaczyna się trząść. Czula, że w głębi duszy - w miejscu, nad którym nie miała pełnej kontroli - wybucha straszliwy gniew, który gwałtownie budzi się do życia, wzbierając niczym lawa wulkaniczna. **Rajcowanie; rajcowanie.**

- Byłam na banicji przez cztery długie lata, Jake. - Wypowiedziała te słowa powoli i z wysiłkiem, zaskoczona głębokością uczuć, jakie się za nimi kryły. Doszła do wniosku, że zrobiła postępy w swoim życiu. - Ani jedna osoba, dosłownie żaden z moich kolegów - oraz nikt z rodziny - nie wierzy w moją niewinność. FBI pozostawiło plamę na mojej duszy, plamę, która nie chce się zmyć.

- A więc byłaś niewinna?

- Mam sobie do zarzucenia najwyżej zuchwałą pewność siebie. Uszło mi na sucho? Z dnia na dzień zatrzaśnięto mi przed nosem wszystkie drzwi, do których pukałam. Mój własny ojciec się mnie wyrzekł. Wstydził się takiej córki. Uważał, że jestem tak bardzo zawzięta i ambitna, że istotnie mogłam sfalszować dane.

- A za tym wszystkim stał Ciarke - wtrącił Jake, przenikając spojrzeniem McCall.

Zorientowała się zbyt późno, że się odsłoniła. Jej gniew - ta straszliwa wściekłość, która w niej odżyła - zanadto ją zdradzały.

- Teraz zaś u niego pracujesz - ciągnął miękko Jake. - Chcesz zapewnić jego firmie multimiliardowe dochody, dając mu swoją Formułę Omega. Prawda czy wyzwanie, Mac. Dlaczego?

- Nie - wstała i cofnęła się w głąb pokoju. Zawadziła nogą o stolik do kawy i omal się nie przewróciła, ale nie przestała iść tyłem w stronę okna, dopóki jej łopatki nie dotknęły ciepłej szyby. - Nie, Jake. Teraz moja kolej. Robisz wszystko, żejby ominąć moją kolej - powiedziała.

Uruchamiając całą swoją intuicję, którą ostrzyła przez lata, by mogła służyć jej za drogowskaz, McCall zajrzała Jake'owi w oczy

i z oslepiającą wyrazistością ujrzała w nich nagle to, czego szukała. Dostrzegła w nich powód, dla którego tutaj przyszła, oraz sygnał, na który czekała - zarówno jedno, jak i drugie znajdowało się tam od początku.

Prawda polegała na tym, że Jake pytał, bo sam chciał poznać prawdę. Potrzebował jej wyłącznie dla siebie i dla nikogo więcej.

Przez głowę McCall przeniknęły słowa Barb, które usłyszała przez telefon, a które teraz były jak balsam dla jej duszy i spychały nadmiar emocji w inną stronę. To może być ten, twoja pokrewna dusza. Nie wściekaj się na cały świat, że tego nie widzisz.

McCall nie знаła się na pokrewnych duszach. Wiedziała jedynie, że znajdowała się sam na sam z facetem w jego apartamencie hotelowym, z mężczyzną, którego pragnęła ponad wszystko, co można ogarnąć rozumem... Z mężczyzną, który jej pragnął, któremu zależało tak bardzo, że zadawał pytania. Czula, że ich grę przenika wartki prąd emocji.

Zapra gnęła teraz zmienić reguły i podjąć całkowicie nowe ryzyko.

Jake obserwował Mac stojącą na tle okien, które rozciągały się od podłogi do sufitu, lecz obraz ten stał się nagle niczym w porównaniu z widokiem kobiety, która nagle sięgnęła do rąbka swego sweterka i ściągnęła go przez głowę. Następnie rozpuściła włosy, aż ciemnorude pukle w odcieniu czerwonego wina spłynęły naokoło jej twarzy, omiatając gołe ramiona. Poczul suchość w gardle. Prawdziwa Sahara. Przyglądał się, jak McCall rzuca skąpy przyodziewek na podłogę, potem rozpinając suwak czarnych spodni. A potem prostuje się i staje przed nim w samej bieliźnie.

- Spalam dotąd tylko z jednym mężczyzną. Z promotorem mojej pracy doktorskiej - oznajmiła, rozpinając stanik. Spłynął z jej ramion na podłogę niczym wstęga lawendowej satyny. Piękne, wysokie piersi były zakończone blad różowymi sutkami. - Miał żonę i dwójkę dzieci. Powiedział, że żona go nie rozumie. Nie była tak zdolna jak ja, no wiesz. Kochaliśmy się na podłodze w jego laboratorium. Był najwspanialszym mężczyzną, jakiego wówczas znalazłam.

McCall zaczęła kciukami o brzeg majteczek, a potem ściągnęła satynowy ciuszek, odkopując go na bok kiedy ułożył się wokół kostek. Teraz miała na sobie wyłącznie sandaalki na wysokich obcasach.

Jake'owi stanęła w pamięci scena z pewnej książki, którą czytał jako dziecko. Zdaje się, że była to powieść Mickeya Spillane. Bohater trzymał na muszce piękną zbrodniarkę. Kobieta zaczy-

na się rozbierać, usiłując go przekonać, by odłożył karabin i wypuścił ją na wolność. Komentarz bohatera brzmiał mniej więcej tak: - To był prawdziwy blondas. Mac. To był prawdziwy rudzielec.

- Przespałam się z nim tylko jeden raz - powiedziała. - Później stwierdził, że to był błąd. Przypomnił sobie przysięgę małżeńską. Czulałam się wszystkiemu winna, ale powiedziałam do siebie, że go kocham. Że zasługiwał na kogoś lepszego od tej głupiej żony, kobiety, która nigdy go nie rozumiała tak dobrze jak ja. No wiesz, kochałam się w jego umyśle.

- A ja miałem z fizyki trójcę - powiedział Jake, obserwując McCall jak zahipnotyzowany.

Uśmiechnęła się.

- Nie kocham się w twoim umyśle, Jake.

Za plecami McCall przetaczała się nawałnica błękitno-fioletowych obłoków. Na horyzoncie pulsowały jaskrawe zygzaki błyskawic, odbijające się w czarnym lustrze rzeki.

- Po roku opublikował moje badania pod własnym nazwiskiem. O mnie nie wspomniął ani słowem. Pewnie też kochał tylko mój umysł.

Zrzuciła sandalki, najpierw lewy, potem prawy.

- Musiałam odejść z uniwersytetu i wrócić na Harvard. Straciłam cały rok. Ale nie to było najważniejsze, co mi odebrał.

Po tej historii nigdy już nie związałam się z żadnym mężczyzną.

Stała przed nim jak ją Pan Bóg stworzył. Na jej łagodnych, zachwycających krągłościach toczyła się gra światła i cieni, a włosy srebrzyły się w blasku lamp. Wenus wylaniająca się z morskiej piany.

- Nie mam żadnego doświadczenia w uwodzeniu... Nie potrafię być wstydliva, skromna ani kokieteryjna. Wiem jednak, że tego chcę. I to strasznie. Do tego stopnia, że gotowa jestem zaryzykować. Prawda czy wyzwanie, Jake?

Jake nawet nie drgnął. Nie odezwał się ani słowem.

- Czyżbym źle to odczytała? - zdziwiła się. - Przecież do tego zmierzaliśmy od początku, racja?

Przymknął powieki, ale nigdzie się myślami nie oddalił. Nie opuszczał go pewien widok. Jake otworzył oczy i spuścił wzrok na teczkę FBI. **Cholera. Cholera. Cholera.** Słowo wciąż tłukło się w i^og^o głowie, dając znać, że został załatwiony na amen. Wymanewrowany przez lepszego gracza.

Zamknął teczkę i wstał. Podeszedł do Mac. Nie dotknął jej, po prostu stał w blizutko i patrzył.

- Nie. Nie odczytałaś tego źle.

Czuł ten sam zapach, zapach Mac. Obszedł ją naokoło i zatrzymał się tuż za nią. Musnął wargami jej szyję i przebiegł palcami w górę po jej nagim udzie. Drugą dłonią ujął jej pośladek. Czuł, że cała drży.

- Mam na sobie równo dziewięć sztuk odzieży - wyszeptał, podsuwając dłonie pod jej piersi i nakrywając je z czułością. - Jesteś dobra z matmy, Mac, więc mi podpowiedz - dodał, kęsając ją łagodnie w ucho. - Jak prędko zdołam z nich wyskoczyć?

- Bardzo prędko. Z szybkością światła.

Mac zawirowała w jego ramionach, zwracając się do niego twarzą, a on zagarnął ją po prostu na siebie. Otworzyła usta dla jego ust, smakując Jake'a i oddychając równocześnie z nim. Była gorąca w dotknięciu. I rozgrzewała się coraz bardziej.

- Chcesz to zrobić na łóżku? - spytał, nie odrywając swoich ust od jej, pozwalając sobie na wszystko, o czym od dawna marzył, zatapiając się w jej smaku. - Żeby się przekonać, co daje prawdziwa pościel i materac?

- Nie. Wolę zostać tutaj. Wśród chmur, gwiazd i błyskawic. Rozpięła mu pasek, szarpiąc nim gwałtownie w lewo i prawo. Jake pomógł jej, nie przerywając pocałunku. Miała takie malinowe wargi, nabrzmiące i pełne słodczy. Nie mógł się nią nasycić. Kiedy ostatnio całował kobietę w taki sposób? Z taką desperacją, jakby całe życie czekał na tę chwilę?

Odpowiedź przyniósł głos, który wydobył się wnętrza jego duszy: - **Nigdy.**

Razem zdarli zeń koszulkę; potem zrzucił jeden i drugi but. Ich los podzieliły skarpetki i dżinsy. Dłonie Mac trafiły pod jego koszulkę i zaczęły uciskać płaszczyzny jego torsu, ożywiając go swoim elektryzującym dotykiem.

- Myślałam, że to wina szampana. Myślałam, że to alkohol obudził we mnie takie pożądanie. Ale się myliłam - wysapała, zrywając z Jake'a podkoszulek, a potem sięgnęła pod jego szorty i wbiła mu palce w mięśnie pośladków. Chwilę później szorty pofrunęły w ślad za resztą odzieży. - Alkohol mnie odurzył. Sprawił, że padłam bez czucia.

McCall cała płonęła. Miała wrażenie, że Jake dotykał ją wszędzie jednocześnie, w piersi, usta, szyję i uda. Opuściła wzrok na

jego wielkie dłonie, które ujmowały jej piersi, i przyglądała się, jak pieścił ją palcami, odcinającymi się ciemniejszą karnacją od jędrnego, białego ciała.

- Nie spiesz się, kochanie - szepnął do jej ucha. - Dopiero zaczynamy.

Opuszkami kciuków gładził jej sutki, aż zaczęły rosnąć i sztywnieć, a każdy ruch jego palca przeszywał ciało McCall ogniem błyskawicy, takiej jak ta, która raz po raz rozświecała niebo po drugiej stronie okna. McCall przesuwiała palcami w dół i w górę jego klatki piersiowej. Rzeźbione mięśnie były dokładnie takie, jak je zapamiętała, gładkie, twarde, pokryte kępkami miedzianych włosów. Rozkoszując się smakiem kędziorów na jego ramionach, obsypywała je niezliczonymi pocałunkami, a potem jeszcze raz uniosła głowę do jego ust.

Wargi Jake'a były niewiarygodnie miękkie. Właściwe całowanie wymaga właśnie takich warg, pomyślała. Jake przesuwiał ustami po jej ramionach i szyi, smakując każdy cal jej ciała i używając języka do wzmacniania intensywności doznań. Był dużo wyższy od McCall, czuła więc na swoim brzuchu napięcie jego męskości, niezwykle sztywnej i gładkiej. Zamknęła oczy i przebiegając palcami we włosach Jake'a, oddawała swoje ciało w niewolę jego pocałunków.

- Nie zdejmovaliśmy ciuchów, wtedy w laboratorium. Nie pamiętam, abym przeżywała coś równie niesamowitego.

Jake pociągnął McCall na dywan. Położył ją tam, aby plecami i pośladkami mogła wyczuwać szorstką fakturę. Całując jej usta, ponownie demonstrował talenty, którymi niewielu mogło się poszczycić. Każdy pocałunek stawał się dla niej nowym doświadczeniem, momentem zapadającym w pamięć, by później mogła go pielęgnować i przeżywać na nowo.

Wilgotne, żarłoczne pocałunki. Wydawało się, że na świecie nie ma bardziej intymnych przeżyć. McCall nie miała pojęcia, że pocałunek może być czymś takim, zespoleniem z drugim człowiekiem, zawłaszczeniem go dla siebie.

- Medal zasługi numer jeden - wycisnęła szeptem na jego ustach. - Celujący z całowania.

- Przejdźmy do numeru dwa - odpowiedział Jake.

Jego wargi oderwały się od jej ust i zjechały po szyi aż na piersi. Poczowała unoszący się nad nią ciężar jego ciała, kiedy Jake opuścił twarz i wziął do ust sutek. Powoli zanurzyła się w słodczy, jej ciało zaczęło roztopiać się w gęstym syropie. Palce Jake'a przebie-

gly tam i z powrotem wzdłuż jej boku drażniącymi, lekkimi jak puch muśnięciami, a potem przeniosły się na wewnętrzną stronę uda. Przycisnął swoją męskość do jej łona. Było to na wskroś erotyczne doznanie - świadomość obecności Jake'a dokładnie w tym miejscu, pomiędzy jej nogami, aczkolwiek nie w jej wnętrzu.

- Otwórz się dla mnie, dziecino - wyszeptał. A kiedy McCall poddała się jego woli, dodał miękko: - Szerzej, kotku.

Sięgnął i zatopił opuszek palca w złączenie ud McCall, a potem zaczął delikatnie nim poruszać, chłonąc swoimi ustami jej piersi i bez pośpiechu je ssąc.

- Dobrze, kochanie - szepnął. - Już dobrze.

Nagle McCall uprzytomniła sobie, że zaczęła pojękiwać. Zdawało jej się, że wiruje w objęciach przecudownej, słodkiej śmierci. Przypomniała sobie francuskie powiedzenie **Le petit mort**. Małeńka śmierć. McCall umierała. Raz po raz.

- O, tak - szepnął, kiedy jej ciało ogarnęło dziwne wrzenie i przeniknął ją dreszcz rozkoszy. Nagle zapulsowała pod dotykiem jego palców, ale Jake nie pozwolił im się wycofać. - O, tak, kochanie. Już wiesz, czego się spodziewać - szepnął, patrząc jej głęboko w oczy. - Już nie musisz się tak śpieszyć.

McCall wtuliła twarz w jego ramię, starając się złapać oddech, ale Jake miał inne plany. Uniósł ją z podłogi i przycisnął do siebie. Kilka chwil później kopnięciem otworzył drzwi do sypialni, położył McCall na dużym, żelaznym łóżu i zaczął odprawiać swoją magię od początku.

- Powiedziałaś... - szepnęła, odnajdując wśród miedzianych loków jego sutki i muskając je w tym samym rytmie, w którym Jake muskał jej - że już wiem, czego się spodziewać... że nie będę musiała się tak śpieszyć. Skąd wiedziałaś, że nigdy tego nie przeżyłam?

- Szybki numerek na podłodze w laboratorium z żonatym profesorem? - odparł, całując ją w usta. Znowu i znowu. - Twój pierwszy raz, a nawet nie zdjęłaś ciuchów. - Wyszczrzył się w tym swoim najslodszy, seksownym uśmiechu. - Pewnie jestem telepatą.

- Mogłam go mieć innym razem. Jestem dorosła.

- Mogłaś. Ale nie miałaś. Ciekawe dlaczego?

McCall potrząsnęła głową; nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Pewnie mam zahamowania seksualne.

- O nie, najdroższa - odparł i poczęstował ją uśmiechem, którego nie można było nazwać inaczej aniżeli pełnym buty. - Czekałaś na mnie.

- Tak - przyznała McCall. - Chyba masz rację. Chciałam, żeby do tego doszło. Chciałam, żebyś się ze mną kochał. Chciałam ci zaufać.

Jake ucichnął nad nią, a jego ciało idealnie zestroiło się z jej ciałem. Wodził po jej twarzy tym swoim spojrzeniem, który sprawiał, że cały świat tracił jakiegokolwiek znaczenie i pozostawała tylko ta jedna, jedyna chwila. Jak gdyby potrafił zatrzymać dla nich czas.

- Ja też chciałem ci zaufać - powiedział.

Mówiąc to, wyjął z szuflady prezerwatywę. Tym razem ani na chwilę nie oderwał wzroku od McCall. Przesunął się na nią, zagłębiając się powoli, bardzo powoli. Wypełniając ją cal po calu, aby mogła go odczuwać, ów łącznik spajający ich ciała. Zgarnął włosy McCall w swoje dłonie, podtrzymując jej głowę tak, aby mogli patrzeć tylko na siebie. Świat wokół nich przestał się liczyć.

- Właśnie tego pragnęłam - powiedziała z zapartym tchem, kiedy Jake wszedł w swój rytm poruszania się w jej wnętrzu, na zmianę wycofując się i wnikając z powrotem aż do końca. - Właśnie dlatego pozwoliłam się tu przyprowadzić.

- Wiem.

Tym razem Jake nie pocałował McCall, ograniczył się do obserwacji. Równocześnie falowali i równocześnie oddychali, patrząc sobie w oczy.

- Słyszysz tę muzykę? - zapytał ją. - Czujesz ten rytm?

Ciało McCall przenikały fale podniecenia podążającego za tętnem jej serca i wzmaganego poruszeniami ciała Jake'a, które chwilami nabierały tempa, a chwilami stawały się dręcząco powolne. Jake był prawdziwym czarodziejem, a to, co robił z McCall, prowadząc ją na skraj eksplozji i pozwalając napięciu opaść, aby od nowa rozpalać w niej ogień pożądania, to zwiąże ją z Jake'em już na zawsze. Mogła tylko mieć nadzieję, że Jake odczuwa to samo, że muzyka, jaką kreował w jej wnętrzu, zagra kiedyś crescendo i porwie go razem z nią.

W pewnej chwili przymknęła powieki, nie mogąc więcej znieść tej słodczy, ale palce Jake zacisnęły się w jej włosach jeszcze bardziej, kierując na siebie uwagę McCall i zmuszając ją do otwarcia oczu.

- Patrz na mnie Mac. Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Oddech McCall stał się krótki i płytki, nabierając gwałtownie tempa w rytmie uderzeń jej serca. Jake wnikał coraz głębiej, aż McCall zarzuciła mu nogi na plecy, przyciągając go do siebie jeszcze' bliżej.

- Kolor twoich oczu się zmienia - powiedział miękko, jakby składając obietnicę. - O, tak - wyszeptał, gdy McCall zaczęła szczyto-

wać, spadając po dłuższej chwili w otchłań rozkoszy, jakby pędziła na złamanie karku diabelską kolejką. Czula się porwana w objęcia magii, zaczarowana bezmiarem, nieważkością i ogarniającą wszystko magią Jake'a Donovana. Był to rozedrgany, kojący rytuał przejścia. Uczucie, że roznamietniono ją do granic wytrzymałości i obdarzono łaską odprężenia, aby mogła oderwać się od ziemi i poszybować w bezkresnej przestrzeni rozkoszy, wchodząc do świata doznań, który Jake stworzył tylko dla nich. Czysta magia.

- Teraz ty - wysapała, unosząc się ku niemu i obsypując gorącymi pocałunkami jego usta i szyję. Odtąd nic już nie będzie takie same. Nigdy więcej. To było takie wszechogarniające, takie narkotyczne... to uczucie obecności Jake w jej ciele., jakby stanęli u wrót nieskończoności.

- Już jestem, maleńka. Już jestem.

Poznała dokładny moment jego dojścia, czuła swego kochanka głęboko w sobie. Jake wygiął się w łuk nad jej ciałem, docierając niewiarygodnie daleko. Pulsując, przemieszczając się, wzmacniając muzykę do ogłuszającego crescendo, które odizolowało ich od świata. Widziała w oczach Jake, że on też odczuł ten moment, kiedy wszystko raptownie się zmieniło, gwiazdy gdzieś poznikaly, i na całym świecie pozostało tylko ich dwoje.

Jake opadł powoli, nakrywając McCall swoim ciałem i podpierając się na łokciach, żeby nie musiała dźwigać jego całego ciężaru. Wtulił twarz w jej szyję, a jego tors muskał jej piersi. Przyciskała swoje uda do jego, spragniona jeszcze większej bliskości, czując w jakiś sposób, że odtąd Jake będzie należał tylko do niej. Poprawiła się na łóżku, by ich biodra pasowały do siebie, i zacisnęła dłonie na jego ramionach.

- Wiesz, jak na nowicjuszkę, jesteś całkiem dobra w te klocki - powiedział Jake, dysząc żarem namiętności.

- Zostałam zainspirowana - odparła. Czula, że Jake wciąż stanowi część niej i tak słodko pulsuje. Dopalający się płomień.

- Tu już nie chodzi tylko o seks, prawda, Jake?

Jake odgarnął jej włosy z czoła. Uśmiechał się i kręcił przecząco głową.

- Barb mi powiedziała, że jeśli jesteś pokrewną duszą, to przekonam się o tym, kiedy będziemy się kochali - wyszeptala jednym tchem, aby trzeźwy rozsądek nie zdążył jej powstrzymać. - Że poczuje się tak, jakbym odnalazła brakującą część samej siebie, część, o braku której nie miałam pojęcia. Że potem świat uka-

że mi się w zupełnie innym świetle. - Zamilkła i wstrzymując oddech czekała na jego odpowiedź.

Jake wciąż się uśmiechał i ze szczęściem w oczach spoglądał na nią jak na cudem odnalezioną zgubę.

- Jak wyżej - oznajmił podniosłym tonem. - Co do słowa.

- Boję się, Jake.

- Szszsz. - Nakrył jej usta swoimi i obsypał ją lekkimi niczym piórko pocałunkami. - Nie bój się. Jestem przy tobie, małeńka. Jestem przy tobie.

- Czy to zawsze tak wygląda? Jake potrząsnął głową.

- Nigdy tak nie wygląda. No, ale żadna kobieta nie korzystała z twoich magicznych feromonów.

- Ty naprawdę wierzysz w to, że podziałalam na ciebie feromonami?

Jake pokiwał głową.

- Tymi prawdziwymi, a nie tym chlaniem z fiołki.

- To samo powiedziała Barb.

- Barb wszystkowiedząca... Guru Barb - mruknął, całując McCall przy każdym słowie. - Mamy wspaniałą chemię, Mac.

Ujęła jego twarz w dłonie. Gładziła kciukami jego prosty, idealny nos oraz widoczne na nim piegi. Złożyła na jego wargach długi i mocny pocałunek, aby odcisnąć swój ślad na zawsze. Aby odtąd należał do niej i tylko do niej. Potem, uznawszy, że jest gotowa, zwierzyła się Jake'owi ze swych skrytych myśli.

- Nie kłamałam, mówiąc, że nie kocham cię za twój umysł - powiedziała, kładąc dłoń na jego piersi. - Kocham twoje serce.

Jake nie odpowiedział, ale się uśmiechnął.

- No, to świetnie, Mac. Bo chyba właśnie zapakowałem je i przewiązałem różową wstążeczką w prezencie dla ciebie.

Nic lepszego nie można było powiedzieć. McCall poczuła się bezpieczna. Jakby usłyszała od Jake'a, że należy do niej na zawsze.

Przekręciła się na bok, podciągając kolana pod brodę. Jake trzymał ją w objęciach. Jej pośladki napierały na jego męskość, a jego dłoń czule obejmowała jej pierś. Doskonale wyczuł moment, kiedy Mac zapadła w sen. Czuł delikatne unoszenie się i opadanie jej ciała w idealnym rytmie.

Chciałam ci zaufać.

Jake westchnął. Odsunął się ostrożnie, nie budząc Mac, i opadł na wznak na poduszkę, usiłując zebrać myśli. Po jakimś czasie

wstał i poszedł do łazienki. Nie chciało mu się spać. Mac była dla niego niczym zastrzyk adrenaliny. Długo nie będzie mógł zasnąć.

W łazience rozpamiętywał spotkanie z Gusem. Nowe szczegóły śledztwa prezentowały się jak drażliwe i nierozstrzygnięte kwestie. **Tym razem przygwoździmy drania.** Jake musiał długo się przymilać i złożyć kilka obietnic, których trudno mu będzie dotrzymać, zanim pociągnął Gusa za język. Ale kiedy już zaczął, Gus z wielką przyjemnością trzaskał dziobem. **To będzie duża rzecz, Jake. Ciarękę leży wreszcie na obu łopatkach.**

Jake zastanawiał się nad tym dłuższy czas. Wszystkie elementy zaczynały do siebie pasować. Jedyne, co nie pasowało do tej układanki, to kobieta śpiąca w jego łóżku.

Podreptał z powrotem do sypialni. Przykrył Mac koldrą, a potem usiadł obok. Pocałował ją w czoło i szepnął po cichutku, żeby się nie obudziła:

- Proszę cię, Mac. Nie bądź jednym z czarnych charakterów.

12

Belinda pociągnęła długi lyk screwdrivera. Wokół niej już snuła się lekka mgielka zamazująca neonowe kontury karnawałowego świata kasyna. Było akurat tak, jak chciała. Znajdowała się w słodkim kokonie-odrętwienia.

Siedziała przy stoliku do gry w oczko i przegrywała dwudzie-stodolarowe stawki. Przyjechała do **River Palace** prosto z pracy w poszukiwaniu siostry. Chciała spotkać się z McCall, aby dokończyć rozmowę, którą zaczęły tego dnia w bufecie dla pracowników. Tylko że bała się zdradzić przed nią, jak ważna była dla niej ta wymiana myśli. Gdyby zadzwoniła do McCall i poprosiła o spotkanie, dałoby to siostrze przewagę, na co nie mogła sobie pozwolić. Było piątkowe popołudnie, jeszcze za wcześnie na powrót do domu. Belinda pomyślała, że wpadnie do kasyna i może przypadkiem się spotkają, tak jak za pierwszym razem.

Ale McCall nie przyszła. Ma się rozumieć, że nie przyszła.

Gry. Głupie, idiotyczne gry. Belinda stale robiła głupstwa.

Krupierka rzuciła jej żółtą kartę, która oznaczała ostatnią rękę w kasetce mieszczącej cztery talie. Kiedy krupierka potasuje

karty, Belinda będzie musiała wsunąć plastikowy znacznik do **talii**, pokazując krupierce miejsce do przełożenia. Próbowala skupić się na swoich kartach. Miała szesnaście i oczek - a krupierka pokazywała siódemkę. Trudno było jednak pamiętać reguły. Czy powinna dobrać nową kartę, czy ograniczyć się do szesnastu oczek?

Pozostali gracze wpatrywali się w Belindę. Wyczuwała ich zniecierpliwienie. Prędeej. Pośpiesz się. Przecież to jasne! Zabierała im zbyt dużo czasu. Głupia, głupia, głupia.

Skinęła głową Krupierka położyła na jej szesnastce króla kier - razem dwadzieścia sześć - a potem zgarnęła żetony i karty Belindy. Zajęła się następnym graczem, a Belinda odniosła wrażenie, że światła i dźwięki kasyna były nieco bliższe, zmieniawszy się jak w kalejdoskopie o następną podziałkę. W pamięci zaczęła odtwarzać rozmowę z siostrą, jakby ktoś przycisnął klawisz w jakimś dziwnym magnetowidzie.

On próbuje urobić cię na swoją modłę. Belindo... Kiedy się zbuntujesz, wszystko się zmieni... Wiem o tym, bo sama przez to przeszłam... Jesteś wspaniałą tancerką, Lindy... Nie rzucaj tańca, żeby zrobić przyjemność ojcu; on tego nie rozumie, ale sprawia ból wam obojgu... Oddałam mu Belindę, pozwoliłam mu ją sobie odebrać, aby zajęła twoje miejsce...

Ostatnie słowa sprawiały największy ból. Zwierzenie matki na łożu śmierci, przekazane przez siostrę, która dawno temu porzuciła rodzinę.

- Nie wiedziałam, mamo - szepnęła w duchu.

Nie miała pojęcia, że matka jej potrzebowała. Przeciwnie, sądziła, że była dzieckiem niechcianym, ponieważ Lucinda Sayer urodziła ją w stosunkowo późnym wieku. Była Pomyłką. Tak więc Belinda była zdana na defektywną matkę...

tymczasem McCall chodziła w glorii ojcowskiej miłości. Nic dziwnego, że jest bystrzejsza, że ma więcej sukcesów.

Później, kiedy ojciec wziął młodszą córkę pod swoje skrzydła, Belinda podążała za oślepiającym blaskiem jego troski, szczęśliwa, że może zostawić matkę--alkoholiczkę w szponach jej ponurego nałogu, rozumiała bowiem w jakiś sposób, że całe życie czekała na swoją kolejkę.

- Oślepiąca przez blask - powiedziała do siebie i do nikogo więcej.

Gdzieś zza jej pleców dobiegał jazgot komputerowych dźwięków. Belinda wypila następny łyk, rozważając przeniesienie się do automatów na monety jednodolarowe. Być może tam będzie

traciła pieniądze dużo wolniej. Ale stoliki do gry w oczko wydawały się mniej odosobnione, zwłaszcza że ruch w kasynie był spory. Dzisiaj czterech pocziwców otaczających krupierkę zachowywało się zbyt cicho. Witajcie w krainie zmarłych. Krupierka wyciągnęła dłoń z talią w jej stronę. Belinda gapiała się na karty, nie wiedząc, czego kobieta od niej chce. Nagle przypomniała obie. Żółty znacznik. Wbiła plastikowy prostokąt w środek talii, o mało nie rozlewając przy okazji drinka. - Może przesiadłaby się pani do innego stolika? - zagadnął ją siedzący obok mężczyzna. - Przydałoby się nam więcej szczęścia. Cynthia nas tu masakruje.

Nieznajomy spoglądał nieśmiało na Belinę. Był to mężczyzna o jasnych włosach, całkiem przystojny, po trzydziestce. Przez ostatnie dwadzieścia minut Belinda miała wrażenie, że nieznajomy chciałby nawiązać z nią rozmowę.

Dopła drinka, ignorując natręta. Nie lubiła, kiedy ci wspaniali ludzie okazywali jej przychyłność. Niby dlaczego ktokolwiek miałby być uprzejmy? Czego chciał? Roger zawsze czegoś chciał. Kiedy zachowywał się grubiańsko albo jej dokuczał, wtedy wiedziała, jak z nim postępować. Kiedy ktoś jest podły, wówczas człowiek wie, na czym stoi.

Skoro cię nie kocha, to nie wychodź za niego. Belinda przypomniała sobie, jak udawała przed McCall, że zabolęła ją te słowa, jak urządziła w bufecie scenę. Tak jakby strasznie przejmowała się faktem, że Roger jej nie kocha. Jak gdyby w tym leżało sedno sprawy.

Belinda wcale nie była przekonana, że chce go poślubić. Sukcesem były same zaręczyny. Kiedy Roger poprosił ją o rękę, poczuła się kimś wyjątkowym, pochlebiło jej to. Tryumfowała. Zaręczyła się z prawowitym następcą Ciarke Cosmetics. Podobnie jak Donald Sayer - kiedy Roger postanawia rzucić na kogoś blask swego czaru, efekt może być porażający. - Czy to miejsce jest zajęte?

Belinda odwróciła się i spojrzała na stojącego za nią mężczyznę. Na imię miał Dan. Poznała go wcześniej na pomoście. Torowali sobie drogę przez tłum, czekając, aż River **Palace** przycumuje do nabrzeża. Był tu z powodu jakiejś konwencji; Belinda nie pamiętała jakiej. Facet był do wzięcia, wysoki, chudy, o rzednących, farbowanych na brązowo włosach z mnóstwem siwych odrostów. Belinda przypuszczała, że miał dobrze po pięćdziesiątce, a może nawet dobiegał sześćdziesiątki.

- Zarezerwowałam je dla ciebie - odpowiedziała z uśmiechem. Zauważyła, że mężczyzna wpatruje się w jej piersi. Och, Danny.

Życie faktycznie nie skąpi człowiekowi małych dreszczyków emocji.

Belinda dołożyła do puli i czekała na rozdanie kart. Lubiała ludzi tego pokroju. Przy nich czuła się bezpieczna. Ludzie Niewidzialni, tacy jak ona. Nikt nie chce z nimi rozmawiać ani flirtować. To oni są szumem słyszalnym w tle.

- Szukałem cię wcześniej.

Nadal stał obok krzesła, nie mogąc się zdecydować, czy usiąść. Belinda założyła nogę na nogę, zadzierając sukienkę prawie do samych majtek. Dan tego nie przeoczył.

- Jestem wzruszona, Danny. Naprawdę jestem wzruszona. - Popukała w stół obok siebie. - No, chodź. Nie krępuj się. Orzechowe oczy Dana ukryte za szklami okularów nawet na moment nie odrywały się od nóg Belindy.

- Pomyślałem, że może pójdziemy na drinka?

Belinda już miała kłopoty z utrzymaniem równowagi. Wypiła trzy screwdrivery, jednego po drugim. Znajdowała się w idealnym stanie - wszystko wydawało się świetlane i osiągalne. Jeszcze jeden drink mógłby to zepsuć.

Przypomniała sobie, że kiedyś taniec wprowadzała ją w taki stan, jak gdyby potrafiła latać. **Jesteś wspaniałą tancerką, Lindy.**

Potrząsnęła głową, zbita z tropu na wspomnienie słów siostry.

- Może wyjdziemy na pokład? - zaproponował Dan, szurając nogami. - Łyknać świeżego powietrza?

Belinda skinęła głową i chwyciła za torebkę. Odmówiła kolejnego drinka, ale świeże powietrze brzmiało zachęcająco.

- Jasne. Na zewnątrz może być przyjemnie - odparła. A potem wróci do domu. Zostawi za sobą kolejny dzień.

Wstała i natychmiast się potknęła. Dan przytrzymał ją, ponownie szczerząc zęby.

- Hop - bąknęła, błyskając najseksowniejszym ze swoich uśmiechów. - Musiałam ciut, ciut za dużo wypić - wymamrotała, czując, że oblewa się rumieńcem. Co to za głupia gadka - ciut, ciut.

Z trudem pokuśtykała za Danem przez tłum ludzi. Czasami robiła z siebie taką idiotkę. Roger i jej ojciec zawsze wściekali się na nią, kiedy zachowała się głupio. Tylko Niewidzialni, tacy jak ona i Dan, kichali na podobne rzeczy.

Przedzierała się między stolikami, myśląc o ojcu. Teraz stale się kłócili. Ojcu nie podobały się jej ciuchy, nie lubił również,

kiedy piła. Najbardziej zaś nie mógł znieść faktu, że Belinda nie jest McCall.

Och, starał się ukrywać rozczarowanie, ale dostrzegala je w jego oczach, ilekroć zapomniala o czymś albo zepsuła jakiś eksperyment. A teraz zjawila się McCall ze swojā Formułą Omega wartā miliony dolarów, przypominając ojcu, że tyle czasu zadowolal się byle kim. Belindā Tumanem.

Pieprzyć go - pomyslała, przepychając się za Danem i otwierając pięścią podwójne drzwi wyjściowe. Chłód wieczoru szczypal ją w gołe ramiona i odsłonięte uda. Nabrala głębeno powietrza do płuc, starając się nie rozplakać, powtarzając sobie, że skoro nie może być mądra, to przynajmniej będzie sprytna.

Missisipi była lekko wzburzona i pokład sprawial wrażenie galaretki owocowej. Belinda chwycila za poręcz i starala się nie wypuścić jej z rąk. Wyżej, na pokładzie teksańskim, przygrywal zespól jazzowy, któremu towarzyszył huk i łopot flag, wybijających oszalaly rytm na wietrze. Kiedy McCall wróciła, Belinda wpadła w panikę, że siostra odbierze jej ojca.

- Może nie będzie tak źle? - szepnęła. Troska ojca potrafiła niekiedy sprawiać ból.

- Co jest źle? - spytal Dan.

- Gadalam do siebie - odparła. Z przyjemnością patrzyła, jak twarz Dana rozjaśnia się w odpowiedzi na jej uśmiech. Roger już nigdy nie patrzył na nią w taki sposób. - Rozmawiasz czasem sam ze sobą, Danny?

- Cały czas - odpowiedzial mężczyzna, uśmiechając się od ucha do ucha i pokazując białe, krzywe zęby.

Belinda dotknęła jego warg. Słodki stary Danny. Człowiek Niewidzialny, tak jalcona.

- Masz ładny uśmiech.

Facet dosłownie splonął rumieńcem, robiąc zaskoczona minę.

- Dzięki.

Belinda spojrzala w atramentowā toń wody. Znajdowali się sami na pokładzie i patrzyli, jak światła padające ze statku tańczā na falach wśród ciszy. Blask światel kojarzył się Belindzie z przedstawieniem **Dziadka do orzechów**, z „Tańcem wieszczki cukrowej”. Na wodzie migotaly małe baśniowe światelka. Tańczyły i tańczyły.

Nie pamiętala już, ile razy tańczyła w **Dziadku do orzechów**. W tamtych czasach jej siostra przychodziła na wszystkie jej występy. Kiedy McCall przestala przychodzić? - zadawala sobie py-

tanie Belinda. Kiedy Belinda miała dziesięć lat? A może jedenaście? **Jesteś wspaniałą tancerką, Lindy.**

Belinda z trudem hamowała łzy, patrząc, jak światła na wodzie coraz bardziej się zamazują i rozplywają w gęstniejącym mroku. Od czasu do czasu czuła się tak samo jak ta woda, czarna na duszy miała ochotę rozplynąć się bez śladu w nieprzejrzanym ciemnościach. Ciekawiło ją, jakie to uczucie dać się im pochłonać. Często przychodziły jej do głowy podobne myśli. Rzucić się, spadać... spadać na zawsze.

Nagle Belinda poczuła na plecach rękę Dana. Miała właśnie otrzeć łzy i przykleić sobie na twarzy kolejny uśmiech, kiedy Dan dźgnął ją boleśnie w ramię, złapał w pól, obrócił i z całej siły przycisnął. Kiedy spróbował Belinę pocałować, owiał ją drażniący odór alkoholu. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale mężczyzna wprost zakneblował ją swoim językiem.

Belinda klepała go po plecach... łomotała zaciśniętymi pięściami, aż wisząca na pasku torebka zaczęła uderzać ją w bok. Alkohol spowolnił jej ruchy, ale ze wszystkich sił próbowała natręta odepchnąć. **Me mogę oddychać!**

- Daj spokój. Droczysz się ze mną cały wieczór - wysapał mężczyzna, po czym sięgnął ręką do góry i zaczął uciskać pierś Belindy, sprawiając jej okropny ból. - Sama wiesz, że chcesz tego.

Belinda czuła się zupełnie bezbronna; z początku próbowała z nim walczyć, ale zrezygnowała i pozwoliła mu na wszystko. Było to tak, jakby skoczyła do rzeki i powoli opadała w jakieś paraliżujące odmęty. Wkrótce przestanie odczuwać jakikolwiek ból. Zamknie oczy, zniknie i wszystko się skończy. **Zasłużyłam na to. Zasłużyłam na to.**

- Co do ciężkiej..?

Dan puścił Belinę. Dziewczyna upadła, z trudem chwytając powietrze. Poczula na ramieniu czyjaś dłoń i przez chwilę sądziła, że to znowu Dan, który chce rozpocząć drugą rundę. Kiedy jednak podniosła wzrok, spojrzała w oczy zupełnie innego mężczyzny.

- Nic się pani nie stało? - zapytał. Na jego twarzy malowało się napięcie będące przejawem zatroskania. Głos miał niski i uspokajający.

- Nie - odparła dysząc Belinda. - Chyba nie. Przyglądając się swemu wybawicielowi, Belinda zauważyła

Dana. Leżał jak długi na pokładzie i trzymał się za szczękę. **Mój Boże. Musiał porządnie oberwać.** Wytrzeszczyła wzrok zafascynowana faktem, że ktoś użył przemocy, aby ją ratować.

- Spieprzaj, dupku - warknął gardłowo mężczyzna.

Dan odszedł, potykając się, o własne nogi. Nieznajomy odwrócił się z powrotem do Belindy i przykucnął, aby się z nią zrównać wzrokiem. Miał blond włosy, nie platynowe, jak Belinda, tylko naprawdę złociste. A te jego oczy. Nigdy nie widziała podobnych. W świetle księżyca wydawały się żółto-brązowe, jak u wilka. I świdrujące, jakby mężczyzna potrafił zajrzeć głęboko do ludzkiej duszy, przekazując informację: **Nigdy cię nie skrzywdzę.**

- Dobrze się pani czuje, panno Sayer?

Facet wiedział, jak się nazywała. Belinda próbowała się domyślić, skąd mógł znać jej nazwisko. Stwierdziła, że wypila za dużo. Odczuwała nudności.

Zarzuciła torebką przez ramię, objęła się wpół rękami i zaczęła dygotać. Atak Dana wywołał zamęt w jej myślach. To nie powinno się zdarzyć. Ludzie Niewidzialni nikogo nie krzywdzą.

- Słusznie, panno Sayer - wyszeptał mężczyzna. - Niech się pani wypłacz.

Uświadomiła sobie nagle, że zalewa się łzami. Nieznajomy chwycił ją w ramiona i przytulił do siebie w taki sposób, że poczuła się absolutnie bezpieczna.

- Już dobrze - szepnął, a potem zdjął sztruksową marynarkę i okrył nią Belinę. Materiał był jeszcze rozgrzany ciepłem jego ciała. - Zараż się pani poczuje lepiej. - Uniósł twarz Belindy ku swojej i z uśmiechem otarł łzy z jej policzków, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. - Ten drań już nigdy pani nie skrzywdzi.

Głos mężczyzny działał kojąco. I nagle także zabrzmiał znajomo. Belinda uświadomiła sobie, że go zna. Pracował w laboratorium. Przeciętniak. Facet, który kręcił się przy jej ojcu w Laboratorium Zapachowym, gdzie pracowała.

Tylko że dzisiaj wyglądał inaczej. **Był bez okularów.** Sięgnęła i dotknęła jego twarzy.

- Pan nie nosi okularów.

- Mam soczewki kontaktowe.

Zwykle nosił takie grube szkła. Przesłaniające mu oczy. Cudowne, wspaniałe oczy, które uśmiechały się teraz i zapewniały Belinę, że ją ochroni.

Nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska. Była tak tym wszystkim zaaferowana, że zupełnie wyleciało jej z głowy. Był dla niej kimś pozbawionym znaczenia... jeszcze bardziej niewidzialny niż ludzie, których zaliczała do nieudaczników, takich jak ona sama. Uzmysłowiła sobie, że nigdy nawet mu się dobrze nie przyjrzała.

A teraz nie mogła oczu od niego oderwać.

- Dziękuję - powiedziała, nie poruszając się. Mężczyzna pogładził ją delikatnie po włosach, uśmiechnął się, zaplatając kosmyk włosów za jej uchem

- To było cudowne. To, co pan zrobił - stwierdziła. Czula, że się zarumieniła. - Nie pamiętam pańskiego nazwiska.

- Drobnostka - odparł tylko.

- Czy mogę zaprosić pana na drinka albo coś w tym rodzaju? - spytała. Chciała pokazać, że wszystko z nią w porządku, ale zaproszenie nie wypadło zbyt zręcznie. Poszczególne słowa brzmiały trochę nieskładnie. Zdawała sobie sprawę, że wypila morze alkoholu.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Jego długie, ładnie ufryzowane włosy omiały ramiona gęstymi, bujnymi falami; w pracy zawsze wiązał je w kucyk.

- Prawdę mówiąc, to bym coś zjadł - odpowiedział, po czym wstał i pomógł Belindzie dźwignąć się na nogi, przytrzymując ją w talii, póki nie odzyskała równowagi. - Jeszcze nie jadłem kolacji. Co pani na to? Zje pani ze mną kolację, panno Sayer?

- Belindo, bardzo proszę.

- Kyle...

- Woods - dokończyła zadowolona, że przypomniała sobie nazwisko. - Dzięki, Kyle - dodała z uśmiechem, nie posiadając się ze szczęścia. - Mam ochotę na stek. - Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła. Zapewne wczoraj. Roześmiała się, sprawiając wrażenie lekko roztargnionej. - Boże, mogłabym zjeść konia z kopytami."

Kyle wyszczerzył zęby.

- Ciekawe, jakiego uda mi się znaleźć - powiedział, biorąc ją za rękę. Belinda poczuła niezwykle strużki ciepła, rozchodzące się w jej żyłach od miejsca zetknięcia się ich palców. Krótkie spięcie, iskra elektryczna przeskakujące z dłoni wprost do jej serca.

Szła obok Kyle'a, pozwalając mu się prowadzić przez tłum, który czekał na przycumowanie statku do brzegu.

- Wiesz - powiedziała - nikt jeszcze nie zachował się wobec mnie tak ładnie jak ty.

Kyle odwrócił głowę w stronę Belindy. Przez chwilę przypominał jej ojca... ponieważ był rozgniewany. Ale po chwili wyraz złości zniknął, nie pozostawiając żadnego śladu na jego twarzy, jakby nigdy go tam nie było.

- Moim zdaniem, zadajesz się z niewłaściwym towarzystwem - powiedział.

W blasku jego uśmiechu Belinda poczuła się nagle niczym te drobiny światła migoczące na wodzie. Znowu puściła się w taniec. Uniosła się w powietrzu i leciała.

Kyle przyglądał się siedzącej pod drugiej stronie stołu Belindzie Sayer. Złożyła ręce na brzuchu i przewiercała wzrokiem porcję mięsa. Nawet nie tknęła jedzenia, pozwalając krwistemu stekowi zastygać na talerzu.

- Nie mam pojęcia, czym tak się denerwujesz - powiedział Kyle, przelkując kęs sałatki. - Skąd mogłaś wiedzieć, że jestem wegetarianinem?

- Powiedziałam, że mogłabym zjeść konia. - Cętkowana sukienka Belindy opinała jej piersi tak kusząco, że wiotka kibić dziewczyny wydawała się nader zmysłowa. Pod oczami miała plamy tuszu do rzęs, a mimo to, siedząc tak i zloszcząc się na samą siebie, z wypiekami na dziecinnych policzkach, wyglądała najwyżej na szesnastolatkę.

- Właściwie, to powiedziałam konia **z kopytami**.

- Nie potraktowałem tego dosłownie.

Belinda zagryzła wargi. Zjadła już większość szminki, ale pozostawały jeszcze ślady czerwonego uwodzicielskiego koloru.

- Chciałam, żebyś mnie polubił - wyszeptala tak cicho, że Woods ledwo ją słyszał w panującym w restauracji zgiełku.

- A teraz się boisz, że cię nie polubię?

Belinda odepchnęła talerz tak gwałtownie, że nóż i widelec aż zagrzechotały na porcelanie. Gorący temperament dziewczyny skrupił się na niej samej.

- Pewnie czujesz do mnie wstręt.

Kyle znalazł to spojrzenie. Belinda spodziewała się, że przyzna jej rację. Zdażyła się już przyzwyczać, że ludzie ją ranią, i zaakceptowała to niczym swoje przeznaczenie. Niska samoocena Belindy sprawiła Woodsowi wielką przykrość.

Poszedł za nią aż do kasyna, mając na uwadze wyłącznie tamte psy w ciężarówce. Przez cały wieczór uważnie obserwował Belindę i szukał okazji do rozmowy, lecz kiedy taka wreszcie się trafiła, rozmowa przebiegła zupełnie inaczej, niż się tego spodziewał.

Zaskoczyło go uczucie wściekłości, z jakim rąbnął tego łobuza w szczękę.

Westchnął, odpychając własny talerz, i sięgnął po portfel. Teraz jego zadanie stało się jeszcze trudniejsze. Kyle nigdy się nie odwracał od bolących spraw.

- Masz ochotę na lody?

Belinda pojaśniała na twarzy. Wytarła dłonie w serwetkę i położyła ją na stole, będąc już jedną nogą na zewnątrz kabiny.

- Uwielbiam lody.

Kilka przecznic dalej znaleźli odpowiedni lokal, a potem szli, trzymając się za ręce i jedząc coś zwanego Czekoladową Pychą. Belinda miała na sobie marynarkę Woodsa, która sięgała jej prawie do kostek. Nagle dziewczyna zaczęła chichotać.

- Co cię śmieszy? - spytał z uśmiechem Woods. Cieszył się, że Belinda odzyskała dobry humor.

Przystanąła i odwróciła się twarzą do Kyle'a.

- Masz lody na nosie. O, tu, pozwól - powiedziała, po czym wytarła lody chusteczką, wspięła się na palce, zamknęła oczy i pocałowała Woodsa w czubek nosa.

Otwierając oczy, nie miała już uśmiechu na twarzy. Postąpiła kilka kroków do tyłu.

- Przepraszam - bąknęła.

- Za co? - zdziwił się Kyle, szczerze zaskoczony jej reakcją. Belinda wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Po prostu wyglądałeś, hmm, na lekko zbzi-kowanego.,

- Nie - odparł, ponieważ to była prawda. - Nie jestem zbzi-kowany. Jestem po prostu... człowiekiem bardzo emocjonalnym.

- W porządku.

Woods czuł, że coś się zaczyna dziać między nimi. U niego podobne sprawy rozgrywały się na ogół właśnie na takim poziomie, przekazy były odbierane niemal podświadomie. Rodzaj instynktu. Belinda nie wiedziała jeszcze, co się dzieje.

Ale Kyle już wiedział.

Wziął dziewczynę za rękę. Dotyk jej małych palców ściskających jego dłoń - może tylko trochę za mocno - sprawiał mu wielką przyjemność. Belinda trzymała go, jakby był jej deską ratunku. Przez cały obiad patrzyła jak na Księcia z bajki, który może się jej wystraszyć. j

W pamięci Woodsa odżył wyraz twarzy Belindy w momencie, gdy nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska. Skąd miała wiedzieć, ile pracy kosztowało go to, żeby stać się człowiekiem niewidzialnym. Dzisiaj wreszcie wyszedł z cienia.

- Dlaczego jesteś wegetarianinem? - zapytała. Kyle domyślił się, że teraz będzie chciała się dowiedzieć wszystkiego o nim, o swoim Księciu z bajki. - Czy dlatego, że to szkodliwe dla zdrowia?

- Przede wszystkim szkodliwe dla zdrowia zwierząt - odparł bez zastanowienia.

- Ach, należysz do ruchu praw zwierząt. Wszystko się zgadza. Jesteś człowiekiem, który lubi troszczyć się o słabszych - stwierdziła, zerkając na jego buty.

- Sztuczna skóra - powiedział, wiedząc, że powinien przyhamować. Nie powinien ujawniać dziewczynie zbyt wiele. Mógłby się zdradzić. - Bez przesady. Lubię mleko i ser. W dodatku jestem znany z tego, że czasami jadam omlet.

- Ale to ładnie, że się tak przejmujesz. Pewnie dlatego pracujesz w Ciarke Labs. Bo oni nie przeprowadzają doświadczeń na zwierzętach. Humanitaryzm przede wszystkim - powiedziała, cytując logo firmy, które umieszczali na swoich produktach.

Wydawała się absolutnie szczerą. To nie mogła być obluda.

- Oczywiście, Curtis przestał wykonywać testy na zwierzętach z powodu konkurencji - ciągnęła, kołysząc ich splecionymi w uścisku rękami. - Facet ma złote serce, jak Boga kocham. - Szła na swoich chybotliwych obcasach, stawiając stopy szeroko niczym kaczką. - Moja siostra pracowała kiedyś na zwierzętach. Na myszach... mój tata też. Oraz na królikach - dodała, krzywiąc się wymownie. - Cieszę się, że nigdy nie musiałam na to patrzeć. Biedne króliczki.

- Króliki, szczury... a nawet psy - powiedział Woods, zatrzymując się, by widzieć wzrok Belindy. Wiedział, że ryzykuje. Ale wiedział również, że pytając Belinę właśnie teraz, usłyszy odpowiedź, której szuka. - Chodzi o to, że schroniska wolą uśmiercać zwierzęta w sposób humanitarny, więc nie zawsze można w sposób legalny zdobyć to, co jest akurat potrzebne. Istnieją tak zwani hycle, to znaczy ludzie, którzy kręcą się po okolicy i zbierają bezdomne czworonogi... nie pogardzając zwierzętami mającymi swoich właścicieli i swoje domy. Ukradną ci je z podwórza, jeśli nie będziesz uważała. Zwierzę po prostu znika. A potem sprzedają je laboratoriom do badań.

- O Boże. To straszne - rzekła Belinda ze łzami w oczach. Woods zdał sobie sprawę, że reakcja dziewczyny jest szczerą. Ona naprawdę nie wie.

Zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Chciał okazać jej sympatię w chłodny, wykalkulowany sposób, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o psach w ciężarówce. Belinda była najsłabszym ogniwem w Ciarke Labs. Uratowanie jej przed napastującym łobuzem uznał za dar z nieba.

Ale teraz Belinda wpatrywała się w niego ze ślepym oddaniem, tak

jak wpatrywałoby się w człowieka zwierzę. Ufając mu bezgranicznie.

- Widziałem cię w laboratorium, kiedy wychodziłem do domu - powiedział, idąc za głosem instynktu. - Kwitowałaś jakąś dostawę. Co było w tej ciężarówce? - spytał. Miał nadzieję, że dziewczyna odpowie, gdyż jest zanadto nim zaabsorbowana, aby jego ciekawość uznała za coś niewłaściwego.

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - Jakiś sprzęt do laboratoriów. Roger poprosił mnie o wyłączenie, bo był już umówiony, a oni przyjeżdżali bardzo późno. - Znowu cofnęła się o kilka kroków. - Czemu jesteś taki wściekły? Tym razem Woods nie potrafił ukryć emocji, ale zmienił przedmiot swojej uwagi, odkładając na razie sprawę psów i Rogera i skupiając się z powrotem na tym, co zachodziło między nim a Belindą.

- Chodzi o tego faceta, który cię zaatakował. Widziałem cię z nim wcześniej. Dlaczego, Belindo? Jesteś młoda, piękna. Zaręczona. Skąd ten facet przy stoliku?

Belinda spuściła wzrok, wzruszając ramionami.

- Od czasu do czasu robię takie rzeczy - odparła i polizała lody. Woods widział, że chciała coś jeszcze dodać; że zastanawiała się, czy powinna to zrobić.

- Przeważnie kiedy piję - powiedziała. Okazała Woodsowi zaufanie i czekała na jego reakcję.

- Często popijasz?

- Być może. W każdym razie ostatnio - westchnęła. - Kiedyś byłam zawodową tancerką. Ale rok temu rzuciłam taniec. Chyba mi go brakuje, więc czasami piję. Alkohol pomaga mi się rozluźnić, daje poczucie szczęścia. Jak wtedy, gdy tańczyłam.

- W balecie? - spytał Kyle, patrząc na jej stopy, które wyglądały tak, jak gdyby dziewczyna ciągle stała w pozycji wyjściowej. - Wyglądasz jak primabalerina.

- Nie bardzo. Mam zbyt krótkie nogi. Do tego jestem za wysoka i mam za duży biust. Nie byłam solistką. Tańczyłam tylko w zespole.

- Twój biust wydaje się w sam raz, przynajmniej jak na mój gust. Belinda przekrzywiła głowę i obrzuciła Woodsa uważnym spojrzeniem. A potem się uśmiechnęła.

- Jakoś dziwnie to powiedziałeś. Patrzyłeś mi w oczy, w ogóle nie spojrzaleś na moje piersi. - Belinda westchnęła, potrząsając głową. Następnie odwróciła się i poszła dalej. - Nie znasz się na tancerkach - rzuciła przez ramię, wbijając zęby w porcję lodów. Po chwili dodała: - Czasami aż się boję. Bo strasznie to lu-

bie. To znaczy, pić. Rano nie czuję żadnego kaca ani mdłości, tylko taki miły, bezpieczny szmerek.

- Dziś nie było zbyt bezpiecznie - zauważył Woods.

- Tak, racja - mruknęła Belinda, wyrzucając lody do kosza na śmieci. - Słuchaj Kyle, chyba zbyt długo cię zatrzymuję. Woods cisnął swoje lody do tego samego kosza, a potem zszedł na jezdnię.

- Pewnie zaparkowałaś przy **River Palace?** - spytał, a kiedy Belinda skinęła głową na potwierdzenie, pomachał na taksówkę. Zaczęło kropić. - Jesteśmy kawał drogi stamtąd. Odwiozę cię do domu.

Kyle obserwował świadka latarni rozplywające się na mokrych szybach taksówki. Trochę popadało, dzięki temu noc wydawała się jakoś tak przyjemnie czysta. Belinda siedziała obok Kyle'a zwinięta w kłębek, dłonie miała złożone, a głowę opierała na jego ramienia. Kyle przezornie zaproponował jazdę taksówką, nie chciał bowiem wracać na parking przed **River Palace**. Wiedział, że Belinda mieszka u ojca. Lepiej, żeby Donald Sayer nie rozpoznał jego samochodu.

Przyglądał się śpiącej dziewczynie. Przebierał palcami w jej włosach, pieszcząc ją machinalnie. Wydawała mu się bardzo ładna z tymi jasnoblękitnymi oczami, których kąciki były lekko uniesione. Nawet rzęsy Belindy zawijały się do góry, podkreślając jej baśniową urodę, uszy zaś sterczały trochę spod platynowych włosów. Wargi miała pełne i wydatne.

Tknięty nagłym impulsem, Woods schylił się i pocałował dziewczynę, starając się jej nie obudzić. Pachniała gardeniami. Odrzucił głowę na oparcie siedzenia i westchnął przeciągle. Nie chciał jej ranić. Zbyt wielu ludzi to robiło. Nie mógł jednak postąpić inaczej. Było mu przykro, że musi wykorzystać Belindę. To wahanie przyprawiało go o ból serca. Bez względu na osobiste odczucia nie wolno mu jednak stracić z oczu celu wznioślejszego.

Taksówka zatrzymała się obok chodnika. Woods trącił delikatnie dziewczynę.

- Jesteśmy na miejscu.

Belinda obudziła się i przetarła oczy piąstkami. Był to gest dziecięcy, który przypomniał Woodsowi młody wiek dziewczyny. Miała najwyżej dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat. Patrzyła na niego w górę, uśmiechając się i ponownie wzbudzając poczucie więzi. A potem uniosła się i pocałowała go w usta.

Był to cudowny pocałunek. Słodki i nieśpieszny, ale zapowia-

dający ogień. Belinda Sayer umiała się tylko oddawać. Nie nauczyła się jeszcze powstrzymywać.

W domu zapaliło się światło. Był to jeden z tych ogromnych wiktoriańskich budynków, które rozslawiały Dzielnice Ogrodową. Ulubiony cel wycieczek. Kyle zobaczył przez szybę taksówki, że w jednym z okien rozsuwają się zasłony. Serce waliło mu jak oszalałe. Było ciemno; Sayer nie mógł zajrzeć do wnętrza taksówki, nie będzie więc wiedział, z kim całuje się jego córka. Chyba że Belinda mu to powie.

Odsunęła się od Kyle'a, przesuwając palcami po jego wargach.

- Chcesz zjeść ze mną lunch w poniedziałek?

Lunch. W Ciarke Labs. W bufecie, zapewne, gdzie wszyscy widzieliby ich razem. Także jej ojciec, Roger. Trudno sobie wyobrazić, że Curtis Ciarke chętnie przystanie na pączkujący związek Kyle'a z Belindą - narzeczoną swojego syna. Nie mówiąc już o Donaldzie Sayerze.

- Nie. Raczej nie lunch.

Belinda zrobiła smutną minę. Tak łatwo dała się zranić odmową Woodsa. Przypomnił sobie, z jaką obojętnością zareagowała na nieuprzejme zachowanie Rogera wobec niej, tymczasem jemu dała prawo do zadania jej bólu.

- Jutro wieczorem, kolację - rzekł Woods. - Spotkamy się w tym samym miejscu. Ale trochę później. O dziewiątej.

Belinda uśmiechała się, jakby Kyle był i słońcem, i księżycem równocześnie.

- Tym razem daruję sobie ten stek.

Kyle odgarnął jej włosy za uszy, z radością stwierdzając, że tylko trochę odstawały.

- Jak sobie życzysz.

- Owszem. Życzę sobie.

Kyle westchnął, oplatając pukiel wokół swego palca. Utwierdził się w przekonaniu, że Belinda będzie słabym ogniwem w Ciarke Labs.

Donald Sayer wyszedł na dwór. Kyle skinął głową w stronę domu. Belinda odwróciła się i wyjrzała przez szybę, robiąc przestraszona minę. Ale westchnęła tylko i wyprężyła się, aby znowu pocałować Kyle'a, musnąć wargami po jego **ustach** miękko niczym puchem.

- Byleś cudowny - szepnęła. - Nigdy tego nie zapomnę. Kiedy sięgnęła do klamki, Woods chwycił ją za rękę. Chciał poprosić, żeby nie opowiadała o wspólnie spędzonych chwilach,

wyjaśnić jakoś, dlaczego powinna zachować to w sekrecie, ale zapytał tylko:

- Mam cię odprowadzić do drzwi?

Aż nie mógł uwierzyć, że to powiedział.

- SarfiSi trafię - odparła, wysiadając z samochodu. - Tata skoczyłby ci do gardła, gdyby się dowiedział o naszej randce. Nie mów nic w pracy, dobrze?

Kyle odprowadził Belinę wzrokiem. Dziewczyna bez słowa minęła ojca i weszła do domu. Sayer zamiast od razu zrobić to samo, spojrział jeszcze raz na taksówkę, jak gdyby chciał dojrzeć, z kim jego córka przyjechała tym zaciemnionym samochodem.

- Carondelet - rzucił Kyle do kierowcy.

Kiedy samochód ruszył, Kyle czuł, że oblewa się potem i nie ma to nic wspólnego z tą zwariowaną nocą. Przed chwilą zaryzykował, proponując Belindzie, że odprowadzi ją do drzwi. Sam powinien kazać jej utrzymać w tajemnicy dzisiejszą schadzke. Stało się odwrotnie. To Belinda chroniła jego.

Wzdychając ciężko, Kyle założył marynarkę. Nadal pachniała gardeniami.

Powiedział do siebie stanowczo, że ma zobowiązania. Dał słowo. Sobie i innym. Musi zachować większą ostrożność. Nie może pozwolić Belindzie zniweczyć jego wysiłki. Nie może pozwolić jej do niego przyjechać. Nikomu tego nie wolno.

13

One umierają. Po prostu wciąż umierają.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman

McCall miała sen, że znowu jest dziewięciolatką i doświadcza swojej pierwszej transformacji.

Sen zawsze rozpoczynał się tak samo. McCall była zupełnie sama w laboratorium ojca. Z jakiegoś nieznanego źródła padało światło rzucające blask na stół laboratoryjny, który się przed nią rozciągał. Na stole leżała gigantyczna płytka Petriego, mająca po-

nad pół metra średnicy. Wszystko w tym śnie było wyolbrzymione, próbówki przypominały drapacze chmur, pudełko z gumowymi rękawiczkami - wannę, jak gdyby McCall skurczyła się nagle w porównaniu z otoczeniem. Alicja w Krainie Czarów.

Dno płytki pokrywała cienka warstwa agaru, bursztynowej, galaretowatej substancji ze składnikami odżywczymi niezbędnymi do rozwoju komórek. McCall wcześniej zainfekowała komórki bakteryjne wirusem. Teraz za pomocą pipetki o długości swojej ręki przeniosła na płytkę kilka kropli cieczy z bakteriami. **Kap. Kap. Kap.**

Groszkowy deseń drobnoustrojów zaczął się rozrastać i materializować w postaci maleńkich kropek, które powiększały się i rozprzestrzeniały na powierzchni bursztynowej galarety. Transformacja przebiegała z niewiarygodną prędkością. McCall wiedziała, tak jak w przypadku instrumentów laboratoryjnych, że rzeczywistość wygląda inaczej, że komórki potrzebują wielu dni na rozrost w inkubatorze. Ale sen zawsze przebiegał tak samo. Komórki pleśni rozrastały się na kształt gąszczu winorośli, pieniać się i musując na ogromnej płytce Petriego. W końcu nitkowate wyrostki zawładnęły całą kadzią, eksplodując i rozbijając szkło na drobne kawałki.

Twarz i ręce McCall obryzgała gęsta ciecz. Dziewczynka spoglądała na swoje dłonie, przyglądając się, jak komórki zapuszczają korzenie w jej skórze, ponieważ teraz ona stanowiła dla nich środowisko rozwoju. Komórki wspinały się po jej ramieniu niczym rak, McCall czuła ich pajęczynową delikatność na całej twarzy.

Podbiegła do lustra, posadzka pod jej stopami kołysała się jak podłoga domku czarownicy w wesołym miasteczku. Twarz McCall odbita w lustrze była upstrzona plamkami pleśni. Dziewczynka patrzyła, jak pleśń rozszerza się stopniowo na jej policzki, na nos-, na włosy.-aby zakwitnąć krwistoczerwonymi różami, spływającymi kaskadą po jej twarzy, tworząc żywy, ruchomy symbol, który McCall natychmiast rozpoznała. Znak firmowy laboratoriów Clarke'a.

Twarz w lustrze uległa zmianie - przekształceniu, metamorfozie. Wykrystalizowała się z niej Alicja Goodman.

Włosy koloru soli i pieprzu przeplecione były płatkami róż i opadały jej prostymi kosmykami na ramiona. Oczy orzechowego koloru, takie jakie McCall zapamiętała. Alicja uśmiechała się, zawsze taka szczęśliwa. Zawsze taka pżywiona.

Wyciągała z lustra ręce w kierunku McCall.

- Bądź piękna i bądź smutna - szepnęła.

Słowa te odbiły się upiornym echem i McCall poczuła nagły lęk.

Pierwszy raz jej się to śniło. Alicja nigdy nie odwiedzała jej w snach.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała McCall, cofając się od lustra jak najdalej. - Nie rozumiem, co napisałaś w swoim dzienniku.

Alicja niczym duch wypłynęła z lustra, unosząc się w powietrzu. Szybowała i mamrotała swoje tajemnice niezrozumiałym, dręcząco niewyraźnym szeptem. Krążyła coraz szybciej i szybciej, wprawiając ciemne laboratorium w ruch wirowy, dopóki cała sceneria nie uległa zamazaniu i nie przeszła w następną fazę.

McCall znajdowała się w kościele. Te same krwiste róże wypływały z dwóch wielkich urn z prochami ustawionych po obu stronach trumny pomalowanej na białą. McCall wstała z ławki i zbliżyła się do ołtarza, czując niewiarygodny ciężar, jakim był każdy krok.

Weszła na ambonę; widziała teraz trumnę z góry. Wewnątrz leżała owinięta w biały atlas Alicja. Stał nad nią Roger ze strzykawką w ręku. Podobnie jak inne instrumenty laboratoryjne we śnie McCall, strzykawka była ogromna, prawie tak długa jak ramię Rogera. Ale znając swoje sny, McCall wiedziała, że ta strzykawka przypomina instrumenty, którymi ona i Alicja wtłaczały zainfekowane i przeobrażone komórki mózgowie w czaszki doświadczalnych mysz.

Obudź się.

I znowu wizja senna zamigotała, odmieniła się i przeszła w coś nowego. W coś innego. Teraz w trumnie leżała matka McCall, a strzykawkę trzymał nad nią ojciec.

- Przykro mi, kochanie - powiedział do córki. - Nie powinnaś była sfalszować tych danych.

- To nieprawda, tato. Przysięgam, że ich nie sfalszowałam. **Obudź się!**

Z mroku wyłoniła się Belinda, która przystanęła obok ojca. Oboje mieli uśmiech na twarzach.

- Nie powinnaś była sfalszować tych danych. **Obudź się!**

- Wstawaj, mała. Obudź się.

McCall usiadła na łóżku, całkowicie rozbudzona. Było jej okropnie zimno. Uświadomiła sobie, że jest naga, a pościel leży skotłowana w nogach zabytkowego, żelaznego łóża. Przypomniała sobie, gdzie jest - znajduje się w apartamencie hotelowym Ja-ke'a i ciężko oddycha po ucieczce przed swoimi koszmarami.

- Mac?

Czuła, że cała drży. **Tak zimno.** Jake masował jej ręce i całował w ramię. Delikatne, kojące pocałunki Informujące, że już nie jest sama.

McCall przekręciła się na łóżku, podciągając kolana. Położyła dłoń na torsie Jake'a, czując dotyk jego kędzierzawych włosów i bijące od niego ciepło. Jakby chciała się upewnić, że Jake istnieje realnie.

- Dręczyły cię koszmary - powiedział, gładząc ją delikatnie po plecach, żeby się rozgrzała.

Przysunęła się trochę bliżej, zawahała, a potem całym ciałem padła mu w objęcia, serce w serce, a on przytulił ją mocno do siebie.

- Już kiedyś mi się to śniło - wyszeptała. - To samo, raz po raz. Ale to było tak dawno. - Poza tym przebiegało inaczej, mniej sugestywnie. Nie wykraczało poza odmienioną rzeczywistość laboratorium. - Po raz pierwszy miałam ten sen jako dziewięcioletka - powiedziała. Czula potrzebę zwierzeń, miała nadzieję, że dzięki temu zdoła otrząsnąć się z kleistych pajęczyn. - Ojciec już wtedy pracował dla Clarke'a. Pozwalał mi przychodzić do siebie i pomagać sobie w pracy.

Spędzałam tam całe godziny, przyglądając się ojcu. Któregoś dnia pozwolił mi przeprowadzić transformację.

Sporządziłam odpowiednie roztwory i zainfekowałam komórki bakteryjne moim wirusem, identycznie jak ojciec, którego setki razy obserwowałam. Śledził wtedy każdy mój ruch. Byłam strasznie podekscytowana. Ale coś poszło źle. Bakterie nie chciały się rozmnażać.

Pamiętała to doskonale. Każdy szczegół, każdy drobiazg. Jeden z tych momentów, których dziecko nigdy nie zapomina.

Cz7 wiesz, gdzie popełniłaś błąd, McCall? Nie. Tatusiu. Nie wiem.

- Zapytał mnie, gdzie popełniłam błąd, a ja nie potrafiłam na to odpowiedzieć, gdyż nie wykonałam odpowiednich jednostek kontrolnych.

Ile razy ci mówiłem, że eksperyment nie jest prawdziwym eksperymentem, jeśli nie wykona się jednostek kontrolnych?

Przecież mnie obserwowałaś. Nic nie mówiłaś— Nie jestem tu po to, aby karmić cię odpowiedziami na tego rodzaju pytania. Setki razy przyglądałaś się, jak ja to robię. Musisz być bardziej spostrzegawcza, musisz ruszać głową. Myśl, dziewczyno! Myśl!

- Ojciec kazał mi powtórzyć eksperyment - powiedziała McCall. - Dwadzieścia razy. Zajęło mi to dwa tygodnie.

- Lekka przesada. McCall pokręciła głową.

- Wcale nie traktowaliśmy tego jako kary. Ojciec był moim nauczycielem - odparła, zmarszczywszy nagle brwi - Był kimś wię-

cej, moim mentorem. Czuł się w obowiązku pomóc mi stać się jak najlepszą. - McCall pamiętała, w jakiej zażyłości była wtedy ze swoim ojcem, jacy bliscy byli sobie w tamtych czasach. - Nigdy potem nie zapomniałam wykonać tych jednostek kontrolnych.

- Ale zaczęły się koszmary. McCall skinęła głową.

- Początkowo miałam sen, w którym bakteria rozmnaża się zbyt szybko i opanowuje całe laboratorium, a na koniec zagnieżdża się na moim ciele i dusi mnie.

Jake słuchał uważnie, poruszony brakiem emocji w głosie kobiety. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można dorastać w takich warunkach. Przytulił McCall jeszcze bardziej i czule masował jej plecy.

- Niech się zastanowię - rzekł, całując ją w czubek głowy. Chciał pomóc McCall przejść ciężki okres jej życia i pozbyć się tych nocnych koszmarów. - Powtórka przed egzaminem. Ze **Wstępu do psychologii**. Twój ojciec jest jak ta bakteria. Stara się zawładnąć twoim życiem.

Podniosła wzrok. W świetle dochodzącym z łazienki Jake dostrzegł, że McCall ma rozszerzone źrenice, ukazujące maleńki krążek zieleni. Jej usta były lekko rozchylone. Domyślił się, że nigdy nie myślała o tym w taki sposób: że ojciec próbuje nią zawładnąć, że chce ją stłamsić.

Jake odsunął z jej twarzy pukiel rudych włosów.

- To chyba oczywiste, maleńka.

McCall odsunęła się i przerzuciła stopy na drugą stronę. Chwyciła złożony pled leżący w nogach łóżka i owinąwszy się nim, wstała, po czym wyszła z pokoju, pozostawiając leżącego na łóżku mężczyznę samemu sobie. Jake westchnął przeciągle, odgarnął włosy do tyłu i spojrział na zegar. Dochodziła pierwsza po północy.

Nie powiedział jej jeszcze, dlaczego się obudził - że wykrzykiwała przez sen. Wykrzykiwała jego imię. Raz po raz.

Wyskoczył z łóżka i podreptał do salonu. McCall przechadzała się wokół i wszystkiego dotykała. Zdejmowała z półek drogie bibeloty, obracała w dłoniach i odstawiała na miejsce.

Podszedł do niej z tyłu i przyciągnął ją, wtulając nos w jej szyję, starając się utrzymać tę samą więź, jaką odczuwał wcześniej.

- Tak niewiele jest tu ciebie - szepnęła, sięgając do tyłu, żeby przesunąć palcami po jego włosach.

Jake przyglądał się stojącym na półce rupociom. Jakiś kryształ ze szkła bakaratowego, pudełko z chińską lamigłówką, kom-

plet świeczników z dmuchanego szkła. Przeczytał całą teczkę ujawniającą intymne szczegóły z życia McCall, a ona tu próbuje doszukać się go na tych półkach. Prócz fotografii syna nic w tym lokalu nie mówiło o nim bodaj jednego słowa. - Mam dwie starsze siostry - rzekł Jake. - Molly, w wieku nieokreślonym, odkąd zaczęła co roku obchodzić trzydzieste dziewięte urodziny. W tym powtórzą się już chyba trzeci raz. Następna to Casey. Rodzinna fantastka. Maluje. Miała kilka wystaw, nawet sprzedawała to i owo, ale Bóg mi świadkiem, nic z tego nie rozumiem. Wielkie plamy najróżniejszych kolorów, którym nadaje bzdurne nazwy: - „Abstrakcja numer 16 - Serce”. Jedna i druga młodo wyszły za mąż i mają po dwójce dzieciaków. O Boże, Mitch, pierworodny Molly, zdał właśnie do ogólniaka. Mama uczy literatury w Tulane; tata przeszedł na emeryturę. Jesteśmy transplantatami z Kalifornii.

- To dlatego nie mówisz z akcentem - powiedziała McCall, a Jake usłyszał w jej głosie uśmiech. - Mój pierwszy rok w liceum. Miałam trzynaście lat. Nikt prócz mnie w klasie nie mówił z akcentem. Tak bardzo chciałam się wtopić, słuchałam i ćwiczyłam, dopóki nie zaczęłam mówić tak jak reszta. Ale nie potrafiłam cofnąć czasu. Zmarnowałam cały rok na uświadomienie sobie faktu, że nigdy się nie wtopię.

Jake przytrzymał koc, w który zawinęła się McCall, i opierał głowę na jej ramieniu. Czuł lekkie klucie serca. Kobieta odkrywała przed nim bolesne karty swojego życia, których próżno by szukać w archiwach FBI. Zrozumiał, dlaczego okazała się taką ofermą w trakcie wspólnie spędzonej nocy - nie lepszą zresztą od niego. Ta frajerka ze zdjęć w aktach nie chodziła na oblewania promocji ani prywatki. Nikt jej nigdy nie zaprosił na żadną balangę w kampusie.

- Chodź tutaj - szepnął do niej. Wiedział już, co mógłby dla niej zrobić. Wziął McCall za rękę i zaprowadził do drugiej sypialni, pokoju Michaela. - Wspominałaś coś na temat odcisnięcia własnego piętna. Tutaj wszystko jest moim dziełem. Plus pomoc jednego małego faceta. Nie spędza tu zbyt wiele czasu - to wciąż jest pokój hotelowy. Ale zrobiliśmy, co w naszej mocy.

McCall weszła do środka, trzymając koc na ramionach. Łóżeczko było nakryte barwną kołdrą i dobraną kolorystycznie pościelą ozdobioną rysunkami delfinów. Stojąca przy łóżku lampa miała podstawkę w kształcie ryczącego gigantozaura. W kącie rozciągał się puf przypominający ogromnego, wypchanego słonia. Na ścianach fruwały piękne smoki, ziejące ogniem ze swoich plakatów, a obok przytwierdzone taśmą klejącą ich odpowiedniki narysowa-

ne kredkami. Wszystko na wysokości oczu małego dziecka.

McCall obeszła łóżko z uśmiechem na twarzy. Zobaczyła biurko z komputerem. Regały, na których imię MICHAEL przyklejone było kolorowymi literkami. Stojący wieszak obłożony czapeczkami baseballowymi, opartą o drzwi hulajnogę. McCall przykucnęła przed akwariem.

- Kto tu mieszka?

- Salamandra i ropuch drzewny. Czyli - Slimer i pan Bellows. McCall rozejrzała się dokoła, po czym rozsiadła się na podłodze obok regałów.

- Wszędzie taki porządek. Pewnie już tu dawno nie spał.

- Michael i ja jesteśmy parą flejtuchów, ale szefowa sprzątaczek dobrze się o nas troszczy. Michael nocuje u mnie prawie w każdy weekend - powiedział Jake, sadowiac się obok McCall. Nie zapalił światła, ale blask padający z akwariem i ekranu komputerowego był aż nadto wystarczający. - Szkoda, że nie możesz go jutro poznać. Normalnie przywiózłbym go rano. Moglibyśmy iść gdzieś na śniadanie. Niestety, w ten weekend Hope zabiera go na jedną z konwencji Dickeya. Do Hilton Head. Doszła do wniosku, że Michaelowi tam się spodoba. Wróci dopiero za tydzień.

- Musisz bardzo za nim tęsknić.

- Tak. I to stale. Ale na wybrzeżu jest ładnie. Nie będzie się nudził.

McCall wtuliła się w zgięcie ramienia Jake'a i okryła ich pledem.

- Barb i Stan mają bliźnięta, dziewczynkę i chłopca. Czterolatki, tak jak Michael - powiedziała ze śmiechem. - Tylko że ich pokój przypomina sklep z zabawkami po trzęsieniu ziemi.

W pamięci McCall odżyło wspomnienie jej własnej sypialni, w której mieszkała jako dziecko. Nie miała wielu zabawek, najwyżej pluszowego niedźwiadka i kilka lalek Madame Alexander. Matka cały pokój wytapetowała i przystroiła meblami z epoki królowej Anny, ale to dzięki ojcu dziewczynka miała uczucie, że jest u siebie. Sprzęt chemiczny z całkiem nowoczesnym mikroskopem. Liczydło. Przezroczysty, plastikowy model ludzkiego ciała, ukazujący wszystkie organy i kości, całkowicie poprawny z anatomicznego punktu widzenia. Niezliczone mnóstwo książek.

McCall przyglądała się płynącemu na ekranie komputera rekinowi, wygaszaczowi ekranu, scenerii podwodnej, która ukazywała kolorowe ryby i dno oceaniczne. Obrazom towarzyszyło ciche bulgotanie. McCall zasępiła się na myśl, że każdy prezent, jaki do-

stała kiedykolwiek od swego ojca, spełniał jakiś dydaktyczny cel,

- Chyba nie zamierzasz tak usnąć, co? - zapytał Jake, pieszcząc pod kocem pierś McCall.

- Nie. Nie chce mi się spać - odparła, a potem sięgnęła i splótła ich palce ze sobą. - Nazywasz go Michaeliem, nigdy Mike'em ani Mickeyem? Ty, człowiek ze zdolnością do nadawania zdrobnień?

Poczuła, że Jake wzruszył pod kocem ramionami.

- Dostał imię po moim ojcu. A nikt nie nazywał mojego ojca inaczej niż właśnie Michael. Chyba się po prostu przyzwyczaiłem.

- Mac - powiedziała, krzywiąc się. - Nadal mi się nie podoba,

- Przyznaj się. Coraz bardziej wchodzi ci w krew.

- Do niczego się nie przyznaję.

Raczej wyczuła, niż usłyszała cichy śmiech Jake'a. Westchnęła; ła, rozglądając się dookoła, błędząc wzrokiem po wszystkich zakamarkach pokoju. Przyszła jej na myśl sypialnia bliźniąt. Barb pozwoliła dzieciom udekorować swój pokój samodzielnie; całą ścianę pokrywały kolorowe odciski dłoni. Ta zaś sypialnia dokładnie zgadzała się z opisem Jake'a, sprawiała miłe wrażenie, ale wciąż był to pokój hotelowy.

Wstała i podeszła do biurka z komputerem, próbując dowiedzieć się czegoś więcej o Michaelu. Na wiszącej półce Jake ustawił dyski z programami komputerowymi syna.

101 mędrców; Nauka szybkiego czytania dla dzieci - wymieniała po cichu. **Od bieguna do bieguna. Przy**

następnym zrobiła skrzywioną minę. **Mały matematyk** Całkiem wymyślne jak na czterolatka.

Odwróciła głowę i znowu się skrzywiła. Półki za Jake'em były zapelnione książkami. **Na własne oczy**, dziecięca encyklopedia obrazkowa, **Moje pierwsze tysiąc słów po francusku**, podręcznik dla dzieci wydany przez Berlitz'a. Był nawet samouczek z nalepkami do matematyki i wielkie pudło kanoników z różnymi wyrazami i liczbami, które - jak obiecywała etykieta pod gwarancją zwrotu gotówki - wzbogaci słownik twojego dziecka. Na niższej półce: Magnetyczny atlas Stanów Zjednoczonych, Planetarium domowe, **Szkoła na skrzypce metodą Suzuki, tom II.**

Nie było widać ani jednego zwierzątka z menażerii disneyowskiej ani bohatera kina akcji, wyłącznie różne zestawy małego konstruktora i skrzynia z przyborami artystycznymi. McCall kucnęła obok Jake'a, przesuwając książki na regale.

Wybrała jedną i przeczytała na głos tytuł: - **Będę astronautą,**

- To on już czyta? - spytała, domyślając się w jakiś sposób, że tak.

- Michael umiał wystukać swoje imię na komputerze, kiedy miał dwa latka. Hope uważa, że zdążył przeczytać dotychczas ponad sto książek - odparł, a w jego głosie przebijała duma.

- Czyta również po francusku, prawda? - zdziwiła się, wodząc palcem po książce Berlitz.

- Nie, Hope chce go tylko zachęcić. Dzieci podobno świetnie uczą się języków. Michael przyniósł tę książkę do mnie, żeby się pochwalić. Musiał ją tu niechcący zostawić.

Dolną półkę zajmowało stado dinozaurów, ale były one zupełnie inne niż te, które leżały w pudle z zabawkami bliźniąt. Tamte plastikowe zabawki lśniły jaskrawymi barwami, miały komplety ostrych zębów oraz kolców i groźny wygląd. Te zwierzęta były jak żywe, zbyt realistyczne.

McCall wzięła do ręki diplotodoka i przeczytała napis na podstawie:

- **British Museum of Natural History** - to wcale nie jest zabawka.

- Oczywiście, że zabawka. Słuchaj, o co ci chodzi?

Na stojaku obok regału McCall zobaczyła bandžo. Odłożyła dinozaura i wzięła do ręki podręcznik do gry na skrzypcach metodą Suzuki.

- On ma dopiero cztery lata i już gra na dwóch różnych instrumentach?

- Nie, nie gra na dwóch instrumentach - odparł Jake, odkładając książkę z powrotem na półkę. - Kupiłem mu to bandžo, żeby miał się czym bawić... Posłuchaj, ja go do niczego nie zmuszam.

Jake przypomniał sobie wydarzenie sprzed kilku dni. Michael poskarżył mu się, że nie chce więcej grać na skrzypcach, a on go przekonywał, że powinien dalej ćwiczyć.

Poczuł się wtedy bezradny, ale musiał to zaakceptować. Nie był ojcem w pełnym tego słowa znaczeniu. Miał Michaela tylko w weekendy. Hope zawsze o wszystkim decydowała. Zresztą najczęściej lepiej było ustąpić przed jej żądaniami, niż się kłócić.

Cała sytuacja tak go rozgniewała, że wypowiedział pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy:

- Michael jest po prostu mądrym dzieckiem. Sam chce się zajmować takimi sprawami. Przed ukończeniem piątego roku życia umysł dziecka znajduje się u szczytu swoich możliwości. Jeśli nie będzie się go ćwiczyło, władze umysłowe zaczną zanikać.

Zamilkł i siedział w kompletnym bezruchu. Nie mieściło mu

się w głowie, że powiedział coś takiego. Stek bzdur, którymi stale karmiła go Hope.

Dłuższą chwilę żadne się nie odzywało, po prostu słowa Ja-ke'a ciągle brzmiały w powietrzu między nimi. Żałował, że w ogóle je wypowiedział.

- Kiedy miałam sześć lat, ojciec zaczął mnie uczyć greckiego alfabetu - odezwała się McCall. - Chciał, żebym opanowała symbole rachunku różniczkowego i całkowego. Zanim skończyłam siedem lat, znalazłam na pamięć cały układ okresowy. Na ścianie w moim pokoju powiesił tablicę Mendelejewa. Kazał mi poświęcać na nią trochę czasu codziennie przed zaśnięciem, żebym mogła zapamiętać nazwę każdego pierwiastka i jego ciężar atomowy. Liczyłam je niczym barany. Wodór - H, jeden. Hel - He, dwa. Lit - Li, trzy... -urwała, żeby poczekać, aż jej słowa odniosą właściwy skutek. - Najwyraźniej ojciec ćwiczył mój mózg.

- Wielkie dzięki za tę opinię - odparł Jake głosem brzmiącym zdumiewająco defensywnie. Sam też zresztą czuł się zepchnięty do obrony.

Tak naprawdę rozumiał McCall - właściwie już dawno zaczęło go niepokoić, że Hope wypełnia życie Michaela zbyt dużą ilością zajęć i drobiazgowych reguł. Pomyślał o różnych zabawkach, które chciał mu kupić; Hope sprzeciwiła się każdej. Żadnych miotaczy promieni, żadnych uzbrojonych po zęby komandosów, żadnych ciężarówek. Jedynie bezpłciowe rupiecie. Co znaczyło, że tor wyścigowy i pudełko służące do jego przenoszenia musiał trzymać pod łóżkiem - nasza mała tajemnica, powiedział Micha-elowi - nie wiedząc, co w końcu zyska aprobatę Hope. Ponadto żadnych książeczek do kolorowania, ponieważ tłumią kreatywność ćdziecka, kazać mu malować od kreski do kreski.

Na ogół Jake rozumiał stanowisko Hope. Wydawało się całkiem racjonalne. Każdy wie, że telewizja jest okropna. Dlaczego nie dać dziecku kartki czystego papieru i pudełka kredek? Ale gdy odmówiła mu książek doktor Suess, bo niektóre słowa były zmyślane - gdy zabroniła Jake'owi wziąć Michaela do kina na **Króla Lwa**, mówiąc, że to film rasistowski, ponieważ hieny czują nienawiść do lwów - nawet wówczas jej ustąpił.

Jake usiadł ciężko na łóżku.

- Posłuchaj, staram się być jak najlepszym ojcem. - Weekendowym tatą, oto kim był Jake Donovan. A tak strasznie kochał swego synka. Niemożność uczestniczenia w jego codziennym ży-

ciu sprawiała Jake'owi wielki ból. Potrząsnął głową i spojrzał do góry na McCall. - Nie można zmienić faktu, że jego rodzice się rozwiedli. Ale na miłość boską, Michael nie wkuwa nocami układu okresowego pierwiastków!

Po chwili McCall usadowiła się obok Jake'a.

- Przepraszam - powiedziała, opierając głowę na jego piersi. -Po próś* & świetnie to wszystko pamiętam. Jako wybitnie zdolnej... nie pozwolono mi być dzieckiem - dodała, wzdychając przeciągle. - Jak twój **Wstęp do psychologii** rozstrzygnąłby tę kwestię?

Jake uśmiechnął się, muskając palcami jej wargi, czując ich mięsistość, ich wykrój.

- Że przeniosłaś własne konflikty wewnętrzne na innych.

- Wybacz - odparła, całując jego dłoń. Usiadła mu na kolanach i całując, odrzuciła koc na podłogę. - Kochasz go tak bardzo, że nie mogę wyobrazić cię sobie inaczej niż jako wspaniałego ojca,

- W porządku - odparł; uczucie przykrości gdzieś zniknęło. Zadawał sobie pytanie, jak by to było, gdyby Mac miała wpływ na decyzje dotyczące Michaela. Gdyby ktoś jeszcze zakwestionował dobroczynną tyranie Hope. Kto kochałby Michaela tak mocno jak on.

Rozciągnęli się w poprzek małego łóżka, tuląc się do siebie i uwodząc łapczywymi pocałunkami. Jake odczuwał na nowo tę samą więź między nimi, wierzył, że mogą ją zacieśnić jeszcze bardziej. Zapomniał, że musi zachować ostrożność, zapomniał o śledztwie i faktach, których dowiedział się od Gusa.

Pragnął Mac, pragnął jej całej do tego stopnia, że czynił ją składnikiem swego życia. I jeśli nawet narażał się na ból, poko-chując kobietę, która może być zamieszana w ciemne sprawy Clarke'a, nie miał wyboru. Ostatniej nocy przekroczył niewidzialną linię. Nie było już odwrotu. Ani dla niej, ani dla niego.

- Nie odbierzesz? - spytała Mac, nie przestając go całować. Wówczas to usłyszał. **Dzyń, dzyń, dzyń. Dzyń, dzyń, dzyń.** Telefon w salonie.

Jake pocałował ją jeszcze mocniej.

- Tylko z pracy dzwonią tak późno. Niech poproszą Dina, żeby wybawił ich z opresji. Wiadomość nagra się na sekretarce. Automatyczna sekretarka kliknęła po szóstym dzwonku. Nastąpiła chwila cisza, żeby taśma miała czas się przewinać, a potem rozległ się głos Susan:

- Jake? Tu Susan. Nie mogę przez ciebie zasnąć, więc postanowiłam sprawdzić, czy jesteś jeszcze na nogach. Może noc

na-

184

dal służy ci do spania, ostatnio masz jakiś wariacki grafik - powiedziała i westchnęła do mikrofonu. - Martwię się o ciebie. Zastanawiałam się nad tą kobietą, tą z akt FBI, które ci dałam. Jake zamarł.

- Dino mi powiedział, że widziałeś się ze swoim dawnym szefem w biurze prokuratora okręgowego...

Jake wyplątał się z łóżka. W życiu nie poruszał się tak prędko.

- ...panem Gusem z Sekcji Kryminalnej. Zdaje mi się, że pomogłam mu przy jakimś śledztwie jako detektyw na zlecenie. Można by go pociągnąć za język w sprawie tej... - Susan zwiększyła tempo i zaczęła miotać słowa z szybkością karabinu maszynowego, jakby widziała, że Jake podchodzi coraz bliżej. - Pamiętasz o Kłątwie Donovana? Nie oplaca się ratować panienek w niedoli...

Jake zerwał ze ściany aparat, telefon i automatyczną sekretarkę, a potem cisnął wszystko na granitowy barek.

- Cholera - warknął i obrócił się na pięcie.

Mac stała tuż za nim, okrywając się szczelnie pledem.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział.

- Ten prywatny detektyw to twoja była żona. Nie jakiś kumpel Dina.

- Susan sama dała mi te akta. Ja jej nie prosiłem...

- O co jej chodziło z tą Sekcją Kryminalną? Rozpracowujesz mnie?

- Nie. Nic podobnego - obruszył się Jake, mimo że tak się właśnie sprawa przedstawiała. - Posłuchaj, byłem kiedyś zastępcą prokuratora okręgowego. Kiedy Susan dała mi tę teczkę, pomyślałem zwyczajnie, że nie zaszkodzi skonsultować się z moim dawnym szefem. Uwierz mi, zadałem mu raptem kilka pytań - wyjaśnił.

Widział jednak, że zła sytuacja tylko się jeszcze pogorszyła. Nie było dobrego sposobu wyjaśnienia tego.

- Cholera - mruknął, przyglądając palcami włosy. Następnie potrząsnął głową i wyciągnął błagalnie rękę do Mac. -

Przecież nie mogłem zignorować akt FBI.

- Nie. Ależ skąd. Jaki oskarżyciel mógłby je zignorować? - McCall pokręciła głową. - Sama powiedziałam, że mówisz jak oskarżyciel.

Porwała torebkę z granitowego barku, gdzie ją zostawiła poprzedniego wieczoru, i ruszyła w kierunku drzwi. Złapał ją za łokieć i obrócił twarzą ku sobie.

- Dochodzi pierwsza w nocy. Nigdzie nie pójdziesz. Uderzyła go w twarz. Wymierzyła mu siarczysty policzek

Jake czuł dotkliwe pieczenie, ale to było nic w porównaniu z bólem, jaki dostrzegł w oczach Mac. Ponieważ kochali się i nagle znaleźli się w przeciwnych obozach. - Przyłóż mi jeszcze raz, jeśli ci to pomoże.

Przyłożyła. Dwa razy.

Ale potem przycisnęła dłoń do swojej twarzy. Stała tak przez trwającą wieczność chwilę, zasłaniając sobie usta i oczy. W tym momencie Jake wiedział już, że wszystko skończone. Uświadomił sobie, że mylił się co do McCall Sayer. Ona naprawdę miała coś strasznego do ukrycia. Dlatego tak wielkie znaczenie miał fakt, że Jake był kiedyś prokuratorem. Że miał znajomości w Sekcji Kryminalnej.

- Nigdy wcześniej nikogo nie uderzyłam - szepnęła, nadal przyciskając dłoń do twarzy. - Nie powinnam była tego robić. Przemknęła obok Jake'a i zanim zdążył ją zatrzymać, była już za drzwiami. Wybiegł za nią na korytarz.

- Na miłość boską, Mac! - Ale ona go nie słuchała, wsiadła do windy i zjechała na dół.

Z sąsiedniego numeru wyjrzał jakiś mężczyzna. Jake uzmysłowił sobie, że stoi na korytarzu nagusieńki. Zaklął pod nosem i wrócił do swego apartamentu, zatrzaskując drzwi. Odwrócił się i z całą siłą grzmotnął ręką o ścianę. Poczul w łokciu mrowienie, ból, który rozdzierał mu ramię i przenikał aż do pleców.

- Niech to diabli. Niech to wszyscy diabli.

McCall wcisnęła" się na tylne siedzenie taksówki. Pantofle i ubranie zostawiła w apartamencie Jake'a, starała się więc dokładnie owinać afgańskim pledem. Ale to był Nowy Orlean. Kierowca na pewno widział gorsze rzeczy podczas festiwalu Mardi Gras.

Przekonasz się o tym, kiedy będziecie się kochali - rozległ się w głowie McCall głos Barb.

- Nie wolno mi go kochać - powiedziała do siebie, jakby dziwnym trafem mogło się to jeszcze sprawdzić.

Myślała o dziewczynie ze zdjęć, które jej pokazał, o młodej kobiecie, jaką była cztery lata temu. Chciała na powrót stać się nią, dziewczyną, która nie cierpiała tak głębokiego bólu, nie czuła tak panicznego strachu. Żalowała, że nie może założyć jednego ze swoich przebrań, peruki, sukienki, i przeistoczyć się w kogoś innego.

Podciągnęła kolana do brody, cała się trzęsła. Uspokajała się,

że nic jeszcze się nie stało. Jake po prostu zadał kilka pytań swojemu dawnemu szefowi.

Ale doskonale wiedziała. Czula to w kościach, wszystkimi komórkami serca i mózgu. O Boże. W głębi duszy Jake wciąż był prokuratorem, człowiekiem wścibskim, który lubił węszyć i zadawać pytania. Już zdążył nawiązać kontakt z władzami. Rozpracowywał ją... kobietę, która miała mnóstwo do ukrycia.

Popelniła straszliwy błąd. Zapomniała wykonać odpowiednie jednostki kontrolne. Pozwoliła sobie uwierzyć, że łączy ich wyłącznie żar namiętności oraz światło księżyca.

Popelniając nieostrożność, działała na korzyść Curtisa Clarke'a. Jeśli w jego laboratoriach dzieje się coś nielegalnego i jeśli Jake zaalarmował władze, Curtis z pewnością już ma pod ręką kozła ofiarnego. Raczej nie McCall, która pracuje tam od niedawna. Zapewne Belin-dę. Ale najprawdopodobniej stanie się nim ich ojciec, szef Działu Badawczo-Rozwojowego.

Ogarnął ją gwałtowny strach. Wiedziała. Tym razem nie ona zostanie ofiarą. Będzie nią ojciec albo Belinda.

Taksówka zatrzymała się przed domem Barb i McCall wysiadła. Znowu padał deszcz, ronila więc łzy, które mieszały się na jej twarzy z kroplami lejącymi z nieba. **Trzeba było postępować ostrożnie; trzeba było wykonać odpowiednie jednostki kontrolne.**

- McCall? - Niesamowite, Barb w swojej długiej, bawełnianej nocnej koszuli i szalu z frędzlami narzuconym na ramiona czekała na nią. Szła na jej spotkanie po chodniku.

Spotkały się w połowie drogi. Barb otoczyła McCall ramieniem i powiodła przez gąszcz ogrodu do schodów.

- On tu dzwonił - powiedziała. - Mówił, że będziesz roztrzęsiona.

McCall pokiwała głową, próbując wyjaśnić, nie mogła jednak wydobyć głosu, Emocje dusiły ją, nie przepuszczając ani jednego słowa. Poza tym nie orientowała się, co mogłaby przyjaciółce powiedzieć. Musiała to wszystko zachować dla siebie. **Wykonać odpowiednie jednostki kontrolne. Nie narazić na niebezpieczeństwo nikogo więcej.**

- Och, McCall.

Weszły pod daszek, a deszcz wciąż padał, tarmosząc gałęziami paproci i winorośli. Barb przemawiała do McCall gorączkowym szeptem, dodając jej otuchy, że ból ustąpi, że przyjdzie ukojenie. Ale McCall nie wierzyła, że to w ogóle jeszcze możliwe. Koszmary sprzed czterech lat mogły znowu powrócić, to jedno było realne.

Barb otworzyła drzwi i wprowadziła ją do środka. McCall przypomniała sobie słowa przyjaciółki, że odnalazła już swoją

drugą połowę. Miała wrażenie, że jej tej połówki będzie odąd brakowało po wsze czasy. W głębi ulicy zapalily się światła samochodu, który czekał kiedyś pół nocy przed hotelem River Palace - tego samego, który przyjechał tutaj za McCall. Szara honda accord zawróciła na lewy pas i zniknęła za łukiem skąpanej w deszczu ulicy.

14

Jake zbudził się, słysząc stuk klucza obracającego się w drzwiach. Nie zdążył jeszcze rozpędzić z mózgu sennego zamglenia, kiedy na jego brzuchu i piersiach wylądował dwudziestokilogramowy malec.

- Tatus, tatus! - wrzasnął Michael. Ramiona chłopca ramiona zamknęły się wokół szyi leżącego. Jake spojrzal na zegarek stojący przy wezglowiu łóżka. Minęła dopiero siódma. Spał niecałe dwie godziny.

- Siemasz, wspólniku - powiedział, przytulając syna. - Co ty tu robisz? - Spojrzal ponad głową Michaela i zobaczył stojącą w drzwiach sypialni Hope. Przez ramię miała przerzuconą torbę z ubraniami malego.

- Wydzwaniam do ciebie od trzech godzin - poskarżyła się. - Coś się stało z twoim telefonem.

- Naprawdę? - Musiał uszkodzić linię, wrywając aparat ze ściany. - Ja mogę dzwonić bez żadnych przeszkód. - To akurat zdążył już sprawdzić; po wyjściu Mac skorzystał z klawisza „re-dial”, by ponownie zadzwonić do jej przyjaciółki. Był to ostatni numer, pod jaki telefonowała. Chciał się upewnić, że nic się jej nie stanie. Że ktoś wyjdzie, aby ją odszukać. -

Dlaczego nie skorzystałaś z mojego pagera?

Hope postawiła torbę Michaela na łóżku i sięgnęła na nocny stolik po aparat. Obejrzała go, a potem wręczyła Jake'owi.

- Zapomniałeś włączyć pager, Einsteinie.

Jake natychmiast usiadł prosto. Przez chwilę pomyślał, że Mac mogła chcieć się z nim skontaktować, zaraz jednak przypomniał sobie powody jej nagłego odejścia. Gdyby nawet znała numer, na pewno nie chciałaby z nim rozmawiać.

- Co słyhać w Hilton Head? - spytał.

- Będziemy mieli małą siostrzyczkę. - Michael wyplątał się na ramiona ojca i wstał, a potem zaczął skakać na materacu jak na trampolinie. - Mamusia i Dickey mają ją nam kupić. Niech się nazywa Demona - zawołał, wymieniając jedną z bohaterek di-sneyowskiego serialu rysunkowego, który oglądał czasami na wideo u Jake'a. - Demona! Demona! Demona! Hope przeszła Jake'a wzrokiem.

- Znowu pozwalales mu oglądać telewizję? Jake, przecież jest dowiedzione, że stopień przemocy...

Jake podniósł do góry rękę uciszającym gestem.

- Zachowaj to na stosowniejszą porę.

Chwycił syna pod łokieć i owinał go prześcieradłem w pasie. Przypomnił sobie opinię Mac na temat Michaela, to że pozwolił Hope i jej poprawnym zapatrywaniom na wychowanie dzieci decydować w zbyt wielu sprawach. Zawsze uważał Hope za matkę, która zna się na tym dużo lepiej. A teraz zadawał sobie pytanie, czy on sam może nie ma więcej do zaproponowania?

Postawił Michaela na podłodze i przykucnął, żeby z nim porozmawiać.

- Chcesz pójść do swojego pokoju i rozstawić tor wyścigowy? Dokupiłem ze trzy kilometry nowych odcinków. Jestem pewny, że uda ci się przejechać po nim całą drogę wokół obu kanap.

Oczy Michaela rozszerzyły się do wielkości piłeczek pingpongowych. Najpierw wytrzeszczył wzrok na ojca, przekonany, że ten niechący się zdradził, a później popatrzył nerwowo na matkę.

- Tor wyścigowy? - W ustach Hope słowa te zabrzmiały tak, jakby wypowiedziała je w obcym języku.

- I owszem. Tor wyścigowy. No wiesz, małe samochodziki jadące w kółko jeden obok drugiego - odparł Jake. Wstał z klęczek i odwrócił się w stronę Hope. - Masz jakiś problem w związku z tym?

Widział po jej minie, że Hope zastanawia się nad odpowiedzią, roztrząsa ten pomysł w swojej głowie. **No, śmiało, moja pani. Miej problem. Spróbuj tylko...**

- Nie - odparła, uśmiechając się w dodatku. - Idź, kochanie - powiedziała do Michaela. - Za chwilę przyjdę dać ci buziaka na dowidzenia.

Michael wydał okrzyk radości i śmignął do swego pokoju. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, Jake trzasnął drzwiami.

- Go się u diabła dzieje, Hope? - Zaledwie sześć godzin temu

tuliła się do niego ciepła i naga Mac. Piękna byłaby niespodzianka, gdyby nie wyszła. Zostaw klucz Hope, to zjawi się bez zapowiedzi i nawet nie pofatyguje się, żeby zapukać.

- Adoptujemy - powiedziała. - Zadzwonili do nas w środku nocy. Chodzi o jakąś młodą dziewczynę z Teksasu.

Najwyraźniej wolała starszą parę. Ludzi ustabilizowanych, o wielkim sercu, którzy jej dziecko otoczą serdeczną troską.

Ultrasonograf wykazał, że to ma być dziewczynka - powiedziała z drżącym uśmiechem. - Wybrała właśnie nas, bo chce, żeby jej córka miała starszego brata. - Hope potrząsnęła głową. - To jakieś szaleństwo. Dopiero kilka tygodni temu rozmawialiśmy z adwokatem.

Adopcja zaskoczyła Jake'a; wydawało mu się, że Hope jest zdecydowaną przeciwniczką, a dzisiaj w jej głosie była jakaś miękkość, zupełnie jak wtedy, gdy miała urodzić Michaela.

- Zaraz muszę wyjść, nie chcę się spóźnić na samolot - powiedziała. - Może nas nie być przez cały tydzień.

- Tydzień? - Jake przypomniał sobie, ile spraw uruchomił. - Hope, to nie jest dobry moment...

- Wiem, wiem - odrzekła, kierując się już do wyjścia; decyzja była nieodwołalna. - Ale wszyscy musimy wziąć się ostro do roboty, żeby nasza akcja się powiodła. Dla dobra Michaela. Przecież to rozumiesz, prawda?

Jake rozumiał jedynie, że Hope nie dawała mu wyboru. Ale być może miała rację; przez wzgląd na Michaela. Być może nowy dzi-dzius trochę ją zmiękczy, oderwie jej spojrzenie od Michaela.

- No, dobrze - westchnął i poszedł za Hope do salonu, drapiąc się po głowie i już organizując w myślach pobyt chłopca.

- Przepraszam, że podrzucam ci go w taki sposób, ale naprawdę muszę już iść.

- Nie ma sprawy. - Mógłby zadzwonić po Mindy, stałą opiekunkę. Czasami też Stacie pomagała mu w krytycznej chwili; Michael ją uwielbiał. - Będziemy z Michaelem odrabiali zaległości.

Hope zatrzymała się raptownie.

- Przecież nie przemęczasz się zbytnio, odkąd odszedłeś z biura prokuratora. Co to za praca w tym kasynie? - odcięła się.

- Dobra, dobra - mruknął, popychając Hope w stronę drzwi. Ale Hope nie pojęła aluzji. Odwróciła się do Jake'a z uśmiechem,

z autentycznym uśmiechem, jakiego nie widział na jej twarzy od lat

- Nareszcie. Znowu będę matką. Ona lada moment się rozsypie. To może się stać w każdej chwili, chociaż tamci mówią, że

190

dopiero jutro wieczorem. Nawet nie zdążyłam z Michaeliem o tym porozmawiać.

- Ja to zrobię. Tylko zadzwoń i powiedz, jak to wygląda, zgoda?

- Jasne. - Hope spoglądała przez chwilę na Jake. - Wiesz, chyba ci jeszcze tego nie mówiłam... kochany Michael. Taka ci jestem wdzięczna, że mi go dałeś...

Zanim Jake się zorientował, co Hope miała na myśli, pocałowała go gorąco w usta. Było to przypomnienie innych czasów, kiedy nie rywalizowali, kiedy wspólnie koncentrowali swoje życie na Michaelu.

- Dziękuję - rzekła, usuwając się do tyłu. - I wybacz mi, proszę. Za Dickeya. Za koszmar walki o prawo do opieki. Za wszystko.

- Jezu, Hope - odparł. - Przestań się nade mną rozczulać. On jest także moim synem. Cieszę się, że go mamy.

- Dickey niecierpliwi się na dole. Życzysz mi szczęścia?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, Hope zaraziła go swą radością.

- Wracajcie z dzieckiem.

Hope pożegnała się z Michaeliem, który ustawiał samochody do startu w swoim pokoju. Jake musiał oddać jej sprawiedliwość, nie robiła zamieszania w sprawie toru wyścigowego, choć na pewno nie było to po jej myśli.

Jake prawie wyprowadził Hope za drzwi, kiedy ta nagle się odwróciła i powiedziała:

- Aha, Jake. Chyba nie muszę o tym mówić, ale nie zabieraj Michaela do tego koszmarnego kasyna, w którym pracujesz. Ma zły wpływ na dziecko. I koniec z telewizją. Ona naprawdę uczy izolacji od świata. Nie chcę, żeby w dorosłym życiu Michael miał kłopoty z nawiązywaniem kontaktów społecznych.

- Nawet nie przyszłoby mi to do głowy - odparł. A kiedy zamknął drzwi za Hope, mówił dalej do siebie: - Bo rozumiesz, Hope, ja będę przez cały czas na miejscu, będę oglądał wideo razem z nim, trzymając kciuki za bohaterów pozytywnych. W istocie będzie to jeden wielki kontakt z drugim człowiekiem. Żadnej izolacji. Żadnych kłopotów społecznych. - Oparł się plecami o drzwi i westchnął: - Jezu. Co za dzień.

Zajrzał do Michaela i skierował się do łazienki. Podreptał bospo po łazienkowych kafelkach i odkręcił kran. Opryskiwał twarz wodą i myślał o czekającym go spotkaniu, zadając sobie pytanie, czy może się od niego wymigać - w zasadzie nie miał wyboru.

Garrett Renault uważał, że posiada Jake'a na własność. Chyba już czas wypróbować wdzięczność Garretta. Jake oparł dłonie na krawędzi umywalki i przyglądał się wodzie spływającej do rury ściekowej. Wpatrywał się w lejkowaty wir dookoła pozłacanego korka i rozpamiętywał wczorajszą rozmowę z Gusem, jego dawnym szefem w Sekcji Kryminalnej.

- To śmierzcząca sprawa, Jake - oznajmił w czasie lunchu Gus. Jake próbował go przekonać, że mógłby pomóc w śledztwie. - Interpol wydała dyspozycje poprzez attache prawnego w Londynie. Centrala FBI skontaktowała się z miejscowymi chłopakami. Słyszałeś o tych zamrożonych embrionach w Anglii? Tych, co mają być zniszczone, a ludzie z ProLife'u robią wokół nich okropny szum? Witamy w dwudziestym pierwszym wieku. Ktoś próbuje ukraść ponad setkę embrionów.

Jake cały czas obserwował wodę. Zadzwoił do Gusa, żeby porozmawiać o Ciarce Cosmetics. Nie wspomniał mu o Mac, o teźce FBI także nie. Bogu dzięki, że nie wspomniał o teźce.

- A wiesz, dokąd ich to zaprowadziło? Tutaj, do Nowego Orleanu, do narzeczonej Rogera Clarke'a. Panienska pracuje w klinice płodności. Ale nasz przypadek w niczym nie przypomina oskarżeń przeciwko tamtym lekarzom w Kalifornii. Nikt nie sądzi, że embriony zostaną przekazane bezpłodnym małżeństwom. Wygląda na to, że dziewczyna próbuje sprzedać je swojemu narzeczonemu do badań.

Jake przypomniał sobie, że słuchając Gusa, czuł przebiegający mu po plecach zimny dreszcz przerażenia. Ponieważ przeczytał akta FBI.

Kradzione embriony. Wyglądało na to, że Ciarce Labs gwałtem potrzebowały genetyka. I to cholernie dobrego.

- Więc skąd ta kradzież? - spytał Gus. - Czy trudno zdobyć je legalnie?

- Jeżeli jest się szacowną instytucją naukową i ma się powiązania ze szpitalem posiadającym radę nadzorczą, wtedy są osiągalne - powiedział z uśmiechem Gus - ale nie, jeśli tylko mało znaczącą firmą kosmetyczną. Nasuwa się pytanie, po kiego diabła im te zamrożone embriony? Szampony i woda kolońska mi tu nie pasują. A oni chcą położyć łapę na ponad setce embrionów.

Gus wyjaśnił dalej, że FBI współpracuje z miejscowymi władzami. Prokuratura została oficjalnie poproszona o pomoc, gdyż wszyscy w Biurze okręgowym wiedzieli, że Gus od lat próbuje dobrać

się Clarkeowi do dupy; agenci Gusa już nad tym pracują. Ale nikt nie chciał działać pochopnie. Mieli przeczucie, że szykuje się grubsza sprawa. Chcieli się przekonać, co z tego wyniknie - w tym momencie Jake przekonał Gusa, że mógłby im się przydać jako prywatny obywatel, który działa na własną rękę. Clarkeowie go nie rozpoznają, ponieważ nigdy nie pracował w sekcji, która ich ściga.

- Musisz mi pozwolić wejść do tej sprawy, Gus. - Podczas lunchu porządkował myśli, kipiąc energią jak za dawnych lat. W pewnym momencie przypomniał sobie Garretta i broszurę, którą u niego widział. - Wiem, że mogę się przydać.

Jake spoglądał na swoje odbicie w lustrze, na przekrwione oczy i wyraźny zarost. Sięgnął po maszynkę do golenia.

Umówił się z Garrettem na dzisiaj, na drugą. W gabinecie Jakea na pokładzie statku-kasyna. Miał do jego właściciela nieliczną prośbę.

Kiedy pochylił się do przodu, gotowy do golenia, obraz w lustrze zmienił się. Albo wskutek przemęczenia, albo dlatego, że nie potrafił usunąć jej z pamięci - zobaczył przed sobą Mac, jej łagodne oczy zmieniające kolor w zależności od nastroju lub oświetlenia i usta w kształcie łuku amora. Przypomniał sobie jej minę, kiedy wysłuchała wiadomości z automatycznej sekretarki. Mina kobiety zdradzonej. Przerażonej.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić wizję. Na razie miał inne sprawy na głowie.

Dokończył golenie, sięgnął po ręcznik, wytarł twarz, a potem założył dżinsy i przeszedł do salonu. Musiał sprawdzić, co porabia Michael. Chłopiec ustawiał tor wyścigowy na dywanie. Był już w połowie drogi dookoła kanapy.

Jake wziął do ręki odcinek toru i przykucnął obok syna.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś jej o torze wyścigowym - powiedział Michael, uśmiechając się do ojca. Jake domyślił się, że syn lubi czasami trochę mamie dokuczyć.

- Tak? Myślałem, że wykorzystaliśmy jej chwilę słabości. Ponadto... - powiedział Jake, dokładając kolejny odcinek - w tym tygodniu kupię ci kuchenkę dla lalek. Dla pewnej równowagi.

Michael rozdziawił usta, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- To zabawka dla dziewczyn!

Jake uśmiechnął się. To tyle, jeśli chodzi o pedagogiczną poprawność metod wychowawczych Hope.

- Tu cię mam.

- Tato!

193

- Coś ci powiem- Źle zrobiłem, każąc ci zachować w tajemnicy tor wyścigowy. Nie powinieneś mieć sekretów ani przede mną, ani przed mamą. Poza tym ja mam też coś do powiedzenia na temat twojego życia.

- Naprawdę? - spytał chłopiec ze zdziwioną miną.

Kurde - No jasne - odparł Jake, uderzając w zuchwały ton, aby zyskać na znaczeniu. - Czyż twoja mama i ja nie sprzecza-amy się bez przerwy?

- Sprzeczacie.

- No, zdarza się - mruknął, jak gdyby odpowiadając sobie na to pytanie. - Ale ja zawsze będę stał po twojej stronie, wspólniku - dodał, rozwijając wątek. - Mama też pragnie twojego szczęścia. Tylko ono się dla niej liczy. Weźmy skrzypce. Skoro chcesz je rzucić, ja się zgadzam. Porozmawiam z mamą, przedstawię jej nasz punkt widzenia. Potrafię być bardzo przekonujący.

Michael zastanawiał się nad słowami ojca. Sprawiał wrażenie chłopca mającego dużo więcej niż swoje prawie pięć lat.

- Może pociągnę jeszcze przez rok, tato - powiedział. - Zobaczymy, jak mi będzie szło.

Słowa chłopca ujęły Jake'a za serce. Jakby usłyszał samego siebie.

- W porządku. Ale dasz mi znać. Zgoda?

- Jasne!

- No - bąknął obojętnie Jake. - A co myślisz o nowym dzidziusiu?

Michael nie podniósł wzroku znad toru, właśnie montował kolejny odcinek z fragmentem ułożonym przez ojca.

- Dla mnie super. Będę najlepszym starszym bratem na świecie. Dlaczego nie masz dziecka, tato? Mama mówi, że nie musisz adoptować ani nic.

Fala niewiarygodnego ciepła wezbrała w duszy Jake'a. Oczami wyobraźni zobaczył Mac w ciąży z jego dzieckiem. A gdyby tak jeszcze raz założyć rodzinę? Ale tylko z Mac.

Błogie myśli starły w proch wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy go spoliczkowała, kiedy wybiegała na korytarz okryta jedynie pledem. Jej oczy wyrażały ból. Przestrach.

Jake wykrzywił usta. Chyba przyjdzie mu zmusić ją do rozmowy, nim założą tę rodzinę.

Potrząsał głową. Nie mógł w żaden sposób uwierzyć, że Mac była w zмовie z Clarke'em. Ale przecież widział ten lęk w jej oczach; miała coś strasznego do ukrycia. Dlatego Jake postano-

wił włączyć się w śledztwo. Musiał poznać sprawę od podszewki, zanim Gus i cała reszta przylepią Mac etykietę winowajczyni z powodu jej przeszłości.

W poniedziałek, czy Mac tego chce, czy nie, czeka ją prawdziwa niespodzianka.

Jake poczuł nagle ból. Zobaczył, że trzymany przez niego kawałek toru za chwilę przebije mu dłoń. Oddał element Michaelowi i zaczął obserwować, jak syn sobie radzi. Poglaskał go z miłością po jasnorudych loczkach. To wspaniałe dziecko. Jake wiedział, że ma szczęście, będąc ojcem takiego malca.

Może człowiek dostaje od świata tylko tyle. Tylko jedną szansę. I on swoją już wykorzystał z Hope.

Myśl ta przygnębiła go jak diabli. Ponieważ wbrew faktom, które obciążały Mac - a może właśnie dzięki nim - nie chciał pożegnać się z pięknym marzeniem o związku z tą kobietą.

Spojrzał na zegarek. Przypomnił sobie słowa Hope: **Nie zabieraj Michaela do tego wstrętnego kasyna.** Odwrócił się do dziecka. Michael patrzył na niego wyczekująco.

- No, wspólniku - powiedział z uśmiechem - chcesz zobaczyć, gdzie tata pracuje? Moje biuro znajduje się w naprawdę chłodnym miejscu, na samym dnie statku.

Roger podniósł plastikową próbkę o dziwnym kształcie stożka długości niecałych trzech centymetrów. Młody Ciarke był ubrany w wytarte zielone džinsy, a na rękach miał gumowe rękawiczki. Podobnie jak stojący obok Curtis miał też czepek na włosach i ochraniacze na butach. Kilka godzin wcześniej Roger poprosił ojca o przybycie. Była wprawdzie sobota, ale Curtis nie miał nic przeciwko temu. Zwłaszcza gdy syn poinformował go, w jakiej sprawie. Roger całe popołudnie pracował w Laboratorium 20.

- Piękne, co? - odezwał się Roger.

Maseczka na ustach tłumila trochę jego słowa. Curtis wiele by dał, aby móc zerwać materiał z twarzy. Miał uczucie, że wprost się dusi.

- BioMłodość - dodał Roger, wymieniając nazwę, którą rozważali dla tego nowego produktu. - Tato, chyba mu się udało.

- Miejmy nadzieję... przez wzgląd na nas wszystkich - odparł Curtis. Czasami żałował, że posłuchał Rogera w sprawie kliniki. To diabelstwo stawało się dla niego kulą u nogi.

Patrzył na mętny roztwór zamrożony w próbówce i uśmiechnął się, czując znajome podniecenie. Jeśli odniosą sukces, puszczą z torba-

mi inne firmy farmaceutyczne. Teraz oni usiądą przy jednym stole z możliwymi tego świata, nie będą już podrzędną wytwórnią kosmetyków o nędznych obrotach stu milionów dolarów rocznie, tylko wejdą do grona członków multimiliardowego przemysłu. Curtis już dawno zrozumiał, że bez wielkiego ryzyka nie ma wielkich zysków.

Patrzył, jak Roger unosi pokrywę zamrażarki. Gdy na metalowych ściankach zbiornika zawirowały smugi skroplonej i zbierającej się nad podłogą pary, wstawił probówkę do środka. Zamrażarkę wypełniało wiele pojemników z takimi samymi próbkami oznaczonymi różnymi datami i numerami eksperymentów. Mieli nadzieję, że najnowsza generacja posiewu okaże się mniej toksyczna od poprzednich.

- Idziemy - powiedział Roger. - Muszę sprawdzić piątkową dostawę.

Wyszli na korytarz. **Skóra mi cierpie w tym cholernym miejscu** - myślał Curtis. Ochraniające dziwnie szeleściły na posadzce pustego korytarza. Laboratorium wyglądało zupełnie jak szpital, a sterylne korytarze z niewielkimi salami po obu stronach przypominały klinikę kardiologiczną, w której rok wcześniej poddał się badaniu aorty. Tutaj zaś unosiła się w powietrzu lekka woń zwierząt.

Roger przesunął identyfikatorem przez szczelinę zamka i przekręcił gałkę. Potrzebna była specjalna karta, aby wejść za te drzwi, a nawet żeby skorzystać z jedynej windy, która tam docierała. Pomieszczenie ze zwierzętami to był najwyższy poziom bezpieczeństwa i prawo wstępu miał personel zredukowany do niezbędnego minimum. Gdyby wyszło na jaw, że przeprowadza się tu eksperymenty na zwierzętach, Ciarkę Cosmetics byłyby skończone. Pikiety aktywistów praw zwierząt, kłopotliwe zapytania Administracji Żywności i Leków dotyczące zakresu produkcji, szczegółowe inspekcje z Departamentu Rolnictwa w poszczególnych laboratoriach i pracowniach - wszystkie te przeszkody ominęli w ubiegłych latach tylko dlatego, że zdołali utrzymać swoje badania w tajemnicy.

Curtis przestraszył się nagle, że podejmują zbyt wiele ryzykownych kroków naraz, że może wszystko stracić, skończyć tam, gdzie zaczynał - jako lump, naganiacz klientów do nocnych lokali ze striptizem na Bourbon Street. Przez chwilę nie mógł złapać tchu i już chciał włożyć pod język jedną z tych maleńkich pastylek, bez których nigdzie się nie ruszał - nitroglicerynę - zdołał jednak kilka razy głęboko odetchnąć i jakoś się uspokoił.

Do diabła, przygotował się na każdą okoliczność, nawet na porażkę. Zamelinował na Kajmanach dość forsy, o istnieniu której

nawet jego stale głodny pieniędzy syn nie miał najmniejszego pojęcia. Co więcej, gdyby projekt z Isla Hermosa i Ciarke Spa and Clinic zakończył się katastrofą, Curtis mógłby spędzić resztę życia, wygrzewając się na słonecznej plaży i sącząc drinki pod parasolem. Nie był aż takim ryzykantem, aby tego nie przewidzieć.

- Przyjrzyj się im, wszystkie zdrowe. Wszystkie w granicach normy, jaką ustaliliśmy.

Curtis rozejrzał się nerwowo po sali. Nie była zbyt obszerna, znajdowało się w niej tylko osiem klatek, po dwie jedna na drugiej. Klatki były wykonane z nierdzewnej stali i panowała w nich czystość - to było wyraźne żądanie Rogera. Oprócz tego były jeszcze dwa pojemniki z karmą i białe, silne jarzeniówki. W każdej klatce leżał, czekając na swoją kolej, średniej wielkości pies. Roger trzymał także małpy, króliki i myszy, każdy gatunek w innej sali.

Curtis wiedział, że najniebezpieczniejsza jest praca z małpami. Niektóre wirusy, choć niegroźne dla małpiego nosiciela, potrafią zabijać ludzi. Wystarczy jedno ukąszenie i już po czterech dniach eksperymentator może być w agonii, umierając straszliwą śmiercią, którą Roger określił „wypalaniem mózgu”. Curtis w ogóle nie wchodził do pomieszczenia z małpami. Na samą myśl o tym poprawiał nerwowo rękawiczki i maseczkę.

Do organizmów tych zwierząt miał być wprowadzony ekstrakt BioMłodości wyprodukowany dla każdego gatunku oddzielnie, a wyniki skrupulatnie monitorowane. Teraz jednak najbardziej interesowały ich psy, gatunek przeznaczony specjalnie do badań nad funkcjami motorycznymi.

Curtis wziął od Rogera bloczek papieru na twardej podkładce. Skoro płacił aż pięćset dolarów od sztuki, miał prawo wiedzieć, czy nikt go nie kantuje. **Osiem psów** - przeczytał w dokumentacji. Przyjrzał się podpisowi u dołu kartki.

- Transport przyjmowała Belinda?

- Jak najbardziej - powiedział Roger, otwierając jedną z klatek w dolnym rzędzie, gdzie leżała dobrze utrzymana złota labradorka.

- Przecież postanowiliśmy nie wciągać jej do tego?

- Do czego? - Roger przykucnął przed klatką. Zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę, zachęcając sukę do wyjścia. - Dziewczyna nie ma pojęcia, co się tu dzieje i co było w tej ciężarówce. A nawet jeśli się domyśliła, no to co? Posłuchaj tato, miałem pilne spotkanie z dostawcą embrionów. - Kiedy labradorka obwąchiwała jego wyciągnięte palce, Roger uśmiechnął się ironicznie. - To była bar-

dzo skomplikowana sprawa, wymagająca delikatnej ręki.

Curtis poznał po tonie i doborze słów, że tym „dostawcą” jest kobieta. Obaj panowie Ciarke mieli niepohamowany pociąg do plci pięknej. Curtis nie wierzył, aby chuda baletnica, mimo swoich wydatnych piersi, była w stanie zaspokoić jego syna.

Pokręcił wymownie głową. Skoro Roger chce zatrzymać Donalda Sayera, to powinien wybrać jego bystrzejszą córkę, ale chłopak zrobił wszystko, żeby pozbyć się McCall. Pewnie właśnie dlatego, że była bystrzejsza. Potem zaś rzucił się na dziewczynę, która mózg miała w majtkach.

- Ta dostawa. Czy masz na myśli przesyłkę z Anglii? Roger bawił się z suką, drapiąc ją za uchem. Curtis obserwował to z przykrością. Pies nie przyjechał tu na wakacje i odpoczynek.

- Podaj łapę - powiedział Roger. Labradorka położyła łapę na dłoni mężczyzny, popisując się sztuczka, którą robiła już pewnie z tysiąc razy. Roger domyślił się natychmiast, że zwierzę nie było bezpieczeństwa.

- Do diabła, chłopcze. Zostawisz wreszcie tę sukę i opowiesz mi o dostawie?

- Mogą być pewne problemy - odparł Roger, nie przerywając zabawy. - Wygląda na to, że angielska dostawa nie wypali. Ale Sonia liczy na inne źródło. Mamy pomówić o tym dziś wieczorem.

Dziś wieczorem? Cholera. To znaczy, że Roger z nią sypia.

- Nie podoba mi się to - rzucił Curtis. - Transakcja z Anglikami zapowiadała się cholernie korzystnie. Żadnych zapisków, żadnych komplikacji. Nikogo, przed kim trzeba by się mieć na baczności. W tym przypadku lepiej nie kusić losu. Mówimy o wyjątkowo trefnym towarze.

Roger wzruszył ramionami.

- Pierwsza partia uległa zniszczeniu i teraz żądają więcej pieniędzy - a na to nas nie stać. Już jest krucho z forszą. Tak się składa, że mam się spotkać z potencjalnym inwestorem...

- Co ty u diabła wygadujesz? - wściekł się Curtis. Czuł, że zaraz go krew zaleje. - Słuchaj, przecież to nie artykuł powszechnego użytku. Nie wystarczą te pieniądze, które zdobyłem dla nas tydzień temu?

- Na tym w końcu polega twój problem, tato. Znowu myślisz na małą skalę. Sama kampania reklamowa Formuły Omega kosztowała grubo więcej.

- Niech to diabli - mruknął Curtis. - Jeśli ściągniesz mi na kark cholernych agentów rządowych, chłopcze...

- A jak ci się zdawało, tato? Ze to będzie bulka z masłem? Bez żadnego ryzyka? Myślałeś, że wystarczy ułożyć prospekt, żeby zasypała nas lawina pieniędzy? Harowałem jak wół, by znaleźć odpowiednich ludzi do Ciarke Spa and Clinic - osobiście wyselekcjonowałem każdą kobietę, która ma trafić na tę wyspę, każdego mężczyznę, który wysupłał dla nas bodaj dziesięć centów. Ja wiem, co robię, do cholery, a więc się odczep. Zresztą, co cię tak martwi? A jeśli nawet jesteśmy pod lupą? - Roger muskał miękkie, oklapnięte uszy labradorki. - Zapłacimy kilka grzywien i przeniesiemy nasze operacje gdzie indziej. A kiedy zrobi się naprawdę gorąco...

Roger odwrócił się i spojrzął na ojca ze swoim czarującym anielskim uśmiechem.

- Skąd mogliśmy wiedzieć? Taki zaufany pracownik. Oczywiście, Donald Sayer zawsze był człowiekiem o wygórowanych ambicjach, od lat żył w cieniu córki - mówił, jak gdyby cytując nagłówki prasowe. Potrząsnął głową i dodał Ze zjadliwym uśmiechem: - Coś podobnego! Doktor Donald Sayer wykorzystywał naszą aparaturę do własnych, nikczemnych celów. A co on zrobił biednej doktor Goodman?

- Donald Sayer nie pójdzie za mnie do więzienia.

- No to może będzie musiał pójść gdzie indziej - odparł Roger, wykrzywiając groźnie twarz; nie było wątpliwości, o jakim rozwiązaniu myśli. - Jeśli wypali projekt z Południem, Donald nie będzie nam już potrzebny. Pamiętaj o Alicji. Łatwiej wziąć całą winę na siebie, kiedy leży się w grobie. Siad - powiedział do suki.

Labradorka natychmiast wykonała polecenie.

- Prawda, jaka piękna? - ciągnął Roger, drapiąc sukę po głowie. - Znakomicie utrzymana, na pewno spała w domu na kanapie. Słodka psinka - powiedział dziecinnym głosem, na co suka zareagowała merdaniem ogona. - Oddasz się nauce, prawda, moja mała?

- Przestań, Roger. Aż mnie ciarki przechodzą, kiedy tak mówisz. - Obaj wiedzieli, jaki los czeka sukę, jeśli szczepionka nie okaże się skuteczna. Curtis dobrze zapamiętał spojrzenie pewnego owczarka szkockiego, zanim musieli biedne zwierzę uśpić.

Nagle Curtis pomyślał o kobietach, które rekrutowali do swojego rajku na Isla Hermosa, uzdrowiska Ciarke Spa and Clinic. Przez jedną straszną chwilę miał przed oczami ich obraz, obraz kobiet doświadczających tego samego losu co psy.

Nie mógł złapać tchu. **Powietrza! Duszę się!** Curtis wpadł w panikę, zerwał z twarzy maseczkę, miotając przekleństwa.

Do

199

cholery z tymi pieprzonymi przepisami bezpieczeństwa. Przecież człowiek musi czymś oddychać!

- Skóra mi cierpnie od tego **miejsca**.

- Jezu, tato - roześmiał się Roger. Wpuścił sukę z powrotem do klatki i zamknął drzwiczki. - To tylko zgraja psów. Chodź, widzę, że potrzebujesz mocnego drinka. - Otoczył ojca ramieniem i wyprowadził na zewnątrz. - W poniedziałek spotykam się z pewnym gościem. Jeśli moje informacje są ścisłe, a głowę daję, że są, będzie reprezentował grupę niezwykle bogatych ludzi. Może to oznaczać zastrzyk finansowy, na który właśnie czekamy. Jeśli facet spełni nasze oczekiwania - koniec z nowymi inwestorami.

Curtis szedł obok syna i myślał o złotej labradorce, o tym, jak Roger ładnie się z nią bawił, z jaką miłością głaskał ją po głowie, aby skazać ją później na niemal pewną śmierć.

W którymś momencie popełniłem błąd z Rogerem, powiedział do siebie. Trochę chłopaka wypaczyłem. Rola syna Curtisa Clarke'a nie należała do łatwych; sukcesor miał mnóstwo obowiązków do przejęcia, a Curtis zawsze był człowiekiem wymagającym. A może nie powinien był tak prędko rozwodzić się z matką Rogera ani kazać jej się wynosić do wszystkich diabłów. Kto wie, psiakrew.

Naga prawda była jednak taka, że Curtisa wcale nie interesowało, czy jego chłopiec był, czy też nie był chorym sukinsynem. Jak długo odnosił sukcesy.

Sierra położyła się w klatce, jej pysk spoczywał na przednich łapach. Żałośnie piszczała z cicha.

Psy trafiły do sali przypominającej pomieszczenie szpitalne. Wszystko dookoła nieprzyjemnie pachniało środkami chemicznymi i innymi zwierzętami. W dodatku klatki były ciasne, dużo mniejsze niż psie wybiegi, do których Sierrę zabrano początkowo.

Labradorka wyrzała zza prętów klatki na świat białych ścian i szarego metalu. Obok suki znajdowało się kilka klatek umieszczonych jedna na drugiej. W każdej czekał inny pies. Przyjechały tutaj w ciężarówce. Czarny owczarek niemiecki leżał zwinięty w kłębek w sąsiedniej klatce. Z najwyższym trudem labradorka zdołała się odwrócić. Owczarek przytknął nos do nosa Sierry, jedynej znajomej rzeczy w ich nowym, sterylnym świecie.

Pojawił się jakiś mężczyzna w białym fartuchu, a za nim jakaś kobieta. Mężczyzna trzymał blok papieru, na którym coś notował. Sprawdził kolejno wszystkie klatki i przypięte do nich kartki.

- Proszę przygotować tego czarnego wilczura - oznajmil. - Zaczynamy od niego.
- Kobieta otworzyła drzwiczki i pogłaskała owczarka po głowie.
- Biedne stworzenie. No, chodź, mój mały. Sierra przyglądała się, jak zabierają jej przyjaciela.

CZEŚĆ TRZECIA

Regeneracja

Waż mnie zwiódł i jadłam z tego drzewa
(Księga Rodzaju 3,13)

Nastąpił przełom. U jednej z naszych małąp. Niesamowicie, to przechodzi wszelkie wyobrażenia. Czuję się niczym jakiś nadczłowiek, świat staje przede mną otworem. Jestem wszechmocna. On się nie mylił - to jest warte każdego ryzyka.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman.

McCall patrzyła, jak Curtis unosi pokrywę nawilżacza.

- Masz ochotę zapalić, McCall? Zdaje się, że to teraz niezwykle modne, nawet wśród takich damulek jak ty.

Pudełko było prawdopodobnie sporządzone z kampezu, bardzo cennego egzotycznego drzewa. Curtis siedział za nieprzyzwoicie dużym biurkiem, wykonanym z innego egzotycznego drzewa, to zaś od pulpitu do samego dołu było pokryte nierdzewną stalą.

Pokój był ultranowoczesny - aż do granicy złego smaku, pomyślała. Każda rzecz była jakby zdeformowana, niemal surrealistyczna. Styl, który dobrze by pasował do skromnego wyposażenia, ale Curtis zapelniał wszystkie szpary i kąty, a na samym środku ustawił nawet postument z miejscem na nowe **objet d'art**. Obite szkarłatną skórą krzesło, na którym siedziała, kojarzyło się McCall z gigantycznym mięczakiem, pożerającym ją na obiad.

- Nie, nie chcę zapalić. Chciałabym jednak usłyszeć, dlaczego mnie tu wezwalesz.

Curtis wsunął nawilżacz z powrotem na jego miejsce koło owalnego kamienia. Wypolerowany glaz tkwił w okrągłej drewnianej podstawce. Kamień i podstawka tworzyły razem **linga i yoni**, czego Curtis nie omieszkał natychmiast wyjaśnić, symbole religijne fallusa i formy żeńskiej.

McCall zacisnęła wargi. Curtis bawił się cygarem, przesuwał go pod nosem i niemal pieszcząc, co mogło nasuwać pytanie, jak wielu symboli fallicznych potrzebuje mężczyzna.

- Doszedłem do wniosku, że powinnaś o czymś wiedzieć - odparł Ciarke. Zapalił cygaro i poprawił się w fotelu. - Jutro spoty-

kam się z Woodsem - rzekł i uśmiechnął się, uwypuklając swój podwójny podbródek. - Chłopak ma mi wręczyć szczegółowy raport na twój temat. A to ostry gość, McCall. Kto wie, czy nie dorównuje ci bystrością. Zaprosilem cię tutaj, ponieważ wbrew temu, co być może o mnie sądzisz, dziewczyno, jestem człowiekiem uczciwym. Chcę ci dać szansę, abyś zrzuciła ewentualny ciężar z serca - to znaczy, zanim poznam wersję Woodsa.

- Co za subtelność, Curtisie. Niestety, nie mam dzisiaj czasu słuchać twoich urojonych zarzutów - rzekła McCall, podnosząc się z fotela, następnie zatrzepotała rękami i dodała niewinnym głosem: - Nie, Curtisie. Nie zamierzam się z niczego spowiadać. **Audiencja skończona.**

- Siadaj. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

- Czuję się rozczarowana - odparła, klapnąwszy z powrotem na skórzanego małża. - Czy moglibyśmy szybko się z tym uwinąć? Każemy czekać twojemu drogocennemu doktorowi Wood-sowi, a nie chciałabym dostać uwagi za opieszałość. Curtis zaciągnął się cygarem, a światełka w jego szarych oczach wskazywały, że McCall go rozśmieszyła. Miał na sobie biały garnitur i biały krawat, kontrastujące z ciemnopomarańczową koszulą, przy której cera Curtisa wydawała się błotnista. McCall miała ochotę mu powiedzieć, że powinien zadbać o lepsze oświetlenie, kiedy rano kładzie na twarz podkład, ale ugryzła się w język.

Curtis puszczał kółka dymu, rozkoszując się jego smakiem.

- Słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Nie stawaj między facetem a jego pieniędzmi”? Topimy od cholery kapitału w tej Formule Omega. Chcę po prostu ustalić, co z tobą zrobić, jeśli nie grasz ze mną uczciwie.

- Powiedziałabym, że wracamy do punktu, w którym skończyliśmy cztery lata temu. „Będziesz, żałowała, dziewczyno” - przytoczyła z pamięci, naśladując przeciągły styl mówienia Curtisa. - „Uważam jednak, że twoja nierozsądna decyzję oznacza śmierć świetnie zapowiadającej się kariery”.

- No i zobacz. To wszystko się spełniło.

- Jestem bystrą dziewczynką, Curtisie. Słowo honoru, otrzymałam nauczkę. Dlaczego nie zwrócisz się z tym do swojego Syna, tego genialnego uczonego? - spytała, mając nadzieję, że przynajmniej Curtis uważa Rogera za mędrca. - On i Woods użtfali wyniki tomografii emisji pozytronowej za nadzwyczajne. Spytaj Rogera, czy jego zdaniem trzymam asa w rękawie. A teraz, skoro sądzisz, że zmarnowałeś mi już dość czasu...

Z tymi słowami McCall wstała ze szkarłatnego małża, ale zamiast wyjść, wzięła do ręki **linga**.

- Jaki interesujący kamień. Siwa Niszczyciel? - spytała, wymieniając imię hinduistycznego boga, którego kamień symbolizował. - Jakże to adekwatne - dodała, odkładając obelisk na podstawkę. - Wiesz, gdzie można mnie znaleźć, jeśli zechcesz znowu porozmawiać.

- Dla twojej wiadomości, mała - rzucił Curtis, gdy dotarła do drzwi. - Tym razem zjem twoje serce na kolację.

McCall wyszła, stukając płaskimi obcasami o marmur w rytm ogarniającej ją wściekłości.

- A ja mam nadzieję, że się nim udławisz - mruknęła. Nienawidziła takich konfrontacji, pochłaniały zbyt dużo jej energii. W czasie spotkań z Curtistem musiała być inną kobietą, nieulekłą, która zdoła stawić czoło jemu oraz jego fagasom i odnieść tryumf. **Wygram z tobą, Curtis** - pogroziła mu w myślach. Nie **pozwolę ci więcej krzywdzić mnie i moich bliskich**.

Ale już po pierwszym tygodniu czuła zmęczenie walką. Pracowała przez cały weekend, inni zresztą także.

Mało snu i morze kofeiny, zbyt dużo emocji szalało pod powierzchnią. Nie zadzwoniła do Jake'a. **Ale strasznie mi go brakuje**. Serce pękało jej z bólu, że nie słyszy jego głosu, że odgrodziła go od siebie. Że się go boi.

Zdołała jakoś uśmierzyć ból, wiedziała, że musi się skupić na wykonaniu zadania. Wprawdzie przekomarzała się z Curtistem, ale nie zbagatelizowała jego ostrzeżenia przed Woodsem.

Kyle Woods działał jak maszyna. Niezmordowany, wytrzymały. McCall przez cały tydzień nie spuszczała go z oka.

Przyglądała się, jak błyskawicznie rozpoczyna i kończy procedury umożliwiające zebranie informacji, których potrzebowali. Gdyby pozostawić mu pełną swobodę, równie szybko zdołałby wyodrębnić peptyd w sposób, jaki zaproponowała Kate, jej laborantka. Ale McCall nie pozostawiła Kyle'owi pełnej swobody.

Zauważyła, że zniknął tylko po to, aby zjeść późną kolację, tłumacząc, że się z kimś spotyka. Pamiętała, jak zerkał na zegarek, a było to jedyna przerwa, na którą sobie pozwalał w trakcie blis-kć» czternastogodzinnej pracy jednym ciągiem. McCall zastanawiała się, czy to spotkania z jakąś kobietą. Trudno było sobie wyobrazić, że Woods potrafi związać się z kimś emocjonalnie.

Właśnie w przeciągu tych kilku cennych godzin po opuszczeniu laboratorium przez Woodsa McCall podejmowała swoją

tajemną działalność. Wertowała zasoby systemu komputerowego i wyszukiwała interesujące pliki. Znalazła coś na serwerach plików systemowych. Dokument, którego nie mogła otworzyć jako użytkownik gościnny - co samo w sobie wzbudziło jej zdziwienie.

Ale tylko podczas owych godzin samotności, kiedy jedynym towarzystwem był dla niej cichy szum aparatury, najłatwiej poddawała się emocjom. Do myśli McCall wkradał się Jake, dokonując włomu w jej murze obronnym. Próbowała być silna, starała się nie pamiętać tamtej nocy i słów, które usłyszała z jego automatycznej sekretarki. **Gus z Sekcji Kryminalnej... Można by go pociągnąć za język.**

McCall skręciła w korytarz prowadzący do laboratoriów. Szła w stronę kabiny bezpieczeństwa, spoglądając na zegarek. Miłość do Jake'a Donovana oznaczała katastrofę na każdym poziomie. McCall przybyła tutaj, aby ratować swoją rodzinę. Bała się, że Roger Ciarke wpłatał się w jakiś diaboliczny eksperyment, o którym napomykała Alicja w dzienniku. Dobudowanie Laboratorium 20 tylko potwierdziło jej podejrzenia. To idealne miejsce dla Rogera na popełnianie jego zbrodni.

Ale jeśli w Ciarke Labs dalej prowadzono jakąś nielegalną działalność, coś, co mogłoby zburzyć imperium Ciarke ow, Curtis nie zniósłby ewentualnego upadku - i najbardziej prawdopodobnym kandydatem na kozła ofiarnego byłby jej ojciec. Kierował Działem Badawczo-Rozwojowym. Miał dostęp do Laboratorium 20. Zresztą Curtis już raz próbował go sprzedać - cztery lata temu zaproponował McCall stanowisko ojca, nie poświęcając jednej nawet myśli jego dalszym losom.

Pogrążając się w ponurych myślach, McCall przesunęła kartą magnetyczną w zamku u wejścia do kabiny bezpieczeństwa. W kabinie błysnęła identyfikatorem, a kiedy zapaliło się zielone światelko, weszła przez brzęczące drzwi na korytarz. A teraz, zamiast pomagać rodzinie, McCall stawiała się sprawczynią tych samych kłopotów, przed którymi chciała ustrzec ojca i siostrę. Z powodu swojej teczki w FBI i wścibskiego ekspro-kuratora stała się ośrodkiem większego zainteresowania - inaczej mówiąc, śledztwa, które obrzuciłoby jej ojca tym samym błotem co Ourtisa i Rogera Clarke'ów. Cokolwiek udało mi się tu wykroić dla twojej siostry i dla siebie, proszę cię... - usłyszała w głowie błagania swego ojca. - **Nie niszczyć także i tego.**

McCall ruszyła w głąb korytarza, a stukot obcasów stawał się rytmem dla jej myśli. Tykającym zegarem. **Czas ucieka. Czas ucieka.** Woods zakończył pracę nad żelami. Teraz właśnie selekcjonował transformanty w poszukiwaniu genu, którego potrzebowali. Jake i jego koledzy w sekcji kryminalnej zaglądali w jej przeszłość.

McCall dobrze pamiętała dzień, w którym agenci FBI wpadli do jej gabinetu, błyskając odznakami i wymachując nakazami federalnymi. Zobaczyła w wyobraźni tę scenę ponownie, ale tym razem ofiarą był jej ojciec.

- McCall!

Aż jęknęła, poznawszy głos Rogera. Dochodziła szósta. Roger już dawno powinien iść do domu albo zamknąć się w Laboratorium 20, gdzie spędzał większość czasu. McCall miała ochotę przyspieszyć kroku. Nie wiedziała, czy znieśie konfrontację z ojcem i synem jednego dnia.

- McCall. Zaczekaj. Chciałbym, abyś kogoś poznała. Odwróciła głowę ze świadomością, że w ten sposób nie zdoła Rogera splawić. Już miała na końcu języka gotową wymówkę, gdy raptem zobaczyła osobę towarzyszącą Rogerowi. Zamarło jej serce. Stało w miejscu. Ani tchu... ani pulsu. Niczego.

Korytarz przed nią zapadł się w otchłań. Otaczający świat wykręcił się na drugą stronę, deformując w straszliwy sposób. McCall bała się, że zaraz zemdleje. Ale nagle korytarz powrócił do równowagi i cała rzeczywistość z niesamowitą wyrazistością ześrodkowała się na tym jednym człowieku.

Obok Rogera maszerował Jake Donovan, trzymając rękę w bocznej kieszeni spodni. Włosy nabłyszczył sobie jakąś pomadą, przez co fryzura wydawała się wilgotna i bardzo modna. Miał na sobie długą, czarną marynarkę z wąskimi kłapami oraz perfekcyjnie udrapowane spodnie, które przy każdym sprężystym kroku podkreślały niespożytą siłę tkwiącą w jego udach. Koszula była w najpiękniejszym odcieniu zieleni szmaragdowej, dzięki czemu całość nabierała znamion niemal dzieła sztuki. ▽ Miał też bardzo wąski krawat opalizujący błękitami i zielenią oraz bardzo wąskie okulary przeciwsłoneczne. W szklach niczym w czarnych zwierciadłach odbijało się światło wiszących u sufitu jarzeńówek.

Przy rozedrganym zielenią i czernią ubraniu Jake'a wzorzysta, czarno-biała marynarka i dopasowane białe spodnie Rogera wydawały się co prawda stylowe, ale znacznie zmatowiały. Jake był bardziej

wypucowany i mimo swoich rudawych włosów prawie przypominał cudzoziemca. Ferrari obok kosztownego cadillaka DeVille Rogera.

- To jest Jonathan Donovan - oznajmił Roger, kiedy zbliżyli się do niej. - Znajomy znajomego. Oprowadzam go i demonstruję nasze urządzenia. Przed chwilą byliśmy w gabinecie twojego ojca w Grupie Zapachowej, ale pan Donovan szczególnie interesuje się twoją pracą nad Formułą Omega.

Jake przekrzywił okulary, spoglądając znad oprawek na McCall. Jak gdyby zadowolony z tego, co ujrzał, ściągnął okulary do końca.

- Proszę mi mówić Jonathan. Widziałem panią w programie Cyndii. Nie mogłem sobie odmówić spotkania z Doktor Miłością, skoro już tu jestem - powiedział, wyciągając do niej rękę.

McCall zawahała się przez ułamek sekundy, a potem podała mu dłoń. Wraz z ciepłem jego dotyku umysł McCall załapała fala nieprzyzwoitych obrazów. Jake'a, ujmującego jej piersi; jego ciała, tak ciemnego na tle jej bladej skóry. Jego dłoni, nakrywającej jej usta; jego palców, zanurzających się w jej wnętrzu.

Gapiała się na jego dłoń - ledwo widoczne piegi, rudawe owłosienie - i była kompletnie zagubiona.

Jake ścisnął jej palce mocniej, niżby wypadało.

- Dobrze się pani czuje, pani doktor? - Wyszczrzył zęby do Rogera. - Rzadko kiedy wywołuję taki efekt na kobietach, naprawdę. - Schylił się na wysokość oczu McCall i uśmiechnął. - Zdaje się, że odebrałem mowę naszej pani doktor. Ale to chyba nic strasznego, bo... do licha!. Ależ mój puls przyspieszył!

McCall przymknęła oczy. **O Boże.**

- Przepraszam... Jeremy, dobrze usłyszałam?

- Jonathan - poprawił z uśmiechem, a na policzkach pokazały się dołeczki.

McCall wycofała dłoń.

- Błądziłam myślami gdzie indziej. Zastanawiałam się, jak wielu transformantów powinnam się spodziewać przy określonej koncentracji cząsteczek wirusowych zawierających gen, którego szukamy. Wprowadzenie obcego DNA do genomu bakteryjnego bywa czasami bardzo skomplikowane.

- Hola, hola, pani doktor. Pani mnie przeraża - zawołał Jake, trącąc lokciem Rogera. - Jak słyszę, Doktor Miłość zna się na swojej robocie.

- McCall jest prawdopodobnie najwybitniejszą uczoną w swej

dziedzinie. Dlatego zwerbowałem ją do Ciarke Labs. Skoro cię już znaleźliśmy, McCall - zwrócił się do niej Roger - nie wybrałabyś się z Jonathanem na wycieczkę?

- To nieodpowiednia pora.

Jake stał obok Rogera niesamowicie rozluźniony, jakby on i McCall wcale nie balansowali po linie, jakby nie obserwowali swoich ruchów i nie wymieniali ciosów.

- Jonathan reprezentuje grupę inwestorów, którzy myślą o wniesieniu ogromnych kapitałów - nalegał z uśmiechem Roger.

- Już go poinformowałem, że Formuła Omega przedstawia się bardzo lukratywnie.

- Właśnie znakujemy preparat - powiedziała, a następnie odwróciła się do Jake'a. - To znaczy, stosujemy radioaktywność. A więc nalegam usilnie, abys przelozył wycieczkę na inny dzień, chyba że chcesz narazić na zniszczenie zapasy swojej spermy.

Roger parsknął śmiechem.

- Poziomy radioaktywności są o wiele za niskie, by stanowiły jakiegokolwiek ryzyko. Poza tym wiem od doktora Woodsa, że preparat oznakowałaś wczoraj - rzekł, po czym zwrócił się do Jake'a: - Mamy znakomicie wyszkolony personel naukowy, który przez okrągłą dobę pracuje nad Formułą Omega. Chcemy, aby przed Bożym Narodzeniem trafiła na półki sklepowe.

- Dopiero testuję nową metodę, Roger - powiedziała McCall. Nie zamierzała spędzić godziny na robieniu z siebie widowiska dla Jake'a. - Okazuje się, że poziomy radioaktywności są bardzo wysokie. Jonathanie, dzisiejszy upór może okazać się groźny dla twojego zdrowia - dodała, wiedząc, że Jake zrozumie, o co jej naprawdę chodzi.

- Trudno się mówi... - rzekł, podnosząc do góry ręce i cofając się o krok. - Nie będę narażał moich małych chłopców na niebezpieczeństwo. Może innego dnia, pani doktor. Było mi bardzo miło.

Jake oddalił się szybkim krokiem, zmuszając gospodarza do pójścia w jego ślady... co też Roger niechętnie uczynił.

- A zatem, Roger - powiedział Jake, wkładając okulary przeciwsłoneczne, jakby razilo go palące się nad głową światło.

-Wspominales o tej Grupie Japońskiej. Chyba powinienem dowiedziec się czegoś więcej na ten temat.

- Tędy, proszę. - Roger spojrzal do tyłu na McCall, a w jego oczach malowala się furia. Wszystko w jego wyrazie twarzy mó-

wiło McCall, że zapłaci wysoką cenę za przeciwstawienie się.

Jake wykonał półobrót, posyłając McCall promienny uśmiech. Ponownie zsunął swoje idiotyczne okulary i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Ta doktor... do diabła, to ostra sztuka - zawołał do Rogera na całe gardło, tak żeby McCall usłyszała. - Nie wiesz przypadkiem, czy ma kogoś?

- Nie - odparł Roger, patrząc na Jake'a. W jego oczach nadal malowała się wściekłość. - McCall jest pełna poświęcenia; nie sądzę, żeby się z kimś spotykała. No, nasza Japońska Grupa Kosmetyczna znajduje się nad nami, w Laboratorium 14. Większość pracujących tam ludzi wyjechała na cały dzień, ale możemy na chwilę zajrzeć. Nie jest to moja dziedzina, myślę jednak, że zdołam jakoś zaspokoić twoją ciekawość.

McCall zaczęła ponownie oddychać, odprowadzając mężczyzn wzrokiem. Obaj byli wysocy, Jake może o kilka centymetrów wyższy. Przy jego okazalej posturze drobnej budowy Roger wydawał się prawie filigranowy. Oczy Jake'a płonęły niefrasobliwą radością, jakby kpil z własnych ironicznych odpowiedzi, natomiast w oczach Rogera odbijała się jego wrodzona zdolność do nienawiści. Do zadawania bólu. Do wymierzania zemsty.

Mieli do czynienia ze złem w czystej postaci. A Jake Donovan wydawał się zupełnie tego nieświadomy, deptając jej po piętach i przychodząc za nią aż tutaj... Uważał, że to McCall a nie Clar-ke'owie są niebezpieczni. Narażał ją i jej rodzinę na śmiertelne ryzyko.

-To się musi skończyć - powiedziała do siebie.

Jake zszedł po stopniach, kiwając od czasu do czasu głową, aby upewnić Rogera, że łowi każde jego słowo. Ostatnie dwie godziny spędził z Rogerem Clarke'em za łaskawym zezwoleniem swego szefa, Garretta Renaulta, który ich sobie przedstawił. Teraz Roger odprowadzał Jake'a na parking przy Clarke Labs, roztaczając przed nim wizję potencjalnych zysków dzięki zainwestowaniu w Clarke Cosmetics.

- Ładna koszulka - zauważył. - Mossimo?

Jake miał już odpowiedzieć **gesundheit**, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że Roger pyta o projektanta mody męskiej: Niech to licha. Powinien bardziej wziąć sobie do serca przestrogi Dina.

- Zgadza się.

Stanęli przed cukierkowoczerwonym lamborghini diablo vt.

Jake otworzył drzwi, patrząc, jak wlatują do góry niczym skrzydło wielkiego ptaka. Myślał o Mac. Życzyła mu śmierci. Co było oczywiście zrozumiałe.

Uśmiechnął się promiennie na wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy nazwał ją „panią doktor”, wyrwijąc z cielecego oszołomienia. Swoim dowcipem zakasował Dina.

- Jezu, piękna nówka - zachwycił się Roger, obchodząc samochód dookoła. Pochylił się, żeby zajrzeć do środka, podziwiając jasnooliwkową skórę siedzeń. - Zastanawiałem się nad wymianą mojego ferrari na nowego diablo roadstera. - Czy może być większa przyjemność niż wyciągać trzysta na godzinę, kiedy jedzie się w toplesie? - spytał Jake, powtarzając nagłówek z jakiegoś miesięcznika dla miłośników egzotyki i nowy slogan reklamowy dla meade lamborghini. Jake przygotował się starannie do dzisiejszego spotkania. Garrett Renault i Roger Ciarke byli przyjaciółmi z dzieciństwa, złymi chłopcami z nowoorleańskiej śmietanki towarzyskiej. Jake wydobył od Garretta maksimum informacji o jego starym kumplu, Rogerze. Kiedy Stacie oprowadzała Michaela po statku, Gar-rett przekazał Jake'owi wiadomości poufne. Roger żył dla trzech L: lustro, limuzyny, laski.

Przed dzisiejszą potyczką z Rogerem Jake odbył dwie wycieczki rozpoznawcze. Odwiedził Dina i wpadł do garażu Dickeya Harpera.

- Chcesz się przejechać? - spytał, rzucając kluczyki Rogerowi. Szkoda, że Dickey, 'mąż Hope, nie może go teraz zobaczyć. Padłby trupem na miejscu.

Roger złapał złote kluczyki i przyglądał się im z wyraźną ochotą.

- Nie dzisiaj. Przygotowałem dość wyrafinowany eksperyment na kilka najbliższych godzin - odparł, uśmiechając się do Jake'a. - Damulka nie pochwali mojego spóźnienia.

Jake mrugnął okiem, chwytając z powrotem kluczyki.

- A więc do następnego razu.

Wsiadł do samochodu, zamknął drzwi, włożył kluczyki do stacyjki i opuścił szybę. Roger pochylił głowę. - No i co sądzisz o mojej propozycji? Jake uśmiechnął się.

- Zadzwoń niedługo.

Wyjechał z parkingu, zatrzymując się na chwilę przy budce

ochrony, ale kiedy znalazł się na ulicy, ruszył pełnym gazem, a pęd powietrza unosił pożyczony od Dina krawat. Jake nie mógł się doczekać powrotu do domu i zmycia tego paskudztwa z włosów. Pachniał niczym perfumeria na Royal Street. Jechał wzdłuż Route 44. Miał wrażenie, że płynie kilka centymetrów nad ziemią, zawieszenie włoskiego bolidu było bardzo niskie. Rozumiał zamilowanie do takich samochodów, ale diabła tam... nie ma to jak jego jeep. Uśmiechnął się, wspominając reakcję Dina, kiedy podzielił się z nim swoimi planami na dzisiejszy dzień.

- Czyś ty zwariował? - wściekł się Dino.

- Dlaczego? - Jake rozsiadł się na jego kanapie. Mieli wolną niedzielę, co się dobrze składało, ponieważ plany Jake'a obejmowały prawie cały dzień. - Uważasz, że tylko ty i Susan możecie bawić się tą tajniacką robotą?

Wcześniej Dino pochwalił się Jake'owi przez telefon, że zakar-bował - dosłownie tak to ujął, ale nie w sypialni, tylko w portfelu: on i Susan podpisali dokumenty o zawiązaniu spółki w branży detektywistycznej.

- A zresztą, co w tym takiego nadzwyczajnego? - spytał Jake. - Coś mi się wydaje, że utknąłem w martwym punkcie.

Opowiedział Dinowi o wszystkim. Poprosił go nawet o przejrzenie akt FBI, kiedy będzie wysłuchiwał teorii Jake'a na temat roli Mac w tej sprawie. Potrzebował jego opinii, czy Mac mogła być zamieszana w machinacje z embrionami, o których wspominał Gus. Jake uważał, że nie - no, ale nie był w tym wypadku szczególnie bezstronny. Poczul ulgę, kiedy Dino zgodził się z jego zdaniem.

- Masz rację - odparł Dino. - Przyjechała tu, żeby się zemścić. Skłania ich do zainwestowania kupy szmalu w lipny eliksir miłości i trzask prask. Firma robi plajtę - a Mac w ten sposób dopieka im do żywego. To ona śmieje się ostatnia.

Jake nie miał wątpliwości. Teraz musi dopilnować, żeby Mac nie umoczyła tyłka w tym Śmierdzącym G. Pierwszy krok to rozmowa z Garrettem Renaultem - spotkanie, które przeszło najśmielsze oczekiwania. Garrett natychmiast złapał za słuchawkę i od razu, z gabinetu Jake'a, zadzwonił do Rogera Clarke'a. Postawił mu warunek, że zawrze transakcję z Ciarke Labs dopiero wtedy, kiedy dogada się z nim w tej sprawie grupa Jake'a.

Jake spoglądał we wsteczne lusterko, wspominając szlachetne zachowanie Garretta. Jasne, facet miał swoje przywary, ale nigdy nie zapominał oddanej mu przysługi. Jeśli chodzi o Garretta, Jake

odwrócił bieg jego życia. Teraz Garrett z poczucia wdzięczności zgodził się posłużyć za osobę polecającą Jake'a i jego tajemniczą grupę inwestorów... bez zadawania zbyt wielu pytań. I dobrze. Jake nie zamierzał chwalić się właścicielowi kasyna, że bierze udział w rozpracowywaniu Clarke'ow.

- Faktycznie facet zawsze lgnął do niewłaściwych ludzi - powiedział Jake, kiedy sączyli z Dinem piwo i dzielili się uwagami.

- Naprawdę wierzysz, że ci się to uda? - Dino pokręcił z powątpiewaniem głową i obrzucił Jake'a takim spojrzeniem, jakby ten już poniósł klęskę. - Wiesz co? A może powinieneś odbyć kilka seansów medytacji? - dodał, strzelając palcami. - Najlepiej u tej facetki, do której chodziła Suzy po samobójstwie matki? - zaproponował, podnosząc słuchawkę. - Może od razu zadzwoń do Suzy i poproś o jej numer? 911 chyba nie obejmuje takich przypadków?

- Zamierzasz mi pomóc czy nie? - spytał Jake. Potrzebował Dina, jeśli chciał wmówić Rogerowi, że jest spekulantem. Pewnie we wszystkim, czym zapychał teraz Jake swoją szafę, można by pograć w koszykówkę. I tylko jeden Grek wiedział, kto naprawdę prenumeruje **Esquire Gentleman**.

Dino westchnął dramatycznie.

- Ile mamy czasu i ile pieniędzy skłonny jesteś wydać?

- Spokojna głowa - odparł Jake, wstając. - Weźmiemy na kredyt. Kto wie? Może będę miał trochę szczęścia i wygram za parę dni w kości?

- Racja - mruknął Dino, wiedząc, że Jake nie uprawia hazardu. Skręcił na sześćdziesiątkę jedynek, uśmiechając się do swoich

wspomnień. Dino, który zawsze wybrzydzał na garderobę Jake'a, zaspokoił Wreszcie swoje pragnienie i wybrał dla niego najbardziej ekscentryczną koszulę, jaką miał. Jaskrawozielona? Daj spokój. Jestem Marsjaninem, czy co?

Jeszcze tego samego dnia Jake wpadł do Susan po trochę sprzętu do inwigilacji, zdołał jednak uciąć dyskusję na temat propozycji, którą była żona złożyła mu telefonicznie w środku nocy. Nie zaprosi jej do współpracy, skoro usiłował rozwiązać kłopoty, w które go sama wpędziła.

! Okazało się jednak, że nie potrzebował wypożyczonej od Susan kamery. Dzisiejsze spotkanie z Rogerem nie przyniosło zbyt wiele. Wszystko było jawne, niczego nie ukrywano. Ani słowa o klinice... żadnych nielegalnych transportów ani zamrożonych embrionów leżących dookoła i pozujących do fotografii.

Jake włączył kierunkowskaz i zjechał na dziesiątkę prowadzącą do centrum. Poprosił Rogera o pokazanie mu laboratorium Mac, aby zrealizować bodaj jeden z celów. Wprawdzie zawiódł się, widząc reakcję Rogera, kiedy Mac odmówiła jego prośbie, wiedział jednak, że ze spotkania wynikał przynajmniej jeden pożytek.

Uśmiechnął się wesoło. Oczami wyobraźni zobaczył parę buchającą uszami Mac. Spojrzał na zegarek i dodał gazu. Jak się pośpieszy, zdąży wejść pod prysznic, zanim Mac wysadzi mu frontowe drzwi z futryny.

Kyle Woods odsunął przeglądarkę, w której sprawdzał wywołane przez siebie klisze. Ustawił ją na pulpicie w wolnym miejscu między pudełkiem na rękawiczki a półeczką z pipetkami, które ktoś zapomniał odłożyć na miejsce. Na samym środku leżała łaźnia wodna inkubatora, ale Kyle skupiał się na przeglądarce. Nagle zamarł. Nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami.

Cały weekend uwijali się jak w ukropie, żeby przygotować te zdjęcia na dzisiaj. Z wyhodowanych wcześniej transformantów wyizolowali i wytrawili bakteryjne DNA, poddając działaniu enzymu, który rozdzielił go na mniejsze kawałki, oraz odsączając żele. Żele były galaretowatą substancją znajdującą się między dwiema szklanymi płytkami, do której dodali sekwencje wytrawionego DNA. Wczoraj Kyle przeniósł żele na bibułę filtracyjną i poddał hybrydyzacji pewnym preparatem. Preparat był znakowany za pomocą radioaktywności, więc powinien uwidocznić się na kliszy fotograficznej: kiedy Kyle podda filtr naświetleniu, radioaktywny preparat wskaże konkretny odcinek, gdzie odnalazł dopełniający go łańcuch DNA. Był to jedyny sposób sprawdzenia, który z czterdziestu transformantów zawiera gen dla poszukiwanego peptydu. Kiedy już się tego dowiedzą, będą mogli wyizolować peptyd, stanowiący kluczowy składnik Formuły Omega.

Kłopot w tym, że na czterdzieści sprawdzonych przez Woodsa transformantów żaden nie posiadał genu, którego potrzebowali.

Niewiarygodne. Czterdzieści ujemnych pozytywów. To była katastrofa.

Kyle przetarł oczy i zerknął na zegarek. Szósta. Zależało mu na tej kolacji z Belindą i nie chciał się spóźnić.

Wstał, żeby nalać sobie drugi kubek kawy. Nie wyjdzie, dopóki nie sprawdzi rezultatów wraz z McCall. Miał nadzieję, że siostra Belindy niebawem się pojawi. Zamierzał wrócić do do-

mu i przebrać się przed spotkaniem z Belindą w ich restauracji.

Wsypał ekstrakt śmietanki do kawy, przyglądając się, jak z czarnej stopniowo zamienia się w białą. **W ich restauracji.** Tak nazwała ją Belindą... ponieważ spotkali się w niej trzy wieczory z rzędu.

Myślał o tym, jak bardzo polubił towarzystwo dziewczyny. W ciągu kilku ostatnich dni dowiedział się o niej mnóstwa rzeczy:

0 latach samotnego dorastania, o siostrze, którą ubóstwiała, ale której nie rozumiała, o tańcu, który zarzuciła, oraz o dziwnych relacjach z ojcem, którego zarówno wielbiła, jak i przeklinała.

Ale osobowość Belindy nie stanowiła wyłącznie pokłosia problemów, które zatruwały jej życie. Dziewczyna miała w sobie niesamowitą słodycz. Poza tym była bajecznie wesoła, lubiła opowiadać głupie dowcipy, którymi Kyle'a rozśmieszała - a przecież wszyscy mówili, że brak mu poczucia humoru.

Namówiła go nawet na tańce. Tańce, na miłość boską. Kyle nie tańczył ani razu, odkąd skończył liceum.

Poza tym chciał iść z Belindą do łóżka. Pragnął tego tak bardzo, że kilkakrotnie omal nie przekroczył cienkiej granicy.

Lecz jeśli będzie się z nią kochał... jeśli będą aż w takiej zażyłości ze sobą - wówczas ostatecznie skaże ich na potępienie.

Wypił łyk kawy. Rozumiał, że nie jest człowiekiem świętym tylko dlatego, że ogranicza się do ostrych pieszczot w samochodzie zaparkowanym jedną przecznicę od jej domu. Chciał się z Belindą zaprzyjaźnić, a nie ją uwieść i w ten sposób skłonić do udzielenia mu pomocy. A jednak rozplynął się w uśmiechu na wspomnienie tych ukradkowych spotkań, miękkości i smaku jej ust. Zapachu i dotyku jej ciała.

Ponownie pochylił się nad stołem roboczym, a kubek z kawą rozgrzewał mu ręce. On i Belindą mieli ze sobą coś wspólnego.

1 Kyle wiedział dlaczego.

Jego spojrzenie stało się mgliste, a jego myśli cofnęły się do wydarzeń, które popchnęły go na tę ścieżkę i przywiodły aż tu, do Ciarke Labs.

Sissy, rzecz jasna.

Duża, brązowa wyżlica była pierwszym psem, którego ocalił od 'śmierci. Pamiętał ten dzień doskonale, był to szczególnie zły dzień. Na studiach i w czasie pracy nad doktoratem Kyle zajmo-wai się muchami. Ale kiedy dostał szansę odbycia stażu po doktoracie w prestiżowym laboratorium i zajęcia się sieciami neuronowymi, skwapliwie z niej skorzystał.

214

Kłopoty zaczęły się przy szczurach. Przy ssakach.

Nie potrafił przekonać samego siebie - choć w czasie zabiegów podawał szczurom leki dysocjacyjne - że one **nie czują** bólu. Z każdym dniem było coraz gorzej. Oblewał się potem, ręce mu drżały. Jego praca wymagała pewności chirurga.

Kyle **był** chirurgiem, rozcinał czaszki drobnych ssaków i sporządzał preparaty anatomiczne mózgu.

Wiedząc, że jego kariera zawisła na włosku, próbował wszystkiego, żeby wziąć się w garść. Został wegetarianinem. Dawał pieniądze na Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. Ale w efekcie poczuł się w końcu hipokrytą, którym w istocie był.

Prawa zwierząt kontra ludzkie potrzeby. Kyle zdawał sobie sprawę, że nie ma łatwych rozwiązań. AIDS, rak - doświadczenia na zwierzętach miały istotny udział w poszukiwaniu środków zaradczych. Modelowanie komputerowe było za mało wyrefinowane, by tego dokonać.

Ale pewnego dnia Kyle zobaczył kres swojej kariery na polu biologii eksperymentalnej. Kolega z laboratorium przyłapał go zastygłego w bezruchu nad szczurem, niezdolnego do wykonania pierwszego nacięcia. Mężczyźnie starczyło jedno spojrzenie, by odebrać mu skalpel i kazać iść na spacer.

Wyszedł, zastanawiając się, co mógłby robić, jeśli rzuci naukę. I wtedy usłyszał dobiegającą z sąsiedniego laboratorium rozmowę na temat psa. Jakaś Sissy miała nie przeżyć **na zewnątrz**. Kyle wiedział, że na uniwersytecie działa program, zgodnie z którym doświadczalne psy i koty były poddawane rehabilitacji i przekazywane troskliwym opiekunom do prywatnych domów. Były to zwierzęta o szczególnych potrzebach psychicznych i fizycznych z powodu swoich przeżyć w laboratoriach.

Kyle wszedł do środka. Zapamiętał moment, w którym duża, brązowa wyżlica i on wymienili spojrzenia. Nie orientował się, jak długo klęczał przed klatką, wiedział tylko, że Sissy przyczoł-gała się powoli i zaczęła lizać go po twarzy.

- Cześć. - Obok nich przykucnął pracownik, którego Kyle nie rozpoznał. - Chcesz ją? - rzucił z uśmiechem.

To był początek. Tego dnia Kyle zdecydował, co zrobi z resztą swego życia.

Sissy mieszkała u niego przez pięć lat, dopóki nie zdechła w następstwie wieloletniego poddawania jej eksperymentom.

Teraz miał Herkulesa, kolejnego absolwenta uniwersytetu.

Kyle pomyślał o Belindzie. Już wiedział, z czym mu się skojarzyła, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy - z udreńczonym zwierzęciem. A te kilka chwil, kiedy klęczał obok niej w kasynie, przypominały chwile spędzone przed klatką Sissy. Wyczytał to z jej oczu: znalazła wreszcie kogoś, komu mogła zaufać. Kto nigdy więcej jej nie skrzywdzi. Już po trzech dniach dostrzegł zmianę - dzięki odrobinie troskliwej opieki wspaniale rozkwitła.

Brzęczyk przy drzwiach do laboratorium rozdzwonił się nagle. Kyle odwrócił głowę, niespodziewany hałas wyrwał go z zadumy. Weszła McCall.

- Spóźniłaś się - przywitał ją Kyle.

- Nie było na to rady - odrzekła, kierując się w stronę przeglądarki. - Miałam obowiązkowy występ w gabinecie Clarke'a. Zdaje się, że teraz na ciebie kolej. Daj Boże, żebyś miał coś pozytywnego do powiedzenia na nasz temat, Woods. Jak filmy?

- Mam złą wiadomość.

McCall podsunęła sobie taboret i usiadła. Kyle pokazał odcinki DNA, choć wiedział, że to nie jest potrzebne; McCall natychmiast rozpoznała problem.

- Mój Boże - westchnęła.

- Nic dodać, nic ująć. Jak wyjaśnisz fakt, że każdy poszczególny transformant jest pozytywem ujemnym? - spytał. - Robię w tym od piętnastu lat, a takich rezultatów jeszcze nie widziałem.

- Musiało być zanieczyszczenie. - McCall przyglądała się filmom, na jej twarzy odmalowało się napięcie kilku ostatnich dni.

- Ale Kate, Tom i Robert przeprowadzali swoje transformacje oddzielnie. Każde mniej więcej dwadzieścia. Uzyskaliśmy w sumie czterdzieści transformantów. Naprawdę sądzisz, że wszystkie mogły być zanieczyszczone?

- Coś musiało być w roztworze, którego używali wspólnie. Inaczej nie da się tego wyjaśnić. - McCall westchnęła ciężko i pokręciła głową. - No to musimy zacząć od początku.

Kyle Woods nabrał wody w usta. Zastanawiał się nad znaczeniem słów doktor Sayer. Było to mimo wszystko dość prawdopodobne wyjaśnienie, ale Kyle poczuł lekkie rozczarowanie, że sięśco do niej nie mylił.

Zebrał swoje rzeczy i wrzucił do plecaka niezbędne notatki. Miał już swoją odpowiedź.

- Zobaczymy się jutro - rzekł, kierując się do drzwi z plecakiem na ramieniu. - Nikt nie będzie z tego zadowolony.

- Nie da się już nic zrobić. Hej, spróbuj nie wpłynąć na Curtisa zbyt zniechęcająco. Szkoda, żeby miał nas rozpędzić na cztery wiatry.

- Nie martw się - powiedział Kyle, kierując się do wyjścia. McCall usłyszała brzęczyk przy drzwiach i przyglądała się, jak Kyle wychodzi na korytarz. Następnie powoli wypuściła powietrze z płuc i oparła się plecami o kant stołu, ściskając rękami brzuch.

Nadeszła chwila prawdy, nieunikniona konfrontacja, której McCall tak się obawiała. Stawała do walki z Kyle'em Woodsem, który okazał się znakomitym przeciwnikiem.

Przypomniała sobie słowa Curtisa, które padły w gabinecie. **Jutro spotykam się z Woodsem...**

Czuła strumień potu lejącego się między jej piersiami. Nadal cała drżała z powodu niedawnej rozmowy z Jake'em na korytarzu, toksycznej mieszanki złości i strachu. A teraz Kyle.

Pocieszała się, że Kyle nie wydawał się zbyt podejrzliwy, po prostu był wytrącony z równowagi takimi wynikami.

Popatrzyła jeszcze raz na przegładarke. **Proszę cię, Boże. Niech Woods nie nabierze podejrzeń.**

Klisze ukazywały dokładnie to, czego McCall się spodziewała - ponieważ sama zamieniła próbówki w inkubatorze. Wyjęła właściwe, a na ich miejsce włożyła nowe, które nie zawierały poszukiwanego przez nich genu. Od początku wiedziała, że kiedy zbadają filtry, będzie to wyglądało na zanieczyszczenie. Będą zmuszeni zaczynać od początku.

Próbowała zdobyć dla siebie więcej czasu, a ze strachu przed Woodsem dopuściła się matactwa. Gdy wyizolują peptyd dla Formuły Omega, natychmiast poddadzą go dokładnym badaniom. Wtedy zrozumieją, że McCall jest oszustką.

Wzięła głęboki oddech, prostując się na krześle. Jake ją inwigiluje, pokazuje się tu Bóg wie, po co, Curtis grozi, a Kyle siedzi jej na karku.

Ściągnęła zakiet z oparcia krzesła. Będzie musiała rozprawiać się z każdym z osobna. Chwyciła torebkę i skierowała się do drzwi, zmęczona, ale zdeterminowana. Straci cenne nocne godziny - tylko wtedy była sama w laboratorium - ale nie miała wyboru. Wróci tu wieczorem. Najpierw jednak załatwi sprawę z Jake'em.

Kyle przeszedł przez parking do swego volkswagena rabbita. Cały czas zastanawiał się nad wyjaśnieniem, które podała McCall. Na **pewno używali tego samego roztworu.**

Rzecz w tym, że Kyle osobiście nadzorował procesy transformacji dokonywane przez wszystkich trzech laborantów. Nie było żadnego roztworu, którego używali wspólnie - Kyle sprawdził to dokładnie. A dla pewności sam przeprowadził własną transformację.

Na piętnaście transformantów, które otrzymał, dwanaście zawierało gen dla peptydu Formuły Omega. Wszystkie przechowywał w Laboratorium Zapachowym. McCall nie miała pojęcia, że w ogóle istnieją. Dziś nie wykrył żadnego zanieczyszczenia, tylko sabotaż.

Kyle otworzył drzwi i wrzucił plecak na miejsce obok kierowcy. Domyślał się, kto jest winien. Och, już myślała, że wywiodła go w pole, a przecież nie mogła zareagować na wyniki z taką obojętnością, podając mętne wyjaśnienie o zanieczyszczeniu.

Kyle wrzucił bieg i zaczął wyjeżdżać z parkingu. To znaczy, że Formuła Omega nie działa. To był jedyny powód, dla którego mogła zniszczyć kultury bakteryjne. Gdy tylko wyizolują peptyd, wyjdzie na jaw, że Formuły Omega nie da się wytworzyć.

Kyle przejechał obok miejsca parkingowego Belindy. Skrzywił się na widok jej miaty; najwyraźniej dziewczyna również urzędowała do późna.

Myślał o Belindzie, czując nerwowe ściskanie w żołądku. Usunął jednak poczucie winy na bok i poprowadził samochód w stronę budki strażnika. Nie mógł sobie pozwolić na luksus martwienia się o starszą siostrę Belindy. Musiał się skoncentrować na tym, co najważniejsze. Misja Kyle'a miała dużo większe znaczenie niż jakakolwiek kobieta bądź jego uczucia do niej.

Jutro zamierza spotkać się z Curtisem Clarke'em w sprawie Formuły Omega.

Jeśli poinformuje Curtisa o swoich podejrzeniach, odwróci uwagę od siebie i zaskarbi sobie zaufanie starego. Zostanie kimś w rodzaju Alexa Pacheco, który założył SETZ. Pacheco podjął pracę w pewnej placówce badawczej, wkręcił się na stanowisko dyrektora naukowego, a później ujawnił praktyki niewiarygodnego znęcania się nad zwierzętami w tej placówce. Był to punkt zwrotny w ruchu na rzecz praw zwierząt.

Kyle rozumiał, że jeśli wyda McCall Curtisowi Clarke'owi, ujawniając jej bezwartościową formułę, może kupić sobie to, czego pragnął najbardziej: przepustkę do Laboratorium 20.

Wyjechał z parkingu na ulicę.

- Wybacz, McCall. Ta sprawa jest o niebo ważniejsza.

Belinda przesunęła kartę magnetyczną w szczelinie zamka na drzwiach do Laboratorium 20, starając się zapamiętać idiotyczny kod. Zmieniali go codziennie i czasami cyfry Belindzie się mieszały. W szufladzie biurka, pod tacką na ołówki, chowała ściągawkę. Miała nadzieję, że nikt nie wejdzie i nie ukradnie identyfikatora **razem z kodem** - które przezornie trzymała oddzielnie, podobnie jak kartę telefoniczną i numer PIN-u.

Drzwi kliknęły. Belinda uśmiechnęła się zadowolona, że nie musi biec z powrotem do biurka, żeby sprawdzić kod. Jej ojciec jeszcze nie wyszedł i nadal pracował w Laboratorium Zapachowym, ale był ostatnim człowiekiem, którego chciałaby teraz zobaczyć. Przez cały dzień napadał na nią. Kazał jej uzupełniać zapasy, których nie potrzebowali, dogadywał złośliwie, ilekroć popełniła najmniejszy błąd, oraz stale się wymądrzał, aż poczuła się tępa i ograniczona.

Be-lindo, czy pamiętałaś, żeby.- I tak w kółko, bez końca.

Zdawała sobie sprawę, że to kara za piątkowy wieczór. Kiedy zjawiała się w domu po przyjeździe taksówką z Kyle'em, ojciec wziął ją w krzyżowy ogień pytań, dopóki się nie przyznała, że wieczór spędziła z kimś innym niż z Rogerem. Dała jednak do zrozumienia, że poderwała jakiegoś nieznajomego w klubie. Nikogo ważnego. Ojciec nie byłby w stanie ani słowem, ani gestem zmusić jej, by wykrztusiła imię Kyle'a.

Weszła do pomieszczenia, które nazywała „dezynfem”, musiała bowiem dla ochrony przed zainfekowaniem obciążać się dodatkową odzieżą, a później zdejmować ją i oddawać do dezynfekcji Westchnęła przeciągle, wkładając fartuch, czepek na włosy oraz ochraniacze na buty. Rękawiczki i maseczkę przyniosła ze sobą. Roger poprosił ją o spotkanie w małym gabinecie, z którego korzystał. Resztę rzeczy potrzebowała tylko we właściwym laboratorium.

Nie domyślała się, po co Roger zaprosił ją właśnie tutaj, wiedziała natomiast, że nigdzie z nim nie wyjdzie. Nie chciała się spóźnić na kolację z Kyle'em. Ale Roger obiecał, że to nie potrwa długo.

Belinda podpisała się i skinęła głową ochroniarzowi siedzącemu przed dezynfem. Mężczyzna czytał jakieś czasopismo, opierając nogi o biurko. Była to zapewne nudna praca, cały czas tak siedzieć. Belinda wiedziała, że niewiele osób miało wstęp do tego pomieszczenia. Pracujemy nad bardzo niebezpiecznymi rzeczami, tłumaczył ojciec. Nie wiedziała dokładnie, co tu się działo, była zadowolona, że nie musi tu za często przychodzić. Maseczka, ochraniacze, czepek... tyle z tym kłopotów.

Przyspieszyła kroku. Roger kazał jej przyjść do gabinetu tuż po szóstej. Wiedziała, że jest trochę na nią zły, podobnie jak ojciec. Dwa wieczory z rzędu odpowiadała Rogerowi, że ma inne plany i nie może się z nim spotkać.

Ale jakże przyjemne było odmawianie mu, zamiast przybiegania na dwóch łapkach, kiedy tylko na nią zagwiżdże. Zbyt rzadko to robiła, wiedziała o tym, zbyt rzadko odmawiała... Rogerowi. I ojcu. Roger pewnie jest zazdrosny i domyśla się, że ona spotyka się z innym mężczyzną. Właściwie zaskoczyło ją, że posunął się aż do zazdrości. No, ale jej narzeczony potrafił się dziwnie zachowywać w takich sprawach.

Nie wychodź za niego, skoro go nie kochasz. Przypomniała sobie słowa siostry i nagle zamarła. Może McCall ma rację i najwyższy czas zwrócić Rogerowi pierścionek. Belinda ciągle przesuwiała termin ślubu, choć zdawała sobie sprawę, że Roger się wścieka. Że tak czy inaczej wyladuje na niej swoją złość.

Nagle przystanąła, słysząc jakiś hałas dobiegający z gabinetu Rogera. Czyżby głosy? Trochę to dziwne, że ktoś jest u niego. Belinda wiedziała wprawdzie, że kiepska z niej laborantka, sądziła jednak, że poprosił ją o pomoc, bo nie miał nikogo innego pod ręką.

Podeszła niepewnie do drzwi. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze, coraz bardziej zróżnicowane... wreszcie Belinda uświadomiła sobie, co słyszy. Czuly szept mężczyzny, a później kobiecie postękiwanie. Natychmiast rozpoznała ten męski głos. Już kiedyś słyszała te same ospale szepty. Dawno temu, kiedy Roger odnosił się do niej życzliwie, zasypiała nawet w ich rytmie. I doskonale wiedziała, co oznaczają.

Pchnęła drzwi na oścież i powoli weszła do środka. Roger pochylał się nad stołem zwrócony plecami do drzwi i oświetlony pojedynczą lampką stojącą na biurku. Na stole leżała na wznak kobieta. Miała zadartą aż do bioder spódnicę, bluzka i fartuch były rozpięte, obnażając jej piersi. Na podłodze wały się pan-

tofle, ochraniacze i rękawiczki. Roger trzymał głowę między nogami kobiety, ramiona wyciągał do jej piersi i pieścił sutki. Kobieta pomrukiwała z cicha.

Belinda czuła się jak idiotka, stojąc tak i patrząc na nich. Powinna się odwrócić i wyjść. **Wyjdź** - krzyknął jakiś głos w jej głowie. **Nie pozwól mu na** to! Miała wrażenie, że słyszy głos siostry, że to McCall ją ostrzega.

Kobieta pierwsza zobaczyła Belinę. Wstrzymała oddech i usiadła niezgrabnie na stole, zapinając fartuch. Roger wyprostował się bez pośpiechu i odwrócił twarzą do Belindy.

- Witaj, kochanie - rzekł, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł twarz. - Powiedziałaś, że jesteś dziś zajęta, więc zaplanowałem sobie sam wieczór.

- O Jezu, Roger - wyszeptała kobieta. Zeskoczyła na podłogę i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Ale Roger ją powstrzymał i kazał się wyprostować.

- Dokąd się wybierasz? Jeszcze nie skończyliśmy - powiedział, przyciskając ją brutalnie do stołu.

- O co chodzi, Roger? - spytała Belinda. - Po co mnie tu zaprosiłeś? - Zdziwiona poczuła lzy napływające do oczu.

Przecież nie kochała Rogera. Wiedziała, że go nie kocha. - Czy to jakaś zemsta, bo nie chciałam się z tobą umówić na dzisiaj?

- Roger, chcę już iść - jęknęła kobieta. - Mogę ci załatwić tę dostawę. W tym tygodniu. Może nawet jutro.

- Soniu, chciałbym cię przedstawić mojej narzeczonej, Belin-dzie Sayer. Sonia jest jednym z naszych dostawców, bardzo ważnym elementem naszej przyszłości w Ciarke Labs. Mieliśmy drobne niepowodzenie z dostawą z Anglii, ale ta pomysłowa dama ma nadzieję, że zdoła to nadrobić.

- Powiedziałam tylko, że spróbuję. - Kobieta wydawała się równie zaskoczona jak Belinda.

- Przecież wiesz, że nie tylko tego oczekuję od ciebie, kochanie. - Roger stanął za Sonią, patrząc przez jej ramię na Belinę. Sonia była bardzo ładną brunetką o dużych brązowych oczach i pociągającej figurze. Roger wsunął swą dłoń pod fartuch, który wciąż ścisnęła kurczowo. Belinda widziała, jak obmacywał piersi kobiety.

- Belinda rozumie - mówił dalej Roger - że mam potrzeby, których ona nigdy nie będzie umiała zaspokoić. Widzisz, Soniu, moja narzeczonej nie jest zbyt dobra w wielu rzeczach. Od sek-

su do nauki. - Roześmiał się: - Mam rację? - a potem zaczął wsuwać dłoń pod jej fartuch.

- Ty chyba jesteś chory - odparła Belinda, usiłując go odepchnąć. - Oboje jesteście chorzy.

Roger znowu się uśmiechnął, całując tamtą w policzek.

- Masz rację, kochanie. Pomyśl tylko o tych wszystkich chorych rzeczach, które robiliśmy razem.

To była prawda. Belinda pozwalała mu na pewne rzeczy, do których czuła wstręt, które sprawiały, że czuła się wewnętrznie splugawiona, po których zaczynała nienawidzić samą siebie.

- Szkoda, że jej nie widziałeś, Soniu. Ona nie ma zielonego pojęcia, jak zrobić facetowi dobrze. Płacze się po laboratorium i udaje, że wie, co robi. Tymczasem przez pół dnia chrzani robotę, tak jak wszystko inne. Nie przyznasz mi racji, Belindo? Przez pół dnia? A może tyle arytmetyki to dla ciebie za dużo, kotku?

Belinda powiedziała do siebie, że ma to gdzieś, że Roger jest okrutny, a ona była głupia, pozwalając, żeby ją ranił.

Próbowała skupić myśli na Kyle'u. Na tym, że on ją lubi.

Tylko że nie była już taka pewna. Kiedy się z nim całowała, on pierwszy się odsuwał. Pierwszy kończył i mówił, że czas do domu. A przecież Kyle był taki mądry. Dlaczego miałby ją lubić? Durną Belindę.

- Ty Belindo nie nadajesz się dla nikogo - szepnął Roger. -A więc mam piękną Sonię. Stuprocentową kobietę. Nie dalej jak wczoraj pomyślałem, jak to dobrze się składa dla twojego ojczulka, że wróciła McCall. Ponieważ ty nigdy nie zajmiesz jej miejsca. Ojczulek szybko sam się o tym przekona.

Jego słowa rozdzierały Belindzie serce, potwierdzając wszystkie jej wątpliwości. Me **nadaje się**. Nie nadaje się dla Kyle'a, dla własnego ojca. Nawet dla matki, która wolała w końcu towarzystwo alkoholu. Wszystkie wątpliwości, które Belinda starała się zepchnąć do tajemnych zakamarków duszy, wypelzły na światło dzienne, rozwinęły skrzydła i wystawiły na pokaz jej słabości.

Jesteś za głupia. Brak ci urody - nie masz w sobie niczego szczególnego. Nie nadajesz się dla nikogo.

Ściągnęła z palca brylantowy pierścionek, który dostała od Rogera z okazji ich zaręczyn.

- Masz rację - powiedziała, pochodząc do jego biurka. - Ja się po prostu dla ciebie nie nadaję.

Położyła pierścionek na biurku, dumna z siebie, ponieważ nie załamała się kompletnie. A potem wybiegła z gabinetu. Ruszyła pędem w głąb korytarza, dławiąc łzy. Mówiła do siebie, że tak jest najlepiej. Roger zemścił się, ale i ona się wreszcie od niego uwolniła. Zdawała sobie sprawę jednak, że to nieprawda, bo w jej głowie wciąż rozlegał się głos Rogera.

Me nadajesz się... nie nadajesz się... dla nikogo.

Belinda człapała korytarzem, a zbierające się w oczach łzy utrudniały jej widzenie. Stare wątpliwości ryknęły w jej głowie niczym olbrzymia bestia.

Jesteś za głupia. Brak ci urody... nie masz w sobie niczego szczególnego.

Pomyślała o Kyleu, który czekał na nią w restauracji. Oto gdzie chciała się znaleźć - teraz, w tym momencie - w ramionach Kyle'a, mężczyzny, któremu naprawdę na niej zależało. Który przynajmniej okazywał jej przychylność i cierpliwość. W dezynfie zdjęła fartuch, ściągnęła ochraniacze, zerwała czepek, maseczkę i rękawiczki, wrzucając każdą rzecz do specjalnego pojemnika. Chciała, aby Kyle pokochał ją aż do bólu. I modliła się, modliła się z całego serca, żeby mu to się udało.

Proszę cię, Boże, spraw, abym choć raz w życiu się nadawała.

- Mac? - spytał Jake, otwierając drzwi. - Coś podobnego. Jakoś mnie znalazłaś.

- Nawet nie próbuj udawać, że jesteś zdziwiony - rzekła, przechodząc obok niego. - I pozbądź się tego zuchwałego wyrazu twarzy.

- Zuchwałego? - Jake zamknął drzwi i wszedł za McCall do apartamentu hotelowego. - Ja się po prostu cieszę, że cię widzę. Dbasz o pledzik, w którym stąd wyszłaś? Nie chciałbym grymasić, ale należy on poniekąd do rodzinnego dziedzictwa.

McCall puściła to mimo uszu. Cisnęła torebkę na barek i powiesiła żakiet na jednym ze stołków. Miała na sobie spodnie w kratkę oraz czarną, elastyczną bluzeczkę. Suwak był niedopięty na tyle, by przyciągać uwagę. Jake właśnie wyszedł spod prysznic. Wojownik szykujący się do boju, założył swój najlepszy pancerz: ulubioną koszulę do gry w kręgle i spodnie khaki.

- Dlaczego? - zapytała tym swoim urywanym głosem, opierając ręce na biodrach.

Jake nawet nie udawał, że jej nie rozumie.

- Daj spokój, Mac. Mam wrażenie, że chciałabyś mi zapuścić tę radioaktywną sondę.

- Co za kusząca myśl.

Jake uśmiechnął się. Mac przemierzała pokój tam i z powrotem, od kanapy do kanapy, a przy każdym kroku jej loki falowały. Miała włosy związane w kucyk i ognistorude pasemka rozwiewały się na czubkach uszu.

Jake'owi stanęły przed oczami zdjęcia kobiety, które znalazł w aktach FBI. Dzisiejsza Mac nie mogła się już bardziej różnić od tamtej jajogłowej uczzonej. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, obserwując Doktor Miłość.

- Żałuję, że mnie tam nie było - rzekł, wypowiadając swoje myśli na głos. Nie obawiał się szczerości wobec Mac. Przynajmniej nie w tych sprawach. - Żałuję, że nie znalazłem cię w tamtych trudnych czasach, które zniszczyły widoczną na fotografiach skorupę i ukształtowały cię taką, jaka jesteś teraz.

- Przestań - rzuciła. Zatrzymała się, zaciskając pięści.

- Szkoda, że nie mogłem ci jakoś tego ułatwić. Mac potrząsnęła głową i spojrzała mu w twarz.

- Ty wcale nie chcesz ułatwić mi życia.

- Być może masz rację - odparł, rozpamiętując własne zmagania w ciągu czterech minionych lat. - A wiesz dlaczego?

Czasami zmiana nie może się odbyć bezboleśnie. Motyl wychodzący ze swego kokonu. Jeśli próbując pomóc, rozerwiesz kokon, wylaniające się stworzenie ukształtuje się tylko częściowo i nie przeżyje. Motyl sam musi zdobyć się na wysiłek, aby rozwinąć się w całości. Kobieta na tych fotografiach przypominała właśnie motyla, zanadto się koncentrowała i była tylko w połowie ukształtowana.

Nagle Mac stanęła przed Jake'em i zabębniła pięściami o jego klatkę piersiową.

- Przestań. Po prostu przestań! - zawołała. - Czemu to robisz? Po co byłeś w laboratorium? Śledzisz mnie? Mam, prawo wiedzieć. - Znowu go pchnęła, tym razem silniej. Zresztą Jake zmusił ją do tego, cofając się o krok. - Czy to może jakiś obłądny symptom Klątwy Donovanana? Po prostu kolejna panienka w niedoli, której marnujesz życie? Odpowiadaj!

- Zdaje się, że już po mnie, bez względu na to, co powiem - odparł, dostrajając się do jej tonu. - Żadna z powyższych odpowiedzi nie pasuje, Mac. Tu nie chodzi o żadne gry.

- Zjawiasz się w laboratorium, wyglądasz jak... A te twoje ubrania. Skąd je wytrzasnąłeś?

- Miałem akurat pod ręką.

- A to imię. Jonathan?

- Jonathan Patrick Donovan - odparł, podchodząc bliżej i uśmiechając się promiennie. Mac zrobiła krok do tyłu, żeby zachować dystans między nimi. - Naprawdę mam na imię Jonathan. Lubimy w rodzinie takie rzeczy. Zdrobnienia. Nim zdążyła go powstrzymać, złapał ją obiema rękami w tali i przyciągnął do siebie.

- Na przykład Mac. Może i nie lubisz, kiedy cię tak nazywam, ale pasuje do ciebie. McCall była kobietą na fotografiach. Ta, która powinna nosić na bluzce plakietkę z napisem: KOCHAM NAUKĘ - powiedział, odgarniając jej włosy.

- Puść mnie - wycedziła, choć bez większego przekonania. Jake zastanowił się, czy ma ją puścić. Naprawdę pomyślał o tym. Głos rozsądku w jego głowie podpowiadał nawet, że to może okazać się najlepsze Wyjście - pozwolić Mac zniknąć z jego życia. **Sprytne wyjście.**

Ale wspomnienie zagłuszyło tamten głos. Wspomnienie Mac, którą wołała jego imię przez sen. Pokręcił głową.

- Może nie było mnie na miejscu cztery lata temu, gdy twój świat przekręcił się do góry nogami. Ale teraz jestem. Nie pozwolę im ponownie ciebie skrzywdzić.

- A co cię to obchodzi? - spytała Mac, lecz równocześnie załśniły jej oczy, jakby z całej siły tłumila łzy.

-No, tu się popisałaś, Mac. Przedwczoraj leżałaś naga w moim łóżku. Kiedy się kochaliśmy, nie miałaś dosyć - powiedział Jake i przycisnął palec do jej ust, żeby poczuć ich słodką miękkość. -A teraz pytasz, co mnie to obchodzi?

Mac zamknęła oczy.

- Proszę, nie rób tego. Jestem na to za słaba.

- Pamiętasz tę noc? - Palce Jake'a wciąż śledziły zarys jej ust, pełną dolną wargę i kontury górnej, wiedząc, co Mac miała na myśli, odczuwając to równie głęboko. - Te wspomnienia zamieniły mi łóżko w lodową trumnę. Każą zatrzymać ubranie, które tu zostawiłaś, jak bym był jakimś zidiociałym fetyszystą. Tylko dlatego, że pachną tobą. Pragnę cię z powrotem, Mac. Leżącą obok mnie na tym łóżku.

- Popelniasz błąd - wyszeptala. Ale kiedy zarzucił sobie na szyję jej ramiona, nie stawiała oporu. Wręcz przeciwnie, pożerała wzrokiem jego usta.

- Nie, Mac. Błędem jest odwracanie się od tego. - Nachylił się i zaczął ją całować krótkimi, zaczepnymi pocałunkami, czekając na protesty Mac. Nie doczekał się żadnego. - Owej nocy, w czasie twoich koszmarów, krzyczałaś przez sen i obudziłaś mnie. Wiesz, czyje imię wołałaś? Moje. Tylko moje. Raz po raz.

Teraz go pocałowała, czesała palcami jego włosy, tuląc go do siebie i otwierając usta pod naciskiem jego warg. Jake odchylił się do tyłu i uśmiechnął czule, kiedy Mac wyprężyła się na palcach, aby go dosięgnąć.

- Nie masz prawa żądać, abym o tym zapomniał.

W drzwiach frontowych przekręcił się klucz i do salonu weszła Mindy z Michaeliem. Mindy, studentka z Tulane, była ulubioną uczennicą matki Jake'a. Słodki dzieciak, przypominający młodą Vanesę Williams, i jedyna opiekunka, której z zaufaniem powierzał wieczorami Michaela. Dobra, kochana Mindy. Przyszła absolwentka pedagogiki specjalizująca się w literaturze. Odpowiedzialna, surowa, ale wesola.

Otwierała teraz oczy równie szeroko jak jego syn, osłupiała na widok Jake'a i Mac przywierających do siebie tak ściśle, że praktycznie stanowili jedność.

- O rety! - szepnęła Michael, ściskając w palcach Przysmak dla Jake'a.

- Ach. - Mindy podała Jake'owi torbę z McDonalda i uśmiechnęła się nieśmiało. - Jesteśmy trochę wcześniej, ale pomyśleliśmy, że może nie będziesz miał okazji zjeść przed pójściem do pracy.

- Przepraszam - powiedział Jake do Mindy.

I chwycił Mac pod kolana, zarzucając ją sobie na ramię.

- Pani trochę zasłabła - poinformował syna, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej poważnie. - Zdaje się, że musi poleżeć.

Mac nie odrywała spojrzenia od Michaela, który wydawał się równie zahipnotyzowany jej widokiem. Jake doszedł do wniosku, że oboje zaniemówili pod wpływem szoku. Nie należał do ludzi marnujących takie okazje, toteż wyniósł po prostu Mac do sypialni.

- To potrwa tylko jedną chwilę - rzucił przez ramię.

- O reety!

Okrzyk Michaela towarzyszył im aż do sąsiedniego pokoju. Jake kopniakiem zamknął drzwi i przekręcił klucz. Opuścił Mac

na łóżko i natychmiast sam się na nim położył, aby nie zdążyła uciec. Pochylił się ku niej, ujął jej twarz w dłonie i powoli zaczął się na niej kłaść. Chciał, żeby poczuła, jak jego ciało, nie podtrzymywane nad nią siłą jego ramion, stapia się z jej ciałem.

- Twój syn jest tutaj - szepnęła.

- Owszem. Poznałem go. Opiekunka też wygląda podobnie.

- Powinnaś wyjść.

- Nie słyszałaś? - zapytał, całując ją w usta. Raz po raz. - Zasląblaś. Musisz wypocząć. , \

Przycisnęła swoje czoło do jego. I nagle już go obejmowała, otaczała jego plecy ramionami i zaciskała je kurczowo, jakby ze strachu, że mógłby zniknąć.

- Jest jeszcze ładniejszy niż na fotografiach.

- Tak. Wiem.

Kiedy spojrzała na niego, miała łzy w oczach.

- Szkoda, że nie jest nasz. - Wyszeptala to niczym tajemnicę. Jake otarł jej łzy z twarzy.

- Oszczędź mi wzruszeń, Mac.

- Nic na nie poradzę - odparła, śmiejąc się cichutko. - Spałam niecałe sześć godzin, odkąd stąd wyszłam.

- Widzisz? Naprawdę potrzebujesz odpoczynku.

Ale Jake dobrze rozumiał, co czuje Mac, ponieważ on czuł to samo. Pokrewne dusze, bądź co bądź.

- Moja brakująca połowa - oznajmił najpoważniej w świecie.

- Och, Jake - westchnęła, przesuwając palcami w jego włosach. - Teraz nie możemy być ze sobą.

- Chyba już jesteśmy. - Jake lekko się poruszał w niespiesznym tańcu bioder nad biodrami. Gdyby nie mieli na sobie ubrań, mógłby się w niej zatopić. Uczynić ją natychmiast częścią samego siebie. - Pamiętasz, jak to z nami było?

Wizja połączenia wabiła go uwodzicielsko. Gdyby się z nią przespał, miałby większy wpływ na jej dalsze postępowanie, choćby dzisiejszego wieczoru.

- Tak się składa, że jestem facetem staromodnym - powiedział, nie odrywając ust od jej warg.

- I to mówi mężczyzna, który ma dwie byłe żony?

- To się nie liczy. - Trzymał jej twarz w dłoniach. - Piątek coś dla mnie znaczył. Nie chcę się od tego odwracać. A ty?

Mac przymknęła oczy.

- Jakie zawrotne tempo - szepnęła.

- Czy ja wiem, Mac. Sądziłem, że moje tempo jest w sam raz. Kiedy zrozumiała, co miał na myśli, jej oczy rozszerzyły się trochę. Jake wyczuł dokładnie moment, w którym Mac przypomniała sobie ich uniesienia miłosne.

- Tak - przyznała. - Twoje tempo jest rozkoszne, Jake'u Do-novanie.

- Otaczają cię źli ludzie - powiedział z rozwagą, kierując rozmowę na inny temat. - Ludzie, którzy nie mają czystej kartoteki. Ale być może nie wiesz o nich tyle, ile powinnaś. - Nie mieściło mu się w głowie, że Mac może być zamieszana w sprawę, o których mówił Gus. Oraz akta FBI. **Pieprzyć to.** Instynkt podpowiadał Jake'owi, że proceder szalonego naukowca nie pasuje do Mac.

- Curtis Ciarke - ciągnął. - Mógłbym ci niejedno o nim opowiedzieć - dodał ostrożnie, mając nieprzepartą ochotę zwierzyć się Mac.

Spoglądała na niego, ale coś się zepsuło w odczuwanym przezeń połączeniu, ponieważ Mac nagle uwolniła się od jego ciężaru. Usiadła prosto na łóżku odwrócona do niego plecami.

- Chcesz mi powiedzieć, że jest niebezpieczny? - spytała. - Że jest zdolny do zbrodni? Chcesz mnie przed nim chronić? - Tak.

Milczała, nie zdradzając się z niczym. W pierwszej chwili zląkł się, że źle to rozegrał, skoro się od niego odsunęła. Ale potem wyczuł subtelną zmianę w postawie kobiety, jak za dawnych czasów, kiedy prowadził przesłuchania. Intuicją była dla niego wszystkim. A teraz w tej chwili, Mac była przy nim. Ufała mu.

- Przypuszczam, że Roger zabił moją partnerkę Alicję Goodman - oznajmiła. - Nie wiem, czy Curtis maczał w tym palce, ale wcale bym się nie zdziwiła.

- Czytałem akta, Mac. Przeprowadzono śledztwo. Przypadkowa śmierć. Nikogo nie postawiono w stan oskarżenia.

Odwróciła się, oczy miała niezwykle zielone.

- Uważasz, że Roger nie potrafi sobie tego załatwić?

- Ty mi to powiedź.

Pochyliła się ku niemu bliżej, nawet ruch jej ciała przekonywał Jake'a, że może wierzyć Mac.

- Feralnej nocy Roger prowadził samochód Alicji. Roger uwielbia samochody. I to szybkie. Miał wtedy maserati. Wciąż zadaję sobie pytanie, że skoro to był wypadek, to dlaczego nie jechali maserati? Dlaczego miałby siedzieć za kierownicą samochodu Alicji?

Ale jeśli zamierzał ją zabić, jeśli to sobie zaplanował, to z pewnością wolął zostawić maserati w garażu. Nie chciałby go poświęcić.

Słowa te padły w gorączkowym pośpiechu, prześcigając się wzajemnie i nabierając pędu, jakby Mac trzymała je w sobie zbyt długo. Sprawiała wrażenie, że brakuje jej tchu, jak maratończykowi przed metą.

- Powiedział, że hamulce wysiadły - kontynuowała. - Że stracił panowanie i uderzył w drzewo. Samochód wpadł w poślizg, przejechał na drugą stronę wału i runął do zatoki. Roger jest świetnym kierowcą, widziałam, jak robił zwrot o 360 stopni na deszczu, tylko po to, żeby mnie przestraszyć. Na pewno by z tego wyszedł. Wypadek. Moim zdaniem on to wszystko zaplanował.

- Dobrze. W porządku - odparł Jake, ponieważ na razie była to tylko jej własna wersja wydarzeń. Żadnych dowodów. - Ale, Mac, fakty mówią...

- Ja znam fakty, Jake. Myślał, że zginęła od uderzenia w drzewo, że sam ledwo się uratował. Ale nie od razu wezwał policję. Podobno stracił przytomność. - Teraz do jej głosu wkradła się złość. - Wystarczyło mu przytomności, żeby wydostać się z samochodu i dopłynąć do brzegu. Dopiero wtedy zemdlął.

Jake widział, jak bardzo się starała, aby jej uwierzył.

- Prawdopodobne, choć podejrzane - bąknął.

- Nigdy nie zapomnę jego słów, którymi opowiadał mi o wypadku. Pobrzmiwały tonem fałszywego współczucia, zupełnie jakby czytał fragmenty jakiegoś scenariusza. Przysięgam ci, Roger dobrze się przy tym bawił. Wprawdzie miał w oczach łzy, ale jednocześnie się uśmiechał, jakby rozpierała go duma, że potrafił te łzy uronić. Spojrzał na mnie i powiedział, że na pewno zginęła, nim samochód wpadł do wody. Skąd mógł to **wiedzieć?**

- Myśli, że zginęła? - odezwał się Jake, nadal słysząc mnóstwo przypuszczeń. - Wygląda mi to na prywatną opinię. Jak się okazało, błędną. Autopsja dowiodła, że kobieta utonęła; jest o tym mowa w jednym z tych wycinków prasowych.

Motywy, Mac. Podaj mi motywy.

Ilekcóż Jake kogoś przesłuchiwał, nadchodził zawsze taki moment, w którym podejrzani chcieli mu zaufać, ale się bali.

Jake mógłby w zasadzie sam dokończyć zeznanie, było ono wyraźnie widoczne, tkwiło gdzieś na końcu języka osoby przesłuchiwanej. Ale żeby rozegrać ten moment właściwie, musiał czekać cierpliwie i nie tracić nadziei, że milczenie przechyli szalę na jego korzyść.

Widział, że Mac się waha. Na chwilę odwróciła wzrok, zaczęło jej brakować tchu.

- Dawał do zrozumienia, że mogli mieć romans. Alicja trzymała to w tajemnicy - powiedziała, zniżając głos do szeptu - bo Roger był od niej dużo młodszy. Nie znasz Rogera. To pokręcony facet. Jeśli nim wzgardziła...

Jake potrząsnął głową. Czuł, że Mac coś przed nim ukrywa.

- Ach, daj spokój, Mac. Teraz mnie rozczarowujesz - powiedział, przysuwając się bardzo blisko i przechylając jej głowę ku swojej. - Nie wie pani, doktor Sayer, że kiedy człowiek kłamie, towarzyszą temu wyraźne objawy neurologiczne?

Najczęściej w źrenicach. Rozszerzają się o ułamek centymetra. Można to łatwo przeoczyć. Jeśli chce pani mówić w sposób naprawdę przekonujący, musi pani nad tym popracować.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem...

- Oczy, Mac. Oczy. - Jake przycisnął palec do jej ust w geście uciszenia. - Powróćmy do naszej gry, prawda czy wyzwanie. Powiedziałaś, że ktoś cię wrobił, fałszując dane tak, żeby to wyglądało na twoją robotę, a także poszczuł cię agentami FBI za pomocą anonimowych telefonów. Powiedziałaś, że stał za tym Curtis. Sądzisz, że Roger zabił twoją partnerkę. Zrób coś dla mnie i złóż to wszystko do kupy. Motywy, Mac. Czekam na motywy.

Chciała mu ufać, ale się bała. Jake widział to w jej twarzy. A przecież egzamin nie dotyczył wyboru ławy przysięgłych, gdzie jego emocje nie odgrywały większej roli. Widział, że Mac rozważa w głowie wszystkie za i przeciw. Pragnął jednak, aby ufała mu z całego serca.

Ścisnął jej dłoń.

- Zaufaj mi - szepnął. - Tylko o ten jeden stopień wyżej.

Omam nie padła bez zmysłów pod wpływem jego dotyku. Popatrzyła na ich splecione palce, a później ścisnęła je mocno ze sobą. Kiedy się odezwała, Jake prawie jej nie słyszał.

- Cztery lata temu Curtis Ciarkę zaproponował mi pracę - powiedziała szeptem. Po chwili jednak jej głos stwardniał i nabrał pewności. - Chciał, żebym szefowała Działowi Badawczo-Ro-zwojowemu zamiast mojego ojca. Kiedy odmówiłam, zaczął grozić, że jeszcze będę tego żałowała. Dwa tygodnie później stałam się obiektem federalnego dochodzenia, moje badania zostały podważone, a reputacja zaszargana.

Bingo. Jake myślał o Gusie, o zamrożonych embrionach. Być może Ciarke już wtedy potrzebował genetyka i dlatego próbować zwerbować Mac, ale ona nie chciała włączyć się do gry.

- Dwa tygodnie później ginie twoja partnerka - dokończył za nią Jake. - Może coś odkryła, zapewne mistyfikację, może nawet brała w niej udział. Dranie uznali, że skoro nie pracujesz dla nich, to nie pracujesz w ogóle. Ale twoja partnerka miała wątpliwości. Zmiana frontu. Ostatecznie byliście przyjaciółkami. Może groziła Clarkeowi, żeby go powstrzymać. Może Ciarke doszedł do wniosku, że wiedziała za dużo.

- Tak właśnie uważam.

- Psiakrew. - Jake puścił dłoń Mac i przeciągnął palcami po swoich włosach. - Psiakrew!

Otworzyła mu się w duszy niezabliźniona rana, która piekla go zawsze, ilekroć sprawa szła źle. Rzucił się z powrotem na poduszki. Scenariusz wydarzeń, który przed chwilą nakreślił, okazał się bardzo prawdopodobny. Mac coś kombinowała, nie знаła nawet połowy prawdy.

Powoli wypuścił powietrze z płuc. Mac przypominała piorun kulisty, coś, czego nie potrafił okiełznać. Znowu wyprostował się na łóżku, dopadając Mac, bojąc się, że zniknie mu z oczu, nim zrozumie grożące jej niebezpieczeństwo.

- Wróciłaś, żeby się zemścić. Planowałaś to od lat. Musiałaś zdobyć pieniądze na badania nad twoim eliksirem miłości, pokusą, której Ciarke nie zdoła się oprzeć. Tylko że byłaś usunięta poza nawias świata uczonych i nie miałaś dostępu do poważanych placówek naukowych. Zająłaś się więc grą w oczko, która przynosiła ci dość pieniędzy na życie i działanie bez wzbudzania podejrzeń. A umiesz świetnie rachować i jesteś być może obdarzona fotograficzną pamięcią.

To wszystko miało sens i Jake'a ogarnął zwierzęcy strach przed kłopotami, w które pakowała się Mac.

- I teraz cię mają. Formuła Omega w rzeczywistości to poroniony pomysł, który będzie ich kosztował miliony - mówił dalej, przedstawiając jej własną teorię. Chwycił Mac za ramiona i przyciągnął mocno do siebie, chcąc koniecznie wypowiedzieć się w tej sprawie. - Posłuchaj, Mac. Nie uda ci się wykołować tych facetów.

- Myślisz, że o to mi chodzi? Że to jakaś wendeta?

- Zmarnowali ci karierę, obrócili twojego ojca przeciwko tobie. Sama to powiedziałaś. A wszystko dlatego, że nie chciałaś uczest-

niczyć w ich grze. - Miał już swoje wyjaśnienie i było ono cholernie lepsze od twierdzenia, że Mac jest w zмовie z Clarke'em.

Spojrzała na niego, a oczy miała błękitne z wąskim krążkiem zieleni.

- Tylko tyle widzisz w moim sercu? Zemstę?

- Mam nadzieję, do diabła, że wiem, co jest w twoim sercu - odparł, gdyż nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę co do niej.

- Słuchaj. Mogę zająć się Clarke'ami, ale musisz się z tego wycofać. Musisz pozostać bezpieczna.

- Widzisz we mnie jedną ze swoich panienek w niedoli, racja? - spytała zmęczonym głosem. Wyciągnęła rękę do góry i pogładziła Jake'a po policzku, następnie pokręciła głową i spojrzała mu w oczy. - I chcesz mnie ratować. Tak, Jake?

Nie odzywał się dłuższą chwilę. Czuł, że otwiera się przed nim kolejny grząski teren. Raptem jednak nabral przekonania, że Mac zamierza go pocałować. Było to wyraźnie widoczne w spojrzeniu, którym błędziła po jego ustach, budząc w nim gorące pożądanie. Ale zamiar taki klócił się z jej nastrojem, jej głosem i słowami. Jake spoglądał na nią wyczekująco.

Po chwili dostał za swoje. Prosto między oczy.

- Jak zobaczę cię znowu kiedyś w Ciarke Labs - oznajmiła - powiem Rogerowi, że byłeś prokuratorem. On już się przyjrzy dokładnie tym twoim rzekomym inwestorom. Wpadniesz w niezłe tarapaty:

Poruszała się tak prędko, że aż stracił równowagę. W jednej chwili znajdowała się w jego ramionach, a w następnej obejmował puste powietrze.

- Nie zbliżaj się do laboratorium, Jake - powiedziała, stając przy drzwiach. - Nie jestem tu dla zemsty. Jestem tu dla ratowania życia. I nikt, nawet ty, mi w tym nie przeszkodzi.

Jej słowa były dla Jake'a tak ciężkim ciosem, że pozwolił jej odejść, a potem siedział i gapił się bezmyślnie na puste miejsce, które po niej pozostało.

Powiem Rogerowi, że byłeś prokuratorem. Wydałaby go... ot tak sobie. Dlatego, że próbował jej pomóc.

Powoli wstał z łóżka, czując wściekłość, bezsilną wściekłość. Stał tak przez chwilę, usiłując to wszystko zrozumieć. Kiedy wszedł wreszcie do salonu, zdążył tylko zobaczyć zamykające się za Mac drzwi.

Michael pokazywał ręką.

- Tędy poszła, tato.

Jake wpatrywał się w drzwi, słysząc ciągle jej groźby, widząc jej spojrzenie. Żrenice oczu miała niezmienione. Mimo wszystko nakazał sobie spokój, nie chciał, żeby emocje wywołały mu zamęt w głowie. Zanalizował pokrótce reakcję Mac, szukając najprostszycy wyjaśnień i pomimo złości nie mógł się z tym zgodzić. Ze wydałaby go ot tak sobie.

- Powiedziała, że ma na imię Mac - odezwał się Michael. Był niezwykle podniecony całą sytuacją. - Przyniesie mi książeczkę do kolorowania, kiedy znowu przyjdzie.

Jake odwrócił się do syna.

- Powiedziała Mac?

- Tak. Wiesz, jak Big Mac.

- No, kto by to pomyślał. - Jake zerknął na drzwi. - Chyba już przywykła.

Wrócił spojrzeniem do chłopca i popatrzył na niego oczami Mac. Śliczny pięciolatek z karnacją swego ojca, nad wiek rozwinięte, bystre dziecko. Jake przypomniał sobie zachowanie Mac w pokoju Michaela. Wszystkiego musiała dotknąć, a potem zaatakowała jak lwica, kiedy pomyślała, że Jake zanadto syna tyranizuje.

Przyznała, że dokonuje projekcji z własnego dzieciństwa, Jake uważał jednak, że za tym kryło się coś więcej.

Podszedł i przykucnął obok barku naprzeciwko taboretu Michaela.

- Ma ci przynieść książeczkę do kolorowania, hę? - Poświęciła więc cenny czas na rozmowę z chłopcem, nie od razu stąd wybiegła.

- Tak. Bo zobaczyła, że w moim pokoju takich nie ma. Jake uśmiechnął się, wściekłość zniknęła bez śladu. Zaczynało mu się głowie przejaśniać.

- Wiesz co, współniku? Nie wierzę, aby mogła nas komukolwiek wydać.

- Pewnie, że nie - odparł chłopiec, wbijając zęby w porcję swego pysznego Chicken McNuggets na wynos. - Podoba mi się jej imię, Mac. Mac, Big Mac.

- Tak - bąknął Jake. - Moje ulubione.

Wstał i zwrócił się do opiekunki, która śledziła każdy krok bohaterów nowego odcinka opery mydlanej.

- Muszę już iść.

- Jasne - odparła Mindy. - Michael i ja jesteśmy gotowi. Jake podszedł do szafy w ścianie i chwycił kurtkę lotniczą.

- Znasz numer mojego pagera. Dzwon w razie potrzeby. Michael musi być w łóżku o ósmej - powiedział. - Może obejrzyć wideo. Ale pamiętaj, wyłącznie w twojej obecności. Podyskutujcie o wątku fabularnym... Michael jest w tym naprawdę dobry. Powiadam ci, mój dzieciak to drugi Spielberg.

Idąc do drzwi, rzucił okiem na Elvisa. Za godzinę powinien być w pracy, na nocnej zmianie. W Bogu nadzieja, że Dinowi uda się go kryć.

McCall opierała głowę na kierownicy. **Powiem Rogerowi, że byłeś prokuratorem...**

- No i dobrze - powiedziała na głos. Wyprostowała się i spojrzała we wsteczne lustro, w którym zobaczyła odbicie własnych oczu. - Jak wypadłam tym razem, Jake? Czy moje oczy mnie zdradziły?

Sięgnęła do schowka po okulary. Kłamała, rzecz jasna. Nigdy w życiu nie wydałaby Jake'a Rogerowi, narażając na zgubę jego samego albo tego ślicznego chłopczyka. Lecz Jake to mężczyzna zanadto przywykły do ratowania kobiet. Wkracza śmiało do akcji, nie bacząc na niebezpieczeństwo. McCall miała więc obowiązek myśleć także i za niego.

Wcisnęła kluczyk do stacyjki, jeszcze raz wpadając w irytację. Jak gdyby nie miała większych zmartwień. Jake już wkroczył do akcji, podejmował ryzyko, stał u jej boku w taki sposób, że wychodził Rogerowi pod lufę.

Jeszcze ten wspaniały chłopczyk. Jaki los go czeka, gdyby Ja-ke'owi coś się stało?"

- Nie zostawię go na łasce faceta zwanego Dickeyem - postanowiła, wrzucając bieg i ruszając tyłem z parkingu.

Gdy tylko zobaczyła Michaela, zaskoczyła ją siła własnego pragnienia, aby uczynić z nich rodzinę. Nagle zobaczyła w wyobraźni ich troje na zawsze złączonych razem. Michael to zdolny chłopiec, już czytał, podczas kiedy większość dzieci w jego wieku potrafi najwyżej wyrecytować alfabet. Mogłaby go uczyć, jak żyć, kiedy błyszczy się inteligencją, jak pozostać szczęśliwym mimo jej ciężaru.

W ferworze proroczej wizji kłopoty z Ciarke Labs ulotniły się jak kamfora. Mac poświęciła wszystkie myśli rojeniom o życiu z Jake'em i Michaeliem. Tak jak Barb, Stan i bliźnięta. Zobaczyła przed sobą ten obraz tak wyraźnie, że aż się rozplakała.

Krążyła po labiryncie zaparkowanych pojazdów. Pamiętała dokładnie, że w następstwie swej proroczej wizji zwierzyła się Ja-

ke" owi, choć postanowiła wykluczyć go z tego równania. Nagle potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Uświadomiła sobie, jak bardzo była ślepa, skoro uznała, że Jake przyszedł dziś do laboratorium, aby ją inwigilować. Powinna była wiedzieć - powinna była się domyślić, że Jake będzie starał się ją osłaniać. Teraz sama go musiała chronić, ponieważ ją kochał. Widziała to wyraźnie w jego oczach. Pragnął, żeby była bezpieczna. Zamierzał ją ratować. Właśnie dlatego powiedziała te straszne rzeczy. Chciała sprawić, by ją znienawidził - bodaj na kilka dni, których bardzo potrzebowała. Właśnie dlatego nie opowiedziała mu o dzienniku laboratoryjnym Alicji. Wciągnęła głęboko powietrze do płuc; czuła, że odzyskuje panowanie nad sobą. Musiał być świetnym prokuratorem. Scenariusz, jaki odmalował na temat jej życia w ciągu ostatnich czterech lat, zgadzał się co do joty. Pewne wahnięcie nastąpiło dopiero przy samym końcu, kiedy Jake mówił o zemście. Objechała parking dookoła i skręciła w ulicę. Musi wrócić do laboratorium. Dała sobie słowo, że nie wyjdzie dzisiaj z pracy, póki czegoś nie znajdzie. Jakiegoś namacalnego dowodu. Wówczas odwiedzi swego ojca. Przy jego pomocy zdoła pokonać Clar-ke'ów i raz na zawsze pozostawić przeszłość za sobą. Kiedy włączyła się do ruchu, w ślad za nią ruszyła szara honda accord. Czaiła się tuż za kawalkadą samochodów, aby nie zwracać na siebie uwagi.

- Zamknie pani drzwi?

Sonia Baxter podniosła wzrok zza swego biurka w klinice płodności. Jedna z asystentek lekarskich stała na korytarzu; wyglądała na zmęczoną.

- Długi dzień? - zagadnęła Sonia, choć mało ją to obchodziło. Już od godziny nie mogła się doczekać, żeby babsztyl wyszedł.

- Jeszcze pani pyta. Do zobaczenia rano.

Sonia nasłuchiwała kliku i trzasku zamykanych frontowych drzwi, po czym zmieniła pliki w komputerze. Papierkową robotę tego popołudnia miała już za sobą. Roger awanturował się o embriony. Przeraził ją nie na żarty tymi pogrózkami. Potrafił być taki bezwzględny, jak na przykład dzisiaj wobec swojej narzeczonej. Nie mogła sprawić mu zawodu - zwłaszcza, że zapłacił znacz-

na sumę za te embriony. Będzie musiała nawiązać nowy kontakt w Anglii. Znaleźć kogoś, kto nie wycofa się w ostatniej chwili.

Pod koniec lata rząd angielski zamierzał zniszczyć tysiące zamrożonych embrionów. Sonia sądziła, że zdobędzie chociaż setkę, ale jej źródło spanikowało. Powiedziała Rogerowi, że ładunek uległ zniszczeniu podczas transportu, co nie było prawdą. Kiedy zaczął naciskać w sprawie nowego ładunku, użyła wybiegu, że dostawca chce teraz dużo więcej pieniędzy. Roger byłby wściekły, gdyby wyszło na jaw, że Sonia nie wierzy w możliwość zdobycia dla niego embrionów.

Co za strata, myślała, stukając w klawisze najszybciej, jak umiała. Przecież i tak mają je zniszczyć. Czy to nie wszystko jedno, że plus minus setka trafi do jakiegoś laboratorium naukowego?

- No - szepnęła, kończąc transfer. Na razie pozbędzie się Rogera dzięki tym kilkunastu embrionom z kliniki płodności. Sonia zawsze postępowała z rozwagą, kiedy pobierała embriony z kliniki. Pilnowała, żeby wszystkie były donacjami, które zostaną później zaklasyfikowane jako nieudane ciąży. Podrobiła szereg dokumentów oraz spreparowała kilka plików, z których wynikało, że trzynaście zamrożonych embrionów należących do różnych par będzie przeznaczonych do donacji w innej klinice. Musiała jednak podjąć kilkakrotnie ryzyko, aby osiągnąć swój cel. Zmieniła oznaczenie części embrionów, przeznaczając je do implantacji, mimo że nie były do niej zaklasyfikowane.

Później zawiadomi lekarza, dla którego pracowała, że proces implantacji się nie powiódł. Już nieraz tak robiła. Nikt nie zadawał żadnych pytań. Podobnie jak w Anglii, ludzie przechowywali embriony całymi latami, a potem o nich zapominali. Sonia Baxter czekała na wydruk dokumentów. Mimo nieprzyjemnej sceny w laboratorium - a może dzięki niej - chciała ponownie zobaczyć się z Rogerem. Wolą go jednak bardziej, kiedy był w dobrym humorze.

Zebrała swoje rzeczy i skierowała się do banku embrionów. Uśmiechała się do siebie. Roger na pewno bardzo się ucieszy z tej trzynastki, którą mu załatwiła.

Kyle nacisnął na hamulec, gotowy oddać samochód parkingowemu ubranemu w czerwoną kurtkę, ale zamiast mężczyzny, do samochodu zajrzała Belinda.

- Przesiądź się - powiedziała. - Ja poprowadzę.

Kyle rzucił okiem na twarz dziewczyny i zrobił, o co go prosiła. Nie było wątpliwości, że płakała.

Obserwował, jak manewrowała, aby wcisnąć się między jadące samochody. Miała rysy zacięte wskutek skupienia, które wykluczało jakąkolwiek rozmowę. Podobnie wyglądała tego dnia, kiedy zderzyła się z nim na korytarzu, złorzecząc na swego ojca.

- Co się stało? - spytał Kyle.

- Nic, zmiana planów.

Belinda zerknęła na Kyle'a. Wyglądała niewiarygodnie młodo, z pewnością nie na swoje dwadzieścia jeden lat. Zmyła makijaż, skórę miała idealnie czystą, a policzki zaróżowione. Ubrana była w czarną sukienkę, z przodu luźno sznurowaną. Spomiędzy sznurówki wyzierało gołe ciało aż do pępka.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.

- Dzielnica Ogrodowa. Carondelet.

Zahamowała z piskiem opon. Zawróciła na środku ulicy wśród jazgotu klaksonów i skierowała się w przeciwną stronę do Dzielnicy Ogrodowej.

- Zatrzymaj się - rozkazał Kyle. - Nie pozwolę ci tak prowadzić.

- Dobrze sobie radzę - odparła, przemykając na czerwonym świetle.

Nie zamierzał łapać za kierownicę ani nadepnąć na hamulec, aby ją powstrzymać. Postanowił zachować zimną krew i postarać się dziewczynę uspokoić.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Coś złego stało się od chwili, kiedy widział się z nią w pracy. ;

- W ogóle nie chcę rozmawiać.

- To bądź uprzejma zwolnić.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Wściekasz się na mnie.

- Nie wściekam się. Po prostu chcę, żebyś zwolniła. Spełniła jego prośbę, patrząc przed siebie nieruchomo. Po chwili jednak Kyle dostrzegł w jej oczach łzy.

- Belindo...

- Nie chcę teraz rozmawiać.

- Zgoda. Może później, kiedy przyjedziemy do domu. Jechali dalej w milczeniu. Od czasu do czasu Kyle cichym głosem wskazywał kierunek. Było mu przykro, że widzi ją przygnębianą i nie wie dlaczego. Czul się odepchnięty. Uświadomił sobie, że chce w jakiś sposób pomóc Belindzie. Kiedy dotarli na miejsce, wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi, czując zapach palonej gumi.

Wysiadanie z samochodu Belinda zamieniła w prawdziwe widowisko. Sukienka pofrunęła jej do góry, wystawiając na pokaz czarne pończochy zawieszane na koronkowych podwiązkach.

- Jakiś ty džentelmen - powiedziała.

Modulacją głosu przypominała aktorkę. Mówiła z lekką chrypką, ale zmysłowość jej tonu była wymuszona, pokryta jedynie cienką warstewką szczerości. W niczym nie przypominała młodej kobiety, która urzekła go przez ostatnie trzy wieczory - rozśmieszała i sprawiała, że zapominał o ciężarze odpowiedzialności, choćby tylko na parę godzin.

Zawirowała w tanecznym rytmie na schodach domu-bliźniaka, w którym mieszkał. Kolysała biodrami i odwracała się na piętach, aby posyłać mu przez ramię seksowny uśmiech. Włosy miała splecione luźno i miękkie kosmyki falowały na delikatnym łuku jej policzków, omiatając podbródek.

Kyle wyjął klucze, ale Belinda figlarnym gestem wyrwała mu je z ręki i sama otworzyła drzwi.

- Mam nadzieję, że mieszkasz sam.

- Sam.

- To dobrze. - Przygryzała wargę z miną pełną słodkiej zalotności, robiąc się aż po czubek głowy na wampowatą lolitkę. Złapała Kyle'a za rękę i pociągnęła za sobą. - Chodź.

Kiedy weszli do środka, trzasnęła drzwiami, upuściła torebkę i klucze, zarzuciła Kyle'owi ramiona na szyję i pocałowała go namiętnie, a potem zaczęła ocierać się o niego swoim ciałem.

- Masz muzykę? - spytała, zagryzając delikatnie wargę. -1 coś do picia. - Przyłożyła dłoń do jego męskości, czując, że tward-

nieje jeszcze bardziej pod rytmicznym naciskiem jej palców. -Chętnie bym się czegoś napiła. Odepchnął jej rękę.

- Chyba masz już dość - powiedział, mając już pewność, że piła. Czuł w jej ustach słodki smak alkoholu.

- O co ci chodzi? Nie chcesz mnie?

Sposób jej mówienia wskazywał wyraźnie, że Belinda była gotowa na wszystko, aby nie zostać odrzuconą. Ale zanim Kyle zdążył cokolwiek zrobić albo powiedzieć, Belinda odskoczyła od niego. Jej uśmiech stał się drżący, jak gdyby musiała wkładać w to ogromny wysiłek.

- No jasne, że mnie nie chcesz - powiedziała, robiąc kolejny krok do tyłu. - Głupia Belinda. Dlaczego miałbyś mnie chcieć?

Podniosła torebkę i ruszyła w stronę drzwi. Z braku innych pomysłów Kyle zagwizdał przenikliwie. W tej samej chwili rozległ się grzechot tylnych drzwi i drapanie pazurami o deski podłogowe. Do pokoju wparował czterdziestokilogramowy doberman, zaganiając Belindę od drzwi frontowych.

Herkules usadowił się przed dziewczyną i zaczął szczekać, że mało mu tej głupiej głowy nie urwało. Dziewczyna stała jak sparaliżowana i patrzyła na psa.

- Każ mu odejść - szepnęła. - On mnie ugryzie.

Kyle strzelił palcami tylko jeden raz, wskazując na podłogę obok siebie. Pies natychmiast przestał szczekać i usiadł przy swoim panu. Kyle przebiegł palcami po jego sierści.

- Co się dzieje, do diabła?

Belinda nie spuszczała wzroku z Herkulesa.

- Rzuci się na mnie, jeśli przekręcę gałkę?

- W okamgnieniu - odparł Kyle, mimo że Herkules nigdy by nikogo nie skrzywdził. To była tylko gra, w którą się bawili.

Gwizd Kyle'a był dla psa sygnałem, że idą na spacer. Herkules zawsze wtedy szczekał w podnieceniu przy drzwiach, czekając, aż Kylee weźmie smycz. Ale Belinda nie mogła tego wiedzieć.

- Musisz dokładnie wykonywać moje polecenia.

Skinęła głową i odsunęła się od drzwi. Kyle dwukrotnie strzelił palcami, dając psu znak, że może robić, na co ma ochotę. Doberman natychmiast podszedł do Belindy i obwąchał jej rękę, a potem zaczął trącać ją pyskiem, nie mogąc się doczekać pieszczot i głaskania.

Po chwili Belinda przyklękła, zniżając się do poziomu Herkulesa. Kyle dostrzegł, że dziewczyna wstrzymuje oddech, jak-

by poddawała się testowi na odwagę. Pies polizal ją po twarzy. Belinda objęła go za szyję i wybuchnęła płaczem.

- To tylko duży dzieciak. - Śmiała się i płakała jednocześnie. - To tylko duży dzieciak.

Kyle usiadł w kucki obok nich.

- On cię nie skrzywdzi - powiedział uspokajająco do dziewczyny. - Żaden z nas cię nie skrzywdzi.

Belinda opadła na podłogę. Łzy cisnęły jej się do oczu i spływały ciurkiem na policzkach. Zgodnie ze swoim zwyczajem Herkules położył głowę na kolanach siedzącej dziewczyny, pozwalając się głaskać.

- Powiedz mi, co się stało - poprosił Kyle. Zdziwił się, że jego głos zabrzmiał niemal błagalnie. Nigdy nikogo nie skłaniał do zwierzeń. Pozwalał ludziom samym podejmować takie decyzje. Ale z Belindą było inaczej.

- Roger poprosił mnie o spotkanie dziś wieczorem w jego gabinecie w Laboratorium 20. Zostałam go tam z jakąś kobietą - mówiła Belinda, pociągając nosem. - Gównu mnie to obchodzi. Znaczący, przeraziłam się okropnie. On i ta kobieta razem z nim. A potem zaczął wygadywać straszne rzeczy. O mnie. Że się dla niego nie nadaję. - Podniosła wzrok, oczy miała błyszczące od łez. - Ani dla nikogo innego - dodała szeptem.

Kyle nic nie powiedział, ale w duchu obrzucał Rogera najordy-narniejszymi wyzwiskami. Przyciągnął do siebie Belindę i mocno ją objął. Herkules zwinął się u stóp Kyle'a i wzdychając z cicha, położył głowę na przednich łapach.

- Masz wspaniałego psa - stwierdziła. Oparła głowę na piersi Kyle'a, nadal przebierając palcami w sierści Herkulesa.

- On cię lubi - odparł i uniósł twarz dziewczyny ku swojej. - Nie wyjdiesz za Rogera.

Belinda pokręciła głową.

- Nie. Nigdy.

Kyle pocałował ją w usta. Ten jeden raz dał się ponieść emocjom, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Tak słodko smakowała. Tyle dawała z siebie każdym dotknięciem swoich palców i warg, nie powstrzymując się przed niczym.

- Chyba się w tobie zakochałam - szepnęła.

- Uhm uhm. A ja w tobie.

Dziwne, z jaką swobodą to powiedział. I jak łatwo mu to przyszło. Tak samo jak cała reszta, to znaczący wzięcie Belindy na rękę i zanie-

sienie do sypialni. Położył dziewczynę na środku łóżka, starając się obchodzić z nią bardzo delikatnie, ponieważ ta wątła kruszyna stała się dla niego wszystkim. Ukląkł nad nią i wsunął rękę w ażurowe sznurowanie sukienki. Położył dłoń na piersi dziewczyny i wpatrywał się w jej twarz, czując, jak pod jego palcami nabrzmiewa sutek

- Mój ojciec zdradzał moją matkę - powiedziała do Kyle'a. - Balam się, że jestem taka sama jak ona. Ofiara losu.

- Ja cię nie będę zdradzał.

- Spałam z wieloma facetami. Jeszcze przed Rogerem.

- Cóż, skoro przyszedł czas na wyznawanie prawdy. Ja nie spałem z żadnymi facetami - powiedział z uśmiechem, rozsuwając sukienkę, aby przyłożyć usta do piersi Belindy.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę, a potem się roześmiała.

- To był dowcip.

- Zdaje się, że niezbyt zabawny - odparł. Całował jej usta i rozplątywał sznurowanie.

- Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu rzadko opowiadasz dowcipy.

- Za to ty bez przerwy. I to takie zabawne, że pękam ze śmiechu. - Odgarnął z jej twarzy jedwabiste włosy blond. - Poza tym znasz każdy kawałek, jaki grają w restauracji, i wiesz kto i w którym roku go skomponował. Bardzo mi się to podoba. Podoba mi się, że czasami płaczesz, kiedy opowiadasz mi ciekawe historie związane z tym utworem i co muzyk chce nam przekazać każdą nutą. Lubię, jak gestykulujesz w trakcie mówienia, i to że masz niesamowicie dużo wdzięku. I że nie przeszkadza ci, że ja go nie mam w ogóle.

- Przez ciebie zaraz znowu się rozplaczę.

- Podoba mi się, że tak głęboko wszystko odczuwasz. Masz artystyczną duszę.

- Kyle - wyszeptala, spuszcżając wzrok. - Ci faceci. Robiłam to, bo wiedziałam, że tego ode mnie oczekują. Pewnie strasznie chciałam im się podobać. - Spojrzała na Kyle i dodała: - Ale nie dlatego dziś tu jestem. Kyle, kochaj się ze mną. Kyle Woods spał dotychczas z kilkoma tylko kobietami i zachowanie żadnej z nich nie onieśmielało go. Seks z Belindą przypominał taniec, powolny i pełen gracji, sięgający w najgłębsze zakamarki jego duszy. Każdym dotknięciem, każdym pocałunkiem informowała Kyle'a, jak bardzo liczył się w jej życiu. Ciało Belindy było niesamowicie ekspresywne i ożywiało jego zmysły aż do najdalszych granic. Rozbudziło w nim przekonanie, że te doznania utrwala się w jego pamięci na zawsze. WiedziaŁ że odpla-

ca jej tym samym. Dostrzegal to w pelnej ekspresji twarzy Belindy i slyszal w kazdym namietnym westchnieniu.

Kiedy lezeli obok siebie spleceni ramionami i nogami, Belinda szepnela do jego ucha:

- Kocham cie, Kyle. Nigdy nie bede kochala zadnego innego mezczyzny. Tylko ciebie.

Powoli zasnela w ramionach Kyle'a, a jej slowa dlugo jeszcze odbijaly sie echem w jego glowie. **Tylko ciebie.** Slyszal ich miekki szepet nawet wtedy, kiedy wygramolil sie z lozka i przykryl Be-linde koledra.

- Waruj - mruknal do Herkulesa, kiedy ten podniosl glowe z podlogi przy nogach lozka, gdzie lezal zwiniety w klebek.

Tylko ciebie. Tylko ciebie. Tylko ciebie.

Rytm i miarowosc jej slow, ich slodki i kusicielski powab towarzyszyly Kylewi do kuchni. Tutaj obok drzwi lezala upuszczona torebka Belindy. Kyle podniosl ja i polozyl na kuchennym stole. Nastepnie przysunal sobie krzeslo, usiadl i wpatrywal sie w brazowa skore torebki.

Tylko ciebie.

Westchnal ciezko, otworzyl torebke i przeszukal jej zawartosc. W portfelu znalazl karte magnetyczna, ktora otworzy mu drzwi do pracowni ojca Belindy, Laboratorium Zapachowego, gdzie pracowala jako asystentka Donalda Sayera.

Przepustke, ktora da mu wstep do Laboratorium 20, jezeli uda mu sie odnalezc szyfr.

Obracal karte w dloni, przypominajac sobie dotyk ciala Belindy lezacej w jego ramionach oraz intensywnosc uczuc, z jakimi sluchal szepetanych przez nia wyrazow milosci.

- Uhm, uhm. Ja tez - powiedzial.

Nastepnie wstal. Wlozyl karte magnetyczna do wlasnego portfela i stanal przy drzwiach sypialni. Belinda spala cicho i spokojnie w lozku.

Przynajmniej raz nie odczuwal dreszczyka emocji, ze sciga lajdakow, ze oddaje ich w rece sprawiedliwosci. Marzyl o zrzuceniu tego ciezaru ze swoich barkow, o powrocie do normalnego zycia. Chcial polozyc sie na tym lozku obok Belindy i zapomniec o szansie, jaka wlasnie mu dawala.

Byl to jednak luksus, na ktory nie mogl sobie pozwolic.

Ubral sie blyskawicznie i napisal do Belindy krutki listek. **Zapomnialem czegoś w biurze. Zaraz wracam.**

Po wyjsci z domu przestraszyl sie tego, co moze **znalezc**.Je-

śli jego podejrzenia są słuszne, o świcie może stanąć w obliczu jeszcze gorszych ewentualności.

PLIK NIEZNALEZIONY

- Prędej - szepnęła McCall, wpatrując się w monitor. - Wiem, że gdzieś tam jesteś.

Jeszcze raz uruchomiła wyszukiwarkę komputerową, tym razem jednak wystukała na klawiaturze francuski odpowiednik słowa „piękno”, **belle**. Miała nadzieję, że znajdzie igłę w stogu siana.

Już wcześniej zrezygnowała z włamywania się do plików zabezpieczonych. O ile wiedziała, istniały tylko dwa sposoby dobrania się do takiego pliku: znaleźć słaby punkt w systemie operacyjnym, co przekraczało jej możliwości, albo odgadnąć hasło, co z kolei mogłoby zaalarmować administratora systemu, gdyby wykonała zbyt wiele nieudanych prób.

Zaraz po przyjeździe McCall zaatakowała plik na serwerze zastrzeżonym dla zespołu Laboratorium 20. Był to plik obiecujący, który mógł zapewnić jej dostęp jako użytkownikowi gościnnemu. Przerwała po drugiej próbie ze strachu, że następne nieudane podejście wyśle do administratora systemu wiadomość o próbie przełamania blokady.

PLIK NIEZNALEZIONY, zajaśniało na ekranie komputera.

- Psiakrew. - Spojrzała na zegar. Minęła dziesiąta. McCall była potwornie zmęczona. Jej koncentrację dawno diabli wzięli. Przeglądała plik, a co innego zaprzętało jej umysł... Zaczynała myśleć o Jake'u.

Przypomniała sobie jego minę, kiedy mu powiedziała, że go zdemaskuje. Zadała mu ból, kazała mu sądzić, że wyda go Rogerowi. Musiała jednak zmusić Jake'a do wycofania się. Nie była panienką w niedoli. To byłoby zbyt proste. Sprawy, które budziły jej niepokój, były zbyt mroczne, były przerażającym koszmarem, którego Jake nie zdoła obrócić w bajeczkę, nadając jej szczęśliwe zakończenie. Nie rozumiał tego, przychodząc do laboratorium i wikłając się w tę sprawę. Nie mogła pozwolić, żeby się przez nią narażał.

Odgarnęła grzywkę z czoła i skupiła się ponownie na ekranie komputera. Była zmęczona, to prawda. Ale była również zdeterminowana. Nie wyjdzie stąd dzisiaj, dopóki nie znajdzie czegoś -czegokolwiek - co naprowadzi ją przynajmniej na właściwy trop.

Wyszukiwarka przejrzała wszystkie zakamarki systemu komputerowego. McCall wypróbowała rozmaite słowa kluczowe, aby

znaleźć ewentualny ślad badań nad nowym produktem. Wreszcie dla swoich penetracji wybrała słowo kluczowe „piękno”. Powtarzało się ono raz za razem w dzienniku laboratoryjnym Alicji.

Ale piękno nie zaliczało się do wyjątkowo rzadkich haseł w plikach komputerowych firmy. McCall zmarnowała całą godzinę jedynie po to, aby przebrnąć przez pliki reklamowe znanych produktów, dane kliniczne i szczegóły rozwoju badań nad nowotworami niezłośliwymi.

Właśnie wtedy wpadła na pomysł wypróbowania słów obcojęzycznych. Przypomniała sobie, że nazwę dla Formuły Omega zaczerpnęła z greki, by nadać produktowi trochę egzotyki. Znała nazwy większości produktów Clarke'a i te pominęła. Zaczęła od greki i łaciny, a potem wzięła się za francuski. Na razie jednak każda próba kończyła się wyświetleniem na ekranie tej samej odpowiedzi. PLIK NIEZNALEZIONY.

- Spróbujmy jeszcze raz z językami romańskimi - powiedziała do siebie, wystukując hiszpański odpowiednik. Gdyby nawet Curtis pozacierał starannie wszelkie ślady, to najbardziej tajemnicze badania musiały utrwalić się w którymś pliku komputerowym.

Nacisnęła ENTER i czekała, aż program wyszukujący przejrzy zawartość plików, starając się znaleźć kluczowe słowo **hermosa**. Podniosła kubek i wypila łyk kawy.

BLANKIET. DOC

McCall omal nie udławiła się kawą, wybaluszając oczy na ekran. Zamrugła z niedowierzania, odstawiała kubek i pochyliła się do przodu. Nie mieściło jej się w głowie, że programowi udało się coś znaleźć po tylu godzinach bezowocnych poszukiwań. Drżącymi palcami zastukała w klawisze. Plik wyglądał na dokument napisany przez jakąś sekretarkę za pomocą komputerowego edytora tekstów. Zawierał blankiet albo formularz zgłoszeniowy do jakiegoś uzdrowiska. Plik ujawnił się dlatego, że wyspa, na której znajdowały się Ciarke Spa and Clinic, nosiła nazwę „Isla Hermosa”.

Uzdrowisko? McCall wsadziła nos w ekran i zaczęła przebiegać oczami tekst. Od tygodnia pracowała w Ciarke Labs i nie słyszała nic o jakimkolwiek uzdrowisku.

Formularz wspominał co nieco o luksusach i wygodach, jakich mogą spodziewać się klienci Ciarke Spa and Clinic.

Kolejne arkusze zawierały typowe pytania na temat płci, wieku i stanu cywilnego. Był też kwestionariusz medyczny, rodzaj Wywiadu czy Karty Zdrowia, których może wymagać każda klinika odchudzająca.

Dopiero później pytania zmieniły charakter. Do blankietu dołączona była jedna strona za drugą... z pytaniami dotyczącymi szczegółowych kwestii medycznych, które miały niewiele wspólnego ze stanem zdrowia wnioskodawców. - O mój Boże - szepnęła McCall, czytając dalej. Czy była pani kiedykolwiek pod narkozą... Czy ktoś w pani rodzinie doznał udaru... Czy w pani rodzinie występują dziedziczne dolegliwości mózgowo... czy miała pani kiedykolwiek atak epilepsji?

McCall wyprostowała się na krześle, czując gorączkowy niepokój. Wśród kwestii banalnych, jak alergie skórne i szczególne potrzeby dietetyczne, żądano szczegółowych informacji dotyczących systemu nerwowego.

To nie miało sensu. Zwłaszcza w klinice piękności. Wykluczone.

Odchyliła się do tyłu, ściągając usta z niezadowolenia. Zastanowiła ją lokalizacja kliniki - odległa wyspa gdzieś w tropikach. Nagle doznała olśnienia - różne firmy mogą uniknąć surowych regulacji prawnych w swoim kraju, otwierając laboratoria za granicą. McCall wiedziała, że po upadku systemu sowieckiego niektóre firmy europejskie robiły coś podobnego w Europie Wschodniej.

Przypomniały jej się tajemnicze aluzje z dziennika laboratoryjnego Alicji. Najboleśniejszym zawodem dla Alicji było daremne poszukiwanie idealnego modelu doświadczalnego, to znaczy zwierzęcia, którego reakcje byłyby wiernym odbiciem skutków doświadczeń robionych przez nich na człowieku.

McCall zerwała się na nogi, aż krzesło upadło na podłogę. Stała i wpatrywała się w kwestionariusz. Zamorskie **laboratorium** pod przykrywką kliniki piękności. j

Doprawdy, jakie to proste. Ciarke był znaczącą **postacią** w branży kosmetycznej, a kobiety marzą o zgłębieniu tajemnic „młodości i kosmetyki” wspomnianych w formularzu.

Chirurgia plastyczna, silikonowe implanty piersi, odsysanie tłuszczu... tak to zgrabnie sformułowali, że wydawało się proste i absolutnie bezpieczne. **Drobny zabieg kosmetyczny...** Ile kobiet mogli namówić takimi obietnicami do uczestniczenia w badaniach przeprowadzanych na człowieku?

Bądź piękna i bądź smutna. Cytat z Baudelaire'a zabrzmiał upiornym echem w głowie McCall.

Czuła, że cała aż drży. Nie do wiary. W pierwszej chwili chciała zadzwonić po Jake'a, ale byłoby to jednak zbyt pretensjonalne. Zamiast tego nacisnęła klawisz drukowania, po czym złapała',za-

kiet i torbę. Klinika piękności jako przykrywka eksperymentów na ludziach? Przypominało to intrygę rodem z powieści science fiction. Z czymś takim nie mogła biec ani do Jake'a, ani do władz.

Sprawa jednak nie dawał jej spokoju. Musiała dowiedzieć się więcej o klinice. Już za późno na odwiedzinę u ojca, ale jutro - jutro powinna zanieść mu dziennik Alicji oraz blankiet, który wydrukowała. Zapewne ojciec będzie coś wiedział na temat kliniki. Nawet jeśli nie uwierzy jej słowom, że jest przykrywką nielegalnych eksperymentów na ludziach, blankiet powinien wzbudzić jego podejrzenia. Wtedy uwierzy córce na tyle, że udzieli jej pomocy.

Drzwi z brzękiem wypuściły McCall na pusty korytarz. Kwestionariusz wepchnęła do torby, którą nosiła na ramieniu. W domu zapozna się z wydrukiem dokładniej. W dodatku potrzebowała snu, żeby mieć jasny umysł. Zdawała sobie sprawę, że musi prawidłowo rozumować, jeśli będzie się klócić z ojcem o Curtisa.

Nagle gdzieś błysnęło światło. Świadoma obecności kamer telewizyjnych monitorujących korytarz McCall prawie nie zwolniła kroku. Światło błysnęło jeszcze raz. Na tle białych ścian holu było ledwo widoczne.

McCall przystanąła i dla pozorów zaczęła grzebać w swojej przepaścistej torbie, jak gdyby szukając kluczy. Jednocześnie trzymała głowę lekko uniesioną i bacznie przyglądała się drzwiom do laboratoriów ciągnących się po obu stronach korytarza.

W pewnej chwili światło zgasło, ale zdążyła je zlokalizować. Nikły blask przecinający ciemności pochodził zapewne z latarki.

Ktoś wszedł do laboratorium ojca McCall i rozglądał się dookoła.

Ruszyła dalej powoli, nie przestając grzebać w torbie.

- Gdzie są te cholerne klucze? - Pytanie skierowane niby do siebie, w rzeczywistości miało zmylić ewentualnych obserwatorów w pomieszczeniu ochrony. Usiadła na podłodze i jak najpoważniej przetrząsała zawartość bezdennej torby. Wyłowiła komplet kluczy dopiero wtedy, kiedy zabrzączał dzwonek i drzwi do laboratorium zaczęły się otwierać. McCall wstała, obróciła się twarzą do wejścia i patrzyła, jak na korytarz wychodzi Kyle Woods.

- Kyle? - zawołała jego imię, jakby dopiero przed chwilą się widzieli, a potem z uśmiechem ruszyła w jego stronę. Dałaby głowę, że Kyle Woods nie miał prawa wstępu do laboratorium jej ojca Sama zresztą też go nie miała.

- Cześć - odpowiedział Kyle, czekając, aż do niego podejdzie.

McCall zajrzała do środka. Wszystkie okna zaczynały się na wysokości ludzkiej talii i kończyły nad podłogą, a lampy na korytarzu były w nocy przyciemnione, więc przy zgaszonym świetle w laboratorium nie można było nic zobaczyć.

- Znalazłeś coś ciekawego?

- Zapomniałem teczki. - Pokazał jej folder. - Ktoś był na tyle uprzejmy i pożyczył mi kartę, żebym po to wrócił.

- Naprawdę? Kto? Kyle wyszczerzył zęby.

- Nie chcę nikomu robić kłopotów.

McCall przypomniała sobie, co Jake opowiedział jej o reakcjach neurologicznych podczas kłamania.

- I nie mogło to poczekać do rana? - naciskała Kyle'a. Kyle wzruszył ramionami.

- Czasami mam kłopoty ze snem. Pomyślałem, że trochę pod-gonię robotę, ale do tego potrzebna mi była teczka.

McCall skinęła głową, jak gdyby mu uwierzyła.

- No więc, co to jest? - spytała, sięgając po folder. - Sama też mam kłopoty z zasypianiem. Może potrafiłabym ci pomóc?

Woods cofnął rękę trzymającą teczkę, a ich spojrzenia spotkały się. Kyle nie nosił swoich okularów i jego wilcze oczy wydawały się bez nich bardziej żółte niż brązowe. McCall zauważyła też pozostałe różnice. Jego włosy były teraz rozpuszczone i sięgały mu do ramion. A jego ubranie - porządna koszula i marynarka. Zupełnie nie przypominał już taniego neptka, który kręcił się po korytarzach przez cały dzień, starając się integrować ze wszystkimi.

McCall pomyślała o własnych próbach udawania kogoś innego.

- Może powinniśmy wejść do ciebie, żeby o tym pogadać? - zaproponował Kyle.

Chodziło mu o kamery systemu bezpieczeństwa. Wisiały pod pewnym kątem wysoko na suficie i były przeznaczone do obserwacji samego korytarza. Nie mogły zarejestrować niczego, co znajdowało już pół metra za progiem właściwych pomieszczeń. McCall kiwnęła głową i wrócili do Laboratorium 19. McCall przesunęła swoją plakietkę w szczelinie zamka i weszła do środka; Kyle wszedł zaraz za nią.

Jak tylko zamknęły się drzwi, Kyle skoczył do McCall i pchnął ją na ścianę. Zgubiła torebkę i serce podeszło jej do gardła, a Kyle zaczął przypierać ją za ramiona. Przed wyjściem pogasiła wszystkie światła, a że zdążyli wejść daleko w głąb pokoju, tyl-

ko bursztynowa poświata najbliższego komputera rozjaśniała twarz Kyle'a. Nigdy jeszcze nie wyglądał tak groźnie.

- Co ty wyrabiasz? - spytała, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie odnalazła doktora Frankensteina Alicji Goodman.

- Jutro mam się spotkać z Curtisem - rzucił grubym głosem Kyle. - Wiem, że celowo zniszczyłaś kultury bakteryjne.

Przeprowadziłem własne transformacje i otrzymałem dwanaście transfor-mantów posiadających gen dla peptydu Formuły Omega. Mogę je pokazać Rogerowi. Mogę mu powiedzieć, że zniszczyłaś rezultaty własnej pracy, żeby zyskać na czasie. Kiedy przetestujemy ten peptyd, okaże się, że on w ogóle nie działa, prawda?

Coś w sposobie mówienia Kyle'a dało do zrozumienia McCall, że oto prowadzą negocjacje.

- Czego chcesz?

- Będę ryzykował. Bo mam po dziurki w nosie tego miejsca i potwora, w jakiego się tu zamieniam - powiedział Kyle. - Może będziemy mogli sobie pomóc. Wiem, że masz własne porachunki z Clarke'ami. Co ty na to, McCall? Czy ty i twój fałszywy eliksir miłości nadajecie na tej samej fali co ja? Chcesz wykończyć Clarke'ów tak bardzo jak ja? Bo ja jestem w stanie tego dokonać. I przydałaby mi się pomoc.

McCall nie była pewna, czy może mu zaufać, ale gdyby Kyle podzielił się z Curtisem swoimi podejrzeniami, jej życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

- Może istotnie będziemy mogli sobie pomóc - odpowiedziała, wciąż się wahając.

Kyle przysunął się bliżej i uśmiechnął. Nagle wydał jej się bardzo przystojnym mężczyzną. Nie mogła się nadziwić, że aż tak potrafił zmienić wygląd wyłącznie za pomocą nowej fryzury i okularów.

- Ciarke Cosmetics robią ludzi w konia tym swoim hasłem HUMANITARYZM PRZEDE WSZYSTKIM - NIETESTO-WANE NA ZWIERZĘTACH. Moim zdaniem w Laboratorium 20 prowadzi się doświadczenia na psach - powiedział Kyle.

McCall potrząsnęła głową.

- Byłoby to komercyjne samobójstwo. Po co aż tak ryzykować... -urwała, a jej słowa roztopiły się w ciszy. Myślała o dzienniku Alicji. Eksperymenty na zwierzętach nie ulegały wątpliwości.

- Zgadza się - powiedział Kyle. Domyślił się, że McCall rozważa taką możliwość. - A teraz mam przepustkę na wejście.

Podniósł plakietkę, tę samą, którą otworzył drzwi do laboratorium jej ojca. McCall poznała zdjęcie siostry, która uśmiechała się z plastikowej karty.

W drugim ręku trzymał świstek papieru.

- Zmieniają kody co miesiąc. Przeszukałem biurko twojej siostry, pomyślałem, że mogła go zapisać.

- Jak zdobyłeś plakietkę Belindy?

- Wykradłem z jej torebki. Ona nie ma pojęcia, że coś zginęło. McCall popatrzyła na papier i kombinację cyfr.

- No i co ty na to, McCall? - Oczy rozbłysły mu z nagłego podniecenia. - Chcesz się rozejrzeć?

Piętnaście minut później McCall i Kyle przebrali się w kombinezony. Wszystko co potrzeba znaleźli w laboratorium McCall, gdzie praca z materiałami radioaktywnymi i niebezpiecznymi związkami chemicznymi wymagały częstego używania odzieży ochronnej. Włosy przykryli podwójnymi czepkami, żeby nie zdradził ich kolor włosów. Specyfika pracy w laboratoriach wymagała nadzorowania o najdziwniejszych porach, dlatego pojawienie się dwójki laborantów w środku nocy zostanie uznane za coś normalnego i nie powinno zaalarmować nikogo z obsługi kamer telewizyjnych.

Kyle wprowadził kod i drzwi otworzyły się z cichym szmerem. Za nimi był przedpokój ze schowkami i szafkami. Założyli świeże fartuchy.

- Gotowa? - spytał Kyle. McCall skinęła głową.

Otworzyli następne drzwi i wyszli na biegnący za nimi korytarz. Nawet nie spojrzeli na siedzącego przy biurku ochroniarza, tylko od razu wzięli bloczek i wpisali się na listę. Tak jak ustalili wcześniej, McCall podpisała się jako Belinda Sayer, a Kyle jako jej ojciec. McCall miała przypiętą plakietkę Belindy; Kyle własną, celowo jednak przekrzywioną pod pewnym kątem.

Czując serce w gardle, McCall poszła za Kyle'em w głąb korytarza. Laboratorium 20 okazało się istnym labiryntem mniejszych laboratoriów. Większość z nich wydawała się o tej porze pusta, aczkolwiek McCall zauważyła mężczyznę i kobietę, rozmawiających przyciszonymi głosami obok jakichś drzwi. Nie rozpoznała nikogo; oboje nosili identyczną odzież maskującą tak jak ona i Kyle. Była jednak przekonana, że żadne z nich nie pracowało poza tym laboratorium.

Niezależny personel, pomyślała. Przeznaczony wyłącznie do pracy tutaj. Spoglądała na oszklone pracownie, w kilku nadal paliło się światło. Wędrowała wzrokiem po rusztowaniu czarnych pólek oraz płataninie nieosłoniętych, wbudowanych w sufit rur. Sprzęt na stołach roboczych wskazywał jednoznacznie, że znajdowali się w laboratorium biologii molekularnej, wyposażonym w wyrafinowane urządzenia do analizowania materiałów genetycznych. Kyle wziął McCall za rękę i uściśnął ją przez lateksowe rękawiczki. Mężczyzna przed nimi ruszył w stronę windy na końcu korytarza; kobieta cofnęła się do swojego laboratorium. McCall zobaczyła, że nieznajomy wyciąga kartę magnetyczną i przesuwając ją w szczelinie modułu bezpieczeństwa umieszczonego obok windy.

Żadne z tutejszych laboratoriów nie miało magnetycznego zamka. Winda go natomiast miała.

McCall bez słowa wysforowała się do przodu, zmierzając prosto do windy. Kyle poszedł w jej ślady i po chwili oboje stali za laborantem, czekając na otwarcie się drzwi. Okazało się, że w windzie są też drugie drzwi, po przeciwnej stronie, a to znaczyło, że można było ją zająć i opuścić jednymi z dwóch wejść. **Za tym korytarzem jest jeszcze jeden**, pomyślała. Wszyscy troje weszli do środka, ochraniacze na butach zaszeleściły miękko o podłogę.

McCall natychmiast to poczuła. Ostry, piżmowy zapach zwierząt. Jego intensywność była porażająca. Już dawno nie była w podobnych obiektach. Nie pamiętała tak silnego odoru, który potrafił przeniknąć do windy poruszającej się między piętrami.

Laborant nacisnął klawisz. Drzwi zaczęły się zasuwąć.

- Proszę zatrzymać drzwi, doktorze Sayer!

Głos dochodził z głębi korytarza. McCall i Kyle wymienili spojrzenia. Jediną osobą, która wiedziała, że wpisali się jako Belinda i Donald Sayerowie, był ochroniarz. Mógł to sprawdzić w rejestrze wchodzących.

Stojący przed nimi laborant wyciągnął rękę, blokując drzwi. Na widok powoli rozsuwających się paneli McCall zatrzepotało serce. Jeszcze kilka sekund i do środka wejdzie pracownik ochrony, który spodziewa się tu zastać jej ojca i siostrę.

Odszukała wzrokiem rząd przycisków, lokalizując oddzielne klawisze dla przednich i tylnych drzwi, a potem nacisnęła ten, który otwierał drzwi za ich plecami.

Kiedy się otworzyły, McCall mruknęła po nosem, że czegoś zapomniała, i natychmiast oboje wyszli.

Kyle znowu chwycił ją za rękę, a potem wciągnął do najbliższego laboratorium. Przykucnęli, przemykając pod stolami roboczymi i gablotkami. McCall wskazała na drzwi, które przypominały wejście do ogromnej lodowni. Komora chłodnicza. Otworzyła ją i ostrożnie weszli do środka. Miniaturowe, laboratorium było przeznaczone do eksperymentów wymagających regulacji temperatury. Pomieszczenie o temperaturze zera stopni do utrzymywania obiektów w stanie zamrożenia. Przy zamkniętych drzwiach byłoby tu zimniej niż w przegrodce na mięso.

Nie musieli długo czekać, by znowu usłyszeć głos strażnika. Najpierw cicho, a w miarę zbliżania się do nich, rozlegał się coraz głośniejsze:

- Doktorze Sayer? Panno Sayer?

Zimno. Strasznie zimno. I nieprzejrzone ciemności. McCall zacisnęła zęby, żeby jej nie szczękały, bo cała aż trzęsła się z zimna i zdenerwowania. Plecami opierała się o jeden z przyrządów pomiarowych i twardy kant boleśnie wbijał jej się w biodro. Obejmowała się ramionami i marzyła, aby strażnik już sobie poszedł, żeby nie zajrzał do chłodni.

Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, zanim Kyle uchylił drzwi i wyjrzał przez szczelinę na zaciemnione laboratorium. Raptem przycisnął palec do ust i pokazał na podłogę. McCall kiwnęła głową i zrobiła to samo co on, to znaczy uklękła i zaczęła iść na czworakach.

W ten sposób przemykali wśród aparatury i wyposażenia pracowni. McCall miała oddech płytki i urywany, pełzła przed siebie w ślad za Kyle'em, a jej oczy stopniowo przyzwyczajały się słabego oświetlenia. Podobnie jak winda, laboratorium w tym skrzydle było dostępne z obu korytarzy. McCall domyśliła się zamiarów Kyle'a. Zgiąć się w pałąk i wyprzedzić strażnika w sprincie do jedyne go wyjścia.

Weszli na pusty korytarz. McCall słyszała krew tętniącą w jej uszach, wtłaczaną do żył z siłą młota parowego. Zdołali wyrejestrować się i wejść do przedsionka bez żadnych przygód, choć McCall cały czas spodziewała się usłyszeć głos strażnika, wykrzykującego nazwisko jej siostry albo ojca. W błyskawicznym tempie zdjęli kombinezony, zatrzymując pozostałe nakrycia ochronne oraz maseczki i czepki.

Po wyjściu na główny korytarz ostrożnie wrócili do laboratorium McCall, gdzie wyrzucili do specjalnych pojemników zielone

kitle lekarskie, które założyli przedtem na odzież. W laboratoriach nie było kamer bezpieczeństwa, więc nic im tu nie groziło, byle tylko nie zbliżać się do okien. Siedzieli w swoich codziennych ubraniach naprzeciw siebie w rogu pod drugą ścianą, plecami zwróceni do drzwi. Potrzebowali kilku minut na złapanie oddechu. Nagle McCall pochyliła się do przodu i ukryła twarz w dłoniach.

- Czulaś to - odezwał się podnieconym tonem Kyle. - Ta winda bezsprzecznie zjeżdża do jakiegoś pomieszczenia ze zwierzętami. - Wziął do ręki identyfikator Belindy, którą McCall odłożyła na stół. - Widziałas kartę, której użył tamten facet, tę do obsługiwania windy?

McCall pokiwała głową. Windy nie dawało się uruchomić za pomocą zwykłej plakietki identyfikacyjnej, podlegała zatem oddzielnemu systemowi bezpieczeństwa, który wymagał oddzielnych kart magnetycznych. Kyle z wyrazem tryumfu w oczach czekał na odpowiedź McCall, ale ona czuła się zanadto wyczerpana eskapadą, która o mały włos nie zakończyła się totalną klęską.

- On to robi - mówił dalej Kyle. - Eksperymentuje na zwierzętach, chociaż reklamuje produkty jako testowane podobno tylko na ludziach, na jakichś wolontariuszach.

- Pracujesz dla konkurencji? - zdziwiła się McCall, ponieważ w jego słowach pobrzmiewała nutka wyższości. Od początku miała rację... Kyle był szpiegiem, ale wcale nie pracował dla Curtisa Clarke'a. W razie jakiegokolwiek przecieku o eksperymentach na zwierzętach, sam zły rozgłos wykończyłby imperium Ciarke Cosmetics."

- Można tak powiedzieć - odparł Kyle. - Jezu, kiedy milionowe straty poniesione przez nich na marketing FO skumulują się z publicznym skandalem z powodu doświadczeń na zwierzętach, Ciarke będzie skończony. - Kyle pokręcił głową, patrząc z ciekawością na McCall. - Mam rację, prawda? Twój peptyd to blef.

McCall skinęła potakująco.

- Próbowałam tyle lat, ale nie udało mi się zsyntetyzować niczego, co działałoby podobnie do feromonów, nie mówiąc już o natężeniu ich efektów.

- Jak sfingowałaś takie wyniki tomografii?

- Płaciłam dwudziestu pięciu facetom po sto dolców tygodniowo za oglądanie filmów pornograficznych na wideo i jednoczesne wachanie wanilii. Znajdowała się w tym preparacie wraz z pep-tydem, kiedy robiłeś własną tomografię.

- Efekt warunkowy. Odruch Pawiowa.

- Właśnie. Pod koniec roku wybrałam dziesięciu, którzy reagowali najsilniej na zapach wanilii. Wprowadziłam ich nazwiska do systemu komputerowego. Dopilnowałam, żeby we właściwym czasie trafili na czoło listy.

- Imponujące.

- Ale ty wciąż byłeś podejrzliwy. Przeprowadziłeś własne transformacje.

Kyle uśmiechnął się.

- Naprawdę chcesz zniszczyć Clarke'a?

McCall chciała ufać pasji, którą słyszała w jego głosie, gdy wspominał o upadku Clarke'a.

- Może równie mocno jak ty. - Dziwne, ale Kyle wzbudził jej ogromny szacunek. Pragnęła, aby stali po tej samej stronie.

- Co wiesz o Ciarce Spa and Clinic?

Kyle potrząsnął głową, robiąc zdziwioną minę, że go o to spytała.

- Tyle co nic. Najnowszy konik Rogera - przeprowadzają próbny rozruch, żeby sprawdzić, czy będą zyski. Ale to czysto komercyjne przedsięwzięcie. Usługowe. Nie mające nic wspólnego z nauką. Czemu pytasz?

- Nie jestem pewna. Przypadkowo znalazłam kwestionariusz do kliniki. Wydawał się... bardzo dziwny - powiedziała. Nie była jeszcze gotowa do odsłonięcia wszystkich^kart. - I co teraz?

Kyle wyszczerzył zęby w uśmiechu ^ładowanym energią elektryczną.

- Musimy pomyśleć, jak dostać się do tego pomieszczenia ze zwierzętami. Z aparatem fotograficznym w ręku. Trzeba to zrobić szybko, zanim się domyślą, że ktokolwiek tropi ich poczynania...

Nagle zgasły wszystkie światła, pozostawiając ich w niemal całkowitej ciemności. Wtedy to usłyszała. Cichy trzask i brzęk. Poczula na plecach rękę Kyle'a, szukającą po omacku jej dłoni. Stopniowo oczy obojga przystosowały się do ciemności. Na podłodze niedaleko od miejsca, w którym siedzieli, rozbiła się jakaś butelka. Powietrze wypełnił ostry, duszący zapach.

Kwas.

Kyle chwycił kołnierzyk McCall i uniósł go do jej ust. Zrozumiała jego zamiary i przycisnęła tkaninę do ust niczym maseczkę.

- Jak można wejść do laboratorium, nie uruchamiając brzęczyka przy drzwiach? - spytała, dusząc się kaszlem. Piekło ją w gardle i nie mogła swobodnie oddychać.

260

- Cholera - mruknął Kyle. - To jakiś kwas. Musimy się stąd wydostać.

Oboje od dawna mieli do czynienia z substancjami żrącymi, wiedzieli zatem, że zależnie od rodzaju kwasu mogą na skutek wdychania jego oparów stracić przytomność lub nawet umrzeć. Kierując się dotykiem, McCall obeszła stoły, starając się unikać miejsca, skąd doleciał trzask pękającej butelki. Jeśli to istotnie był kwas, wystarczała jedna kropla, aby wypalić dziury w jej podszwach i poparzyć skórę.

Widząc kontakt, McCall z zapalem wyciągnęła rękę i trąciła przełącznik. Nic. Kaszel zaczynał być nie do opanowania, oczy jej łzawiły od oparów. **Nic nie widać.**

Nagle zamigotały światła. McCall odwróciła się do tyłu. Na podłodze leżały kawałki szkła po wielkiej, rozbitej butelce. Na etykietce widniał napis: KWAS SIARKOWY.

McCall i Kyle przykuśtykali do drzwi. McCall chwyciła gałkę i spróbowała ją przekręcić. Zamknięte!

Zaczęła tłuc pięściami o szybę, Kyle kilkakrotnie kopnął w drzwi, a potem ciężką łaźnią wodną uderzał w gałkę, usiłując ją wylać. McCall czuła, że z braku powietrza zaczyna tracić siły, ale wiedziała, że kiedy spróbuje oddychać, opary kwasu zniszczą jej płuca.

Złapała Kyle'a za rękę.

- Wyciąg.

Wyciąg należał do systemu wentylacyjnego laboratoriów wbudowanego między szafki i gablotki. Przypominał jedną z tych lodówek w bufecie, gdzie przechowuje się bezalkoholowe napoje chłodzące, tylko był trochę mniejszy. Mechanizm działał tak jak okap nad kuchnią, pochłaniając wszelkie wyziewy z prowadzonych wewnątrz eksperymentów. Idąc za przykładem McCall, Kyle wczółgał się tam razem z nią. Miejsca było akurat tyle, że we dwoje zdołali wcisnąć się do środka i opuścić na dół szklane drzwiczki, które odcinały dopływ większości wyziewów. Ale nie na długo.

- Zostań tutaj - szepnął Kyle, z trudem łapiąc oddech. Napelniwszy płuca powietrzem, otworzył drzwiczki i wycofał się do laboratorium. McCall przyciągnęła drzwiczki z powrotem na swoje miejsce i patrzyła przez szybę, jak Kyle podnosi taboret i zaczyna nim walić w okno. Za trzecią próbą szkło pękło.

Przez rozbite okno wyczółgali się na korytarz i wbiegli pod prysznice antypożarowe. Stanęli ciasno jedno obok drugiego

szerokim sitkiem i szarpnęli za linkę. W tej samej chwili runęły na nich strumienie wody. Szybko zdjęli z siebie ubrania, pozostawiając jedynie bieliznę osobistą. W górze rozległo się wycie syreny i zaczęły migotać czerwone światła alarmowe. Po kilku sekundach ze wszystkich stron otoczyła ich grupa strażników.

- Zablokujcie cały rejon! - krzyknęła McCall. - Nastąpił wyciek kwasu.

Korytarz ogarnął chaos, ale McCall i Kyle nadal stali ściśnięci obok siebie pod prysznicem.

- Mój Boże - westchnęła. Jedną ręką przytrzymała się ściany, żeby nie upaść. - Przed chwilą ktoś próbował nas zabić.

18

Nie możemy jakoś powtórzyć naszych wyników. Na razie każda modyfikacja zwiększa jedynie poziom toksyczności.

Musimy się lepiej starać.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman.

Dochodziła północ, kiedy Kyle zajechał przed dom na Governor Nicholls Street. Po wypełnieniu formularza wypadkowego dla ochrony Kyle uparł się, że odwiezie McCall do domu, a ona była zanadto roztrzęsiona, by się z nim spierać.

Kyle zgasił silnik, dając jasno do zrozumienia, że chce odprowadzić ją do samych drzwi. Już miała zaprotestować, kiedy Kyle odwrócił do niej i spytał:

- Jak głęboko według ciebie twoja siostra uwikłała się w tę aferę?

- Belinda? - W McCall natychmiast obudziła się czujność. - Moja siostra nie ma nic wspólnego z niczym, co się dzisiaj wydarzyło.

Kyle milczał przez chwilę, patrząc nieruchomo przed siebie. Potem westchnął i wysiadł z samochodu.

Ruszyli po ceglany chodniku w kierunku drzwi, światło księżyca migotało w gęstwinie paproci i pomarszczonych liści krzewu mirtowego. McCall zobaczyła, że w oknie salonu zakolysały

255

się kotary, jak gdyby ktoś wyglądał na zewnątrz. Pewnie zaniepokojona jej nieobecnością Barb nie położyła się jeszcze i czeka.

McCall zaczęła szukać kluczy w torebce. Zauważyła, że wciąż jej drżą dłonie. Pomyślała o Alicji i zadawała sobie pytanie, czy tak właśnie czuła się jej partnerka, kiedy notowała w dzienniku swoje ostatnie, szalone myśli. Pomyśl, że ktoś próbował dzisiaj McCall zabić, wydał się niedorzeczny, a nawet histeryczny.

Ochrona przeprowadziła dochodzenie. Najwyraźniej nastąpiło zwarcie w instalacji elektrycznej, które spowodowało chwilowy brak mocy. Dlatego pogasły światła. Według ochrony zwarcie mogło łatwo uszkodzić mechanizm blokujący i go zakleszczyć. Tak już się kilka razy zdarzało.

Cała sprawa została podsumowana jako „dziwny przypadek”. I faktycznie było to możliwe. Kiedy światła zgasły, zdenerwowana McCall mogła niechcący coś potrącić. Takie wyjaśnienie podał Kyle - głównie dlatego, żeby uniknąć zbyt wielu pytań. Opowiedział szefowi ochrony, że już wcześniej zauważył, że butelka z kwasem stoi w złym miejscu, ale zapomniał ją odstawić. Później z kolei wytłumaczył McCall, dlaczego nie chciał rozbudzać niczyjej ciekawości. Gdyby przejrano taśmy wideo, skończyłoby się to dla nich źle, zwłaszcza że ich własna aktywność na tym korytarzu także była godna uwagi.

Wchodząc na ostatni stopień werandy, Kyle odwrócił się.

- Posłuchaj, tu chodzi o twoją siostrę. Jej los jest mi bliski. Rozumiesz?

McCall założyła ręce na piersiach, przyjmując postawę obronną.

- Nie, Kyle. Nie jestem pewna, czy rozumiem. Zechcesz mi to dokładniej wyjaśnić? - Nie zamierzała krzywdzić własnej rodziny.

Przy blasku palącej się na werandzie lampy oczy Kyle'a przypominały krawki przezroczystego złota.

- W tej właśnie chwili twoja siostra śpi w moim łóżku, czekając na mój powrót.

McCall jakby dostała obuchem w głowę. Przypomniała sobie, że Kyle w laboratorium zerkał nerwowo na zegarek, bo umówił się z kimś na kolację. Z Belindą.

- Mój Boże. Plakietka - westchnęła, domyślając się wszystkiego. - Uwiodłeś moją siostrę, żeby wykraść jej plakietkę.

McCall potrząsała głową z niedowierzania, że Kyle mógł być aż tak podły. Ale w jego oczach widziała samą prawdę.

Pamiętała, jak się zachowywał przed wypadkiem z kwasem. Jak tryumfował.

W jednej chwili cała pasja i podniecenie, które słyszała w jego głosie, nabrały piętna osobistego. Za tym kryło się coś więcej niż szpiegostwo przemysłowe.

- Kim ty do diabła jesteś, Kyle'u Woodsie?

Woods patrzył na nią takim wzrokiem, jakby rozważał najwłaściwszą odpowiedź. W końcu rzekł:

- Nazywamy siebie Uczonymi w Obronie Zwierząt. Każde z nas prowadziło kiedyś badania naukowe, tak samo jak ty. Tylko że nie mogliśmy ścierpieć tego, cośmy widzieli... i robili. Założyłem naszą organizację sześć lat temu. Laboratorium Clar-ke'ów nie jest pierwszym, które wziąłem na cel.

McCall cofnęła się o krok, wszystkie elementy zaczęły zgrabnie do siebie pasować. Lider radykalnej organizacji na rzecz praw zwierząt, człowiek na tyle przebiegły i metodyczny, żeby wnikać do Ciarke Labs. Skory do uwiedzenia Belindy dla jej karty magnetycznej.

- Słyszałam o grupach podobnych do twojej - powiedziała. - Czytałam listy, jakie otrzymywali koledzy. **Jeśli ty i twoi towarzysze nie przerwiecie swoich badań i nie uwolnicie zwierząt, nad którymi się pastwicie, odpowiemy aktami fizycznej przemocy - przytoczyła z pamięci napastliwy ton owych listów. Będziemy kaleczyć, a nawet pozbawiać życia was i członków waszych rodzin.**

- Przecież wiesz, co się dzieje w tych laboratoriach. Nie muszę ci tego szczegółowo objaśniać.

McCall pokręciła głową.

- Biolodzy nie robią tego dla przyjemności... nie w tym celu zajmują się badaniami. My chcemy ratować życie. Pomagać dzięki wiedzy i zrozumieniu.

- Poświęcając stworzenia, które nie potrafią się bronić?

- Wasze grupy wyolbrzymiają kilka zjawisk ekstremalnych. Większość zwierząt jest traktowana dobrze.

- A ty, McCall? Kiedy dokonywałaś operacji na tych szczurach, jak zdołałaś przekonać samą siebie, że nie czują żadnego cięcia, żadnego ruchu skalpela?

- Ja robiłam tylko sekcje zwłok - odparła mimowolnie. - A nie wiwisekcje.

- Uhm - mruknął, kiwając głową. - A więc nic nie wiesz, tak? McCall widziała, że Kyle aż cały wrzy od tłumionej pasji. Był jednym z nich, jednym z radykałów, którzy kierują się w życiu zasadą: cel uświęca środki.

- A Belinda? Nie przebierasz w środkach, aby tylko dopiąć

swego? - zapytała. Żal ścisnął jej serce na myśl, że Belinda padła ofiarą kolejnego mężczyzny.

- Belinda nie ma pojęcia, że wziąłem kartę; ona nic o mnie nie wie. Sądzi, że jestem tym pracownikiem Ciarke Labs, za jakiego się podaję - i najlepiej niech tak na razie pozostanie. Zanim wyciągniesz pochopne wnioski, dowiedz się, że chyba się w niej zakochałem, i nie wiem, jak mam to wszystko ze sobą pogodzić.

McCall czuła, że umysł ma przeładowany informacjami. Poszczególne elementy nie układały się w żaden zgrabny wzór, według którego mogłaby sformułować swą reakcję. Kyle wydawał się taki szczery, jakby faktycznie zależało mu na jej siostrze.

- Jeśli masz w sobie choć trochę przyzwoitości, wyłączysz z tej sprawy Belindę. Pomyśl, Kyle. Ktoś chciał nas dzisiaj zabić. Nie wierzę w te bzdury o zwarcjach elektrycznych, ty zresztą także nie. Nie byliśmy w tym pomieszczeniu sami. Słyszałam kogoś. Chcesz, żeby następnym celem stała się Belinda?

- A jeżeli już jest w to zamieszana? Posłuchaj, ignorowanie rzeczywistości na nic się Belindzie nie przyda. Mam pewne zobowiązania, McCall. Wobec ludzi, którzy na mnie liczą.

- Nie znasz mojej siostry, skoro sądzisz, że uczestniczy w jakichś potajemnych doświadczeniach na zwierzętach. Ona nawet nie jest biologiem...

- Jest asystentką waszego ojca. Jeśli coś niedobrego **się** święci, oboje wiemy, że wasz ojciec tkwi w tym po uszy.

McCall tego właśnie pragnęła uniknąć. Nie chciała, żeby jej rodzina prześlądnęła jadem Curtisa Clarke'a.

- Na miłość boską, Kyle. Mój ojciec wyrzekł się mnie - **swojej** własnej córki - bo uwierzył, że sfalszowałam dane. Jego reputacja jest dla niego wszystkim. Nie wplątałby się w coś takiego.

- Moje informacje są dość ściśle - odparł Kyle. - Przypuszczam, że się jednak wplątał.

- Twoje informacje? - rzuciła prowokująco. Dobrze wiedziała, jak takie rzeczy przedostają się na zewnątrz. -

Rozczarowany pracownik postanowił narozrabiać?

- Tacy są najlepszymi demaskatorami. Po tym, co dzisiaj **widzieliśmy**, nie możesz zaprzeczać, że coś się tu dzieje. Muszę **się** tego dowiedzieć choćby po to, by chronić Belindę.

McCall potrząsnęła głową, niewzruszona w swoich przekonaniach.

- Belinda i ojciec mają dostęp do Laboratorium 20, ale **ani** u niej, ani u niego nigdy nie widziałam tej specjalnej karty ma

gnetycznej do windy. Nie istnieją żadne dowody, że są w coś zamieszani. Moja rodzina nie bierze w tym udziału.

- Jesteś pewna, że nie przemawia przez ciebie ślepa wiara? McCall zastanawiała się przez chwilę, pozwalając, by taka możliwość nabrała w jej głowie konkretnego kształtu. Jednak myśl owa była zbyt bolesna, zbyt skomplikowana. Wreszcie odwróciła się i włożyła klucz do zamka.

- Możesz wierzyć, w co chcesz.

Ale Kyle przytrzymał ją i przyciągnął bliżej siebie.

- Nie pozbywaj się mnie ze strachu, że skrzywdzę twoją rodzinę - wyszeptał. - Możemy sobie wzajemnie pomóc.

McCall stała sparaliżowana niepewnością i gwałtownym strachem. Ślepa wiara czy nie - a jeśli ojciec faktycznie jest w coś zamieszany? Curtis Ciarkę potrafi być bardzo przekonujący. Oraz podstępny.

- Mówiłeś, że jutro spotykasz się z Clarkeem - rzekła McCall. -Zamierzasz mnie zdradzić? Wydać w jego ręce niczym jakiegoś ofiarnego baranka?

Sama już nie wiedziała, czego oczekiwała od Kyle'a. Aby udowodnił, jak potrafi być bezwzględny - czy jak bardzo uczciwy.

Kyle odwrócił wzrok, patrząc gdzieś w głąb ulicy. McCall słyszała muzykę dobiegającą z Bourbon Street i rumor ciężarówek przedzierających się w labiryncie wąskich uliczek.

- Myślałem o tym - rzekł Kyle. - Wydawało mi się, **±4**. w ten sposób zdobędę jego zaufanie i wstęp do Laboratorium 20.

Chcę jednak, abyś coś wiedziała: po dzisiejszej historii nigdy bym tego nie uczynił. Wcale nie dlatego, że możesz mnie zmusić do milczenia szantażem. Nie jestem tu po to, aby spowodować czyją-kolwiek śmierć.

McCall milczała przez chwilę. Wreszcie rzekła:

- Jeśli masz kręgosłup moralny, to nie skrzywdzisz także Be-lindy, wplątując ją w tę aferę. Już i tak naraziłeś ją na niebezpieczeństwo. Roger nie przykłaśnie waszemu związkowi.

- Zaopiekuję się Belindą. I zapomnij o Rogerze. Już się zdążył odegrać. Nie pozwolę mu jej więcej krzywdzić.

McCall napotkała w zapadającej ciemności wzrok Kyle'a. W tym mężczyźnie była jakaś zawziętość. **Być może, tylko być może...** Westchnęła ciężko i przekręciła klucz w zamku.

- Modłę się, żebyś dał sobie radę. Pogadamy o tym więcej jutro. Na razie muszę niektóre rzeczy przemyśleć.

Weszła do holu i oparła się o drzwi. Kyle miał ogień w oczach,

z czego wnosila, że jest fanatykiem, jeśli chodzi o te zwierzęta. Uczeń w Obronie Zwierząt - Kyle poświęcił się bez reszty osiągnięciu swoich celów. Miał wybitny talent i świetne referencje, wieloletnią praktykę dydaktyczną i rzucił to wszystko, aby zająć się czymś innym. A jednak z identyczną pasją mówił o jej siostrze.

- Boże miłosierny, co ja mam począć?

McCall upuściła torebkę na podłogę i otoczyła się ramionami. Cała drżała wewnątrz. Miała na sobie jeszcze kombinezon i czuła pieczenie w gardle, co przypomniło jej, jak śmiertelną stała się ta gra. Jeszcze teraz słyszała trzask i brzęk. Ktoś przebywał w laboratorium razem z nimi, kiedy rozlał się kwas.

- McCall? - Do salonu weszła Barb. Kolorowe wdzianko idealnie pasowało do jej matczynej sylwetki. Warkocz miała spleciony trochę z boku, co podkreślało jej indywidualny styl, nieodłączną cechę Barb. Przypomniała sobie, jak nazwał ją Jake, Guru Barb. Faktycznie do niej pasowało.

- O co chodzi? Co się stało z twoim ubraniem? - spytała Barb, obrzucając McCall krytycznym wzrokiem.

- Przebrałam się w pracy. Zajmowałam się żelami i zniszczyłam sobie sukienkę.

McCall chciała otworzyć duszę przed przyjaciółką, chciała, żeby Barb objęła ją ramionami jak wtedy, gdy zjawiała się praktycznie naga po kłótni z Jake'em, ale nie zdobyła się na odwagę. Nie będzie narażać przyjaciółki na niebezpieczeństwo; wystarczy, że sama się w to wpakowała.

- Przepraszam, że tak późno wracam do domu. Barb, już czas, żebym miała samodzielne mieszkanie - i nie chcę słyszeć, co mówią gwiazdy - powiedziała. Pragnęła iść do łóżka i owinać się pledem Jake'a tak samo jak poprzedniej nocy. Jutro przeniesie się do hotelu. Nie chciała narażać Barb i dzieci, zwłaszcza po wydarzeniach w laboratorium.

Barb dotknęła jej ramienia. McCall odwróciła się twarzą do przyjaciółki.

- Co znowu? - spytała. Po wyrazie twarzy Barb poznała, że stało się coś złego.

- On czeka na ciebie w salonie. Jest tu od jakiegoś czasu. McCall natychmiast domyśliła się, kim jest „on”. W jej życiu był tylko jeden „on”.

- Jake? O tej porze? - Była prawie północ.

McCall odwróciła się w stronę salonu. Nadmiar emocji po

przeżyciach wieczoru popłynął w zupełnie innym kierunku. Złości. Nadziei. Pożądania.

- Co on tu u diabła robi? - spytała, nie kryjąc złości.

- Stał przed domem i czekał. Zobaczyłam go i zaprosiłam do środka. - Kiedy McCall przechodziła obok Barb, ta wzięła ją pod rękę. - Powiedział, że się martwi. Wypadłaś od niego jak burza. Chciał się upewnić, że jesteś cała i zdrowa.

- Nie trzymaj jego strony. - Chciała, aby Barb znajdowała się tylko w jej obozie. - Ty nic nie wiesz o Jake'u. - McCall nigdy niczego nie ujawniła przyjaciółce, postanowiła zachować wszystkie tajemnice dla siebie, dopóki nie uporządkuje swoich skomplikowanych emocji. - Czy wspominał, że węszy za moimi plecami? Że ma moje akta z FBI? Jake jest prokuratorem, Barb. Nie przyjechał tu ze względu na moje zdrowie.

- Nie - przyznała spokojnie Barb. - Moim zdaniem przyjechał tu, bo jest w tobie zakochany.

- Wystarczy. Wiem, co myślisz. Nie czas na te rzeczy.

Barb obrzuciła McCall jednym z tych swoich spojrzeń typu zaglądam-na-samo-dno-twojej-duszy.

- Czasami nie my wybieramy właściwy czas. A właśnie, no wiesz. Postawiłam wam horoskop, kiedy on tu czekał. Istny dynamit.

- No myślę - odparła niezobowiązująco McCall. Dynamit to idealnie określenie jej aktualnej sytuacji.

- Będziesz musiała przeprowadzić to do końca - stwierdziła tajemniczo Barb. - Tym razem się nie wykręcisz.

McCall odszukała wzrokiem ciemnobrązowe oczy przyjaciółki. Dostrzegła w nich nieskończone pokłady miłości i lojalności, jakich tylko można oczekiwać od drugiego człowieka. A także coś więcej. Rodzaj nadziei, jak gdyby Barb była ptasią matką i miała zobaczyć pierwszy lot swojego pisklęcia.

- Sama się tym zajmę - odpowiedziała.

Barbara Rojas uśmiechnęła się, a jej pospolita twarz zajaśniała urodą, która mogłaby rozpaść na niebie tysiące gwiazd.

- Oczywiście, że tak - szepnęła, a potem odwróciła się i weszła na schody. - Nie spodziewam się ciebie do rana - dodała.

- Dziwne - powiedziała do siebie McCall, rozsuwając zasłony do salonu. - Przecież nigdzie się nie wybieram.

W momencie kiedy go zobaczyła, wiedziała już, że czekająca ją konfrontacja nie będzie łatwa. Jake stał obok kominka z założonymi na piersiach rękami, lotnicza kurtka leżała zwinięta na

jednym ze stylowych krzeseł Barb. Ale mimo jego niedbalej pozy było w Jake'u niezwykle napięcie; miał stężałe rysy twarzy, za którymi coś się czaiło.

- No, kim jest ten facet? - zapytał.

- Ten facet? - powtórzyła autentycznie zaskoczona. Oderwał się od kominka i ruszył w kierunku McCall.

- Ten, który zabawiał cię na frontowych schodkach przez ostatnie dwadzieścia minut.

McCall dłuższą chwilę nie mogła pojąć, co on wygaduje, aż raptem doznała olśnienia - Kyle. Jake mówił o Kyle'u.

- Och... Cudownie, po prostu cudownie - powiedziała, wyrzuciła ramiona w powietrze, a potem splotła je ciasno na piersiach. - Jesteś zazdrosny? Myślisz, że co robiłam?

Jake podszedł wolnym krokiem, okrążył ją, stanął za jej plecami i pochylił się do ucha.

- Całowałaś się z nim? - szepnął. - Kiedy sterczeliście tam w świetle księżycy niczym para nastolatków? - Teraz przysunął się jeszcze bliżej, niemal muskając jej ucho wargami. - Dobrze było?

McCall odwróciła się, unosząc dumnie podbródek, jakby chciała wzbudzić w Jake'u jak najgorsze obawy.

- Ach, tak. Po całym wieczorze niewiarygodnego i dzikiego seksu było nam jeszcze mało, więc zaczęliśmy się obmacywać przed frontowymi drzwiami. Czego się spodziewałeś? Że to miało mi wystarczyć?

- Sprawdźmy. Wyszłaś ode mnie... - zerknął na zegarek * powiedzmy... jakieś pięć godzin temu z minutami. I już chciałaś więcej?

McCall potrząsnęła głową i spojrzała na Jake'a z głęboką odrazą.

- Nie chce mi się wierzyć. Naprawdę myślisz, że całowałam się tam z jakimś innym mężczyzną?

Wprawdzie wyraz twarzy Jake'a się nie zmienił, ale McCall spostrzegła, że zaczynał się uspokajać, rozumiejąc, jak absurdalnie brzmiały jego oskarżenia.

- Powiedz mi tylko, kim ten gość jest dla ciebie. Zadudniła pięściami po jego klatce piersiowej.

- Ty idioto! Miałaś zostawić mnie w spokoju. Groziłam ci! Brak ci rozumu? Powinieneś mnie za to znienawidzić!

Jake chwycił jej ręce i unieruchomił na swoich piersiach.

- Znienawidzić cię? Nie. Ale można powiedzieć, że byłem niezłe wkurzony.

Miał bardzo ciemne oczy i McCall nie mogła dojrzeć źrenic.

Ścisnął jej ręce tak mocno, że nie była w stanie się poruszyć.

Pokręciła głową, nie chcąc iść tam, gdzie Jake zamierzał ich zaprowadzić.

- Jak długo zachowywałeś się jak kretyn?

Jake nadal ją trzymał, nie pozwalając się poruszyć.

- Kiedy uciekłaś z hotelu, sprawdzałem co godzina, czy przed domem nie pojawił się twój samochód. Na szczęście kasyno jest przycumowane. Ale około dziesiątej straciłem cierpliwość. Guru Barb musiała chyba sprawdzić w gwiazdach i wyszło jej, że coś się stało. Zobaczyła mnie przed domem i zaprosiła do środka. Nawiasem mówiąc, stwierdziła, że wyolbrzymiłaś moje wspaniałe mięśnie - Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu - a że się nie pomyliłaś, mówiąc, że mam śliczne oczka.

McCall poczuła, że się rumieni. Dokładnie pamiętała, co mówiła przyjaciółce.

- Ależ z ciebie dupek.

- Naprawdę myślałaś, że pozwolę, byś mi groziła, a potem zniknęła? - pytał coraz niższym głosem. - Skarżysz się, że masz przesrane, a potem każesz mi spadać?

- Jake - była tak zmęczona, że najchętniej by się rozplakała. - To się na nic nie zda. Uważam, że powinieneś odejść.

Wyraz twarzy Jake'a zmienił się, stał się nieczytelny. Prokurator obmyślający kolejny ruch. Raptem się uśmiechnął.

- Masz rację. Najwyższy czas, żeby się wynosić - rzekł i trzymając ją za rękę, sięgnął po swoją kurtkę. Ciągnął McCalla z sobą przez paciorkowe zasłony, kierując się do drzwi.

- Co robisz? - spytała, podnosząc z podłogi torebkę.

- Zabieram cię do domu, gdzie będziemy mogli dokończyć tę rozmowę.

- Nie będę się z tobą kochała.

- Kłamczucha.

Nie do wiary, nagle uświadomiła sobie, że Jake miał słuszość. Była u kresu wytrzymałości. Wyciek kwasu, blankiet zgłoszenia do kliniki, rewelacje Kyle'a - wydarzenia tego wieczoru dosłownie ją wykończyły. Jake zaś był jedynym człowiekiem, któremu obecnie ufała. Zbyt kusząca była wizja znalezienia w nim oparcia, pokusa, by wsiąść do jego samochodu i znaleźć się w tym wielkim, żelaznym łożu, ukryć w ramionach Jake'a, który zatrzyma koszmary w bezpiecznej odległości.

Uspokoila się w myślach kilkoma drobnymi kłamstewkami -

Nie pozwolę draniowi go skrzywdzić; potrafię zapewnić mu bezpieczeństwo - po czym bez oporu dała się Jake'owi ściągnąć ze schodów i nie protestowała, kiedy prowadził ją za furtkę. Uzmyslowiła sobie, że mimo wszelkich starań - oraz wbrew swoim najlepszym intencjom - nie potrafiła już myśleć racjonalnie, jeśli chodzi o Jake'a Donovana. Odtąd musiała już być razem z nim. Jake zatrzymał się przed landrynkowoczerwonym lamborghini.

- Wsiadaj - rozkazał, otwierając drzwi.

McCall wybaluszyła oczy na śmigające do góry skrzydlate drzwi samochodu; była lekko zaszokowana tym kosztownym bolidem.

- Co się stało z twoim jeepem? Przecież to nie jest twój samochód.

- Dziś jest - odparł Jake, przynaglając ją do wsiadania. McCall usadowiła się na miękkim jak masło skórzanym fotelu. Była zanadto zdeprymowana, aby się kłócić.

- Co to za strój? - Jake usiadł za kierownicą, przyglądając się kombinezonowi.

- Pracowałam nad czymś w laboratorium i zniszczyłam sobie ubranie - odparła. Podala mu tę samą wymówkę, jaką uspokoiła Barb.

Jake włączył zapłon, obrzucił wzrokiem McCall, po czym wyszczerzył zęby.

- Całkiem seksowny. McCall skrzywiła się.

- Seksowny?

- Zachęca do zabawy w doktora. - Jake zajrzał jej w dekolt. -Widoczek też niezły.

Klapnęła go w rękę.

- Czyj to samochód?

- Niejakiego Dickeya Harpera - odpowiedział, wrzucając bieg. -W sobotę po twoim wyjściu miałem nieoczekiwaną wizytę Hope. -Wyjechał na pustą jezdnię i skręcił w pierwszą przecznicę. - Pogrążałem się w śnie, kiedy nagle słyszę, jak Hope manipuluje swoim kluczem w zamku, otwiera drzwi i wchodzi. Następne, co pamiętam, to Michael wyskakujący jak z procy w moim kierunku.

. McCall natychmiast zrozumiała. To ona mogła leżeć w łóżku, kiedy wparował niezapowiedziany pięciolatek.

- Mówiłeś przecież, że przez tydzień będzie poza miastem -rzekła. - Co się stało? - spytała, zasepiając się nagle.

Uświadomiła sobie, że Hope zawsze będzie miała władzę na Jake'em, **że będzie** wchodzić **Z** butami w jego życie, korzystając z własnego klu-

cza i nawet nie pukając do drzwi. Będzie mu syna zabierać albo podrzucać, tak jak jej wygodnie.

- Czego chciała tym razem? - spytała. Nie zdołała powstrzymać tonu urazy w swoim głosie.

- Zazdrosna? Niepotrzebnie. Hope i Dickey polecili do Teksasu. Prywatna adopcja. Michael będzie mieszkał u mnie, dopóki nie wrócą z małym. - Jake błysnął uśmiechem, oba doleczki stanęły pod bronią i wyglądały bardzo groźnie.

- Hope nalegała, żebyśmy mieli osobne komplety kluczy. Ze względu na Michaela. No wiesz, żeby każde z nas mogło zawsze zastąpić to drugie. Na szczęście wiem, gdzie Dickey trzyma kluczyki do lamborghini.

- Pożyczyłeś jego samochód? Bez pytania? Znowu wyszczerzył zęby.

- Jakbyś zgadła.

- Nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Mało go szlag nie trafi. - Jake wrzucił niższy bieg i zmniejszył prędkość. McCall przyłapała go na obserwowaniu czegoś we wstecznym lusterku. W milczeniu krążył po Dzielnicy Francuskiej, zerkając co chwila we wsteczne lusterko.

Nagle Jake przyspieszył na zakręcie, aż zapiszczały opony. Znowu spojrział w lusterko i skrzywił się.

- Czy nikt cię nie śledzi?

- Mnie? - McCall z trudem powstrzymała się od odwrócenia głowy. Rzuciła okiem w lusterko. Trzydzieści metrów za nimi jechała szara honda accord. Na pustej ulicy samochód był lepiej widoczny. Nagle przypomniała sobie.

- Tak - przyznała. Ponownie ogarnął ją dojmujący strach, poczucie śmiertelnego zagrożenia. - Dłużej niż tydzień. Ale nigdy nie byłam tego pewna; sądziłam, że tylko mi się tak wydaje. - Pomyślała o dzisiejszym incydencie, o wycieku kwasu. O zablokowanych drzwiach.

- Ta honda stała koło twojego domu - powiedział Jake. - Ruszyła, jak tylko odjechałem. Zrobiłem kilka okrążeń, żeby sprawdzić, co ten ktoś robi. Ktokolwiek prowadzi tę hondę, na pewno nas śledzi. I nawet nie stara się z tym specjalnie kryć.

- Może to twoja była żona - stwierdziła McCall lekko histerycznym głosem. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co spotkało ją w ciągu kilku ostatnich godzin. - Ta pierwsza. Susan. Prywatny detektyw.

Jake zrobił głupawą minę. Znowu popatrzył we wsteczne lusterko, a potem zaklął pod nosem.

McCall raz jeszcze spojrzała do tyłu. Hondę **faktycznie** prowadziła jakaś kobieta. Z wyrazu twarzy Jake'a odczytała całą prawdę.

- To twoja żona! Dlaczego ona mnie śledzi?

- Moja była żona - poprawił Jake. - Susan jest moją byłą żoną. Trzymaj się.

Wcisnął pedał gazu do oporu, po czym skręcił w najbliższą ulicę, kierując się w górę Missisipi. Samochód zarzucił, wyrównując tor jazdy. Jake spojrzał w lusterko i przekonał się, że Susan cały czas za nim jedzie. Skręcił na następny bulwar i przemknął wzdłuż światel Hiltona, potem minął River Palace Hotel i wpadł na Julię. O tej porze ulica powinna być pusta.

Jak tylko zobaczył za sobą hondę, natychmiast przystąpił do działania. Wykonał nagły zwrot, a że droga była dość szeroka, znalazł się za prześladowującym ich samochodem. Honda zapędziła się w ślepią uliczkę.

- Zostań tu - rzucił Jake.

Ale McCall nie należała do kobiet chętnie wypełniających cudzą wolę. Złapała go za rękę i spytała:

- O co tutaj chodzi, Jake?

- Właśnie zaraz się tego dowiem - powiedział, odwracając się do drzwi.

Susan pozostała za kierownicą, kiedy Jake podszedł do hondy. Nie poznał samochodu, domyślił się więc, że to świeży zakup. Interesy muszą iść dobrze, pomyślał. A może kupiła hondę za pieniądze, którymi Dino opłacił swoje wejście do spółki.

Jeszcze wszystko się w nim trzęsło po tamtej rozmowie z Mac. Nie mieściło mu się w głowie, że mógł aż tak zareagować. Nie uważał się za zazdrośnika, ale kiedy wyrzwał za kotarę i przyłapał Mac z tym facetem, zamigotały mu przed oczami czerwone plamy. Nie chciałby już nigdy tak się poczuć. Każda sekunda spędzona przez Mac na werandzie wydała się wiekiem.

Dotychczas lekko traktował podobne rzeczy. Nie mógł uwierzyć, że rzucił takie oskarżenia. To było jakieś szaleństwo. A jednak ogarnęło go ono do tego stopnia, że zanim Mac weszła do środka, Jake funkcjonował na zupełnie innym poziomie. Przeistoczył się w jakiegoś dzikusa, gotowego wciągnąć swoją samicę do jaskini za włosy.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżył. Przestraszył się

jak diabli. A przecież Mac mogła mieć straszne kłopoty. Nie czas, żeby zaczynał myśleć futem. Zastukał w okno. Susan opuściła szybę, najwyraźniej wolała nie wysiadać. Jake wziął kilka głębszych oddechów, nakazując sobie spokój i nie chcąc wylądować się na byleż żonie.

Pochylił głowę do okna.

- Co ty do cholery wyprawiasz?

Susan patrzyła prosto przed siebie. Udawała, że go nie słyszy. Usta miała zaciśnięte, ale Jake był gotów poczekać, jeśli trzeba.

- Śledziłam ją - szepnęła. Następnie podniosła wzrok. Nie do wiary, miała łzy w oczach. - Nie mieści mi się w głowie, Jake, że możesz być taki **głupi**, aby z nią sypiać. I to po przeczytaniu tych dokumentów.

- Cholera. - Zadudnił pięścią w dach samochodu, przypominając sobie tę noc, kiedy Susan nagrywała się na sekretarkę. Mówiła tak szybko, jakby widziała na własne oczy, że Jake biegnie do telefonu, aby ją wyłączyć. Susan była prywatnym detektywem. Szpiclowanie ludzi nie zalicza się do specjalnej egzotyki. - Nie chce mi się wierzyć, psiakrew. Ta noc.

Wiadomość, którą zostawiłaś na sekretarce...

- Pojechałam za nią do ciebie; zobaczyłam, że zgasły światła, i czekałam. Wiem, które okno jest twoje. Widać je z Riverwalk. Kiedy światła zapaliły się z powrotem, zadzwoniłam z komórki.

- Domyśliłaś się, że nie wstanę odebrać telefonu, że ona usłyszy wiadomość o teczce FBI i moim spotkaniu z Gusem - mówił Jake, podnosząc głos coraz bardziej, w miarę jakaiświadamiał sobie wyrachowanie Susan. - Chciałaś ją poinformować, że/pracowałem w prokuraturze; chciałaś, żeby usłyszała o Kłątwie Do-novana. Ładnie mnie urządziłaś. Susan czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

- Tak, miałam nadzieję, że będzie słuchać.

- Jezu, Susan. Dlaczego?

- Bo nie potraktowałaś tych akt poważnie. Ktoś musi cię chronić.

- Chronić mnie? - Jak pokręcił głową. - Jestem już dużym chłopcem, Susan. Ja nie...

Nagle jednak urwał. Przypomnił sobie słowa Dina, że w życiu Susan jest inny facet, że w jej sercu nie ma miejsca na miłość do Dina. Ale gdy Jake zagadnął ją kiedyś o to, Susan nie wyjawiała imienia tajemniczego mężczyzny.

Teraz Jake wiedział już, kim on jest.

- Nie, Susan. Powiedz mi, że nie jest tak, jak sędzę.

Słowa te zawisły między nimi niczym oskarżenie. Jake nie mógł w to uwierzyć. Susan wyglądała jak siedem nieszczęść, zachowywała się tak, jakby Jake ją zdradzał.

- Nie mogę znieść, że sypiasz z innymi kobietami - wyszeptala, dławiąc się własnymi słowami.

Jake potrząsnął głową.

- To jakiś obłąd. Pieprzone wariactwo. Przecież rozstaliśmy się w zgodzie. Każde z nas ma własne życie.

- Pewnie ci przeszkadza, że twoja była cię śledzi - powiedziała Susan, przelykając łzy i ocierając je niecierpliwym gestem.

Jake widział, że nie mogła się opanować. Usta jej drżały. - W końcu wzięłeś odwet - dodała z uśmiechem goryczy. -

Obecnie zadajesz mi taki sam ból, jaki ja zadałam tobie, kiedy odeszłam po śmierci matki. - Łzy leciały już ciurkiem i po policzkach - Zostałam upokorzona.

- Głupstwa pleciesz. Czy o to właśnie ci chodzi? O jakieś upokorzenie? O wyrównywanie rachunków? Coś ci się przywidziało, Susan. Jakieś marzenia, które uroiłaś w swojej głowie? Ja nigdy nie dałem ci szczęścia, przecież dlatego mnie rzuciłaś. Przesadzasz, bo wydaje ci się, że coś straciłaś.

Zdał sobie sprawę, że Susan zupełnie zapomniała o swojej miłości do Dina. Że odepchnęła ją od siebie... może nawet bronila się przed nią... wierząc w jakieś bajki, które sama wymyśliła, o możliwości ponownego zejścia się z Jake'em.

Jake pochylił się niżej.

- Nie marnuj szansy na coś lepszego, żyjąc przeszłością, która nigdy nie dawała ci satysfakcji.

Spojrzała tymi swoimi błękitnymi oczami pełnymi łez.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jake pokręcił głową.

- Jesteś bystrą dziewczyną. Sama się domyśl. Ale na wszelki wypadek dam ci pewną wskazówkę. Widziałem ciebie i Dina razem. Wiedz, że przy mnie **nigdy** nie miałaś tak szczęśliwego spojrzenia. Otwórz oczy, Susan - powiedział Jake, prostując się. -Otwórz oczy.

Susan siedziała i patrzyła, jak Jake odjeżdża w lamborghini Dickeya. Wsparła ramiona na kierownicy, zwieszając się na niej całym ciężarem ciała. Czula się ośmieszona i ostatecznie upokorzona.

Dziwne, ale śledzenie tej kobiety miało zupełnie inny charak-

ter. Susan uważała, że chroni Jake'a. Nawet kiedy dzwoniła do niego z Riverwalk i obserwowała ich przez lornetkę za tymi wielkimi oknami, w dalszym ciągu sama przed sobą tłumaczyła takie postępowanie interesem Jake'a. On był za dobry. Nie potrafił sam siebie chronić.

Kiedy jednak zobaczyła na jego twarzy wyraz rodzącej się wyrozumiałości, jej poczynania wydały się absurdalne.

Zazdrość i wariactwo.

Pomyślała o swojej matce. O jej samobójstwie.

Siedziała tak i płakała po cichu w swoim samochodzie. Martwiła się, że mimo wieloletniej terapii jej zachowanie może stać się nienormalne. Że potrzebna była taka konfrontacja z Jake'em, aby zobaczyła siebie w innym świetle.

Otwórz oczy.

Jake miał na myśli Dina. Sądził, że jest w nim zakochana.

- Akurat - powiedziała do siebie, ocierając łzy z oczu. - Mam się rzucić w ramiona tego greckiego żigolaka. Jak bym nie miała już dość złamanego serca.

Uruchomiła samochód i odjechała. **Widziałem ciebie i Dina razem. Przy mnie nigdy nie miałaś tak szczęśliwego spojrzenia.**

Kto wie, pomyślała. Była jednak na tyle bystra, żeby mieć się na baczności przed mężczyznami pokroju Dina, który oddawał się wyłącznie podbojom seksualnym. Byli przyjaciółmi i współnikami, odkąd zawiazali spółkę. Miłość by to zniweczyła.

Ale piętnaście minut później znalazła się na parkingu przed mieszkaniem Dina, powtarzając w myślach słowa Jake'a.

Widziałem ciebie i Dina razem... Przy mnie nigdy nie miałaś tak szczęśliwego spojrzenia. ^

Dino należał do tego gatunku mężczyzn, który łamał jej serce na drobne kawałeczki, niczego nie pozostawiając za sobą. Co do Jake'a, zawsze sądziła, że jest mężczyzną niegroźnym. Kiedyś ją kochał. Nigdy by jej nie skrzywdził. Przynajmniej tak myślała. A teraz on jej zarzuca, że żyje przeszłością, aby siebie chronić. Ponieważ się boi, boi się iść do przodu... i ponownie się zakochać.

Starła ostatnią łzę, przeżuując to w myślach.

Otwórz oczy, Susan.

Pociągnęła noseni i wysiadła z samochodu. Nie chciała kochać Dina. Nie chciała, żeby sprawił jej ból. Ale Jake zdaje się powiedział, że przed czymś takim nie można się uchronić. Jeśli człowiek będzie próbował, można tylko sprawę pogorszyć i zacząć

wyprawiać jakieś wariactwa... na przykład śledzić po całym mieście nową kochankę byłego męża.

Susan nacisnęła dzwonek przy drzwiach, a potem czekała, zbierając się na odwagę. Nie miała pojęcia, po co tu przyszła. Pewnie dlatego, że ilekroć miała jakiś problem, zawsze kończyła w drzwiach Dina. Nie wiedziała nawet, co właściwie zamierzała zrobić, ale kiedy Dino otworzył, wtedy poczuła to wszechogarniające pożądanie, nad którym zawsze starała się panować.

Włosy ociekały mu wodą. Spojrzała w jego złotozielone oczy, które zawsze potrafiły ją rozrzewnić. A potem rzucił jej ten swój wyjątkowy uśmiech, który zapewniał, że jest mile widziana o każdej porze dnia i nocy. Pewnie niedawno wrócił z kasyna, czuła zapachy dochodzące z kuchni. Pewnie kolacja. Dino uwielbiał gotować.

- Suzy? - zdziwił się, zwracając się swym ulubionym zdrobnieniem. A potem zrobił skrzywioną minę. - Hej, **mañ mou**, co się stało? - spytał z wyraźną troską.

- Przeszkadzam? - Susan weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Dziwiła się, że miała nadzieję zastać Dina samego. Czyżby nie oskarżała go o wycinanie karbów na łóżku? Co prawda widziała czasami, jak flirtuje z jakąś nieznajomą, ale właściwie nigdy nie widziała go z żadną kobietą. Szczególnie przez ostatni rok.

- Nie. Akurat kończyłem kolację. Twoją ulubioną. Mousaka. Odgrzać ci trochę? Mam nawet wino, które tak ci smakowało...

Susan zdjęła żakiet i rzuciła na podłogę. Wiedziała już, co chciała zrobić.

- Nie jestem głodna - odparła i zaczęła rozpinać bluzkę. Starła się niczego nie analizować, po prostu akceptować to, co jest. Przecież właśnie to Jake próbował jej przekazać, że nie będzie umiał zmusić swojego serca do robienia rzeczy bezpiecznych.

Oczy Dina śledziły każdy jej ruch, niemal zachęcając guziki do rozpięcia. Nie poruszał się wprawdzie, lecz było widać, jak bardzo jej pragnie.

Susan czuła narastające pożądanie. Zadawała sobie pytanie, w jaki sposób potrafiła je dotąd, jak mogła tak długo samą siebie okłamywać. Czuła, jak miło znaleźć się w obliczu tego... prawie wyzwolenia. Był to krok naprzód, jakby uznawała, że wystarczy jej siły, aby stawić czoło ewentualnym cierpieniom.

Ale Dino podszedł i przytrzymał jej rękę, kiedy sięgała do następnego guzika.

- Sam już nie wiem, Suzy. Może to nie jest najlepszy pomysł.

Susan zamarła. Złękła się, że źle go zrozumiała. W tym momencie jednak ujrzała w jego oczach pożądanie i wiedziała, że Dino tak samo jak ona boi się wykonać następny krok.

Dzięki temu wszystko stało się łatwiejsze, lepsze. Uśmiechnęła się do niego.

- Dino, przez cały rok próbujesz dobrać się do moich majtek. A teraz zaczynasz mieć wątpliwości?

Dino cofnął się, trzęsąc głową i jakby budząc się z jakiegoś transu.

- Masz rację. To pewnie jakaś dziwaczna forma lęku przed spełnieniem.

Oczy mu płonęły. Susan czuła jego wzrok głęboko w swojej duszy. Rozpalał w niej wszystkie miejsca, które chciała przed nim ochronić, ale dzięki niemu pierwszy raz od lat poczuła, że naprawdę żyje. **Otwórz oczy.**

W myślach podziękowała Jakeowi. Zrozumiała, że potrzebna była jej ta lekcja, bez względu na ból, jaki sprawiła. Powoli ruszyła w stronę Dina.

- Suzy, jeśli chodzi o te karby na łóżku... Uniosła rękę do góry, żeby go uciszyć.

- Ja wiem, Dino. Jestem miłością twego życia. Tamte się nie liczą. Już niebawem będziemy kroczyć do ołtarza jakiegoś wspaniałego greckiego kościoła ortodoksyjnego. Prawidłowo to odmalowałam? - spytała. Niech Dino zrozumie, że nie dała się ponieść żadnej fantazji.

- Właściwie zaliczamy się do rzymskich katolików.

- No to najwyżej za sześć tygodni.

- W takim razie - powiedział Dino - najlepiej już teraz zacząć odliczać czas.

Susan ściągnęła bluzkę i rzuciła ją na kanapę.

- Odmierzajmy go zatem pojedynczymi krokami.

- Nie ma sprawy - odparł Dino, porywając Susan w swoje ramiona.

19

Jake zapłacił Mindy, opiekunce Michaela, i odprowadził ją do drzwi. Po powrocie zastał Mac spacerującą z kąta w kąt po salonie i rzucającą ukradkowe spojrzenia na drzwi do pokoju Michaela.

Stanął za nią, otaczając ją rękami. Mac westchnęła i przytuliła się do niego.

- Chyba nie powinnam tu przebywać, kiedy Michael jest w domu - powiedziała.

Jake odwrócił Mac twarzą do siebie.

- Nigdy nie przyprowadzałem kobiety w czasie obecności chłopca - odrzekł.

Skinęła głową. Domyśliła się, co chciał przez to powiedzieć. **Była** kimś wyjątkowym.

- Dobrze.

- Podejdź tutaj.

Zaprowadził ją do pokoju syna i otworzył delikatnie drzwi, żeby mogła zajrzeć do środka. Michael leżał zagrzebany pod swoją kolderką w delfiny. Twarz jego rozjaśniał blask padający z wy-gaszacza monitora komputerowego oraz nocnej lampki. Spał smacznie, jak tylko potrafią spać dzieci.

- Jaki on prześliczny - szepnęła Mac.

Patrzyła na Michaela z nieopisaną tęsknotą. Jake uświadomił sobie, że Mac często przygląda się różnym rzeczom, lękając ich na odległość, jak gdyby nie mogła cieszyć się tym, co dla innych ludzi jest na ogół jako czymś zwyczajnym. Miłością. Rodziną.

Zrozumiał, że dla Mac nic nie było czymś zwyczajnym. Dostrzegał w jej oczach mnóstwo swych własnych uczuć dla Michaela. Tego cudownego chłopczyka... straszliwą odpowiedzialność za miłość do niego. Michael był jeszcze bardzo mały, delikatny - podatny na choroby albo jakieś nieszczęśliwe wypadki. Stanowił bezcenny skarb, a sama myśl, że mógłby cierpieć albo ulec^v wypadkowi, doprowadzała Jake'a do szaleństwa.

Kiedy patrzył na Susan, widział w jej oczach to wszystko i jeszcze więcej.

- Myślisz, że to niedobrze? - spytał. - Że jego ojciec ma własne życie? Że przyprowadziłem tutaj kobietę, osobę, na której bardzo mi zależy?

- Nie - odparła, akceptując wszystko, o czym mówił. Potem odwróciła się i przytuliła mocno do Jake'a. Przycisnęła policzek do jego piersi i spoglądała na Michaela śpiącego głęboko w swoim łóżeczku.

Jake przebiegał palcami w jej włosach. Przypomnił sobie pierwszy raz, kiedy widział Mac taką, jaka jest naprawdę. Ognis-torudą. Odniósł wtedy wrażenie, że jej włosy mogłyby wzniecić fajerwerki godne Dnia Niepodległości. Miały ciemny odcień szlachetnego czerwonego wina.

Gdyby Mac go zostawiła, byłoby inaczej niż w przypadku Hope albo Susan. Brakująca połowa... Czy można sobie wyobrazić utratę swojej brakującej połowy, kiedy się ją wreszcie odnalazło?

Już za późno na odczuwanie strachu. Mac była częścią jego życia. Nie pozwoli jej odejść.

- Co powiedziałaś Susan? - zapytała Mac. Po drodze do hotelu Jake wyjaśnił: Susan ją śledziła, ponieważ strzeliło jej do głowy, że Mac stanowi dla niego zagrożenie... oraz że oni mogliby się zejść z powrotem.

- Powiedziałem jej, że zakochała się w kimś innym. Mac spojrzała na Jake'a pytająco.

- To prawda?

- Uhm. Tylko ona się tego boi. Wie, jak bardzo będzie cierpieć, jeśli nic z tego nie wyjdzie.

- A ty nie? - ciągnęła, obserwując oczy Jake'a i szukając w nich kłamstwa, tak jak ją tego nauczył. - Po dwóch nieudanych małżeństwach nie boisz się już niczego?

Jake uśmiechnął się czule.

- Owszem. Boję się. W istocie potrafisz mi czasem napędzić nieliczego stracha, Mac.

Mac uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mój ty panie złotousty...

- Niewątpliwie mam dar wymowy. - Jake oparł podbródek o głowę Mac, przyciskając ją do siebie jeszcze bardziej. - Posłuchaj, Mac. Oto jak się sprawy mają. Bycie z tobą przypomina jazdę karkołomną kolejką górską w wesołym miasteczku. Od dnia, w którym się poznaliśmy, nigdy nie wyglądałaś dwa razy tak samo. Masz dość oleju w głowie, żeby dodać prawie cały alfabet do

swojego imienia, ale masz jaja i robisz szmal w kasynach. Poza tym jesteś seksowna jak wszyscy diabli. Więc choć zapierniczam tą cholerną kolejką z sercem w gardle przy każdym pikowaniu i wznoszeniu - czuję, że jadę.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz. To nie mogę być ja. Jake wyszczerzył zęby, unosząc głowę Mac ku swojej.

- Maleńka, to jesteś cała ty do kwadratu.

- Jake ujął Mac za rękę, nie przestając się uśmiechać, jak tylko on to potrafił. Jego uśmiech miał źródło w oczach i człowiek z miejsca nabierał chęci, żeby go odwzajemnić. Jake zaprowadził Mac do głównej sypialni, do ogromnego, zabytkowego, żelaznego łóża, nie mającego nic wspólnego z mężczyzną, który w nim sypiał.

Zdjął z Mac ubranie, bez pośpiechu, każdą rzecz osobno. Jego palce muskały jej skórę, jego usta dotykały jej ciała.

Wszędzie. McCall robiła to samo, wędrując dłońmi wśród miedzianobrazo-wych włosów na jego torsie, przebiegając palcami na jego plecy, aby posmakować piegów. Jake zawsze pachniał słońcem, słoną morską wodą i cytrynami.

Nie schodzili z łóżka, oddając się subtelnej grze poznawania swych ciał, aż wreszcie ukłękli na pościeli nadzy. Jake śledził wewnętrzną stronę dłoni krągłość jej piersi, pieszcząc jej talię i plecy, wywołując w Mac dreszcz pożądania i radość oczekiwania na to, co ma się stać. W pewnym momencie pochylił się i zaczął ją całować, aby za chwilę unieść ją w kręgu swych ramion, przygniatając do siebie i pogłębiając pocałunek.

- Uśmiechasz się, kiedy mnie całujesz - szepnęła, nie odrywając ust od jego warg i wczepiając palce w jego włosy.

- Dlatego, że uwielbiam cię całować - wymamrotał, kładąc się wraz z nią na łóżko. - Bardzo przyjemna czynność.

- Gdyby pozwolić im rosnąć, czy twoje włosy kręciłyby się tak jak Michaelowi?

- Nie. Loczki to jego znak. Może kiedyś, jak byłem dzieckiem... Jake pocałował teraz jej pierś. Mac nie pozwalała mu unieść

głowy, czując, że przenikają ją głęboko fale rozkoszy. Jego wargi, jego język.

- Masz wspaniałe usta.

Ujął w dłonie jej pośladki i lekko ją obrócił. Teraz leżała pod nim i patrzyła na niego do góry. Wodził po niej wzrokiem, wchodząc powoli, bardzo powoli, spajając ich ciała ze sobą.

- Widzisz już, jak jest między nami, Mac? - spytał, poruszając

się w niej. Uniósł jej nogi wysoko nad swoje biodra i pchnął do przodu.

- Tak. - Nie odwracała od niego wzroku. Nie była w stanie.

- Tego się właśnie obawiam... że nie będę mógł dotykać cię w taki sposób - powiedział, sięgając do jej piersi i ujmując je w dłonie, aby muskać palcami brodawki, nieustannie przesuwał się w jej wnętrzu.

- Nie zabezpieczyliśmy się - zdołała wyszeptać.

- Wiem - odparł, ponownie całując jej usta i łącząc ich jeszcze bardziej ze sobą. - Chciałem poprawić stan posiadania. No wiesz, facet nie zawsze może liczyć na dziurkę w tym cholernym balonie.

- Och Jake - szepnęła. Była szczęśliwa, przestraszona oraz podniecona, wszystko jednocześnie. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Jake pozostawał w absolutnym bezruchu, następnie uniósł się i pochylił nad Mac.

- Chciałem przez to powiedzieć, że ja kocham cię, a ty mnie.

- Owszem - mruknęła, oddając się Jake'owi całym sercem, ponieważ bardzo tego pragnęła. Owinęła go nogami i przyciągnęła jego ramiona ku sobie. Gładziła jego smukłe i silne plecy, czyniąc go swoim na zawsze. - Kocham cię.

Kochali się, próbując zakończyć, to znowu zaczynając od początku. Mac akceptowała wszystko, co robili. Jake miał rację, że jego utracenie byłoby bardziej przerażające niż miłość do niego. Jego usta, jego wspaniałe, delikatne usta, przenosiły ją w miejsca, do których nigdy nie dotarłaby samodzielnie. Ponieważ ją kochał. I pragnął dawać, dawać i dawać.

Kiedy ułożyła się skulona obok niego, słońce już zalewało pokój różowym światłem, rozpoczynając nowy dzień. Mac myślała o poczuciu bezpieczeństwa, które dawał jej Jake, mimo że wcale nie była bezpieczna. Nie chciała rozstawać się z tym łóżkiem ani z Jake'em, ani z żadnymi marzeniami, które właśnie przed nimi roztoczył. j

Jego dłoń zwinęła się, aby ująć i poczuć cudowną pierś Mac. Pocałował ją w ramię. /

- Wiesz, kiedy zobaczyłem, jak ten gość wychodzi z samochodu i prowadzi cię po chodniku, a potem sterczy pół nocy i robi Bóg wie co w miejscu, skąd nie mogłem cię widzieć, zląkłem się, że dostanę szalu.

- Dlatego, że sobie nie ufamy - rzekła Mac, odwracając się twarzą do Jake'a. - To nie powinno tak być. Prędko i gwałtownie.

Po wariacku. - Przycisnęła czoło do jego podbródka. - Och Jake. Co my wyprawiamy?

Jake wdychał głęboko jej szczególny aromat. Rozumiał, że już czas uporządkować relacje między nimi. Wyciągnął delikatnie gruby kosmyk włosów z kucyka na głowie Mac.

- Więc może raczej o tym powinniśmy porozmawiać. O zaufaniu. O Ciarke Labs - powiedział. - Cokolwiek zamierzasz zrobić, mogę ci w tym pomóc

Potrząsnęła głową, patrząc na Jake'a takim wzrokiem, jakby się bała. Jakby się bała o niego.

- Proszę cię, Jake. Pomyśl o Michaelu. Nie chcę, żebyś mnie ratował. To nie to samo; to nie jest Klątwa Donovana, gdzie jedynym powodem do zmartwień jest twoje złamane serce.

- Boisz się, że ktoś może wyrządzić mi krzywdę? Nawet zabić?

- Roger i Curtis. - Mac podała tylko imiona, nazwiska zachowała dla siebie.

Jake skinął głową.

- Więc powinienem ci ustąpić? Zostawić cię z tym wszystkim. -Chciał, żeby przygotowała się na najgorsze. - Ciągłe stoi mi w pamięci, co mówiłaś o Alicji. Ze zabito ją, ot, tak sobie, bez wahania. Może następnym razem Curtis nie ograniczy się do zniszczenia twojej reputacji. Może spróbuje na trwale usunąć cię ze swojej drogi.

Mac zaczęła drżeć, nie mogąc się opanować. Jake otoczył ją ramionami i przytulił do siebie.

- Jezu. Co ci jest?

- Zimno mi. Bardzo zimno.

Jake zaczął kołysać ją na sobie. Czuł gwałtowną potrzebę zapewnienia jej ochrony. Wiedział, dlaczego drżała. Nie miało to nic wspólnego z zimnem. Mac się bała. Zaklął pod nosem.

- Mac?

- W laboratorium nastąpił wypadek - szepnęła. - Dlatego nie miałam swojego ubrania. Uległo zniszczeniu. Rozbiła się butla z kwasem siarkowym. Drzwi do laboratorium były zablokowane. Ten mężczyzna, z którym widziałeś mnie przed domem, pracuje ze mną nad Formułą Omega. Byliśmy razem uwięzieni w tym laboratorium.

Jake próbował nie reagować, uległ jednak temu samemu impulsowi, który wcześniej wywołał w nim atak zazdrości.

- Wystarczy. To koniec. Już tam nie wrócisz. Mac nawet nie spojrziała na Jake'a.

- Wyciek kwasu. To się w ogóle nie łączy z wypadkiem Alicji.

- Dlaczego? Bo się nie udało? Bo nie zginęłaś?

Mac przywarła jeszcze bliżej, jeszcze bardziej tuląc się do niego.

- Cicho - wyszeptala. - Już i tak umieram ze strachu. Obejmij mnie. Jake w milczeniu gładził ją po plecach. Mac ani przez moment

nie uwierzyła w przypadkowy wyciek kwasu. Ktoś obawiał się jej do tego stopnia, że postanowił - jeśli nawet nie zabić - to przynajmniej wystraszyć ją i pozbyć się jej raz na zawsze.

- Dobrze - powiedział miękko Jake. Myślał o swoich działaniach, o śledztwie, które mógłby narazić na szwank. Nie miał jednak wyboru. Nie mógł pozwolić Mac wrócić, nie informując jej o wszystkim. - Zaraz ci coś wyjaśnię. To, czego dowiedziałaś się przez telefon od Susan tamtego wieczoru, że spotkałem się z moim dawnym szefem w biurze prokuratora. Nie rozmawialiśmy o tobie. Chciałem się dowiedzieć czegoś o Curtisie. Gus mi powiedział, że toczy się śledztwo. Sprawa jest poważna. Interesuje się tym Interpol. A także FBI. Podejrzewają, że ktoś w Ciarce Labs skupuje zamrożone embriony.

Mac aż zeszywniała.

- Ludzkie embriony?

- Tak jest. Ponad setkę, mówiąc ściśle. Niestety, tego nie można załatwić w zaprzyjaźnionym sklepiku na rogu. Te miały zostać zniszczone w Anglii. Może ktoś doszedł do wniosku, że nikt nie zauważy braku kilku sztuk?

Mac usiadła prosto. Wstała z łóżka i podreptała do szafy Jake'a. Złożyła jedną z jego koszul i wyszła z pokoju. Po chwili przyniosła swoją dużą torbę. Usiadła na łóżku obok Jake'a, wyjęła z torby kilka kartek i podała mu.

- Wydrukowałam to w pracy z komputera. To rodzaj blankietu zgłoszenia do jakiegoś uzdrowiska.

Jake zerknął i w tym momencie przypomniał sobie.

- Tak. Wiem o tym. Garrett cieszył się jak dziecko, bo udało mu się namówić jego dziewczynę, żeby się tam zapisała.

Pamięć tasz tę krupierkę, która nam rozdawała w kasynie? Tę z długimi paznokciami, której ciągle dawałaś dwudziestopięciodolarowe napiwki? To ta sama. Nazywa się Stacie. Nie chciała się zapisać, ale Garrett przemówił jej do rozsądku. Chce, żeby tam poleciała.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - rzekła Mac, po czym wzięła od Jake'a papiery i przelożyła je na drugą stronę. - Spójrz na te pytania.

Jake zapalił lampę i w milczeniu przeczytał kwestionariusz. Nie rozumiał, o co chodziło Mac.

- Wygląda na normalny kwestionariusz. Ale zaraz, Jezu... -urwał i w miarę czytania coraz bardziej się zasepiał. - Nawet kwestionariusze ubezpieczeniowe nie są tak dogłębne.

- Właśnie - westchnęła Mac. Potem wstała i zaczęła chodzić z miejsca na miejsce. W pewnym momencie zatrzymała się, obgryzając paznokcie, po czym odwróciła się do Jake'a. - Myślałeś, że wróciłam do Clarke'a, żeby się zemścić. Mnie chodzi o co innego.

- A więc powiedz mi o co - odparł Jake, odkładając papiery. Mac miała tak zgnębiającą minę, że Jake nie mógł jej nie wysłuchać.

- Rok po śmierci Alicji dostałam od jej adwokata kluczyk do jej skrzynki depozytowej. Alicja zostawiła mi coś w spadku, ale minął rok, zanim adwokat mnie odnalazł. W środku znajdował się dziennik laboratoryjny Alicji. Traktowała go jak pamiętnik. Są w nim dziwne notatki. O tym, że była pod wpływem swojego kochanka, mężczyzny, którego opisała jako połączenie Mistrza Duchowego z doktorem Frankensteinem. Nigdy jednak nie podała jego imienia.

Mac powoli podeszła do Jake'a.

- Przeprowadzali serię eksperymentów. Niestety, nie podała, na czym One dokładnie polegały. W swoich zapiskach była bardzo ostrożna, jakby się obawiała przelać wszystko na papier. Ale na podstawie tych notatek udało mi się wywnioskować, że chodziło o pielęgnację urody.

- W Ciarke Labs? Mac kiwnęła głową.

- Wróciłam, ponieważ przeraziło mnie to, co przeczytałam w jej pamiętniku. Byłam ciekawa, czy po jej śmierci ktoś kontynuuje te eksperymenty. Widziałam je w moich snach... obrazy, które opisywała. Dlatego posłużyłam się Formułą Omega jako przykrywką. Miałam nadzieję, że uda mi się ich zwodzić wystarczająco długo, bym się przekonała, czy jej zapiski odpowiadają prawdzie - a potem znowu zniknę.

- No i co znalazłaś? - spytał Jake. Bezsprzecznie coś odkryła. Mac otoczyła się ramionami, jakby znowu było jej zimno.

- Ciarke Labs ma supertajne pomieszczenie w Laboratorium 20. Idealne miejsce do badań, które chce się utrzymać w całkowitej tajemnicy.

- Mój Boże - szepnął Jake. Zaczynał rozumieć. - Klinika.

Wiem od Garretta, że obiecywali coś, przy czym dotychczasowe kremy i emulsje będą jak mazidła z epoki kamiennej.

- Formuła młodości? - rzekła Mac, po czym się zamyśliła. - To by się zgadzało z zapiskami Alicji. Ale w żaden sposób nie mogę być pewna. W gruncie rzeczy nie wiem nawet, jakie eksperymenty przeprowadzała przed śmiercią. Wiem tylko jedno - wykorzystywali zwierzęta... One umierały straszną śmiercią.

- A Garrett kazał Stacie zapisać się do tej cholernej kliniki. Sądziś, że chcą eksperymentować na kobietach?

- Czy ja wiem? Doświadczenia na ludziach? To chyba przesada. Ale czemu pytasz, Jake?

Jake odszukał konkretną stronicę.

- Czy byłaś kiedykolwiek pod narkozą? - przeczytał na głos. Pocierał twarz dłońmi i rozmyślał. - Muszę to pokazać Gusowi. On będzie wiedział, co z tym zrobić...

- Nie. Proszę cię, Jake. Jeszcze nie. Daj mi trochę czasu. Może uda mi się znaleźć coś więcej, jakieś nowe wskazówki. - Mac podeszła do łóżka i uklękła przed Jake'em. - Czego to naprawdę dowodzi? To tylko moje dziwaczne domysły. A embriony... szczerze mówiąc, nie widzę tu żadnego związku. - W głosie Mac pobrzmiwała nerwowość. Zawzięcie starała się go przekonać. - Na embrionach nie da się przeprowadzić zbyt wielu badań naukowych. Nie mają odpowiednich tkanek do badania toksyczności z farmakologicznego punktu...

- Mój Boże - wtrącił Jake, patrząc na Mac. Po raz pierwszy domyślił się wszystkiego, zobaczył kompletny obraz. - Jaki ja byłem głupi. Nie rozumiałem rzeczy oczywistych. Twój ojciec. Oh kieruje Działem Badawczo-Rozwojowym u Clarke'a. Boisz się, że jest w to zamieszany. Próbujesz go chronić. Od początku o to chodziło.

Mac zerwała się na nogi. Była wzburzona.

- Nie możesz dać mi tygodnia? Wystarczy mi tydzień. Jake wstał z łóżka i podszedł do niej.

- Nie mogę ci dać nawet jednego dnia. Nie pozwolę ci tam wrócić. - Chwycił Mac za ramiona. - Oni próbowali cię/żabić

Mac odepchnęła go od siebie.

- Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego! Ale jeśli wkroczycie, zanim zbiore dowody, Curtis zdąży tak sprawę zamącić, że cała odpowiedzialność za prowadzenie nielegalnych badań spadnie na ojca.

- Nie możesz tego wiedzieć...

- Ja **wiem**. Ze wszystkich ludzi, właśnie ja jedna wiem! - zawołała. Wyraz jej oczu świadczył, że wierzyła w to, co mówi.

- Tak samo postąpił wobec mnie. On mnie zniszczył. I tak samo postąpi wobec mojego ojca.

- Skąd pewność, że ojciec nie jest w to zamieszany? - zapytał łagodnie.

- Bo jest moim ojcem, Jake. Jest moim ojcem.

Widok tak zdesperowanej i żebrzącej Mac łamał Jake'owi serce. **Jest moim ojcem.** To znaczy, że nie może być w to zamieszany. Ponieważ go kochała.

Mac odwróciła się i podeszła do łóżka. Ręce trzymała skrzyżowane na piersiach w postawie obronnej.

- Jeśli potrzebujesz lepszego powodu niż ten, to powinieś przeczytać dziennik Alicji. Zakochała się w mężczyźnie, który kryje się za tymi eksperymentami. Ojciec nie znosił Alicji, nie mogli pozostawać oboje w tym samym pokoju dłużej niż pięć minut. Nigdy by się nie wplątali w żaden spisek.

- A to czemu? - spytał Jake. - Dlaczego jej nienawidził?

Mac znowu potrząsnęła głową. Było jasne, że nie chce tej sprawy poruszać, nie chce rozważać możliwości, że ojciec wplątał się jednak w nielegalny proceder. Przeżywała wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony chciała wierzyć Jake'owi, z drugiej zaś starała się zapewnić bezpieczeństwo ojcu.

- Dlaczego, Mac?

- Z mojego powodu - szepnęła po chwili cichutko. Jake nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. - Ponieważ pojechałam do Harvardu pracować w jej laboratorium, zamiast pozostać tu, w Luizjanie, jako jego asystentka naukowa. Ojciec oskarżył Alicję o usidlenie mnie marzeniami o nagrodzie Nobla. A kiedy Alicja i ja przeniosłyśmy się z Harvardu na Politechnikę Luizjańską, kiedy zostałyśmy partnerkami po zakończeniu przeze mnie stażu po pracy doktorskiej, ojciec znienawidził ją jeszcze bardziej. - Mac odwróciła się twarzą do Jake'a, starała się, aby postrzegal rzeczywistość jej oczami.

- Oni nigdy nie byli kochankami.

- Sam już nie wiem, Mac Zresztą obojętne, kim był ten mężczyzna, ten doktor Frankenstein, o którym pisała. W końcu Alicja Goodman poniosła śmierć, czy to był nieszczęśliwy wypadek, czy nie.

- Właśnie. Poniosła śmierć. Ojciec nikogo by nie zabił - oznajmiła Mac. Broniła go z głębokim przekonaniem, wiarą i żarliwością. - Ale Roger tak. To on prowadził samochód tego wieczora.

Nie dalej jak kilka tygodni temu dręczył mnie sugestią, że on i Alicja byli kochankami. To Roger jest tutaj czarnym charakterem. Jest człowiekiem, który może kochać kobietę na śmierć -wykorzystać ją, a potem zabić, kiedy wejdzie mu w drogę albo przestanie być użyteczna. To na pewno Roger.

- Kochasz swojego ojca - stwierdził Jake. - On się ciebie wyrzekł, a ty go kochasz.

Mac zamknęła oczy, powoli jakby zaczynała kruszeć. Po chwili usiadła na krawędzi łóżka.

Jake próbował sobie wyobrazić relacje między nimi. Jakie to uczucie, kiedy jest się ojcem nadzwyczaj uzdolnionego i błyskotliwego dziecka. Pokusa, by formować jego osobowość, byłaby przeogromna. Jake przypominał sobie, jak nerwowo zareagowała Mac w pokoju Michaela, widząc, że Hope próbuje przyspieszyć jego rozwój - aby stał się najlepszy. Może ojciec Mac nie ograniczał się do zabawek edukacyjnych i kilku lekcji dla maluchów.

- Nie przypisuję mu większej winy niż sobie - powiedziała Mac, przecierając oczy zewnętrzną stroną dłoni. Wyglądała na bardzo zmęczoną, ciężka noc dawała się we znaki. - Zdradziłam jego marzenia. Zostawiłam go samego, a on poświęcił całe życie na moją edukację, otwierając przede mną wszelkie możliwości i zapewniając mi zdobycie doświadczenia w każdej dziedzinie, jeśli tylko uważał, że pomoże mi to coś zrozumieć

- Myślałem, że wszyscy rodzice powinni to robić. Pomagać swoim dzieciom. Nie miałem pojęcia, że trzeba za to potem zapłacić.

- To nie była zapłata, Jake - odparła. Wciąż zaciekle broniła ojca. - To było partnerstwo. Jak wtedy, gdy ktoś ma przedsiębiorstwo i do swojego nazwiska każe dodawać ; **Synowie**. Ale ja zamiast ojca wybrałam Alicję. Po Harvardzie jeszcze ze sobą rozmawialiśmy, ale to nie było to samo. Strasznie go uraziłam. - Mac spuściła wzrok na swoje dłonie, zaciskając je rytmicznie na kolanach. - Kiedy FBI wystąpiło z oskarżeniami, ojciec był gotów uwierzyć w najgorsze. Postrzegal to jako drugą zdradę. Matka mi powiedziała, że nie potrafił zaakceptować słabości drugiego człowieka, i miała rację. Ojciec potraktował moją manipulację wynikami testów za ostateczną słabość. Coś niewybaczalnego. Nie mogę go winić za to, co zrobił.

- Doprawdy - bąknął Jake. Uśmiechał się, ale nie było mu wesoło, ponieważ wysłuchał przed chwilą opowieści o człowieku, który chciał ziszczyć swoje marzenia kosztem własnej córki, który uważał, że mogłaby osiągnąć sukcesy, jakie jemu nie były dane.

o człowieku, który wywoływał u swej córki koszmary o bakteriach rozrastających się bez umiaru, duszących ją za gardło... co z pewnością sam próbował robić, zanim od niego nie uciekła.

Jake ukląkł przed Mac, kładąc dłonie na jej kolanach.

- Dlaczego wyjechałaś? - spytał miękko. Na pewno nie uczyniła tego dla marzeń Alicji. Jej ojciec musiał zrobić coś złego. Coś, co zmusiło ją do ucieczki.

Mac potrząsnęła głową, w dalszym ciągu obejmując się ramionami.

- Jestem zmęczona - szepnęła urywanym głosem. - Jestem potwornie zmęczona, Jake.

Zanadto zmęczona, aby rozmawiać. Zanadto zmęczona, aby stawić czoło temu wszystkiemu. Miała wypisane na twarzy i to, i mnóstwo innych rzeczy.

- Chodź tutaj - powiedział, wyciągając do niej ręce.

Mac padła w jego objęcia. Jake przytulił ją i pocałował łagodnie.

- Wszystko będzie dobrze, maleńka - szepnął. - O nic się nie martw.

- Chciałabym się położyć.

- Słusznie - odparł, prowadząc Mac w stronę łóżka. - Musisz się wyspać. - Odrzucił koldrę i patrzył, jak Mac gramoli się do środka, po czym wślizgnął się obok niej. Po chwili szepnął: - Ale pozwolisz mi sobie pomóc.

- Tak - mruknęła sennie, oddychając miarowo pod jego dłoń. Splotła ich palce ze sobą i przywarła do niego całym ciałem. - Tak.

Po północy przyprowadzili owczarka niemieckiego.

Dwóch laborantów władowało psa do klatki, zwierzę, martwy ciężar. Przez większą część dnia na zmianę gonił po sztucznej bieżni i odpoczywał. Jego tętno obserwowano na monitorze, odruchy sprawdzano periodicznie, wszelkie zmiany rejestrowano. Kiedy do tego dojdzie - do utraty wzroku i zaniku zdolności motorycznych - dalszy proces przebiegnie bardzo szybko. Przetrvanie jeszcze jednego dnia przez owczarka to dobry znak, ale zwierzę było wyczerpane. Kiedy zamknęła się za nim klatka, powieki psa uchylily się apatycznie. Nie podniósł głowy. Złota labradorka, Sierra, trąciła go w łapę przez kraty.

- Sądzisz, że wyjdzie z tego? - spytał pierwszy laborant.

- Kto wie - odparł drugi. - Niedługo się przekonamy. Boże, nie lubię, kiedy odchodzą.

- Ja też.

- A co z tą złotą labradorką?

Laborant przebiegł wzrokiem swój grafik na sztywnej podkładce, po czym przelożył kartkę.

- Chirurgia. Jutro wieczorem.

20

- Obudź się, Mac - Donośny głos polachotał ją łagodnie w ucho. - Obudź się.

McCall ocknęła się z głębokiego snu, mając nadzieję, że ujrzy Jake'a. Zamiast niego zobaczyła parę ślicznych brązowych oczu, długie, dziewczęce rzęsy i strzechę jasnoróżowych włosów... wszystko na wysokości jej twarzy obok łóżka.

Uśmiechnęła się zadowolona, że ciekawość najpierw kazała mu ją obudzić.

- Dzień dobry, Michael - szepnęła.

Syn Jake'a odpowiedział jej uśmiechem, ukazując mlecznobiałe dziecinne ząbki.

- Cześć, Mac.

McCall przyłożyła palec do ust. Spojrzała na Jake'a i stwierdziła się, że śpi jak susel. Wygramoliła się z łóżka, wzięła Michaela za rękę i oboje wymknęli się z pokoju. Chłopiec zaczął już z cicha chichotać.

Gdy tylko McCall zamknęła drzwi, Michael parsknął śmiechem, pokazując na jej strój.

- Nosisz koszulę tatusia.

McCall przyjrzała się białej koszuli sięgającej jej do kostek.

- Ale ze mnie gapa - mruknęła, przyciskając dłoń do ust. - Zapomniałam spakować pizamę.

Teraz oboje już zanieśli się od śmiechu. McCall tak się spodobało ich radosne chichotanie, że zaczęła Michaela laskotać, przypomniawszy sobie harce z bliźniętami Barb. Chłopiec upadł na podłogę i zaczął turlać się, piszcząc na całego ze śmiechu - ilekroć zdołał uniknąć rąk McCall.

Kiedy wreszcie przestali, leżeli na podłodze, głowa przy głowie, ciężko dysząc. Podobnie czuła się prawie każdego ranka

z bliźniętami, radosna, że jest elementem czegoś większego - czegoś lepszego. Elementem życia dziecka. Michael usiadł i popatrzył w dół na Mac.

- Będiesz moją nową mamą? McCall wstrzymała oddech.

- Nie wiem. - Była tak zaskoczona, że odruchowo powiedziała prawdę. Myślała o ubiegłej nocy, o tym, co czuła do Jake'a.

- To zależy od ciebie i twojego taty.

- Nie martw się. Mój tata jest bardzo dobry w takich sprawach. Daje mi wszystko, czego chcę. Chodź. - Chwycił McCall za rękę i pociągnął ją do sąsiedniego pomieszczenia.

McCall podziwiała ufność Michaela, pięknego i szczęśliwego dziecka, z którego biła pewność siebie. Domyślała się, że to zasługa Hope, co brzmiało jak paradoks, ponieważ McCall nie była szczególnie zainteresowana przypisywaniem Hope jakichkolwiek zasług. Patrzyła, jak Michael wdrapuje się na stół i kładzie łokcie na barku, wyglądając niesamowicie Uroczo w swojej ciepłej, czerwonej piżamce. Czekala na jego następny ruch.

Michael przekrzywił głowę i popatrzył z wyrazem jakby zdziwienia.

- Nie będziemy jeść śniadania?

- Już się robi - odparła, przechodząc natychmiast na drugą stronę barku; ostatecznie matki robią śniadania. Otworzyła kilka szafek, po czym spojrzała na Michaela. - Co podać?

Chłopiec westchnął pobłażliwie i zgramolił się ze stołka. Znalazł opakowanie płatków Lucky Charms. McCall wyjęła z lodówki pudełko mleka, ale Michael potrząsnął głową, układając na granitowym blacie miski i łyżki.

- Mleko niepotrzebne.

- Nie?

- Nie. Bez mleka smakują lepiej.

Nasypał dużo płatków do misek i podniósł wzrok na McCall.

- A mogę dostać wasze płatki czekoladowe?

McCall odstawiła mleko do lodówki, obrzucając pięciolatka pytającym spojrzeniem. Najwyraźniej chłopiec umiał poznać frajera na pierwszy rzut oka.

- Możesz wziąć trochę **moich**. Sam wybiorę które. Ale tęczyowych ci nie dam.

- Szkoda!

Zanim zjedli połowę płatków, McCall dowiedziała się, że ulu

bionym kolorem Michaela jest fioletowy, najlepszym kolegą Luren, że chce dostać na urodziny, które były już bardzo blisko, szklane kulki i rower na sportowych kołach. Kiedy dorośnie, zamierza zostać muzykiem. Uwielbia płatki Lucky Charms - zwłaszcza tęczowe, od których zawsze rozpoczyna śniadanie. Udało mu się też namówić McCall do oddania mu większości swoich.

Poza tym umiał posługiwać się aparaturą dźwiękową Jake'a. Nawet zrobił sobie przerwę w jedzeniu Lucky Charms, żeby nastawić muzykę. Cicho w tle przygrywała Druha Trava, czechosłowacka grupa bluegrassowa, z którą jego ojciec zdążył już McCall zaznajomić.

- Przyniosłaś mi książeczkę do kolorowania? - spytał z buzią umazaną owocowymi płatkami.

- Niestety, nie miałam okazji jej kupić - odparła McCall, jedząc dużą czekoladową kulkę i tęskniąc za mlekiem.

- Spoko - rzekł Michael. - Masz rude włosy tak jak ja.

Mac uśmiechnęła się. Mogła sobie wyobrazić, jak wyglądała z tymi włosami wylazącymi z kucyka.

- Trochę ciemniejsze.

- Ale w ogóle nie masz piegów. Mac zmarszczyła nos.

- Tylko bardzo wyjątkowi rudzielcy dostają piegów. Chłopiec skinął głową, jakby to było dla niego oczywiste.

McCall obserwowała go z rosnącym sercem, ale powoli zaczynała się czuć jak złodziejka, która kradnie dziecku jego drogie chwile. Starła się uwierzyć, że w jakiś sposób będzie mogła stać się elementem jego życia na zawsze.

Chciałem przez to powiedzieć, że ja kocham ciebie, a ty mnie. Uśmiechnęła się na wspomnienie słów miłości wypowiedzianych przez Jake'a.

- Całym sercem - szepnęła, odgarniając kosmyk włosów z twarzy Michaela.

Chłopiec popatrzył na nią badawczo.

- Będiesz używała mojej szczoteczki do zębów? Możesz. Proszę bardzo. Mam nawet jedną, co się świeci w ciemnościach. I taką super, bo jest na niej Złoty Strażnik Mocy. Mama nie pozwala mi na żadne przedmioty ze Strażnikami Mocy, ale tata się zgadza.

- Dlaczego mama nie pozwala ci na taką szczoteczkę? - spytała McCall, przypomniawszy sobie bliźnięta Barb i sterty takich gadżetów, które zaśmiewały każdy kąt domu.

- Mama mówi, że jestem za mały i nie umiem odróżnić fantazji od rzeczywistości. Dickey, to znaczy mój ojczym, mówi, że mama za bardzo się przejmuję, ale i tak musimy jej słuchać. Strażnicy Mocy są za brutalni.

- Aha - mruknęła McCall, rozumiejąc teraz. A przy okazji uprzytomniła sobie logikę wywodów chłopca, Michael wyrażał się zupełnie jak człowiek dorosły.

- Coś mi mówi, że jesteś bystrym chłopcem i umiałbyś dostrzec różnicę między prawdą a zmyśleniem.

- Pewnie. Ciągle to mamie powtarzam, ale ona i tak nie pozwala mi trzymać Strażników Mocy.

McCall doszła do wniosku, że Jakeowi musi być bardzo ciężko, żyjąc od weekendu do weekendu i pozwalając Hope na ustanawianie wszystkich reguł. Domyślała się, że to Hope odpowiada za przeladowanie książkami edukacyjnymi, za brak książeczek do kolorowania, za całą strukturę życia Michaela. Doszła do wniosku, że bardzo nie lubi i Hope, i Susan, kobiet odpowiedzialnych za Klątwę Donovana.

- Moja mama i Dickey polecili do Teksasu - oznajmił Michael, przerywając ciszę. - Mają mi przywieźć siostrzyczkę. Pytałem tatę, czy może urodzić dzidziusia. Będzie ze mnie wspaniały starszy brat. Tak powiedziała mama. Więc czemu nie.

Iskierka nadziei zamigotała w duszy Mac, kiedy przypomniała sobie, że być może tej nocy splodzili dziecko. Wspaniale byłoby zapomnieć o sprawach, które ją tu przywiodły, i znaleźć się w tej rodzinie z krainy baśni, obok Jake'a i Michaela. McCall nie chciała teraz myśleć o wycieku kwasu ani o kwestionariuszach, które wydrukowała w laboratorium.

Najbardziej jednak pragnęła zapomnieć o zarzutach Jake'a pod adresem jej ojca.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do sypialni. Pojawił się Jake, ziewający przeciągle. Miał na sobie dżinsy i biały podkoszulek, a włosy sterczały mu na głowie we wszystkich możliwych kierunkach, jak gdyby kilkanaście razy przeciągnął po nich palcami. Twarz mu porastała rudawa szczecina. Wyglądał absolutnie zachwycająco.

Pocałował McCall i Michaela w czubki głowy, a potem odwrócił się plecami do syna, przeciągając drugiego całusa aż do ust McCall. Następnie cofnął się i uśmiechnął, błyskając swoimi oboma dołeczkami.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparła. Zadecydowała, że żaden mężczyzna

nie powinien wyglądać tak wyśmienicie zaraz po wstaniu z łóżka.

Jake znowu ziewnął, wszedł za barek, otworzył lodówkę i wyjął karton mleka. Bez słowa wlał trochę do talerza Michaela.

- O rany - zaprotestował chłopiec. - Zepsuleś wszystko, tato! Jake wlał mleko do płatków McCall.

- Tęczowe też wycyganil?

- Owszem - przyznała, zerkając na Michaela. - Jeśli chodzi

o ścisłość, wycyganil.

- Z mlekiem są wstrętne - burknął chłopiec.

- Jedz - nakazał mu ojciec, chowając mleko do lodówki, po czym zaczął uruchamiać ekspres do kawy. Wlał do niego wodę i wyspał kawę.

- Jak się czujesz? - spytał McCall.

- Jestem trochę zmęczona - odparła, spoglądając na jedzącego płatki Michaela. - I niewiarygodnie szczęśliwa.

Jake uśmiechnął się, czochrając włosy chłopca.

- Hej, współniku. Chcesz obejrzeć Gargulców?

- Taak! - Michael zeskoczył ze stolka, tupiąc nogami o podłogę.

Jake poszedł za nim z talerzem płatków, który chłopiec zostawił na kontuarze. Posadził go przed telewizorem razem ze śniadaniem, wyłączył muzykę, nastawił wideo i wrócił do McCall.

- Pal diabli, takie filmy są cholernie wygodne - powiedział, kiwając głową w stronę telewizora. - Nic dziwnego, że Hope nie chce, żebym go do nich przyzwyczajał. - Jake pokręcił głową. - Bo jeszcze zejdzie na śliskie tory.

- Nic mu nie będzie - stwierdziła McCall, ściskając dłoń Jake'a. - To świetny film.

- Jesteś fanką Gargulców?

- A także **Batmana, Potężnych kaczorów, Wodnych wilków, Jetsonów**. - McCall westchnęła, kładąc sobie rękę Jake'a na szyi. - Uwielbiam kreskówki. Pewnie dlatego, że w dzieciństwie nie miałam czasu ich oglądać.

- Ach. Pozbawiona jako dziecko. Opętana jako dorosła.

- Coś w tym rodzaju.

Jake przyjrzał się Mac ubranej w jego koszulę. Zapięła zbyt dużo guzików, na pewno przez wzgląd na Michaela, ale rozcięcia po bokach były bardzo pociągające. Potrząsnął głową.

- Już nigdy nie będę myślał o tej koszuli tak jak przedtem. - powiedział, obchodząc Mac naokoło i przeciągając dłonią po kręgości jej biodra. - Napijesz się kawy?

- Tak, poproszę.

Po chwili postawił kubki na barku. Stał za Mac, otoczył ją ramionami i przytulił do siebie mocno. Wiedział już, czego naprawdę pragnął. Obecności Mac każdego poranka.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał Jake, kiwając głową w stronę Michaela. - Chcesz się zapisać do naszej drużyny? Ze wstrzymanym oddechem czekał na odpowiedź Mac. Ponieważ ją kochał i wiedział, że ona też go kocha. A życie czasami potrafi się tak pochrzanić, że te proste prawdy mogą nie wystarczyć.

McCall obróciła się na stolku i spojrzała na Jakea. W jej oczach odbijała się jego własna, ściskająca mu serce tęsknota. A także wszystkie wątpliwości.

- Moja matka była alkoholiczką - wysapała szeptem. - Siostra jest o osiem i pół roku ode mnie młodsza. Nigdy nie stałam się częścią jej życia, bo nikt mnie nie nauczył, że to może być ważne. Belinda dorastała w niechęci do mnie. Nie bez powodu. Chodzi o ojca. Tylko on był dla mnie rodziną. To on mnie beształ, kochał i nauczył wszystkiego. A potem nawet i jego zabrakło. Mając trzynaście lat, wstąpiłam na Harvard.

Słuchając opowieści Mac, Jake ujrzał przed oczami dziwny obraz. Miał wrażenie, że Mac relacjonuje jeden z tych niezwykłych eksperymentów izolacyjnych. Kto wie, czy ojciec nie separował swojej małej córeczki od innych ludzi, aby tylko on się liczył w jej życiu... Być może uczył ją koncentrować się tylko na jego potrzebach i sprawach, które on uważał za istotne. Jake zatrzymał te myśli dla siebie, ponieważ Mac zapewne nie przyjęłaby aż tak pokręconego obrazu swego życia.

Teraz patrzyła na Michaela. Na jej twarzy malowała się obawa, że nie da sobie rady.

- Wczorajszego wieczoru - zaczął Jake - Guru Barb i ja mieliśmy trochę czasu, no wiesz, kiedy czekaliśmy na twój powrót. Powiedziała, że jesteś matką chrestną bliźniąt. Że świetnie sobie z nimi radzisz, że nie widziała dotąd nikogo, kto miałby tyle miłości do zaoferowania. Być może nagromadziłaś ją w sobie przez te wszystkie lata, a ona teraz jakby z ciebie wytrysnęła.

Jake widział jednak, że nie udało mu się do niej dotrzeć. Maę miała zaciśnięte usta, a na jej twarzy wciąż malowała się tylko niewiara we własne siły oraz kompleks niższości.

No, do diabła. Przecież umiał manipulować ludźmi, jeśli trzeba. Usiadł przed nią i spojrzał jej w oczy.

- Posłuchaj, nie chcę nic mówić, ale przeżywam wewnętrzne rozdarcie i potrzebuję czyjejś rady. - Spoglądał na Michaela, obserwując krople mleka kapiące mu po brodzie; malec jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran. - Hope zaprowadziła go na testy psychologiczne. Iloraz inteligencji - dodał Jake, kiwając głową i łącząc w żywe oczy. **Przekonajmy się. Jak daleko trzeba zabrnąć w kłamstwa.** - Michael przekroczył wszelkie wskaźniki i zdaniem Hope powinniśmy wysłać go do jednej z tych akademii dla małych geniuszy - improwizował na bieżąco. - Będzie mi go brakowało, ale Hope uważa, że to fantastyczna szansa, ja zaś nie chcę hamować jego rozwoju...

- Wysłać Michaela? Do szkoły? Przecież on nie ma jeszcze nawet pięciu lat, Jake - odparła, patrząc na niego z absolutnym niedowierzaniem. - To najbardziej szalony zamiar...

McCall zasnuwała usta. Ale po chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech, powoli do niej dotarło.

- Musiałeś być świetnym prokuratorem.

- Byłem całkiem niezły - rzekł, wypijając łyk kawy.

- Dlaczego odszedłeś?

Jake zastanawiał się na odpowiedzią, obracając kubek między dłońmi.

- Może dlatego, że nie chciałem należeć dłużej do grona porządných facetów, może dlatego, że woląłem pracę, z której mógłbym w każdej chwili odejść... Albo może obwiniałem prokuraturę o wszystkie moje nieszczęścia.

- Kochałeś tę pracę, prawda?

- I to bardzo. - Jake ujął dłoń Mac i pocałował jej palec. - Któregoś dnia mógłbym tam wrócić. Chyba nauczyłem się kilku rzeczy na temat równowagi i właściwych proporcji. No więc, co myślisz o graniu w naszej drużynie? Widzisz, my, Donovanowie, umieramy ze strachu, że mogłabyś nas teraz opuścić.

McCall wybałuszyła oczy na Jakea, jakby palnął największe głupstwo pod słońcem.

- Nie zrobiłabym tego.

- **Nie** - powtórzył Jake. Zrozumiał, że w przeciwieństwie do Susan i Hope Mac zagości tu na dobre. - Nie zrobiłabyś.

Mac spoglądała na Michaela. Jej twarz rozjaśniał łagodny uśmiech, lekkie wygięcie ust ku górze.

- Wychodzi na to, że jestem wam potrzebna.

Jake wziął ją w objęcia. Stali tak przez pewien czas, milcząc,

obejmując się wzajemnie i spoglądając na Michaela. Wreszcie Jake szepnął jej do ucha:

- Proszę cię, nie wracaj tam dzisiaj.

- Muszę. - Mac popatrzyła na Jake'a, a wyraz jej oczu poinformował go, jak silnie odczuwała konieczność powrotu. - Na jeden dzień. Tylko na jeden dzień.

Jeden dzień na udowodnienie, że jej ojciec jest człowiekiem niewinnym, ponieważ takim chciała go widzieć. Jeden dzień na nadrobienie czterech straconych lat. Jake potrząsnął głową. Mac - mająca taki a nie inny charakter - nie ułatwi sobie zadania.

- Dobrze - ustąpił. Od początku zdawał sobie sprawę, że raczej nie zdoła jej przekonać. - Muszę jednak wiedzieć, że nic ci nie grozi. Nasz plan przedstawia się zatem następująco.

Stacie siedziała na kanapie, spoglądając na stojące na stoliku do kawy brązowe flakoniki z białymi zakrętkami.

Garrett usadowił się obok niej. Był dopiero wczesny poranek, jeszcze nawet nie wybiła ósma. Stacie przyglądała się flakonikom, a Garrett trzymał nogę na nodze i sączył kawę.

- Będziesz się tak na nie gapić? - zapytał po chwili.

Stacie wzięła do ręki jeden flakonik i z posępną miną przeczytała nalepkę. Zgodnie z instrukcją powinna dwa razy dziennie zażywać jedną kapsułkę.

- Garrett, skarbie. To mi się nie podoba - rzekła, wskazując na flakonik. - Nie napisali nawet, co jest w środku. - Odstawiła flakonik na miejsce obok pozostałych. - Po co mam brać te pigułki? Przecież do kliniki idę dopiero na jesieni.

- O co ci chodzi? To na pewno jakieś witaminy, kochanie. Garrett objął Stacie i przycisnął do swego ramienia. Bawił się jej włosami i całował ją w szyję.

- Uwielbiam, kiedy tak wydymasz usta, najdroższa - powiedział, kęsając wargi Stacie. Odstawił kubek na stół i pociągnął kobietę pod siebie na kanapę, obsypując głębokimi pocałunkami w taki sposób, że Stacie po prostu zaczęła się roztopiać;

- Może zrobimy sobie wolne i pojedziemy na cały dzień do St. Francisville? Do licha, moglibyśmy przebić nawet cały tydzień w jednym z tych hotelików, które tak uwielbiasz.

Stacie trzymała twarz Garretta w swoich dłoniach, zatracając się w jego błękitnych oczach.

- Och, Garrett. Dlaczego ty zawsze rzucasz słowa na wiatr?

- Może tym razem mówię serio.

Zauważyła jednak, że Garrett już się wycofuje z pomysłu rozstania się na tydzień z kasynem. Garrett kochał **River Palace** miłością pierwszą, ostatnią i dozgonną. Facet miał dopiero trzydzieści lat, a już był skończonym pracoholikiem.

Pocałowała go w czubek nosa. Zadawała sobie pytanie, jak złamany nos może wpływać na męską urodę, ale zapewne Garrett inaczej byłby zbyt słodki z tymi swoimi brązowymi loczkami i niebieskimi oczami łobuziaka. Wygięcie nosa nadawało mu bardziej męski wygląd. Trochę go nawet postarzało, co Stacie uważała akurat za zaletę. Każde z dzielących ich siedmiu lat odczuwała jak stulecie.

Westchnęła przeciągle.

- Obiecałam Jake'owi popilnować dzisiaj jego synka.

- W czasie twojego wolnego dnia?

- Masz lepszy pomysł, Garrecie Renault?

- I owszem - mruknął, patrząc chciwie na jej usta, jakby zamierzał rzucić się na Stacie i ją pożreć. - Mam. Proponuję, żebyśmy ty, ja i on poszli we troje do zoo. Podobno te aligatory - albinosy są absolutnie niezwykle. Jak kawałki białej czekolady unoszące się na wodzie.

- Naprawdę? - spytała drżącym głosem, ciesząc się na wspólną wycieczkę. - Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej - odparł, całując ją w usta.

Był to długi i niespieszny pocałunek, który zawsze potrafił obudzić w Stacie nadzieję i roztoczyć przed nią wizję ogrodu z białych palików oraz gromadki dzieci. Ale marzenie, że dzięki perspektywie prostszego życia zdoła wywabić Garretta z jego rezydencji w Dzielnicy Ogrodowej lub kasyna, było z jej strony szaleństwem. Stacie na zawsze pozostanie jego ubogą przyjaciółką.

- A więc mamy randkę? - spytał. Całował miękko usta Stacie, wyciągając dłoń, aby pieścić ją między nogami.

- Tak - odparła z uczuciem radości. Nie mogła się doczekać spędzenia całego dnia z Garrettem i Michaeliem, fantazjując o szczęściu, jakie mogłoby ją spotkać, gdyby marzenia stały się ziściły i mieli swoją własną rodzinę.

Garrett wstał, uśmiechając się, i skinął głową w stronę flakoników.

- Wiesz, kochanie. Na pewno te medykamenty są w porządku. Ciarękę Cosmetics istniało już, zanim się urodziłem. Nie da-

liby ci niczego niebezpiecznego. Zrobiloby to im złą reklamą -rzekl, a potem wyciągnął rękę i podniósł najbliższą buteleczkę. Odkręcił wieczko i wyjął pastylkę. - Spójrz, będę je zażywać razem z tobą - dodał. Podał Stacie nową pastylkę, a tamtą wrzucił sobie do ust. - Już dobrze?

- Dobrze - odparła i z uśmiechem na twarzy połknęła pierwszą pastylkę.

CZĘŚĆ CZWARTA

Metoda naukowa

Kiedy dla piękna posuwasz się do oszustwa, stajesz się artystą.

Art Poétique, Max Jacobs, 1922

Ubocznym skutkiem naszej pracy wydaje się szaleństwo. Mój doktor Frankenstein wciąż boleje nad brakiem idealnego modelu. Czasami pragnęłabym ofiarować mu siebie. W ten sposób byłabym kluczem do jego sukcesu.

Wyjątek z dziennika laboratoryjnego doktor Alicji Goodman

- Dwanaście transformantów zareagowało pozytywnie na gen Formuły Omega - oznajmił Roger, opierając dłonie na oparciu fotela, który w gabinecie Curtisa zajmował aktualnie Kyle Woods. Roger posłał Kyle'owi znaczący uśmiech. - Można powiedzieć, że jesteśmy u celu. Nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma, Woods.

Curtis westchnął, obserwując Woodsa, który poprawił się nerwowo w fotelu. Kyle Woods może i był błyskotliwym naukowcem, ale kręgosłup miał twardy jak u meduzy.

- Daj się człowiekowi wypowiedzieć, Roger - rzekł Curtis Ciarękę do syna, odcinając koniuszek cygara.

Woods poprawił okulary, przysuwając je z powrotem bliżej oczu. Zerkał nerwowo na Donalda Sayera, który siedział w kącie i przysłuchiwał się milcząco wymianie zdań.

- Obawiam się, że nie dotrzemy harmonogramu - zaczął Woods, po czym odchrząknął i przerzucił kilka kartek swojego notatnika. - Mamy zbyt dużo ujemnych pozytywów - dodał, potrząsając głową. - Musimy zdobyć szersze pole manewru. Jeden miesiąc prawdopodobnie nie wystarczy do wyizolowania pepty-du. A później konieczne będą dodatkowe testy...

Roger wyrzucił ramiona w powietrze.

- Pieprzyć to. Już sprawdziliśmy peptyd. On działa!

- Ale nie jego odpowiednik z masowej produkcji - zaprotestował Woods.

- Dlaczego wyniki mogą być inne? Przecież ma tę samą sekwencję aminokwasów, idioto.

Woods zmrużył oczy, patrząc na Rogera.

- Nie musisz mi ubliżać.

Curtis Ciarke rozgniół niezapalone cygaro, patrząc na frajera, którego zatrudnił do pilnowania McCall. Widział, że jego syn przegrywa. Chciał, żeby Roger wykazał trochę cierpliwości. -Więc co radzisz, Kyle?

- Zmienić harmonogram. Przyhamować kampanię promocyjną, żeby nauka mogła nadażyć za reklamą. - Woods znowu poprawił okulary. - Nie neguję ogromnych wysiłków, jakie włożyliśmy w badania nad substancją McCall, ale czeka nas jeszcze masa roboty.

- Chcesz kupić trochę czasu?

- W pewnym sensie - odparł Woods, naciskając nerwowo swój automatyczny ołówek. - Harmonogram dla tego projektu jest wyjątkowo napięty.

Curtis odchylił się do tyłu.

- Co o tym sądzisz, Roger?

Curtis Ciarke zadał to pytanie bardziej na pokaz. Znał przecież stanowisko Rogera w sprawie Formuły Omega. Chłopak liczył na to, że Formuła sfinansuje jego drugie dziecko, BioMłodość.

Roger opadł na czerwone, skórzane krzesło stojące przed biurkiem Curtisa. Oparł nogi na poręczy krzesła, które zajmował obok niego Woods. Uśmiechał się leniwie, prowokując Woodsa do zwracania na niego uwagi.

- Mówimy o wstrzymaniu projektu, który miał rocznie przynosić miliony. A może nawet więcej. Moim zdaniem gaz do dechy i cała naprzód. McCall nie zawali.

- Donaldzie? - Curtis zwrócił się do Sayera, wciągając go do rozmowy. Przez całe zebranie Sayer czał się w mroku niczym jakieś widmo.

- Znasz moje zdanie na ten temat, Curtisie.

- Słusznie - przyznał Curtis, przygryzając cygaro. Cholerny Sayer zaczyna mu wyjeżdżać ze swoim fatalizmem i pesymizmem. - A zatem, Kyle. Bądź tak dobry i zostaw swoje analizy Rogerowi i Donaldowi do przejrzania. Wrócimy do tego w przyszłym tygodniu.

- Dziękuję panu - odparł Kyle, zbierając papiery i poprawiając okulary.

- Aha, jeszcze coś, Kyle - dodał Curtis, jak gdyby po namyśle. -A co z tym wczorajszym wyciekami kwasu? Czy wszystko już w porządku?

Kyle rozprostował plecy, przekładając papiery z jednej ręki do drugiej, a potem zmarszczył brwi.

- Awaria została w zasadzie opanowana - powiedział. - Wstawili już nowe okno i dokładnie wysprzątaali całe laboratorium.

Nie powinno to znacząco wpłynąć na spowolnienie naszej pracy.

- Zapoznałem się z raportem ochrony. Podejrzewasz czyjaś celową robotę?

Kyle ponownie zamrugał oczami, robiąc zakłopotaną minę.

- Czy chodzi panu o konkurencję sabotującą nasz projekt? Bardzo wątliwe, biorąc pod uwagę minimalne szkody.

Przyznam się zupełnie szczerze, że chyba sam zrzuciłem tę butlę z kwasem. Zastanawialiśmy się z McCall, jak zapobiec zanieczyszczeniom podczas następnych transformacji - Kyle kręcił głową, nieustannie kłaskając ołówkiem - i byłem wzburzony tymi ujemnymi pozytywami. Kiedy zgasło światło, spadłem z krzesła i chyba coś potrałem. Pewnie to ta butla. - Kyle znowu się skrzywił. - Jeszcze pogadam z tym bałwanem, który zostawił ją tam. Substancje żrące należy zawsze odstawiać do zamkniętych szafek.

Wszyscy trzech mężczyźni czekali, aż Kyle wyjdzie z gabinetu i zamknie za sobą drzwi. Wówczas Curtis uśmiechnął się i powiedział:

- No, i sami widzicie. To był nieszczęśliwy wypadek.

Na twarzy Rogera malowały się złość i nuda, zerkał na zegarek, jak gdyby mógł lepiej wykorzystać stracony czas. Siedzący w rogu Donald zachowywał milczenie.

Curtisowi to się nie podobało; żeby Sayer siedział beczynn timer przyglądał im się, jakby to wszystko go nie dotyczyło.

Psiakrew, jego los jest nierozdzielnie związany z Ciarke Labs. I zawsze tak będzie. Najwyższy czas przypomnieć mu o tym.

Curtis zapalił kubańskie cygaro i spojrzał na papiery, które zostawił Kyle.

- Co teraz sądzisz o Formule Omega? - spytał Donalda. - O tym, co wyprodukowała twoja córka? Dzięki niej wszyscy staniemy się nieprzyzwoicie bogaci.

Roger uśmiechnął się tak jak jego ojciec.

- Dwanaście transformantów reaguje na gen. Nie martwią mnie te ujemne pozytywy - powiedział do ojca. -

Zanieczyszczenie to coś, nad czym uda nam się zapanować. Pod koniec roku będziemy mieli produkt gotowy do wypuszczenia na rynek.

Donald pochylił się, sięgnął po aktówkę i położył ją na kola-

nach. Ze środka wyjął plik papierów. Podszedł z nimi do stołu i rzucił je na pulpit przed Curtisem.

- Rzuć na to okiem. Przekonaj się, ile ta Formuła Omega jest warta - powiedział do niego, a potem zwrócił się do Rogera:
- Głupiec z ciebie, Roger. Twierdziłem to już wcześniej, a teraz sam tego dowiodłeś. Właściwie to cieszę się, że Belinda zwróciła ci pierścionek.

Z tymi słowy Donald Sayer wyszedł.

- Co to do diabła miało znaczyć? - Curtis wyprężył się w fotelu z wyrazem irytacji na twarzy. - Ta mała baletnica cię rzuciła, Roger? - Belinda Sayer może i była wątpła, ale wycisnęłaby z siebie przynajmniej jednego albo dwóch wnuków.

Roger jednak nie zwracał uwagi na ojca. Walnął nogami o dywan i zatopił spojrzenie w papierach, które zostawił Donald.

- Zawsze uważałem, Roger, że powinieneś być zająć się tą drugą. Tą bystrą - mruknął Curtis. - Co ci wczoraj do łba strzeliło, żeby rozlewać ten kwas? - spytał, zaciągając się cygarem. Próbował zatuszować incydent z obawy, że ktoś może sprawdzić zapis na taśmie wideo. Lepiej, żeby nikt nie zobaczył Rogera wychodzącego z tego laboratorium. Curtis nie oglądał wprawdzie taśmy, ale tylko jedna osoba mogła spowodować wyciek.

- Co ty pleciesz? - zdziwił się Roger, pochylając się do przodu, żeby wziąć z biurka papiery. - Wczoraj wieczorem musiałem spotkać się z naszym pośrednikiem w sprawie dostawy embrionów. O tej porze nawet nie zbliżyłem się do laboratorium.

Curtis był zaskoczony. Jeszcze raz popatrzył na leżący na jego biurku raport ochrony, po czym podniósł go do oczu. Mechanizm zamka zablokował się prawdopodobnie w wyniku awarii zasilania. Doktor Woods przyznaje, że widział budę z kwasem na krawędzi stołu, twierdzi ponadto, że on lub doktor Sayer mogli tę butlę niechcący strącić, kiedy zawiadło oświetlenie i oboje mimowolnie drgnęli

Może na starość robię się paranoikiem, pomyślał Curtis, czytając raport. Możliwe, że to tylko zbieg okoliczności...

- Niech to diabli! - Roger przewracał kartki, które zostawił Donald Sayer. Czytał je w nerwowym pośpiechu.

Curtis rzucił raport ochrony na biurko.

- O co chodzi?

Jego syn siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami. Curtis patrzył, jak z bezwładnych palców Rogera wypadają i rozsypują się po podłodze kartki papieru. Nigdy nie widział Rogera w takim stanie, jak gdyby dostał cios w żołądek.

- Pieprzona dziwka. - Roger otworzył oczy. - Utopilem miliony w tę kampanię - roześmiał się z cicha. - A ona mnie nabrała. Ta dziwka mnie nabrała.

- Co jest w tych cholernych dokumentach? - spytał Curtis zaalarmowany tonem głosem syna.

- To lipa. - Roger przeszywał wzrokiem rozsypane na podłodze kartki papieru. Kręcił głową, jakby nie mógł w to uwierzyć. - Donald dotarł do każdego z dziesięciu wolontariuszy, którzy poddali się tomografii emisji pozytronowej na działanie peptydu Formuły Omega.

Głos Rogera brzmiał zadziwiająco bezbarwnie. Może syn jest po prostu nieco rozkojarzony, tyle w końcu ma innych spraw jeszcze, myślał Curtis. Domyślał się, kto może być obiektem dociekań Rogera.

Roger uśmiechnął się w sposób, który Curtisa niepokoił.

- Ona uwarunkowała ich reakcje. Tomografie zostały spreparowane - oznajmił Roger. - Formuła Omega jest bezużyteczna.

Kyle wziął z automatu kubeczek kawy i postawił go na tacy. Nie wiedział, czy kofeina jest bardziej pomocna, czy szkodliwa. Po incydencie w laboratorium i powrocie do Belindy przez całą noc nie zmrużył oka. Potem zaś odbyło się spotkanie w gabinecie Clarkea.

Wcześniej jednak rozmawiał z McCall. Przekonywał ją, że najlepiej będzie pokazać wyniki z jego dwunastu transformacji i od-trącić częściowe zwycięstwo, później zaś mogliby przedłużyć proces rektyfikacji pod pretekstem, że wyodrębnienie peptydu Formuły Omega trwa dłużej, niż oczekiwano.

Musiał jednak przyznać, że miło było oglądać Rogera Clarkea kopiącego pod sobą głębsze dolki. Facet wydawał miliony na kampanię reklamową Formuły Omega, która niedługo eksploduje mu prosto w twarz. Ponieważ Roger Ciarke był nade wszystko kiepskim przykładem uczonego. Durniem. Egoistą, którym kieruje wyłącznie pazerność i niepohamowana ambicja. Nie docenił ani McCall, ani Kylea... Tym przyjemniej będzie go upokorzyć.

- Kyle! Tutaj!

Odwrócił się, słysząc swoje imię. W odległym kącie siedziała Belinda i machała do niego ręką.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Kochali się znowu dziś rano, zanim odwiózł ją do domu. Zrobiła nawet śniadanie i przyniosła mu do łóżka, choć połowę tego zżarł Herkules.

Kyle wciąż nie mógł się nadziwić, jak to się stało, że on i Belinda

zdołali się połączyć mimo niesprzyjających okoliczności, które go tu przywiodły. Ale nie kwestionował tego faktu. Wierzył w podobne związki. Miał tylko nadzieję, że w końcu uda mu się ochronić Belindę przed tym lajdakiem Rogerem Clarke'em, tak jak obiecał McCall. Usiadł koło Belindy.

- Nie uśmiechaj się do mnie tak pięknie - powiedział, szczerząc zęby tak jak ona. - Ludzie zaczną się czegoś domyślać. - Wiedział, że zwróciła Rogerowi pierścionek. Zadawał sobie pytanie, kiedy dziewczyna zacznie nosić prostą złotą obrączkę, którą on osobiście włoży jej na palec.

- Nie potrafię przestać się uśmiechać do ciebie - odparła. - Kiedy tu jesteś, wyglądasz całkiem inaczej. - Kyle wiedział, że pragnęła go dotknąć. Sam odczuwał to samo. Zamiast tego oboje ściskali swoje kubeczki z kawą, rozumiejąc, że muszą się pilnować, by nie ujawnić swojego związku. - Ale mnie się to podoba - szepnęła, pochylając się do przodu. - Dzięki temu inne kobiety zostawiają cię w spokoju.

- Twierdzisz, że jestem nieatrakcyjny? - Kyle zaczął się przekomarzać.

Belinda nachmurzyła się, blask jej jasnoblękitnych oczu nieco przygasł.

- Masz rację. Ja jedna byłam ślepa.

- Kyle?

Kyle i Belinda podnieśli wzrok na McCall, która torowała sobie drogę do ich stolika. Kyle spostrzegł, że coś jest nie tak, i przygotował się na najgorsze. Wczorajszy incydent był sygnałem alarmowym dla nich obojga.

- Mogę z tobą porozmawiać? - spytała, nie zwracając sobie głowy siadaniem.

- Pewnie - odparł Kyle, wstając od stolika. Natarczywy wzrok McCall wskazywał, że sprawa była poważna.

Usiedli przy wolnym stoliku. W klatce piersiowej kołatało mu serce, w żyłach rozlewała się fala adrenaliny, dając Kyle'owi silniejszego kopa niż kofeina. McCall wybrała stolik w głębi, gdzie mogli swobodnie porozmawiać. Było już późno jak na lunch. W bufecie przebywała tylko garstka maruderów.

- Co się stało? - zapytał, siadając blisko McCall.

- Przed chwilą rozmawiałam z Rogerem. Przekonałam go, żeby ponownie zaprosił Jake'a na wycieczkę po naszym laboratorium. Ma przyjść jeszcze dzisiaj.

- Ależ to wspaniale. - Wiedział od McCall o wszystkim, co

wydarzyło się wczoraj po ich rozstaniu. Najwyraźniej Jake Donovan miał chody u przyjaciela Rogera i liczył na to, że uda mu się dostać do Laboratorium 20.

- Ma udawać inwestora. Przyniesie jakiś sprzęt, który umożliwi mu robienie zdjęć bez wiedzy Rogera. - McCall szeptała gorączkowo, pochylając się do ucha Woodsa. - Między nami mówiąc, moglibyśmy przekonać Rogera, żeby wprowadził tam Jake'a tuż po tym, kiedy skończymy prezentację Formuły Omega.

- A co ze zdjęciami? - spytał Kyle.

- Wszystkie, na których będą zwierzęta lub dowody eksperymentów na zwierzętach, należą do ciebie. Jake obiecał. Twoja organizacja będzie mogła wkroczyć. - McCall sięgnęła pod stolikiem, ściskając Kyle'a za rękę. - Ale ciebie nie chcę tam widzieć, zgoda?

- Dlaczego? - zdziwił się Kyle. Był gotów podać wszelkie powody, dla których powinien w tym uczestniczyć.

McCall potrząsnęła głową.

- Roger zachowywał się dzisiaj jakoś dziwnie. Sama nie wiem, był zanadto ustepliwy. Niemal gorliwy. Ciagle myślę o tym wycieku kwasu. To mogła być jego sprawka. To musiała być jego sprawka.

Kyle zastanowił się nad słowami McCall.

- Na spotkaniu niecierpliwil się, chciał, żeby przyspieszyć pracę nad Formułą Omega. Użył słów: **McCall nie nawali**. Trudno powiedzieć, czy to właśnie on kryje się za tym wyciekiem kwasu, ale nie sądzę, żeby zamierzał cię skrzywdzić. To mógł być jakiś niewybredny i złośliwy figiel. Sprawdziłem dziś rano; w butli było za mało kwasu, by jego opary mogły spowodować jakieś większe szkody. Roger by to wiedział. - Kyle kręcił głową, starając się wyrobić sobie pogląd. - Cokolwiek stało się wczoraj, Roger dalej na sto procent popiera Formułę Omega, a bez ciebie jej nie zdobędzie. Więc jeśli ten twój Jake Donovan znajdzie się tam dzisiaj - jako świadek, sądzę, że nic nam nie grozi.

- A zapisy na taśmie wideo? - spytała McCall, wciąż zaniepokojona. - Jak ktoś dobrze im się przyjrzy, z łatwością stwierdzi, że to my byliśmy w Laboratorium 20.

- Mam w tej sprawie dobrą wiadomość. Rozmawiałem rano z George'em. Jednym ze strażników na nocnej zmianie. Zawsze przynoszę mu paczki, kiedy schodzi ze służby. - Kyle uśmiechnął się wesoło. - Powiedział, że nikt w ogóle nie oglądał tej taśmy, nie było takiej potrzeby. Są przekonani, że to był wypadek.

To samo zapisali w raporcie, który trafił na biurko Curtisa. Sądzę, że jesteśmy wolni od podejrzeń.

Kyle widział jednak, że McCall wciąż była zaniepokojona.

- Nie upieraj się, Kyle. Już i tak trudno będzie namówić Rogera na tę wizytę, kiedy skończymy obchód laboratorium Formuły Omega. W każdym razie niech chociaż Jake dostanie się do środka. Zaraz potem spotkamy się u ciebie. Jake nie wycofa się ze swojej obietnicy. Zdjęcia są twoje.

Kyle zacisnął wargi, a potem skinął głową.

- Z przykrością muszę przyznać, że chyba masz rację. Im mniej ludzi tam będzie, tym lepiej. Sądysz, że mu się uda? Wierzysz, że uda mu się przekonać Rogera, aby wpuścił go do pomieszczenia ze zwierzętami?

- Kiedy nadarzy się możliwość, Jake wejdzie do środka - odparła z przekonaniem McCall.

Kyle odchylił się do tyłu na krześle. Wcześniej McCall opowiedziała mu o znalezionych przez nią blankietach i swoich podejrzeniach co do Ciarke Spa and Clinic. McCall miała wystarczający powód, by chcieć oddać tych idiotów w karzące ręce sprawiedliwości. Kyle miał zaufanie do McCall.

- Czy w ogóle spałaś zeszłej nocy?

- Tak. Spałam - odpowiedziała, chociaż oczy miała szklane i niezdrowo błyszczące. - Myślałam, że zostało mi jeszcze kilka tygodni. Teraz wiem... - urwała, podnosząc wzrok na Kyle'a. - Boję się, że czas nam się skończył.

Belinda patrzyła, jak Kyle siada obok McCall, a nie naprzeciw niej, co wydawałoby się bardziej logiczne. Właśnie tuż koło niej, przysunawszy sobie krzesło, żeby mogli się przybliżyć.

Obserwując ich, Belinda doznawała uczucia niepokoju. Ciche szepty obojga zdradzały nieprawdopodobną intymność.

Kyle i McCall nie przypominali pary wymieniających uwagi naukowców. Kyle siedział nisko pochylony z twarzą tuż obok twarzy jej siostry, potem McCall sięgnęła pod stolik, ujmując dłoń Kyle'a. On z kolei oparł się barkiem o jej ramię.

Belinda patrzyła na nich z biciem serca. Zrobiło jej się niedobrze, nie mogła złapać tchu, a jednocześnie zbierało jej się na wymioty.

Powiedziała do siebie, że robi się śmieszna. Że nie powinna odczuwać zazdrości. Na miłość boską, przecież kilka godzin temu

kochała się z Kyle'em. On i McCall pracują razem. Oczywiście, że muszą być w bliskim kontakcie.

Prawda jednak była taka, że Belinda wszystko w życiu dziedziczyła po McCall. Roger wcześniej spotykał się z jej siostrą i nigdy nie omieszkał dawać Belindzie do zrozumienia, że była zdecydowanie od niej gorsza. A ojciec... Donald Sayer zauważył młodszą córkę dopiero wtedy, gdy odeszła od niego starsza.

Kyle był jedynym człowiekiem w życiu Belindy, który należał wyłącznie do niej.

Gdzieś obok zastukała taca, wrywając Belinę z rozmyślań. Rozkojarzona podniosła wzrok i ujrzała ojca, który sadził się na drugim krześle.

- Cześć, tato - powiedziała, zerkając mimowolnie na stolik, przy którym nadal rozmawiali Kyle i McCall.

- Cześć, Belindo. - Donald Sayer zdjął jedzenie z tacy i odsunął ją na bok. Następnie rozłożył na kolanach serwetkę i dopiero wtedy powędrował za wzrokiem Belindy. Przez chwilę jadł w milczeniu lunch. Belinda piła kawę, odczuwając przygnębienie, ilekroć zerknęła na McCall i Kyle'a. **Błagam, błagam, błagam, cię, Kyle. Bądź mój. Tylko mój.**

- Mówiłem ci, że ona nas skrzywdzi.

Słowa ojca było ledwo słyszalne. Belinda przeniosła wzrok na ojca. Spoglądał na nią, jakby jej współczuł.

Nagle westchnął i rzucił okiem na McCall i Kyle'a. Znowu pokiwał głową, podniósł filiżankę i wypił łyk kawy.

- O co chodzi, tato? - spytała niespokojnie Belinda. - Co miałeś na myśli?

- Wiem, kto odwiózł cię rano do domu - powiedział tym swoim cichym, zdecydowanym głosem, odstawiając filiżankę na stolik, aby móc skupić całą uwagę na Belindzie. - Widziałem was razem. Ale już wcześniej domyśliłem się, że to on siedział w tej taksówce kilka dni temu. Wiem od Rogera, że oddałeś mu pierścionek, zrozumiałem więc, że myślisz o tym człowieku na serio.

Ojciec chwycił Belinę za rękę i mocno ją uściśnął. Miał oczy McCall, niekiedy bardziej niebieskie niż zielone. Teraz jednak wydawały się niezwykle poważne. Źrenice były małymi punkcikami, przez co jego spojrzenie wydawało się bardziej skupione, świdrujące, intensywne.

- Ona wykorzystuje ludzi, Belindo. Kyle to wspaniały, młody mężczyzna. McCall potrzebuje go rozpaczliwie do uaktywnienia

swojej formuły. Mam tylko nadzieję, że go nie zniszczy, kiedy jej złudzenia w końcu się rozwieją.

- Nie rozumiem. Jak mogłaby Kyle'a zniszczyć? Przecież to jest jej pomysł, jej badania.

- Formuła Omega nie będzie działać. Jeśli Kyle Woods zwiąże swoje losy z tą substancją, będzie zgubiony. Właśnie wracam ze spotkania z Curtisem i Rogerem. Twój doktor Woods przedstawił raport na temat peptydu. - Donald Sayer zerknął na Kyle'a - Ona go oszukała. Oszukała ich wszystkich.

Belinda nic nie odpowiedziała. Przyglądała się otwarcie, jak siostra wstaje i odchodzi od stolika, a Kyle podąża za nią. Nawet nie spojrział na Belindę. Nawet się z nią nie pożegnał.

- Już wiem, że jej analiza jest fałszywa - ciągnął ojciec. - Niedługo wszyscy dowiedzą się prawdy. Że znowu oszukała, przygotowując swoje dane. A oboje przecież wiemy, że McCall nie może sobie pozwolić na kolejną porażkę.

Belinda poczuła, jak do oczu napływają jej łzy i przeniknął ją dreszcz strachu. Me **pozwolę jej skrzywdzić Kyle'a!**

- Rozumiesz, co mówię, Belindo? McCall jest gotowa na wszystko, aby tylko się wybić. Nie może sobie pozwolić na kolejną porażkę.

Belinda z całej siły zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

- Nie Kyle.

- Kyle. Ja. Każdy. Nie myślę się co do tego. Kiedy wyjdzie na jaw, że Formuła Omega to oszustwo, McCall bez litości znajdzie sobie kozła ofiarnego.

Donald Sayer wyjął z kieszeni chusteczkę i spokojnie podał ją Belindzie.

- Ona nie może skrzywdzić Kyle'a - wyszeptala, patrząc przygnębionym wzrokiem na chusteczkę. Kyle bardzo jej siostrę szanował, toteż na pewno jej zaufa. McCall była bystra.

- Tyle nam już odebrała - ciągnął ojciec. - Wolalbym się mylić, ale niestety mam rację. - Donald Sayer spojrział na drzwi, którymi przed chwilą wyszli Kyle i McCall. - Nie pozwól jej, aby złamała ci serce, Belindo. Przed laty złamała moje.

Jake obserwował Stacie, która bawiła się z Michaeliem na podłodze między kanapami. Pomagała chłopcu wycinać gargulce, które mu sama narysowała. Podłoga salonu była zasłana papierowymi potworami najrozmaitszych kształtów, rozmiarów i kolorów. Mac za-

proponowała, żeby przylepić je taśmą klejącą na ścianach w pokoju Michaela; Jake i Mac dołożyli nawet kilka własnych stworów tego ranka, zanim Mac odjechała taksówką do domu Barb.

- Pewnie masz ochotę na wycieczkę do zoo, Garrett? - spytał Jake. Garrett zaskoczył go stwierdzeniem, że istotnie zabiera Michaela do ogrodu zoologicznego razem ze Stacie.

- To słodki dzieciak - powiedział, obserwując Stacie i Michaela razem. - Zawsze go lubiłem. Pomyślałem też, że będę miał świetną okazję sprawdzić się w roli ojca. - Odwrócił się do Stacie plecami i szepnął: - Zamierzam poprosić ją o rękę.

Jake nie odpowiedział. Zawsze widział, że Stacie i Garrett szaleją za sobą. Był jednak zdania, że Stacie starała się, jak mogła, by dać Garrettowi szczęście, natomiast on nie zawsze odpłacał jej tym samym. Miał pieniądze i w zasadzie był porządnym człowiekiem, ale potrafił też być egoistą. Zdaniem Jake'a, Garrett do wielu rzeczy musiał jeszcze dorosnąć.

- Znasz tę klinikę piękności, o której mi opowiadałeś? Chyba nie zachęcasz nadal Stacie, by poddała się kuracji, co? - spytał Jake. Starał się, by jego zainteresowanie zabrzmiało obojętnie.

- I owszem, do diabła - odparł z uśmiechem Garrett, odwracając się do Stacie i Michaela. - Przyda jej się, nawet jeśli nie spełnią się wszystkie obietnice Rogera. Trzy miesiące uciechy w słońcu.

- Trzy miesiące? - zdziwił się Jake. Wyczuwał czające się za tymi słowami zło. Znał je aż za dobrze. - Czy to trochę nie za długo?

Garrett wzruszył ramionami.

- To specjalny program. Do diabła. Czy nie to samo robią w tych klinikach odchudzających? Będzie mi jej brakowało, to jasne, ale chyba się oplaci. Stacie wróci do mnie opalona i podszlifowana.

Jake przyglądał się Stacie. Z tego, co widział, przyjaciółka Garrettta nie wymagała ulepszeń.

Pomyślał o tym, co usłyszał od Mac, i postanowił wyrzucić na Garrettta większy nacisk.

- Skąd pewność, że klinika jest bezpieczna?

- O co ci chodzi? - skrzywił się Garrett. - Ma się rozumieć, że bezpieczna.

- Wspominałeś coś o Clarke'u, że odeśle do lamusa kremy i balsamy. To mi pachnie jakąś supertechnologią. Mają tam stosować jakieś medykamenty?

- Skąd mam wiedzieć? No, chyba tak. Stacie zażywa coś przed wyjazdem. Pewnie jakieś witaminy albo coś w tym rodzaju.

Po-

313

sluchaj, taką działalność regulują rozmaite przepisy. Ciarkę nie będzie ryzykował żadnych szwindli, bo najmniejsze nawet podejrzenie by go wykończyło. Nie mówiąc już o procesie karnym.

- Niektóre firmy jednak ryzykują. Jeśli liczą na szybki zarobek. A sam mówiłeś, że testują coś nowego. Często nie wiadomo, czy po latach nie wystąpią jakieś komplikacje.

- Spokojnie - odparł Garrett. W jego głosie brzmiała zarozumiałość. - Znamy się z Rogerem od lat. On nie zrobi niczego, żeby skrzywdzić moją dziewczynę.

- Może nie wie, jak bardzo Stacie jest dla ciebie ważna - upierał się Jake. Nie zawsze Garrett umiał to pokazać. Trzeba go było nieźle znać, aby dostrzec, jak bardzo mu na niej zależy.

- O co ci chodzi? Poza tym Stacie jest już dużą dziewczynką. Umie zatroszczyć się o siebie. Nie pójdzie na żadne głupstwa.

- Zdziwilbyś się, co może zrobić kobieta, by dogodzić mężczyźnie, którego kocha.

W końcu argumenty Jake'a zaczęły docierać do Garretta. Właściciel kasyna marszczył brwi i zastanawiał się nad słowami przyjaciela. Czy Stacie mogłaby sprzedać duszę, jeśli dojdzie do przekonania, że w ten sposób go uszczęśliwi?

Po chwili odparł jednak:

- Stacie nie jest taka. Ona trzeźwo myśli. Wie, że kocham ją bez względu na wszystko.

Chwilowe wątpliwości rozproszyły się w podmuchu złudzeń. Garrett miał zapewne dość rozumu, żeby wdrapać się na szczyt finansje-ry Nowego Orleanu, ale w duszy pozostał tym samym bogatym gówniarzem, który chciał, żeby wszystko zawsze szło po jego myśli.

Jake martwił się o Mac. Pamiętał dobrze, jak zareagowała, kiedy zasugerował wczoraj, że Donald Sayer może być zamieszany w proceder Clarke'a. Jak ludzie potrafią jednak sami siebie oszukiwać, westchnął.

- Stacie będzie tam bardzo dobrze - powtórzył Garrett, rozpraszając pozostałe wątpliwości Jake'a. - Zupełnie jak trzy miesiące w Club Med, lecznicy dla samotnych bogaczy płci obojga.

Club Med. Jake przypomniał sobie pytanie na formularzu: **Czy byłeś kiedykolwiek pod narkozą?**

Miał już dość takiej pewności siebie. Ze złości chwycił marynarkę właściciela kasyna i zaczął gnieść w dłoni jedwab.

- Na litość boską, Garrett, lepiej dobrze to sprawdź - powiedział, stając tuż obok niego.

Garrett popatrzył na rękaw marynarki, a potem na Jake'a.

- Co ty u diabła wyprawiasz?

- Daję ci życzliwe ostrzeżenie. Jak przyjaciel przyjacielowi.

- Może czas, żebyś już poszedł - rzucił Garrett tonem nie dającym Jake'owi wyboru.

- Jak sobie życzysz. - Następnie stanął obok Michaela. - Hej, współniku - rzekł, pochylając się nad synem, aby go

pocałować na pożegnanie. - Na razie, zrazie - powiedział i zwrócił się do Stacie: - Klucz ma Mindy. Zjawi się tu punkt piąta. Ja i Michael jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

- Michael to mój pupilek - odparła, uśmiechając się do jego syna. - Byłabym zawiedziona, gdybyś mnie nie poprosił.

- Michael, jeśli nie zdążę na obiad, to potem pójdziemy razem na lody, zgoda?

- Jasne, tato - ucieszył się chłopiec, kończąc wycinanie następnego gargulca.

Jake wstał. Myślał z niechęcią o tym, co go czeka. Musiał jednak dotrzymać złożonej Mac obietnicy. I byłoby lepiej dla Gusa, gdyby Jake'owi dopisało szczęście i coś znalazł.

Od drzwi spojrział raz jeszcze na Garretta.

- Pamiętaj tylko, kiedy przyjdzie czas, że znowu byłem **na** miejscu. Ze cię ostrzegalem. - Stacie patrzyła, jak Michael wyci-
na swoje potwory, ale przysłuchiwała się też uważnie rozmowie mężczyzn.

Wyszedł na korytarz i skręcił w kierunku windy. Mimo uśmiechów posłanych Garrettowi i Stacie, dusił w sobie złość.

- Pieprzony dureń.

Pieklil się nie tylko na Garretta. Denerwował się, że Mac **naraza** się na niebezpieczeństwo w obronie swojego ojca. Jake dałby głowę, że powodem, dla którego wybrała Alicję i Harvard, była utrata wiary w nieposzlakowaną uczciwość ojca - i dlatego nie chciała o tym rozmawiać. Nie chciała tej kwestii roztrząsać.

Przez chwilę Jake karmił się nadzieją, że się myli, ponieważ tylko nieskazitelny charakter Donalda Sayera mógł
usprawiedliwić w oczach Mac fakt, że odwrócił się do niej plecami.

Jake nacisnął guzik windy, wracając myślami do eksperymentów- izolacyjnych. Mac przypominała białą myszkę laboratoryjną błądzącą tam i z powrotem po labiryncie skonstruowanym przez Donalda Sayera. Na skutek długich lat manipulacji.

Jezu. Jake miał złudną nadzieję, że się myli.

McCall czekała przed wejściem do laboratorium Grupy Zapachowej i myślała o Jake'u.

Widziała jego uśmiech i faldki w kącikach oczu. Widziała, jak przebiera palcami we włosach. Najbardziej jednak zapamiętała pytanie o ojca. Usiłowała wymazać je z pamięci, ale nie potrafiła.

Nurtowało ją przez cały dzień, lekceważąc wszelkie próby zepchnięcia w najdalszy zakamarek duszy, by zmierzyć się z nim później. Było to piosenka przewijająca się stale w jej świadomości; natarczywa melodia, której nie dawało się uniknąć.

Dlaczego wyjechałaś do Harvardu? Miała przed oczami twarz Jake'a, kiedy ostatni raz ją

O to spytał, wyczuwała kryjące się w tym pytaniu podejrzenie, które obudziło jej czujność, i dlatego nie chciała teraz o tym myśleć.

Ale wspomnienia odżywały, zalewając ją falami obrazów tamtego dnia, kiedy zadzwoniła do Alicji z wiadomością, że postanowiła wstąpić na uniwersytet Harvarda.

Najbardziej utkwił jej w pamięci incydent, który zdecydowanie przyśpieszył jej decyzję: do laboratorium przyszedł Curtis Ciarke, żeby pogratulować ojcu. Testy kliniczne wykazały, że **Keratynka**, najnowsze dzieło ojca, jest produktem bardzo udanym

1 wysoko cenionym wśród kobiet.

Oba produkty, szampan i odżywka, zawierały zmodyfikowaną postać keratyny. Jej podstawowa struktura została chemicznie przekształcona w taki sposób, by keratyna mogła lepiej pokrywać łodygę ludzkiego włosa, co sprawiało, że włosy stawały się gęstsze i łatwiejsze do układania. Dzięki odkryciu Donalda Sayera **Keratynka, szampon i odżywka** miała stać się jednym z najpopularniejszych produktów wytwarzanych w Ciarce Cosmetics.

Tyle że odkrycia tego nie dokonał wcale Donald Sayer. To było dzieło McCall.

Czekała, aż ojciec zwróci się do niej, doceni ją w jakiś sposób, wyrazi uznanie, na które zasługiwała. Niestety, Curtis wyszedł ze spotkania, nie usłyszawszy ani jednego słowa na temat jej udziału w opracowaniu **Keratynki**.

Zrozumiała, że odkrycie przestało należeć do niej. Było własnością ojca i pozostanie nią na zawsze. I tak będzie z każdym jej sukcesem, każdym odkryciem. I McCall, asystentce swojego ojca, będzie musiało to wystarczyć.

Ale nie wystarczyło. Wieczorem zadzwoniła do Alicji i powiedziała, że zmieniła zamiary w sprawie szkoły, do której miała wstąpić na jesieni. Chętnie pracowałaby w laboratorium doktor Goodman i poinformuje o tym fakcie dyrekcję Tulane.

Nie poinformowała ojca o zmianie planów ani o powodach, które za tym stoją.

McCall spoglądała na drugi koniec korytarza, obserwując laborantów krzątających się przy stołach roboczych w pracowni za przeszkloną ścianą. Czekala na ojca. Spóźniał się trochę, ale z pewnością pojawi się wkrótce i być może poświęci córce kilka minut. Byle nie za długo.

Czekając, znowu wróciła do przeszłości. Zdawała sobie sprawę, że tamtego feralnego dnia mogła inaczej załatwić sprawę z ojcem. Była młoda, zbyt pewna siebie. Uważała, że wyrządził jej krzywdę. Bolało ją lekceważenie, z jakim się spotkała.

Nie zastanawiała się, dlaczego ojciec tak postąpił, nie przyszło jej na myśl, jak mógłby zareagować Curtis, gdyby

dowiedział się, że autorem wynalazku jest ona, a nie Donald Sayer. Ojciec był w Ciarke Labs szefem Działu

Badawczo-Rozwojowego. Pomyślność finansowa rodziny spoczywała na jego barkach, a nie na barkach McCall. Ponościł wszelką odpowiedzialność. Przede wszystkim jednak Donald Sayer był człowiekiem dumnym.

McCall domyślała się teraz, jak mógłby usprawiedliwić swój czyn. Był jej mentorem. Nauczył ją wszystkiego, co wiedziała.

Traktował ją, swoją córkę i asystentkę, jak przedłużenie samego siebie.

Ale szesnaście lat wcześniej nie była taka mądra.

Jak prawdziwa nastolatka zachowała swą rewelację aż do obiadu, kiedy to oznajmiła znad kotletu baraniego, że wyjeżdża do Bostonu. Matka rozplakała się i nalala sobie następny kieliszek wina. Sądziła, że wszystko jest ustalone, że kochana córka pozostanie w domu. Czteroletnia Belinda też pochlipywała żałośnie. McCall pamiętała, że wzięła siostrzyczkę na kolana, osuszając jej łzy obietnicą częstych odwiedzin - nie dotrzymała słowa, ponieważ zatopiła się w pracy.

Tamtego dnia jednak, pomimo morza łez, była szczęśliwa i podekscytowana perspektywą przygody, czuła się cudownie wolna. Ojciec nie odezwał się ani słowem. Siedział i jadł w milczeniu obiad.

W głębi korytarza ukazał się Donald Sayer. Zawołał McCall i ruszył w jej kierunku. Z zakłopotaną miną przesunął kartą magnetyczną w szczelinie zamka, a kiedy zabrzączał dzwonek i otworzyły się drzwi, weszli razem do środka, przechodząc między stołami roboczymi na zaplecze, gdzie mieścił się gabinet. Czuli się dziwnie, patrząc na ojca - pamiętała go jako blondyna bez jednego siwego włosa, którego oczy zawsze błyszczały. Szła teraz za nim, obserwując bacznie, i stwierdziła, że ojciec wyraźnie posunął się w latach. Co prawda z wdziękiem, bo wciąż miał gęste włosy, a zmarszczki nadawały jego twarzy znamiona powagi - niemniej bardzo się postarzał.

Donald Sayer zamknął drzwi i wskazał córce fotel, sam zaś usiadł za dużym dębowym biurkiem. McCall zdziwiła się, że ojciec przeniósł stary mebel do nowego laboratorium.

Ojciec sprawiał wrażenie potwornie zmęczonego. Miał na sobie białą koszulę, luźne spodnie i fartuch laboratoryjny z logo Ciarke Labs na wysokości serca. Przyglądając się ojcu, McCall żalowała, że nie może cofnąć czasu, stać się na powrót nastolatką i dokonać lepszych, mniej bolesnych wyborów.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Więc przybyła tutaj pierwsza. Uważała to za przejaw wiary. Nie była już nastolatką, która kazała ojcu myśleć, że wolą realizować marzenia Alicji i odsunęła się od niego, choć przekazał jej całą swoją wiedzę. Takie tłumaczenie tamtej decyzji idealnie pasowało do jej wizerunku kobiety o niepohamowanych ambicjach, gotowej posunąć się do fałszowania danych, aby tylko zyskać sławę.

McCall obiecała sobie, że dzisiaj sprawy przybiorą zupełnie inny obrót. Dowiedzie Kyle'owi i Jake'owi, że ojciec nie uczestniczy w poczynaniach Rogera. Ale przede wszystkim samej sobie.

- Dziękuję za spotkanie, tato - powiedziała miękko.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć, o co chodzi? Mam jeszcze masę roboty, a robi się późno.

McCall bez słowa wyjęła blankiet, który znalazła poprzedniego wieczoru. Położyła go na biurku wierząc, że jej decyzja jest słuszna. Obiecała Jake'owi, że zaczeka z tą rozmową, aż Jake zakończy wizytę w laboratorium. Stwierdziła jednak, że sprawy osiągnęły punkt krytyczny. Tym razem musi spokojnie i rozważnie podzielić się z ojcem swoimi obawami, musi pozwolić ojcu wszystko wyjaśnić, a to pozwoli zasypać przepaść, którą przed laty wykopała.

- Wydrukowałam to z komputera - powiedziała, skinąwszy

głową na papiery, które położyła na biurku. - Zgłoszenie do Ciarke Spa and Clinic. Wiesz coś o tym?

Donald Sayer zmarszczył brwi i sięgnął po formularze.

- Niewiele. Klinika to w rzeczywistości działka Rogera. Tu, w laboratorium, nie zajmujemy się tym - odparł Donald Sayer, przeglądając blankiety. Kiedy czytał ostatnie stronicę, w jego oczach dostrzegła zdumienie.

- Tato. Chodzi o Formułę Omega. To zwyczajna błaga. Teraz przykuła uwagę ojca. Jego oczy, jakże podobne do jej własnych, wydawały się intensywnie niebieskie. Donald Sayer odłożył formularze na biurko i przycisnął palce do ust.

- Wiem o tym, McCall.

- Musiałam mieć jakiś pretekst, żeby Curtis wpuścił mnie do siebie, przynętę na tyle atrakcyjną, żeby machnął ręką na przeszłość.

Donald Sayer kręcił głową. Wydawało mu się, że rozumie.

- McCall, jak mogłaś? Po tym wszystkim, przez co przeszłaś...

- To nie to, co myślisz - rzuciła pośpiesznie, żeby skończyć temat. - Alicja zostawiła mi swój dziennik. Pisała w **nim** o eksperymentach, które przeprowadzała z jakimś mężczyzną. Tylko że te eksperymenty... W dzienniku było coś o badaniach, które moim zdaniem dotyczyły środka upiększającego, substancji wysoko toksycznej, która zabiła większość zwierząt doświadczalnych. Mieli tylko jeden sukces. W przypadku małpy. Twierdzą jednak, że zachęciło to owego mężczyznę do rozpoczęcia doświadczeń na ludziach.

Donald Sayer zmarszczył brwi.

- To jakieś bzdury...

- Przypuszczam, że tym mężczyzną jest Roger Curtis. Przypuszczam, że kontynuował swoje badania, robiąc eksperymenty na zwierzętach tutaj, w Laboratorium 20. Winda, tato. Ta ze specjalnym zamkiem szyfrowym. Czy ta winda prowadzi do pomieszczeń, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach?

Nagle McCall spostrzegła, że ojciec wszystko zrozumiał. Że zna prawdę. Nie przerwał jej, aby spytać, w jaki sposób dostała się do laboratorium albo skąd wiedziała o windzie i jej specjalnym zamku. Malujące się w oczach ojca zrozumienie był zbyt wyraźne, aby go nie dostrzec. Podobnie jak wyraz strachu.

- Nie wiem, dokąd prowadzi winda - powiedział bez pośpiechu, jak gdyby zastanawiał się nad słowami córki i analizował każdy szczegół. - Nie mam do niej karty magnetycznej. Nigdy

nie otrzymałem prawa wstępu i nigdy o to nie prosiłem.

- Przyjrzyj się tym blankietom, tato. Końcowym pytaniom. Klinika piękności. Czy uważasz, że Roger mógłby wykorzystać ją jako przykrywkę do eksperymentów na ludziach?

- McCall, sugerujesz...

- Ja wiem. Wiem, tato. Rozumiesz jednak, jakie byłoby to proste. Nazwisko Ciarke gwarantuje wysoką jakość, a zdesperowane kobiety gotowe są poddać się niewielkiemu zabiegowi chirurgicznemu. Wystarczy nadać tylko pozory prostego zabiegu, tylko nieco bardziej skomplikowanego niż odsysanie tłuszczu. Wszyscy byli gotowi uznać Formułę Omega, ponieważ ludzie marzą o tym, aby dzięki odrobinie perfum nikt nie zdołał im się oprzeć. A jeśli Roger obiecał coś równie kuszącego?

Donald Sayer spoglądał uważnie na swoją córkę. Zdawał się ogarniać rozumem wszystko, co właśnie przed nim odmalowała. Milczał i kręcił głową.

- Tato - ciągnęła błagalnym tonem. - Myślałam, że znasz prawdę. Liczyłam, że pomożesz mi ich powstrzymać.

Ojciec pochylał się nisko, ramiona miał wyciągnięte do przodu, łokcie opierały się o krawędź biurka. Dłuższy czas milczał.

- Miałem oczywiście pewne podejrzenia - wyszeptał, podnosząc wzrok na McCall. Był przygnieciony ciężarem prawdy, którą doskonale znał. - Musiałbym być głuchy i ślepy, aby nie odgadnąć zamiarów Rogera. Czasami nawet czuło się ich woń. Woń zwierząt - Donald Sayer znowu pokręcił głową. - Unosiła się w powietrzu, kiedy przechodziłem obok windy. Ale ja nie chciałem tego wiedzieć. Boże odpuść, wołałem, żeby to była nieprawda. Więc nie pytałem. - Cały czas patrzył uważnie na córkę. - Jesteś w stanie to zrozumieć?

- Tak.

Donald Sayer odwrócił wzrok.

- W przyszłym roku chciałem odejść na emeryturę! Zainwestowałem w to przedsięwzięcie połowę moich oszczędności.

- Tato. Ja rozumiem. - McCall wstała i zbliżyła się do biurka od strony ojca. Uklękła przed nim i położyła głowę na jego kolanach, tak jak kiedyś, zanim od niego odeszła. - Rozumiem.

Ojciec przez moment trzymał ręce nad głową córki, a potem ostrożnie pogładził ją po włosach.

- Przypuszczam, że Roger robi coś strasznego, tato - szepnęła. - Boję się o ciebie. Jak coś pójdzie źle, upozorują prawdę tak, że ty będziesz wszystkiemu winien.

- Tak, oczywiście, masz rację. Tak robią. - Donald Sayer uniósł twarz córki bliżej swojej. - Tak samo postąpili z tobą. Ale ja woląłem uwierzyć, że to ty jesteś odpowiedzialna.

- Tato - wyszeptala. - Wierzysz mi?

- Ja nie... Tak. Tak, temu, co mówisz... Winda... Klinika. Od jakiegoś czasu pojawiały się pewne wskazówki. Zakaz wstępu do windy. Tajemnicze Laboratorium 20, które od początku kwestionowałem. A także inne rzeczy, o których nie chcę teraz mówić. Roger Clarke zawsze był głupcem. Człowiekiem zdolnym do wszystkiego. Ale te blankiety... - Donald Sayer podciągnął córkę za ramiona. - Przysięgam, McCall, nigdy w życiu nie widziałem tych blankietów. Przecież byłbym je zakwestionował. Tak, owszem, twoje podejrzenia mogą być uzasadnione.

McCall wiedziała, że ojciec mówi prawdę. Tak jak uczył ją Jake, patrzyła ojcu w oczy. Źrenice nie uległy zmianom, a więc nie miał nic do ukrycia.

- Cieszę się, że nie jesteś w to zamieszany - powiedziała, uświadomiwszy sobie, że sama miała co do tego wątpliwości. Donald Sayer pokręcił głową.

- Wróciłaś z mojego powodu? Żeby mnie ratować?

- Wyjechałam na Harvard, nie mówiąc dlaczego - rzekła. - Nigdy ci nie wyjaśniłam, co wtedy czułam. Cały czas sądziłam, że właśnie dlatego uwierzyłeś w te wszystkie okropności na mój temat. Powinnam cię była poinformować, dlaczego wyjeżdżam do Bostonu.

- Daj spokój - powiedział ojciec, potrząsając lekko córką. - Nie mów o tym teraz. Nie chcę rozmawiać na ten temat. O Boże! - rzucił raptem, zrywając się na nogi. - O Boże miłosierny - zawołał, pociągając córkę za sobą, aż stanęła wyprostowana obok niego. Oczy miał rozszerzone z przerażenia. - McCall, co ja zrobiłem - powiedział, wczepiając się boleśnie palcami w jej ramię. - Naraziłem cię na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Donald Sayer odwrócił się i wziął z biurka blankiet zgłoszenia do kliniki. Czytał go ponownie i gorączkowo myślał.

- O co chodzi, tato?

Donald Sayer pokręcił głową, usiadł w swoim fotelu, pocierając rękami twarz.

- Wiem o tomografii emisji pozytronowej, McCall. Rozmawiałem z każdym wolontariuszem, którego nam przysłałaś. Nie było trudno namówić kilku do ujawnienia tego, co zrobiłaś.

Donald Sayer podniósł wzrok na córkę.

- Na moją prośbę złożyli pisemne oświadczenia. Wręczyłem je dzisiaj Rogerowi. McCall serce podeszło do gardła. Już wcześniej domyślała się, że coś jest nie tak. Wyczuwała to. Roger był niezwykle układny i przyznał nawet, że dobrze byłoby zaprosić Jake'a na ponowną przechadzkę po laboratorium.

- McCall, musisz mnie uważnie wysłuchać. Obawiam się, że tobie i doktorowi Woodsowi zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Musicie stąd zniknąć i nigdy więcej nie wracać. - Donald Sayer znowu wstał z fotela. Wziął córkę w objęcia i pierwszy raz od ponad dziesięciu lat przytulił z czułością do serca. - Wyjedziemy razem. Zabierzemy twoją siostrę. Belinda nie kocha Rogera. Chyba nigdy go nie kochała. Znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce, gdzie Clarke'owie nie będą mogli nas skrzywdzić.

- Wszystko będzie dobrze - odrzekła, starając się dodać ojcu otuchy. - Trwa śledztwo. - Czula się wystarczająco bezpieczna, by ujawnić ojcu aż tyle. A także bardzo szczęśliwa. Niesamowicie szczęśliwa z odzyskania rodziny. - Jeśli Ciarke Spa and Clinic faktycznie jest zasłoną dla nielegalnych doświadczeń na ludziach, Curtis nie zdoła wszystkiego ukryć. Podczas śledztwa zawsze coś wyjdzie na jaw.

- Chciałbym okazać się przydatnym. Z kim współpracujesz? - spytał ojciec. Z jakiegoś powodu McCall powściągnęła język. Zaangażowania Jake'a wolalała nie ujawniać nawet ojcu.

- Nie wiem dokładnie. Działam przez pośrednika. Ale nie przejmuj się. Sytuacja jest pod kontrolą.

- Dobrze. Ale obiecaj, że jutro wyjedziesz. I więcej nie wrócisz, nawet jeśli będziesz się czuła absolutnie bezpieczna. Obiecujesz?

- Zgoda, tato - powiedziała McCall, obejmując ojca. - Zgoda.

- No proszę - powiedział Roger, kiedy Jake opuścił laboratorium Mac i dołączył do niego na korytarzu. - Ostatnie przygotowania do produkcji najlepszego kosmetyku dla kobiet w historii. Dzięki niemu żadnej nie będzie można się oprzeć. - Następnie Roger zwrócił się do Mac. - Przy takim potencjale Formuła Omega powinna dawać Ciarke Cosmetics miliony dolarów rocznie. Doktor McCall Sayer zapewnia, że jej środek trafi do sklepów na Boże Narodzenie.

- Tak - przyznała Mac, wkładając rękę do kieszeni fartucha. - Może nawet już jesienią.

Jake skinął głową, obrzucając Rogera uważnym spojrzeniem. Na razie sprawy przebiegały mniej więcej zgodnie z jego przewidywaniami. Roger zadzwonił do **River Palace**, powiedział, że Mac nalega na obchód laboratoriów, i zapytał, czy Jake ma czas wpaść. Jake przyjechał nieco wcześniej, dzięki czemu Roger mógł oprowadzić go po innych placówkach i zaprezentować kilka strategii marketingowych, które Jake uznał za imponujące. Jeśli Formuła Omega okaże się skuteczna. W zachowaniu Rogera nastąpiła jednak pewna zmiana. Pozostał takim samym, eleganckim do przesady gogusiem, tyle tylko że dzisiaj dał swojej energii inne ujście. Nie koncentrował się z nadto na informowaniu Jake'a o przewidywanych rozmiarach sprzedaży. Jego spojrzenia i uśmiechy ogniskowały się na Mac. I to w niezbyt miły sposób.

- Garrett opowiadał mi o klinice piękności, którą podobno otwieracie - powiedział Jake, przechodząc do właściwego tematu i każdym nerwem odbierając negatywne wibracje. Sypał słowami jak z rękawa, ale cały tekst był precyzyjnie rozpisany na głosy. Jake i Mac ustalili rano, że po spacerze zatrzymają się obok wejścia do Laboratorium 20 i Jake poruszy wtedy sprawę kliniki.

Teraz zwrócił się do Mac, rozpoczynając dialog, który mieli odegrać przed Rogerem.

- No i co, pani doktor? Czy Formuła Omega znajdzie tam zastosowanie?

Mac spojrzała na Rogera z absolutnie zaskoczoną miną. **Brawo** - pomyślał Jake. Zasłużyła na Oscara.

- Niestety, nie mam pojęcia o żadnej klinice piękności. Roger wyszczerzył zęby, obracając swoje zimne, szare oczy na Mac. Ale ona odplącała mu pięknym za nadobne, unosząc podbródek i przeszywając go identycznie stalowym wzrokiem w oczekiwaniu na jego reakcję.

Jake znowu doznał tego uczucia. Coś tu śmierdziało. Czegoś nie przewidział.

- Właściwie to moja ulubiona zabawka - powiedział Roger. - Trzymam karty przy piersiach. Klinika jako taka nie należy do Cjarke Lab. Dotychczas zwróciłem się tylko do zamkniętego grona inwestorów, z którymi w przeszłości robiliśmy interesy związane z tym konkretnym przedsięwzięciem. Na razie chcemy prowadzić działalność na niewielką skalę.

- Naprawdę? - spytał Jake. Robił, co mógł, aby okazać rozczu-

rowanie faktem, że odcina się go od nadzwyczaj lukratywnego interesu. - Garrett mówił, że pracujecie nad czymś, co ma wykosić z rynku kwasy tłuszczowe. Roger się roześmiał.

- Chyba nie ogłosiłem tego drukiem. Jezu, to za dużo powiedziane... aczkolwiek mamy już kilka obiecujących produktów dla naszej kliniki. Na razie skupiamy wysiłki na Formule Omega. To będzie dopiero kopalnia złota.

- Cóż. Jak już powiedziałem, jesteśmy zainteresowani. - Jake założył swoje okulary przeciwsłoneczne. - I proszę mi podesłać dane o tej klinice piękności. Ludzie, których reprezentuję, chcieliby wiedzieć o **wszelkich** przyszłych inwestycjach z nią związanych.

Z tymi słowy Jake odwrócił się, jakby zamierzał wyjść, następnie okręcił się na pięcie i stanął naprzeciw tajemniczego laboratorium. Spoglądając uważnie zza okularów, zagwizdał z wrażenia, po czym zrobił kilka kroków w stronę wejścia przypominającego drzwi do zamkowego skarbcza.

- Co tam jest? - zapytał.

- Tajne lokum. Nasza chluba - odparł Roger, zerkając na zegarek. - Chciałbyś obejrzeć?

Jake nawet nie spojrział na Mac. Uzgodnili, co ma się zdarzyć, kiedy spyta o możliwość wejścia do Laboratorium 20.

Opracowali szczegółowy plan łagodnego przekonywania Rogera, aby wpuścił Jake'a do środka, a nawet, jeśli to możliwe, pozwolił tam wejść również Mac.

Lecz żaden z wymyślonych przez nich scenariuszy nie przewidywał, że Roger zgodzi się pokazać im Laboratorium 20 z własnej woli.

Jake nadal rozpływał się w uśmiechach. Robił wszystko, by wyraz jego twarzy nie ujawnił dręczącej niepewności. Jednak nie podobał mu się stan wyraźnego napięcia między Mac a Rogerem. A także dziwna ustępliwość Rogera.

Idąc za głosem instynktu, spojrział na zegarek, który pożyczył od Susan.

- Może kiedy indziej - powiedział, kręcąc głową. - Liczyłem, że o tej porze już będę wolny. Niestety, miła pani doktor dosłownie zahipnotyzowała mnie tą całą swoją mistyką genów i plazmidów.

- Skoro już tu jesteś - odparł z uśmiechem Roger. - Poza tym to wyjątkowa okazja. Pomieszczenie jest już dziś zamknięte, możemy więc spokojnie się rozejrzeć, nie przeszkadzając nikomu. - Roger zrobił kilka kroków w stronę drzwi, dając wyraźnie do zrozumienia, że powinni pójść w jego ślady. - Jeśli chodzi o ścisłość, miałem właśnie zaproponować doktor Sayer wizytę w naszym laboratorium. Pracuje u nas od tygodnia, a riie miałem jeszcze okazji wprowadzić jej do środka. Doprawdy, nie powinieneś Jonathanie marnować takiej okazji. To potrwa najwyżej piętnaście minut.

Jake powstrzymał się od zerknięcia na Mac, ale i tak świetnie ją znał. Pragnęła tego z całego serca... tak bardzo, że była gotowa zaryzykować. Gdyby teraz się wycofał, Mac mogłaby tam pójść bez niego.

- No to prowadź - oznajmił, nie widząc innego wyjścia.

Ale stając za plecami Rogera, Jake odniósł dziwne wrażenie. To było jak wchodzenie w akcję filmu z Jamesem Bondem - tyle tylko że tutaj złoczyńca wciągał w zasadzkę bohaterów pozytywnych, a publiczność ze wstrzymanym oddechem mówiła do siebie: **Nie rób tego, stary! Nie wchodź tam!**

Jake stał przed pancernymi drzwiami, czując serce w gardle, myślał o Mac i patrzył, jak Roger przesuwając kartą magnetyczną w szczelinie zamka. Kłopot polegał na tym, że rejterada w tym momencie mogłaby okazać się jeszcze bardziej groźna w skutkach. Tak więc przyglądał się biernie, jak Roger wprowadza kod, aby zwolnić blokadę zamka szyfrowego, będącego ostatnim cudem techniki.

Drzwi odsunęły się z cichym szmerem. Weszli do środka i znaleźli się w swego rodzaju holu. Film sensacyjny z Jamesem Bondem zamienił się na thriller **Śpiączka**. Pomieszczenie było całkowicie wytłumione," co stwarzało niesamowitą atmosferę. Roger pokazał na sterty odzieży ochronnej leżącej na dwóch stołach.

- Włóżcie na ubrania zielone kitle lekarskie - powiedział, rzucając jeden Jake'owi. - Nie ma wprawdzie żadnego niebezpieczeństwa - dodał, wzruszając ramionami - ale jestem pedantem, jeśli chodzi o przestrzeganie przepisów.

Jake zdjął marynarkę, po czym założył strój ochronny, który obejmował również czepek, maseczkę i rękawiczki. Ubranie, które miał dzisiaj na sobie, pamiętało zamierzchnie czasy pracy w prokuraturze. Czasami też zakładał je na spotkania z największymi hazardzistami w kasynie. Na szczęście znalazło aprobatę Dina. Jake nie zamierzał ponownie topić fortuny w jakichś modnych pstrokatych ciuchach.

Stojąca obok Mac zdjęła swój fartuch laboratoryjny, odsłaniając krótką sukieneczkę, która ledwo sięgała jej do kolan.

Kręcone

włosy miała dziś rozpuszczone. Jake wciąż nie mógł się nadziwić, w jaki sposób potrafiła aż tak zmieniać swój wygląd z jednego spotkania na drugie. Kątem oka spoglądał na kobietę, która przebierała się w niepokojącym milczeniu. Doszedł do wniosku, że była równie jak on podekscytowana rozpoczynającą się wycieczką.

- Pani pierwsza, doktor Sayer - powiedział Jake do McCall, dając jej znak dłonią, aby ruszała za Rogerem.

Kiedy opuścili hol, Roger pozdrowił gestem strażnika, wpisał ich do rejestru, po czym zaczął wygłaszać gościom kazanie o technicznej nadzwyczajności wyposażenia badawczego zgromadzonego w Laboratorium 20, przedstawiając Jake'a i McCall każdej osobie, która się akurat napatoczyła.

- Więc co się tutaj właściwie dzieje? - spytał Jake, oglądając lśniąca stalową aparaturę. Zwiedzali jedno z czterech pustych laboratoriów, do których prowadziły wejścia z tego korytarza. Drzwi oznaczone były numerem Lab 20-A, Lab 20-B i tak dalej.

- Przygotowujemy się do przyszłości - odparł Roger. - Jest to bardzo specjalistyczna pracownia mikrobiologiczna. Do diabła, skoro genetycy potrafią nadać pomidorom większą trwałość, a truskawkom odporność na mróz, to już niebawem odegrają wielką rolę w kosmetykach. W Laboratoriach Clarke'a chcemy być do tego przygotowani.

Mac spacerowała wokół pomieszczenia, dotykając różnych części aparatury. Zatrzymała się przed urządzeniem wielkości przemysłowego ekspresu do kawy. Z przodu wisiały niewielkie, brązowe fiołki. Nad nimi ciągnęły się zapisane na kawałkach taśmy litery AGCT i AGCU.

- Enzym syntetyzujący DNA/RNA - stwierdziła Mac, wymieniając nazwę specyfiku, po czym odwróciła się w stronę następnego flakonika. Ten, wykonany z metalu, przypominał strzykawkę w kształcie rakiety z kółeczkami na palce oraz igłą. - Zdaje się, że pracujecie nad jakąś terapią genową.

Drżenie maseczki na twarzy Rogera poinformowało Jake, że młody Ciarke się uśmiecha.

- Jak mówiłem, chcemy być przygotowani do przyszłości - powiedział Roger i odwrócił się. - Proszę tędy - dodał, wprowadzając ich do następnego laboratorium.

W trakcie spaceru wśród urządzeń Mac zadawała dużo pytań

1 rozglądała się uważnie na wszystkie strony. Jake wiedział, że szuka, stara się znaleźć dowód na prowadzenie doświadczeń na zwie-

rzętach, a jak dopisze szczęście, naWet na samych embrionach.

Manipulował nerwowo zegarkiem na lewym przegubie. Nie podobało mu się zachowanie Rogera. Nie dostrzegł wyrazu jego twarzy ukrytej pod bawełnianą maseczką, było jednak widoczne, że cieszą go pytania Mac, a nawet jakby zachęcał do następnych. Reakcje Mac były tylko dolewaniem oliwy do ognia. Zadawała pytania warkliwie niczym kapral na musztrze. Kiedy przeszli do kolejnego pomieszczenia, Roger i Mac wysunęli się na czoło. Jakby zupełnie zapomnieli o Jake'u, naukowcy koncentrowali się wyłącznie na sobie i rzadko kiedy przestawali mówić, dopuszczając Jake'a do głosu. Zaczynał się już denerwować... oraz zadawać sobie pytanie, czy sytuacja nie dojrzała do bezzwłocznego przecięcia intrygi. Zastanawiał się akurat nad sposobem realizacji swego pomysłu, kiedy weszli do trzeciego pomieszczenia. Jake natychmiast wyczuł zmianę w zachowaniu Mac. Rozumiał, co to oznacza.

Maszynaria polyskiwała stalą i przypominała gigantyczną puszkę mleka. Do znajdującej się za nią ściany przytwierdzony był jakiś zbiornik.

- Ciekły azot - powiedziała Mac, przykładając do niego dłoń. - Nowy typ kriostatu? - zapytała Rogera, obchodząc dookoła stalową kadź wielkości niedużej pralki. Jake cofnął się o parę kroków, żeby mieć lepszy kąt widzenia. Domyślał się, co ten kriostat mógł zawierać.

- Nasz najnowszy nabytek - powiedział Roger z uśmiechem przyczajonym pod lekarską maseczką. - Skonstruowano go na nasze specjalne zamówienie.,

- Do czego służy? - spytała Mac.

- Do przechowywania zamrożonych embrionów.

Jake poczuł nagły przyływ adrenaliny. Pstryknął kilka zdjęć, posługując się zegarkiem, tak jak go nauczyła Susan.

Wiedział jednak, że sprawy przebiegają zbyt łatwo. Jemu - człowiekowi, któremu to nic nie mówiło poza tym, że sprzęt taki jest niezwykle kosztowny - można było oczywiście wszystko pokazać. Ale żeby pozwolić na to Mac i to bez jakichkolwiek zachęt ze strony Jonathana Donovana, poważnego inwestora? To wszystko nie trzymało się kupy.

- Trochę siedzę nad tym - mówił dalej Roger, zatrzymując się obok Mac. - Pomyślałem, że skoro wykorzystujemy łożyska niektórych samic, to czemu nie wypróbować naszych zdolności kreacyjnych? - Odwrócił się do Jake'a, wciągając go w ten sposób

do rozmowy. - Komórki embrionalne są jakby genetycznie nieświadomione, uniwersalne. To znaczy mogą stać się tkanką każdego rodzaju, neuronem, komórką wątroby, komórką skóry - co czyni je idealnym obiektem do badań nad terapią genową. Na razie to tylko fantazja - dodał ze śmiechem - więc lepiej będę trzymał gębę na kłódkę. Najwyraźniej ostatnio za bardzo szafuję obietnicami, skoro Garrett doszedł do wniosku, że wytwarzam substancję mającą zakasować hydraty.

- Można? - spytała Mac, kładąc dłoń na pokrywie zbiornika. Jake trzymał ręce skrzyżowane luźno na nadgarstkach. Wyregulował obiektyw kamery i kontynuował sesję zdjęciową.

- Proszę bardzo - odparł Roger. - Jeśli umierasz z ciekawości. Mac przekręciła uchwyt i mocno szarpnęła. Okrągła pokrywa

unoszą się niczym latający talerz, wzbijający się w przestworza. Nad krawędzią zbiornika wypłynął gęsty obłok, którego widok kojarzył się Jake'owi z kotłem parowym. Do centralnej kolumny wiszącej pod pokrywą przymocowanych było sześć okrągłych pojemników, a w każdym widniały otwory o średnicy w sam raz dla próbek. Zbiornik był oczywiście pusty.

- Jak widzisz, nie mamy w tym momencie żadnych embrionów - stwierdził Roger. - W istocie trudno je zdobyć, trzeba mieć znajomości w jakimś szpitalu. Kriostat był niezmiernie kosztowną inwestycją. Nie powinienem był słuchać głosu serca. Ale czasami człowiek musi pofolgować swojemu kaprysowi. Poza tym wierzę, że terapia genowa może być bardzo przydatna dla przyszłości Ciarke Labs.

- Jak? - spytała Mac. Jej zachowanie przypominało Jake'owi sposób, w jaki grała w oczko, kalkulując szanse i podejmując ryzyko. - Przecież nie możecie konkurować z firmami farmaceutycznymi.

- To prawda - odparł Roger. - Ale już ci mówiłem. Mam kilka teorii. - Roger podszedł do kriostatu i pchnął wieko na dół. Pokrywa z wolna opadła na swoje miejsce, blokując wypływ smugi kondensacyjnej, snującej się wzdłuż ścianek zbiornika. Następnie Roger przekręcił uchwyt, który zaskoczył z cichym trzaskiem.

To jest gra, pomyślał Jake. Roger przyprowadził ich tutaj - zwabił do laboratorium - machając im przed nosem przynętą. A oni dali się nabrać. Tu nie ma nic, żadnego dowodu, który można by pokazać Gusowi w biurze prokuratora okręgowego... najwyżej zdjęcia pustego zbiornika. A Jake'owi nie podobał się fakt, że Roger prowadzi z nimi grę.

Kiedy wrócili na korytarz, Jake zdecydował, że najwyższy czas wydostać stąd Mac. Czuł, że to nie dla niego Roger urządził swoje przedstawienie. Adresatem była Mac, co było jeszcze gorsze i przekonało Jake'a, że już pora nadać sprawom nowy kierunek.

Szedł obok Rogera, zadając kilka luźnych pytań. **Jak nowe diablo roadster? Facet nadrabiał grzecznością.** Lecz miał stale przed oczami spojrzenie Rogera, kiedy Mac unosiła wieko zbiornika. O, tak. Grał przed nią komedię.

To znaczy, że ją przejrzał.

- A co to za winda?

Jake przystanął w pół kroku za Rogerem. **Cholera.** Pytanie zadała idąca z tyłu McCall. Jake celowo ich rozdzielił, żeby Mac szła ostatnia, a sam starał się kierować Rogera w stronę wyjścia, żeby jak najszybciej opuścić Laboratorium 20.

Nie przewidział jednak zachowania Mac - a powinien. Mógł się domyślić, że będzie usiłowała znaleźć cokolwiek, by nie wyjść z pustymi rękami

- O, ta - dodała, pokazując za siebie, kiedy obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. - Możemy pojechać na dół?

Jezu. To Jake powinien zadawać takie pytania. Przecież właśnie tak się umówili. Próbował skarcić ją spojrzeniem, zmusić, żeby zrozumiała.

- To tylko dodatkowe wyjście - odparł Roger. - Niżej znajdują się magazyny. Ze względu na bezpieczeństwo trzeba mieć specjalny klucz, żeby się tam dostać. Ale nie pilnujemy tego zbyt surowo - dodał, następnie cofnął się do jednego z pomieszczeń, rozejrzał dookoła i wysunął kilka szuflad. - Gdzieś tutaj powinien leżeć jakiś klucz. O, jest.

Niczym czarodziej wyjął z szuflady kartę magnetyczną, a Mac zrobiła krok do przodu, gotowa ją od Rogera odebrać.

- Słuchajcie, moi mili - odezwał się Jake, skupiając na sobie ich uwagę. Miał dość prowadzonej przez Mac gry w „kto stchórzy pierwszy?”. Wiedział, że nie ona ją wygra. - Przykro mi, ale muszę już lecieć - powiedział, pokazując kciukiem przez ramię i odwracając się za siebie. - Wyjście jest tam, prawda?

- Tak - odparł Roger. Odłożył kartę do szuflady, wyszedł z powrotem na korytarz, zatrzymał się na wprost Mac i obrzucił ją takim wzrokiem, że Jake'a aż przeszły ciarki. - Idź pierwsza - powiedział, wskazując ręką w głąb korytarza.

- A więc kiedy Formuła Omega trafi na rynek? - spytał Jake,

doganiając Rogera. Tonem głosu i mową ciała dał mu do zrozumienia, że czuje się pominięty.

Roger polapał się natychmiast, koncentrując uwagę na kliencie. Obaj mężczyźni stąpali ramię w ramię za McCall.

- Testy klinicznie odbędą się mniej więcej za dwa miesiące. Do tej pory powinniśmy już mieć gotowy wyrób.

- A co z Administracją Żywności i Leków? Wiem, że tam krzywym okiem patrzą na niektóre napoje miłosne.

- Nie ma sprawy. Jesteśmy ostrożni w tym, co obiecujemy. Ale jeśli w przyszłości władze wykażą zainteresowanie, to biorąc pod uwagę spodziewane wyniki naszych testów, nie będą mieli się do czego przyczepić. Poza tym istnieją sposoby obejścia Administracji - powiedział Roger. Wziął przykład z Jake'a i wyłączył Mac z tej rozmowy.

Wreszcie znaleźli się w holu, z którego prowadziło wyjście na zewnątrz. Jake zdjął maseczkę oraz rękawiczki i cisnął je do tego samego pojemnika co Roger.

- No, i co o tym sądzisz? - zapytał go Roger.

- Może pogadamy kiedy indziej?

- Nie zwlekałbym zbyt długo - odparł Roger, wywierając na Jake'a typowy nacisk kupiecki. - Zrozum, jesteś specjalnie trak-

^ towany ze względu na twoją przyjaźni z Garrettem. Nie mogę jednak dłużej trzymać tego pod korcem. Poza tym największą korzyść odniosą pierwsi inwestorzy.

- Proszę mi wierzyć - powiedział Jake, mrugając porozumiewawczo zarówno do Rogera, jak i do Mac. - Należę do ludzi, którzy decyzje podejmują błyskawicznie.

Sierra ocknęła się w zimnej klatce.

Z początku labradorka nie wiedziała, dlaczego się obudziła. Naraz jednak ponownie usłyszała ten dźwięk. Dawał się łatwo rozróżnić wśród szumu aparatury i odgłosów wydawanych przez inne psy przemieszczające się w swoich boksach. Był to dźwięk rozdzierający. I dochodził z sąsiedniej klatki.

Tam na posadzce rozciągał się jak długi owczarek niemiecki. Język zwisał mu z pyska, a łapy drgały. Z głębi gardła wilczura dawało się słyszeć rżenie.

Labradorka zaczęła szczekać, z początku cicho, a potem coraz głośniej i głośniej. Niebawem reszta psów znajdujących się w laboratorium przyłączyła się do Sierry. Jazgot stał się ogłuszający.

W pewnej chwili owczarek niemiecki próbował się unieść, na-

tychmiast jednak klapnął na posadzkę, sapiąc i nie mogąc złapać tchu. Z pyska kapał mu spieniony śluz. A potem już nic. Żadnego dźwięku, żadnego oddechu.

Do pomieszczenia wpadł jakiś mężczyzna.

- Niech to diabli - westchnął, po czym zawołał na korytarz: -Deb. Chodź tu prędko. Straciliśmy wilczura.

Nadbiegła kobieta.

- Cholera. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Pomóż mi go stąd wyciągnąć.

Kiedy opuścili pomieszczenie, Sierra uniosła głowę i zaczęła wyć.

23

Bądź piękna i bądź smutna... Cale piękno bierze się z pięknej krwi... piękno to marność... piękno to rzecz powierzchniowa.

Gryzmoly odnalezione na marginesach dziennika laboratoryjnego
doktor Alicji Goodman.

- Jake, tam są embriony - upierała się McCall. - Po co mieliby napelniać kriostat płynnym azotem? Nie trzyma się takiego zbiornika, w pełni gotowego do pracy, tylko na wszelki wypadek, bo może któregoś dnia rozpocznie się jakieś badania. ^ Siedzieli przy kuchennym stole Kyle'a. Uzgodnili wcześniej, że spotkają się u niego po wizycie w Laboratorium 20. Kyle nie mógł się doczekać ich powrotu, teraz zaś chciwym uchem chłonał wiadomości. Nie był zadowolony z tego, co słyszał.

- Posłuchaj - odparł Jake. - Nie wiem, co się dzieje, ale głowę daję, że Roger odegrał dzisiaj przedstawienie. Jeśli w tym laboratorium znajdują się embriony, to Roger nie zamierzał się nimi afiszować, żebyśmy mogli je sfotografować razem z nim, jak stoi obok i woła: Uśmiech, proszę. Nie mam pojęcia, kogo rozgryzł -mnie, ciebie, czy może nas oboje. Ale On coś wie. - Jak pokręcił głową, przeczesując palcami włosy. - Moim zdaniem czas przekazać sprawę Gusowi oraz FBI.

Kyle zerwał się na nogi.

- A co to da? Jeśli Roger coś podejrzewa, musimy wkroczyć dzi-

siaj, inaczej te zwierzęta zginą. Pal diabli skradzione embriony, które i tak miały trafić na śmietnik. Slogan Ciarke
Cosmetics-brzmi: HUMANITARYZM PRZEDE WSZYSTKIM - NIETESTOWA-NE NA ZWIERZĘTACH. Chcę
ich przygwoździć. Jeszcze dzisiaj. Potrzebne mi są zdjęcia urządzeń doświadczalnych dla zwierząt

- Gus może działać szybciej, niż ci się wydaje. Musi tylko zdobyć nakaz sądowy - odparł Jake. - Mam zdjęcia komory
kriogenicznej, która podobno służy do przechowywania zamrożonych embrionów. Wystarczy połączyć to z twoim
spostreżeniem, że przywieźli ciężarówkę wypełnioną psami oraz z blankietami zgłoszeniowymi do kliniki, które
wydrukowała Mac. Taak - westchnął, kiwając głową. - Istnieje dostatecznie duże prawdopodobieństwo winy. Sądzę
jednak, że masz rację. Musimy działać szybko albo Gus zastanie te laboratoria opróżnione do czysta.

Kyle opadł na krzesło. Wsparł głowę na rękach i zaczął nią potraszać.

- Rok ciężkiej pracy pójdzie na marne.

- Jeszcze nie wiadomo - odpowiedział Jake. Lecz jego głos był przytłumiony.

McCall siedziała na krześle jak mysz pod miotłą. Zdawała sobie doskonale sprawę, dlaczego Roger tak dziwnie
zachowywał się w laboratorium. Nie miało to nic wspólnego z poszukiwaniami Jake'a i Kyle'a.

Wiedziała, jak Jake zareaguje, gdy mu o tym powie, gdy ujawni, że rozmawiała ze ojcem - sama czułaby się podobnie.
Zdradzona. Działała na własną rękę; nie wierzyła, że Jake zdoła sobie poradzić. Odczuwałaby identyczny, skręcający
kiszki ból, jakiego doznała na dźwięk głosu Susan wydobywającego się z automatycznej sekretarki Jake'a.

A jednak...

Spoglądała na dwóch mężczyzn siedzących przy kuchennym stole. Obaj mieli miny przegrane. Kyle kulił się nad blatem,
widząc, jak rozwiewają się jego marzenia o zwycięstwie nad Ciarke'ami. Jake patrzył nieruchomo na ścianę, jego
spojrzenie było intensywnie skupione, myślał o nadchodzącej nocy.

McCall wiedziała już, że czekała zbyt długo, zbyt długo strzegła swoich sekretów. Przyszedł czas na działanie, niezależnie
od skutków, jakie może ono wyrzucić na jej związek z Jake'em.

- Roger wie, że Formuła Omega to bujda - odezwała się cicho. Obaj mężczyźni odwrócili głowy, ich uwaga skupiła się
teraz

na McCall. Zwłaszcza Kyle wydawał się zaskoczony jej stwierdzeniem.

- Nie chce mi się wierzyć - powiedział. - Dzisiaj, na spotkaniu z Clarke'ami, mógłbym przysiąc, że twój ojciec o niczym nie wiedział.

- Kyle, ojciec poinformował Rogera, że sfalszowałam analizę PET. Powiedział mu o tym, kiedy wyszedłeś już z gabinetu Curtisa. - Mac spojrzała na Jake'a. - Roger podejrzewa tylko mnie. Nie ciebie i nie Kyle'a. On nie ma pojęcia o śledztwie. Niepokoi się wyłącznie o Formułę Omega. Nie ma potrzeby podejmowania działań przedwczesnych.

- Pomóż mi - odezwał się Jake. Wstał i przysunął sobie krzesło bliżej Kyle'a. - Analiza PET?

- Tomografia emisji pozytronowej - odparł Kyle. - Wstrzykujesz obiektom doświadczalnym płyn radioaktywny i umieszczasz je w urządzeniu, które pomaga nam znakować mózg. W ciągu pierwszego tygodnia pracy McCall w naszych laboratoriach przeprowadziłam analizę PET u dziesięciu wolontariuszy w małej klinice, z której czasami korzystamy. Każdy z nich nosił maseczkę skropioną peptydem Formuły Omega. Badania potwierdziły, że w czasie wdychania peptydu w centrach nerwowych związanych z podnieceniem seksualnym u wolontariuszy wystąpiła silna reakcja pozytywna.

- Roger potrzebował dowodu, że peptyd dla Formuły Omega będzie działał - powiedziała McCall. - Dlatego uwarunkowałam reakcję seksualną wolontariuszy na zapach wanilii. Korzystając z pieniędzy wygranych w kasynie, przez rok płaciłam kilku mężczyznom, żeby wąchali wanilię, a jednocześnie oglądali filmy pornograficzne. Kiedy dokonywaliśmy analizy PET, dopilnowałam, żeby wanilia była zmieszana z moim peptydem. Później spreparowałam pliki komputerowe Clarke'a w taki sposób, żeby dziesiątkę testowanych mężczyzn stanowili moi uwarunkowani wolontariusze.

- Nie rozumiem tylko, jak twój ojciec się tego domyślił? - spytał Kyle. - Przechytrzyłaś mnie... przechytrzyłaś Rogera.

- Odszukał tych facetów. Może im zapłacił. Sama nie wiem. Ale co najmniej dwóch wszystko wyśpiewało. Ojciec przekazał ich relacje Rogerowi.

Kyle pokiwał głową, teraz już rozumiał. Natomiast Jake... Jego śliczne brązowe oczy wpatrywały się w McCall. Miał zawzięty wyraz twarzy prokuratora kojarzącego poszczególne fakty.

- A ty wiesz o tym, ponieważ...? - spytał zachęcająco. " Ale McCall domyśliła się, że już wiedział.

- Ponieważ rozmawiałam dzisiaj z ojcem. Sam mi o tym powiedział.

McCall czekała na reakcję Jake'a. Zrozumiał jej wyznanie. To nie była zwykła rozmowa córki z ojcem. To była ta rozmowa. Ta, od której Mac obiecała się powstrzymać, jak długo nie porozumie się z Jake'em. Dostrzegła w jego oczach wyraz rozczarowania... oraz zrozumienia.

To bolało najbardziej. Świadomość, że Jake okazuje zrozumienie.

Ujął jej dłonie.

- Nie powinnaś była mu zaufać, maleńka.

- Jake. To mój ojciec.

- On cię sprzedał.

- Myślał, że oszukiwałam. Nie rozumiał zagrożeń.

- Żebyś wiedziała, do diabła.

Agresywny ton Jake'a przeraził McCall. No, ale Jake nie słyszał ich rozmowy. Nie widział reakcji jej ojca, kiedy ten uświadomił sobie, co też najlepszego uczynił.

- Nie widziałeś go, Jake. Ojciec bał się o mnie.

- Więc Roger podejrzewa tylko McCall - wtrącił Kyle. - Nie ma potrzeby zmieniać naszych planów.

Ale Jake pokręcił przecząco głową.

- Nadal mi się to nie podoba. Posłuchajcie, mamy zdjęcia aparatury. Niech Gus się tym zajmie.

- Nie - upierał się Kyle. - To nie to samo. Może ja tam pójde i skończę to, co zacząłem. Niebezpieczeństwo zagraża tylko McCall - wyciek kwasu, Roger. Celem była zawsze ona. Mnie nic nie grozi. W przeciwnym razie nie wyszedłbym żywy z dzisiejszego spotkania z Clarke'ami. Wykorzystajcie mnie. Nie mają pojęcia, że jestem w coś zaangażowany.

Jake zastanawiał się przez chwilę nad pomysłem Kyle'a, następnie pokiwał głową.

- Zgoda. Kto wie - powiedział, wstając. Podeszedł do stolika, na którym Kyle trzymał telefon. Obok leżał bloczek papieru do zapisywania wiadomości. Jake zapisał coś, a potem oderwał górną kartkę.

- Muszę iść do domu i sprawdzić, co z Michaeliem. Może odwiozę go wraz z Mindy do domu Hope. Na wszelki wypadek. Z hotelu zadzwonię do Gusa. Będzie chciał się z nami spotkać - powiedział, następnie zwrócił się do Kyle'a: r- Odtąd pracujesz z władzami, a nie jako prywatny obywatel, więc reguły muszą

być inne, jeśli chcesz, żeby dowody spełniały wymogi procesowe. Gus na pewno zażąda, abyś nosił ukryty mikrofon. Oto numer mojego pagera. - Jake wręczył mu kartkę. - Jeśli będę ci potrzebny, wystukaj numer i dodaj 911. - Na koniec Jake zwrócił się do McCall: - Mac, ty idziesz ze mną.

McCall siedziała sztywno. Słowa Kyle'a poruszyły w niej pewną strunę, nie umiała jednak określić dokładnie, co ją zaniepokoiło.

- Mac?

Potrząsnęła głową, wciąż deliberując.

- Muszę jechać do domu i ostrzec Barb. Jej i Michaelowi nie grozi raczej niebezpieczeństwo, ale masz fację, musimy co najmniej przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

- Zgoda. Tylko pośpiesz się. Spakuj niezbędne rzeczy i przyjedź do mojego apartamentu hotelowego. Wolalbym, żebyś nie była zbyt długo sama. Zostawię w recepcji instrukcje, żeby cię wpuścili, gdybym był jeszcze u Gusa. - Jake przykucnął na wprost Mac. - Musisz mi coś obiecać. Będziesz unikała Rogera niczym ognia, zrozumiano? Twoja noga ma nie postać w tym laboratorium, dopóki nie wrócę tutaj z wiadomością od Gusa. - Widząc jednak, że Mac nie poświęca mu należytej uwagi, ujął ją pod brodę i podniósł jej twarz ku swojej. - Żadnych nowych matactw. Nie mieszaj się już do tego. Dobrze? - Tak - bąknęła zadyszany głosem. - Tak, masz rację. Odprowadziła wzrokiem Jake'a, który kierował się do wyjścia.

Przylapała się na tym, że ma zanadto przyspieszony oddech. Próbowwała się uspokoić. Właśnie zrozumiała. To, co powiedział Kyle. To, co jego słowa mogły oznaczać.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Wstała, żeby wyjść. Żeby coś zrobić. Cokolwiek.

Ściągnęła ze stołu torbę. Czowała, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

- Wychodzisz? - spytał Kyle.

Spojrzała na niego roztargniona. Uzmysłowała sobie, że zadał jej pytanie. Że czeka na odpowiedź.

- Tak. Muszę wyjść. Zobaczyć się z Barb.

- Zadzwoń, kiedy przyjedziesz do hotelu. - Kyle również wstał i odprowadził McCall do drzwi. Tu się zawahał, kręcąc głową. - Nie rozumiem, dlaczego psy. Dlaczego właśnie one? Jeśli testuje się środek upiększający, korzystając z terapii genowej, należałoby raczej eksperymentować na myszach albo małpach, na ssa-

kach, których organizm jest bliższy ludzkiemu systemowi odpornościowemu.

- Faktycznie, dziwne. Może później dowiemy się czegoś więcej.

- Nie zapomnij zatelefonować, jak tylko znajdziesz się w hotelu.

- Oczywiście.

McCall czekała, aż Kyle zamknie za nią drzwi. Czowała, że nie może wziąć pełnego, głębokiego oddechu. Mięśnie jej klatki piersiowej nie chciały właściwie się rozszerzać i w płucach zalegało powietrze. Oddychanie sprawiało jej okropny ból.

Zeszła po schodach. Zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu kluczyków, ale dłonie miała jak sparaliżowane. Nie mogła na niczym zacisnąć palców. Myślała o tym, co przeczytała w dzienniku laboratoryjnym Alicji.

Mężczyzna, o którym wspomniała Alicja, był lajdakiem pozbawionym hamulców moralnych. Człowiekiem, który narażał ludzkie życie i ukrywał błędy, żeby realizować własne cele. Nie miał skrupułów. Ani sumienia.

To nie był jej ojciec. Na pewno nie on.

Pamiętała jednak, co powiedział Kyle.

Wykorzystajcie mnie. Nie mają pojęcia, że jestem w coś zaangażowany.

Jake stał przed domem Kyle'a, czekając obok lamborghini Dickeya. Patrzył, jak Mac wychodzi na zewnątrz. Zbiegła po schodkach, szukając czegoś w torbie. Zapewne kluczyków. Wyglądała na bardzo wzburzoną, na jeszcze bardziej wzburzoną niż w momencie, kiedy zostawił ją w domu Kyle'a.

Dlatego właśnie stał tutaj jak idiota i czekał. Czekał, aż Mac mu zaufa.

Nagle podniosła wzrok i zobaczyła go. Zwolniła kroku, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała. Wreszcie wyjęła kluczyki z torby, idąc nadal w kierunku ulicy.

Daj spokój, Mac. Zaufaj mi.

Uniosła rękę i zamachała do niego. Pozdrowił ją szybkim gestem dłoni. Udawał, że wsiada do samochodu. Obserwował Mac... i patrzył, jak oddalała się do swojego lexusa.

Spoglądał na jej plecy i rozumiał, że Mac odjedzie, że mimo wszystko nie okaże mu zaufania. To było gorsze niż rozczarowanie... miał wrażenie, że ktoś wyrwał mu z piersi kawałek serca.

Przez całe życie Jake starał się dawać siebie na sto procent,

tym razem jednak żądał tyle samo w zamian. Pragnął całego tortu. Zakończenia w stylu póki-śmierć-nas-nie-rozłączy. Nie chciał ponownie spudłować.

Natychmiast domyślił się, że coś się stało. Kiedy Kyle mówił, Mac nagle zamarła, jakby zapadła w trans. Jake pragnął jednak, żeby między nimi było inaczej. Żadnych potajemnych rozmów z ojcem... żadnych machinacji za plecami Jake'a. Chciał, żeby do niego przychodziła, żeby z nim rozmawiała.

A teraz patrzył, jak odjeżdża.

Może był dla niej zbyt szorstki. Przecież to jej ojciec. Lecz przerażała go myśl, że Mac jest wciąż tą samą małą białą myszką laboratoryjną, która pozwalała ojcu sobą manipulować. Że wciąż stawia na pierwszym miejscu jego pieprzony interes. Donovanowie jej potrzebują. Ale całej. Nie tego czy innego kawalka McCall Sayer.

Ciągle jednak nie wiedział, co może na to poradzić. Nie spuszczał Mac z oczu, jakby zmuszając ją wzrokiem, aby się odwróciła. **Zaufaj mi, Mac. Zaufaj mi.** Raz w życiu chciał się nie pomylić co do kobiety. Chciał przewyciężyć Klątwe Donovana. **Zaufaj mi!**

Niewiarygodne, ale Mac przystała. A potem się odwróciła.

Spojrzała na Jake'a... i ruszyła w jego stronę. Szybko. Coraz szybciej. Teraz już biegła.

Jake wyszedł jej naprzeciw i po chwili spotkali się na środku pustej jezdni. Mac popatrzyła na niego, a w jej oczach można było wyczytać wszystko. Strach, ból, a także zaufanie do Jake'a.

- Mój ojciec - wyrzuciła z siebie. - Jake, to mój ojciec. Jake wziął ją w ramiona i mocno przytulił do serca.

- Wiem, maleńka. Wiem.

Curtis wydmuchał krążek dymu i przyglądał się, jak szybuje w kierunku sufitu, a potem zamienia w bezkształtny obłoczek.

- A więc Donald próbował nas ostrzec. Właściwie, jestem zadowolony, że McCall okazała się oszustką. Nigdy nie wierzyłem w jej szczerłość. Jakoś mi to nie pasowało.

- W październiku mieliśmy rozpocząć próby kliniczne. - Roger siedział w skórzanym fotelu przed Curtisem. Stopy jak zwykle opierał o blat biurka, czym doprowadzał ojca do białej gorączki. Ale niech mu tam. Curtis zdawał sobie sprawę, jak bardzo heca z McCall zdenerwowała jego syna.

Roger patrzył nieruchomo w dal, od czasu do czasu mrużąc coś pod nosem. Teraz potrząsnął głową.

- Pracowałem przez całe lata - całe życie - na coś takiego jak Formuła Omega.

Curtis westchnął.

- Pal diabli przeklęty eliksir miłości. Prawdziwy kłopot w tym, jak dużo dziewczyna wie? Czy jest tu dla pieniędzy? Dla zemsty? A może wróciła z powodu kliniki i Alicji?

Syn spojrział na ojca. Oczy Rogera ponownie przybrały wyraz skupienia, nie były już aż tak rozkojarzone.

- Przeprowadziłem właśnie mały eksperyment, żeby się tego dowiedzieć. Zastawiłem pułapkę z przynętą, której McCall nie zdoła się oprzeć, zwłaszcza jeśli podejrzewa coś w sprawie BioMłodości.

Curtis zaciągnął się dymem z cygara Romeo y Julieta. Czekał. Jego chłopak faktycznie lubił eksperymentować.

Ale zamiast wyluszczyć szczegóły, Roger grzotnął stopami

0 podłogę.

- Doszedłem do wniosku, że nie zrezygnujemy z Formuły Omega - rzekł, a potem wstał i zaczął krążyć w kółko, wahając się, jak postąpić, mobilizując się do wyciągnięcia swojego tyłka z głębokiej przepaści, w którą wepchnął rodzinną firmę. A Curtis nie. Curtis myślał o Kajmanach, dochodząc do wniosku, że chyba już czas na szybką ucieczkę wraz z synem.

Postanowił poruszyć tę kwestię później, kiedy chłopak nieco ochłonie.

- Formuła jest tak mocno uzasadniona naukowo, że ludzie uwierzą w jej skuteczność — ciągnął Roger, nadal przemierzając pokój. - Dzięki właściwej kampanii marketingowej może stać się dochodowa. Oczywiście nawet w przybliżeniu nie przyniesie takiej forsy, na jaką liczyłem.

- Pod warunkiem, że McCall nie dobierze się do nas za Alicję

1 BioMłodość - powiedział Curtis, zagryzając cygaro. - Więc na czym polega twój mały eksperyment? - spytał Rogera dla zachęty. Domyślił się, że chłopak zamierza pominąć ciekawy temat.

Roger znowu rozpląnął się w uśmiechu, od którego jego ojca przeszły ciarki. Przypomniało mu się, jak syn pochylał się tamtego dnia nad psem i pomyślał, że Roger ma nie po kolei w głowie.

- Dzisiaj urządziłem McCall wycieczkę po Laboratorium 20. Pokazałem jej nasz kriostat i miejsce, w którym będzie mogła znaleźć kartę magnetyczną do windy. Zbiornik oczywiście był pusty. Embriony dostarczone przez Sonię trzymam w laboratoriach zwierzęcych. Ale McCall to bystra dziewczyna. Odpowiednio zachęcona, znajdzie drogę do celu.

- Co będzie, kiedy wróci, żeby poszukać tej karty? - spytał Curtis.

- Jak to się mówi, ciekawość to pierwszy stopień do piekła. - Roger usiadł i znowu położył nogi na biurku ojca. - A co zrobimy z Donaldem? Nie zgodzi się na żadne rozwiązanie, które może jego genialną latorośl narazić na zgubę. Poza tym przykro mi to przyznać, ale potrzebujemy go.

- Nie jestem wcale taki pewny, czy Donald będzie się na nas gniewał, jeśli pozbedziemy się McCall - odparł Curtis, odwracając się w stronę telewizora wbudowanego w regał Za jego plecami i nacisnął klawisz. - Po naszym spotkaniu kazałem ochronie to przynieść. Znalazłem coś ciekawego. Skoro ten rozlany kwas to nie twoja robota, pewnie ktoś inny cię w tym wyręczył.

Spojrzeli na ekran. Było na nim widać mężczyznę manipulującego przy zamku obok drzwi do laboratorium McCall. Po chwili laboratorium ogarnęła ciemność, a mężczyzna wszedł do środka, aby natychmiast wyjść, znowu majstrując przy zamku. Następnie odwrócił się i zniknął.

Curtis nacisnął inny klawisz, zaczekał, aż taśma się przewinie, a potem zatrzymał film na pojedynczej klatce.

Donald Sayer,

- Odpowiadając na twoje pytanie, chłopcze... córka czy nie córka, twierdzą jednak, że możesz być spokojny o Donalda. McCall ścisnęła dłonie Belindy.

- Belindo, wiem, że trudno ci uwierzyć we wszystko, co mówię, ale ojciec może znaleźć się w strasznych tarapatach. Błagam. Pomóż mi.

Belinda gapiała się na siostrę. McCall powiedziała takie straszne rzeczy, że tato jest zamieszany w dziwne eksperymenty. Eksperymenty, które mogą być niebezpieczne... a nawet śmiertelne.

- Przypuszczam, że został do tego zmuszony - ciągnęła McCall, próbując siostrę przekonać. - Rozumiesz? Kto wie, czy Curtis go nie szantażuje - może nawet mu grozi, że skrzywdzi ciebie albo mnie? Proszę cię, Belindo. Jeśli powiesz mi, o co chodzi, pomożesz ojcu.

- Czy Kyle jest też w to wplątany?

- Kyle mi pomaga. Ale on o niczym nie wie. Dzisiaj tam wracam. Nie chciałam, żeby Kyle się narażał i szedł razem ze mną. Biorę ze sobą Jake'a. Kiedy już poznam prawdę i zrozumie,...

w co i dlaczego jest zamieszany ojciec, wtedy będę wiedziała, jak postąpić. Jakie kroki muszę podjąć.

Jake. Mężczyzna, który według słów McCall czeka na zewnątrz. Ten, który ma koneksje w prokuraturze. McCall już wyjaśniła, że toczy się śledztwo. Że być może ojciec jest w niebezpieczeństwie z powodu Curtisa. McCall powiedziała, że namówiła tego Jake'a, żeby najpierw pozwolił jej na konfrontację z ojcem. Skoro ojciec postąpił źle, McCall chciała dać mu szansę, żeby się przyznał - że będzie dla niego lepiej, jeśli się przyzna.

Tylko że Belinda dręczyła się myślami o tym, co ojciec powiedział jej w bufecie. Ojciec znajduje się w niebezpieczeństwie? Czy to nie McCall jestem zagrożeniem?

- I potrzebujesz mojej karty magnetycznej?

- Żeby wejść do jego laboratorium. Mam nadzieję, że znajdę tam odpowiedź.

Belinda skinęła głową. McCall wspomniała, że współpracuje z władzami. Trzeba jej pomóc. Belinda wstała, czując się jak marionetka. Jak automat. Sięgnęła do torebki. Wyjęła identyfikator. Obejrzała go ze wszystkich stron.

- Czy to ojcu zaszkodzi?

McCall stanęła za plecami Belindy i obróciła siostrę twarzą do siebie.

- Nie wiem, Belindo. Po prostu sama nie wiem. Muszę jednak poznać prawdę.

Belinda podała jej kartę.

- Nie wolno nam skrzywdzić taty.

Starsza siostra wzięła identyfikator i skinęła uspokajająco głową.

- Przyrzekam... Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby mu pomóc. Zadzwoń do ciebie, kiedy wyjaśnię wszystkie wątpliwości.

Belinda wzrokiem odprowadziła McCall do wyjścia, potem usiadła, czując się jak sparaliżowana. W dodatku było jej zimno. Przymknęła oczy. Próbowwała usłyszeć muzykę w swojej głowie, wyobrazić sobie siebie tańczącą, ale nic z tego nie wyszło. Wręcz przeciwnie, usłyszała ostrzeżenia ojca: **Jej badania są skazane na porażkę. Kiedy wszystko się zawali, McCall poszuka sobie kozia ofiarnego.**

Kto wie, czy wiadomość od McCall o toczącym się śledztwie nie jest kłamstwem. Może tu chodzi o Formułę Omega, o to, że nie będzie działała? Jeśli to McCall ma kłopoty, a nie ojciec?

Jeszcze Kyle. McCall wspomniała, że właśnie wróciła z domu Ky-le'a. Belinda pamiętała, że dosłownie kleili się do siebie w bufecie.

Że Kyle się nawet nie pożegnał, bo za bardzo pochłaniała go rozmowa z McCall. Ufał jej. Siostra mogła to obrócić przeciw niemu. **Nie Kyle. Proszę, tylko nie Kyle.**

Łzy spłynęły po jej policzku. Drżącą ręką Belinda podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Tato? Tu Belinda. Zdaje się, że McCall coś knuje.

24

- Pamiętam, że kiedy miałam dziewięć lat, nauczyłam się bardzo uważnie obserwować mojego ojca - powiedziała McCall do Jake'a.

Znajdowali się w laboratorium Grupy Zapachowej, w gabinecie Donalda Sayera. Jake zatelefonował do swego dawnego szefa w biurze prokuratora - umówili się wieczorem na spotkanie. Najpierw jednak przyjechał z McCall tutaj, żeby ułatwić jej znalezienie dowodów.

McCall siedziała w fotelu swojego ojca, spoglądając na wbudowany w biurko sejf.

- Jako dziecko zawsze byłam bardzo spostrzegawcza, ale po incydencie z moją pierwszą transformacją, kiedy zapomniałam wykonać jednostki kontrolne, mój zmysł spostrzegawczy jeszcze się wyostrzył. Tamtego dnia ojciec był na mnie wściekły - rozpamiętywała. - Kazał mi powtórzyć eksperyment.

- Twój koszmar - odezwał się łagodnie Jake, stojąc przed biurkiem. - Sen o bakteriach, które atakują cię ze wszystkich stron.

McCall pokiwała głową.

- Później słuchałam go i obserwowałam bardzo dokładnie. Kręciłam się po jego laboratorium, nie zwracając prawie niczyjej uwagi. Lubiałam udawać, że jestem niewidzialna, i chłonęłam każdy szczegół. Pamiętam nawet dzień, kiedy w myślach zaczęłam ojca krytykować, podważać jego decyzje i podejmować własne - powiedziała, zaciskając rytmicznie pięści. - Przygotowywałam się na dzień, kiedy to laboratorium będzie moje.

Jeszcze raz spojrzała na zamek szyfrowy przy sejfie. Był on nieduży, wbudowany w biurko tam, gdzie na ogół bywają szuflady. McCall nastawiła z pamięci te same cyfry, które przez lata

często w jej obecności nastawiał ojciec. Mechanizm blokujący odskoczył z cichym trzaskiem.

- Zawsze miałam dobrą pamięć do cyfr - powiedziała miękko. Otworzyła sejf i spojrzała na leżący w środku identyfikator, który otwierał drzwi do windy w tajnym laboratorium - ten sam, którego Roger rzekomo ojcu odmówił. Wzięła kartę do ręki, posyłając Jake'owi słaby, bolesny uśmiech.

- Oto klucz do windy.

- Przykro mi, Mac.

Czując się jak odrętwiała, McCall jeszcze raz sięgnęła do wnętrza małego sejfu, szperając palcami na górnej ścianie. Wymacała przymocowany taśmą klejącą skrawek papieru i oderwała go z miejsca ukrycia. Na papierze widniał szereg przypadkowych cyfr i liter zapisanych ręką Donalda Sayera.

- Tyle lat obserwowałam mojego ojca - powiedziała McCall. Czowała, że jej oczy napelniają się łzami - że w końcu nauczyłam się jego sposobów postępowania... poznałam je tak dobrze, jakby były moimi własnymi.

Wróciła wzrokiem do papierów. Serce jej zamieniło się w bryłę lodu, była zbyt skostniała, aby odczuwać do ojca nienawiść. A powinna.

- Co to jest? - zapytał cicho Jake.

- Hasło - odparła, biorąc głęboki oddech. - I chyba wiem, co otwiera.

McCall odwróciła się do terminalu komputerowego ojca i wywołała plik, do którego próbowała się włamać ubiegłej nocy. Kiedy komputer zażądał hasła, McCall napisała szereg przypadkowych cyfr i liter, które ojciec zanotował na skrawku papieru, po czym nacisnęła ENTER. Plik się otworzył.

McCall wpatrywała się w ekran, czytając i przewijając tekst. Sądziła, że jest przygotowana na wszystko. Ale na to nie była. Boże. Nie na to.

Potrząsała głową. Nie potrafiła oderwać wzroku. Mimo że chciała. Wówczas zrozumiała, że naprawdę ojca nienawidzi.

- Dobrze się czujesz, maleńka? - spytał Jake, chcąc pomóc. Dla dobra sprawy. Ale tej sprawy akurat nie mógł załatwić za Mac.

- Wszystko opiera się na wynikach mojej pracy - odpowiedziała. - Tej sprzed czterech lat. Ukradł moje badania i wykorzystał je do krzywdzenia ludzi.

Jake zamknął oczy. McCall dostrzegła na jego twarz ten sam ból, który odczuwała. To było straszne. Wróciła wzrokiem do ekranu. Znajdowały się na nim wszystkie odpowiedzi, po które tutaj przyszła. Cztery lata temu McCall wstrzykiwała myszom przekształcone genetycznie komórki mózgu. Chciała je zmusić, aby funkcjonowały jak komórki macierzyste, które będą się w mózgu regenerować. Robiła to z myślą o ratowaniu ludzkiego życia... ale jej ojciec i Alicja posunęli się o krok dalej. Rezultaty były straszliwe.

- Wciąż słyszę jego głos z tych odległych czasów, gdy jako dziecko nawijałam włókno DNA - ciągnęła ledwie słyszalnym szeptem. - Powiedział: **Gdybyśmy tylko poznali jego tajemnice, McCall... moglibyśmy żyć wiecznie.**

Chciał sprawić, aby żyli wiecznie.

Zmienione genetycznie komórki, które McCall wstrzykiwała myszom, miały pod każdym względem funkcjonować tak jak zwyczajne komórki nerwowe. Gdy już raz znajdą się w mózgu, te niby macierzyste komórki będą się różnicować i zamieniać w neurony albo inne rodzaje komórek, w zależności od miejsca, w którym zostały usadowione. Zakończywszy fazę różnicowania, komórki przestaną się dzielić - podobnie jak zwyczajne komórki mózgowe.

Alicja i Donald Sayer wynaleźli sposób przekształcania komórek embrionalnych w taki sposób, aby mogły kontynuować reprodukcję i zastępować starzejące się lub uszkodzone komórki mózgu, stymulując nowy rozrost komórek w starym mózgu. Przekształcone komórki macierzyste z embrionów umożliwiały regenerację tkanki nerwowej mózgu.

Wprowadziwszy do mózgu takie przekształcone komórki macierzyste, ojciec McCall dokonał nadzwyczajnego odkrycia. Wskutek ciągłej reprodukcji i regeneracji komórek przedłużał stan młodości mózgu, który z kolei hamował proces starzenia się organizmu.

Było to niesamowite odkrycie. Aktualne teorie wykazywały, że proces starzenia się przebiega na poziomie komórkowym - to znaczy każda komórka ciała sama determinuje swój wiek. Ale rewelacje Donalda Sayera zaprzeczyły temu. Jeśli zdołamy zachować młodość mózgu, ten będzie funkcjonował jako naczelny wódz całego ciała, nakazując wszystkim jego elementom, aby przestały się starzeć.

Niestety u większości zwierząt doświadczalnych wystąpił tragiczny skutek uboczny. Zgodnie z wyjaśnieniem podanym Jake'owi przez Rogera, komórki embrionalne są genetycznie uni-

wersalne. Mogą stać się wszystkim - od komórek skóry, do tkanek wątroby. Część komórek zmienionych, wstrzykniętych do mózgu przez Donalda Sayera, przeistoczyła się w komórki su-perodpornościowe. Zachowywały się niczym białe ciała, gdyż atakowały błonę mielinową oddzielającą poszczególne neurony w mózgu. W rezultacie następowała całkowita utrata zdolności motorycznych, a w końcu śmierć.

- Dlatego potrzebował psów - powiedziała McCall, wyjaśniając Jake'owi odkrycie swojego ojca. - Zwierząt do testowania funkcji motorycznych. Komórki odpornościowe niszczyły fragmenty mózgu odpowiedzialne za te funkcje.

- Bawił się w Boga.

McCall odwróciła się od komputera. Patrzyła na swoje dłonie i przypominała sobie, jak ojciec uczył ją trzymać instrumenty. Wizerunek życzliwego nauczyciela klócił się z wieloletnim życiem w kłamstwie.

Wzburzenie ścisnęło ją za gardło.

- Kiedy wyszliśmy z domu Kyle'a - powiedziała z wielkim trudem - nie zamierzałam ci powiedzieć... chciałam przyjść tutaj sama. Chciałam spróbować **uporać się** ze wszystkim w interesie ojca. Nie wierzyłam, że byłby w stanie... - urwała, dławiąc się słowami. Potrząsała głową i zagryzała wargi.

Jake obszedł biurko dookoła. Przyklęknął obok Mac, obracając jej krzesło na wprost siebie.

Łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach.

- Szłam do samochodu i przypominałam sobie wszystko, co przeczytałam w dzienniku Alicji - wykrztusiła. - O tym, co robiła dla swojego doktora Frankenstaina... dla swojego Mistrza Duchowego. Co kwestionowała, czego robić nie chciała. Myślałam o Belindzie, o tym, że porzuciła marzenia o balecie, zostając jego asystentką... Musiałam... musiałam to powstrzymać. Nie chciałam być dłużej tworem jego manipulacji.

Jake uśmiechnął się, ocierając jej łzy z twarzy.

- I już nie jesteś, maleńka. Prawda?

Mac pokręciła głową. Ale całe lata ślepoty sprawiały jej przejmujący ból. Całe lata wiary w ojca i życia w przekonaniu, że to ona zdradziła jego marzenia.

- Przyjechałam tu, aby poznać prawdę. Chciałam, żeby ojciec sam się przyznał. - Zerknęła na komputer, muskając ekran czubkami palców. - Ale człowiek, który robi takie rzeczy... nigdy się nie przyzna.

- Brawo, McCall.

Mac i Jake odwrócili głowy. Przebywając daleko w gabinecie ojca McCall, nie mieli szans usłyszeć brzęczyka przy drzwiach do laboratorium.

- Cóż za spostrzegawczość - powiedział Donald Sayer od strony drzwi. - Poza tym święta racja.

Na widok ojca McCall poczuła, że serce jej przebija lodowaty cień wściekłości, a siła tej reakcji dla niej samej była niespodzianką. Jakże inaczej wyglądał teraz ojciec. Starzej. Podlej. Zawsze uważała Rogera Clarke'a za złego człowieka, ale on nigdy nie zdołałby skrzywdzić jej tak bardzo, jak zrobił to ojciec.

- Sprytna sztuczka - powiedziała chłodnym i opanowanym głosem. - Otworzyć drzwi, nie uruchamiając jednocześnie brzęczyka.

Donald Sayer skinął głową.

- Tak, wiedziałem, że się zdradziłem, sygnalizując takie niebezpieczeństwo doktorowi Woodsowi. Że domyślisz się, iż podsłuchałem was, nim rozlałem kwas. - Oczy Donalda Sayera, identyczne jak u jego córki, nieustannie wpatrywały się w jej twarz. - Nauczyłem się omijać blokady. Czasami warto działać w sposób nie rzucający się w oczy.

- Biorąc pod uwagę, czym się zajmowałeś przez ostatnie lata, tato, można dojść do wniosku, że to się bardzo przydaje. McCall kipiała gniewem. Ojciec skrzywdził Belinę. Lekceważył matkę, przez co wpędził ją do grobu. Potem Alicję. Teraz McCall rozumiała, że jej partnerkę też zabił.

- Trzeba było się nie wtrącać. Mówiłem ci, żebyś nie wracała.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego to robisz?

- Daj spokój, McCall. Musisz się przynajmniej dowiedzieć, dlaczego? Z powodu możliwości. Niewiarygodnych możliwości.

- Które nie istnieją - odparła glucho. - W każdym razie nie takie, jakie sobie wyobrażasz. Nie wolno ci eksperymentować na ludziach, wszczepiając im specyfik, który zabija zwierzęta laboratoryjne.

- Właśnie tu się mylisz! - zawołał, niewzruszony w swych poglądach. - Byłaś zawsze taka krótkowzroczna, McCall. Zbyt ostrożna i konserwatywna. Tak też powiedziałem Alicji.

- To ty byłeś doktorem Frankensteinem - wyszeptała. Oczami wyobraźni widziała uśmiechniętą twarz swojej przyjaciółki i partnerki, nieżyjącej właśnie przez ojca. - Manipulowałeś nami, nami wszystkimi. Oddałyśmy ci nasze umysły, nasze serca. A tobie wciąż było mało. Jedno z największych odkryć w historii

że mózg może kontrolować proces starzenia się, także ci nie wystarczyło?

- Potrzebowałem towaru rynkowego. Potrzebowałem BioMłodości. Jestem już tak blisko, McCall. Rozumiesz, co to znaczy? Robię konkurencję gigantom przemysłu farmaceutycznego, tworzę moją własną szczepionkę przeciwko starzeniu. Nadal możemy to robić, McCall. My dwoje - powiedział tym samym głosem, który tak dobrze pamiętała. Głosem człowieka, który nauczył ją wszystkiego. Jego słowa wibrowały od emocji, które udzielały się McCall. Donald Sayer umiał to robić, posługiwać się ogniem swoich oczu i pasją swojego serca, ale Z równą łatwością potrafił wyeliminować ze swego życia każdego, kto stawał mu na drodze.

- Od początku plan polegał na wykorzystywaniu bezdomnych kobiet - ciągnął, a jego sposób wyrażania się sięgał szczytu kaznodziejstwa. - Kobiet, których życie nie miało żadnej wartości. Zamierzaliśmy im płacić, zapewnić wszelkie wygody. Nie rozumiesz? Dla tych kobiet eksperyment był wart ryzyka. I nadal możemy to robić. Wspólnie. Potrafię przekonać Rogera i Curtisa, że jesteś nam niezbędna. Curtis chciał cię mieć u siebie cztery lata temu. Na pewno się zgodzi, abyś nam znowu pomagała.

McCall się uśmiechnęła.

- Nadal mnie potrzebujesz, tato? No tak, gdy zabrakło Alicji, sam Roger nie wystarczy. Chyba wiem, co myślisz. **Z pomocą McCall zdołam osiągnąć mój cel.** - Potrząsnęła głową. - Dla mnie jest to tylko specyfik uśmiercający każdą kobietę, której go zaszczepisz. Jesteś strasznym człowiekiem, tato - powiedziała cichym, pozbawionym modulacji głosem.

- Potworem.

Odwróciła się i zaczęła szperać w biurku.

- Co robisz?

Donald Sayer ruszył naprzód, ale Jake zdołał go powstrzymać. Zastawił drogę własnym ciałem i ojciec nie mógł zbliżyć się do córki.

Z jednej z szuflad McCall wyjęła dyskietkę i włożyła ją do komputera.

- Kopiuje ten plik. Żeby mieć dowód. Wyjdę stąd, trzymając go w ręku. To już koniec, tato.

- Nie pozwolę ci na to. - Donald odepchnął Jake'a, sięgnął do kieszeni w marynarce i wyciągnął pistolet. - Masz natychmiast przestać.

- Odlóż broń, Sayer - powiedział spokojnie Jake. Sytuacja za-

czyniała wymykać się spod kontroli. - Po co to panu? I tak ma pan dość kłopotów. FBI już wie, co się tu dzieje - poinformował go zgodnie z prawdą. - Jestem w kontakcie z władzami Wiedza, że się tu znajduję. Jeśli McCall i ja nie skontaktujemy się z nimi wkrótce, przystąpią do akcji.

Lodowate spojrzenie, jakie posłał mu Sayer, przyprawiło Jake'a o dreszcz. Donald Sayer miał oczy Mac, ale całe ciepło z nich zniknęło.

- To pańska córka - dodał Jake, manewrując wokół niego, szukając najkorzystniejszej pozycji, domyślając się, że sama rozmowa z Sayerem nie wystarczy. Niech to szlag. Pierwszy raz w życiu żałował, że nie nosi broni. Ale ze względu na Michaela wołał nie trzymać jej w domu. Ponadto przypuszczał, że będą mieli więcej czasu. Skąd mógł wiedzieć, że ktoś da cynk Sayerowi. Kto go u diabła uprzedził? - Przecież nie chce pan jej skrzywdzić.

- Natychmiast przestań!

Na rozkaz ojca McCall oderwała ręce od klawiatury. Kiedy tak siedziała za jego biurkiem, wydawała się królewsko piękna.

- Zastrzelisz mnie, tato? - spytała. - Zabijesz mnie? Tak jak zabiłeś Alicję? O, tak. Teraz wiem, że to ty ją zabiłeś.

Donald Sayer opuścił trochę pistolet, choć ciągle celował w McCall. Jake wahał się, jak postąpić.

- Dobry Boże, to był nieszczęśliwy wypadek. Kochałem tę kobietę! Mając ją u swego boku, uzyskałbym w końcu to, czego ty mi odmówiłaś. Gorliwego partnera. Człowieka z wyobraźnią i wiarą, który mógłby podążać za moją wizją. Ale nie, ty musiałaś odejść i pracować dla siebie, zając się własnymi badaniami, zamiast zostać moją asystentką tutaj, u Clarke'a.

Dzięki mnie stałaś się tym, kim jesteś. A kiedy najbardziej cię potrzebowałem, zerwałaś ze mną. Nie rozumiesz? Wtedy zaczęło się całe zło. Kiedy wyjechałaś na Harvard. Wszystko było dobrze, dopóki nie odwróciłaś się do mnie plecami.

- A Alicja? - spytała Mac. - Co i jak zniszczyła Alicja?

- Nie chciała mnie słuchać - odparł Donald Sayer, głuchy **na** nutę sarkazmu w głosie córki. - Kiedy doszło do podejmowania trudnych decyzji, zaczęła protestować. Chciała zaprzestać... **prosiła** mnie, abym zaprzestał. Wywiązała się awantura i pchnąłem ją. Byłem zły i chyba pchnąłem zbyt mocno. Przysięgam, że to był wypadek. Alicja przewróciła się do tyłu i uderzyła głową. Nie chciałem jej zabijać.

McCall odwróciła się do klawiatury i wbiła w nią wzrok. Jake mógł stwierdzić, że się zastanawiała, a na jej twarzy malowała się determinacja. Zaklął w duchu, kiedy zaczęła znowu stukać w klawisze.

- Strzele, McCall! - krzyknął Sayer.

Jake podszedł bliżej, słysząc cichy szum komputera. Podziwiał męstwo McCall, żałował jednak, że nie wybrała sobie lepszej chwili na demonstrację odwagi. Zaczął powoli przybliżać się do Sayera.

- Chyba będziesz musiał mnie zastrzelić, tato - powiedziała z oczami utkwionymi w monitor.

Sayer odepchnął Jake'a i pociągnął za spust. Rozległ się huk, przypominający wybuch pękającej żarówki. Monitor eksplodował, a w powietrze wytrysnęły snopy iskier i kłęby dymu.

Teraz Sayer mierzył do McCall, ale ręce mu drżały ze zdenerwowania.

McCall wstała zza biurka.

- No, śmiało. Strzelaj - powiedziała. Głos miała nazbyt spokojny. - Zabij własną córkę, ty tchórze.

- Zamknij się!

- Spokojnie - odezwał się Jake, gotowy do wyrwania broni z ręki Sayera. Nie chciał jednak wykonywać żadnego ruchu, dopóki lufa pistoletu była skierowana na McCall.

- Kiedyś tego nie dostrzegalam, ale zawsze byłeś słabym człowiekiem - powiedziała McCall z furją, która przejawiała się zarówno w jej głosie, jak i w oczach. - Chowales się za kobietami, które cię kochały. Manipulowales nami. No, śmiało. Zastrzel mnie! Nie pozwolę się już więcej krzywdzić, tato. Nie pozwolę.

W tym momencie Donald Sayer obrócił swoją broń na Jake'a.

- Zastrzele jego. Będziesz go miała na sumieniu.

- Taak, racja - mruknął Jake, widząc w tym swoją szansę.

Po czym walnął pięścią w rękę Sayera, wyrzucając broń do góry. Pistolet przezoziolkował w powietrzu i spadł na podłogę. Sayer rzucił się, by go chwycić, ale Jake skoczył pierwszy. Zaczęli walczyć o pistolet leżący niecałe dwa metry dalej. McCall wyskoczyła zza biurka, podbiegła i podniosła broń z podłogi.

- Nie ruszać się.

Jake poczuł, że krew mu zastyga w żyłach. Poznał ten głos i wiedział, co to oznacza. Odwrócił się, unosząc na łokciu. Na środku pokoju stał Roger Ciarke. W ręku trzymał niemiecki pistolet luger kaliber 9 mm zakończony dwudziestocentymetrowym walcem. Tłumikiem. Broń była wymierzona w McCall.

- No, proszę, cóż za niespodzianka - powiedział tym swoim wyjątkowo żartobliwym tonem. - Jonathan? - spytał z uśmiechem, rozkoszując się każdą chwilą. - Chyba mi nie powiesz, że bierzesz w tym udział?

Roger machnął pistoletem. Jake zrozumiał jego intencje, podniósł się z podłogi i stanął obok Mac.

- Policja jest już w drodze - zablafował. - Nic z tego, Roger. To koniec.

- Nie sądzę - powiedział młody Ciarke, okazując nadmierny luz psychiczny. Począł, aż Donald Sayer wstanie i odbierze córce broń. - Zostawiłem ochronie wiadomość - mówił dalej Roger. - Dali mi znać, gdy tylko McCall tu przyjechała.

Pędziłem do was na leb na szyję. Ale coś mnie zatrzymało. I zmitrężyłem kupę czasu, przekonując ochronę, że nic takiego się tu nie dzieje. Czekają na mój raport. Tylko szkoda komputera. Zaraz, zaraz - czyż nie informowałeś mnie parę dni temu, Donaldzie, że zaczyna szwankować?

- Nie uda ci się tego zatuszować, Roger - powiedział Jake. - W tym pieprzonym monitorze tkwi pocisk.

- Co ty powiesz - uśmiechnął się Roger. - Tata załatwiał już nie takie numery. Prawda, Donaldzie? - spytał, kiwając głową w stronę drzwi. - Zapraszam do wyjścia. Niezrównana Belinda i miłość jej życia, doktor Woods, czekają na nas w Laboratorium 20.

Roger Ciarke eskortował ich do tajnego pomieszczenia, przeprowadzając przez urządzenia kontrolne ochrony. Broń trzymał w kieszeni fartucha, "gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, ale jego instrukcje były jasne. Jeśli McCall chce zobaczyć Belindę żywą, musi ściśle stosować się do jego poleceń.

Zjechali windą na dół i znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym szpital. Wykonując polecenie Rogera, ruszyli za nim w głąb wąskiego, białego korytarza. Powietrze było przesycone ostrym zapachem zwierząt. Poniżej niewielkich, kwadratowych okienek w drzwiach opatrzonych w zamki na kartę magnetyczną McCall widziała klatki i zwierzęta.

Belinda siedziała przywiązana do krzesła w małym pokoiku na końcu korytarza. Obok niej drugie krzesło zajmował Kyle. Siedział zgięty w pół, skrupowany więzami, które nie pozwalały mu się ruszyć. Widząc siniaki na jego twarzy, McCall domyśliła się, że został mocno poturbowany. Miał płytki, urywany oddech.

W pokoju znajdowała się pojedyncza klatka, w której piekiel-

ny wrzask podnosił makak jedzący jakiegoś kraba. Pojawienie się nowych ludzi wyprowadziło małpę z równowagi.

- Cicho, Sara - powiedział do niej Roger, wyciągając spod fartucha pistolet. Nie musiał go już więcej ukrywać. Donald Sayer również wyjął broń z kieszeni płaszcz, do której go wcześniej schował.

- O Boże - westchnął Roger, patrząc na ostatnie niezajęte krzesło. - Zdaje się, że jestem źle przygotowany na tak liczne towarzystwo.

Roger podszedł do Belindy. Stał tuż obok i przystawił jej do skroni pistolet.

- Niech pomyślę. Donaldzie, porządnie skrępuj McCall. Chcę ją mieć unieruchomioną. - Wydał wargi. - Obawiam się, że będziesz musiał stać, Jonathanie.

- Zastanów się, Roger - powiedział Jake. - Jestem informatorem rządowym. Gliny już tu jada. Żadna z twoich sprawek nie ujdzie ci płazem.

Roger potrząsnął głową.

- Bez mojego zezwolenia nikt się nie dostanie do tych pomieszczeń. Zdziwilbyś się, w ilu miejscach można tutaj ukryć ciało. Więc trzymaj mordę na kłódkę, Jonathanie, albo będzie po wszystkim prędzej, niż ci się zdaje. - Roger odwrócił się w stronę ojca McCall i obserwował, jak Donald Sayer przywiązuje córkę do pustego krzesła. - Choć nie lubię patrzeć darowanemu koniowi w zęby, co cię tu sprowadza o tak dogodnej porze?

- Belinda zadzwoniła do mnie - odparł Donald, wkładając pistolet do kieszeni. Chwycił rękę McCall i zaczął przywiązywać ją do oparcia krzesła. McCall nie mogła oderwać oczu od swojej siostry i pistoletu, który Roger przykladał do jej głowy.

- Tata mi powiedział, że z Formuły Omega nic nie będzie - wymamrotała Belinda. Na jej twarzy malował się wyraz szczerego żalu, miała opuchniętą wargę i McCall domyśliła się, że siostra też została pobita. - Ojciec dał mi do zrozumienia, że szukaś kozła ofiarnego. Bałam się, że zrobisz to dzisiaj. Że będzie nim tato... a może Kyle. Byłam taka przerażona. - Rozplakała się. - Nie wiedziałam, komu ufać, więc zadzwoniłam do Kyle'a.

- Staralem się ją powstrzymać - szepnął Kyle. Ledwo zdołał unieść głowę, aby spojrzeć na McCall. - Wyperswadować przyjazd tutaj, aby cię ostrzec. Ale nie chciała słuchać. Nie miałem innego wyjścia, tylko pojechać za nią. Ale Roger znalazł ją pierwszy.

- Na taśmie ochrony z wczorajszego wieczora było kilka nie-

spodzianek - odezwał się Roger. - Tata je przeoczył, ja jednak zauważyłem Kyle'a wychodzącego z Laboratorium Zapachowego. Sprawdziłem to i owo. Doszedłem do wniosku, że używał karty Belindy. Zrozumiałem, że dziwka lajdaczy się moim kosztem.

Roger sprawdził więzy na ręku McCall, a jej ojciec skończył krępować lewy nadgarstek córki.

- Znakomicie. Dostaniesz złoty medal, Donaldzie - powiedział, kiedy Donald Sayer zaczął przywiązywać do krzesła drugą rękę McCall. - Więzy muszą być staranne i mocne. No, Jonathanie... - powiedział, zbliżając się do Jake'a - teraz chyba twoja kolej.

McCall zobaczyła, że Jake zatopił spojrzenie w Rogerze.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? Że jesteś chorym sukinsynem - wycedził Jake, odwracając się do ojca McCall. - Nie może pan mu na to pozwolić. Zastanów się pan! To pańskie córki!

Nie spojrzawszy nawet na Rogera, Jake obrócił się i kopnął go w brzuch. Siła ciosu odrzuciła Rogera do tyłu; grzmotnął o ścianę i osunął się na podłogę. Jake rzucił się na niego. McCall wyswobodziła prawą rękę i zerwała się na nogi, ale nie mogła się poruszać. Donald Sayer przytrzymał ją na krześle, do którego przywiązana była jej druga ręka. Pistolet wypalił.

Jake zsunął się z Rogera. Jęczał, jego ramię broczyło krwią. Belinda wrzasnęła, a Roger wycelował i oddał drugi strzał, trafiając Jake'a tuż nad kolaniem.

- Przysięgam, że go zabiję - krzyknął, widząc, że McCall sięga do kieszeni ojca po broń. - Przysięgam, że następna kula przebiję mu serce!

- Tato, proszę - rzuciła błagalnie McCall. - Proszę, nie rób tego! Jake ma rację. Policja wie o wszystkim. O blankietach, które ci pokazałam, z tymi medycznymi pytaniami do kliniki - kopia trafi w ich ręce. Już nie wywiniesz się z tego. Nie uda ci się.

Roger wstał, ocierając krew z kącika ust. Jake nadal leżał na podłodze u jego stóp. Na rękawie koszuli i na dżinsach w okolicy kolana rozszerzały się plamy krwi.

- Piękna robota - stwierdził Donald Sayer, potrząsając z dezaprobatą głową i kończąc krępowanie córki. - Teraz będziemy musieli wyciągnąć go stąd we dwóch. Nie będzie mógł zrobić kroku.

- Ty dalej nic nie rozumiesz, McCall? - spytał Roger. Puścił słowa Donalda Sayera mimo uszu i podszedł do McCall, przeskakując nad Jake'em. - Twój ojciec jest własnością Ciarke Labs. Należy do nas. Ach, on i Alicja chcieli wyciąć numer. Alicja zdefraudo-

wala forszę z twoich grantów federalnych, tak jak stwierdziło FBI. A Donald też oszukiwał. Nasze laboratoria. Tylko że go przyłapaliśmy. Bez trudu dał się przekonać, żeby nas dopuścili do interesu - powiedział Roger. Z radością obserwował, jak Donald Sayer przywiązuje do krzesła stopy McCall. - Tej nocy, kiedy zabił Alicję, zadzwonił do mojego ojca, żeby sprzątnął po nim brudy, jak zwykle zresztą. A tym razem brudy były niemałe. Sfingowałem wypadek, że niby straciłem panowanie nad kierownicą. Ocaliłem dupę twojemu ojcu i odtąd stał się moją własnością na zawsze.

Roger podszedł do klatki stojącej w rogu pokoju. Obok niej znajdował się mały stalowy stolik. Leżało na nim kilka strzykawek.

- Układ był taki, że dopuszczają nas do tej forsy i wszystko mają wybaczone. Wtedy właśnie zacząłem z nimi pracować, z Donaldem i Alicją. Ale mój ojciec uważał, że daleko nam do twojego poziomu. Stale mnie przekonywał, że bez ciebie nie damy sobie rady. Więc próbował cię zwerbować. - Roger kręcił głową, patrząc na McCall z lekceważeniem, jakby była idiotką. - A ty nam odmówiłaś. Wiesz, z prawdziwą przyjemnością telefonowałem do FBI, składając na ciebie te wszystkie anonimowe donosy i obrzucając cię biotem. Osobiście spreparowałem dane, aby wszyscy pomyśleli, że fałszujesz swoje wyniki. - Roger wydał usta i posłał McCall całusa. - Niespodzianka.

- No i co, tato? Przecież to dzika bestia - powiedziała. Nie przejmowała się przykrościami, które wyrządził jej Roger, zastanawiała się desperacko, jak ocalić Belindę i Jake'a. - Chcesz się stać taki sam jak on? Jak możesz być pionkiem w jego rękach?

- Nie mam wyboru - odparł jej ojciec. - Wydawało mi się, że to rozumiesz.

- Zaczniemy od początku. - Roger przystanął za plecami Donalda Sayera. - Znikniemy na jakiś czas, póki sprawa nie przy-
cichnie, a potem urządzimy się gdzie indziej. W nowej klinice. Twój ojczulek nam pomoże.

Donaldowi Sayerowi zrzęda mina.

- Te blankiety - powiedział ze złością. - Mieliliśmy angażować ludzi z ulicy, a nie twoje przyjaciółki ze śmietanki towarzyskiej.

- Dość tego, Donaldzie - rzucił Roger, obrzucając go pełnym pogardy spojrzeniem. - Naprawdę myślałeś, że jest sens płacić bezdomnym kobietom? Nie one są nam potrzebne, żeby przetestować BioMłodość. Alkoholiczki i narkomanki. Klinika powstała dla kobiet bogatych i wpływowych, które stać na kurację BioMłodością. Które mogą rozgłosić nasz sukces.

- Tobie zawsze chodziło jedynie o pieniądze, Roger - powiedział cicho Donald Sayer. - Jedynie o pieniądze. McCall zaniknęła oczy. Rozumiała, dlaczego jej ojciec mówił tak przekonująco w swoim gabinecie, dlaczego jego oczy go nie zdradziły. On naprawdę nic nie wiedział o kwestionariuszach dla amatek kuracji. Roger postanowił działać za jego plecami, zaryzykować.

- Wszystko w imię nauki - powiedział Roger. - Ale zachowałem ostrożność, Donaldzie. Przesiałem kandydatki. Zostały same panny i rozwódki. Żadnych mężów, żadnych dzieci, żadnych bliskich krewnych. Jeśli nagle któraś umrze na wyniszczającą chorobę, nikt nie będzie mógł powiązać tego z Ciarke Labs. Cóż, mówi się przykro. Reszta pań, które przeżyją, będzie aż pisać z zachwytem i polecać naszą kosztowną klinikę wszystkim przyjaciółkom, dopóki nie usuniemy z naszego eliksiru zanieczyszczeń, albo nie przechytrzymy rządowej komisji i nie wprowadzimy go na rynek otwarcie.

- Tato, nie widzisz, że to szalenie? - spytała McCall. Miała nadzieję, modliła się, że ojciec to rozumie. - To się nie może udać.

- Szaleństwo? - Donald potrząsnął głową. - Powiem ci, co jest szaleństwem. Całe lata, które zmarnowałaś na swoje badania, kiedy mogłaś uzyskać o niebo więcej. Wszystko, czym" się zajmowałem, opierało się na twoich przełomowych odkryciach. Nie można bawić się w Boga i nie popełnić na starcie kilku błędów. Takie nieszczęśliwe wypadki zdarzają się przecież. Dla dobra ogółu. Myślałem, że to rozumiesz, McCall. To były twoje odkrycia.

McCall potrząsnęła głową. Jeszcze raz doszła do wniosku, że jej ojciec stał się potworem.

- Ale nigdy nie miały być zastosowane w taki sposób. Nigdy. Roger wziął do ręki strzykawkę leżącą na stalowym stoliku.

- Obawiam się, że ten uroczy rozdział musi teraz dobiec końca. Słyszałeś kiedy o małpim wirusie B? - spytał, uśmiechając się do leżącego Jake'a, który zdawał się tracić przytomność. - Pozwolisz, że wyjaśnię to na rzecz obecnych tu laików - dodał, manipulując przy strzykawce i starając się nie wypuścić z ręki pistoletu. - Jest, to wspaniały mikrob, który występuje w stanie uśpienia u małp. U naszej Sary próba na jego obecność dałaby wynik pozytywny. Ale biedni McCall i Kyle pracowali w pobliżu małpy bez odzieży ochronnej. Cóż za nieostrożność.

- Pozwolisz mu zabić twoje córki, Sayer? - zapytał Jake. Z trudem chwycił powietrze, próbując się dźwignąć na nogi, ale runął bezwładnie na podłogę. - Nie ruszysz palcem i pozwolisz mu na to?

- Ma się rozumieć - powiedział Roger. - Donald i ja już wkrótce znikniemy bez wieści. Będziemy sączyli drinki na jakiejś egzotycznej plaży, a mój ojciec użyje swoich wpływów do zatarcia wszelkich śladów. Jak w przypadku Alicji. Do spreparowania wyników sekcji zwłok. Później policja zastanie McCall i Kyle'a cierpiących męczarnie, a ich mózgi będą się gotowały. Trzeba im będzie podać silne środki uspokajające. - Trzymając niezgrabnie pistolet, Roger podniósł strzykawkę i nacisnął tłoczek. Z końca igły wyciekła kropelka płynu. - Niestety, na tę śmiertelną chorobę nie ma lekarstwa. Ich mózgi dosłownie roztopią się w czaszkach. Jonathan będzie się pluskał wśród ryb, kiedy go odnajdą z kulą w głowie. Kasyno to straszne miejsce pracy. Te wszystkie męty społeczne. A Belinda... -Roger zawiesił głos, wyszczerzając zęby. - Zostanie naszą pierwszą wolontariuszką dla BioMłodości.

- Zastanów się, co robisz, Sayer - wykrztusił Jake. - Nie możesz mu pozwolić zabić twoich córek.

Ale Donald tylko pokręcił głową.

- Nie ma innego wyjścia. Daj ją - powiedział do Rogera. - Daj mi spluwę, zanim uklujesz się tą cholerną igłą. Sam ich przypilnuję.

- Dobrze - odparł Roger, podając Sayerowi broń. Ręce mu drżały od manipulowania strzykawką. Uśmiechał się, a jego szare oczy spoglądały na McCall.

Przerażenie ścisnęło jej serce, uniemożliwiało oddychanie. McCall starała się znaleźć wyjście z opresji, sposób na powstrzymanie Rogera.

- Pomóż mi, tato - szepnęła, nie mogąc prawie mówić z przerażenia. Błagała o własne życie, o życie Jake'a i swojej siostry.

-Proszę, pomóż mi.

Donald Sayer spojrział na McCall. Zrobił krok do tyłu, opuszczając pistolet.

Kiedy uniósł go ponownie, lufa była wymierzona prosto w Rogera.

- Zawsze byłeś taki **głupi**, Roger - powiedział.

Oddał dwa strzały. Jeden po drugim. Każdy z nich zatrząsł ciałem Rogera. Mężczyzna z otwartymi ze zdziwienia ustami patrzył, jak na jego klatkę piersiową tryska krew. Upuścił strzykawkę, a potem runął na podłogę.

Belinda zaczęła cicho szlochać. McCall nie wiedziała, co myśleć, czego się spodziewać dalej.

Donald Sayer stanął nad Rogerem i obserwował z góry, jak

mężczyzna z trudem łapie powietrze, kiedy jego płuca stopniowo wypełniały się krwią. Po chwili oczy Rogera stały się szkliste.

- Wszystko zniszczył tymi kwestionariuszami do kliniki - powiedział Donald Sayer, stojąc nad martwym synem Curtisa Ciarke[^]. - To miały być bezdomne kobiety.

- Tato. Tato, proszę, rozwiąż mnie - odezwała się McCall. Widziała, że Jake krwawi obficie. Najwyraźniej stracił przytomność.

- Wyciek kwasu - mówił Donald Sayer cichym głosem. - Chciałem cię tylko nastraszyć. Chciałem, żebyś wyjechała. Ale dzisiaj przyszłaś do mnie... Powiedziałaś mi o tych blankietach. Zrozumiałem, że zniszczył także i to. - Donald Sayer cofnął się, spoglądając na ciało Rogera. - Liczyłem, że mnie zrozumiesz. Że możemy stąd wyjechać i zacząć od początku, tylko we dwoje. Bez Rogera i Curtisa. Że wreszcie się od nich uwolnię - zakończył, kiwając głową.

- Tato, błagam, rozwiąż mnie. Błagam! - prosiła, nie znając zamiarów ojca, nie wiedząc, kogo teraz może skrzywdzić.

- Nie jestem potworem.

Westchnął, spoglądając na pistolet, który trzymał. Na jego twarzy malowało się znużenie. - Początkowo, rozumiesz, nienawidziłem Alicji, bo wolała ją ode mnie. Pomyślałem, że nie może być lepszej zemsty niż odebranie ci jej. Później jednak pokochałem ją gorąco.

Włożył sobie lufę do ust.

- NIE! - krzyknęła McCall. Belinda odwróciła wzrok i rozplakała się żałośnie.

Donald Sayer pociągnął za spust.

25

Stacie odstawiła żelazko, spoglądając krzywym okiem na telewizor. Parę minut temu zmieniła kanał, żeby obejrzeć program Cyndi. Oglądała go codziennie o tej porze. W mieście musiało stać się coś ważnego. Coś, co wiązało się z Clarke Cosmetics.

Nastawiła głośniej i usadowiła się na sofie. Patrzyła, jak Cyndi prezentuje swoich gości, dwóch mężczyzn i kobietę.

Należeli do organizacji zwanej UOZ, Učení w Obronie Zwierząt. Wszyscy byli młodzi i mieli posępne miny. Według

Cyndi wszyscy tro-

346

je byli kiedyś znakomitymi biologami, ale rzucili naukę i zajęli się walką o prawa zwierząt.

- Nasi członkowie stwierdzili - oznajmiła kobieta - że Ciarke Labs przeprowadzają doświadczenia na zwierzętach wbrew solennym zapewnieniom, że produkcja ich kosmetyków nie jest okupiona cierpieniami zwierząt. Lider naszej organizacji przeniknął do Ciarke Labs, współdziałając pod koniec z władzami, celem ujawnienia ohydnych praktyk koncernu. Nie mieliśmy pojęcia, że w sprawie zwierząt prowadzone jest odrębne dochodzenie.

- Czy to prawda, że zamierzali też eksperymentować na kobietach? - spytała Cyndi, wykorzystując swój głos i mimikę do okazania głębokiej troski. - Ze zwabiali niczego nie podejrzewające ofiary, które sądziły, że trafią do kliniki urody?

Z płuc Stacie uszło całe powietrze.

- O Boże.

- Zgadza się. - Kobieta sięgnęła w dół, żeby pogłaskać złotą la-bradorkę, która siedziała obok jej krzesła. - To dziwne, jak wiele kobiet się zapisało, a nawet zażywało lekarstwa, żeby przygotować się do kuracji. I nie miały żadnych wątpliwości. Stacie przycisnęła dłonie do twarzy, przypominając sobie pastylki. Te pastylki.

- Zwierciadelko powiedz przecie - wybuchnęła dramatycznie Cyndi, odwracając się do zebranej w studiu publiczności - kto jest najpiękniejszy w świecie. Należy się dziwić, że kobiety lecą na takie obietnice, podczas gdy od dzieciństwa uczy się nas, że piękna księżniczka, którą uwielbiamy... Brzydka pasierbica, którą pogardzamy...

Stacie słuchała dalej; serce podchodziło jej do gardła, a ręce dygotały.

- Do pierwszych prób klinicznych Ciarke Cosmetics wybrało kobiety mające słabe więzy łączące je ze społeczeństwem - powiedziała przedstawicielka UOZ. - Kobiety niezamężne. Bezdzietne. Takie, których śmierć nie nasunęłaby zbyt wielu pytań, gdyby kilka miesięcy czy nawet lat później nastąpiły u nich poważne zaburzenia koordynacji ruchowej. Trudno byłoby przypisać ich śmierć klinice. Naukowcy stojący za tym projektem wiedzieli, że symptomy będą przypominały efekty jakichś nieznanych i nierozpoznanych wcześniej zaburzeń mózgu.

Po policzku Stacie potoczyły się łzy. Myślała o Garrecie, o tym, jak nakłaniał ją pochlebstwami do skorzystania z tej kliniki, jak zachęcał do brania tych medykamentów. A teraz się okazuje, że

Ciarke Spa and Clinic stanowił fasadę dla jakichś upiornych eksperymentów na ludziach, które niewątpliwie by ją zabiły. Placząc po cichu, Stacie chwyciła za telefon. Za pierwszym razem nie zdołała wybrać numeru, palce dygotały jej zbyt nerwowo. Rozłączyła się i spróbowała ponownie.

- Halo, mama? Tak, tu Stacie - powiedziała, ocierając łzy z twarzy. - Chcę wrócić do domu.

McCall czesała Belindę i przyglądała się, jak twarda szczecina ze świńskiego włosia przesuwa się wśród srebrzystych kosmyków. Siedziały na jej łóżku w pokoju gościnnym Barb, a McCall układała siostrze włosy. W dzieciństwie nigdy czegoś podobnego nie robiły.

- Więc zastanawiam się nad otwarciem szkoły baletowej - powiedziała Belinda. Rozmawiała z siostrą o swoich planach. McCall uznała to za dobry znak, że Belinda myśli o przyszłości.

- To wspaniały pomysł - odparła. Minęły trzy dni od tragicznych wydarzeń w laboratorium. Siostry spędziły mnóstwo czasu ze sobą, starając się uleczyć rany, znajdując oparcie jedna w drugiej. - Byłabyś w tym naprawdę dobra. Czy będę mogła ci pomóc? Udało mi się odłożyć trochę pieniędzy.

Belinda skinęła głową.

- Dziękuję. To miłe z twojej strony - odparła, po czym się uśmiechnęła. - To cudowne, wiesz. Mogę spojrzeć w twoje oczy i zobaczyć w nich, że wierzysz we mnie. Ze mogę odnieść sukces.

- W dodatku to wcale nie jest ślepa wiara, bo jesteś moją siostrą i kocham cię - powiedziała McCall. - Masz doświadczenie, przez wiele lat byłaś profesjonalną tancerką. Wiem, że masz wybitny talent. Sama widziałam, że pięknie tańczysz, że wkładasz w to całą duszę.

Belinda uśmiechnęła się jeszcze promiennie. Po siniaku **na** jej ustach zostało już tylko nieznaczące, żółte zabarwienie.

- Tak, kładę w taniec całą moją duszę, prawda?

- A także serce - dodała McCall. - Będiesz idealną nauczycielką dla tych dziewcząt.

Belinda odwróciła głowę, żeby McCall mogła wrócić **do** szczotkowania jej włosów. McCall zgadywała po minie Belindy, że siostra zastanawia się nad jej słowami, zdecydowała się więc podsunąć Belindzie jeszcze inny problem do przemyślenia.

Przeciągnęła szczotkę po jej włosach i poruszyła spęawę **prosto** z mostu.

- Wiesz, po tych wydarzeniach cztery lata temu, kiedy **moja ka-**

riera legła w gruzach i tata się mnie wyrzekł, przez pewien czas chodziłam do kogoś, kto pomógł mi przez to przebrnąć.

- Do psychoterapeuty? McCall pokiwała głową.

- Barb mnie namówiła... może dlatego nie miałam do tego serca i prędko to rzuciłam. Ale pomogło. I to bardzo. - McCall ujęła siostrę za ramiona i delikatnie obróciła twarzą ku sobie. - Poszłabyś tam ze mną? Myślę, że obie mamy mnóstwo ran do wyleczenia.

- Owszem. Owszem. Chętnie pójdę. Kyle mówił mi to samo. Żeby zgłosić się do kogoś. - Belinda zagryzła wargi. - I przydałoby się, gdybyśmy poszły razem.

Belinda uściśnęła rękę siostry. Siedziała tak dłuższą chwilę, milcząc, trzymając po prostu palce siostry i mocno je ściskając. McCall widziała jednak, że Belinda chciałaby jeszcze coś powiedzieć. Czekala cierpliwie.

- Wiesz - szepnęła Belinda, podnosząc wzrok na McCall. Te czyste, błękitne oczy stały się znowu dobrze znajome, przestały być wyłącznie wspomnieniem z lat dziecińczych. - Ostatnie tygodnie były jakieś dziwne. Czulałam się tym wszystkim upodlona, ale od czasu do czasu słyszałam w głowie twój głos, który mówił mi różne rzeczy, różne dobre rzeczy na mój temat. Dodawał mi otuchy. - Belinda potrząsnęła głową. - Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego. Wszystkie inne głosy w mojej głowie, mamy, ojca, Rogera, zawsze mówiły, że się nie nadaję. Ty jedna mówiłaś mi coś miłego. Dlatego, kiedy rozłączyłam się z ojcem, zatelefonowałam do Kyle'a. Doszłam do wniosku, że skoro tylko ty mówisz miłe rzeczy w mojej głowie, musi to coś oznaczać.

McCall przytuliła mocno siostrę. Z rozdartym sercem słuchała tego cichutkiego wyznania, ale było to uczucie pozytywne, jakie ogarnia człowieka, kiedy doznaje nadmiaru wzruszeń. Na pewno wszystko ułoży się pomyślnie między nią a Belindą.

- Chcę, abyś wiedziała, że odtąd zawsze będę przy tobie. Ja się zmieniłam, Belindo. Tym razem chcę być twoją starszą siostrą.

McCall czuła, że Belinda płacze cicho w jej objęciach. Odsunęła się i otarła siostrze łzy z twarzy.

- Co się stało?

- Chodzi o ojca. McCall, byłam taka zadowolona, kiedy strzelił do siebie. Poczulałam, że z moich ramion spadł ten ogromny ciężar - powiedziała, trzęsąc głową. - Cieszyłam się, że nie żyje.

- Ja też - odparła McCall, przyłączając się do wyznania swojej siostry. - To był zły człowiek. Wykorzystywał wszystkich, którzy go kochali. Miałyśmy tylko szczęście, że na koniec obudziła się w nim ta odrobina człowieczeństwa. Że wolął zabić siebie niż własne córki. Miał tylko jeden wybór - my albo on* McCall dostrzegła ulgę w oczach siostry.

- Kocham cię, McCall.

McCall przycisnęła ją mocno do piersi.

- Ja ciebie też kocham, Lindy.

Jake zastukał laską do drzwi. Po kilku chwilach w progu ukazała się Barb Roj as.

- A zatem, guru Barb - powiedział, opierając się na lasce. - Jak pani sądzi? Czy nasze pierwsze dziecko będzie chłopcem, czy dziewczynką?

Barb przyjrzała mu się dokładnie, kołysząc głową z boku na bok. Miał nogę w gipsie, a zabandażowana rękę trzymał na temblaku.

- Jak na tak imponująco wyglądającego człowieka, jest pan nader pewny siebie.

- I pani mi to mówi - odparł, rewanżując się uśmiechem. - Co według gwiazd przyniesie mi przyszłość?

- Dziewczynkę - odparła bez wahania. - A po dobrej przyjaciółce nazwiecie ją Barbarą.

Kiwając głową, Jake wszedł za Barb do mieszkania.

- Podoba mi się pani styl.

Pokonanie schodów zajęło mu trochę czasu. Zabronił jednak Barb przywoływać Mac na dół, chciał ją bowiem poprosić o coś szczególnego. Przychodząc z taką prośbą, mężczyzna musi być gotów pokonać zarówno schody, jak i każdą inną przeszkodę.

Po drodze minął się z Belindą, która właśnie wychodziła. Wyglądała bardzo ładnie, zważywszy to, przez co przeszła. Mac nie posiadała się z radości, że siostra zaczyna ją wreszcie akceptować. Był to pomyślny obrót sprawy dla obu kobiet. . V,

- Byłabym zeszła - powiedziała Mac, kiedy zajrzał do niej. **Podeszła** do Jake'a i pomogła mu przykuśtykać do łóżka, jakby **był** jakimś cholernym inwalidą. Ale, pal diabli! Trzymał Mac w objęciach, lekko się w nie wtulając i wykorzystując każdą okazję, aby **dotknąć** jej ciała. Mimo wszystko inwalidztwo miało także dobre **strony**, i

- Psiakość, coraz lepiej mi to idzie - mruknął, kiedy siadał **na** łóżku, podpierając się laską.

Mac zwinęła się w kłębek obok Jake'a, uważając na **jego** ra-

mię, i przykryła ich afgańskim pledem. Przez chwilę przyglądała się misternym wzorom.

- Osoba, która ten pled wyhaftowała, musiała cię bardzo kochać.

- No, nie wiem. Mama twierdzi, że kiedy miałem dwa lata, chciała mnie utopić. Ale widocznie później odzyskałem jej serce, bo od dwudziestu pięciu lat nie daje mi powodu do narzekań. Poznasz ją w niedzielę. W domu w Slidell. Plus Molly. Moją najstarszą siostrę. - Jake sięgnął i odgarnął włosy z twarzy Mac. Dziś opadały jej do ramion drobnymi loczkami. - Jak się czujesz?

- Lepiej. Fatalnie.

- Wiesz, przyjechałem tu po ciebie, Mac. I zawsze już przy tobie pozostanę - rzekł, całując ją w czubek głowy. - Co słychać u Belindy?

McCall westchnęła.

- Chyba jakoś gorzej to znosi. Za to Kyle... To zdumiewające. A tak się go bałam, zamartwiałam się, że mógłby Belindę skrzywdzić. - McCall popatrzyła na Jake'a. - Jest taki dobry dla niej. Musi ją bardzo kochać.

- Taak - odrzekł, przygarniając Mac lewą ręką. - Ona chyba odczuwa to samo.

- Mówi o założeniu szkoły baletowej.

- To zrozumiałe - odparł. - Ale będziesz musiała to sfinansować forszą zarobioną nie przy stolikach do gry w oczko u Garretta - dodał. Domyślał się, że Mac będzie chciała pomóc. - Jesteśmy oboje **persona non grata** w **River Palace**. - Ujął Mac pod brodę. - Złożyłem dzisiaj wypowiedzenie. Powiedziałem Gusowi, że chcę wrócić do mojej dawnej pracy. Mac uśmiechnęła się czule.

- Tak się cieszę.

- Gusowi będzie potrzebna pomoc, więc zaofiarowałem mu swoje Usługi. **Gratis**, jeśli to konieczne. Curtis Ciarke wynajął prywatną drużynę marzeń... co nie znaczy, że to mu się na coś przyda.

Kiedy w domu Clarke'a pojawili się agenci FBI, znaleźli go na podłodze. Leżał z wyciągniętymi nogami i trzymał się kurczowo za serce. Lekki zawał. Teraz jest w szpitalu i szybko wraca do zdrowia. Na szczęście dla Gusa Ciarke miał już spakowane ma-natki i bilet na Kajmany, gdzie uwił sobie przytulne gniazdko. A to równało się próbie ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Co oznacza, że nie dostanie zwolnienia za kaucją.

Nielegalny spisek, porwanie, morderstwo... a na dodatek oskar-

zenia o przestępstwa federalne. O, tak. Curtis Ciarke ulatniał się na dłuższą chwilę błogiego nieróbstwa.

- Garrett nie był zbyt zachwycony moją decyzją - powiedział Jake, gładząc Mac po włosach. - Czuje się trochę opuszczony. Dino i ja składamy wypowiedzenia, Stacie odlatuje do domu.

- Jak sądzisz, czy kiedykolwiek mu przebaczy?

- Niech pomyśle... - Jake urwał, jakby się nad tym zastanawiał. - Nie.

- Też tak myślę.

- To piękna kobieta - ciągnął Jake. Domyślał się, dlaczego Garrett zmuszał ją do kuracji. - Garrett nie mógł znieść myśli, że jej uroda kiedyś zwiędnie. Że mógłby utracić tę twarz i to ciało. Nie rozumiał... że wszyscy się starzejemy. - Westchnął; właściwie było mu żal Garretta. Utrata Stacie go wykończy. - Te pigułki ją tak przeraziły. Ale oddałem je do analizy.

Garrett w zasadzie miał rację. Jakieś zwyczajne witaminy.

- Mój ojciec planował wykorzystywanie bezdomnych kobiet - powiedziała McCall. - Pewnie chciał, żeby trafiły do niego w jak najlepszym stanie.

McCall odsunęła się, następnie aż po szyję nakryła ich afgańskim pledem, potem przytuliła się do siedzącego na krawędzi łóżka Jake'a, starając się nie urazić go w ramię.

- Koc pachnie tobą.

- Bo spryskałem go wszędzie moimi feromonami - mruknął, całując ją delikatnie w usta. - Stęskniłem się za tobą.

- Ja za tobą też".

Jake rozejrzał się po pokoju. Trzy ostatnie dni Mac spędziła prawie w całości wśród przesłuchujących ją policjantów i **prokuratorów** albo w towarzystwie siostry.

- Może byśmy tak wrzucili cały ten majdan do wielkiego **pudła** i kupili sobie mały domek? Moglibyśmy zająć się porządkowaniem tego naukowego chłamu w postaci różnych danych, które **spreparował** Roger. Mama mogłaby powęszyć w Tulane. Głowę daję, **Że** rzuciliby się na ofertę przyjęcia cię do swego grona. A **potem, kiedy** będziesz już gotowa - pewnie za jakiś miesiąc - **moglibyśmy** postarać się o parkę dzieciaków. Michael stał się trochę **namolny** w sprawie rodzeństwa. Szykujcie następne dzidziusie, **wola** - powiedział Jake, wstrzymując oddech.

- Tym razem wyduszę to z ciebie - rzekła. - **Żadnych tam Chcesz wstąpić do drużyny?** czy **Kupmy dom.** - **McCall** **przeszy-**

wala go wzrokiem. - Jake'u Donovanie, czy pan się oświadcza? Jake uśmiechnął się i powiedział łagodnie:

- Tak się składa, że owszem.

- No, to ja się zgadzam - powiedziała ze srogą miną. - Zdaje się, że to będzie mój pierwszy od niepamiętnych czasów prawnie usankcjonowany eksperyment - szepnęła. - Zamierzam obalić Klątwę Donovana.

- Idę na całkowitą współpracę - odrzekł. Po chwili dodał jednak poważniejszym tonem: - Liczysz, że uda ci się przezwyciężyć klątwę, Mac?

McCall skrzywiła się.

- **Teraz** masz wątpliwości?

- Nie, czy się nawzajem Kochamy, tylko jak długo utrzymam cię przy sobie. Już dwukrotnie żeniłem się i rozwodziłem. A jeśli i tym razem pokpię sprawę?

McCall patrzyła nań oczami pełnymi miłości. Dziwne, ale nikt tak dotąd na niego nie patrzył.

- Aby zostać dobrym naukowcem - zaczęła - trzeba opanować metodę przewidywania, machania ręką na chwilowe triumfy. Należy zawsze spoglądać w przyszłość. Trzeba mieć niezachwiane przekonanie, że jest się w stanie odnieść sukces w uprawianej dziedzinie, ponieważ na rezultat czeka się niekiedy całymi latami. Trzeba się nauczyć sztuki wytrwałości.

Położyła dłoń na jego piersi. Jake przypomniał sobie słowa, które powiedziała do niego tamtej nocy - że zakochała się w jego sercu.

- Zaliczam się do niezłych naukowców, Jake - powiedziała na koniec, uśmiechając się całą sobą. - Jestem spokojna.

- Taak. W porządku - mruknął, zrozumiawszy w lot. Jego pokrewna dusza. No to wpił się wargami w jej usta, wyciskając na nich długi i głęboki pocałunek, który przypieczętował tę epokową chwilę. Miał nadzieję, że klan Donovanów pokona ostatecznie przeciwności losu. Najpierw jego dwie starsze siostry, obie szczęśliwe mężatki. Teraz on. Lecz tym razem odbędzie się to zgodnie z jego wolą. Dostanie cały tort.

- Gdzie Michael? - spytała, muskając go palcami po twarzy, tak jak tylko ona potrafiła. Dawała mu do zrozumienia, że jest dla niej kimś absolutnie wyjątkowym.

- Koniecznie chciał jechać razem z Hope i Dickeyem na pierwszą wizytę siostrzyczki u tutejszego pediatry. - Jake ujął dłoń

353

Mac, pocałował jej palce, następnie zmarszczył brwi i spojrzał na nią ze smutkiem. - Nazywa się Tiffany. Dali jej na imię Tiffany.

- Śliczne imię.

- Co? Mam do niej mówić Tiff1? A może jeszcze gorzej - Fanny2? Co to w ogóle za imię?

- Mów do niej, jak chcesz - rzekła Mac i z radosnym uśmiechem pocałowała go jeszcze raz. - Coś mi mówi, że mała szybko się do tego przyzwyczai.

Megan Chandler siedziała przed telewizorem, zmieniając kanały, ale wszędzie pokazywali to samo. Żadnych kreskówek, tylko jakichś głupich reporterów zadających pytania na temat jakiegoś przedsiębiorstwa.

Nagle na ekranie pojawił się pies. Złota labradorka z oklapniętymi uszami i charakterystycznym zakręconym ogonem, który zataczał prawie pełne koło.

Megan aż zatkało ze zdumienia. Zawołała:

- Mamo!

Kobieta w telewizorze opowiadała, że znaleźli te psy w jakimś laboratorium, gdzie robiono doświadczenia na zwierzętach. Że jacyś straszni ludzie wykradali psy z ich domów i sprzedawali placówkom naukowym.

- O mój Boże - westchnęła mama Megan zza pleców dziewczynki. Na ekranie błyskał numer telefonu zaczynający się od cyfr osiem, zero, zero. Każdy, komu zginął pies, powinien natychmiast tam zadzwonić.

- James? - powiedziała mama do siedzącego w kuchni ojca. -To Sierra.

- Już dzwonię - odparł tata Megan, chwytając za telefon. Dziewczynka przycisnęła palce do ekranu. Na jej buzi błąkał się uśmiech, a z oczu tryskały potoj

- Sierra. Wracasz do domu.

- sprzeczka (przyp. tłum.).

2Fanny - pupa (przyp. tłum.).